

ERIK
LARSON



„Jedna z najlepszych książek non-fiction,
jaką przeczytałem w życiu”. MARIUSZ SZCZYGIEL

W OGRODZIE BESTII



ERIK
LARSON
**W OGRODZIE
BESTII**

MIŁOŚĆ, TERROR I AMERYKAŃSKA RODZINA
W BERLINIE CZASÓW HITLERA

Z języka angielskiego przełożył
Przemysław Hejmej



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Nakładem Wydawnictwa Sonia Draga ukazały się następujące powieści tego autora:

Diabeł w białym mieście

Grom z jasnego nieba

*Dla dziewczynek i za następne dwudziestopięciolecie
(a także pamięci Molly, dobrego psa)*

*W połowie drogi żywota naszego nagle się w gęstym
obląkałem lesie. Już ścieżki prawej oczy nie dostrzegą.*

Dante Alighieri, *Boska Komedia*,
Piekło, pieśń I, przekład Alina Świdorska

Das Vorspiel

1. przygrywka; 2. muz. uwertura, preludium; 3. teatr. prolog

Wielki słownik niemiecko-polski
tom II, Wiedza Powszechna, Warszawa 1979

Pewnego razu, u zarania bardzo mrocznej epoki, para Amerykanów – ojciec i córka – została nagle przeniesiona z przytulnego domu w Chicago w samo serce hitlerowskiego Berlina. Mieli tam pozostać przez cztery i pół roku – poniższa opowieść przybliży pierwsze dwanaście miesięcy ich pobytu, w tym bowiem czasie Hitler przeistoczył się z kanclerza Niemiec w tyrana absolutnego. Wszystko stało się pod znakiem zapytania, przyszłość była niepewna. Ów pierwszy rok stanowił rodzaj prologu, w którym mające się wkrótce rozwinąć wszystkie wątki wielkiego epickiego spektaklu wojny i śmierci zostały już zarysowane.

Zastanawiałem się zawsze, co widziałby zewnętrzny obserwator, stając się bezpośrednim świadkiem zbliżania się mrocznej epoki hitlerowskiej. Jak wyglądało wówczas miasto, co mówiono, na co patrzono, jakie unosiły się zapachy, jak dyplomaci i inni przybysze interpretowali to, co się działo wokół nich? Z analizy zdarzeń *ex post* wynika, że w czasach bardzo niepewnych bieg historii można z łatwością odmienić. Dlaczego zatem nikt się tego nie podjął? Dlaczego tak długo nie dostrzegano faktycznego zagrożenia, jakie stanowił Hitler i jego reżim?

Podobnie jak większość ludzi, swoje pierwsze wyobrażenia o tej epoce czerpałem z książek i fotografii. Wydawało mi się, że ówczesny świat pozbawiony był wszelkich kolorów, poza odcieniami szarości i czerni. Jednakże rzeczywistość, z którą styka się dwójka moich bohaterów, jest pełnokrwista, wymaga od nich borykania się z codzienną rutyną zwykłych obowiązków. Każdego ranka przemierzają miasto pełne ogromnych czerwono-biało-czarnych sztandarów, przesiadują w tych samych kawiarnianych ogródkach co szczupli, ubrani na czarno członkowie hitlerowskiego SS, od czasu do czasu widzą samego Hitlera, drobnego mężczyznę w wielkim otwartym mercedesie.

Codziennie spacerują też po ulicach, przy których wznoszą się domy z balkonami zdobnymi w czerwone geranium, robią zakupy w przestronnych domach towarowych, organizują herbatki, wdychają głęboko zapachy wiosny w Tiergarten, głównym parku Berlina. Goebbelsa i Göringa znają na gruncie towarzyskim, jadają z nimi, bawią się i żartują – do chwili gdy pod koniec pierwszego roku ich pobytu wydarzy się coś, co odsłoni prawdziwe oblicze Hitlera i co zdeterminuje całą najbliższą dekadę. Zarówno dla ojca, jak i córki wiązać się to będzie z całkowitą wewnętrzną przemianą.

Książka ta nie jest fabularyzowana. Wszelkie materiały wzięte w cudzysłów pochodzą z listów, dzienników, pamiętników oraz innych dokumentów historycznych. Żadną miarą nie starałem się na poniższych stronicach tworzyć kolejnego opracowania historii tamtej epoki. Mój zamiar był bardziej intymny: ukazać miniony świat przez doświadczenia i percepcję dwojga moich głównych bohaterów, ojca i córki, którzy przybywając do Berlina, rozpoczynają podróż pełną odkryć, przemian i – ostatecznie – najgłębszych rozczarowań miłosnych.

Nie ma tu żadnych herosów, przynajmniej nie takiego formatu jak w *Liście Schindlera*. Pojawiają się jednak przebłyśki bohaterstwa, a także ludzie, którzy zachowują się nieoczekiwanie przyzwoicie. Zawsze są jakieś niuanse, niekiedy niepokojącej natury. Oto cały kłopot z literaturą faktu. Trzeba odłożyć na bok to, co wszyscy już wiemy – co wiemy teraz – i starać się towarzyszyć moim dwojgu niewiniątkom w świecie takim, jakim go widzieli.

Oto skomplikowani ludzie żyjący w skomplikowanych czasach, zanim monstra ukazały swoją prawdziwą naturę.

Erik Larson
Seattle

1933

Człowiek za zasłoną

Nie było niczym nadzwyczajnym^[1], że Amerykanie przebywający za granicą odwiedzali konsulat Stanów Zjednoczonych w Berlinie, jednakże nigdy nie przedstawiali sobą takiego widoku jak człowiek, który pojawił się tam w czwartek 29 czerwca 1933 roku. Był to Joseph Schachno, lat 31, lekarz z Nowego Jorku, który do niedawna praktykował na jednym z przedmieść Berlina. Stał teraz nagi w pokoju badań, osłonięty parawanem, na pierwszym piętrze konsultatu, gdzie w dni robocze felczer badał osoby ubiegające się o wizę emigracyjną do Stanów Zjednoczonych. Skóra zwisała mu płatami z całego niemal ciała.

Dwóch pracowników konsultatu weszło do pomieszczenia. Jednym z nich był George S. Messersmith, amerykański konsul generalny w Niemczech od 1930 roku (żadnych związków z Wilhelmem „Wilym” Messerschmittem, niemieckim konstruktorem lotniczym). Jako starszy rangą pracownik służby dyplomatycznej w Berlinie, Messersmith nadzorował dziesięć amerykańskich konsulatów znajdujących się w różnych miastach na terenie całych Niemiec. Tuż obok niego stał wicekonsul Raymond Geist. Z reguły Geist był chłodny i nieporuszony, typ podwładnego idealnego, tym razem jednak Messersmith zauważył, że Geist był błądy i głęboko wstrząśnięty.

Stan, w jakim znajdował się Schachno, przeraził obu mężczyzn. „Od karku aż po pięty człowiek ten stanowił masę surowego mięsa”^[2] – zauważył Messersmith. „Bito go pejcem na wszelkie możliwe sposoby, tak długo, aż dosłownie odsłoniło się żywe, krwawiące ciało. Rzuciłem na to okiem i jak najszybciej ruszyłem do jednej z miednic, w której [felczer] mył ręce”.

Katowanie, jak ustalił Messersmith, miało miejsce dziewięć dni wcześniej, a mimo to rany wciąż były świeże. „Od łopatek aż po kolana po 9 dniach wciąż widać było pręgi świadczące o tym, że dostawał razy z obu stron”^[3]. Pośladki, w większości pozbawione skóry, wyglądały jak jedna świeża rana. W niektórych miejscach mięśnie zbito dosłownie na miazgę”.

Jeśli minęło już dziewięć dni, zastanawiał się Messersmith, to jak rany te musiały wyglądać zaraz po pobiciu?

A oto co się wydarzyło:

W nocy 21 czerwca do domu Schachna przybyła grupa umundurowanych mężczyzn. Ludzie ci pojawili się w wyniku anonimowego zawiadomienia denuncjującego Schachna jako potencjalnego wroga państwa. Mężczyźni przeszukali mieszkanie i chociaż niczego nie znaleźli, zabrali Schachna ze sobą na posterunek. Tam kazano mu się rozebrać, po czym od razu dwóch mężczyzn wyposażonych w pejsze okrutnie i długo go biczowało. Niedługo potem został zwolniony. Jakimś cudem udało mu się dotrzeć do domu, a następnie wraz z żoną przedostać do centrum Berlina, do mieszkania teściowej. Tydzień przeleżał w łóżku. Gdy tylko poczuł się na siłach, natychmiast udał się do konsulatu.

Messersmith wydał polecenie umieszczenia Schachna w szpitalu. Tego samego dnia wystawił na jego nazwisko nowy amerykański paszport. Niedługo potem Schachno wraz z żoną uciekli do Szwecji, a następnie do Ameryki.

Od czasu, gdy w styczniu mianowano Hitlera kanclerzem, zdarzały się pobicia i aresztowania obywateli amerykańskich, nigdy jednak nie miało miejsca nic tak drastycznego – choć tysiące Niemców doświadczało równie okrutnego traktowania, a niektórzy cierpieli o wiele bardziej. Dla Messersmitha był to kolejny dowód, że życie pod rządami Hitlera to nie bajka. Rozumiał, iż cała owa przemoc to coś więcej niż tylko pojedynczy spazm okrucieństwa. W Niemczech dochodziło do fundamentalnej przemiany.

Messersmith to wprawdzie pojmował, ale jednocześnie był przekonany, że w Ameryce niewielu ludzi znało prawdę. Coraz bardziej irytowało go, że tak trudno jest uświadomić światu, jak ogromne zagrożenie stanowi Hitler. Dla niego samego było absolutnie oczywiste, iż kanclerz de facto w sposób niejawni i agresywny prowadzi Niemcy do wojny zaborczej. „Chciałbym móc sprawić, żeby nasi ludzie zrozumieli to wreszcie”^[4] – pisał w czerwcu 1933 roku w depeszy do Departamentu Stanu – „uważam bowiem, że powinni wiedzieć, jak bardzo duch wojny panoszy się teraz w Niemczech. Jeśli ten rząd utrzyma się u władzy przez kolejny rok i dalej będzie zmierzać w tym kierunku, w najbliższych latach Niemcy staną się zagrożeniem dla światowego pokoju”.

I dodał: „Nie licząc paru wyjątków, ludzie, którzy kierują tym Rządem, mają mentalność, jakiej ani Wy, ani ja nie jesteśmy w stanie pojąć. Niektórzy z nich to psychopaci, którzy normalnie, w innym kraju, byłiby poddani terapii”.

Lecz w Niemczech wciąż nie było amerykańskiego ambasadora. Poprzedni poseł, Frederic M. Sackett, wyjechał w marcu, tuż po inauguracji prezydentury Franklina D. Roosevelta (4 marca 1933 roku)^[5]. Stanowisko to pozostawało nie obsadzone przez prawie cztery miesiące, a następcy spodziewano się nie wcześniej niż za jakieś trzy tygodnie. Messersmith nie miał o przyszłym

ambasadorze informacji z pierwszej ręki, wiedział tylko to, co usłyszał od swoich licznych kontaktów w Departamencie Stanu. Był jednak pewien, że ambasador znajdzie się w kotle wypełnionym mieszaniną brutalności, korupcji i fanatyzmu oraz że musi to być człowiek o silnym charakterze, zdolny reprezentować amerykańskie interesy i potęgę, albowiem jedyną rzeczą, którą Hitler i jego ludzie respektowali, była właśnie siła.

Tymczasem o nowym ambasadorze mówiono, że jest człowiekiem skromnym, który zobowiązał się wieść w Berlinie życie niewystawne, w geście solidarności z rodakami cierpiącymi nędzę z powodu wielkiego kryzysu. Niewiarygodne było też to, że kazał przetransportować do Berlina swój własny samochód – poobijanego starego chevroleta – aby podkreślić postawę umiarkowania^[6]. I to w mieście, po którym ludzie Hitlera krążyli w czarnych limuzynach niewiele mniejszych od autobusu.

^[1] Szczegóły sprawy Schachno można znaleźć w niepublikowanych pamiętnikach pod tytułem „Rozmowy z Göringiem” (s. 5–6) oraz w listach Messersmitha do Hulla z 11 VII 1933 i 18 VII 1933 – wszystko to znajduje się w dokumentach Messersmitha. Zob. też raport zbiorczy dot. napaści na Amerykanów w piśmie Phillipsa do Roosevelta z dnia 23 VIII 1933, akta nr 362.1113/4 1/2, State/Decimal.

^[2] Messersmith, „Rozmowy z Göringiem”, niepublikowany pamiętnik, s. 6, dokumenty Messersmitha.

^[3] list Messersmitha do Hulla, 11 VII 1933, dokumenty Messersmitha.

^[4] list Messersmitha do Phillipsa, 26 VI 1933, dokumenty Messersmitha.

^[5] Dwudziesta Poprawka, uchwalona w 1933 roku, przesunęła datę inauguracji z dnia 4 marca na praktykowany obecnie dzień 20 stycznia, co miało ustępującemu prezydentowi skrócić okres niepewności i przebywania na stanowisku bez realnych uprawnień.

^[6] więcej szczegółów niż trzeba o transporcie samochodu Dodda można znaleźć w liście Howarda Fyfe’a do Harry’ego A. Hensena z 8 VII 1933, w liście Herberta C. Hengstlera do Dodda z 10 VII 1933 oraz Paula T. Culbertsona do Dodda z 19 VI 1933, wszystkie w skrzynce nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

CZĘŚĆ I

SKOK DO WODY



Doddowie przybywają do Hamburga

Rozdział 1

Drogi ucieczki

Rozmowa telefoniczna, która na zawsze miała zmienić życie rodziny Doddów z Chicago^[7], odbyła się w południe w czwartek 8 czerwca 1933 r., kiedy to William E. Dodd siedział właśnie za swoim biurkiem na Uniwersytecie Chicagowskim.

Dodd, aktualny dziekan wydziału nauk historycznych, był profesorem tegoż uniwersytetu od roku 1909. Cieszył się uznaniem w całym kraju z powodu publikacji dotyczących amerykańskiego Południa oraz biografii Woodrowa Wilsona. Miał 64 lata, był zadbany, miał 173 centymetry wzrostu, szaroniebieskie oczy i jasnobrązowe włosy. Choć jego spokojna twarz sprawiała niekiedy wrażenie surowej, w rzeczywistości był człowiekiem o żywym, ironicznym poczuciu humoru, które łatwo było rozniecić. Miał żonę Marthę, powszechnie znaną jako Mattie, oraz dwoje dzieci, każde w wieku ponad 20 lat. Jego córka, także o imieniu Martha, miała 24 lata, syn zaś – William junior, czyli Bill – 28.

Tworzyli rodzinę ze wszech miar szczęśliwą i zżytą. Nie byli bogaci, ale należeli niewątpliwie do dobrze sytuowanych, mimo zapaści gospodarczej dającej się wówczas odczuć w kraju. Rodzina zamieszkiwała w dużym domu przy Blackstone Avenue 5757 w chicagowskiej dzielnicy Hyde Park, kilka przecznic od uniwersytetu. Dodd posiadał również małą farmę w Round Hill w Wirginii^[8], której doglądał każdego lata. Według pomiarów geodezyjnych zajmowała powierzchnię „mniej więcej” 156,5 hektara. Tam właśnie Dodd, zagorzały jeffersoński demokrat, czuł się najbardziej u siebie, przechadzając się pośród swoich 21 jałówek rasy guernsey, 4 wałachów: Billa, Coleya, Mandy’ego i Księcia, ciągnika marki Farmall oraz konnych pługów Syracuse. Kawę przygotowywał sobie w puszcze po Maxwell House, na starym piecu opalanym drewnem. Żona nie podzielała jego sympatii do tego miejsca i czuła się więcej niż szczęśliwa, pozwalając mężowi spędzać samotnie czas na farmie, podczas gdy reszta rodziny pozostawała w Chicago. Dodd nadał farmie nazwę

Stoneleigh, ze względu na zalegające na niej kamienie, i mówił o niej tak, jak inni mężczyźni wspominają swoją pierwszą miłość. „Owoce są cudowne, niemal bez skazy, czerwone, wyraźnie soczyste, drzewa uginają się pod ciężarem słodkiego brzemienia”^[9] – zanotował pewnego pięknego wieczoru w okresie zbioru jablek. „Jakież to wszystko ma dla mnie powab”.

Choć na ogół Dodd nie posługiwał się banalnymi stwierdzeniami, ową rozmowę telefoniczną opisał jako „grom z jasnego nieba”^[10]. Tkwiła w tym jednakowoż pewna przesada. Przez ostatnie kilka tygodni jego przyjaciele wielokrotnie wspominali w rozmowach, że coś takiego może się zdarzyć. Mimo wszystko telefon zaskoczył i zaniepokoił Dodda.

Już od dłuższego czasu Dodd był niezadowolony ze swojej pozycji na uniwersytecie. Wprawdzie uwielbiał nauczać historii, jeszcze bardziej jednak kochał o niej pisać; przez wiele lat poświęcał się pracy nad kompletnym – w jego zamierzeniu – kompendium wiedzy o początkach amerykańskiego Południa, planując zamknięcie go w czterech tomach zatytułowanych *Powstanie i upadek dawnego Południa*. Wielokrotnie jednak przekonywał się, że postęp prac hamuje rutyna codziennych obowiązków zawodowych. Bliski ukończenia był dopiero tom pierwszy, a Dodd osiągnął już wiek, z którym wiązała się obawa, że treść pozostałych tomów zabierze ze sobą do grobu. Udało mu się wynegocjować dla siebie mniejszą ilość zajęć na wydziale, ale – jak to często bywa przy tego rodzaju nienaturalnych paktach – sprawy nie układały się tak, jak by sobie tego życzył. Zwolnienia pracowników i presja finansowa, odczuwalne na uniwersytecie ze względu na wielki kryzys, sprawiły, że pracował pod takim samym obciążeniem jak zawsze, zmuszony radzić sobie z uczelnianymi urzędnikami, przygotowując wykłady i stawiając czoła wciąż nowym żądaniom kończących naukę studentów. W liście do uniwersyteckiego Departamentu Infrastruktury, datowanym na 31 października 1932 roku, błagał, by jego gabinet był ogrzewany także w niedziele^[11], aby mógł choć przez jeden dzień w tygodniu oddawać się bez przeszkód pracy pisarskiej. W rozmowie z przyjacielem swoje położenie określił jako „żenujące”^[12].

Poczucie niezadowolenia Dodda wznagało jeszcze żywione przezeń przekonanie, że powinien był zająć na ścieżce kariery dalej, niż rzeczywiście zaszedł. Szybszy awans zawodowy uniemożliwiał mu fakt – skarżył się żonie – że nie urodził się jako członek klasy uprzywilejowanej, przez co musiał ciężko pracować na wszystko, co w życiu osiągnął, w przeciwieństwie do jego kolegów po fachu, którzy awansowali o wiele szybciej. Istotnie, do swojej życiowej pozycji dochodził żmudnie i z móżdżem. Dodd urodził się 21 października 1869 roku w maleńkiej osadzie Clayton w Karolinie Północnej, w domu swoich rodziców należących do niższej warstwy białej społeczności Południa, w której wciąż żywe było przywiązanie do klasowych konwenansów z czasów sprzed wojny secesyjnej. Jego ojciec, John D. Dodd, był prawie niepiśmiennym, ledwie utrzymującym się z roli farmerem, a matka, Evelyn Creech, pochodziła z nieco wyższej kasty społeczeństwa Karoliny

Północnej i uważała, że popełniła megalomanię. Para ta zajmowała się uprawą bawełny na skrawku ziemi ofiarowanym jej przez ojca Evelyn i ledwie wiązała koniec z końcem. Przez kilka lat po wojnie secesyjnej, kiedy to ilości produkowanej bawełny poszybowały w górę, zaś jej ceny w dół, dług zaciągany przez rodzinę w miejscowym sklepie regularnie narastał. Właścicielem owego magazynu był krewniak Evelyn, jeden z trzech najbardziej uprzywilejowanych mieszkańców Clayton – „twardzieli”^[13], jak nazywał ich Dodd, „handlarzy, arystokratycznych panów górujących nad swymi petentami”.

Dodd był jednym z siedmiorga dzieci; młodość spędził, obrabiając ojcowiznę. Choć považał pracę, nie chciał spędzić reszty życia na roli. Doszedł do wniosku, że jedynym sposobem, aby człowiek tak niskiego urodzenia jak on zdołał tego losu uniknąć, jest zdobycie wykształcenia. Nieustannie dążył w górę, z czasem skupiając się na nauce do tego stopnia, że koledzy zaczęli przezywać go „Mnichem Doddem”^[14]. W lutym 1891 roku wstąpił do College’u Mechanizacji Rolnictwa stanu Wirginia (przemianowanego później na Virginia Tech). Tu także odznaczał się powagą, trzeźwością umysłu i nieustannym skupieniem. Inni studenci pozwalali sobie na różne psoty^[15], na przykład pomalowanie należącej do rektora college’u krowy czy staczanie pojedynków, w których fingowano śmierć jednego z adwersarzy, aby nabrać nowicjuszy. Dodd oddawał się wyłącznie studiom. Licencjat uzyskał w roku 1895, a stopień magistra w 1897, w wieku 27 lat.

Dzięki zachęce jednego z czcigodnych wykładowców i pożyczce udzielonej przez życzliwego cioteczno go dziadka w czerwcu 1897 roku wyruszył do Niemiec, gdzie na uniwersytecie w Lipsku miał rozpocząć studia doktoranckie. Zabrał ze sobą rower. Dysertację zdecydował się poświęcić osobie Tomasza Jeffersona, mimo oczywistych trudności, jakie wiązały się z dostępnością XVIII-wiecznych dokumentów amerykańskich na terenie Niemiec. Dodd wykonał niezbędny zakres prac, odnajdując w archiwach Londynu i Berlina całkiem rzetelny materiał. Często podróżował, głównie na rowerze; coraz bardziej uderzała go panująca w Niemczech atmosfera militarizmu. Któregoś dnia jeden z jego ulubionych profesorów przeprowadził dyskusję nad następującą kwestią: „Jak bardzo byłyby bezradne Stany Zjednoczone, gdyby zostały zaatakowane przez wielką armię niemiecką?”^[16]. Cały ów prusacki militarizm bardzo niepokoił Dodda. Pisał: „Wokół mnie jest stanowczo zbyt dużo wojennego ducha”^[17].

Do Karoliny Północnej wrócił późną jesienią 1899 roku i po wielu miesiącach poszukiwań znalazł wreszcie posadę nauczyciela w College’u Randolph-Macon w Ashland w Wirginii^[18]. Odnowił także znajomość z młodą kobietą nazwiskiem Martha Johns, córką zamożnego ziemianina zamieszkałego nieopodal rodzinnej miejscowości Dodda. Znajomość przerodziła się w romans; para pobrała się w Wigilię 1901 roku.

Pracując w college’u, Dodd szybko wpadł w tarapaty. W roku 1902 w piśmie „Nation”

opublikował artykuł, w którym zaatakował skuteczną kampanię przeprowadzoną przez Wielki Obóz Konfederatów-Weteranów, mającą na celu wprowadzenie zakazu korzystania na terenie stanu Wirginia z podręcznika, który – zdaniem owych weteranów – obrażał honor Południa. Dodd zarzucał swoim adwersarzom, że według nich jedyna prawdziwa historiografia to ta, która utrzymuje, że Południe „miało całkowitą słuszość, dążąc do oderwania się od Unii”.

Reakcja była natychmiastowa. Pewien wpływowy prawnik działający z ramienia weteranów zainicjował kampanię w celu usunięcia Dodda z College'u Randolph-Macon, ale władze szkoły udzieliły Doddowi pełnego poparcia. Rok później Dodd ponownie zaatakował weteranów, tym razem w przemówieniu wygłoszonym do członków Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego, w którym potępił starania tych środowisk zmierzające do „wyrzucenia ze szkół wszelkich książek, które nie pasują do ich standardów lokalnego patriotyzmu”. Twierdził stanowczo, że „człowiek silny i uczciwy żadną miarą nie może w tej sytuacji milczeć”.

Reputacja Dodda jako historyka była coraz lepsza; powiększyła się też jego rodzina. W roku 1905 urodził mu się syn, w 1908 – córka. Zdając sobie sprawę, że w tej sytuacji większe wynagrodzenie byłoby bardzo przydatne oraz że presja ze strony jego wrogów Południowców raczej nie osłabnie, zgłosił swoją kandydaturę do obsadzenia wakatu na Uniwersytecie Chicagowskim. Pracę dostał. W mroźnym styczniu 1909 roku, w wieku 39 lat, wyruszył z rodziną do Chicago, gdzie miał pozostać przez całe najbliższe ćwierćwiecze. W październiku 1912 roku^[19], czując w sobie zew przodków oraz potrzebę uwiarygodnienia się jako prawdziwego jeffersońskiego demokracji, Dodd zakupił farmę. Wyczerpująca praca na roli, która była dlań tak dotkliwa w dzieciństwie, teraz stała się zarówno uzdrawiającą duszę rozrywką, jak i romantycznym nawiązaniem do minionych epok w dziejach Ameryki.

Dodd odkrył też w sobie nieprzemijające zainteresowanie życiem politycznym^[20], które przerodziło się w zaangażowanie zupełnie serio w momencie, gdy w sierpniu 1916 roku znalazł się w Gabinetie Ovalnym Białego Domu z prezydentem Woodrowem Wilsonem. Spotkanie to, jak zaświadcza jeden z biografów, „dogłębnie zmieniło jego życie”.

Wcześniej Dodd bardzo poważnie niepokoił się oznakami świadczącymi o tym, że Ameryka dryfuje w kierunku interwencji w toczącej się podówczas w Europie I wojnie światowej. Doświadczenia wyniesione z pobytu w Lipsku nie pozwalały mu żywić najmniejszych wątpliwości, iż to Niemcy były odpowiedzialne za wybuch wojny, że wywołały ją żądania junkrów – przemysłowców i arystokratów – przypominających mu arystokrację Południa sprzed wojny secesyjnej. Podobną arogancją pewność siebie dostrzegał teraz u części amerykańskiej elity przemysłowej i wojskowej. Kiedy jeden z generałów próbował zaangażować władze Uniwersytetu Chicagowskiego w ogólnonarodową kampanię zagrzewającą kraj do wojny, Dodd podniósł bunt i udał się ze skargą bezpośrednio do naczelnego dowódcy sił zbrojnych.

Dodd pragnął, aby Wilson poświęcił mu zaledwie 10 minut, ale uzyskał znacznie więcej. Konstatował później, że jest tak oczarowany prezydentem, jakby wypił magiczny napój z jakiejś bajki. Doszedł nawet do wniosku, że to Wilson ma rację, orędując za amerykańską interwencją w wojnę światową. Dla Dodda Wilson stanowił współczesną inkarnację Jeffersona. Przez następne siedem lat przyjaźnili się ze sobą; Dodd napisał biografię Wilsona. Śmierć prezydenta 3 lutego 1924 roku przeżył bardzo głęboko.

Po pewnym czasie uznał Roosevelta za postać rangi Wilsona i w 1932 roku zaangażował się całkowicie w jego kampanię, przemawiając i pisząc na jego rzecz, ilekroć nadarzyła się po temu sposobność. Być może Dodd żywił nadzieję na wejście do ścisłego grona współpracowników Roosevelta, szybko jednak doznał rozczarowania, odesłany do pełnienia dawnych obowiązków uczelnianych, które przyjmował z rosnącym brakiem zadowolenia.

Miał teraz lat 64; pragnął pozostawić po sobie ślad w postaci dzieła traktującego o historii dawnego amerykańskiego Południa, mimo że cały wszechświat wydawał się zwierać szyki przeciwko temu przedsięwzięciu, włącznie z władzami uniwersytetu zakazującymi ogrzewania budynków w niedziele.

Coraz poważniej zastanawiał się nad porzuceniem pracy uniwersyteckiej na rzecz stanowiska, które umożliwiłoby mu swobodną pracę pisarską, „zanim będzie za późno”^[21]. Przyszła mu do głowy myśl, że idealna byłaby mało wymagająca praca dla Departamentu Stanu, na przykład na stanowisku ambasadora w Brukseli lub Hadze. Uważał się za człowieka znaczącego na tyle, by jego kandydatura została poważnie wzięta pod uwagę. Niejednokrotnie przejawiał jednak skłonność do przeceniania swojego wpływu na bieżącą politykę wewnętrzną. Wcześniej niejednokrotnie udzielał Rooseveltowi rad na piśmie w sprawach gospodarczych i politycznych, zarówno przed, jak i tuż po jego zwycięstwie. Dlatego niewątpliwie poczuł się dotknięty, gdy wkrótce po wyborach otrzymał z Białego Domu oficjalne pismo stwierdzające, że choć intencją prezydenta jest, aby na każdy przychodzący doń list odpowiadano szybko, to jednak nie jest on w stanie robić tego osobiście i na czas, dlatego też zwrócił się z prośbą do swojej sekretarki, by uczyniła to za niego.

A jednak Dodd miał kilku naprawdę dobrych przyjaciół w bezpośrednim otoczeniu Roosevelta, w tym nowego sekretarza ds. spraw handlu Daniela Ropera. Dzieci Dodda były dla Ropera niczym bratanek i bratanica, na tyle bliskie, że Dodd nie miał żadnych skrupułów, wysyłając do niego jako pośrednika własnego syna, z pytaniem, czy nowa administracja miałaby coś przeciwko mianowaniu Dodda ambasadorem w Belgii lub Holandii. „Na tych stanowiskach rząd musi kogoś mieć”^[22], ale praca nie jest wymagająca” – powiedział synowi Dodd. Wyznał, że kieruje nim przede wszystkim chęć ukończenia *Dawnego Południa*. „Nie pragnę od Roosevelta stanowiska dla stanowiska, bardzo się jedynie lękam, że dzieło, nad którym pracuję całe życie, nie zostanie zrealizowane”.

Krótko mówiąc, Dodd chciał dla siebie synekury, pracy niezbyt ciężkiej, zapewniającej jednak pozycję tudzież dochód oraz – co najważniejsze – pozostawiającej mu mnóstwo czasu na pisanie; i to mimo faktu, że służba dyplomatyczna niespecjalnie odpowiadała jego charakterowi. „Jeśli chodzi o dyplomację na najwyższych szczeblach (Londyn, Paryż, Berlin), zupełnie się nie nadaję” – pisał do żony na początku 1933 roku^[23]. „Przygnębia mnie, że aż tyle musiałoby ode mnie zależeć. Ja po prostu nie jestem przebiegłym dwulicowym typem, który z konieczności »okłamuje zagranicę dla dobra kraju«. Gdybym nim był, mógłbym udać się do Berlina i zgiąć kolano przed Hitlerem – a także przypomnieć sobie niemiecki”. Ale – dodawał – „po co tracić czas na pisanie o kimś takim? Któż chciałby mieszkać w Berlinie przez najbliższe cztery lata?”.

Czy to na skutek rozmowy syna z Roperem, czy też oddziaływania innych nieznanych sił, rychło kandydaturę Dodda zaczęto poważnie brać pod uwagę. W dniu 15 marca 1933 roku, prosto ze swej farmy w Wirginii, wybrał się Dodd do Waszyngtonu na spotkanie z nowym sekretarzem stanu w administracji Roosevelta, Cordellem Hullem, którego wielokrotnie wcześniej widywał. Hull był wysoki i srebrzystowłosy^[24], miał dołek w podbródku i silnie zarysowane szczęki. Na pozór stanowił ucieleśnienie wszystkich cech, które powinny charakteryzować sekretarza stanu, jednakże ci, którzy znali go bliżej, wiedzieli, że rozniewany przejawiał niezbyt dyplomatyczną skłonność do wylewania na siebie potoków przekleństw oraz że cierpiał na wadę wymowy polegającą na zmienianiu dźwięku „r” w „l”, niczym Elmer Fudd z kreskówki. Z cechy tej Roosevelt od czasu do czasu kpił sobie na osobności – przedrzeźniał Hulla, mówiąc „tłaktaty w zaklesie handlu”. Jak zwykle Hull miał w kieszeni koszuli cztery albo pięć czerwonych ołówków, swoje ulubione narzędzie władzy państwowej. W rozmowie podniósł możliwość mianowania Dodda na stanowisko w Holandii lub Belgii, czyli dokładnie to, na co Dodd liczył. Nagle jednak, zmuszony do wyobrażenia sobie zwykłej codziennej rutyny wiążącej się z tego rodzaju zajęciem, Dodd wykonał unik. „Po dogłębnym rozważeniu sytuacji” – zapisał w swoim małym kieszonkowym notatniku – „powiedziałem Hullowi, że nie mogę przyjąć tej pracy”^[25].

Ale jego nazwisko nadal pozostawało w obiegu.

Teraz, w ów czerwcowy czwartek, rozległ się dzwonek telefonu. Podniósłszy słuchawkę, Dodd usłyszał głos, który rozpoznał natychmiast.

^[7] Dodd, *Dziennik*, s. 3.

^[8] „Narzędzia rolnicze”, skrzynka nr 59, dokumentacja W. E. Dodda.

^[9] William E. Dodd do Marthy Dodd, 15 X 1926, skrzynka nr 2, dokumentacja Marthy Dodd.

^[10] Dodd do Westmorelanda Davisa, 22 VI 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[11] z listu Dodda do Lestera S. Riesa, 31 X 1932, skrzynka nr 39, dokumentacja W. E. Dodda.

[12] list Dodda do Charlesa E. Merriama, 27 VIII 1932, skrzynka nr 39, dokumentacja W. E. Dodda.

[13] Bailey, s. 6.

[14] Dallek, s. 6.

[15] tamże, s. 9.

[16] „Brief Note”, s. 6, skrzynka nr 58, dokumentacja W. E. Dodda.

[17] tamże, s. 7.

[18] Bailey, s. 35–36; Dallek, s. 31–32.

[19] Dallek, s. 70; list Dodda do pani Dodd, 26 III 1930, skrzynka nr 2, dokumentacja Marthy Dodd.

W tym liście do żony, powstałym pewnego pięknego wieczoru podczas pobytu na farmie, Dodd pisał: „Siedzę przy stole w jadalni w roboczym ubraniu, starym czerwonym swetrze i w kapciach – w kominku pali się wielkie dębowe polano, węgle s. głębokie na trzy cale, wszystko otacza biały popiół. Stare żeliwne pojemniki na drewno (»ogniste psy«, jak nazywaliśmy je w dzieciństwie) składają swe solidne głowy w słusznej kontemplacji własnej oddanej służby – stary kominek z czerwonej cegły jest tak dystygnowany jak Jerzy Waszyngton i cały XVIII wiek, kiedy ludzie mieli jeszcze czas być dystygnowanymi”.

[20] Bailey, s. 97–99, Dallek, s. 88–89.

[21] Dodd w liście do Williama Dodda juniora, 9 XII 1932, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[22] tamże.

[23] Dodd w liście do pani Dodd, 25 III 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[24] Messersmith „Cordell Hull i moje osobiste z nim relacje”, s. 7, niepublikowany pamiętnik, dokumentacja Messersmitha.

Messersmith pisał: „Kiedy słyszałem tak mocne wyrazy od mężczyzny o wyglądzie świętego, który pod wieloma względami był przecież święty, byłem niewyobrażalnie zdumiony”. Zob. także Graebner, s. 193; Weil, s. 76–77 i oczywiście własne pamiętniki Hulla.

Oto jeden z zapamiętanych aforyzmów Hulla dotyczących Hitlera i jego sprzymierzeńców w okresie wojny: „Kiedy bierzesz udział w zawodach w sikaniu, w których uczestniczy też skunks, upewnij się, że masz dużo sików”. Weil, s. 77.

[25] Dodd, dziennik kieszonkowy, 2 III 1933, skrzynka 58, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 2

Ten wakat w Berlinie

Nikt nie chciał tej pracy^[26]. To, co zrazu wydawało się najłatwiejszym zadaniem stojącym przed Franklinem D. Rooseveltem, nowo wybranym prezydentem, w czerwcu 1933 roku stało się jednym z najbardziej palących problemów. Jeśli chodzi o placówki dyplomatyczne, Berlin powinien być przecież traktowany jako gratka – nie był to z pewnością Paryż ani Londyn, ale wciąż jedna z wielkich stolic europejskich, centrum kraju, w których pod przywództwem świeżo mianowanego kanclerza, Adolfa Hitlera, zachodziły rewolucyjne przemiany. W zależności od punktu widzenia Niemcy albo doświadczały właśnie odrodzenia, albo wkraczały w mroczną epokę zdziczenia. Po objęciu władzy przez Hitlera krajem wstrząsały spazmy brutalnej, inspirowanej przez reżim przemocy. Brunatne paramilitarne bojówki hitlerowskie, zwane Sturmabteilung, czyli SA – Oddziały Szturmowe – szalały. Aresztowały, biły, a w niektórych przypadkach mordowały komunistów, socjalistów i Żydów. W piwnicach, hangarach i innych budynkach organizowały prowizoryczne więzienia i miejsca tortur. W samym Berlinie istniało 50 tych tak zwanych „bunkrów”. W „areszcie przewencyjnym”, *Schutzhaft* – coś za zabawny eufemizm – osadzono dziesiątki tysięcy ludzi. Szacuje się, że zmarło tam od 500 do 700 więźniów; kolejnych „podtapiano i wieszano”, jak czytamy w zeznaniach złożonych przed policją. Szczególnie złą sławą okryte było jedno z więzień w okolicach lotniska Tempelhof: nosiło nazwę Columbia House – nie należy go mylić z wymuskany, nowoczesnym, nowym budynkiem w samym sercu Berlina, zwanym Columbus House. Polityczny wstrząs wywołały słowa jednego z przywódców żydowskich, rabina Stephena S. Wise’a z Nowego Jorku, który powiedział do przyjaciela: „Granice cywilizacji zostały przekroczone”.

Pierwszą próbę obsadzenia placówki berlińskiej podjął Roosevelt 9 marca 1933 roku, w niecały tydzień po objęciu urzędu, dokładnie w momencie, gdy szalejąca w Niemczech brutalna przemoc

osiągnęła punkt kulminacyjny. Adresatem jego oferty został James M. Cox, który w roku 1920 razem z Rooseveltem startował w wyborach prezydenckich jako kandydat na wiceprezydenta.

W liście pełnym pochlebstw Roosevelt pisał: „Nie tylko ze względu na mój afekt do Ciebie, lecz także dlatego, że moim zdaniem jak nikt inny nadajesz się do pełnienia tej kluczowej roli, bardzo pragnę zaproponować Senatowi Twoje nazwisko jako amerykańskiego ambasadora w Niemczech^[27]. Mam głęboką nadzieję, że przyjmiesz tę propozycję po przemyśleniu jej i konsultacji z Twoją uroczą małżonką, która – nawiasem mówiąc – byłaby idealną ambasadorową. Proszę, wyślij mi telegram ze słowem »tak«”.

Cox powiedział „nie”^[28]: obowiązki związane z jego różnymi firmami, do których należy zaliczyć kilka tytułów prasowych, zmusiły go do odmowy. Nie wspomniał nic o przemocy szalejącej w Niemczech.

Roosevelt odłożył tę sprawę na bok, gdyż sytuacja gospodarcza kraju gwałtownie się pogorszyła; szalał wielki kryzys, który przed nadejściem wiosny posłał na zieloną trawkę jedną trzecią siły roboczej zatrudnionej poza rolnictwem i spowodował spadek PKB o połowę^[29]. Problem z poselstwem przyciągnął uwagę prezydenta dopiero jakiś miesiąc później; Roosevelt zaproponował tę posadę Newtonowi Bakerowi, byłemu sekretarzowi wojny w administracji Woodrowa Wilsona, obecnie partnerowi w jednej z firm prawniczych w Cleveland. Baker odmówił. Podobnie uczynił trzeci kandydat, Owen D. Young, prominentny biznesmen. W dalszej kolejności Roosevelt spróbował więc zwrócić się do Edwarda J. Flynna, kluczowej postaci w Partii Demokratycznej i jednego ze swoich najważniejszych sprzymierzeńców. Flynn przedyskutował sprawę z żoną: „Doszliśmy wspólnie do wniosku, że ze względu na nasze małe dzieci objęcie przez nas tej placówki jest niemożliwe”.

Pewnego razu Roosevelt zażartował w obecności jednego z członków rodziny Warburgów: „Wiesz co, Jimmy, temu Hitlerkowi dobrze by zrobiło, gdybym do Berlina jako ambasadora wysłał jakiegos Żyda^[30]. Co byś powiedział na tę robotę?”.

Teraz, wraz z początkiem czerwca, presja terminu była coraz silniejsza. Roosevelt był całkowicie pochłonięty walką o przeprowadzenie swojej ustawy, zwanej National Industrial Recovery Act^[31], kluczowej dla koncepcji New Deal. Musiał stawiać czoła zacieklej opozycji ze strony zwartej grupy potężnych przedstawicieli republikanów. Na początku tego miesiąca, kilka dni przed rozpoczynającą się letnią przerwą w pracy Kongresu, uchwalenie ustawy wydawało się prawie przesądzone, wciąż jednak atakowali ją republikanie, a także niektórzy demokraci, wnosząc całe serie poprawek i zmuszając Senat do maratonów posiedzeń. Roosevelt obawiał się, że jeśli przeciąganie debaty potrwa dłużej, ustawa przepadnie albo też zostanie niebezpiecznie zmieniona, ponieważ ustawodawcy, myślący już tylko o wakacjach i wyjeździe z Waszyngtonu, zaczną się

denerwować. Rozdrażnienie narastało we wszystkich. Fala późnowiosennych upałów przyniosła rekordowe temperatury na terenie całego kraju; ponad sto osób przypłaciło je życiem. Waszyngton dyszał skwarem, ludzie cuchnęli. Wstępniak na trzy szpalty, zamieszczony na pierwszej stronie „New York Timesa”, obwieszczał: „Roosevelt redukuje swój program, aby przyspieszyć zakończenie sesji parlamentu^[32]. Jego polityka jest zagrożona”.

Tu właśnie tkwiło podłoże konfliktu: rolę Kongresu było zatwierdzanie i finansowanie działalności nowych ambasadorów. Im szybciej Kongres chciał rozpocząć letnie wakacje, tym bardziej rosła odczuwana przez Roosevelta presja wyboru nowego przedstawiciela w Berlinie. W ten sposób prezydent został nagle zmuszony do wzięcia pod uwagę kandydatur spoza zwykłych kręgów^[33], z których rekrutowano kadry, w tym co najmniej trzech przewodniczących college'ów, jak również żarliwego pacyfisty Harry'ego Emersona Fosdicka, pastora baptystów z kościoła Riverside Church na Manhattanie. Jednak żaden z nich nie wydawał się idealny; żadnemu też nie zaproponowano stanowiska.

W środę 7 czerwca, dosłownie na parę dni przed wakacyjną przerwą w obradach Kongresu^[34], Roosevelt spotkał się z kilkoma najbliższymi doradcami; wspomnieli im o swojej frustracji związanej z niemożnością mianowania nowego ambasadora. Jednym z owych doradców był sekretarz do spraw handlu Roper, którego Roosevelt wtedy, a także i później, nazywał „wujkiem Danem”.

Roper zastanawiał się przez chwilę i wyrzucił z siebie nowe nazwisko, należące do jego starego znajomego: „A może William E. Dodd?”.

„Nieżyły pomysł” – powiedział Roosevelt. To, czy rzeczywiście tak w owej chwili sądził, było tylko w sferze domysłów. Zawsze uprzejmy, Roosevelt odznaczał się skłonnością do składania obietnic, których niekoniecznie dotrzymywał.

Roosevelt rzekł: „Zastanowię się nad tym”.

O Doddzie można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był typowym kandydatem na stanowisko w dyplomacji. Nie był bogaty. Nie był wpływowy politycznie. Nie należał do grona przyjaciół Roosevelta. Mówił jednak po niemiecku i miał opinię człowieka, który dobrze zna Niemcy. Jedyne problem stanowiła jego dawna zażyłość z Woodrowem Wilsonem, który żywił przekonanie, iż należy angażować kraj w to, co dzieje się na światowej scenie politycznej. Poglądy te były stanowczo nie do przyjęcia dla coraz liczniejszej grupy Amerykanów upierających się, że Stany Zjednoczone powinny unikać wplątywania się w sprawy obcych krajów. Owi „izolacjoniści”, którym przewodzili William Borah ze stanu Idaho oraz Hiram Johnson z Kalifornii, stawali się coraz bardziej hałaśliwą i wpływową grupą. Badania wykazały, że 95 procent Amerykanów nie chciało uczestnictwa Stanów Zjednoczonych w jakichkolwiek toczonych za granicą wojnach^[35]. Chociaż sam Roosevelt opowiadał się za zaangażowaniem na scenie międzynarodowej, swoje poglądy na ten

temat zachowywał dla siebie, tak aby nie utrudniać sobie porządkowania spraw wewnątrz kraju. Dodd jednakowoż nie wydawał się człowiekiem, którego podniecałyby idee izolacjonistów. Był trzeźwo myślącym historykiem, a jego bazujące na osobistym doświadczeniu rozumienie sytuacji w Niemczech miało oczywisty walor.

Co więcej, Berlin nie był wtedy jeszcze placówką specjalnego znaczenia, którą miał się stać w niespełna rok. W owym czasie utrzymywało się powszechne przekonanie, że rząd Hitlera nie przetrwa. Siła militarna Niemiec była ograniczona – ich armia, reichswera, liczyła tylko sto tysięcy żołnierzy, co nie mogło się równać z wojskową potęgą sąsiedniej Francji, nie mówiąc już o połączonych siłach Francji, Anglii, Polski i Związku Sowieckiego. Sam Hitler zaczynał sprawiać wrażenie bardziej umiarkowanego gracza na scenie politycznej, niż to przepowiadano, jeśli weźmie się pod uwagę przemoc, jaką targala Niemcami na początku tegoż roku. Dnia 10 maja 1933 roku członkowie partii nazistowskiej na obszarze całego kraju spalili ogromne stosy niepożądanych książek – dzieł Einsteina, Freuda, braci Mannów i wielu innych. Jednak tydzień później Hitler oświadczył, że jest oddany sprawie pokoju, i posunął się nawet do złożenia zobowiązania, że rozbroi się całkowicie, jeśli inne kraje uczynią to samo. Świat odetchnął z ulgą. Wobec całego szeregu poważniejszych wyzwań, przed którymi stał Roosevelt – globalnego kryzysu gospodarczego, kolejnego roku wyniszczającej kraj suszy – Niemcy wydawały się co najwyżej powodem do irytacji. Roosevelt i sekretarz stanu Hull za najpilniejszy do rozwiązania problem niemiecki uważali uporanie się z długiem o wartości 1,2 miliarda dolarów, jaki Niemcy zaciągnęły u amerykańskich wierzycieli, a którego to zobowiązania reżim hitlerowski coraz wyraźniej nie uznawał.

Zdawało się, że nikt nie zastanawia się nad tym, jaki człowiek potrafiłby skutecznie stawiać czoła rządowi Hitlera. Sekretarz Roper uważał, „że Dodd biele poradzi sobie z obowiązkami dyplomaty, a jeśli podczas spotkań napięcie zacznie wzrastać, rozładuje atmosferę cytatem z Jeffersona”^[36].

Roosevelt potraktował sugestię Ropera poważnie.

Czas uciekał, a spraw niecierpiących zwłoki było znacznie więcej. Kraj coraz bardziej pograżał się w gospodarczej beznadziei.

Nazajutrz, 8 czerwca, Roosevelt zamówił rozmowę zamiejscową z Chicago.

Wyłożył sprawę krótko. Powiedział Doddowi: „Chciałbym wiedzieć, czy wyświadczy pan rządowi konkretną przysługę. Chcę, żeby pojechał pan do Niemiec w roli ambasadora”^[37].

I dodał: „Potrzebny mi w Niemczech amerykański liberał jako znak przestrogi”.

Było gorąco w Gabinetcie Ovalnym, gorąco było też w biurze Dodda. Temperatura w Chicago oscylowała wokół 35 stopni Celsjusza.

Dodd odpowiedział Rooseveltowi, że musi mieć czas do namysłu i porozmawiać z żoną.

Roosevelt dał mu dwie godziny.

Najpierw Dodd odbył rozmowy z władzami uniwersytetu – namawiano go, aby propozycję przyjął. Następnie udał się pieszo do domu, szybkim krokiem przedzierał się przez coraz większy upał.

Miał ogromne wątpliwości. Priorytetem była dlań przecież książka *Daune Południe*. Służąc jako ambasador amerykański w hitlerowskich Niemczech, nie tylko nie miałby na pisanie tyle czasu, ile by chciał, lecz także prawdopodobnie miałby go o wiele mniej niż podczas pełnienia obowiązków na uczelni.

Jego żona, Mattie, rozumiała sytuację, ale wiedziała również, iż Dodd odczuwa silną potrzebę bycia docenionym oraz że we własnych oczach nie osiągnął tyle, ile powinien był osiągnąć^[38]. Dodd z kolei czuł, że jest coś winien żonie. Przez wszystkie te lata stała zawsze przy nim, nie otrzymując za to żadnej nagrody. „Ów rodzaj mentalności, która mnie cechuje, sprawia, że nie ma dla mnie żadnego odpowiedniego miejsca” – napisał w liście do żony, kiedy na początku roku przebywał na farmie^[39] – „czego bardzo żałuję przez wzgląd na Ciebie i na nasze dzieci”. W tym samym liście pisał dalej: „Wiem, że dla tak szczerzej i oddanej żony musi być rzeczą bolesną posiadać męża niezdatnego do niczego, zwłaszcza w krytycznym momencie dziejowym, który on od tak dawna przewidywał, męża, który nie potrafi wspiąć się na jakieś wyższe stanowisko, by zebrać choć część owoców, jakie powinna wydać mozolna praca badawcza, której poświęcił życie. Tak się składa, że właśnie to nieszczęście stało się Twoim udziałem”.

Po rundzie bardzo żywej dyskusji i wnikliwej małżeńskiej introspekcji Dodd i jego żona zgodzili się, że powinien przyjąć ofertę Roosevelta. Pewnym ułatwieniem dla podjęcia tej decyzji stało się ustępstwo ze strony prezydenta, iż gdyby Uniwersytet Chicagowski „nalegał”, Dodd miałby prawo wrócić przed upływem roku. Teraz jednak Roosevelt oświadczył, że potrzebuje go w Berlinie.

O 14.30, czyli spóźniony o pół godziny, chwilowo wolny od wątpliwości, Dodd zatelefonował do Białego Domu i poinformował sekretarkę Roosevelta, że zgadza się przyjąć propozycję pracy. Dwa dni później Roosevelt przedłożył nominację Dodda Senatowi, a ten zatwierdził ją jeszcze tego samego dnia, nie żądając ani obecności Dodda, ani też niekończących się przesłuchań, które później stały się zwykłą praktyką przy kluczowych nominacjach politycznych. Powołanie nowego ambasadora wywołało niewiele komentarzy prasowych. „New York Times” umieścił krótką notkę z tą informacją na dwunastej stronie swojego niedzielnego wydania z 11 czerwca.

Sekretarz Hull, zmierzający w tym czasie na ważną konferencję ekonomiczną do Londynu, w ogóle nie zabrał w tej sprawie głosu. Był wprawdzie obecny w momencie, gdy po raz pierwszy nazwisko Dodda pojawiło się w obiegu, jednak i tak nie miałby zapewne wiele do powiedzenia, ponieważ jedną z charakterystycznych cech prezydentury Roosevelta było bezpośrednie mianowanie różnych osób na stanowiska rządowe bez pytania o zdanie ich przełożonych^[40], która to cecha niezmiennie Hulla irytowała. Później Hull twierdził jednak, że nie miał co do mianowania Dodda żadnych obiekcji, z wyjątkiem uwag dotyczących jego rzekomej skłonności do „przekraczania

wszelkich barier w nadmiernym entuzjazmie, zapalczowości oraz zdolności do nagłego zmieniania tematu, niczym nasz przyjaciel William Jennings Bryan^[41]. Stąd moja lekka powściągliwość wobec faktu wysłania dobrego znajomego, zdolnego i inteligentnego niewątpliwie, w miejsce tak niepewne i grząskie jak Berlin wtedy i teraz”.

Edward Flynn, jeden z kandydatów, którzy wcześniej odrzucili propozycję objęcia tego stanowiska, twierdził później, że Roosevelt zatelefonował do Dodda przez pomyłkę, że miał zamiar zaproponować poselstwo byłemu profesorowi prawa na Yale, Walterowi F. Doddowi – co było nieprawdą. Ta plotka sprawiła, że do Dodda przylgnęło przezwisko „Książka Telefoniczna”^[42].

Następnym krokiem Dodda było zawiadomienie dwójki swoich dorosłych dzieci, Marthy i Billa, i zaproponowanie im największej życiowej przygody. W przygodzie tej widział Dodd także ostatnią okazję do połączenia rodziny. Książka *Daune Południe* wciąż była dlań ważna, lecz jeszcze mocniej kochał swój dom i swoich bliskich, i bardzo ich potrzebował. Pewnego zimnego grudniowego wieczoru tuż przed Bożym Narodzeniem, będąc sam na farmie – żona i córka przebywały w Paryżu, gdzie Martha studiowała przez rok, Bill również dokądś wyjechał – Dodd zasiadł do pisania listu do córki. Był w posępnym nastroju. Fakt, że miał już dwoje dorosłych dzieci, wydał mu się niedorzecznym; wkrótce, uświadomił sobie, odejdą prowadzić własne życie, a ich więź z nim samym oraz z ich matką naturalną koleją rzeczy stawać się będzie coraz słabsza. Wydało mu się, że jego własne życie dobiegło prawie końca, a przecież do napisania całości *Daunego Południa* wciąż była daleka droga.

Pisał: „Moje drogie dziecko, mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona terminem, jakim się do Ciebie zwracam^[43]. Jesteś dla mnie drogocenna, Twoje szczęście w tym niespokojnym świecie leży mi na sercu, nigdy nie przestanę myśleć o Tobie jako o radosnym dorastającym dziecku; wiem jednak, ile masz lat, i podziwiam twoją mądrość oraz dojrzałość. Nie mam już małego dziecka”. Dumał nad „drogą, która jest przed nami. Twoja dopiero rozpoczyna bieg, moja jest już tak długa, że zaczynam liczyć cienie, które się na nią kładą, przyjaciół, którzy odeszli, innych przyjaciół, cały czas niespokojnych o swoje stanowiska! Jest maj, a potem nagle prawie grudzień”. Dom, pisał, „był dla mnie radością życia”. Lecz obecnie wszyscy rozbiegli się w cztery strony świata. „Nie mogę ścierpieć myśli, że nasze życie zmierza teraz w różnych kierunkach – i że zostało tak niewiele lat”.

Dzięki propozycji Roosevelta rodziła się szansa, by wszyscy członkowie rodziny byli znów razem, choćby tylko przez pewien czas.

[26] Noakes i Pridham, s. 180; Rürup, s. 84–86; Wheaton, s. 428; Ladd, s. 123; Evans, *Power*, w. 11; Stackelberg i Winkle, s. 132; Wise, *Servant*, s. 177.

[27] Roosevelt, *Listy prywatne*, s. 337–338.

[28] tamże, s. 338.

[29] Dallek, s. 187–189; Flynn, s. 148.

[30] Warburg, s. 124.

[31] Ustawą na rzecz Uzdrawienia Przemysłu Krajowego (przyp. tłum.).

[32] „New York Times”, 8 VI 1933.

[33] Dallek, s. 187.

[34] tamże, s. 189.

[35] Herzstein, s. 77.

[36] Roper, s. 335.

[37] Dodd, *Dziennik*, s. 3.

[38] tamże, s. 3.

[39] list pani Dodd do Williama Dodda juniora, 19 IV 1933, skrzynka nr 1, dokumentacja Marthy Dodd.

[40] list Dodda do pani Dodd, 25 III 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[41] Messersmith, „Cordell Hull i moje osobiste z nim relacje”, s. 17, niepublikowany pamiętnik, dokumentacja Messersmitha.

Messersmith pisał: „Jako sekretarz stanu powinien być mieć faktycznie decydujący głos w ustalaniu, kto obejmie zarówno najważniejsze, jak i mniej ważne stanowiska w kierownictwie misji dyplomatycznej”. Tymczasem, pisał Messersmith dalej, Hull poddał się i pozostawił Rooseveltowi wolną rękę. „Niektórzy z nas mieli zawsze wrażenie, że pewnych najbardziej niefortunnych nominacji, do jakich doszło za kadencji pana Hulla jako sekretarza stanu, można byłoby uniknąć, gdyby pan Hull zdecydował się sam bezpośrednio interweniować w tych sprawach”.

[42] Hull *Pamiętniki*, s. 182.

[43] Flynn, s. 148. Zob. także list Marthy Dodd do Flynn, 17 X 1947; „New York Times” z 2 XI 1947; „New York Herald Tribune” z 9 XI 1947, wszystko w skrzynce nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

Rozdział 3

Wybór

Biorąc pod uwagę kryzys gospodarczy w kraju, propozycja ta wymagała zastanowienia. Martha i Bill szczęśliwie mieli pracę – Martha była młodszym redaktorem zajmującym się recenzjami literackimi w „Chicago Tribune”, Bill nauczał historii i był doktorantem – choć jak dotąd przebieg jego kariery nie zachwycił, co niepokoiło jego ojca i wprawiało go w konsternację. W licznych listach pisanych do żony w kwietniu 1933 roku Dodd wylewał swoje żale dotyczące Billa. „William jest świetnym nauczycielem, ale boi się wszelkiej ciężkiej pracy”^[44]. Nazbyt łatwo rozprościć jego uwagę, uważał Dodd, szczególnie wtedy, gdy zobaczy jakiś samochód. „Gdybyśmy mieli w Chicago samochód, przeszkadzałby mu tylko w skupieniu się na dalszych studiach”^[45] – dodawał. „Istnienie dowolnego pojazdu wyposażonego w koła jest dlań pokusą nie do odparcia”.

Marcie powodziło się w pracy znacznie lepiej, ku zadowoleniu ojca. Martwił go jednak tumult w jej życiu osobistym. Choć Dodd kochał mocno oboje dzieci, jednak powodem do dumy była dlań Martha (według zapisków rodzinnych pierwsze wypowiedziane przez nią słowo brzmiało „tatusz”)^[46]. Miała 160 centymetrów wzrostu, blond włosy, niebieskie oczy i szeroki uśmiech. Była istotą o żywej wyobraźni, skłonną do romantyzmu, oraz zalotnym usposobieniu, przez co rozpaliała namiętność wielu mężczyzn, zarówno młodych, jak i nieco starszych.

W kwietniu 1930 roku, w wieku zaledwie 21 lat, zaręczyła się z profesorem anglistyki na Uniwersytecie Stanowym Ohio nazwiskiem Royall Henderson Snow^[47]. W czerwcu zaręczyny zostały zerwane. Martha wdała się w krótki romans z powieściopisarzem W. L. Riverem, który kilka lat wcześniej opublikował książkę *Death of a Young Man*. Człowiek ten zwracał się do niej per Motsie i ślubiwał jej miłość w listach składających się z niekończących się zdań; jedno z nich

zajmowało 74 wiersze bez interlinii. W owym czasie nazywano to prozą eksperymentalną. „Niczego nie chcę od życia prócz Ciebie”^[48] – pisał. – „Chcę być z Tobą na zawsze, pracować i pisać dla Ciebie, żyć tam, gdzie Ty zechcesz żyć, nie kochać nikogo i niczego poza Tobą, kochać Cię namiętnością ziemską, ale także ubogaconą o elementy ponadziemskie, wieczne, kochać Cię miłością duchową...”

Jego życzenia nie zostały jednak spełnione. Martha zakochała się w innym mężczyźnie, mieszkańcu Chicago nazwiskiem Burnham, który pisał jej o „pocałunkach miękkich i lekkich jak pieszczota płatków kwiatu”^[49]. Zaręczyli się. Tym razem Martha wydawała się gotowa dotrwać do końca. Jednakże pewnego wieczoru wszystkie jej plany związane ze zbliżającym się małżeństwem rozpadły się. Otóż jej rodzice zaprosili sporą gromadkę gości do domu rodzinnego przy Blackstone Avenue. Był wśród nich także George Bassett Roberts, weteran I wojny światowej, obecnie wiceprezes jednego z banków w Nowym Jorku. Przyjaciele nazywali go po prostu Bassett. Zamieszkiwał z rodzicami w Larchmont, przedmieściu na północ od centrum. Był wysoki i przystojny, miał wydatne usta. Pewien publicysta, pisząc o jego awansie, zauważył z podziwem: „Jego twarz jest gładko wygolona. Ma przyjemny głos. Mówi raczej z pewną powolnością (...). Żadną miarą nie przypomina staromodnego, sztywnego bankiera ani wyschłego na wiór statystyka”^[50].

Początkowo, widząc go stojącego pośród gości, Martha nie uznała Bassetta za szczególnie pociągającego. Później jednak natknęła się nań, gdy stał sam, z dala od innych. Została „porażona”. „Uderzyły we mnie ból i słodycz, niczym strzała w locie, gdy ujrzałam Cię na nowo, daleko od całej reszty, w holu naszego domu. Brzmi to niedorzecznie, ale naprawdę tak to czułam, gdy jeden jedyny raz zakochałam się od pierwszego wejrzenia”^[51].

Również Bassett doznał podobnego wzruszenia; rozpoczął się romans na odległość, pełen energii i namiętności. W liście z 19 września 1931 roku pisał: „Świetnie się bawiłem na basenie dziś po południu; byłaś wspaniała, gdy zdjąłem z siebie strój kąpielowy!”^[52]. I kilka wierszy niżej: „Och, bogowie, co za kobieta, co za kobieta!”. Jak ujęła to Martha, Bassett „zdeflorował” ją. Miał zwyczaj zwracać się do Marthy „skarbie” i „skarbenika mia”.

Konfundował ją jednak. Nie zachowywał się w sposób, jaki znała z przeszłości i jakiego oczekiwała od mężczyzny. „Nigdy wcześniej, nigdy dotąd nie kochałam tak bardzo i nie byłam tak bardzo kochana, a jednocześnie nie otrzymałam od razu propozycji małżeństwa!”^[53] – napisała do Bassetta po latach. „Czułam się zatem głęboko zraniona i sądzę, że słodycz miłości zatruił mi smak piołunu!” To ona pierwsza mu się oświadczyła, on zaś pozostawał niezdecydowany. Manewrowała. Nie zerwała zaręczyn z Burnhamem, co rzecz jasna podsycalo w Bassetcie zazdrość. „Albo mnie kochasz, albo nie”^[54] – pisał do niej z Larchmont – „a jeśli tak i jesteś przy zdrowych zmysłach, to

nie możesz wyjść za innego”.

W końcu znużyli się oboje i pewnego dnia w marcu 1933 roku pobrali się, jednak z powodu niedających się stłumić wątpliwości postanowili utrzymać swoje małżeństwo w tajemnicy, nawet przed przyjaciółmi. „Kochałam rozpaczliwie i długo starałam się Ciebie »zdobyć«, potem jednak, może wskutek nadmiernego zmęczenia, sama miłość jakby się we mnie wyczerpała”^[55] – pisała Martha. Dzień po ich ślubie Bassett popełnił fatalny błąd. Sam fakt, że musiał wyjechać do Nowego Jorku, do swojej pracy w banku, był już wystarczająco przykry^[56]. Lecz jeszcze gorsze okazało się to, że owego dnia nawet nie przesłał żonie kwiatów – „trywialny” błąd, jak sama Martha przyznała później, lecz wskazujący na coś poważniejszego. Wkrótce potem Bassett wyruszył do Genewy, aby wziąć udział w międzynarodowej konferencji na temat złota, przy czym popełnił kolejną pomyłkę, nie racząc zadzwonić przed wyjazdem do Marthy, ażeby „okazać jej niepokój o nasze małżeństwo i zagrażającą mu rozłąkę geograficzną”^[57].

Pierwszy rok małżeństwa spędzili osobno, spotykając się od czasu do czasu w Nowym Jorku i Chicago, lecz owo fizyczne rozdzielenie tylko potęgowało napięcia w związku. Martha przyznała później, że powinna była wraz z mężem zamieszkać w Nowym Jorku, a jego wyjazd do Genewy potraktować jako miesiąc miodowy, co sugerował^[58]. Ale nawet wtedy Bassett pozostałby pełen wahań. Podczas jednej z rozmów telefonicznych z żoną zastanawiał się głośno, czy ich małżeństwo nie jest czasem pomyłką. „Miałam już tego DOŚĆ”^[59] – napisała Martha. Zaczynała podówczas „flirtować”^[60] – słowo przez nią użyte – z innymi mężczyznami, wdała się w romans z Carlem Sandburgiem, długoletnim przyjacielem jej rodziców, którego знаła od piętnastego roku życia. Sandburg przysyłał jej szkice poetyckie na małych świstkach cienkiego papieru o dziwacznych kształtach, wysłał również dwa loki swoich blond włosów związane czarną nitką. W jednej z notek proklamował: „Kocham Cię niewypowiedzianie kocham Cię jak krzyk nad Shenandoah i przyćmione szeptanie błękitnego deszczu”^[61]. Martha dawała wystarczająco wyraźne sygnały, aby zirytować Bassetta. Jak sama powiedziała mu później: „Zajęłam się leczeniem własnych ran i ranieniem Ciebie przy pomocy Sandburga i innych”^[62].

Wszystkie te działania osiągnęły pewnego dnia kulminację na trawniku przed domem Doddów przy Blackstone Avenue. „Czy wiesz, dlaczego tak naprawdę nasze małżeństwo się nie udało?”^[63] – pisała Martha. „Dlatego, że ja byłam nadto niedojrzała jeszcze i młoda, nawet mając lat 23, aby chcieć opuścić moją rodzinę! Moje serce pękło, gdy ojciec powiedział mi, krzając się przy czymś na trawniku przed domem, zaraz po naszym ślubie: »A więc moja droga dziewczynka chce opuścić starego ojca«”.

Teraz, w samym środku owej panującej w jej życiu wrzawy, ojciec zapraszał ją do wspólnego

wyjazdu do Berlina. Nagle stanęła wobec wyboru: Bassett i jego bank, a w końcu, niewątpliwie, dom w Larchmont, dzieci, trawniki – albo ojciec, Berlin i nieznana przyszłość.

Zaproszenie od ojca kusilo ją ogromnie. Martha powiedziała Bassettowi później: „Musiałam wybrać pomiędzy nim [ojcem] i »przygodą« a Tobą^[64]. Nie mogłam powstrzymać samej siebie przed podjęciem takiej decyzji, jaką podjęłam”.

[44] list Dodda do Marthy, 16 XII 1928, skrzynka nr 2, dokumentacja Marthy Dodd.

[45] list Dodda do pani Dodd, 20 IV 1933, skrzynka nr 2, dokumentacja Marthy Dodd.

[46] list Dodda do pani Dodd i Marthy Dodd, 13 IV 1933, skrzynka nr 2, dokumentacja Marthy Dodd.

[47] „Baby Book, 1908–1916”, skrzynka nr 1, dokumentacja Marthy Dodd.

[48] „Chicago Daily Tribune” 25 IV 1930.

[49] W. L. River w liście do Marthy Dodd, ok. 1927 r., skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[50] James Burnham w liście do Marthy Dodd, brak daty, skrzynka nr 4, dokumentacja Marthy Dodd.

[51] „Cincinnati Times-Star”, brak daty, ale prawdopodobnie 13 I 1932, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[52] Martha Dodd w liście do Bassetta, 19 II 1976, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[53] Bassett w liście do Marthy, 19 IX 1931, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

Uwielbiam te listy przede wszystkim dlatego, że tak bardzo przypominają prozę Jimmy’ego Stewarta. W cytowanym liście Bassett posługuje się pieszczotliwym „skarbenka mia”. W pierwszym wierszu czytamy: „Dzisiaj rano dostałem od Ciebie pierwszorzędną list miłosny”. A ja osobiście miałem pierwszorzędną przyjemność, czytając wszystkie te listy. Cytując znów Bassetta: „Tak, pewnie, że tak”.

[54] w liście Marthy do Bassetta, 1 XI („mniej więcej”, jak zapisała) 1971, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[55] Bassett w liście do Marthy, 21 II 1932, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

Od tego momentu w ich stosunkach pojawia się napięcie. Bassett rozpoczyna list dość trzeźwym: „Martho, najdroższa”. Dni „skarbenka mia” minęły.

Trzy dni później (list Bassetta do Marthy z 24 II 1932) próbuje ponownie: „Z pewnością nie

powinnaś czuć się zobowiązana do poślubienia kogoś, kogo nie kochasz, tylko dlatego, że złożyłaś pochopną obietnicę, podczas gdy i tak oboje wiemy, jak głęboko i nieodwołalnie jesteśmy ze sobą złączeni”.

List rozpoczynał się słowami: „Najdroższa z kobiet”. Jako adres zwrotny widniał wyraz: „Bank”. Szczerze mówiąc, my, mężczyźni, potrafimy być kompletnie pozbawieni słuchu.

[56] Martha w liście do Bassetta, 19 II 1976, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[57] tamże.

[58] tamże.

[59] Martha w liście do Bassetta, 1 XI 1976, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[60] tamże.

[61] tamże.

[62] Carl Sandburg w liście do Marthy, brak daty, skrzynka nr 63, dokumentacja W. E. Dodda.

[63] Martha w liście do Bassetta, 1 XI 1971, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd. List ten rozpoczyna się słowami: „Mój drogi eks”.

Martha w liście do Bassetta, 19 II 1976, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[64] tamże.

Rozdział 4

Strach

W następnym tygodniu Dodd pojechał pociągiem do Waszyngtonu, gdzie w piątek 16 czerwca zjadł z Rooseveltem lunch serwowany na dwóch tacach ustawionych przy biurku prezydenta.

Roosevelt, uśmiechnięty i wesoły, z wyraźnym zadowoleniem wdał się w opowieść o ostatniej wizycie, jaką złożył w Waszyngtonie szef niemieckiego Reichsbanku^[65], Hjalmar Schacht – pełne nazwisko Hjalmar Horace Greeley Schacht – w którego rękach leżało podjęcie decyzji o spłacie przez Niemcy zobowiązań wobec amerykańskich wierzycieli. Roosevelt poinstruował wcześniej sekretarza Hulla, jak należy z Niemcem pogrywać, aby zneutralizować jego legendarną arogancję. Schachta poproszono do gabinetu Hulla i zmuszono do stania tuż przy biurku sekretarza, podczas gdy Hull zachowywał się tak, jakby Schachta tam nie było, oraz „udawał głęboko zaaferowanego poszukiwaniem jakichś papierów, każąc Schachtowi wciąż stać i ignorując go przez trzy minuty” – wspominał Dodd tę historię. Hull miał wreszcie niby odnaleźć to, czego tak długo szukał – ostrą w tonie notę napisaną przez Roosevelta, w której potępia on choćby najmniejsze próby niespłacenia przez Niemcy ich długów. Dopiero teraz Hull miał wstać i przywitać się z Schachtem, jednocześnie wręczając mu notę. Celem takiego postępowania, opowiadał Roosevelt Doddowi, „było ostudzenie aroganckiej pewności siebie Niemca”. Roosevelt zdawał się uważać, że plan powiódł się w stu procentach.

Następnie prezydent skierował rozmowę na osobę Dodd'a i oczekiwania wobec niego. Podniósł najpierw sprawę niemieckiego zadłużenia, wyrażając przy tym pewną ambiwalencję. Przyznał, że bankierzy amerykańscy zarobili „horrendalne pieniądze” na udzielonych niemieckim firmom i miastom kredytach, a także na sprzedaży powiązanych z nimi obligacji obywatelom amerykańskim. „Ale przecież naszym ludziom należy się spłata długu, i chociaż teoretycznie sprawa

ta znajduje się poza obszarem odpowiedzialności rządu, to jednak chce, żebyś zrobił wszystko, aby zapobiec moratorium^[66] – czyli zawieszeniu przez Niemców spłaty długu. „To by spowodowało opóźnienia w odzyskaniu środków”.

Następnie prezydent przeszedł do omówienia zagadnienia, które powszechnie nazywano „kwestią” lub „problemem” żydowskim.

Był to dla Roosevelta grząski grunt^[67]. Choć sposób traktowania Żydów przez nazistów bulwersował go, choć świadom był przemocy, której konwulsje wstrząsały Niemcami na początku tego roku, powstrzymywał się od wszelkich bezpośrednich oświadczeń i potępień. Niektórzy przywódcy żydowscy, jak na przykład rabin Wise, sędzia Irving Lehman czy Lewis L. Strauss, wspólnik w firmie Kuhn, Loeb & Spółka, chcieli, żeby zabrał głos w tej sprawie; inni, tacy jak Felix Warburg i sędzia Joseph Proskauer, popierali bardziej zakulisowe działania, naciskając na prezydenta, by ułatwić Żydom wjazd na terytorium Stanów Zjednoczonych. Opór Roosevelta wobec obu nurtów był niezwykle irytujący. W listopadzie 1933 roku Wise opisywał Roosevelta jako „niewzruszonego, niepoprawnego, a nawet niedostępnego dla nas, z wyjątkiem tych jego żydowskich znajomych, co do których może mieć całkowitą pewność, że nie będą go trapić wzmiankami o jakichś żydowskich problemach”. Felix Warburg pisał: „Jak dotąd wszystkie mgliste obietnice nie zmaterializowały się w jakiegokolwiek działania”. Nawet dobry przyjaciel Roosevelta Felix Frankfurter, profesor prawa na Harvardzie, którego mianował później sędzią Sądu Najwyższego, okazał się niezdolny skłonić prezydenta do działania, i to ku swojej niemałej frustracji. Roosevelt rozumiał jednak, że polityczne koszty wszelkich publicznych potępień fali nazistowskich prześladowań oraz demonstracyjnych prób ułatwienia Żydom emigracji do Ameryki okazałyby się bardzo wysokie, ponieważ w polityce amerykańskiej problem żydowski traktowano jako problem dotyczący imigrantów. Prześladowania Żydów w Niemczech oznaczały dla USA widmo gigantycznego napływu uchodźców żydowskich w momencie, gdy Ameryka sama chwiała się w posadach z powodu wielkiego kryzysu. Do debaty tej izolacjoniści wprowadzili ponadto nowy wymiar, domagając się uznania, podobnie jak rząd hitlerowski, że prześladowania Żydów niemieckich są wewnętrzną sprawą tego kraju, a tym samym Ameryce nic do tego.

Nawet amerykańscy Żydzi byli głęboko podzieleni co do sposobu, w jaki należy traktować ów problem^[68]. Z jednej strony Amerykański Kongres Żydowski wzywał do ostrych protestów, w tym marszów i bojkotu niemieckich towarów. Jednym z najbardziej aktywnych przywódców tej organizacji był rabin Wise, jej honorowy przewodniczący, który w roku 1933 stawał się coraz mocniej sfrustrowany niechęcią Roosevelta do zajęcia jakiegokolwiek stanowiska. Podczas pobytu w Waszyngtonie, kiedy to na próżno starał się o spotkanie z prezydentem, pisał w liście do żony: „Jeśli on odmówić *[sic]* spotkania ze mną, wróce, żeby uwolnić lawinę żądań ze strony Żydów^[69]”.

Mam też w zanadru inne sposoby. Może nawet tak będzie lepiej, ponieważ będę mógł powiedzieć teraz to, czego wcześniej nigdy nie mówiłem. Będę walczył, Boże dopomóż”.

Odmienne stanowisko zajmowały natomiast ugrupowania związane z Amerykańskim Komitetem Żydowskim, na którego czele stał sędzia Proskauer. Komitet zalecał mniej drastyczne metody, obawiając się, że głośnie protesty i bojkot tylko pogorszą położenie Żydów w Niemczech. Ów punkt widzenia dzielił między innymi Leo Wormser, żydowski prawnik z Chicago. W liście adresowanym do Dodda Wormser pisał: „(...) my w Chicago (...) nieugięcie przeciwstawiamy się programowi autorstwa pana Samuela Untermyera i doktora Stephena Wise’a dalszego bojkotu towarów niemieckich przez organizacje żydowskie”^[70]. Taki bojkot bowiem, wyjaśniał, mógłby narazić niemieckich Żydów na jeszcze większe prześladowania, „a wiemy przecież, iż dla wielu z nich mogłoby się to skończyć jeszcze gorzej”. Wormser stwierdzał ponadto, że bojkot mógłby „utrudnić przyjaciom w Niemczech ich próby doprowadzenia do bardziej pojednawczej postawy poprzez apelowanie do rozsądku i korzyści dla samych Niemców”, a także osłabić wypłacalność Niemiec, zagrażając tym samym spłacie zadłużenia zaciągniętego u amerykańskich kredytodawców. Wormser obawiał się również reperkusji, ponieważ działania te przypisywano by wyłącznie Żydom. Pisał do Dodda: „Uważamy, że bojkot, jeśli będzie kierowany i nagłaśniany przez Żydów, przesłoni główny problem, który nie nazywa się »czy Żydzi przetrwają«, lecz »czy wolność przetrwa«”. Jak pisał Ron Chernow w książce *The Warburgs*: „Ów fatalny podział osłabiał »międzynarodowe żydostwo«, mimo że prasa nazistowska utrzymywała, że działa ono pod jednym zdecydowanym kierownictwem”^[71].

Jednakże obie frakcje były zgodne co do tego, że wszelka ostentacyjna publiczna kampania na rzecz zwiększenia żydowskiej imigracji do Ameryki mogłaby tylko doprowadzić do katastrofy. Na początku czerwca 1933 roku rabin Wise pisał do Feliksa Frankfurtera^[72], wówczas profesora prawa na Harvardzie, że jeśli debata na temat imigracji dojdzie do gabinetu w Białym Domu, może „doprowadzić do wybuchu niechęci wobec nas”. Istotnie, niechęć do imigrantów była w Ameryce silna nawet w 1938 roku, kiedy to mniej więcej dwie trzecie ankietowanych w sondażu przeprowadzonym przez „Fortune” opowiedziało się za niewpuszczaniem do kraju fali uchodźców^[73].

Również w łonie administracji Roosevelta istniały w tej sprawie głębokie podziały^[74]. Sekretarz do spraw pracy Frances Perkins, pierwsza w historii Ameryki kobieta na fotelu ministerialnym, energicznie starała się zmusić administrację do ułatwienia Żydom wjazdu na terytorium Stanów Zjednoczonych. Jej departament nadzorował realizowanie polityki imigracyjnej, nie mógł jednak decydować, komu przyznać, a komu odmówić wizy. Była to domena Departamentu Stanu, a konkretnie rezydujących za granicą konsułów o zdecydowanie odmiennych poglądach. W istocie

niektórzy z najwyższych rangą urzędników tego departamentu żywili wobec Żydów głęboką niechęć.

Jednym z nich był William Phillips, podsekretarz stanu, drugi w hierarchii po sekretarzu Hullu. Żona Phillipsa była przyjaciółką Eleonory Roosevelt z lat dziecińczy; to FDR^[75], a nie Hull, wybrał Phillipsa na stanowisko podsekretarza. W swoim pamiętniku Phillips jednego ze znajomych określił jako „Żydka, kumpla z Bostonu”^[76]. Uwielbiał odwiedzać Atlantic City, ale – jak napisał w innym miejscu w pamiętniku – „w mieście roi się od Żydów”^[77]. W sobotnie popołudnie oraz w niedzielę cała właściwie plaża przedstawiała nadzwyczajny widok; piasku widać na niej było bardzo niewiele, gdyż całą pokrywali lekko ubrani Żydzi i Żydówki”.

Inny wysoko postawiony urzędnik, Wilbur J. Carr, zastępca sekretarza stanu, który nadzorował całą służbę konsularną, nazywał Żydów „moškami”^[78]. W memorandum na temat imigrantów z Rosji i Polski pisał: „Są brudni, nieamerykańscy, mają często niebezpieczne nawyki”^[79]. Po podróży do Detroit opisał to miasto jako pełne „kurzu, dymu, brudu i Żydów”^[80]. On także skarżył się na obecność Żydów w Atlantic City. Podczas spędzonych tam kiedyś (w lutym) z żoną trzech dni, z których każdy opisał w pamiętniku, nieodmiennie uwłaczał Żydom. „Chodząc przez cały dzień po promenadzie, widzieliśmy tylko paru nie-Żydów”^[81] – zanotował nazajutrz po przyjeździe. „Wszędzie Żydzi, i to na najposledniejszej konduity”. Wieczorem Carr, jedząc z żoną kolację w hotelu Claridge, stwierdził, że restauracja pełna jest Żydów, „i zaledwie niektórzy mogą pochwalić się dobrą prezencją. Tylko dwóch [gości], oprócz mnie, miało na sobie marynarkę. W sali jadalnej panowała atmosfera beztrości”. Kolejnego wieczoru państwo Carr udali się na kolację do innego hotelu, Marlborough-Blenheim – znajdując go za znacznie lepszym. „Podoba mi się tam” – napisał Carr. „Jakże różni się od żydowskiej atmosfery Claridge’a”^[82].

Jeden z oficjeli Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego opisał Carr’a jako „antysemitę i oszusta, który tylko pięknie mówi, ale nie zamierza niczego dla nas zrobić”^[83].

Zarówno Carr, jak i Phillips opowiadali się za ścisłym przestrzeganiem przepisów amerykańskiego prawa imigracyjnego, które uniemożliwiała wjazd wszystkim potencjalnym imigrantom, jeśli budzili „uprawdopodobnione podejrzenie, że będą korzystać z pomocy społecznej”^[84], jak brzmiała niesławna „klauzula LPC”. Stanowiła ona fragment ustawy z 1917 roku i była przez administrację Hoovera wykorzystywana do hamowania fali imigracji, gdy bezrobocie osiągało najwyższy poziom. Urzędnicy konsularni o ogromnej władzy decydowali w istocie, kto zostanie wpuszczony do Ameryki – to od nich zależało, kto spośród starających się o wizę zostanie potraktowany odmownie na podstawie klauzuli LPC. Jednym z wymogów prawa imigracyjnego było dostarczenie przez osobę składającą podanie zaświadczenia policyjnego

potwierdzającego jej odpowiednie prowadzenie się, a także dwóch egzemplarzy świadectwa urodzenia i innych dokumentów oficjalnych. „Wydaje się to trochę niedorzeczne”^[85] – napisał jeden z kronikarzy żydowskich – „żeby mieć prosić swoich prześladowców o referencje dotyczące osobistych przymiotów”.

Żydowscy aktywiści oskarżali konsulaty amerykańskie za granicą o kierowanie się sekretną instrukcją nakazującą im pozytywne załatwianie tylko niewielkiej części wniosków wizowych, mimo większej puli przyznanej oficjalnie na dany kraj – zarzut ten okazał się uzasadniony^[86]. Radca prawny w Departamencie Pracy, Charles E. Wyzanski, odkrył w 1933 roku, że konsulom udzielono nieoficjalnych ustnych instrukcji ograniczających ilość wiz imigracyjnych do 10 procent ogólnej liczby przypadającej na dane państwo. Przywódcy żydowscy twierdzili ponadto, iż wymóg dostarczania dokumentacji policyjnej był nie tylko zwykłym utrudnieniem, lecz także rzeczą dla starającego się o pobyt niebezpieczną – „przeszkodą niemal nie do pokonania”^[87], jak stwierdził sędzia Proskauer w liście do podsekretarza Phillipsa.

Phillips poczuł się urażony określeniem konsułów jako „przeszkód”. „Konsul” – replikował, łagodnie karcąc Proskauera – „ma za swoje jedyne zadanie ustalić, w sposób życzliwy i delikatny, czy wszystkie wymogi prawa dotyczące osoby wnioskującej o wizę zostały spełnione”^[88].

W rezultacie według Proskauera i innych żydowskich przywódców Żydzi po prostu nie ubiegali się o wizy imigracyjne do Stanów Zjednoczonych^[89]. Liczba starających się o wizy Niemców stanowiła natomiast jedynie drobny ułamek rocznego limitu wizowego wynoszącego w przypadku tego kraju 26 tysięcy. Różnica ta dawała urzędnikom z Departamentu Stanu potężny, oparty na statystyce, oręż w walce z reformą: jak można mówić o jakimś problemie, skoro tak mało Żydów stara się o wizy? Był to argument, który Roosevelt zdawał się uznawać już w kwietniu 1933 roku^[90]. Prezydent wiedział też, że wszelkie wysiłki liberalizacji prawa imigracyjnego mogą skłonić Kongres do rewanzu w postaci drastycznego zmniejszenia już przyznanych limitów.

A zatem na długo przed wspólnym lunchem z Doddem Roosevelt miał świadomość całej delikatności sytuacji.

„Władze niemieckie traktują Żydów w sposób haniebny, wśród Żydów w tym kraju panuje wielkie poruszenie”^[91] – powiedział Roosevelt. „Ale i to nie jest sprawa dla naszych władz. Jedyne, co możemy zrobić, to pomagać obywatelom amerykańskim, którzy mogą stać się ofiarami. Musimy ich chronić, a także powinniśmy czynić wszystko co w naszej mocy, aby ograniczyć falę prześladowań, zarówno stosując środki nieoficjalne, jak i korzystając z osobistych wpływów”.

Rozmowa zesłała na sprawy praktyczne. Dodd twierdził stanowczo, że do przeżycia wystarczy mu wyznaczona odgórnie pensja w wysokości 17,5 tysiąca dolarów, co podczas wielkiego kryzysu

stanowiło sporą kwotę, ale dla ambasadora zobowiązanego zabawiać europejskich dyplomatów i nazistowskich oficyli było sumą nieznaczną^[92]. Dla Dodda była to kwestia zasad: nie sądził on, że ambasador powinien żyć wystawnie, gdy reszta narodu cierpi biedę. Tak się jednak składało, że było to również dość niewygodne, ponieważ Dodd nie miał własnego majątku, jak wielu innych ambasadorów, dlatego nawet gdyby chciał, nie mógłby prowadzić rozrzuconego życia.

„Masz rację”^[93] – powiedział Roosevelt. – „Poza dwoma, trzema bankietami i poczęstunkami nie ma co pozwalać sobie na kosztowne życie towarzyskie. Staraj się pamiętać o Amerykanach w Berlinie, a czasem wydaj kolację dla Niemców, którzy interesują się stosunkami z naszym krajem. Myślę, że twoje dochody wystarczą ci na przeżycie i nie zaniedbasz ważnych zadań służbowych”.

Po krótkiej rozmowie na temat taryf handlowych oraz redukcji zbrojeń lunch dobiegł końca.

Była godzina druga. Dodd wyszedł z Białego Domu i udał się pieszo do Departamentu Stanu, aby spotkać się z różnymi urzędnikami, a także przeczytać depesze napływające z Berlina, w szczególności przydługawe raporty pisane przez konsula generalnego George’a S. Messersmitha. Ich treść była niepokojąca.

Hitler był już od pół roku kanclerzem, wyniesionym na to stanowisko na mocy politycznego układu, wciąż jednak nie miał władzy absolutnej. Osiemdziesięcioletni prezydent Niemiec, feldmarszałek Paul von Beneckendorff und von Hindenburg, nadal miał konstytucyjne uprawnienia mianowania i odwoływania kanclerzy oraz ich gabinetów, tudzież – co równie ważne – cieszył się lojalnością regularnej armii, reichswery. W przeciwieństwie do Hindenburga Hitler i jego przybocznicy byli zaskakująco młodzi – Hitler miał zaledwie 44 lata, Hermann Göring – 40, a Joseph Goebbels – 36.

Zamieszczane w prasie opowieści o nieobliczalności Hitlera i brutalnym traktowaniu przez władze niemieckie Żydów, komunistów oraz innych przeciwników to jedna sprawa (w całej Ameryce utrzymywało się powszechne przekonanie, że tego rodzaju raporty muszą być przesadzone, że z pewnością żadne współczesne państwo nie postępowałoby w taki sposób), ale oto w

Departamencie Stanu Dodd odczytywał depeszę za depeszą^[94], w których Messersmith opisywał gwałtowne przechodzenie Niemiec od demokracji do brutalnej dyktatury. Messersmith nie szczędził szczegółów – z powodu jego skłonności do tworzenia długich sprawozdań nadano mu przydomek „George Czerdzieści Stron”^[95]. Pisał o powszechnym stosowaniu przemocy, które zaobserwowano w ciągu tych kilku miesięcy od mianowania Hitlera kanclerzem, oraz o coraz większej kontroli rządu nad wszystkimi aspektami życia w Niemczech. Dnia 31 marca porwano trzech obywateli amerykańskich; zostali zawleczeni do jednego z miejsc kaźni SA, gdzie zerwano z nich ubranie i pozostawiono na noc w zimnej celi. Rankiem pobito wszystkich do utraty przytomności, po czym wyrzucono na ulicę. Zniknął również jeden z korespondentów agencji

United Press International, jednak po dochodzeniu prowadzonym przez Messersmitha został zwolniony z aresztu i wyszedł z opresji bez szwanku. Władze hitlerowskie ogłosiły wcześniej jednodniowy bojkot wszystkich żydowskich firm i zakładów w Niemczech – sklepów, biur prawniczych, gabinetów lekarskich. Palono książki, wyrzucano Żydów z pracy, trwały niekończące się marsze Oddziałów Szturmowych, założono kaganiec na tak niegdyś dynamiczną wolną prasę niemiecką, co według Messersmitha dokonało się za sprawą rządu domagającego się kontroli w stopniu większym niż „w całej dotychczasowej historii kraju. Cenzurę w prasie należy określić mianem absolutnej”^[96].

Jednakże ton jednej z ostatnich depeš Messersmitha był wyraźnie bardziej pozytywny, co Dodd musiał z pewnością uznać za pocieszające. Z nietypowym dla siebie optymizmem Messersmith donosił o oznakach rosnącej stabilizacji w Niemczech, przypisując ów fakt coraz większej pewności siebie Hitlera, Göringa i Goebbelsa. „Główni liderzy partyni zaczynają się bardzo mocno zmieniać pod wpływem odpowiedzialności”^[97] – pisał. „Nie brak dowodów, że stają się coraz bardziej umiarkowani”.

Lecz Dodd nie miał nigdy okazji przeczytania listu, który Messersmith napisał niedługo potem – wycofywał się w nim ze swoich poprzednich, łagodniejszych ocen. Jako „poufne/do rąk własnych”, pismo to zostało wysłane do podsekretarza Phillipsa z datą 26 czerwca 1933 roku i dotarło do adresata w momencie, gdy państwo Doddowie mieli właśnie wyruszyć do Berlina.

„Starałem się podkreślać w moich depešach, że wyżsi przywódcy partyni przechodzą na pozycje bardziej umiarkowane, podczas gdy aktywiści średniego szczebla oraz same masy są tak radykalne jak dotąd, i że pytanie polega na tym, czy wyższe przywództwo będzie w stanie narzucić ową postawę umiarkowania masom”^[98] – pisał Messersmith. – „Wydaje się jednak prawie pewne, że nie będzie w stanie i że presja oddolna nasila się bez przerwy”. Szczególnie Göring i Goebbels nie wydają się wcale umiarkowani, pisał. „Doktor Goebbels głosi codziennie, że rewolucja właśnie się rozpoczęła i że to, co zostało zrobione do tej pory, to tylko wstęp”.

Aresztowano księży. Dawnego przewodniczącego władz Dolnego Śląska, którego Messersmith znał osobiście, umieszczono w obozie koncentracyjnym. Wśród aktywistów średniego szczebla partyni nazistowskiej wyczuwało się narastającą „histerię”, znajdującą wyraz w przekonaniu, iż „bezpieczeństwo jest możliwe tylko po wsadzeniu wszystkich za kratki”. Kraj spokojnie, lecz także ze skrywaną agresją, gotował się do wojny, stosując propagandowe chwytły mające wywołać wrażenie, „że cały świat jest przeciwko Niemcom i że są one wobec niego bezbronne”. Zapewnienia Hitlera o pokojowych zamiarach są iluzoryczne, obliczone tylko na to, żeby zyskać na czasie, by Niemcy zdążyły się uzbroić – ostrzegał Messersmith. „Niewątpliwie ich głównym celem jest uczynić z Niemiec możliwie najsprawniejszą maszynę wojenną, jaka kiedykolwiek istniała”.

Podczas pobytu w Waszyngtonie Dodd wziął udział w przyjęciu wydanym na jego cześć przez ambasadę niemiecką. Tam właśnie pierwszy raz zetknął się z Wilburem Carrem. Carr zamieścił później w swoim pamiętniku kilka słów na jego temat: „Sympatyczny, interesujący człowiek o znakomitym poczuciu humoru, bardzo skromny”^[99].

Dodd złożył też wizytę szefowi wydziału Europy Zachodniej w Departamencie Stanu, nazwiskiem Jay Pierrepont Moffat, który podobnie jak Carr i Phillips żywił niechęć do Żydów i podzielał ich twarde stanowisko wobec imigracji^[100]. Swoje wrażenia po spotkaniu z nowym ambasadorem Moffat zreferował następująco: „Jest ogromnie przekonany o słuszności swoich poglądów, wyraża je stanowczo i w sposób pouczający, ma skłonność do dramatyzowania, aby podkreślić swoje racje”^[101]. Jediną drobną przeszkodą jest to, że zamierza kierować ambasadą, mając na utrzymaniu czteroosobową rodzinę. Jak chce to zrobić w Berlinie, gdzie wszystko jest tak drogie, przekracza moje wyobrażenie”.

Ani Carr, ani Moffat nie wyrazili w owych zapiskach jednego: faktu zaskoczenia i niezadowolenia, jakie oni i wielu im podobnych odczuło z powodu mianowania Dodda na stanowisko ambasadora. Sami należeli bowiem do świata elit, do którego faktyczny wstęp mieli wyłącznie ludzie z określonym rodowodem. Wielu z nich uczęszczało do tych samych prywatnych szkół, głównie do St. Paul's i Groton, skąd prowadziły otwarte drzwi na Harvard, Yale czy Princeton. Podsekretarz Phillips wychowywał się w bostońskiej dzielnicy Back Bay, w gigantycznej wiktoriańskiej kamienicy^[102]. Dysponował własnym niemałym majątkiem już od 21. roku życia; po jakimś czasie uzyskał godność regenta Harvard College. Większość jego kolegów z Departamentu Stanu miała własne pieniądze, z których korzystała także podczas pobytu za granicą, nie oczekując od państwa refundacji kosztów. Jeden z takich oficjeli, Hugh Wilson, chwaliąc swoich współpracowników dyplomatów, pisał: „Wszyscy oni czuli, że należą do całkiem dobrego klubu”^[103]. Uczucie to wzmocniało zdrowego ducha solidarności grupowej”.

Z punktu widzenia obowiązujących w owym klubie standardów Dodd pasował do swojej roli jak wół do karety.

Dodd wrócił do Chicago spakować dobytek oraz wziąć udział w licznych przyjęciach pożegnalnych, po czym wraz z żoną, Martha i Billem wyruszył pociągiem w podróż do Wirginii, aby po raz ostatni zatrzymać się na farmie Round Hill. Jego 86-letni ojciec John mieszkał stosunkowo niedaleko, w Karolinie Północnej, lecz Dodd – chociaż sam życzył sobie mieć dzieci blisko siebie – początkowo wcale nie planował go odwiedzić, Roosevelt bowiem chciał jak najszybciej mieć nowego ambasadora w Berlinie. Dodd napisał więc do ojca o swojej nominacji, informując go, że nie uda mu się wpaść z wizytą przed wyjazdem z kraju. Do listu dołączył niewielką kwotę pieniędzy. Pisał: „Przykro mi, że

przez całe życie jestem zawsze tak daleko”^[104]. Ojciec odpowiadał natychmiast, podkreślając, że jest ogromnie dumny, iż jego syn „zasłużył na tak wielki zaszczyt z Waszyngtonu”^[105], ale do beczki miodu dodał też odrobinę dziegciu. Wydaje się, że tylko rodzice wiedzą, jak metodę tę stosować – pozostawiając nam poczucie winy i skłaniając do zmiany planów. Dodd senior pisał: „Jeśli już nie zobaczę Cię nigdy, wiedz, że do ostatniej godziny mego życia byłem z Ciebie dumny”.

Dodd zmienił plany. W sobotę 1 lipca wsiadł wraz z żoną do wagonu sypialnego w pociągu zmierzającym do Karoliny Północnej. Podczas wizyty na farmie ojca znaleźli czas na obejrzenie okolicy. Odwiedzali stare kąty, jakby żegnali się z nimi na zawsze. Pojechali na cmentarz, na którym pochowano członków rodziny. Dodd stał tam przed grobem matki zmarłej w 1909 roku. Idąc przez trawnik, natknął się na kwatery, w których pochowano jego przodków walczących w wojnie secesyjnej, w tym dwóch krewnych, którzy poddali się generałowi Robertowi E. Lee pod Appomatox. Była to wizyta pełna wspomnień dotyczących „nieszczęść rodzinnych”

i niebezpieczeństw, jakie niesie życie. „Raczej smutny dzień” – zapisał w pamiętniku Dodd^[106].

Po powrocie na farmę w Wirginii pojechali z żoną dalej pociągami do Nowego Jorku. Martha i Bill natomiast udali się w drogę należącym do rodziny chevroletem, z zamiarem dostarczenia go na terminal portowy w celu przetransportowania do Berlina.

Dodd wolalby spędzić następne parę dni w otoczeniu rodziny, ale departament nalegał, żeby zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku odbył wiele spotkań z szefami banków na temat niemieckiego zadłużenia – to zagadnienie Dodda mało interesowało – oraz z przywódcami żydowskimi. Dodd obawiał się, że zarówno prasa amerykańska, jak i niemiecka mogą wykorzystać te spotkania, by zakwestionować postawę obiektywizmu, jaką miał nadzieję prezentować w Berlinie^[107].

Zastosował się jednak do poleceń; w rezultacie cały długi dzień poświęcił na szereg spotkań, które niespodziewanie poskutkowały wizytami przypominającymi odwiedzin duchów z *Opowieści wigilijnej* Dickensa. Prominentny aktywista na rzecz pomocy Żydom informował Dodda w swym liście, że w poniedziałek wieczorem, 3 lipca, odwiedzą go dwie grupy mężczyzn; pierwsza miała się zjawić o 20.30, druga o 21.00. Spotkania miały się odbyć w Century Club, nowojorskiej kwaterze Dodda^[108].

Najpierw spotkał się jednak z bankierami w biurach National City Bank w Nowym Jorku, który po latach przyjmie nazwę Citibanku. Dodd zdumiał się, słysząc, że National City Bank oraz Chase National Bank posiadają ponad 100 milionów dolarów w niemieckich obligacjach rządowych, które Niemcy chciały aktualnie wykupić po 30 centów za dolara. „Mówiono wiele, ale zgodzono się tylko co do tego, że powinienem uczynić wszystko co w mojej mocy, żeby zapobiec otwartej odmowie spłacenia zadłużenia przez Niemcy”^[109] – pisał Dodd. Dla bankierów odczuwał niewiele sympatii.

Perspektywy uzyskania ogromnych zysków z wysoko oprocentowanych obligacji niemieckich przesłoniły im aż nadto wyraźne ryzyko niewypłacalności zrujnowanego wojną i politycznie niestabilnego kraju.

Tego wieczoru przywódcy żydowscy przybyli punktualnie; byli wśród nich Felix M. Warburg, wiodąca postać finansjery, który opowiadał się za taktyką „bez rozgłosu” Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego, oraz rabin Wise z „głośniejszego” Amerykańskiego Kongresu Żydowskiego. Dodd zapisał w pamiętniku: „Półtorej godziny toczyła się dyskusja na temat: Niemcy zabijają Żydów cały czas, prześladowanie się ich do tego stopnia, że samobójstwa są czymś powszechnym (słyszano o takich przypadkach w rodzinie Warburgów), konfiskowane jest całe mienie żydowskie”^[110].

Podczas spotkania Warburg prawdopodobnie wspominał o samobójstwach dwójki swoich krewnych w podeszłym wieku, Moritza i Käthie Oppenheimów, którzy zmarli jakieś trzy tygodnie wcześniej we Frankfurcie^[111]. Warburg pisał później: „Bez wątpienia to reżim hitlerowski sprawił, że ich życie stało się udręką i pragnęli odejść z tego świata”.

Rozmówcy Dodda zachęcali go do wywarcia na Roosevelta presji w sprawie oficjalnej interwencji, on jednak odmówił. „Upierałem się, że rząd nie może oficjalnie interweniować, ale zapewniłem uczestników spotkania, że wykorzystam wszystkie osobiste wpływy przeciwko niesprawiedliwemu traktowaniu Żydów niemieckich i oczywiście będę protestować przeciw maltretowaniu Żydów amerykańskich”^[112].

Następnie Dodd wyjechał pociągiem o 23.00 do Bostonu i po dotarciu na miejsce wczesnym rankiem dnia następnego, 4 lipca, został odwieziony samochodem z kierowcą do domu pułkownika Edwarda M. House’a, swego przyjaciela, który był jednocześnie bliskim doradcą Roosevelta. Panowie mieli wspólnie zjeść śniadanie.

W trakcie rozmowy, w której poruszono bardzo wiele tematów, Dodd zrozumiał, że jego wybór na ambasadora był dopiero którymś kolejnym ruchem Roosevelta. Poczuł upokorzenie^[113]. Zanotował potem w pamiętniku, że dzięki temu zniknęły w nim wszelkie pokusy, aby swoją nominację traktować z „egotyzmem”.

Gdy rozmowa zeszła na prześladowania Żydów w Niemczech, pułkownik House zaczął nakłaniać Dodda, aby ten uczynił wszystko co możliwe „dla złagodzenia ich cierpienia”, dodał jednak pewne zastrzeżenie: „Żydom nie powinno się pozwolić na zdominowanie życia gospodarczego i intelektualnego Berlina, a to trwało przez tak długi okres”^[114].

W ten sposób pułkownik House wyraził powszechne w Ameryce przekonanie, że Żydzi niemieccy byli przynajmniej częściowo odpowiedzialni za swoje aktualne problemy. Dodd spotkał się z ostrzejszą formą tej opinii jeszcze tego samego dnia, po powrocie do Nowego Jorku, kiedy wraz

z rodziną wybrał się na kolację do apartamentu przy Park Avenue należącego do Charlesa R. Crane'a, 75-letniego filantropa, którego rodzina wzbogaciła się na sprzedaży armatury łazienkowej. Crane był arabistą o opinii wpływowego w niektórych krajach Bliskiego Wschodu i Bałkanów, a także hojnym sponsorem wydziału Dodda na Uniwersytecie Chicagowskim, gdzie wspierał finansowo katedrę zajmującą się badaniem instytucji i dziejów Rosji.

Dodd wiedział, że Crane nie żywi wobec Żydów przyjacielskich uczuć. Kiedy napisał jakiś czas wcześniej list z gratulacjami w związku z nominacją Dodda, zawarł w nim pewną radę: „Żydzi, po zwycięskiej wojnie, galopujący żwawo, zdobywający Rosję, Anglię i Palestynę, przyłapani na próbie zdobycia także Niemiec, napotkawszy pierwszy realny opór, wpadli w szal i zalewają świat^[115] – w szczególności łotwowieńską Amerykę – antyniemiecką propagandą. Usilnie doradzam Ci odrzucanie wszelkich zaproszeń towarzyskich”.

Dodd częściowo podzielał opinię Crane'a, że Żydzi są współodpowiedzialni za swoją niedolę^[116]. Po przyjeździe do Berlina napisał do Crane'a, że o ile nie „pochwała bezwzględnego traktowania tutejszych Żydów”, o tyle sądzi, że Niemcy mają prawo żywić uzasadnione pretensje. „Kiedy mam okazję porozmawiać z którymś z prominentnych Niemców nieoficjalnie, przyznają bardzo otwarcie, iż mają oni bardzo poważny problem, ale chyba nie wiedzą, jak go rozwiązać” – pisał. „Żydzi zajmowali w Niemczech o wiele więcej kluczowych stanowisk, niż pozwalała na to zarówno ich liczebność, jak i talenty”.

Podczas kolacji Dodd słuchał, jak Crane wyraża swój wielki podziw dla Hitlera. Dowiedział się też, że nie ma on nic przeciwko temu, w jaki sposób naziści traktują niemieckich Żydów.

Na odchodne Crane udzielił ambasadorowi jeszcze jednej rady: „Pozwól Hitlerowi działać”^[117].

Nazajutrz, 5 lipca 1933 roku, o godzinie 11.00 Doddowie udali się taksówką na nabrzeże i weszli na statek „Washington” płynący do Hamburga. Natknęli się tam na Eleanor Roosevelt, która odprowadzała swego syna Franklina juniora, udającego się drogą morską do Europy.

Kilkunastu dziennikarzy pałętało się po pokładzie; oblegli Dodda stojącego tam z żoną i Billem^[118]. Martha była wówczas w innym miejscu na statku. Reporterzy wyrzucali z siebie pytania, kazali Doddowi pozować do zdjęć, jakby machali na pożegnanie. Unieśli dłonie z niechęcią. Jak pisał potem Dodd: „także z nieświadomością, że gesty te przypominają hitlerowskie pozdrowienie, którego wtedy jeszcze nie znaliśmy”.

Fotografie wywołały pewne oburzenie, można było bowiem odnieść wrażenie, że Dodd, jego żona i syn zostali przyłapani na hitlerowskim *Heil*.

Obawy Dodda wybuchły z nową siłą. Zaczął nagle odczuwać lęk przed wyjazdem z Chicago i rozstaniem z dawnym życiem^[119]. Gdy zwolniono cumy, rodzina przeżyła coś, co Martha określiła

później jako „nieproporcjonalnie wielki ładunek smutku i złych przeczuc”^[120].

Martha płakała.

[65] Dodd, *Dziennik*, s. 4–5.

[66] tamże, s. 5.

[67] Breitman i Kraut, s. 18, 92; Wise, *Servant*, s. 180; Chernow, s. 388; Urofsky, s. 271.

[68] Urofsky, s. 256; Wise *Challenging Years*, s. 238–239; Wise *Servant*, s. 226.

[69] Wise, *Listy prywatne*, s. 221.

[70] Chernow, s. 372–373; Leo Wormser w liście do Dodda, 30 X 1933, skrzynka nr 43, dokumentacja W. E. Dodda.

[71] Chernow, s. 373.

[72] cytat za książką Breitmana i Krauta, s. 227.

[73] tamże, s. 230.

[74] tamże, s. 12–15.

[75] Phillips, *Dziennik*, 20 IV 1935.

[76] Franklin Delano Roosevelt (przyp. tłum.).

[77] Phillips, *Dziennik*, 10 VIII 1936; Breitman i Kraut, s. 36–37.

Breitman i Kraut s. raczej bezpośredni w odniesieniu do Phillipsa. Na stronie 36 piszą: „Phillips nienawdził Żydów”.

[78] Gellman, s. 37.

[79] Breitman i Kraut, s. 32. 50. „kurzu, dymu, brudu i Żydów”: Gellman, s. 37.

[80] Carr, *Dziennik*, 22 II 1934, dokumentacja Carra.

[81] tamże, 23 II 1934.

[82] Breitman i Kraut, s. 36.

[83] Wilbur Carr oferuje szczegółowe, bezkrwawe omówienie „klauzuli LPC” i innych przepisów emigracyjnych w swoim memorandum *Problem obcokrajowców poszukujących schronienia przed prześladowaniami w Niemczech*, datowanym na 20 VIII 1933, dokumentacja Carra.

[84] Wolff, s. 89.

[85] Breitman i Kraut, s. 15.

[86] Proskauer w liście do Phillipsa, 18 VII 1933, tom 17, s. 35, *Archiwa Holokaustu*.

[87] Phillips w liście do Proskauera, 5 VIII 1933, tom 17, s. 40, *Archiwa Holokaustu*.

Korespondencja między Phillipsem a Proskauerem, s. 32–46, to fascynująca lektura, zarówno ze względu na to, co zawiera, jak i na to, czego nie zawiera. Z jednej strony Phillips, który – jak wiemy – nie lubił Żydów, ucieka się do statystyk i beznamiętnej prozy. Z drugiej zaś Proskauer, sędzia, którego solidne piarstwo aż nadto wyraźnie maskuje krzyk udręki.

[88] Dippel, s. 114; Proskauer w liście do Phillipsa, 18 VII 1933, tom 17, s. 36, *Archiwa Holokaustu*.

Proskauer pisze Phillipsowi: „Dobrze znany jest fakt, że w ostatnich latach wydano tylko nieznaczny odsetek przyznanego limitu wiz i że wizy przyznaje się niemal wyłącznie osobom pozostającym w jakimś stopniu pokrewieństwa z obywatelami USA. Fakt ten sprawia, że niemieccy Żydzi nie składają wniosków wizowych, uznając z góry, że to daremne (...)”.

[89] Breitman i Kraut, s. 14.

[90] Dodd, *Dziennik*, s. 5.

[91] tamże.

[92] tamże.

[93] Dallek, s. 191; Stiller, s. 33, s. 36–37; Kershaw, *Hybris*, s. 473–474.

[94] Stiller, s. 5.

Jay Pierrepont Moffat, szef wydziału do spraw Europy Zachodniej, dokonał w swoim dzienniku następującego wpisu pod datą 6 i 7 X 1934: „Sobotnie popołudnie zimne i deszczowe, siedziałem w domu, czytając cztery ostatnie prywatne listy od Messersmitha (to niezbyt odpowiednie zajęcie jak na sobotnie popołudnie, ale zajęło mi prawie dwie godziny)”.

[95] Messersmith w liście do Hulla, 12 V 1933, dokumentacja Messersmitha.

[96] tamże, s. 15. Zob. też list Messersmitha do Hulla, 19 VI 1933, dokumentacja Messersmitha.

[97] W depeszy z 19 czerwca Messersmith pisał: „Główni przywódcy zaczynają przyjmować coraz bardziej umiarkowaną postawę; pod trzeźwiącym wpływem odpowiedzialności praktycznie we wszystkich i pod wieloma względami wprowadzają te umiarkowane poglądy w czyn”.

[98] Messersmith w liście do Phillipsa, 26 VI 1933, dokumentacja Messersmitha.

[99] *Dziennik*, 15 VI 1933, dokumentacja Carra.

Weil, s. 41.

[100] Moffat, *Dziennik*, 15 VI 1933.

[101] Phillips, „Reminiscences”, s. 3, s. 50, 65, 66, 99; Phillips *Ventures*, s. 4, 5, 183.

W „Reminiscencjach”, będących zapisem monologu o dawnych dziejach, Phillips (na stronach 2 i 3) stwierdza: „Ów Boston, w którym dorastałem, ograniczał się do przyjaciół zamieszkających w dzielnicach Hill oraz Back Bay. Nasza społeczność była wsobna – żyliśmy w otoczeniu kuzynów, wujów i ciotek, nie było żadnych bodźców, aby rozmawiać o problemach kraju czy świata (...). Muszę powiedzieć, że było to bardzo przyjemne miejsce, jeśli chodzi o dorastanie, ale prowadziłem życie łatwe i pełne pobjaźania. Nigdzie koło siebie nie widzieliśmy żadnych oznak biedy (...). W istocie znajdowaliśmy się na wyspie dobrobytu (...).”

[102] Weil, s. 47.

[103] Dodd w liście do Johna D. Dodda, 12 VI 1933, skrzynka nr 2, dokumentacja Marthy Dodd.

[104] John D. Dodd w liście do Dodda, 15 VI 1833, skrzynka nr 2, dokumentacja Marthy Dodd.

[105] Dodd, *Dziennik*, s. 8.

[106] Dallek, s. 194; Floyd Blair w liście do Jaya Pierreponta Moffata, 28 VI 1933; skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[107] George Gordon Battle w liście do Dodda, 1 VII 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda. Zob. także telegram Battle’a do Dodda, 1 VII 1933, skrzynka nr 40.

[108] Dodd, *Dziennik*, s. 9.

[109] tamże.

[110] Chernow, s. 374–375, 388.

[111] Dodd, *Dziennik*, s. 9.

[112] tamże, s. 10.

[113] tamże, s. 10.

[114] Crane w liście do Dodda, 14 VI 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[115] Dodd w liście do Crane’a, 16 IX 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[116] Dodd, *Dziennik*, s. 11.

[117] tamże, s. 11.

[118] tamże, s. 7.

[119] Martha Dodd, *Embassy Eyes*, s. 17.

[120] Martha Dodd, *Embassy Eyes*, s. 17–18.

Rozdział 5

Pierwsza noc

Martha niemal nieustannie płakała przez dwa kolejne dni – „obficie i cikliwie”, jak to ujęła^[121]. Ale nie ze strachu, ponieważ nie zastanawiała się nadmiernie, jak będzie wyglądać jej życie w hitlerowskich Niemczech. Oplakiwała raczej to wszystko, co pozostawiała za sobą, ludzi i miejsca, przyjaciół i pracę, przytulny dom przy Blackstone Avenue, ukochanego Carla – wszystko to, co składało się na „bezcennie cudowne” życie, jakie wiodła w Chicago. Zbliżającą się stratę jeszcze mocniej uświadomiło jej miejsce, jakie zajmowała podczas swojej imprezy pożegnalnej: zasiadała mianowicie pomiędzy Sandburgiem a innym bliskim przyjacielem, Thorntonem Wilderem.

Stopniowo żal zlagodniał. Ocean był spokojny, dni pogodne. Martha zaprzyjaźniła się z synem Roosevelta, z którym tańczyła i piła szampana. Oglądali swoje paszporty – w jego dokumencie widniała nota identyfikująca go zwięźle jako „syna prezydenta Stanów Zjednoczonych”, w jej znajdował się odrobinę pretensjonalny opis: „córką Williama E. Dodda, ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego Stanów Zjednoczonych w Niemczech”. Dodd nalegał, aby Martha wraz z bratem spędzała w jego prywatnej kajucie (numer A-10) przynajmniej godzinę dziennie, słuchając, jak czyta na głos po niemiecku, tak aby poznała brzmienie tego języka. Ojciec wydawał się niezwykle uroczysty, Martha wyczuwała dziwne podenerwowanie.

Jeśli chodzi o nią, perspektywa zbliżającej się przygody skutecznie tłumila lęki. O polityce międzynarodowej wiedziała niewiele i jak sama twierdziła, nie doceniała powagi sytuacji w Niemczech. Postrzegała Hitlera jako „klauna podobnego do Charliego Chaplina”^[122]. Podobnie jak wielu innych Amerykanów owych czasów, i nie tylko Amerykanów, nie wyobrażała sobie, by przetrwał zbyt długo i by można go było brać poważnie. Jeśli chodzi o położenie Żydów, doświadczała ambiwalentnych uczuć. Jako studentka Uniwersytetu Chicagowskiego знаła

„subtelna, podskórną propagandę obejmującą studentów niższych lat”, która narzucała postawę wrogości wobec Żydów^[123]. Martha stwierdziła, „że nawet liczni profesorowie uczelni mieli za złe swoim żydowskim kolegom i studentom ich wybitne dokonania”. O sobie samej mówiła: „Byłam umiarkowanie antysemicka w następującym sensie: akceptowałam pogląd, że Żydzi są fizycznie mniej atrakcyjni niż Aryjczycy i że powinno się z nimi utrzymywać mniej stosunków towarzyskich”^[124]. Skłaniała się także do opinii, że Żydzi – choć z pewnością genialni – są przede wszystkim bogaci i arogancy. Było to zgodne z przekonaniami zaskakująco dużej części społeczeństwa amerykańskiego, co wykazały sondaże przeprowadzone w latach 30. XX wieku, kiedy to sztuka badania opinii publicznej zaczynała stawiać pierwsze kroki. Według jednego z nich 41 procent ankietowanych uważało, że Żydzi w Stanach Zjednoczonych mają „zbyt dużo władzy”^[125]; inny wykazał, że jedna piąta respondentów pragnęła „wyrzucić ich z USA” (badania przeprowadzone kilka dekad później, w 2009 roku, pokazały, że ogólna liczba Amerykanów uważających Żydów za zbyt potężnych skurczyła się do 13 procent)^[126].

Jedna ze szkolnych koleżanek porównała Marthę do Scarlett O'Hary i opisała ją jako „kobietę czarującą – pociągającą blondynkę o błyszczących niebieskich oczach i bladej, półprzezroczystej skórze”^[127]. Martha uważała się za pisarkę i miała nadzieję na zrobienie kariery autorki opowiadań i powieści. Sandburg zachęcał ją do tego. „Masz odpowiednią po temu osobowość”^[128] – pisał. „Czas, samotność, moźół – oto wszystkie najważniejsze staroświeckie rekwizyty, jakich Ci potrzeba; wszystko inne posiadasz, aby zostać pisarką”. Wkrótce po wyjeździe rodziny Doddów do Berlina Sandburg poinstruował Marthę, aby robiła notatki, by zapisywała dosłownie wszystko. Sugerował: „Masz reagować na wszelkie wezwanie do sporządzenia krótkich impresji, niespodziewanie rodzących się liryk, które z taką łatwością wydajesz z siebie”. Ale przede wszystkim zachęcał ją, żeby „dowiedziała się, jakiego rodzaju człowiekiem jest ten Hitler, co mu siedzi w głowie, z czego zrobione są jego kości i krew”^[129].

Rad pożegnalnych udzielił Marcie także Thornton Wilder^[130]. Ostrzegał ją przed pisanem do gazet codziennych, ponieważ tego rodzaju „chałtura” może zniszczyć stan skupienia potrzebny do stworzenia rzeczy poważnych. Zalecał prowadzenie dziennika „zdarzeń zwyczajnych – plotek, opinii ludzi w czasach zamętu”. W przyszłości, pisał, dziennik ten „stanowić będzie przedmiot Twojego najwyższego zainteresowania, a także – och, mój Boże – mego”. Niektórzy przyjaciele Marthy uważali, że tych dwoje łączył jakiś romans, jednak w rzeczywistości sympatie Wildera skierowane były gdzie indziej. Martha trzymała jego zdjęcie w swoim medalionie^[131].

Drugiego dnia na morzu Dodd, spacerując po pokładzie „Washingtona”, zauważył znajomą twarz

rabina Wise'a, jednego z przywódców żydowskich, którego poznał trzy dni wcześniej w Nowym Jorku. Tygodniową morską podróż spędzili razem, dyskutując o Niemczech „sześć razy albo więcej”^[132], jak informował Wise jednego z innych liderów żydowskich, Juliana W. Macka, sędziego federalnego sądu apelacyjnego. „Był ogromnie życzliwy i kordialny, godny zaufania”^[133].

Jak to miał w zwyczaju, Dodd rozwodził się nad historią Ameryki, a w pewnej chwili oświadczył rabinowi Wise'owi: „Nie można napisać pełnej prawdy o Jeffersonie i Waszyngtonie – ludzie nie są na to gotowi, trzeba ich dopiero przygotować”^[134].

Słowa te wproważyły Wise'a w zdumienie; uznał je za „jedyną przykrą nutę tego tygodnia”. Wyjaśniał: „Jeśli ludzi trzeba przygotowywać na przyjęcie prawdy o Jeffersonie i Waszyngtonie, to co robi [Dodd] z prawdą o Hitlerze, kiedy już ją pozna, z perspektywy swojego oficjalnego stanowiska?”.

Wise kontynuował: „Ilekcję sugerowałem mu, że największą przysługę swojej ojczyźnie, a także Niemcom, wyświadczyłby, mówiąc kanclerzowi po prostu prawdę, jasno przekazując mu, że opinia publiczna, opinia świata chrześcijańskiego i różnych środowisk politycznych zwróciła się przeciwko Niemcom (...), niezmiennie odpowiadał: »Nie mogę tego obiecać, zanim nie porozmawiam z Hitlerem; jeśli okaże się, że będę mógł to uczynić, porozmawiam z nim szczerze i powiem wszystko«”.

Po licznych rozmowach z Doddem na pokładzie statku Wise doszedł do wniosku, że „W.E.D. czuje się upoważniony do kultywowania amerykańskiego liberalizmu w Niemczech”. Cytował ostatnią uwagę Dodda: „Sprawa będzie poważna, jeśli mi się nie uda – poważna dla przyszłości liberalizmu i wszystkiego, za czym opowiada się prezydent, za czym opowiadam się ja sam”.

Wydaje się, że istotnie Dodd zaczął już wtedy postrzegać swoją rolę ambasadora jako kogoś więcej niżli tylko zwykłego obserwatora i sprawozdawcy zdarzeń. Wierzył, iż dzięki rozumowi i sile przykładu uda mu się wpłynąć na Hitlera i jego rząd stabilizująco, a jednocześnie wytrącić Amerykę z jej izolacjonistycznego kursu i skierować ku większemu zaangażowaniu na scenie międzynarodowej. Najlepsza metoda realizacji tego projektu, jak sądził, to jak najgłębiej wczuć się w sytuację, odstąpić od osądzania i starać się zrozumieć niemiecki punkt widzenia, wedle którego cały świat sprzysiągł się przeciwko Niemcom. Do pewnego stopnia Dodd się z tym zgadzał. W swoim notatniku napisał, że traktat wersalski, tak Hitlerowi wstrętny, był „w wielu punktach niesprawiedliwy, podobnie jak inne traktaty kończące wojny”^[135]. Jego córka Martha pisze o tym w swoich pamiętnikach znacznie dosadniej, stwierdzając, iż Dodd ów traktat „potępiał”^[136].

Jako urodzony historyk Dodd wyrobił w sobie wiarę w przyrodzoną rodzajowi ludzkiemu racjonalność oraz w to, że rozsądek i perswazja zwyciężą, zwłaszcza jeśli chodzi o powstrzymanie nazistów od prześladowania Żydów.

Swojemu koledze, zastępcy sekretarza stanu nazwiskiem R. Walton Moore, powiedział, że wolałby zrezygnować ze stanowiska, niż „być tylko figurantem zajmującym się protokołem i zabawami towarzyskimi”^[137].

Rodzina Doddów przybyła do Niemiec w czwartek 13 lipca 1933 roku. Dodd błędnie zakładał, że wszystkie kwestie organizacyjne związane z ich przyjazdem zostały wcześniej załatwione^[138]. Kiedy jednak po długim i zmudnym żeglowaniu w górę Łaby zesłi w Hamburgu na ląd, stwierdzili, że nikt z ambasady nie zarezerwował im nawet biletów na pociąg do Berlina, nie mówiąc o przysługującym im całym wagonie. W doku powitał ich radca ambasady George Gordon, po czym pospieszenie zajął przedział w starym zwykłym pociągu; był on odległym wspomnieniem sławnego „Latającego Hamburgczyka”, który drogę do Berlina pokonywał w zaledwie dwie godziny. Kolejny problem wiązał się z należącym do rodziny chevroletem. Bill planował pojechać nim do Berlina, nie wypełnił jednak wcześniej stosownych dokumentów umożliwiających sprowadzenie auta ze statku i korzystanie zeń na niemieckich drogach. Kiedy problem ten został wreszcie załatwiony, Bill ruszył do stolicy. Tymczasem Dodd naprędce odpowiadał na pytania grupy dziennikarzy, w której znajdował się współpracownik żydowskiej gazety „Hamburger Israelitisches Familienblatt”^[139]. Człowiek ten opublikował potem artykuł z tezą, że główną misją Dodda w Niemczech jest powstrzymanie prześladowań Żydów – stało się zatem dokładnie to, czego Dodd miał ogromną nadzieję uniknąć.

Popołudnie mijało, a Doddowie czuli coraz większą antypatię do radcy Gordona. W hierarchii służbowej w ambasadzie zajmował drugą pozycję. Nadzorował kadrę pierwszych i drugich sekretarzy, stenografek, archiwistów, szyfrantów i różnego rodzaju innych pracowników – grupę liczącą w sumie ponad 20 osób. Był sztywny, arogancki, odziany jak XIX-wieczny arystokrata^[140]. Nosił laskę. Miał podkreścone wąsy, cerę rumianą i wypieki na twarzy, które jeden z urzędników nazwał oznaką jego „bardzo cholerycznego temperamentu”^[141]. Przemawiał w sposób, który Martha opisała jako „spięty, uprzejmy i zdecydowanie protekcyjny”^[142]. Gordon nie czynił najmniejszych wysiłków, aby ukryć swoją wzdargę dla prostej powierzchowności rodziny Doddów ani swoje niezadowolenie z faktu, że przyjechali sami, bez batalionu lokajów, pokojówek i szoferów. Poprzedni ambasador, Sackett, o wiele bardziej odpowiadał gustom Gordona – był bogaty, a w swej berlińskiej rezydencji miał 10 służących. Martha odnosiła wrażenie, że dla Gordona jej rodzina należała do klasy istot ludzkich, „z którymi on sam starał się nie mieć nic wspólnego chyba przez większość swego dorosłego życia”^[143].

Martha podróżowała w jednym przedziale z matką, pośród bukietów kwiatów wręczonych im w doku na powitanie. Pani Dodd – Mattie^[144] – była niespokojna i przygnębiona. Przeczukiwała

nadchodzące „obowiązki i zmianę w stylu życia”, jak wspominała Martha. Martha złożyła głowę na ramieniu matki i wkrótce zasnęła.

Dodd siedział z Gordonem w osobnym przedziale i omawiał sprawy ambasady oraz politykę niemiecką. Gordon ostrzegł Dodda, że jego skromność i oszczędność oraz postanowienie utrzymania się ze środków Departamentu Stanu mogą okazać się przeszkodą w nawiązaniu relacji z rządem hitlerowskim. Dodd nie jest już tylko profesorem uniwersytetu, przypominał Gordon. Jest ważnym dyplomatą, stojącym w obliczu aroganckiego reżimu, który uznaje tylko siłę. Życie codzienne Dodda i jego postawa muszą ulec zmianie.

Pociąg sunął przez ładne miasteczka i lesiste wąwozy, ostro rysujące się w popołudniowym świetle; po blisko trzech godzinach dotarł do wielkiego Berlina i skończył wreszcie bieg na Lehrter Bahnhof, nad zakolem Sprewy, w samym sercu miasta. Budynek stacji, z kolebkowym sklepieniem i rzędami łukowatych okien – jeden z pięciu głównych dworców kolejowych stolicy Niemiec – górował nad otoczeniem niczym katedra.

Na peronie na Doddów czekał tłum pragnących ich poznać Amerykanów i Niemców, w tym urzędnicy niemieckiego MSZ oraz reporterzy zbrojni w aparaty fotograficzne z lampami błyskowymi. Energiczny mężczyzna średniej budowy ciała, mający około 168 centymetrów wzrostu – „oschły, cedzący słowa, porywczy człowiek”^[145], jak opisywał go później historyk i dyplomata George Kennan – wystąpił nagle do przodu i przedstawił się. Był to George Messersmith, konsul generalny, urzędnik służby dyplomatycznej, którego przydługawe depesze Dodd czytał podczas pobytu w Waszyngtonie. Martha i jej ojciec polubili go z miejsca, widząc w nim człowieka zasad, prostodusznego, kogoś, z kim można się zaprzyjaźnić – ocena ta miała później ulec zasadniczej zmianie.

Messersmith odwzajemnił ową sympatię. „Dodd spodobał mi się od razu” – pisał^[146]. „Jego zachowanie i postawa były bardzo naturalne”. Zanotował jednak, że Dodd „sprawia wrażenie dość delikatnego”.

W tłumie osób witających go na peronie Dodd zauważył także dwie kobiety, które w ciągu najbliższych kilku lat miały odgrywać istotną rolę w życiu jego rodziny; jedna z nich była Niemką, druga Amerykanką ze stanu Wisconsin, która poślubiła członka jednej z najwybitniejszych dynastii akademickich w Niemczech.

Niemka nazywała się Bella Fromm – „ciocia Voss”. Była felietonistką zajmującą się tematami społecznymi w bardzo szanowanej gazecie „Vossische Zeitung”, jednym z dwustu dzienników wciąż jeszcze wydawanych w Berlinie, który – w przeciwieństwie do większości z nich – wciąż cieszył się pewną niezależnością. Fromm odznaczała się figurą o pełnych kształtach i niemalą urodą, miała niesamowite oczy – onyksowe pod czarnymi łukami brwi w kształcie skrzydeł mewy, o żrenicach częściowo ukrytych pod rzęsami, co nadawało jej wygląd sceptyczno-intelektualny. Ufali jej niemal

wszyscy członkowie korpusu dyplomatycznego akredytowanego w mieście, a także wyżsi rangą członkowie partii nazistowskiej, co było sporym osiągnięciem, wzięwszy pod uwagę fakt, iż była Żydówką. Bella Fromm utrzymywała, że ma swoje źródło w samym ścisłym kierownictwie rządu Hitlera, dzięki któremu dysponuje ostrzeżeniami o zamierzonych akcjach Rzeszy. Była bliską przyjaciółką Messersmitha; jej córka, Gonny, mówiła do niego „wujku”.

W swoim pamiętniku Fromm odnotowała pierwsze wrażenia ze spotkania z rodziną Doddów. Martha, pisała, wydaje się „doskonałym przykładem inteligentnej młodej Amerykanki”^[147]. O ambasadorze mówiła, że: „Wyglądem przypomina uczonego”^[148]. Jego oschłe poczucie humoru pociąga mnie. Jest spostrzegawczy i precyzyjny^[149]. Jak mi powiedział, nauczył się kochać Niemcy, kiedy studiował w Lipsku, i zamierza podjąć wszelkie starania, aby zbudować szczere relacje przyjaźni między nimi i jego krajem”.

Dodała: „Mam nadzieję, że ani jego wysiłki, ani wysiłki prezydenta Stanów Zjednoczonych nie pójdą na marne”.

Drugą z kobiet, Amerykanką, była Mildred Fish Harnack, przedstawicielka American Women's Club w Berlinie. Pod każdym względem stanowiła fizyczne przeciwieństwo Belli Fromm – wysmukła, blondwłosa, eteryczna, powściągliwa. Martha i Mildred polubiły się natychmiast. Mildred zanotowała potem, że Martha „jest komunikatywna, pojętna, naprawdę chce zrozumieć świat. Dlatego nasze zainteresowania zbiegają się”. Czula, że odnalazła bratnią duszę, „kobietę, która poważniej interesuje się pisaniem”^[150]. Samotność i izolacja w pracy jest prawdziwym utrudnieniem. Idee stymulują idee, a miłość do pisania jest zaraźliwa”.

Również Martha była pod wrażeniem Mildred. „Coś mnie w niej od razu ujęło” – pisała^[151]. Mildred stanowiła pociągającą kombinację siły i delikatności. „Nie paliła się do zabierania głosu i wyrażania opinii; spokojnie słuchała, jej wielkie szaroniebieskie oczy pozostawały poważne, (...) rozważające, szacujące, próbujące zrozumieć”. Radca Gordon ulokował Marthę w samochodzie razem z młodym sekretarzem protokołu, wyznaczonym jako jej towarzystwo w drodze do hotelu, w którym Doddowie mieli zamieszkać dopóty, dopóki nie znajdą odpowiedniego domu do wynajęcia. Rodzice podróżowali osobno z Gordonem, Messersmithem i jego żoną. Samochód Marthy zmierzał na południe, przeciął Sprewę i zbliżał się do centrum.

Widziała długie proste bulwary, które przywodziły na myśl surowość ulic Chicago, ale na tym wszelkie podobieństwo się kończyło^[152]. Tam w każdy dzień roboczy przemieszczała się pomiędzy wielkimi drapaczami chmur, tu zaś większość budynków była raczej niska; ich średnia wysokość wynosiła jakieś pięć pięter, co nadawało miastu charakter spłaszczony, poziomy. W znacznej części budowie sprawiała wrażenie starych, ale kilka o szklanych ścianach, płaskich dachach i zakrzywionych fasadach wyglądało na nowe. Stanowiły dzieła Waltera Gropiusa, Brunona Tauta i

Ericha Mendelssohna, którzy zostali potępieni przez nazistów jako dekadenci, komuniści oraz – co nieuniknione – Żydzi. Miasto tętniło różnorodnością barw i energią. Uwagę zwracały piętrowe omnibusy, wagony kolejki S-Bahn, jaskrawe tramwaje, strzelające oślepiająco błękitnymi iskrami. Tu i ówdzie przemieszczały się ekskluzywne automobile, w większości lakierowane na czarno, ale także na czerwono, kremowo i granatowo, wyglądające dość obco: opel 4/16 PS, horch z groźnym emblematem łuku i strzały na masce, wszechobecny mercedes, czarny, niski, wykończony chromem. Sam Joseph Goebbels poczuł się zmuszony opisać prozą energię tego miasta, widoczną w jednej z najbardziej ruchliwych arterii handlowych, Kurfürstendamm, aczkolwiek celem eseju nie była pochwała, lecz potępienie owej ulicy, którą określił jako „miejski wrzód”. „Dzwonią dzwonki tramwajów, hałasują klaksony autobusów, wypchanych po brzegi ludźmi, ciszą ludzi, na szklistym asfalcie pomrukuje taksówki i eleganckie prywatne automobile”^[153] – pisał. „Wokół unosi się zapach ciężkich perfum. Ladacznice uśmiechają się spod zmyślnego makijażu kobiet modnych, tak zwani mężczyźni przechadzają się tam i z powrotem, błyszczą monokle, lśnią sztuczne kamienie i prawdziwa biżuteria”. Berlin, pisał, to „kamienna pustynia”, pełna grzechu i zepsucia, zamieszkała przez ludność „zmierzającą z uśmiechem do grobu”.

Młody urzędnik protokołu wskazywał na różne charakterystyczne punkty miasta. Martha zadawała jedno pytanie za drugim, nieświadoma faktu, że wystawia cierpliwość urzędnika na ciężką próbę. Na samym początku podróży przejeżdżali przez duży plac, przy którym wznosił się ogromny budynek ze śląskiego piaskowca, z wieżami wysokości 61 metrów w każdym z czterech narożników, zbudowany w stylu, który jeden ze słynnych przewodników Karla Baedekera określił jako „kwiecisty renesans włoski”. Był to budynek Reichstagu, zbierało się w nim niemieckie ciało ustawodawcze aż do pożaru sprzed czterech miesięcy. W związku z tym wydarzeniem aresztowano młodego Holendra – byłego komunistę nazwiskiem Marinus van der Lubbe – pod zarzutem podpalenia, a także czterech innych podejrzanych o współudział, choć wysoce prawdopodobna plotka głosiła, iż ogień podłożyli sami naziści, ażeby wzbudzić lęk przed rewolucją bolszewicką i w ten sposób uzyskać poparcie społeczne dla zawieszenia wolności obywatelskich oraz zniszczenia Komunistycznej Partii Niemiec. O zbliżającym się procesie dyskutował cały Berlin.

Martha była zdumiona. Inaczej niż się spodziewała na podstawie doniesień medialnych, budynek wydawał się nietknięty. Wieże wciąż stały, fasada nie nosiła żadnych oznak pożaru. „Och, myślałam, że został spalony!”^[154] – wykrzyknęła, gdy ich samochód mijał budowlę. „Wygląda w porządku. Proszę opowiedzieć, co się stało”.

Po kilku tego rodzaju oznakach ekspresji emocjonalnej, które sama Martha uznała za nieroztropne, urzędnik protokołu nachylił się ku niej i wysyczał: „Szszsz! Młoda damo, musi się pani nauczyć zachowywać milczenie”^[155]. Nie wolno pani tyle mówić i zadawać tylu pytań. To nie Ameryka, nie można wypowiadać wszystkiego, co się myśli”.

Przez resztę podróży Martha się nie odzywała. Dotarłszy do hotelu Esplanade, stojącego przy cienieściej i uroczej Bellevuestrasse, Martha i jej rodzice obejrżeli kwatere, którą znalazł im sam Messersmith.

Dodd był zbulwersowany, Martha zachwycona.

Hotel należał do najlepszych w Berlinie, miał gigantyczne żyrandole i kominki, dwa dziedzińce z przeszklonym dachem, z których jeden – Palmowy – słynął z urządzanych tu wieczorków tanecznych, a także jako miejsce, w którym berlińczycy mieli pierwszą sposobność zatańczenia charlestona. Gościli tu niegdyś Greta Garbo i Charlie Chaplin^[156]. Messersmith zarezerwował Apartament Cesarski, zespół pokoi, w skład którego wchodziła wielka sypialnia z podwójnym łóżkiem i prywatną łazienką, dwie jednoosobowe sypialnie, także z własnymi łazienkami, salonik i pokój konferencyjny, wszystkie po stronie parzystej korytarza, poczynwszy od numeru 116 do 124^[157]. Ściany dwóch jadalni pokrywał atlas. Apartament przenikały zapachy wiosny wydzielane przez kwiaty nadesłane tu jako prezenty powitalne od sympatyków; przyniesiono ich takie mnóstwo, wspominała Martha, „że niemal nie można się było ruszyć – orchidee i rzadkie pachnące lilie, kwiaty wszelkich barw i kształtów”^[158]. Po wejściu do apartamentu zanotowała: „Zaparlo nam dech na widok tego przepychu”.

Lecz przepych ten kolidował z jeffersońskimi zasadami demokracji, które Dodd wyznawał przez całe życie. Jeszcze przed przyjazdem do Berlina dał jasno do zrozumienia, że chce „skromnej kwatery w najskromniejszym hotelu”^[159], jak zapisał Messersmith. O ile Messersmith rozumiał pragnienie Dodda, aby mieszkać „możliwie niepozornie i skromnie”, to jednak wiedział też, że „wysocy urzędnicy niemieccy oraz zwykli Niemcy tego nie rozumieją”.

Był też inny czynnik. Dyplomaci amerykańscy oraz przedstawiciele Departamentu Stanu zawsze zatrzymywali się w hotelu Esplanade. Postąpić inaczej oznaczałoby otwarcie pogwałcić zarówno protokół, jak i tradycję. Rodzina zainstalowała się w nowym miejscu^[160]. Billa i jego chevroleta spodziewano się dopiero za jakiś czas. Dodd położył się w sypialni z książką w ręku. Dla Marthy wszystko to było czymś absolutnie nowym, trudnym do ogarnięcia. Kartki od sympatyków nadchodziły bez przerwy, dostarczano wciąż nowe kwiaty. Wraz z matką siedziały sparaliżowane otaczającym całą rodzinę luksusem, „zastanawiając się desperacko, jaką cenę przyjdzie za to wszystko zapłacić bez zaprzędania własnych dusz”.

Wieczorem wszyscy nieco przyszli do siebie; zeszli do hotelowej restauracji na kolację, podczas której Dodd musiał odświeżyć swój niemiecki, w typowy dla siebie oschły sposób starając się żartować z kelnerami^[161]. Był, jak napisała Martha, „w prześwietnym humorze”. Kelnerzy, nawykli raczej do władczych manier światowych dygnitarzy i nazistowskich urzędników, nie bardzo wiedzieli, jak reagować; w rezultacie przyjęli postawę do tego stopnia uprzejmą, że Martha uznała

ją za niemal służalczą. Jedzenie było dobre, stwierdziła, ale ciężkie, typowo niemieckie, dlatego zażywała sobie, by poszli po kolacji na spacer.

Po wyjściu na zewnątrz Doddowie skręcili w lewo w Bellevuestrasse i weszli w cień rzucany przez drzewa oraz półmrok rozpraszany przez uliczne latarnie. Przyćmione światła późnego wieczoru nasunęły Marcie wspomnienie sennych amerykańskich osiedli wiejskich. Nie widać było żadnych żołnierzy ani policjantów. Noc wydawała się cicha i cudowna; „wszystko” – zanotowała – „było pełne spokoju, romantyzmu, dziwne i nostalgiczne”.

Šli dalej aż do końca ulicy, po czym przecięli niewielki placyk i weszli do Tiergarten, berlińskiego odpowiednika Central Parku. Nazwa ta, w dosłownym tłumaczeniu oznaczająca „zwierzyńiec” lub „ogród zwierząt”, nawiązywała do odległej przeszłości owego miejsca, będącego królewskim rezerwatem łowieckim. Dziś park o powierzchni 259 hektarów, porośnięty drzewami i poprzecinany ścieżkami spacerowymi i rowerowymi, rozciągał się na zachód od Bramy Brandenburskiej ku zamożnej dzielnicy mieszkalno-handlowej Charlottenburg. Jego granicę północną wyznaczała Sprewa, w południowo-zachodnim rogu znajdowało się słynne berlińskie zoo. Szczególny powab miało to miejsce nocą. „W Tiergarten” – pisał pewien dyplomata brytyjski – „wśród drobnych drzew migocą małe lampy, a trawa usiana jest świetlikami tysięcy papierosów”^[162].

Rodzina Doddów weszła w Siegesallee – Aleję Zwycięstwa – z rzędem 96 posągów i popiersi dawnych przywódców Prus, między innymi Fryderyka Wielkiego, rozmaitych pomniejszych Fryderyków oraz przebrzmiałych sław, takich jak Albrecht Niedźwiedź, Henryk II Dziecię czy Otto V Leniwy. Berlińczycy nazywali ich *Puppen* – lalki. Dodd rozwodził się nad życiem każdej z tych osób, dowodząc szczegółowej wiedzy historycznej dotyczącej Niemiec, jaką posiadał był jeszcze w Lipsku trzy dekady wcześniej. Martha zauważyła, że pierchły wszystkie złe przecucia. „Jestem pewna, że był to jeden z najszcześniejszych wieczorów, jakie spędziłyśmy w Niemczech”^[163] – napisała. „Wszyscy byliśmy pełni radości i spokoju”.

Jej ojciec kochał Niemcy od czasów swojego pobytu w Lipsku, kiedy to pewna młoda kobieta przynosiła mu do pokoju świeże fiołki. Owej pierwszej nocy, idąc Aleją Zwycięstwa, także Martha poczuła, że zaczyna odczuwać sympatię do tego kraju. Miasto, panująca w nim atmosfera, nie miały nic wspólnego z tym, o czym donosiły media amerykańskie i na co ją przygotowywały. „Miałam wrażenie, że prasa wstrętne oczerńiała ten kraj, i chciałam głosić o cieple i życzliwości tutejszych ludzi, urodzić owej cichej letniej nocy, pełnej zapachów drzew i kwiatów, spokoju panującym na ulicach”^[164].

Był 13 lipca 1933 roku.

[121] tamże, s. 10.

[122] tamże, s. 5.

[123] tamże, s. 5.

[124] Breitman i Kraut, s. 88.

[125] Anti-Defamation League 2009, ADL.org.

[126] Vanden Heuvel, s. 225.

[127] Sandburg, skrzynka nr 63, dokumentacja W. E. Dodda.

[128] tamże.

[129] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 16–17.

[130] Wilder w liście do Marthy, brak daty, skrzynka nr 63, dokumentacja W. E. Dodda.

W liście z 15 IX 1933 Wilder pisał: „Widzę podniebne loty” – wyraźnie nawiązanie do załotów, jakie kierował wobec Marthy Ernst Udet, as lotnictwa z czasów I wojny światowej i łowca przygód – „a morze tańczy i gra jakby w jakimś filmie; widzę rzeński (niebawem jesienny) spacer w najbardziej jesiennym ze wszystkich wspaniałych parków. Ale nie widzę, jaka jesteś naprawdę, kiedy jesteś sama – albo tylko z rodziną – albo sam na sam z maszyną do pisania. Twoje listy s. tak pełne życia, że mój umysł nie jest już w stanie dostrzec niczego więcej”.

Jego listy do niej zaczynają się różnie, na przykład: „Droga Martho”, „Piękna Miła”, „Droga Martha-la-Belle”.

„Jesteśmy oboje ładaco” – napisał w kwietniu 1935 roku – „niedorzecznie irytujące ładaco, przeznaczeni sobie jako przyjaciele”.

[131] Brysac, s. 142.

[132] Wise, *Servant*, s. 191–192.

[133] tamże.

[134] tamże.

[135] Dodd, *Dziennik*, s. 241.

[136] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 12.

[137] Bailey, s. 150.

[138] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 20.

[139] tamże, s. 20; Dodd, *Dziennik*, s. 12.

[140] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 20–21.

[141] Messersmith „Niektóre uwagi na temat mianowania doktora Williama Dodda ambasadorem w Berlinie”, niepublikowany pamiętnik, s. 8, dokumentacja Messersmitha.

[142] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 20.

[143] tamże, s. 21.

[144] tamże, s. 21.

[145] Breitman i Kraut, s. 40.

[146] Messersmith „Niektóre uwagi na temat mianowania doktora Williama Dodda ambasadorem w Berlinie”, niepublikowany pamiętnik, s. 3, dokumentacja Messersmitha.

[147] Fromm, s. 121.

[148] tamże, s. 120.

[149] Brysac, s. 141.

[150] tamże.

[151] niepublikowany pamiętnik, s. 3. skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

[152] Powinienem dawać przypis do każdego uroczego cytatu w tym dość długim akapicie, ale szczerze mówiąc, byłoby to zbyt nużące i raczej mało sensowne. Proszę mi zatem pozwolić, że skieruję czytelnika do kilku materiałów źródłowych, dzięki którym miałem żywe odczucie przebywania w dawnym Berlinie: Ladd *The Ghosts of Berlin*; Friedrich *Before the Deluge*; Richie *Faust's Metropolis*; Gill *Voluptuous Panic*. Zachęcam każdego, kto pragnie zdobyć jeszcze większą wiedzę o Berlinie, do odwiedzenia [YouTube.com](https://www.youtube.com) i odszukania „Symfonii Wielkiego Miasta”. Będzie zachwycony.

[153] Kaes i inni, s. 560–562.

[154] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 22.

[155] tamże, s. 22.

[156] Kreuder, s. 26.

Kreudera „kulturalna historia” hotelu Esplanade zawiera liczne fotografie obiektu sprzed II wojny światowej i tuż po niej. Obecnie budowla stanowi architektoniczną ciekawostkę ukrytą za ścianą ze szkła. Więcej na ten temat można przeczytać w rozdziale o materiałach źródłowych do książki.

[157] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 22; konkretne numery pokoiów można znaleźć w piśmie od hotelu Esplanade do George’a Gordona, 6 VII 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[158] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 22.

[159] Messersmith „Niektóre uwagi na temat mianowania doktora Williama Dodda ambasadorem w Berlinie”, niepublikowany pamiętnik, s. 2, dokumentacja Messersmitha.

[160] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 22–23.

[161] tamże, s. 23–24.

[162] Kaes i inni, s. 425.

[163] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 23.

[164] tamże, s. 24.

CZEŚĆ II
W POSZUKIWANIU DOMU
W TRZECIEJ RZESZY



Ambasador Dodd za biurkiem

Rozdział 6

Uwiedzenie

W pierwszych dniach pobytu w Berlinie Martha przeziębila się. Leżącą w łóżku i dochodzącą do zdrowia w hotelu Esplanade odwiedziła Amerykanka Sigrid Schultz, która przez ostatnie 14 lat pracowała jako berlińska korespondentka „Chicago Tribune”, dawnego pracodawcy Marthy; obecnie pełniła funkcję szefowej korespondentów na Europę Środkową. Schultz skończyła 40 lat, miała 160 centymetrów wzrostu – tak jak Martha – i była niebieskooką blondynką. „Niecokorpulentna”^[165] – zapisała Martha – „z grzywą złotych włosów”. Mimo tuszy i wyglądu cherubina wśród innych korespondentów prasowych i nazistowskich dostojników Schultz cieszyła się opinią nieustępliwej, bezpośredniej i absolutnie nieustraszonej. Jej nazwisko figurowało na liście zaproszeń każdego dyplomaty, regularnie bywała na przyjęciach urządzanych przez Goebbelsa, Göringa i innych przywódców nazistowskich. Göring znajdował perwersyjną przyjemność w nazywaniu jej „smoczą z Chicago”^[166].

Martha i pani Schultz gawędziły zrazu o rzeczach bez znaczenia, wkrótce jednak rozmowa zesłała na temat wyraźnych zmian, jakie zaszły w Berlinie w ciągu ostatniego półrocza, to jest od chwili mianowania Hitlera kanclerzem. Schultz opowiadała o przypadkach stosowania przemocy wobec Żydów, komunistów oraz wszystkich, których naziści podejrzewali o brak sympatii do siebie. Nieraz ofiarami byli także obywatele amerykańscy.

Martha odparła, że Niemcy przechodzą przeciw historycznemu odrodzeniu. Incydenty, które z pewnością miały miejsce, to tylko nieumyślny przejaw dzikiego entuzjazmu ogarniającego cały kraj. W ciągu tych paru dni, jakie minęły od jej przyjazdu, Martha nie dostrzegła niczego, co potwierdzałoby opowieści pani Schultz.

Ta jednak nie ustępowała, powołując się na kolejne przykłady pobić i arbitralnego

przetrzymania ludzi w „dzikich” obozach – tworzonych naprędce pod kontrolą nazistowskich bojówek paramilitarnych aresztach, które mnożyły się na terenie całego kraju – a także w oficjalnych miejscach odosobnienia, zwanych już wtedy obozami koncentracyjnymi. Termin niemiecki brzmiał *Konzentrationslager*, czyli KZ. Otwarcie jednego z nich odbyło się w dniu 22 marca 1933 roku^[167], a jego istnienie ujawnił podczas konferencji prasowej 32-letni były hodowca kurczaków, mianowany komendantem monachijskiej policji, Heinrich Himmler. Obóz zajmował teren byłej fabryki broni nieopodal Monachium (parę chwil jazdy pociągiem), w sąsiedztwie uroczej wsi Dachau; przebywały w nim obecnie setki, a może nawet tysiące więźniów – nikt tego nie wiedział – aresztowanych nie pod żadnymi konkretnymi zarzutami, lecz w celu „zatrzymania przewencyjnego”. Nie byli to Żydzi (jeszcze nie), raczej komuniści oraz członkowie liberalnej Partii Socjaldemokratycznej, wszyscy poddani surowej dyscyplinie.

Martha zaczynała się denerwować w miarę, jak relacja pani Schultz coraz bardziej odzierała jej słoneczny obraz świata ze złudzeń, mimo to Schultz jej się podobała; córka ambasadora dostrzegała też fakt, że mogłaby być ona cenną znajomością, biorąc pod uwagę jej szerokie kontakty wśród dziennikarzy i dyplomatów. Rozstały się w przyjaźni, Martha jednak nie zmieniła zdania, że rozgrywające się wokół niej rewolucyjne przemiany mają charakter heroiczny i wyłonią z siebie nowe, zdrowe Niemcy.

„Nie wierzyłam w te wszystkie jej opowieści”^[168] – napisała później. – „Sądziłam, że przesadza i lekko histeryzuje”.

Kiedy Martha wychodziła z hotelu, nie widziała nigdzie żadnych oznak przemocy, nikogo kulącego się ze strachu, żadnych prześladowań. Miasto było cudowne. To, co Goebbels potępiał, ją wprawiało w zachwyt. Po krótkim spacerze na prawo od hotelu, z dala od chłodnej zieleni Tiergarten, dotarła do Potsdamer Platz, jednego z najbardziej ruchliwych skrzyżowań na świecie, ze słynną pięciokierunkową sygnalizacją świetlną, którą uważano za pierwsze tego typu urządzenie w Europie. W Berlinie było tylko 120 tysięcy aut, wydawało się jednak, że wszystkie zebrały się w tym momencie właśnie tutaj, niczym pszczoły w ulu. Wir samochodów i ludzi można było obserwować z ustawionego na chodniku stolika w Josty Café. Wznoszący się nieopodal Haus Vaterland, pięciopiętrowy klub nocny, mieścił 6 tysięcy osób w 12 restauracjach i barach. W jednym z nich, o nazwie Wild West (Dziki Zachód), kelnerzy chodzili w ogromnych kowbojskich kapeluszach, w innym, Tarasie Win Reńskich, co godzina goście doświadczali imitacji burzy z piorunami i błyskawicami tudzież – ku niezadowoleniu kobiet noszących na sobie prawdziwe jedwabie – niewielkich opadów deszczu. „Jakież młodzieńcze, bez troskie, romantyczne, »całonocno-impresowe«, cudowne miejsce!”^[169] – napisał jeden z gości. „To najweselsze miejsce w Berlinie”.

Dla 24-letniej kobiety, wolnej od obciążeń związanych z pracą i trosk finansowych, mającej wkrótce zakończyć nieudane małżeństwo, Berlin jawił się miejscem niezwykle atrakcyjnym. Już po

kilku dniach Martha umówiła się na „herbatkę” ze sławnym amerykańskim korespondentem H.R. Knickerbockerem – przez przyjaciół zwanym „Knikiem” – który pisywał do „New York Evening Post”^[170]. Spotkali się w hotelu Eden, owym niesławnym Edenie, w którym w 1919 roku niemal załuczono komunistyczną wichrzycielkę Różę Luksemburg, zanim wywieziono ją do przyległego parku Tiergarten i zabito.

Martha i Knick tańczyli w herbaciarni hotelu Eden. On był chudy i niski, miał rude włosy i brązowe oczy, prowadził ją po parkiecie umiejętnie i z gracją. Rozmowa zeszła na tematy niemieckie, co było nieuniknione. Podobnie jak Sigrid Schultz, Knickerbocker starał się choć trochę uświadomić Marthę co do bieżącej polityki i charakteru nowego przywództwa Niemiec. Martha nie była zainteresowana i rozmowa zeszła na inny temat. Zniewalał ją widok otaczających ją Niemców i Niemek. Z zachwytem obserwowała „ich zabawny, sztywny sposób tańczenia, niezrozumiały, gardłowy język, proste gesty, naturalne zachowanie i dziecinną radość życia”^[171].

Lubiła Niemców poznanych do tej pory – z pewnością bardziej niż Francuzów, z którymi miała do czynienia podczas studiów w Paryżu. W przeciwieństwie do tych ostatnich, pisała, Niemcy „nie są złodziejami, nie są samolubni, nie są niecierpliwi, zimni ani wyniośli”^[172].

Marthy pozytywny ogłód rzeczywistości podzielała większość osób odwiedzających Niemcy, zwłaszcza Berlin. Jest faktem, że większość dzielnic miasta wyglądała i funkcjonowała normalnie, jak zawsze. Handlarz sprzedający cygara przed hotelem Adlon, przy Unter den Linden 1, wykonywał swoją pracę jak zwykle. (Hitler wciąż unikał owego hotelu – wołał pobliski Kaiserhof). Każdego poranka Niemcy tłoczyli się w Tiergarten, wielu z nich wybierało się na konne przejażdżki, tysiące innych docierało do centrum pociągami i tramwajami z dzielnic takich jak Wedding czy Onkel Toms Hütte. Ładnie ubrani mężczyźni i kobiety siedzieli w Romanisches Café, pijąc kawę i wino, paląc papierosy i cygara, ostro dowcipkując w sposób, z którego berlińczycy słynęli – była to tzw. *Berliner Schnauze*, czyli „berlińska morda”^[173]. W kabarecie Katakombe Werner Finck wciąż jeszcze naśmiewał się z nowego reżimu, mimo ryzyka aresztowania. Podczas jednego z występów ktoś z publiczności nazwał go „wszawym Żydkiem”, na co Finck odpowiedział: „Nie jestem Żydem. Ja tylko wyglądam inteligentnie”^[174]. Publiczność wybuchnęła gromkim śmiechem.

Dobre czasy wciąż były dobre. „Słońce świeci”^[175] – pisał Christopher Isherwood w swojej książce *Berlin Stories* – „a Hitler włada miastem. Słońce świeci, a dziesiątki moich przyjaciół (...) siedzą w więzieniach, może nawet nie żyją”. Panująca w mieście normalność była urzekająca. „Widzę odbicie mojej twarzy w szybie wystawowej i zszokowany stwierdzam, że się uśmiecham” – pisał dalej Isherwood. „Przy tak pięknej pogodzie nie można się nie uśmiechać”. Tramwaje kursowały jak zawsze, jak zawsze ulicami miasta wędrowali ludzie; wszystko wokół tchnęło

„klimatem niezwykle żądry, uderzającym podobieństwem do czegoś, co pamięta się jako normalną i sympatyczną przeszłość – jak bardzo dobrą fotografię”.

Jednakże tak naprawdę Niemcy przechodzili raptowną i głęboką przemianę, która zaczynała sięgać także do życia codziennego. Zachodziła w sposób utajony, wymykając się powierzchownym obserwacjom. Jej jądrem była rządowa kampania o nazwie *Gleichschaltung* – czyli

„koordynacja”^[176], polegająca na podporządkowaniu obywateli, ministerstw rządowych, uniwersytetów, instytucji społecznych i kulturalnych narodowosocjalistycznej wizji świata.

Proces „koordynacji” przebiegał ze zdumiewającą szybkością, nawet w tych dziedzinach życia, które nie podlegały bezpośrednio konkretnym przepisom, ponieważ Niemcy chętnie poddawali się władzy nazistów; zjawisko to nazwano *Selbgleichschaltung*, czyli „samokoordynacją”^[177]. Zmiany w Niemczech następowały tak szybko i na tak szerokim froncie, że obywatele niemieccy, którzy wyjeżdżali z kraju w interesach albo w celach turystycznych, po powrocie stwierdzali, iż wokół zmieniło się naprawdę wiele; jak gdyby byli postaciami z jakiegoś horroru, które nagle odkrywają, że ich dawni przyjaciele, klienci czy pacjenci stali się niezauważalnie kimś całkiem innym. Gerda Laufer^[178], socjalistka, pisała, że czuła się „głęboko wstrząśnięta, gdy ludzie, których uważała za przyjaciół i których znała od dawna, z godziny na godzinę przechodzili aż taką przemianę”.

Śąsiedzi zaczęli się do siebie wrogo odnosić; drobne konflikty rozpały się tak, że stały się powodem składania donosów do SA (Oddziałów Szturmowych) bądź nowo powstałej Geheime Staatspolizei, którą dopiero zaczynało rozpoznawać po jej akronimie Gestapo (GEheime STAatsPOLizei). Wymyślił go pewien urzędnik pocztowy, starając się znaleźć mniej oczywistą nazwę identyfikującą istotę tej instytucji^[179]. Na postrzeganie Gestapo jako organizacji wszechwładzącej i skrajnie groźnej wpływ miały dwa występujące jednocześnie zjawiska: po pierwsze polityczny klimat, w którym najmniejsza krytyka rządzących mogła się skończyć aresztowaniem, i po drugie społeczna gotowość nie tylko do podporządkowania się i zgłajszachtowania, lecz także do wykorzystania nazistów jako instrumentu zaspokajania indywidualnej chęci odegrania się na innych. Badania próbki prowadzonej przez nazistów dokumentacji wykazały, że na przykład w grupie 213 denuncjatorów 37 procent nie kierowało się wcale głębokimi przekonaniami politycznymi, lecz motywami osobistymi, a powody ich działań okazywały się często szokująco trywialne^[180]. I tak w październiku 1933 roku sprzedawca w sklepie spożywczym doniósł na swoją drażliwą klientkę, która upierała się, że powinna otrzymać 3 fenigi reszty^[181]. Sprzedawca ów oskarżył ją o niepłacenie podatków. Niemcy wydawali jeden drugiego z takim zapalem, że wyżsi dygnitarze nazistowscy prosili ludność o zwracanie większej uwagi, czy okoliczności sprawy faktycznie usprawiedliwiają złożenie donosu na policji. Sam Hitler przyznawał w rozmowie z ministrem sprawiedliwości: „Żyjemy obecnie w morzu denuncjacji i ludzkiej podłości”^[182].

Centralnym elementem planu koordynacji było wprowadzenie do przepisów niemieckiego kodeksu służby cywilnej tak zwanej „klausuli aryjskiej”, która skutecznie uniemożliwiała zatrudnianie Żydów na stanowiskach państwowych. Jeszcze inne przepisy oraz lokalne animozje sprawiały, że Żydzi nie mogli wykonywać zawodów lekarza i prawnika. O ile restrykcje te były bardzo uciążliwe i dramatyczne w skutkach dla Żydów, o tyle na turystach i innych przypadkowych obserwatorach robiły bardzo niewielkie wrażenie, częściowo dlatego, że w Niemczech mieszkało bardzo mało Żydów. W dniu 1 stycznia 1933 roku w 65-milionowym społeczeństwie niemieckim stanowili zaledwie około 1 procentu; żyli głównie w dużych miastach, co oznacza, że na pozostałym obszarze kraju ich obecność była ledwo zauważalna^[183]. Niemal jedna trzecia – trochę ponad 160 tysięcy – mieszkała w Berlinie, co stanowiło niecałe 4 procent ogólnej liczby mieszkańców, wynoszącej 4,2 miliona. Wielu z nich miało domy w osobnych dzielnicach, które nie leżały zazwyczaj na trasie zwiedzania typowego turysty.

A jednak nawet Żydzi, i to liczni, nie rozumieli istoty tego, co się wokół nich działo. Pojęło to zaledwie 50 tysięcy tych, którzy wyjechali z Niemiec w ciągu paru tygodni po objęciu władzy przez Hitlera, większość jednak została. „Niemal nikt nie sądził, że groźby wobec Żydów należy traktować poważnie”^[184] – konstatował Carl Zuckmayer, pisarz żydowski. „Nawet Żydzi uważali dzikie antysemityczne tyrady nazistów wyłącznie za instrument propagandowy, który zniknie natychmiast po objęciu steru rządów przez nazistów, kiedy poczują ciężar powierzonej im odpowiedzialności za sprawy publiczne”. Choć popularna wśród aktywistów SA piosenka nosiła tytuł *Gdy żydowska krew tryska z mego noża*, jeszcze przed przybyciem rodziny Doddów przemoc wobec Żydów zaczęła tracić na sile. Zdarzały się sporadyczne i odosobnione incydenty. „Otucha przychodziła łatwo”^[185] – pisał historyk John Dippel w pracy odpowiadającej na pytanie, dlaczego tak wielu Żydów pozostało w Niemczech. „Z pozoru życie codzienne nie uległo zmianie po dojściu Hitlera do władzy. Nazistowskie ataki na Żydów były jak letnie burze z piorunami: przychodziły szybko i prędko mijały, pozostawiając po sobie upiorny spokój”.

Najbardziej widoczną oznaką prowadzonej kampanii koordynacyjnej było nagle pojawienie się hitlerowskiego pozdrowienia – *Hitlergruss*. Stanowiło to dla reszty świata takie novum, że konsul generalny Messersmith poświęcił mu całą osobną depeszę, datowaną na 8 sierpnia 1933 roku. Pozdrowienie to, pisał, nie ma współczesnego precedensu, chyba że weźmiemy wymóg salutowania przez żołnierzy wyższym od nich rangą oficerom^[186]. Unikalne było to, że pozdrowienie obowiązywało każdego, nawet podczas najzwyczajniejszych spotkań z innymi ludźmi. Sklepiarze mieli salutować klientom. Od dzieci wymagano, aby kilka razy dziennie pozdrawiały w ten sposób nauczycieli. Na zakończenie przedstawień teatralnych nowo ustanowiony zwyczaj nakazywał, aby publiczność wstała i uniosła ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, po czym najpierw zaśpiewała

niemiecki hymn narodowy zaczynający się od słów *Deutschland über Alles* (Niemcy ponad wszystko), a następnie hymn SA *Horst Wessel Lied* (Pieśń Horsta Wessela) – utwór na cześć zbira z SA zabitego przez komunistów, którego następnie propaganda nazistowska przemianowała na bohatera. Niemcy tak gorliwie przyjęli ów zwyczaj, że akt ustawicznego pozdrawiania stał się wręcz komiczny, zwłaszcza na korytarzach budynków użyteczności publicznej, gdzie wszyscy – od gońca po najwyższych oficjeli – salutowali sobie nawzajem (*Heil*), zmieniając w ten sposób zwykłe wyjście do toalety w męczącą wyprawę.

Messersmith odmawiał salutowania i ograniczał się do stawiania na baczność, rozumiał jednak, że dla zwykłych Niemców to za mało. Niekiedy nawet on odczuwał silną chęć podporządkowania się. Na zakończenie uroczystego obiadu, na jaki zaproszono go w portowym mieście Kilonia, wszyscy goście wstali i z uniesionymi rękoma zaśpiewali hymn narodowy, a następnie *Pieśń Horsta Wessela*. Messersmith stał w postawie wyrażającej szacunek, tak samo, jak gdyby słuchał w Ameryce *Guiaździstego sztandaru*. Wielu innych gości, w tym liczni członkowie SA, patrzyło nań podejrzliwie i szeptało między sobą, jakby próbowali ustalić, kim jest. „Czułem, że mam sporo szczęścia, iż wszystko to dzieje się za zamkniętymi drzwiami, wśród ludzi raczej inteligentnych”^[187] – zanotował – „gdyby bowiem miało to miejsce gdzieś podczas ulicznego zgromadzenia albo na jakiejś demonstracji, nikt by mnie nie pytał, kim jestem, i bez dwóch zdań zostałbym sponiewierany”. Messersmith radził Amerykanom, żeby starali się antycypować moment intonowania pieśni i salutowania i opuszczać dane miejsce wcześniej.

Nie znajdował nic zabawnego w tym, że ambasador Dodd od czasu do czasu salutował mu prześmiewczo^[188].

W drugim tygodniu pobytu w Berlinie Martha odkryła, że nie rozstała się ze swoją przeszłością tak nieodwołalnie, jak sądziła.

Jej mąż Bassett pojawił się w mieście w ramach – jak nazywał to na własny użytek – „misji berlińskiej”, mając nadzieję, że odzyska swoją żonę.

Zatrzymał się w hotelu Adlon. Spotkali się kilka razy, ale Bassett nie miał szans na pełne leż zbliżenie kochanków, na które liczył. Martha traktowała go raczej z ciepłą obojętnością.

„Pamiętasz, jak jechaliśmy na rowerach przez park?”^[189] – napisał do niej później. „Byłaś miła, ale czułem, że coś się między nami zmieniło”.

Na domiar złego pod koniec swojej wizyty Bassett mocno się przeziębził. Leżał plackiem w łóżku; Martha odwiedziła go wtedy ostatni raz przed jego wyjazdem.

Bassett rozumiał, że misja berlińska spaliła na panewce w chwili, gdy Martha weszła do pokoju. Przyprowdziła ze sobą brata, Billa.

Był to wyraz niezamierzonego okrucieństwa. Martha wiedziała, że Basset właściwie

zinterpretuje ów fakt. Czuła się zmęczona; kochała go kiedyś, ale w ich związku zbyt wiele było nieporozumień i konfliktów. Tam, gdzie dawniej gorzała miłość, jak ujęła to Martha, teraz żarzyły się ledwie „niedopałki” – a to zbyt mało.

Bassett zrozumiał. „Miałas dość”^[190] – pisał. „Któż mógłby mieć o to do Ciebie pretensje!”

Wysłał Marcie kwiaty, co było wyrazem kapitulacji. Na dołączonym bilecie napisał: „Mojej uroczej i ślicznej byłej żonie”^[191].

Wyjechał do Ameryki, do Larchmont w Nowym Jorku, do życia na przedmieściach, strzyżonego trawnika, wypielegnowanych buków na dziedzińcu za domem, wieczornych drinków i imprez, na które przychodzi się z własnym jedzeniem, codziennych dojazdów pociągiem do pracy w banku. Napisał później: „Nie jestem pewien, czy byłabyś szczęśliwa jako żona kierownika jakiegoś banku, który myśli prawie wyłącznie o akredytowach, wychowując gromadkę dzieci, chodząc na wywiadówki i tak dalej”^[192].

Znajomość Marthy z Sigrid Schultz szybko zaczęła przynosić owoce. Schultz wydała na cześć Marthy przyjęcie powitalne 23 lipca 1933 roku, na które zaprosiła wielu swoich bliskich przyjaciół, w tym innego korespondenta, Quentina Reynoldsa, pracującego dla „Hearst News Service”. Martha i Reynolds z miejsca przypadli sobie do gustu. On był wielki i wesoły, miał kręcone włosy i oczy, które wyglądały, jakby zamierzał zaraz się roześmiać – choć cieszył się też opinią surowego realisty, człowieka sceptycznego i bystrego.

Spotkali się ponownie pięć dni później w barze hotelu Esplanade; Marcie towarzyszył jej brat Bill. Podobnie jak pani Schultz, Reynolds znał wszystkich. Zdołał zaprzyjaźnić się z wieloma nazistowskimi dygnitarzami, w tym zausznikiem samego Hitlera o trudnym do wymówienia nazwisku Ernst Franz Sedgwick Hanfstaengl. Ów absolwent Harvardu, którego matka była Amerykanką, grywał nocami dla Hitlera na fortepianie, aby ukoić nerwy dyktatora^[193]. Ale nie Mozarta czy Bacha. Przeważnie Wagnera i Verdiego, Liszta i Griega, a czasem Straussa i Szopena.

Martha pragnęła go poznać; Reynolds wiedział, że jeden ze znanych mu korespondentów planuje urządzić przyjęcie, na które zaproszono także Hanfstaengla. Zaproponował Marcie, że weźmie ją ze sobą.

^[165] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 24.

^[166] Schultz, „*Dragon*”, s. 113.

^[167] Stackelberg i Winkle, s. 145.

Jeśli chodzi o tzw. dzikie obozy, KZ i im podobne, zob. Krausnick i inni, s. 400, 410, 419; Richie

s. 412; Fritzsche s. 43; Fest, s. 115–116; Kershaw *Hybris* s. 462, 464; Deschner s. 79. Na dzień 31 VII 1933 w areszcie prewencyjnym przetrzymywano 26 789 osób, według książki Krausnicka i innych, s. 410.

[168] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 24.

[169] de Jonge, s. 140.

[170] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 24.

[171] tamże, s. 24.

[172] tamże, s. 25.

[173] Jelavich, s. 31.

[174] Grunberger, s. 371; de Jonge, s. 161; więcej informacji o Fincku zob. Jelavich, s. 236–241, 248.

[175] Isherwood, *Berlin Stories*, s. 207.

Nigdy zbyt wiele podkreślania, że panująca w owym czasie w Niemczech pozorna normalność była dla przybyszów niebywale zwodnicza. Angela Schwarz w artykule „Brytyjczycy odwiedzający narodowosocjalistyczne Niemcy” pisze, że „znaczna liczba podróżujących Brytyjczyków stwierdzała, zwiedziwszy

Trzecią Rzeszę, czasem nawet w ramach wycieczek organizowanych przez władze, że w Niemczech panują całkowity spokój i cisza”. Schwarz, s. 497.

[176] Orłow, s. 29; Bullock, s. 149; Kershaw *Hybris*, s. 479; Hughes i Mann, s. 81; Gill, s. 238.

Engelmann na s. 36 swojej pracy proponuje nieco odmienne tłumaczenie: „zrównanie szeregów”. Orłow, w swojej *Historii partii nazistowskiej* zauważa, iż dosłownie termin ten znaczy „zniwelować”, czyli jest wyrażeniem o charakterze fizycznym, „odnoszącym się do zrównoważenia różnych typów prądów elektrycznych”. Orłow, s. 29.

[177] Kershaw, *Hybris*, s. 481; Gisevius, s. 96; Gellately *Gestapo*, s. 11, 137.

[178] Gellately, *Gestapo*, s. 97.

[179] Crankshaw, s. 15.

[180] cytat za książką Gellately’ego *Gestapo*, s. 146.

[181] Gellately, *Gestapo*, s. 137–138.

[182] tamże, s. 139.

Jeśli chodzi o Gestapo, nie było w nim nic zabawnego, ale fakt ten nie powstrzymywał berlińczyków od wymyślania i opowiadania – po cichu, bardzo po cichu – dowcipów dotyczących tajnej policji. Oto jeden z nich: „Pewnego dnia na przejściu granicznym z Belgią pojawia się tłum

królików podających się za zbiegów politycznych. »Gestapo chce aresztować wszystkie żyrafy jako wrogów państwa«. – »Przecież wy nie jesteście żyrafami!« – »Wiemy, ale spróbujcie to wyjaśnić Gestapo!«». Evans *Power*, s. 106.

[183] Dippel, s. XVIII; Gill, s. 238.

Kershaw w swojej książce *Popular Opinion and Political Dissent* przedstawia statystyki, wedle których 70,9 procent niemieckich Żydów żyło w miastach liczących ponad 100 tysięcy mieszkańców. W Bawarii odsetek ten wynosił 49,5. „Z tego faktu wynika co najmniej jeden oczywisty wniosek” – pisze. „Otóż populacja wielkich obszarów Bawarii nie miała albo żadnej, albo tylko minimalną styczność z Żydami. Dla bardzo wielu ludzi »kwestia żydowska« nie miała znaczenia większego niż tylko abstrakcyjne”. Kershaw, *Popular Opinion*, s. 226–227.

[184] Zuckmayer, s. 320.

[185] Dippel, s. 153.

[186] Messersmith w liście do Hulla, 8 VIII 1933, dokumentacja Messersmitha.

[187] tamże, s. 4.

[188] Martha w liście do Thorntona Wildera, 25 IX 1933, dokumentacja Wildera.

[189] George Bassett Roberts w liście do Marthy, 22 X 1971, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[190] tamże.

[191] George Bassett Roberts w liście do Marthy, brak daty, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[192] George Bassett Roberts w liście do Marthy, 22 X 1971, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[193] Conradi, s. 22.

Rozdział 7

Ukryty konflikt

Każdego ranka Dodd udawał się pieszo z hotelu Esplanade do swojego biura; spacer biegnącą wzdłuż Tiergarten ulicą, stanowiącą południową granicę parku, zajmował mu 15 minut. Po jej stronie południowej stały rezydencje, otoczone bujnymi ogrodami i ogrodzeniami z kutego żelaza, należące do różnych ambasad i konsulatów; ku północy rozciągał się park, z gęstwiną drzew i posągów, a także ścieżkami tonącymi w atramentowym cieniu poranka. Dodd nazywał go „najpiękniejszym parkiem, jaki kiedykolwiek widział”^[194], a spacer szybko stał się jego ulubionym elementem dnia. Biura ambasadora mieściły się w kancelarii usytuowanej przy jednej z sąsiadujących z parkiem ulic, zwanej Bendlerstrasse; tu także znajdował się „Bendler Block”, zespół przysadzistych jasnych budynków, które służyły za kwatery główną sztabu regularnej armii niemieckiej – reichswery.

Zdjęcie zrobione mniej więcej w pierwszym tygodniu urzędowania Dodda w Berlinie przedstawia go podczas pracy, w biurze, siedzącego za wielkim, misternie rzeźbionym biurkiem, na tle niebotycznie wysokiego gobelinu na ścianie, z wielkim skomplikowanym aparatem telefonicznym po jego lewej ręce, umieszczonym w odległości około półtora metra od fotela. Jest w tej fotografii coś komicznego: Dodd, bardzo szczupły, w sztywnym białym kołnierzyku, z pomadą na włosach, przyjąwszy narzuconą pozę, patrzy z surowym wyrazem twarzy w obiektyw, straszliwie przygnieciony otaczającym go przepychem. Zdjęcie wzbudziło w Departamencie Stanu niemałą wesołość u tych, którzy byli przeciwni mianowaniu Dodda ambasadorem. Podsekretarz Phillips zakończył list do Dodda słowami: „Pańska fotografia za biurkiem, na tle fantastycznego gobelinu, nie przestaje krążyć, wywołując ogromne wrażenie”^[195].

Choć chwila zdawał się Dodd naruszać niektóre z panujących w ambasadzie obyczajów, przynajmniej w oczach swojego radcy George’a Gordona. Nalegał, żeby na spotkania z

przedstawicielami władz chodzić pieszo. Składając wizytę w pobliskiej ambasadzie Hiszpanii, zmusił raz Gordona, by poszedł wraz z nim – obaj ubrani byli w bonzurki i mieli jedwabne kapelusze. W liście do Thorntona Wildera, wspominając tę scenę, Martha napisała, iż Gordon „zgiął się we dwoje w ataku apopleksji”^[196]. Jeśli Dodd wybierał się gdzieś samochodem, korzystał z prywatnego chevroleta, niezbyt pasującego do opli i mercedesów, ulubionych przez dygnitarzy Rzeszy. Ubrał się w zwykłe garnitury. Rzucił sarkastyczne żarciki. W poniedziałek 24 lipca popełnił wyjątkowo skandaliczny czyn. Konsul generalny Messersmith zaprosił Dodda i Gordona na spotkanie z przybywającym do Niemiec amerykańskim kongresmanem, które miało się odbyć w biurze Messersmitha w konsulacie Stanów Zjednoczonych, zajmującym dwa dolne piętra budynku naprzeciw hotelu Esplanade. Dodd przybył do biura Messersmitha przed Gordonem; kilka minut później zadzwonił telefon. Słuchając słów Messersmitha rzucanych do słuchawki, Dodd zdołał się zorientować, że Gordon odmawia przyścia na spotkanie. Powód: czysta uraza. Zdaniem Gordona Dodd „zdegradował” siebie i swoją placówkę, zniżając się do spotkania z człowiekiem pomniejszej rangi. Dodd zauważył w swoim pamiętniku: „Gordon to człowiek niezwykle pracowity, odznaczający się przywiązaniem do konwenansów posuniętych do n-tej potęgi”^[197].

Dodd nie mógł od razu wręczyć swoich referencji – „listów uwierzytelniających” – prezydentowi Hindenburgowi, jak wymaga tego protokół dyplomatyczny, ponieważ Hindenburg, czując się niezdrowy, udał się do swej posiadłości w Neudeck w Prusach Wschodnich w celu nabrania sił; jego powrotu spodziewano się dopiero pod koniec lata. Dlatego też Dodd nie został jeszcze oficjalnie uznany za ambasadora. Ów okres spokoju wykorzystywał na zapoznanie się z tak podstawowymi rzeczami, jak obsługa telefonów w ambasadzie, kody telegraficzne, godziny odpraw poczty dyplomatycznej. Spotkał się z grupą korespondentów amerykańskich, a następnie z blisko 20 dziennikarzami niemieckimi, którzy – jak się Dodd obawiał – czytali artykuł w żydowskiej gazecie „Hamburger Israelitisches Familienblatt” o treści sugerującej, że „przybył do Niemiec w celu naprawienia krzywd wyrządzonych Żydom”^[198]. Dodd odczytał w ich obecności – jak sam je nazwał – „krótkie dementi”.

Nie trzeba było długo czekać, by mógł poczuć, z czym wiąże się życie w nowych Niemczech. Już pierwszego pełnego dnia jego pobytu w Berlinie rząd hitlerowski uchwalił nowe zarządzenie, wchodzące w życie 1 stycznia 1934 roku, zwane profilaktyką rozprzestrzeniania się chorób dziedzicznych^[199]. Umożliwiała ono sterylizację osób cierpiących na różne choroby psychiczne i fizyczne ułomności. Dodd dowiedział się również, że cały personel ambasady i konsulatu Messersmitha jest przekonany, iż władze niemieckie kontrolują pocztę przychodzącą i wychodzącą^[200]. Skłoniło to Messersmitha do przedsięwzięcia nadzwyczajnych środków w celu zabezpieczenia najbardziej wrażliwej korespondencji, tak aby docierała do Ameryki nietknięta.

Obecnie konsul generalny wysyłał gońców, którzy dostarczali pocztę bezpośrednią do rąk kapitanów statków wypływających do Ameryki, na których w kraju czekali agenci^[201].

Jednym z pierwszych zadań, jakie Dodd postawił przed sobą, było rozpoznanie silnych i słabych stron pracowników ambasady, to znaczy pierwszych i drugich sekretarzy, rozmaitych urzędników, stenografów oraz tych wszystkich, którzy pracowali poza kancelarią. Już na samym początku stwierdził, że ich podejście do pracy jest co najmniej niewłaściwe. Starszy personel zjawiał się na stanowiskach o dowolnej porze, kierując się własną wygodą, i od czasu do czasu zniknął na jakimś polowaniu albo w klubie golfowym. Niemal wszyscy, jak ustalił Dodd, należeli do klubu golfowego w dzielnicy Wannsee, na południowy zachód od centrum Berlina. Wielu pracowników ambasady było ludźmi zamożnymi z domu, zgodnie z tradycją służby dyplomatycznej, i wydawało pieniądze beztrząsco, zarówno swoje własne, jak i te należące do placówki. Szczególne oburzenie Dorda wywołały sumy przeznaczone na międzynarodowe depesze telegraficzne. Przesyłano wiadomości długie, chaotyczne i przez to niepotrzebnie drogie.

W notatkach do raportu na temat personelu Dodd umieścił krótkie opisy najważniejszych pracowników^[202]. Odnosił, że żona radcy Gordona ma „wysokie dochody”, a on sam jest człowiekiem wybuchowym. „Emocjonalny. Zbyt wrogo nastawiony do Niemców (...), irytuje się często i przesadnie”. W szkicu poświęconym jednemu z pierwszych sekretarzy ambasady, człowiekowi zamożnemu, Dodd umieścił stenograficzną uwagę, iż „uwiłbia on wydawać opinie na temat koloru męskich skarpet”. Dodd zauważył, że kobieta prowadząca recepcję ambasady, Julia Swope Lewin, słabo radzi sobie z obowiązkami, ponieważ jest „bardzo antyniemiecka”, a to nieodpowiednia cecha „dla kogoś przyjmującego wizyty i telefony od Niemców”.

Ponadto zapoznał się (w zarysie) z krajobrazem politycznym poza murami ambasady. Świat przedstawiony w depeszach Messersmitha nagle ożył, istniał za oknami, pod jasnym letnim niebem. Wszędzie widniały sztandary o uderzającej kombinacji barw: czerwone tło, biały okrąg i gruby czarny „łamany krzyż”, czyli *Hakenkreuz*, w samym środku. Wtedy jeszcze w ambasadzie nie używano terminu „swastyka”. Dodd uczył się znaczenia różnych kolorów ubrań, jakie mieli na sobie spotykani podczas spaceru ludzie. Mundury brązowe, niemal wszechobecne, nosili członkowie Oddziałów Szturmowych, czyli SA; czarne – mniejsza, elitarna grupa zwana *Schutzstaffel*, czyli SS; niebieskie – regularna policja. Dodd dowiedział się również o rosnącym w siłę Gestapo i jego młodym szefie, Rudolffie Dielsie. Diels był szczupły, o ciemnej karnacji, uważany za przystojnego mimo szeregu blizn na twarzy, które zdobył, kiedy podczas studiów wdał się w pojedynek na szpady – był to dawny zwyczaj młodych Niemców pragnących udowodnić swoje męstwo. Mimo groźnej powierzchowności pasującej do czarnego charakteru w jakimś niskobudżetowym filmie Diels zdążył już udowodnić, że jest człowiekiem prawnym, użytecznym i racjonalnym – jak twierdził Messersmith,

podczas gdy jego przełożeni, Hitler, Göring i Goebbels, zdecydowanie tacy nie byli.

Także pod wieloma innymi względami ów nowy świat okazał się o wiele bardziej skomplikowany, niż Dodd oczekiwał.

Na hitlerowskim rządzie tworzyła się rysa. Hitler był kanclerzem od 30 stycznia 1933 roku. Został powołany na to stanowisko przez prezydenta Hindenburga w ramach układu politycznego wypracowanego przez starszych polityków konserwatywnych, wierzących, że zdołają utrzymać nad nim kontrolę. Zanim jeszcze Dodd przybył do Niemiec, stało się jasne, że oczekiwania te są iluzoryczne. Hindenburg – powszechnie nazywany Starym Gentlemanem – pozostawał ostatnią przeciwwagą dla rządu Hitlera; na kilka dni przed podróżą Dodda prezydent obwieścił publicznie swoje niezadowolenie z podejmowanych przez Hitlera prób zdławienia Kościoła protestanckiego. Deklarując się jako „chrześcijanin ewangelik”^[203] Hindenburg w liście otwartym do Hitlera alarmował o rosnącym „zagrożeniu dla wewnętrznej wolności Kościoła”; pisał dalej, że jeśli sprawy nadal będą bieły w tym kierunku, „oznaczać to będzie najpoważniejsze szkody dla naszego narodu i ojczyzny, a także zniszczenie narodowej jedności”. Oprócz konstytucyjnych uprawnień do mianowania nowego kanclerza Hindenburg miał też władzę nad lojalną wobec niego regularną armią – reichswerą. Hitler rozumiał, że jeśli kraj znów zacznie osuwać się w chaos, Hindenburg może poczuć się zmuszony zmienić rząd i wprowadzić stan wyjątkowy. Zdawał sobie ponadto sprawę, iż najbardziej prawdopodobną przyczyną ewentualnej destabilizacji wewnętrznej może być SA kierowane przez jego kolegę i wieloletniego sprzymierzeńca, kapitana Ernsta Röhma^[204]. Coraz częściej Hitler postrzegał SA jako niezdyscyplinowaną i radykalną siłę, w dodatku już zbędną. Stanowisko Röhma było dokładnie przeciwne: to on i jego Oddziały Szturmowe odegrały kluczową rolę w przygotowaniu narodowosocjalistycznej rewolucji, teraz zaś – w nagrodę – pragnęły kontroli nad wszystkimi siłami militarnymi w kraju, włącznie z reichswerą. Armia uznała tę perspektywę za odrażającą. Otyły, gburowaty, jawnie homoseksualny i bezgranicznie rozpustny Röhm nie miał w sobie nic z żołnierskiej postawy szanowanej przez armię^[205]. Dowodził jednakże szybko rosnącym legionem, w którego skład wchodziło ponad milion ludzi. Stan osobowy regularnej armii wynosił zaledwie jedną dziesiątą tej liczby, była ona jednak znacznie lepiej wyszkolona i uzbrojona. Konflikt tlił się.

Dodd uznał, że także w samym rządzie dostrzega nową, zdecydowanie bardziej umiarkowaną orientację, przynajmniej w porównaniu z Hitlerem, Göringiem i Goebbelsem. Jej przedstawicieli określił jako „dojrzewających do wielkiej gry o przywództwo międzynarodowe”^[206]. Był to drugi szereg – ministrowie, którzy budzili nadzieję. „Ludzie ci pragną zakończyć wszelkie prześladowania Żydów”^[207], współpracować z resztkami niemieckich liberałów – pisał. „Od dnia naszego przyjazdu toczy się walka między tymi grupami”.

Opinia Dodd opierała się w dużej mierze na jednym z pierwszych jego spotkań z niemieckim ministrem spraw zagranicznych Konstantinem Freiherrem von Neurath, którego Dodd – przynajmniej na razie – postrzegał jako przedstawiciela obozu umiarkowanego.

W sobotę 15 lipca Dodd złożył Neurathowi wizytę w jego ministerstwie przy Wilhelmstrasse – bulwarze biegnącym równolegle do wschodniej granicy Tiergarten. Miało tu siedziby tak wiele kluczowych urzędów Rzeszy, że nazwa „Wilhelmstrasse” stała się wręcz synonimem niemieckiego rządu.

Neurath był przystojnym mężczyzną o srebrzystoszarych włosach, ciemnych brwiach i krótko przyciętych wąsach, co nadawało mu wygląd aktora grywającego ojców. Martha także miała go niedługo poznać; uderzyła ją zdolność ministra do maskowania wszelkich emocji: „miał twarz” – zapisała^[208] – „całkowicie pozbawioną wyrazu – twarz pokerzysty”. Podobnie jak Dodd Neurath lubił spacerować – każdy dzień rozpoczynał od przechadzki po Tiergarten.

Neurath postrzegał siebie jako trzeźwy element w rządzie i uważał, że może pomóc kontrolować Hitlera i jego partię. Jak ujął to jeden z jego kolegów ministrów: „Próbował uczyć nazistów i zmieniać ich w naprawdę usłużnych partnerów w umiarkowanie nacjonalistycznym reżimie”^[209]. Ale Neurath był także zdania, że rząd Hitlera prawdopodobnie załatwi sam siebie. „Zawsze wierzył”^[210] – zapisał jeden z jego asystentów – „że jeśli tylko pozostanie na stanowisku, będzie wypełniać swoje obowiązki i utrzymywać relacje z zagranicą, pewnego pięknego dnia obudzi się i stwierdzi, że naziści zniknęli”.

Dodd uważał Neuratha za „bardzo sympatycznego”^[211], która to opinia potwierdzała, że stara się być możliwie obiektywny wobec wszystkiego, co dzieje się w Niemczech. Ambasador zakładał, że Hitlera otaczają inni oficerowie podobnego kalibru. W liście do przyjaciela pisał: „Hitler nie będzie chciał przeciwstawiać się tym mądrym ludziom i złagodzi napięcie”^[212].

Następnego dnia około 13.30 w Lipsku, gdzie Dodd uzyskał kiedyś doktorat, młody Amerykanin nazwiskiem Philip Zuckerman wybrał się na spacer wraz ze swoją niemiecką żoną oraz jej ojcem i siostrą. Ponieważ byli Żydami, fakt ten należy uznać za nieroztropność. W ów weekend bowiem 140 tysięcy członków Oddziałów Szturmowych (SA) zalało miasto i urządziło orgię marszów, ćwiczeń oraz – rzecz jasna – pijaństwa. Przez centrum miasta przewałała się tego niedzielnego popołudnia gigantyczna parada, a nad nią powiewały nazistowskie czerwono-biało-czarne sztandary zawieszone na wszystkich chyba budynkach. O godzinie wpół do drugiej z głównej formacji wyłamała się kompania SA-manów, kierując się ku biegnącej prostopadle Nikolaistraße – alei, którą właśnie spacerowali Zuckermanowie.

Gdy oddział SA już ich prawie mijał, paru mężczyzn znajdujących się z tyłu grupy, uznawszy, że

Zuckermanowie i ich towarzysze są Żydami, otoczyło ich, bez ostrzeżenia powaliło na ziemię i spuściło na nich grad wściekłych ciosów oraz kopnięć. Po czym członkowie Oddziałów Szturmowych oddalili się.

Zuckerman i jego żona zostali poważnie ranni, na tyle, że trzeba ich było oboje hospitalizować, najpierw w Lipsku, a następnie w Berlinie, gdzie w sprawę włączył się konsulat amerykański. „Wydaje się prawdopodobne, że [Zuckerman] odniósł tak poważne obrażenia wewnętrzne, iż okazały się nieuleczalne”^[213] – napisał w swojej depeszy skierowanej do Waszyngtonu konsul generalny Messersmith. Ostrzegając, że Stany Zjednoczone mogą zostać zmuszone do wystąpienia o odszkodowanie finansowe jako zadośćuczynienie dla Zuckermana, podkreślał jednak, że oficjalnie nie można nic zrobić dla jego żony, ponieważ nie jest Amerykanką. Messersmith dodał: „Warto wspomnieć, że w wyniku ataku na jej osobę kobieta ta musiała zostać przewieziona do szpitala, gdzie usunięto jej kilkumiesięczną ciążę”^[214]. Wskutek operacji pani Zuckerman nigdy już nie będzie mogła mieć dzieci, informował Messersmith.

Tego rodzaju napaści powinny były już ustać. Teoretycznie kres im kładły dekrety rządowe, wydawało się jednak, że członkowie Oddziałów Szturmowych nie przywiązywali do nich zbytnej wagi.

W innej depeszy poświęconej tej sprawie Messersmith pisał: „Ulubioną rozrywką SA-manów jest atakowanie Żydów”^[215]. Nie można tego wyrazić inaczej jak tylko w języku potocznym, to jest, iż nie lubią oni, gdy pozbawia się ich żeru”.

Jako człowiek dobrze poinformowany Messersmith był świadom, że w nowych Niemczech dochodzi do tego typu sytuacji; tym bardziej czuł się sfrustrowany faktem, iż ludzie przybywający do tego kraju nie dostrzegają prawdziwego charakteru reżimu hitlerowskiego. Wielu turystów amerykańskich wracało do domów zdumionych dysonansem między okropnościami, o których czytali wcześniej w swoich gazetach w kraju – o pobiciach i aresztowaniach, jakie miały miejsce na wiosnę, o stosach palonych książek i o obozach koncentracyjnych – a spokojnym, miłym odpoczynkiem, którego w istocie doświadczali, podróżując po Niemczech. Jednym z owych turystów był komentator radiowy nazwiskiem H.V. Kaltenborn – Hans von Kaltenborn, urodzony w Milwaukee – który niedługo po objęciu przez Dodda stanowiska przejeżdżał przez Berlin ze swoją żoną, córką i synem. Znany jako „dziekan komentatorów” Kaltenborn pracował dla Columbia Broadcasting Service. Jego nazwisko rozpoznawano w całej Ameryce, do tego stopnia, że kilka lat później zagrał samego siebie w filmie *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu* oraz w thrillerze science fiction *Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia*. Przed wyjazdem do Niemiec Kaltenborn wstąpił do Departamentu Stanu, gdzie zezwolono mu na przeczytanie kilku depesz konsula generalnego Messersmitha. Uznał je za przesadzone. Teraz, spędziwszy cztery do pięciu dni w Berlinie,

powiedział Messersmithowi, że nadal uważa jego depesze za „nieścisłe i przerysowane”^[216]. Zasugerował, że konsul polega na niepewnych źródłach informacji.

Messersmith był zszokowany. Nie wątpił, że Kaltenborn mówi szczerze, ale wiązał opinie komentatora z faktem, że „jest on Niemcem z pochodzenia i nie może uwierzyć, że Niemcy są zdolni czynić to, co czynią codziennie, w każdej godzinie, nie tylko w Berlinie, ale i w całym kraju”^[217].

Był to problem, z którym Messersmith miał wcześniej niejednokrotnie do czynienia. Ci, którzy mieszkali w Niemczech i obserwowali rzeczywistość, rozumieli, że zachodzą fundamentalne zmiany, że kraj ogarniają ciemności. Przybysze natomiast faktów tych nie dostrzegali. Po części dlatego – jak czytamy w jednej z depesz Messersmitha – że rząd niemiecki prowadził kampanię mającą na celu „wpływanie na przybywających do Niemiec Amerykanów, tak aby wyrabiali w sobie pozytywną opinię co do sytuacji w tym kraju”^[218]. Dowodem prowadzenia takiej akcji było w oczach Messersmitha dziwne zachowanie Samuela Bossarda, Amerykanina zaatakowanego 31 sierpnia przez członków Hitlerjugend^[219]. Bossard złożył w konsulacie USA stosowne oświadczenie pod przysięgą, wielokrotnie też rozmawiał o tym incydencie, wściekły, z różnymi korespondentami w Berlinie. Aż nagle zamilkł. Messersmith zatelefonował do Bossarda tuż przed jego wyjazdem do Ameryki z pytaniem, jak się czuje; Bossard nie wykazywał chęci do rozmowy o wiadomej sprawie. Pełen podejrzeń Messersmith przeprowadził więc małe dochodzenie i ustalił, że Ministerstwo Informacji i Propagandy Rzeszy zorganizowało dla Bossarda wycieczkę po Berlinie i do Poczdamu, podczas której traktowano go z ogromną kurtuazją i atencją. Wysiłek ten zaczyna chyba przynosić owoce, zanotował Messersmith. Wedle annałów prasowych po przybyciu do Nowego Jorku Bossard oświadczył, że „jeśli Amerykanie w Niemczech stanowią obiekt jakichś ataków, to tylko wskutek nieporozumienia”^[220]. (...) Wielu Amerykanów zdaje się nie rozumieć zachodzących w Niemczech przemian, a przez swoją niezręczność zachowują się w sposób prowokujący napaści”. Zadeklarował, że powróci do Niemiec w roku następnym.

W decyzji rządu, aby znieść zakaz działalności niemieckich klubów rotariańskich, widział Messersmith przejaw szczególnej przebiegłości. Kluby te nie tylko mogły dalej istnieć; co ważniejsze, wolno im było mieć żydowskich członków. Sam Messersmith należał do berlińskiego Klubu Rotarian. „Fakt, że Żydzi wciąż mogą być członkami klubów rotariańskich, wykorzystywany jest w celach propagandowych, dla zmylenia rotarian na całym świecie” – pisał. Tymczasem prawda była taka, że wielu spośród Żydów należących do klubów pozbawiono pracy bądź uniemożliwiano im wykonywanie zawodu. W swoich depeszach Messersmith wciąż poruszał ten sam temat: przypadkowi obserwatorzy, zwykli przyjezdni nie są w stanie ani dostrzec, ani zrozumieć, co naprawdę dzieje się w nowych Niemczech. „Amerykanie przybywający do Niemiec nie będą mogli

opędzić się od różnych udogodnień oferowanych im przez władze, a czas wypełniać im będą wszelkie możliwe rozrywki – na to, żeby zorientować się w realnej sytuacji, nie będzie już szansy”.

Messersmith namawiał Kaltenborna, żeby skontaktował się z paroma amerykańskimi korespondentami w Berlinie, którzy będą mogli potwierdzić informacje zawarte w jego depeszach.

Kaltenborn odrzucił ten pomysł. O korespondentach wiedział sporo. Są uprzedzeni, oświadczył, podobnie jak uprzedzony jest Messersmith.

Kaltenborn kontynuował więc podróż, choć bardzo szybko miał zostać zmuszony – w sposób doprawdy nieodparty – do przewartościowania swoich opinii.

[194] Dodd w liście do R. Waltona Moore’a, 22 III 1936, 124.621/338, State/Decimal.

[195] Phillips w liście do Dodda, 31 VII 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[196] Martha w liście do Thorntona Wildera, 25 IX 1933, dokumentacja Wildera.

[197] Dodd, *Dziennik*, s. 16.

[198] tamże, s. 13.

[199] Friedlander, s. 496.

[200] Dodd w liście do Hulla, 17 VII 1933, 124.626/95, State/Decimal.

[201] na przykład Messersmith w liście do Hulla, 15 VII 1933, 125.1956/221, State/Decimal.

[202] Dodd, Memorandum, 1933, skrzynka nr 40 (1933-C), dokumentacja W. E. Dodda.

[203] „New York Times”, 1 VII 1933.

[204] całościowy obraz konfliktu pomiędzy Hitlerem a Röhmem przedstawiają: Evans w książce pt. *Pouer*, s. 20–26; Kershaw w *Hybris*, s. 505–507; Wheeler-Bennett w *Nemesis*, s. 307–311.

[205] Orientację seksualną Röhma potwierdziło upublicznienie jego listów do pewnego lekarza. W jednym z nich pisał: „Nie czynię tajemnicy ze swoich skłonności” i stwierdzał: partia nazistowska będzie musiała „przywyknąć do tej mojej przestępczej dziwaczności”. Napisał także: „Dziś wszystkie kobiety s. dla mnie odrażające, szczególnie te, które zadręczają mnie swoją miłością”. Hancock, s. 625–629.

[206] Dodd w liście do Newtona Bakera, 12 VIII 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[207] tamże.

[208] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 247.

[209] Heinemann, s. 66.

[210] tamże, s. 82.

[211] Dodd, *Dziennik*, s. 13.

[212] Dodd w liście do Newtona Bakera, 12 VIII 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[213] Messersmith w liście do Hulla, 9 VIII 1933, dokumentacja Messersmitha.

[214] tamże, s. 4.

[215] Messersmith w liście do Hulla, 26 VII 1933, dokumentacja Messersmitha.

[216] Messersmith „Atak na Kaltenborna”, niepublikowany pamiętnik, s. 2, dokumentacja Messersmitha.

[217] tamże.

[218] Messersmith w liście do Hulla, 26 IX 1933, s. 1, dokumentacja Messersmitha.

[219] tamże, s. 3.

[220] tamże, s. 3.

Rozdział 8

Spotkanie z Putzim

Z pomocą Sigrid Schultz i Quentina Reynoldsa Martha rado śnie zanurzyła się w życie towarzyskie Berlina. Inteligentna, zalotna, ładna, stała się ulubienicą młodszych urzędników korpusu dyplomatycznego i bardzo mile widzianym gościem nieoficjalnych przyjęć, tak zwanych „fasolowych imprez”, oraz wieczorków przy piwie urządzanych po zakończeniu dnia pracy. Regularnie bywała też na nocnych spotkaniach ponad dwudziestki korespondentów zagranicznych, odbywających się we włoskiej restauracji Die Taverne, należącej do pewnego Niemca i jego żony Belgijki^[221]. Wielki okrągły stół umieszczony w rogu sali – *Stammtisch*, czyli stół dla stałych gości – zarezerwowany był specjalnie na spotkania owego towarzystwa. Jego członkowie, w tym pani Schultz, zaczęli schodzić się około dziesiątej wieczorem i przesiadywali tam czasem aż do czwartej nad ranem. Grupa zyskała sobie pewną sławę. „Wszyscy inni goście restauracji obserwują ich i starają się podsłuchać, czego dotyczy rozmowa”^[222] – pisał Christopher Isherwood w książce *Pożegnanie z Berlinem*. „Jeśli ktoś ma dla nich jakąś nową informację – szczegóły dotyczące aresztowania, adres ofiary, której krewni mogą zgodzić się na wywiad – wtedy jeden z dziennikarzy wstaje od stołu i przechadza się z informatorem po ulicy, tam i z powrotem”. Często na gościnne występy wpadali tu pierwsi i drudzy sekretarze obcych ambasad oraz rozmaici nazistowscy oficjele odpowiedzialni za kontakty z prasą, a niekiedy nawet sam szef Gestapo Rudolf Diels. William Shirer, który został członkiem grupy nieco później, uważał Marthę za wartościowego uczestnika spotkań: „ładna, pełna życia, zaangażowana dyskusantka”^[223].

W tym nowym świecie najcenniejszą walutą były karty wizytowe^[224]. Charakter wizytówki odzwierciedlał pozycję jej właściciela, jego postrzeganie siebie oraz to, jak chciał być odbierany przez świat. Przywódcy nazistowscy mieli zawsze największe karty wizytowe, z najbardziej

imponującymi tytułami, drukowane zwykle pogrubioną czcionką, literami o wykroju gotyku. Książę Ludwik Ferdynand, syn niemieckiego *Kronprinza*, łagodny młody człowiek, który pracował w montażowni Forda w Ameryce, dysponował wizytówką najmniejszą, na której widniało tylko jego nazwisko i tytuł. Jego ojciec natomiast posługiwał się ogromnymi kartami wizytowymi ze zdjęciem oraz książecymi regaliaми umieszczonymi po jednej stronie, podczas gdy druga pozostawała pusta. Karty wizytowe miały uniwersalne zastosowanie. Notki nagryzmolone na wizytówkach służyły jako zaproszenia na kolację lub koktajl, czy choćby na schadzkę. Przekreślając swoje nazwisko na karcie wizytowej, mężczyzna lub kobieta mogli wyrażać zainteresowanie, życzliwość, a nawet intymny stosunek do danej osoby.

Martha otrzymywała i zachowywała dziesiątki wizytówek, w tym karty od księcia Ludwika (który wkrótce miał się stać jednym z jej adoratorów, a także przyjacielem), oczywiście od Sigrid Schultz oraz od Mildred Fish Harnack, obecnej na peronie w dniu, gdy przyjechała z rodzicami do Berlina. Korespondent United Press, Webb Miller, napisał na swojej wizytówce: „Jeśli nie masz nic ważniejszego do roboty, to może zjadłabyś ze mną kolację?”^[225]. Obok widniała nazwa jego hotelu i numer pokoju.

W końcu Martha poznała swojego pierwszego wysokiego rangą nazistę. Zgodnie z obietnicą Reynolds zabrał ją na przyjęcie do domu przyjaciela Anglika na „suto zakrapianą i pełną obżarstwa imprezę”^[226]. Po pewnym czasie do pokoju wdarł się wielki mężczyzna z masą kruczoczarnych włosów – „w sensacyjny sposób”^[227], jak wspominała później Martha – i zaczął rozdawać swoje wizytówki na prawo i lewo, zdecydowanie najchętniej osobom młodym i ładnym. Miał 193 centymetry wzrostu, był o głowę wyższy od większości obecnych tam mężczyzn; ważył co najmniej 115 kilogramów. Pewna kobieta opisała go kiedyś jako „absolutnie niezgrabnego – ogromną marionetkę na poluzowanych sznurkach”^[228]. Nawet pośród gwaru przyjęcia jego głos rozlegał się niczym grzmot ponad ulewą.

Był to, jak objaśnił Marthę Reynolds, Ernst Hanfstaengl. Zgodnie z napisem na wizytówce, pełnił on funkcję *Auslandspresseshefa* – kierownika wydziału do spraw prasy zagranicznej z ramienia partii narodowosocjalistycznej, chociaż tak naprawdę było to stanowisko prawie fikcyjne, pozbawione realnej władzy, ochlap rzucony przez Hitlera w podzięce za długoletnią przyjaźń Hanfstaengla, trwającą jeszcze od czasów, kiedy Hitler często bywał w jego domu.

Po dokonanej prezentacji Hanfstaengl odezwał się do Marthy: „Mów mi Putzi”. Tego przezwiska z lat dzieciństwa używali jego przyjaciele, znajomi i wszyscy akredytowani w mieście korespondenci.

O owym gigancie Martha zdążyła już sporo usłyszeć – był człowiekiem o niedającym się ani wymówić, ani przeliterować nazwisku, uwielbianym przez licznych korespondentów i dyplomatów, nielubianym i traktowanym z nieufnością przez wielu innych (w tym także George’a Messersmitha,

który przyznawał się do „instynktownego braku sympatii” dla owego człowieka^[229]. „Jest absolutnie nieszczerzy, nie można wierzyć w ani jedno jego słowo”^[230] – pisał Messersmith. „Udaje bardzo bliskiego przyjaciela wobec tych, którym stara się zaszkodzić, lub tych, których za chwilę bezpośrednio zaatakuję”.

Reynolds, znajomy Marthy, początkowo lubił Hanfstaengla. W przeciwieństwie do innych nazistów ten facet „wychodził z siebie, żeby być serdeczny dla Amerykanów”^[231], wspominał Reynolds. Hanfstaengl potrafił załatwić wywiad – bez jego pośrednictwa nigdy by do niego nie doszło; w oczach mieszkających w Berlinie korespondentów pragnął uchodzić za swojego chłopaka, „uroczego, bezceremonialnego, brata łatę”. Jednakże po pewnym czasie sympatia Reynoldsa do Hanfstaengla osłabła. „Trzeba było Putziego lepiej poznać, żeby przestać go lubić”^[232]. „A to” – pisał – „przyszło z czasem”.

Hanfstaengl mówił pięknie po angielsku. Na Harvardzie był członkiem trupy teatralnej Hasty Pudding Club^[233]; na zawsze zdobył sobie serca widowni, kiedy podczas jednego z przedstawień przebrał się za holenderską dziewczynę Gretchen Spootsfeiffer. Jego kolegą szkolnym był Teodor Roosevelt junior, najstarszy syn Teddy’ego Roosevelta – Hanfstaengl zaczął regularnie bywać w Białym Domu. Fama głosiła, że pewnego razu grał na fortepianie w podziemiach Białego Domu z taką werwą, iż zerwał siedem strun^[234]. Jako człowiek już dorosły prowadził rodzinną galerię sztuki w Nowym Jorku, gdzie poznał swoją przyszłą żonę. Po przeprowadzce do Niemiec para znalazła się w otoczeniu Hitlera – został on ojcem chrzestnym ich nowo narodzonego syna Egona. Chłopiec zwracał się do Hitlera per „wujek Dolf”^[235]. Czasami, gdy Hanfstaengl grał dla Hitlera, dyktator płakał.

Martha polubiła Hanfstaengla. Zupełnie nie kojarzył jej się z wysokim rangą nazistą, gdy „tak swobodnie roztaczał wokół swój urok i talenty”^[236]. Był wielki i pełen energii, miał gigantyczne długopalce dłonie – dłonie, które przyjaciółka Marthy Bella Fromm opisała jako „nieomal przerażających rozmiarów”^[237]. Łatwo przechodził ze skrajności w skrajność. Martha zapisала: „Miał łagodny i ujmujący sposób bycia, a także piękny głos, którego używał ze świadomym artyzmem, czasem szepcząc nisko i miękko, aby chwilę potem grzmieć echem w całej sali”^[238]. Dominował na każdym spotkaniu towarzyskim. „Potrafił wyczerpać każdego, a przez swą niezwykłą wytrwałość przekrzyć albo »przeszeptać« najsilniejszego człowieka w Berlinie”^[239].

Hanfstaengl również zagustował w Marcie, ale jej ojcu nie poświęcał zbytnej uwagi. „Ów skromny profesorek zajmujący się historią amerykańskiego Południa skąpił na wydatki ambasady, chcąc chyba zaoszczędzić trochę grosza z pensji”^[240] – napisał Hanfstaengl w pamiętniku. „W chwili

gdy potrzebowaliśmy krzepkiego milionera zdolnego stawić czoła ostentacji nazistów, on poruszał się tu niepewnie, unikając rozgłosu, jak gdyby wciąż znajdował się w kampusie swojego college'u”.

Hanfstaengl pogardliwie nazywał ambasadora „papą Doddem”^[241].

„Najlepszą rzeczą, jeśli chodzi o Dodda”^[242] – pisał Hanfstaengl – „była jego atrakcyjna blondwłosa córka Martha, którą poznałem bardzo dobrze”. Uważał ją za kobietę czarującą, pełną życia oraz niewątpliwie pociągającą seksualnie.

Co nasunęło mu pewien pomysł.

^[221] tamże, s. 7–8.

^[222] tamże, s. 15.

^[223] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 100.

^[224] Isherwood, *Berlin Stories*, s. 204.

^[225] Shirer, *Berlin Diary*, s. 34.

^[226] Podczas prac przygotowawczych do książki byłem ogromnie zaskoczony faktem, że moi główni bohaterowie tak bardzo pieczołowicie gromadzili i przechowywali karty wizytowe otrzymane podczas ich pobytu w Berlinie. Wizytówki zebrane przez Marthę – całe mnóstwo – można znaleźć w skrzynce nr 1, katalog 2, w dotyczącej jej dokumentacji w Bibliotece Kongresu. Armand Berard, jej przysły kochanek, którym tak bardzo pomiatała, zapisał na jednej ze swoich wizytówek: „Dzwoniłem do Ciebie na próżno/i przyszedłem na próżno”. Dobra przyjaciółka Marthy, Elmina Rangabe, napisała na wizytówce tajemnicze słowa: „Bądź spokojna, duszo moja, bądź spokojna; broń, którą nosisz, jest krucha” – z dzieła *Shropshire Lad* A.E. Housmana. Przekreśliła nazwisko „Rangabe”, aby uwydatnić, że łączy je bliska więź.

^[227] tamże.

^[228] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 25.

^[229] tamże, s. 25.

^[230] Dalley, s. 156.

^[231] Messersmith „Dr Hanfstaengl”, niepublikowany pamiętnik, 1, dokumentacja Messersmitha.

^[232] Messersmith w liście do Jaya Pierrepointa Moffata, 13 VI 1934, dokumentacja Messersmitha.

^[233] Reynolds, s. 107.

[234] tamże, s. 207.

[235] Hanfstaengl, s. 27, s. 32; Conradi, s. 20.

[236] Conradi, s. 21.

[237] tamże, s. 46.

Egon Hanfstaengl powiedział w wywiadzie dla londyńskiego „Sunday Telegraph” (z 27 II 2005), że Hitler był znakomitym towarzyszem zabawy. „Uwielbiałem go. Był obdarzony fantastyczną wyobraźnią, był najlepszym towarzyszem zabaw, jakiego dziecko może pragnąć. Moją ulubioną zabawą były tzw. pociągi. Hitler opierał się na rękach i kolanach, udając, że jest tunelem albo wiaduktem. Ja zaś byłem parowozem przejeżdżającym po torach pod nim. Kiedy jechałem, wydawał z siebie wszystkie dźwięki towarzyszące ciuchci parowej”.

[238] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 26.

[239] Fromm, s. 90.

[240] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 25–26.

[241] tamże, s. 26.

[242] Hanfstaengl, s. 214.

Rozdział 9

Śmierć to śmierć

Dodd starał się zachowywać obiektywizm, mimo że spotykał się z ludźmi, którzy zetknęli się z niemiecką rzeczywistością jakże inną od tej reprezentowanej przez wesołą, cętkowaną słońcem krainę, jaką przemierzał każdego ranka. Jednym z owych gości był Edgar A. Mowrer, podówczas najbardziej znany i kontrowersyjny korespondent w Berlinie. Mowrer, pracujący dla „Chicago Daily News”, napisał bestsellerową książkę pod tytułem *Niemcy cofają wskazówki zegara*, która rozłożyła dygnitarzy nazistowskich do tego stopnia, że przyjaciele zaczęli ostrzegać go przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Rząd Hitlera domagał się, aby Mowrer wyjechał z kraju. Ten pragnął pozostać, dlatego zwrócił się do Dodda z prośbą o interwencję.

Mowrer już od dawna wzbudzał gniew nazistów. Potrafił zajrzeć pod patynę codzienności i dostrzegać rzeczy, które przechodziły wszelkie pojęcie, po czym opisywać to wszystko w swoich depešach z Niemiec – przydatny mu był jego warsztat powieściopisarza. Jednym z najważniejszych źródeł informacji Mowrera był jego lekarz, Żyd, syn wielkiego rabina Berlina^[243]. Mniej więcej co dwa tygodnie Mowrer umawiał się z nim na spotkanie pod pretekstem chronicznego nieżytu gardła. Za każdym razem lekarz wręczał mu pisany na maszynie raport dotyczący najnowszych nazistowskich ekscesów; metoda ta działała dopóty, dopóki doktor nie zaczął podejrzewać, że Mowrer jest śledzony. Obaj ustalili inne miejsce spotkań: w każdą środę o godzinie 11.45 widywali się w publicznej toalecie w podziemiach Potsdamer Platz. Stawali przy sąsiadujących ze sobą pisuarach, lekarz upuszczał świeży raport, a Mowrer podnosił go z podłogi.

Putzi Hanfstaengl próbował podważyć wiarygodność Mowrera, rozpuszczając fałszywą pogłoskę, że powodem tak agresywnych w tonie artykułów pisanych przez korespondenta jest jego „ukryte” żydostwo^[244]. Faktem jest, iż podobne podejrzewania żywiła Martha. „Sądziłam, że jest Żydem”^[245]

– pisała – „i że jego wrogość to wyłącznie wyniki świadomości, do jakiej rasy przynależy”.

Mowrera irytowała powszechna niezdolność świata zewnętrznego do zrozumienia tego, co faktycznie działo się w Niemczech. Odkrył, że nawet jego własny brat powątpiewa w prawdziwość owych raportów.

Zaprosił Dodda na kolację do swojego mieszkania z widokiem na Tiergarten, aby skłonić go do dostrzeżenia ukrytej za zasłoną rzeczywistości. „Bezskutecznie”^[246] – zanotował Mowrer. „On wie wszystko lepiej”. Wydawało się, że nawet cykliczne napaści na Amerykanów nie wzruszają ambasadora. Mowrer wspominał: „Dodd oświadczył, że nie ma zamiaru mieszać się w sprawy niemieckie”.

Sam ambasador ocenił Mowrera jako człowieka „niemal równie zapalczego, na swój sposób, co nasiści”^[247].

Grożby wobec Mowrera nasilały się. W hierarchii nazistowskiej rozmawiano już o przeprowadzeniu fizycznego ataku na korespondenta. Szef Gestapo Rudolf Diels czuł się zmuszony ostrzec ambasadę amerykańską, że Hitler wpada we wściekłość za każdym razem, gdy wymienia się nazwisko Mowrera^[248]. Diels obawiał się, iż jakiś fanatyk mógłby Mowrera zabić bądź też w jakiś inny sposób „wyeliminować go z gry”; oferował jednocześnie wydelegowanie kilku „odpowiedzialnych” gestapowców do dyskretnej ochrony korespondenta i jego rodziny.

Kiedy o owych groźbach dowiedział się szef Mowrera, Frank Knox, właściciel „Chicago Daily News”, postanowił przenieść dziennikarza z Berlina na inną placówkę. Zaoferował mu prowadzenie redakcji gazety w Tokio. Mowrer zgodził się niechętnie, świadom, że i tak prędzej czy później zostałby wydany z Niemiec, nalegał jednak, by pozostać tu do października, po części dla zademonstrowania, iż nie daje się zastraszyć, ale głównie dlatego, że pragnął relacjonować doroczny zjazd partii nazistowskiej w Norymberdze, rozpoczynający się 1 września. Ów zlot, „Partyjny Dzień Zwycięstwa”, zapowiadał się na największy w historii.

Naziści chcieli jednak, żeby Mowrer wyjechał natychmiast. Pod jego biurem pojawiali się SA-mani. Śledzili też jego przyjaciół, grozili pracownikom redakcji. W Waszyngtonie niemiecki ambasador w Stanach Zjednoczonych złożył w Departamencie Stanu notę z informacją, że ze względu na „słuszne wzburzenie ludu”^[249] rząd nie może dłużej zagwarantować Mowrerowi bezpieczeństwa.

W tym momencie nawet inni korespondenci poczuł się zaniepokojeni. H.R. Knickerbocker i jeszcze jeden dziennikarz umówili się na spotkanie z konsulem generalnym Messersmithem, aby go poprosić, żeby skłonił Mowrera do wyjazdu. Messersmith miał opory. Znał dobrze Mowrera i szanował jego odwagę w obliczu gróźb nazistów. Obawiał się, że dla Mowrera tego rodzaju interwencja oznaczałaby zdradę. Mimo wszystko jednak zgodził się spróbować.

Była to „jedna z najtrudniejszych rozmów, jakie kiedykolwiek przeprowadziłem”^[250] – zapisał później Messersmith. „Kiedy zobaczył, że dołączyłem do innych jego znajomych starających się namówić go do wyjazdu, w jego oczach pojawiły się łzy, patrzył na mnie z wyrzutem”. Tym niemniej Messersmith uważał skłonienie Mowrera do wyjazdu za swój obowiązek.

Mowrer wykonał „gest rozpacz” i opuścił gabinet Messersmitha.

Swoją sprawę powierzył teraz bezpośrednio ambasadorowi Doddowi, ten jednak też był przekonany, że Mowrer powinien wyjechać, nie tyle ze względu na swoje bezpieczeństwo, co z powodu dodatkowego napięcia, jakie wywoływały jego raporty w już i tak bardzo trudnej sytuacji dyplomatycznej.

Dodd oświadczył: „Gdyby nie to, że pańska gazeta przenosi pana gdzie indziej, walczyłbym w tej sprawie do upadłego (...). Czy nie zechciałby pan jednak wyjechać, żeby uniknąć komplikacji?”^[251].

Mowrer poddał się. Zgodził się opuścić Niemcy pierwszego września, czyli w dniu rozpoczęcia nazistowskiego zjazdu, który tak bardzo chciał relacjonować.

Martha napisała później: „Mowrer nigdy do końca nie wybaczył mojemu ojcu jego postawy”^[252].

Kolejną z odwiedzających Doda osób był, jak to zanotował ambasador, „zapewne czołowy chemik w Niemczech”^[253], który jednakowoż na takiego wcale nie wyglądał. Człowiek ten, niziutki, łysy jak kolano, z wąskim siwym wąsem ponad pełnymi ustami, miał ziemistą cerę i wyglądał na znacznie więcej lat, niż miał w rzeczywistości.

Nazywał się Fritz Haber. Nazwisko to znali i poważali wszyscy Niemcy na długo przed tym, jak Hitler doszedł do władzy. Do niedawna Haber pełnił obowiązki dyrektora sławnego Instytutu Chemii Fizycznej im. Cesarza Wilhelma. Był bohaterem wojennym i laureatem Nagrody Nobla. Aby przełamać impas w czasie pierwszej wojny światowej, gdy armie tkwiły w okopach, Haber wynalazł trujący gaz chlorowy. Wypracował elegancką formułę śmierci: $C \times t = k$ ^[254], zwaną obecnie zasadą Habera, według której podawanie gazu w niskim stężeniu przez dłuższy okres ma taki sam skutek jak podanie wysokostężonej dawki w krótkim czasie. Opracował również metodę rozprowadzania swojego trującego gazu na froncie; był obecny podczas pierwszej próby jego zastosowania przeciwko Francuzom pod Ypres w 1915 roku. Ten dzień wiele go kosztował w sensie osobistym^[255]. Jego 32-letnia żona Clara od dawna potępiała jego pracę, nazywając jej rezultaty nieludzkimi i niemoralnymi, i domagała się, by Haber ją zarzucił. On jednak odpowiadał jej zawsze tak samo: śmierć to śmierć, niezależnie od tego, co ją powoduje. Dziewięć dni po ataku gazowym pod Ypres żona Habera popełniła samobójstwo. Mimo międzynarodowego sprzeciwu wobec badań nad gazem bojowym w 1918 roku Haber otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za odkrycie

sposobów ekstrakcji azotu z powietrza, co umożliwiło produkcję tanich nawozów – oraz, oczywiście, prochu strzelniczego.

Mimo przejścia na protestantyzm, na co zdecydował się Haber jeszcze przed wojną, wedle nowych praw nazistowskich klasyfikowano go jako nie-Aryjczyka. Żydowscy weterani wojenni cieszyli się jednak pewnymi wyjątkowymi względami, dlatego też pozwolono mu pozostać dyrektorem instytutu. Względów tych nie dostało wielu innych żydowskich naukowców zatrudnionych w tej placówce – 21 kwietnia 1933 roku Haber otrzymał polecenie zwolnienia ich z pracy. Próbował kwestionować tę decyzję, nie znalazł jednak zbyt wielu sprzymierzeńców. Nawet przyjaciel Habera Max Planck miał dlań dość umiarkowane wsparcie: „W tej tak przygnębiającej sytuacji”^[256] – pisał Planck – „jedynym pocieszeniem może być według mnie to, że żyjemy w czasach katastrofy, które towarzyszą każdej rewolucji, i że musimy je przetrwać tak samo, jak przetrzymuje się zjawiska naturalne, nie zadreżając się myślami, czy sprawy mogłyby potoczyć się w inny sposób”.

Haber nie podzielał tej opinii. Wolał nie nadzorować zwalniania z pracy swoich przyjaciół i kolegów, i sam zrezygnował ze stanowiska.

Obecnie – w piątek 28 lipca 1933 roku – pozbawiony właściwie pola manewru, przybywał do gabinetu Dodda z prośbą o pomoc, dzierżąc list od Henry’ego Morgenthau juniora, szefa Federalnej Rady do spraw Rolnictwa w administracji Roosevelta (przyszłego sekretarza skarbu). Morgenthau był Żydem i wspomagał żydowskich uchodźców.

Gdy Haber opowiadał swoją historię, „drżał od stóp do głów”^[257], jak zanotował w dzienniku Dodd, uznając ów przypadek za „najsmutniejszą opowieść o prześladowaniu Żydów, jaką dotąd słyszał”^[258]. Haber miał 65 lat i słabe serce, a ostatnio odmówiono mu wypłaty emerytury, którą gwarantowała mu jeszcze Republika Weimarska, poprzedniczka hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy. „Chciał się dowiedzieć, jakie są możliwości emigracji do Ameryki dla osób z wybitnymi osiągnięciami naukowymi”^[259] – zapisał Dodd. „Mogłem mu tylko powiedzieć, że obecnie takich możliwości nie ma, że limity zostały wyczerpane”. Dodd obiecał napisać list do Departamentu Pracy, który zarządzał limitami imigracyjnymi, z pytaniem, „czy dla takich ludzi nie można uczynić jakichś wyjątków”.

Panowie podali sobie ręce. Haber ostrzegł jeszcze Dadda, żeby nie rozmawiał z nikim o jego sprawie, „gdyż konsekwencje mogą być poważne”, po czym wyszedł – mały szary chemik, niegdyś jedna z największych sław naukowych Niemiec.

„Biedny staruszek” – pomyślał Dodd i natychmiast się na tym przyłapał, był bowiem od Habera młodszy zaledwie o rok. „Takie traktowanie” – zanotował Dodd w dzienniku – „może tylko zaszkodzić rządowi, który pozwala sobie na podobne okrucieństwo”.

Dodd ustalił (niestety, zbyt późno), że przekazane Haberowi informacje nie były zgodne z prawdą. W kolejnym tygodniu, 5 sierpnia, Dodd skierował pismo do Isadora Lubina, szefa Amerykańskiego Biura Statystyki Zatrudnienia: „Jak Pan wie, limity są już wyczerpane, tym niemniej bardzo wielu wybitnych ludzi chciałoby wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, nawet gdyby musieli poświęcić w tym celu cały swój majątek”^[260]. W związku z powyższym Dodd zapytywał, czy Departament Pracy zna jakieś sposoby, dzięki którym „osoby najbardziej tego godne mogłyby jednak zostać wpuszczone”.

Lubin przekazał list od Dodda pułkownikowi D.W. MacCormackowi, komisarzowi do spraw imigracji i naturalizacji. Ten 23 sierpnia odpisał Lubinowi, informując go, że „ambasadora prawdopodobnie wprowadzono w tej sprawie w błąd”^[261]. W rzeczywistości bowiem w ramach limitów przyznanych Niemcom wydawano tylko ułamek dopuszczalnej ilości wiz, przy czym winę za ten stan rzeczy, nie ukrywał MacCormack, należy przypisać Departamentowi Stanu i służbie dyplomatycznej, które entuzjastycznie stosowały klauzulę ograniczającą dostęp do kraju na podstawie „uprawdopodobnionego podejrzenia o korzystanie z pomocy społecznej”. W dokumentach pozostawionych przez Dodda nie można znaleźć niczego, co wyjaśniałoby, dlaczego uznawał on limity za wyczerpane.

Dla Habera było już za późno. Wyjechał do Anglii, gdzie nauczał na Uniwersytecie w Cambridge^[262], na pozór było to dobre rozwiązanie, okazało się jednak, że otacza go obca kultura, że związki z dawnym życiem zostały całkowicie zerwane. Źle też znosił tamtejszy nieprzyjazny klimat. Pół roku po wizycie w gabinecie Dodda, podczas rekonwalescencji w Szwajcarii, Haber zmarł na zawał serca, który to fakt przeszedł w nowych Niemczech bez echa. Nie minęło jednak 10 lat, a Trzecia Rzesza znalazła nowe zastosowanie dla zasady Habera, a także dla środka owadobójczego, który Haber opracował w swoim instytucie, w którego skład wchodził cyjanit. Stosowano go zazwyczaj do odkażania magazynów zbożowych. Preparat ów, początkowo zwany cyklonem A, został przez niemieckich chemików udoskonalony; jego jeszcze bardziej śmiertelna wersja nosiła nazwę cyklonu B^[263].

Mimo tych doświadczeń Dodd wciąż był przekonany, iż rząd niemiecki jest coraz bardziej umiarkowany i że prześladowania Żydów tracą na sile. Pogląd taki zawarł w liście do rabina Wise’a z Amerykańskiego Kongresu Żydowskiego, którego poznał w Century Club w Nowym Jorku i z którym przyłączył się na jednym statku do Niemiec.

Rabin Wise był zdumiony. W odpowiedzi datowanej na 28 lipca, pisanej w Genewie, stwierdzał: „Jakże chciałbym podzielać Pański optymizm!”^[264] Muszę jednak powiedzieć Panu, że wszystko, każde słowo usłyszane od dziesiątków uchodźców w Londynie i Paryżu w ciągu ostatnich dwóch

tygodni, każe mi sądzić, iż nie tylko nie ma w tej kwestii żadnej poprawy, jak Pan podejrzewa, lecz że z dnia na dzień niemieccy Żydzi znajdują się w coraz większej opresji. Jestem pewien, iż moje wrażenia podzielają też ci, których miał Pan okazję poznać podczas naszej małej konferencji w Century Club". Rabin przypomniał Doddowi o spotkaniu w Nowym Jorku, w którym uczestniczyli on sam, Felix Warburg oraz inni przywódcy żydowscy.

W prywatnym liście do córki Wise stwierdzał, że Dodd „jest okłamywany”^[265].

Ambasador nie odstąpił od swoich poglądów. W odpowiedzi na list Wise’a oświadczył: „liczne źródła informacji, jakie ma do dyspozycji tutejsza placówka, moim zdaniem wskazują na złagodzenie działań przeciw Żydom”^[266]. Oczywiście wciąż docierają sygnały o licznych incydentach o wysoce nagannym charakterze. Są one, jak sądzę, pozostałością wcześniej prowadzonej agitacji. Żadną miarą nie usprawiedliwiam ani nie traktuję owych wypadków z wyrozumiałością, poza tym jestem całkowicie przekonany, że najważniejsi politycy w rządzie zaczną już wkrótce składać się do łagodniejszych metod politycznych”.

I dodał: „Oczywiście jest Pan świadom, że nasz rząd nie może interweniować w sprawach wewnętrznych. Wolno nam jedynie prezentować amerykański punkt widzenia i podkreślać nieszczęsne konsekwencje prowadzenia takiej polityki”. Ambasador informował Wise’a, że sprzeciwia się jawnej akcji protestacyjnej. „Według mnie (...) najsilniej możemy oddziaływać na rzecz polityki bardziej humanitarnej w sposób nieoficjalny, poprzez prywatne rozmowy z ludźmi, którzy zaczynają już dostrzegać niebezpieczeństwo”.

Wise tak bardzo zatrzwoił się ewidentną niezdolnością Dodd’a do właściwej oceny sytuacji, że był gotów pojechać do Berlina i – jak powiedział swojej córce Justine – „wyjawić mu prawdę, której inaczej nigdy nie pozna”^[267]. Wise podróżował właśnie po Szwajcarii. Z Zurychu „telefonicznie błagał Dodd’a, by pomógł [mu] załatwić przelot do Berlina”.

Dodd odmówił. Wise był zbyt dobrze w Niemczech znany i aż nadto zienawidzony. Jego zdjęcia bardzo często pojawiały się w „Völkischer Beobachter” oraz w „Der Stürmer”. W swoich pamiętnikach Wise odnotował, że Dodd obawiał się, iż „zostanę rozpoznany, przede wszystkim na podstawie identyfikującego mnie paszportu, co mogłoby skutkować »niemiłym incydentem«, na przykład na lotnisku w Norymberdze”^[268]. Ambasador nie przystał na sugestię Wise’a, żeby na lotnisku czekał na niego jakiś urzędnik ambasady i miał go pod opieką podczas całej wizyty.

W Szwajcarii, w Genewie, Wise wziął udział w Światowej Konferencji Żydów, gdzie postawił pod obrady wniosek wzywający do bojkotu towarów niemieckich na całym świecie. Wniosek przeszedł.

Pewnym pocieszeniem dla Wise’a byłaby świadomość, że konsul generalny Messersmith postrzegał sytuację w znacznie ciemniejszych barwach niż Dodd. O ile Messersmith zgadzał się, że przypadki stosowania bezpośredniej przemocy wobec Żydów są zdecydowanie coraz rzadsze, o tyle jednak

dostrzegał fakt, iż zostały one zastąpione przez o wiele bardziej podstępne i dotkliwsze formy prześladowań. W depeszy do Departamentu Stanu pisał: „Trzeba krótko stwierdzić, że sytuacja Żydów staje się pod każdym względem coraz trudniejsza^[269] – nie dotyczy to ich bezpieczeństwa osobistego – oraz że wprowadzane przeciwko nim restrykcje są z dnia na dzień coraz bardziej skuteczne, a ponadto wciąż wchodzi w życie kolejne”.

Messersmith powoływał się na kilka nowych wydarzeń. Żydowski dentystom zabroniono właśnie świadczenia usług dla pacjentów w ramach systemu ubezpieczenia społecznego; na początku tegoż roku to samo zarządzenie dotknęło żydowskich lekarzy. Nowy „Urząd do spraw Mody Niemieckiej” wykluczył żydowskich krawców z udziału w zbliżającym się pokazie mody. Żydzi oraz wszyscy, którzy z wyglądu nie przypominali Aryjczyków, nie mogli ubiegać się o przyjęcie do pracy w policji. Messersmith donosił również, że już oficjalnie zakazano Żydom kąpiei na plaży w Wannsee.

Ale planuje się już kolejne, jeszcze bardziej systemowe w swym charakterze prześladowania, informował Messersmith. Doszły doń słuchy o projekcie nowego zarządzenia, które miało by skutecznie pozbawiać Żydów obywatelstwa i wszystkich związanych z nim praw. Niemieccy Żydzi, pisał, „widzą w tych proponowanych zapisach najsilniejszy dotąd cios, jaki mógłby zostać w nich wymierzony. Pozbawiono ich i wciąż pozbawia się praktycznie wszelkich środków do życia, dlatego nowe akty prawne oznaczać będą ogłoszenie ich z wszelkich praw publicznych”.

Jedynym powodem, dla którego owe akty prawne nie weszły jeszcze w życie – dowiedział się Messersmith – była obawa ich autorów, iż „wzbudziłyby one nieprzychylną reakcję za granicą”. Projekt znajdował się w obiegu już od dziewięciu tygodni, co skłoniło Messersmitha do zakończenia depeszy kilkoma zdaniem, z których przebiegało myślenie życzeniowe. „Fakt, że zarządzenie to znajduje się już tak długo w fazie konsultacji” – pisał – „może wskazywać, że jego ostateczna postać będzie mniej radykalna niż projektowana”.

Dodd raz jeszcze zadeklarował swoją postawę obiektywizmu i otwartości w liście z 12 sierpnia, adresowanym do Roosevelta. Pisał w nim, że nie pochwała sposobów traktowania Żydów w Niemczech ani dążeń Hitlera do odbudowy potencjału militarnego kraju, dodał jednak: „zasadniczo uważam, że dany naród ma prawo do samostanowienia, a inne muszą wykazać się cierpliwością nawet wtedy, gdy mają miejsce okrucieństwa i niesprawiedliwość. Dajmy ludziom szansę realizowania swoich projektów”^[270].

^[243] Conradi, s. 121.

^[244] Hanfstaengl, s. 214.

- [245] Mowrer, *Triumph*, s. 218.
- [246] tamże, s. 219.
- [247] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 39.
- [248] Mowrer, *Triumph*, s. 224.
- [249] Dodd, *Dziennik*, s. 24.
- [250] Messersmith „Pewne obserwacje na temat moich relacji z prasą”, niepublikowany pamiętnik, 20, dokumentacja Messersmitha.
- [251] Mowrer, *Triumph*, s. 225–226.
- [252] Messersmith „Pewne obserwacje na temat moich relacji z prasą”, niepublikowany pamiętnik, 21, dokumentacja Messersmitha.
- [253] Mowrer, *Journalist's Wife*, s. 308.
- [254] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 39.
- [255] Dodd, *Dziennik*, s. 17.
- [256] C x t = k. Zob. „Fritz Haber”, Jewish VirtualLibrary.org.
- [257] Stern, s. 121. Zob. także „Fritz Haber”, NobelPrize.org.
- [258] tamże, s. 53.
- [259] Memorandum 14 IX 1933, skrzynka nr 59, dokumentacja W. E. Dodda.
- [260] Dodd, *Dziennik*, s. 17.
- [261] tamże, s. 17.
- [262] Dodd w liście do Isadora Lubina, 5 VIII 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.
- [263] D. W. MacCormack w liście do Isadora Lubina, 23 VIII 1935, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.
- [264] Goran, s. 169, s. 171.
- [265] Stern, s. 135.
- [266] Stephen S. Wise w liście do Dodda, 28 VII 1933, skrzynka nr 43, dokumentacja W. E. Dodda.
- [267] Wise, *Listy prywatne*, s. 224.
- [268] Dodd w liście do Stephena S. Wise’a, 1 VIII 1933, skrzynka nr 43, dokumentacja W. E. Dodda.

[269] Wise, *Listy prywatne*, s. 224.

[270] Wise, *Challenging Years*, s. 254.

Rozdział 10

Tiergartenstrasse 27a

Martha oddawała się wraz z matką poszukiwaniom domu do wynajęcia, w którym rodzina mogłaby zamieszkać po wyprowadzce z hotelu Esplanade – ucieczce od jego przepychu, jak by to ujął Dodd – i prowadzić bardziej ustabilizowane życie. Bill junior zapisał się tymczasem na studia doktoranckie na Uniwersytecie Berlińskim. Aby możliwie szybko nauczyć się niemieckiego, w dni powszednie mieszkał z rodziną jednego ze swoich profesorów.

Kwestia zakwaterowania amerykańskiego ambasadora w Berlinie była już od pewnego czasu dość kłopotliwa. Kilka lat wcześniej Departament Stanu zakupił i odremontował duży elegancki budynek pałacu Blüchera przy Pariser Platz za Bramą Brandenburską z przeznaczeniem na rezydencję ambasadora i skonsolidowanie w jednym miejscu wszystkich pozostałych biur dyplomatyczno-konsularnych rozrzuconych po całym mieście. Chodziło również o podkreślenie amerykańskiej obecności w pobliżu ambasad Wielkiej Brytanii i Francji, które od dawna mieściły się w majestatycznych rezydencjach przy tymże placu. Jednakże tuż przed tym, jak poprzednik Dodda, Frederic Sackett, miał się wprowadzić do nowej siedziby, budynek strawił pożar. Od tej pory była to opuszczona ruina, który to fakt zmusił zarówno Sacketta, jak i Dodda do poszukiwania nowego lokum. Dodd jednak nie martwił się tym szczególnie. Żałował wprawdzie pieniędzy wyrzuconych w błoto^[271] – rząd, informował, zapłacił za ten budynek „astronomiczną” kwotę, ale „przecież było to w 1928 czy w 1929 roku, kiedy wszyscy oszaleli” – tym niemniej podobał mu się pomysł zamieszkiwania poza ambasadą. „Osobiście wolalbym mieć mieszkanie usytuowane w odległości półgodzinnego spaceru niż w pomieszczeniach *palais*”^[272] – zanotował. Dodd przyznawał, iż posiadanie odpowiednio dużego budynku, w którym mogliby pomieścić się także niżsi urzędnicy, byłoby pożądane, „ale każdy z nas, który musi spotykać się z ludźmi, przekonał się, że zamieszkiwanie tuż obok biura pozbawia praktycznie wszelkiej prywatności – a ta jest czasem

ogromnie istotna”.

Martha, zwiedzając uroczę dzielnice mieszkalne wielkiego Berlina, odkrywała, że miasto pełne jest parków i ogrodów, a na balkonach kwitną w donicach kwiaty. W najbardziej peryferyjnych kwartałach zauważyła małe gospodarstwa rolne, coś dla jej ojca. Wszędzie widać było oddziały umundurowanych młodych ludzi, marszerujące ze śpiewem, a także groźniej wyglądające formacje SA, grupujące mężczyzn i chłopców w źle dopasowanych uniformach, których najważniejszym elementem była brązowa koszula o spektakularnie fatalnym kroju. Rzadziej napotykała szczupłych, elegantszych SS-manów, ubranych na czarno z akcentami czerwieni i wyglądających przez to niczym jakiś gatunek przerosniętych kosów.

Doddowie otrzymali wiele ofert wynajmu nieruchomości, w których mogli przebierać^[273]. Początkowo nie zadawali sobie pytania, dlaczego do wynajęcia jest tak wiele pięknych, starych pałacyków, w pełni urządzonych i luksusowo wyposażonych, ze zdobnymi stołami i krzesłami, lśniącymi fortepianami, rzadkimi wazonami, mapami i książkami, które wciąż tkwiły na swoim miejscu. Szczególnie spodobała im się spokojna okolica bezpośrednio na południe od Tiergarten, nieopodal trasy spacerowej Dodda, którą co rano zmierzał do pracy; wypełniały ją ogrody, cieniste zaułki, a także szereg ładnych domów. W dzielnicy tej oferowano do wynajęcia pewną nieruchomość, o czym dowiedzieli się od attaché wojskowego ambasady, któremu z kolei powiedział o tym sam właściciel domu, Alfred Panofsky, bogaty Żyd, posiadacz prywatnego banku, jeden z wielu Żydów – około 16 tysięcy, czyli 9 procent berlińskich wyznawców judaizmu – mieszkających w tej dzielnicy. Mimo że w całych Niemczech wyrzucano Żydów z pracy, bank Panofsky'ego wciąż działał, i to o dziwo za zgodą władz.

Panofsky obiecał, że czynsz będzie ustalony w rozsądnej wysokości. Dodd (zaczynający już kruszeć, choć wciąż jeszcze trzymający się postanowienia, że utrzymywać się będzie z samej pensji) był zainteresowany ofertą. Pod koniec lipca udał się obejrzeć dom.

Przy Tiergartenstrasse 27a stał trzypiętrowy pałacyk z ciosanego kamienia, wzniesiony dla Ferdinarda Warburga ze sławnej dynastii Warburgów. Po drugiej stronie ulicy rozciągał się park. Kiedy Panofsky i jego matka oprowadzali Doddów po nieruchomości, Dodd dopiero teraz zorientował się, że właściciel nie oferuje całego budynku, lecz jedynie parter i dwa dolne piętra. Sam bankier planował zająć z matką najwyższą kondygnację i zarezerwował sobie prawo do korzystania z elektrycznej windy, w którą obiekt wyposażono.

Panofsky był już na tyle zamożnym człowiekiem, że nie potrzebował dochodów z wynajmu, wiedział jednak, że z chwilą mianowania Hitlera kanclerzem żaden Żyd, choćby najbogatszy, nie mógł czuć się bezpieczny wobec nazistowskich prześladowań. Swoją rezydencję pod numerem 27a zaproponował nowemu ambasadorowi z nieskrywanym zamiarem zapewnienia sobie i swojej

matce fizycznego bezpieczeństwa, zakładając, że nawet Oddziały Szturmowe nie zaryzykują międzynarodowego skandalu, który niewątpliwie wybuchłby po ataku na dom amerykańskiego ambasadora. Rodzina Doddów zyskiwała natomiast wszystkie udogodnienia, jakie oferował, za ułamek normalnej ceny. Poza tym budynek prezentował się wystarczająco imponująco, aby podkreślić potęgę i prestiż Ameryki, a wnętrza okazały się na tyle obszerne, że umożliwiały godne podejmowanie gości z innych ambasad oraz przedstawicieli władz niemieckich. W liście do prezydenta Roosevelta Dodd nie posiadał się z radości: „Mamy jedną z najlepszych rezydencji w Berlinie za kwotę 150 dolarów miesięcznie^[274] – ze względu na fakt, że jej właściciel jest zamożnym Żydem, który bardzo pragnie, byśmy ją wynajęli”.

Panofsky i Dodd podpisali jednostronicową „dżentelmeńską umowę”, choć Dodd wciąż miał pewne wątpliwości. Ogromnie podobały mu się panujący tu spokój, tutejsze drzewa, ogród i perspektywa kontynuowania porannych spacerów do miejsca pracy, ale dom przedstawiał mu się jako przesadnie luksusowy; nazywał go kpiąco „naszym nowym dworkiem”.

Tablica z amerykańskim orłem zawisła na żelaznej bramie prowadzącej w głąb posiadłości, a w niedzielę 5 sierpnia 1933 roku Dodd wraz z rodziną opuścił hotel Esplanade i przeprowadził się w nowe miejsce.

Dodd przyznawał później, że gdyby znał rzeczywiste intencje Panofsky’ego co do wykorzystania trzeciego, najwyższego piętra, gdzie mieli ostatecznie zamieszkać nie tylko Panofsky i jego matka, nigdy nie podpisałby umowy dzierżawy.

Przy domu znajdował się ogród i rosły drzewa^[275]. Działziniec otaczał wysoki żelazny płot, wyrastający z ceglanej, sięgającej kolan podmurówki. Ktoś zdążający tu na piechotę, aby się dostać do głównego wejścia, musiał przejść przez bramkę z pionowych żelaznych prętów; samochody wjeżdżały przez wielką główną bramę zwieńczoną wyrafinowanym żelaznym ornamentem w kształcie łuku, z półprzezroczystą kulą usadowioną w środku. Drzwi frontowe posesji cały czas kryły cień; tworzyły one czarny prostokąt u podstawy zaokrąglonej, podobnej do wieży wysokiej fasady budynku. Najbardziej osobliwy element w architekturze pałacyku stanowił okazały występ, wysoki na półtora piętra, sterczący z frontu nad przejazdem bramnym; służył on jako galeria dla wystaw malarskich.

Wejście główne oraz foyer znajdowały się na parterze, w którego tylnej części było pracowite serce domostwa – były tam kwatery służby, pralnia, piwniczka na lód, różne składziki i kredensy, spiżarnia oraz ogromna kuchnia, którą Martha opisała jako „dwa razy większą niż przeciętne nowojorskie mieszkanie”^[276]. Po wejściu do domu Doddowie udali się najpierw do dużego westybulu, z szatniami po obu stronach, a następnie po eleganckich schodach na pierwsze piętro.

Prawdziwy przepych dopiero tutaj jawił się w całej okazałości. Od frontu, za łukowato

ukształtowaną fasadą znajdowała się sala balowa z owalnym parkietem ze lśniącego drewna oraz fortepianem okrytym bogatą plisowaną tkaniną, przed którym stała połączana wyściełana ławeczka. Na fortepianie Doddowie umieścili elegancki wazon pełen długich kwiatów, a tuż obok oprawioną w ramki fotografię Marthy, na której wyglądała wyjątkowo pięknie i niewątpliwie sexy, co było dość dziwnym widokiem w sali balowej rezydencji ambasadora. Ściany jednego z salonów pokrywał ciemnozielony adamaszek, drugiego – różowy atłas, a obszernej sali jadalnej wisały czerwone gobeliny.

Sypialnia Doddów mieściła się na drugim piętrze (Panofsky miał zamieszkać z matką na ostatniej kondygnacji, czyli na poddaszu). Główna łazienka, ogromnych rozmiarów i przesadnie wyszukana, sprawiała wrażenie niemal komiczne, przynajmniej w oczach Marthy. Podłogę i ściany „zdobiły złoto i barwne mozaiki”^[277]. Na podwyższeniu stała wielka wanna, niczym na muzealnej wystawie. „Całymi tygodniami” – zapisała Martha – „ryczałam ze śmiechu na widok tej łazienki i czasami dla kawału pokazywałam ją przyjaciółom, kiedy ojca nie było w domu”.

Mimo że dom wciąż sprawiał na Doddzie wrażenie nadmiernie luksusowego, nawet on zmuszony był przyznać, iż sala balowa oraz saloniki świetnie nadają się do wykorzystania do celów dyplomatycznych. Wiedział bowiem – i obawiał się tego – że funkcjonowanie placówki dyplomatycznej wymaga przyjmowania rzeszy różnych gości, że nie wolno zrazić do siebie żadnego ambasadora, pomijając go w zaproszeniu. A ponadto uwielbiał *Wintergarten* po południowej stronie pierwszego piętra, oszkloną salę wychodzącą na wykładany terakotą taras z widokiem na ogród. Dodd mógł tam czytać, leżąc na szeszlunku; w pogodne dni przesiadywał na zewnątrz, w trzcinowym fotelu, z książką na kolanach, starając się złapać południowe słońce.

Ulubionym pokojem całej rodziny była biblioteka – kuśliła perspektywą spędzania zimowych wieczorów przy ciepłym kominku. Jej ściany kryły ciemna połyskująca boazeria i czerwony adamaszek; wielki stary kominek zdobił czarno emaliowany gzyms z wyrzeźbionymi figurkami ludzi i widokiem puszczy. Półki ugięły się od książek, często – jak stwierdził Dodd – bardzo starych i cennych. W pewnych porach dnia pokój ten był skąpany w różnobarwnym świetle, przenikającym przez umieszczone wysoko, na jednej tylko ścianie, witraże. Na stoliku ze szklaną taflą leżały cenne manuskrypty i listy pozostawione tam przez Panofsky’ego. Martha szczególnie lubiła rozłożystą biblioteczną sofę z brązowej skóry, która wkrótce miała w jej romansowym życiu stać się ważnym rekwizytem. Wielkość domu, oddalenie pokoiów sypialnych jeden od drugiego, cisza spływająca z krytych tkaninami ścian – wszystko to również miało okazać się nie bez znaczenia, podobnie jak zwyczaj jej rodziców, aby kłaść się do łóżka wcześniej, mimo że cały Berlin lubił być na nogach do późnej nocy.

Tej sierpniowej soboty, gdy rodzina Doddów wprowadziła się do nowego domu, uprzejmi państwo Panofsky ozdobili cały dom świeżymi kwiatami, przez co skłonili Dodda do napisania liściku

z podziękowaniem: „Jesteśmy przekonani, że – dzięki Państwa trosce i wysiłkom – będziemy czuć się w tym uroczym domu bardzo szczęśliwi”^[278].

W światku dyplomatycznym posesja przy Tiergarten strasse 27 a szybko stała się znana jako bezpieczna przystań, w której każdy mógł bez obawy mówić to, co myśli. „Uwielbiam tam chodzić ze względu na błyskotliwość Dodd’a, jego znakomity dar obserwacji i cięty, sarkastyczny język”^[279] – pisała Bella Fromm, felietonistka zajmująca się życiem towarzyskim. „Lubię to miejsce także dlatego, że brak w nim sztywnej ceremonialności, tak często dającej się zauważyć w domach innych dyplomatów”. Jednym z regularnie bywających tu gości był książę Ludwik Ferdynand, który w swoim pamiętniku nazwał pałac „drugim domem”^[280]. Często bywał u Doddów na kolacji. „Kiedy służby nie było w pobliżu, otwieraliśmy przed sobą serca”^[281] – zanotował. Szczerość księcia była czasem nie do zniesienia nawet dla ambasadora Dodd’a, który ostrzegał go: „Jeśli nie będzie pan starał się bardziej uważać na to, co pan mówi, książę Ludwiku, któregoś dnia powiesz panu.

Przyjdę na pański pogrzeb, ale obawiam się, że już i tak będzie panu wszystko jedno”^[282].

W miarę jak rodzina czuła się w nowym domu coraz lepiej, między Martha i jej ojcem rozwijała się wręcz koleżeńska zażyłość. Wymieniali się żarcikami i drwiącymi obserwacjami. „Kochamy się wzajemnie”^[283] – pisała w liście do Thorntona Wildera. „Powierza mi się tajemnice państwowe. Naśmiewamy się z nazistów i dopytujemy naszego uroczego kamerdynera, czy ma w sobie żydowską krew”. Kamerdyner imieniem Fritz – „niski, jasnowłosy, uniżony, efektywny”^[284] – pracował jeszcze u poprzednika Dodd’a. „Większość kwestii politycznych omawiamy przy stole” – kontynuowała Martha. „Ojciec czyta gościom rozdziały swojej książki *Daune Południe*. Słuchają z drżeniem i zadziwieniem”.

Odnótowała, że jej matka – którą nazywała „Jej Ekscelencją” – pozostaje w dobrym zdrowiu „i choć jest trochę nerwowa, chyba cieszy się tym wszystkim”. Ojciec natomiast „rozkwita niesamowicie” i wydaje się „lekkoproniemiecki”. Dopisała: „My jakby wciąż nie lubimy Żydów”.

Carl Sandburg przesłał jej belkotliwy list z pozdrowieniami, napisany na cieniutkich kawałkach papieru, w którym zamiast znaków przestankowych użył spacji: „Teraz zaczyna się hidzra wanderjahre trakt nad morzem”^[285] i zygzak ponad kontynentem i centrum i dom w berlinie gdzie jest wiele niechlujnej arytmetyki i podartych testamentów przez drzwi przejdą wszystkie stroje i języki i opowieści europy żydzi komuniści ateści nie-aryjczycy wyjęci spod prawa nie przyjdą w swojej postaci ale przyjdą w maskach przebraniu pszebraniu (...) niektórzy przybędą z dziwnymi pieśniami a paru z wierszami które znamy i kochamy korespondenci chwilowi i stali międzynarodowi szpiedzy pył wodny zbieracze rzeczy na plaży lotnicy bohaterowie (...)”.

Doddowie dowiedzieli się dość szybko, że mają prominentnego i budzącego strach sąsiada

mieszkającego w dolnej części Tiergartenstrasse, przy bocznej ulicy zwanej Standartenstrasse: samego kapitana Röhma, dowódcę Oddziałów Szturmowych. Każdego ranka można go było zobaczyć jadącego na wielkim karym koniu przez Tiergarten. Inny usytuowany nieopodal budynek, śliczny piętrowy dworek mieszczący osobistą kancelarię Hitlera, miał wkrótce stać się centrum zarządzania nazistowskim programem zmierzającym do eutanazji osób z ciężkimi chorobami psychicznymi i niepełnosprawnymi fizycznie. Jego kryptonim brzmiał Aktion (Akcja) T-4, ze względu na adres owej rezydencji – Tiergartenstrasse 4.

Budząc przerażenie radcy Gordona, ambasador Dodd kontynuował swój zwyczaj porannej przechadzki do miejsca pracy – chodził sam, bez ochrony, w zwykłym garniturze.

Była niedziela 13 sierpnia 1933 roku. Hindenburg nadal przebywał na rekonwalescencji w swojej posiadłości, więc Dodd pozostawał ambasadorem bez oficjalnej akredytacji. Ponieważ kwestia nowej siedziby została już rozwiązana, rodzina – w towarzystwie nowego znajomego Marthy, korespondenta Quentina Reynoldsa – wybrała się na wycieczkę po Niemczech. Początkowo podróżowali samochodem, chevroletem Doddów, ale planowali rozdzielić się w Lipsku, około 150 kilometrów na południe od Berlina^[286]. Dodd chciał tam pobyć z żoną dłużej i odwiedzić miejsca, które pamiętał z czasów swoich studiów na Uniwersytecie Lipskim.

Martha, Bill junior i Reynolds zamierzali kontynuować podróż dalej na południe i dotrzeć do Austrii. Podczas tej wycieczki miał się wydarzyć incydent, który po raz pierwszy rzucił cień na różowy obraz nowych Niemiec w sercu Marthy.

^[271] Messersmith w liście do Hulla, 24 VIII 1933, dokumentacja Messersmitha.

^[272] Dodd w liście do Roosevelta, 12 VIII 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

^[273] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 13 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

^[274] Dodd w liście do Sama D. McReynoldsa, 2 I 1934, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

^[275] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 32.

^[276] Dodd w liście do Roosevelta, 12 VIII 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

^[277] W fazie przygotowawczej do napisania książki miałem przyjemność rozmawiać z Gianną Sommi Panofsky, synową gospodarza Doddów, która udostępniła mi szczególne plany domu oraz kopie kilku zdjęć jego otoczenia. Niestety, moja rozmówczyni zmarła przed ukończeniem mojej pracy.

[278] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 33–34.

[279] tamże, s. 34.

[280] Dodd w liście do Alfreda Panofsky'ego, bez daty, dostarczonym przez Gannę Sommi Panofsky.

[281] Fromm, s. 215.

[282] Ferdinand, s. 253.

[283] tamże, s. 253.

[284] tamże, s. 253.

[285] Martha w liście do Thorntona Wildera, 25 IX 1933, dokumentacja Wildera.

[286] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 147.

CZEŚĆ III

LUCYFER W OGRODZIE



Rudolf Deils



Martha Dodd

Rozdział 11

Dziwne istoty

Jechali samochodem na południe przez urokliwe wiejskie okolice i małe schludne miasteczka; wszystko wyglądało mniej więcej podobnie jak 35 lat wcześniej, kiedy Dodd pokonywał tę samą drogę, z tą istotną różnicą, że w każdej z mijanych miejscowości frontony budynków publicznych okrywały czerwono-biało-czarne flagi z symbolami partii nazistowskiej, z widocznym w środku hakowatym krzyżem. O godzinie jedenastej dotarli do pierwszego miejsca postoju: Schlosskirche, czyli kościoła zamkowego w Wittenberdze, gdzie Marcin Luter przybił do drzwi świątyni swoje 95 tez, rozpoczynając w ten sposób reformację. Jako student Dodd jeździł do Wittenbergi z Lipska i uczestniczył w odprawianych w kościele nabożeństwach; teraz drzwi były jednak zamknięte. Ulicami miasta przesuwiała się parada nazistów.

Towarzystwo odpoczywało w Wittenberdze tylko godzinę, po czym ruszyło w dalszą drogę do Lipska. Dotarło tam o pierwszej i skierowało się bezpośrednio do jednej z najsłynniejszych w Niemczech restauracji Auerbachs Keller, ulubionego miejsca spotkań Goethego. Tę właśnie piwnicę wykorzystał poeta jako scenę spotkania Mefistofelesa z Faustem, podczas którego wino pite przez Mefistę zmieniło się w ogień. Dodd uznał posiłek za wyborny, zwłaszcza jego cenę: trzy marki. Nie pił do obiadu ani wina, ani piwa. Martha, Bill i Reynolds wychylali natomiast kufel za kuflem.

Towarzystwo podzieliło się na dwie grupki. Młodzi wyruszyli samochodem w kierunku Norymbergi, Dodd zaś zameldował się z żoną w hotelu, gdzie przez kilka godzin odpoczywali przed udaniem się na kolację. Był to kolejny dobry posiłek w jeszcze lepszej cenie: dwie marki. Przez cały następny dzień zwiedzali miasto, a następnie złapali pociąg do Berlina, dokąd dotarli o godzinie piątej. Taksówka zawiozła ich do nowego domu przy Tiergartenstrasse 27a.

Nie minęła jeszcze doba od powrotu Dudda do domu, gdy nastąpił kolejny atak na Amerykanina. Tym razem ofiarą był 32-letni chirurg Daniel Mulvihill, pochodzący z Manhattanu, a praktykujący

w szpitalu na Long Island. Przebywał w Berlinie w celu zapoznania się z technikami stosowanymi przez znanego niemieckiego chirurga. Messersmith, w depeszy dotyczącej tego incydentu, stwierdził, że Mulvihill jest „wzorowym obywatelem amerykańskim, nie-Żydem”^[287].

Atak przeprowadzono według aż nazbyt dobrze znanego schematu: wieczorem we wtorek, 15 sierpnia, Mulvihill szedł ulicą Unter den Linden do sklepu. Na chwilę zatrzymał się, żeby rzucić okiem na paradę umundurowanych SA-manów. Na potrzeby kręconego właśnie filmu propagandowego członkowie Oddziałów Szturmowych powtarzali swój wielki marsz przez Bramę Brandenburską, który odbył się w noc powołania Hitlera na stanowisko kanclerza Rzeszy. Mulvihill przyglądał się, nieświadomy, że jeden z SA-manów odłączył się od marszu i zmierza w jego stronę. Bez żadnych wstępów człowiek ten uderzył Mulvihilla z całej siły w lewą stronę głowy, po czym spokojnie dołączył do pochodu. Świadkowie wydarzenia powiedzieli zszokowanemu lekarzowi, że został zaatakowany prawdopodobnie dlatego, iż nie wyciągnął ręki w hitlerowskim pozdrowieniu, gdy parada go mijała. Była to już dwunasta brutalna napaść na obywatela amerykańskiego od 4 marca.

Konsulat Stanów Zjednoczonych zaprotestował natychmiast; już w piątek wieczorem Gestapo oświadczyło, że napastnik został aresztowany. Nazajutrz, w sobotę 19 sierpnia, jeden z wyższych rangą przedstawicieli rządu powiadomił wicekonsula Raymonda Geista o wydaniu oddziałom SS i SA rozkazu nakazującego im ignorowanie cudzoziemców, którzy nie wykonują hitlerowskiego salut. Urzędnik ów dodał także, że szef berlińskiej grupy SA, młody oficer Karl Ernst, na początku kolejnego tygodnia osobiście złoży Doddowi wizytę, aby przeprosić za ten incydent. Konsul generalny Messersmith, który poznał wcześniej Ernsta, napisał o nim, że jest „bardzo młody, bardzo energiczny, bezpośredni, pełen entuzjazmu”^[288], ale też uderza w nim „aura brutalności i siły charakterystyczna dla SA”.

Ernst stawiał się, jak obiecał. Trzasnął obcasami, zasalutował i warknął: „Heil Hitler”. Dodd przyjął pozdrowienie, ale go nie odwzajemnił. Po „wyznaniu grzechów”^[289] Ernst złożył obietnicę, iż podobny atak nigdy więcej nie będzie mieć miejsca. Kiedy Niemiec sądził już, że zrobił wszystko, co należało, Dodd kazał mu usiąść i – wchodząc w dobrze mu znaną rolę ojca i profesora zarazem – udzielił Ernstowi surowej lekcji na temat złego zachowania jego ludzi i potencjalnych konsekwencji tegoż.

Ernst, zbity z tropu, starał się wykazać, że naprawdę ma zamiar powstrzymać ataki. Następnie wstał, przyjął z trzaskiem postawę zasadniczą, ponownie zasalutował, „ukłonił się na pruską modłę” i wyszedł.

„Nieźle się ubawiłem” – zapisał Dodd.

Tego popołudnia powiedział Messersmithowi, że przeprosiny Ernsta były odpowiednie.

Messersmith odrzekł: „Ataki będą się powtarzać”.

Po drodze do Norymbergi Martha i jej towarzysze widzieli grupy mężczyzn w brązowych mundurach SA, ludzi młodych i starych, grubych i chudych, paradujących, śpiewających i trzymających wysoko nazistowskie flagi. Gdy zwalniali, przejeżdżając przez wąskie ulice małych miasteczek, przechodnie pozdrawiali ich często hitlerowskim salutem i okrzykiem: „Heil Hitler”, najwyraźniej uznając niski numer na tablicy rejestracyjnej auta – tradycyjnie ambasador amerykański w Niemczech miał na tabliczce liczbę 13 – za dowód, że pasażerowie należą do rodziny jakiegoś nazistowskiego dygnitarza z Berlina. „Ekscytacja widoczna wśród ludzi była zaraźliwa, dlatego odwzajemniałam »Heil« tak energicznie, jakbym była nazistką”^[290] – zapisała Martha w pamiętniku. Zachowanie to wprawiało obu jej towarzyszy w konsternację, ignorowała jednak ich sarkastyczne docinki. „Czułam się jak dziecko, pełne radości i bez troski, a powszechne otumanienie – dzieło nowego reżimu – działało na mnie jak wino”.

Mniej więcej o północy zatrzymali się przed hotelem w Norymberdze. Reynolds był już wcześniej w tym mieście i wiedział, że o tak późnej porze wszystko pogrążone jest tu we śnie; tym razem jednak, zanotował, ulice „zapelniał podniecony, radosny tłum”. Jego pierwszą myślą było, że ci weseli ludzie biorą udział w jakimś festynie, na przykład związanym z produkcją zabawek, z której słynęło miasto.

W hotelu Reynolds zapytał recepcjonistę: „Czy będzie jakaś parada?”.

Recepcjonista, wesoły i przyjemny, roześmiał się tak serdecznie, że zadrgały końcówki jego wąsów, wspominał Reynolds. „Coś w tym rodzaju” – odpowiedział pracownik hotelu. – „Dadzą komuś nauczkę”.

Cała trójka zaniósła swoje bagaże do pokoiów, po czym wyruszyła na przechadzkę po mieście. Zwiedzali je i szukali miejsca, gdzie można by coś zjeść.

Tłum zgęstniał, wyraźnie ogarnęła go przyjemna ekscytacja. „Wszyscy byli podnieceni, śmiali się, rozmawiali” – zapamiętał Reynolds. Uderzała go życzliwość, jaką napotykał z każdej strony – niewątpliwie o wiele większa niż u podobnego tłumu w Berlinie. Tutaj, relacjonował, jeśli wpadnie się niechcący na kogoś, reakcją jest uprzejmy uśmiech i wesołe machnięcie ręką.

Z oddali dochodził narastający głuchy pogłos jeszcze potężniejszych i jeszcze bardziej hałaśliwych tłumów nadiągających ulicami. Dobiegały ich dźwięki dalekiej muzyki, ulicznej orkiestry z instrumentami dętymi, bardzo głośnymi. Ciżba napiera w radosnym oczekiwaniu, wspominał Reynolds. „Ryk tłumów słychać było z odległości trzech przecznic. Roześmiany wrzask dobiegał nas razem z muzyką”.

Hałas narastał, towarzyszyły mu błyski mandarynkowej barwy poświaty, migoczącej na fasadach budynków. Chwilę później w pole widzenia weszli demonstranci: kolumna SA-manów w brązowych mundurach, z pochodniami i proporcami. „Oddziały Szturmowe” – napisał Reynolds – „żadni tam producenci lalek”.

Za pierwszą kolumną postępowały dwa bardzo liczne oddziały, a między nimi widać było małą figurkę więźnia – początkowo Reynolds nie potrafił określić, czy był to mężczyzna, czy kobieta. Szturmowcy „pół nieśli, pół ciągnęli” ową postać. „Jej głowa była ogolona do gołej skóry” – zanotował Reynolds – „a twarz i czaszka obsypane białym proszkiem”. Opis dany przez Marthę: „Twarz koloru rozcieńczonego absyntu”.

Przebiegli się bliżej wraz z otaczającym ich tłumem i teraz Reynolds i Martha mogli już stwierdzić, że prowadzono młodą kobietę – choć Reynolds wciąż nie miał całkowitej pewności. „Miała na sobie spódnice, ale równie dobrze mógł być to mężczyzna przebrany za klauna” – zanotował. „Tłum wokół mnie był, gdy tego człowieka ciągnięto po ulicy”.

Stojący wokół nich sympatyczni dotąd norymberczycy doznali teraz przemiany: drwili i urągali kobiecie. Oprawcy szarpnęli nią, każąc jej się wyprostować, a wówczas na jej szyi ukazała się tabliczka z napisem. Ze wszystkich stron zerwał się gromki śmiech. Martha, Bill i Reynolds swoim łamanym niemieckim pytali sąsiadów, co się dzieje, i ze strzępów uzyskanych informacji zdołali ustalić, że dziewczyna zadawała się z Żydem. O ile Martha mogła zrozumieć napis na tabliczce, głosił on: „Oddałam się Żydowi”.

Gdy SA-mani minęli ich, cały tłum ruszył za pochodem, schodząc z chodników na ulicę. W ludzkiej masie utknął piętrowy autobus. Kierowca czynił rękoma gest, jakby się poddawał. Pasażerowie siedzący na górnym pokładzie pojazdu wskazywali na dziewczynę i śmiali się. SA-mani znów podnieśli „swoją zabawkę”, jak ujął to Reynolds, tak aby osoby w autobusie miały lepszy widok. „Wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby wmaszerować z tym czymś do holu naszego hotelu” – zapisał Reynolds. Później dowiedział się, że to „coś” miało imię i nazwisko: Anna Rath.

Orkiestra pozostała na ulicy, dalej grała hałaśliwie i ogłuszająco. Członkowie Oddziałów Szturmowych wychynęli z hotelowego holu, ciągnąc kobietę za sobą dalej, do kolejnego hotelu. Orkiestra zaintonowała *Pieśń Horsta Wessela* i nagle cały tłum zalegający ulicę stanął na baczność, z wyciągniętymi w hitlerowskim pozdrowieniu prawymi rękami, i zaśpiewał ochotczo.

Gdy pieśń się skończyła, procesja ruszyła dalej. „Chciałam iść za nimi” – zapisała Martha – „ale moi dwaj towarzysze byli tak zniesmaczeni, że odciągnęli mnie stamtąd”. Ona także czuła się wstrząśnięta tym, co widziała, nie zmieniło to jednak jej ogólnej opinii o kraju oraz o odradzaniu się w narodzie ducha dzięki nazistowskiej rewolucji. „Nieśmiało próbowałam usprawiedliwiać działania nazistów, nalegając, by nie potępiać, zanim nie pozna się całej prawdy”.

Cała trójka schroniła się wreszcie w hotelowym barze, a Reynolds odgrażał się, że zaleje się w trupa. Cicho zapytał barmana o to, co się właśnie wydarzyło. Ten odpowiedział szeptem: wbrew ostrzeżeniom nazistów, że wszelkie związki między Żydami i Aryjczykami są niedozwolone, owa młoda kobieta zamierzała wyjść za mąż za swojego żydowskiego narzeczonego. Byłoby to ryzykowne wszędzie, w całych Niemczech – wyjaśniał barman – ale szczególnie niebezpieczne tutaj,

w Norymberdze. „Słyszeli państwo o panu S., który ma tu swój dom?” – zapytał.

Reynolds rozumiał. Barman miał na myśli Juliusa Streichera, którego Reynolds określił kiedyś „głównym hitlerowskim macherem od antysemityzmu”. Według Iana Kershawa, biografa Hitlera, Streicher był „krępyim brutalem z wygoloną czaszką (...), całkowicie opanowanym demonicznymi wyobrażeniami o Żydach”^[291]. To on założył jadowicie antysemityczne pismo „Der Stürmer”.

Reynolds zdawał sobie sprawę, że wydarzenie, którego był właśnie świadkiem wraz Martha i Billem, miało o wiele donioslejsze znaczenie, niż mogłyby na to wskazywać jego poszczególne szokujące elementy. Akredytowani w Niemczech korespondenci zagraniczni donosili o przemocy wobec Żydów, ale jak dotąd wszystkie relacje opierały się na danych post factum, których dostarczali naoczni świadkowie. Tutaj natomiast brutalny antyżydowski spektakl rozgrywał się bezpośrednio na ich oczach. „Naziści niezmiennie zaprzeczali, by bestialstwa, o których od czasu do czasu donosiła prasa zagraniczna, miały miejsce, lecz w tym wypadku były konkretne dowody” – zapisał Reynolds. „Żaden inny korespondent” – stwierdzał – „nie widział tego rodzaju okrucieństw na własne oczy”.

Jego wydawca zgodził się, że był to ważny materiał, ale obawiał się, iż jeśli Reynolds spróbuje wysłać go drogą telegraficzną, zostanie on przejęty przez niemiecką cenzurę. Kazał Reynoldsowi nadać go zwykłą pocztą, zalecając, aby w tekście darował sobie wszelkie odniesienia do dzieci Doda i nie utrudniał życia nowemu ambasadorowi.

Martha błagała Reynoldsa, żeby w ogóle nie pisał słowa na ten temat. „To odosobniony przypadek” – argumentowała. – „Nie był tak naprawdę ważny, a pozostawiłby tylko złe wrażenie. Relacja o nim nie odsłania rzeczywistego wymiaru wydarzeń w Niemczech, mogłaby też przyćmić prawdę o konstruktywnej pracy, jaką się tu wykonuje”.

Martha, Bill i Reynolds podróżowali dalej na południe ku Austrii, gdzie spędzili kolejny tydzień, po czym powrócili do Niemiec i jechali wzdłuż Renu. Dotarłszy do swojego biura, Reynolds zastał w nim pilne wezwania od szefa wydziału prasy zagranicznej Ernsta Hanfstaengla.

Hanfstaengl był wściekły; wciąż jeszcze nie wiedział, że świadkami incydentu byli również Martha i Bill.

„W tej twojej historii nie ma ani jednego cholernego słowa prawdy” – wrzeszczał. – „Rozmawiałem z naszymi ludźmi w Norymberdze. Nic takiego się tam nie wydarzyło”.

Reynolds spokojnie poinformował Hanfstaengla, że przyglądał się paradzie w towarzystwie dwóch ważnych świadków, o których w swojej relacji nie wspomniał ani słowem, ale których zeznania byłyby nie do podważenia. Po czym wymienił ich nazwiska.

Hanfstaengl zapadł się w fotelu i chwycił za głowę. Narzekał, że Reynolds powinien był powiedzieć mu o tym wcześniej. Reynolds zaproponował, żeby Hanfstaengl zadzwonił do Doddów w celu potwierdzenia ich obecności w Norymberdze, ale Hanfstaengl machnięciem ręki odrzucił tę

sugestię.

Podczas konferencji prasowej, która nastąpiła niedługo potem, minister propagandy Goebbels nie czekał, aż dziennikarze podniosą sprawę prześladowań Żydów, i zrobił to sam. Zapewnił czterdziestu obecnych na sali reporterów, że tego rodzaju incydenty są rzadkie i że dopuszczają się ich ludzie „nieodpowiedzialni”.

Jeden z korespondentów, Norman Ebbutt, szef biura londyńskiego „Timesa” w Berlinie, przerwał tę wypowiedź. „Ależ Herr Minister, z pewnością musiał pan słyszeć o aryjskiej dziewczynie, Annie Rath, którą prowadzono przez Norymbergę za to tylko, że chciała wyjść za Żyda?”

Goebbels uśmiechnął się^[292]. Jego twarz uległa przy tym całkowitej przemianie, nie stając się jednak ani sympatyczna, ani zachęcająca. Wiele osób obecnych na sali widziało to zjawisko już wcześniej. Było coś nienaturalnego w tym, jak bardzo mięśnie dolnej części twarzy tego człowieka pracowały nad owym uśmiechem i jak gwałtownie wyraz jego twarzy mógł się zmienić.

„Proszę pozwolić mi wyjaśnić, dlaczego coś takiego może się czasem zdarzyć” – powiedział Goebbels. – „Przez 12 lat istnienia Republiki Weimarskiej nasi ludzie prawie cały czas siedzieli w więzieniach. Teraz to nasza partia jest przy władzy, a ci ludzie są wolni. Kiedy ktoś spędził w więzieniu 12 lat i został nagle uwolniony, z radości może uczynić coś nieracjonalnego, może nawet brutalnego. Czy nie mogłoby się to zdarzyć także w pańskim kraju?”

Ebbutt, odpowiadając spokojnym tonem, zauważył, że istnieje fundamentalna różnica w ewentualnym potraktowaniu przez Anglików tego zagadnienia. „Gdyby coś takiego miało przypadkiem miejsce” – oświadczył – „facet natychmiast wyładowałby z powrotem w więzieniu”.

Uśmiech Goebbelsa zniknął, po czym równie szybko powrócił. Rozejrzał się po sali. „Czy są jeszcze jakieś pytania?”

Stany Zjednoczone nie wniosły oficjalnego protestu w związku z incydentem. Tym niemniej przedstawiciel niemieckiego MSZ przeprosił Marthę, sprowadzając to wydarzenie do odośrobnionego przypadku. Sprawcy mieli zostać surowo ukarani.

Martha skłaniała się do uznania takiego ujęcia sprawy za wiarygodne. Życie w nowych Niemczech wciąż miało dla niej wielki powab. W liście do Thorntona Wildera pisała potocznie: „Młodzi ludzie mają tu jasne, ufnie twarze, śpiewają ku czci szlachetnej duszy Horsta Wessela, oczy im się świecą, języki nie płaczą^[293]. Zdrowi i piękni młodzieńcy z tych Niemców; dobre, szczere, krzepkie, mistycznie brutalne, świetne, optymistyczne, zdolne kochać i umierać, głębokie, zdumiewające i dziwne istoty – ta młodzież współczesnych Niemiec spod znaku *Hakenkreuz*”.

Tymczasem Dodd otrzymał od niemieckiego MSZ zaproszenie do wzięcia udziału w zbliżającym się zjeździe partii w Norymberdze, który miał się rozpocząć dokładnie 1 września. Zaproszenie

zakłopotalo go.

Czytał wcześniej o zamiłowaniu nazistów do wystawnych demonstracji swej potęgi i energii; nie uważał ich za wydarzenia rangi oficjalnej, państwowej, lecz raczej za sprawę partii politycznej, to zaś nie miało nic wspólnego ze stosunkami międzynarodowymi. Nie mógł sobie wyobrazić siebie na tego rodzaju zjeździe, podobnie jak nie mógłby wyobrazić sobie niemieckiego ambasadora w Ameryce, biorącego udział w konwencji republikanów bądź demokratów. Co więcej, obawiał się, że Goebbels i Ministerstwo Informacji i Propagandy wykorzystają fakt jego obecności i przedstawiają ją jako podzyrowanie polityki i sposobu postępowania nazistów.

We wtorek 22 sierpnia Dodd wysłał do Departamentu Stanu telegram z prośbą o radę.

„Otrzymałem wymijającą odpowiedź”^[294] – zapisał w dzienniku. Departament gotów był go wspierać w każdej decyzji, jaką w tej sprawie podejmie. „Natychmiast postanowiłem, że nie pójdę, nawet gdyby wszyscy pozostali ambasadorowie mieli zamiar iść”. W sobotę poinformował niemieckie MSZ, że nie pojawi się na zjeździe. „Powołałem się na natłok pilnych prac, choć zasadniczym powodem była moja dezaprobata dla faktu, że na konwencję partyjną zaprasza mnie rząd” – zanotował Dodd. „Byłem także pewien, że zachowanie większości zgromadzonych będzie dla mnie krępujące”.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł: gdyby zdołał przekonać kolegów ambasadorów z Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Francji do odrzucenia zaproszeń, owa wspólna akcja byłaby potężnym, choć niebezpośrednim sygnałem jedności i dezaprobaty.

Najpierw spotkał się z ambasadorem hiszpańskim, którą to sesję określił jako „bardzo przyjemnie niekonwencjonalną”^[295], ponieważ Hiszpan także nie został jeszcze akredytowany. Mimo to obaj panowie podeszli do sprawy ostrożnie. „Zasugerowałem, że nie pójdę” – zapisał Dodd. Przedstawił też hiszpańskiemu ambasadorowi kilka historycznych precedensów, na podstawie których można by zaproszenie zignorować. Hiszpan zgodził się, że zjazd jest sprawą partii, a nie kwestią państwową, nie ujawnił jednak, co zamierza zrobić.

Dodd dowiedział się później, że ambasador ostatecznie odmówił udziału w zjeździe, podobnie jak ambasadorowie Francji i Wielkiej Brytanii – każdy z nich powoływał się na pilne obowiązki tego czy innego rodzaju.

Departament Stanu oficjalnie zatwierdził odrzucenie zaproszenia przez Doddą; jednak nieoficjalnie jego decyzja rozżłościła wielu wyższych rangą urzędników, w tym podsekretarza Phillipsa i szefa ds. Europy Zachodniej Jaya Pierrepointa Moffata. Uważali postawę Doddą za niepotrzebną prowokację, kolejny dowód na to, że mianowanie go na stanowisko ambasadorskie było błędem. Siły wrogie Doddowi zaczynały się jednoczyć.

[287] Carl Sandburg w liście do Marthy, brak daty, skrzynka nr 63, dokumentacja W. E. Dodda.

[288] Dodd, *Dziennik*, s. 22–23; Dodd, *Embassy Eyes*, s. 27; Reynolds, s. 118.

[289] Messersmith w liście do Hulla, 19 VIII 1933, dokumentacja Messersmitha.

[290] Messersmith w liście do Hulla, 25 III 1933, dokumentacja Messersmitha.

[291] Dodd, *Dziennik*, s. 26–27.

[292] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 28.

Szczegóły owego epizodu, opisanego na tej i kolejnych stronach, można znaleźć przede wszystkim w pamiętnikach Marthy, strony 27–32, a także we wspomnieniach Quentina Reynoldsa, strony 118–121.

Relacje Marthy i Reynoldsa nieco się od siebie różnią. Martha twierdziła, że Reynolds zgodził się opisać tę sprawę dopiero po powrocie do Berlina i nie palił się do wysłania telegramu bezpośrednio z Norymbergi oraz że w swoim raporcie nie wspomniał słowem o niej i Billu. Reynolds w napisanych po latach wspomnieniach potwierdza, że faktycznie nie nawiązywał do obecności Doddów, ale że opisał wszystko jeszcze w Norymberdze i że swój raport przesłał zwykłą pocztą, nie telegraficznie. Dodd, *Embassy Eyes*, s. 29; Reynolds, s. 120.

[293] Kershaw, *Hybris*, s. 179.

[294] Jednym z problemów, jakie naziści mieli ze swoim uwielbieniem dla ideału aryjskiego, był fakt, że żadna z najważniejszych osób tego reżimu nie pasowała do obrazu wysokiego, niebieskookiego blondyna.

Hitler, gdy akurat nie wygłaszał tyrad, wyglądał dość prozaicznie, jak pośredni kierownik w średnim wieku, z dziwnym wąsem podobnym do tego, jaki nosił amerykański komik Charlie Chaplin. Göring charakteryzował się ogromną nadwagą i coraz częściej ulegał dziwactwu narcystycznego przedstawiania własnej postaci, malując sobie na przykład paznokcie czy zmieniając mundur po kilka razy dziennie. Himmler wyglądał jak ktoś, kto oddaje się całkowicie profesji, którą rzeczywiście praktykował przed namaszczeniem przez Hitlera: hodowli kurczaków.

Największe wyzwanie stanowiła jednak aparycja Goebbelsa. Jego skurczona postać o szpotawej stopie była uderzająco podobna do groteskowo zniekształconych karykatur, jakie pojawiały się regularnie w pełnej nienawiści literaturze nazistowskiej. Po Berlinie dyskretnie krążył bardzo nieudolny wierszyk: „Dobry Boże, ślepym uczyni mnie, bym w Goebbelsie Aryjczyka dostrzegł snadnie”. Gallo, s. 29.

[295] Martha w liście do Thorntona Wildera, 14 XII 1933, dokumentacja Wildera.

Podobne wrażenie odnosiło wiele osób, przynajmniej w owym czasie. Szczególne wrażenie wywarła na mnie obserwacja poczyniona przez Marsdena Hartleya, amerykańskiego malarza

mieszkającego w Berlinie, który 28 grudnia 1933 roku napisał: „Naprawdę zapiera dech w piersiach, gdy widzi się tutejszą młodzież maszerującą i maszerującą zawsze i bez końca. Można odnieść wrażenie, że Niemcy stale maszerują – ale jakież w nich jest żywotność, zdrowie i tężyzna fizyczna”. Hartley, s. 11.

Rozdział 12

Brutus

Pod koniec sierpnia prezydent Hindenburg wrócił wreszcie do Berlina po rekonwalescencji w swojej wiejskiej posiadłości. W środę 30 sierpnia 1933 roku Dodd włożył więc oficjalny frak i cylinder, po czym pojechał do pałacu prezydenckiego, aby wręczyć listy uwierzytelniające.

Prezydent był wysoki i potężny, z wielkim siwobiałym wąsem, który zwiżał się w dwa pierzaste skrzydełka. Kołnierzyk munduru miał wysoki i sztywny; na bluzie przyciągały wzrok różne medale, z których kilka, w kształcie promienistych lśniących gwiazd, było wielkości ozdób choinkowych. Ogólnie sprawiał wrażenie silnego i witalnego, mimo swoich 85 lat. Hitlera nie było, podobnie jak Goebbelsa i Göringa, ponieważ wszyscy przypuszczalnie zajmowali się przygotowaniami do zjazdu partii, który miał się rozpocząć za dwa dni.

Dodd odczytał krótkie oświadczenie, w którym podkreślał swoją sympatię dla narodu niemieckiego oraz jego historii i kultury. Ani słowem nie wspomniał o rządzie, mając nadzieję, że fakt ten zostanie zrozumiany jako brak poparcia dla reżimu hitlerowskiego. Przez kolejny kwadrans siedzieli razem ze Starym Gentlemanem na „ulubionej sofie” i rozmawiali na rozmaite tematy, począwszy od studiów Dodda na uniwersytecie w Lipsku, a skończywszy na zagrożeniach ekonomicznym nacjonalizmem. Hindenburg, jak zanotował później w swoim dzienniku Dodd, „tak mocno podkreślał zagadnienie stosunków międzynarodowych, że miałem wrażenie, iż jest to jego niebezpośrednia krytyka skierowana przeciwko nazistowskim ekstremistom”. Dodd przedstawił prezydentowi najważniejszych pracowników ambasady, po czym wszyscy wyszli z budynku; po obu stronach ulicy stali, tworząc szpaler, żołnierze regularnej armii, czyli reichswery.

Tym razem Dodd nie wrócił do domu na piechotę. Gdy samochód ambasady wolno odjeżdżał, żołnierze stali na baczność. „Było po wszystkim”^[296] – zapisał Dodd – „i wreszcie byłem należycie

umocowanym przedstawicielem Stanów Zjednoczonych w Berlinie”. Dwa dni później Dodd stanął w obliczu pierwszego w swojej kadencji kryzysu.

Rankiem 1 września 1933 roku, w piątek, H.V. Kaltenborn, amerykański komentator radiowy, zatelefonował do konsula generalnego Messersmitha, aby zawiadomić go z żalem, że nie może wpaść z kolejną wizytą, ponieważ zakończył rodzinną wycieczkę po Europie i przygotowuje się do powrotu do domu. Pociąg zmierzający do portu, w którym stał jego statek, miał wyruszyć o północy.

Kaltenborn powiedział Messersmithowi, że wciąż nie widzi podstaw do uznania jego krytycznej oceny Niemiec za sensowną, oskarżając go jednocześnie o „poważne błędy i zafalszowywanie prawdziwego obrazu tego kraju”^[297].

Wkrótce po rozmowie Kaltenborn z rodziną – żoną, synem i córką – wyszli z hotelu Adlon, gdzie się zatrzymali, na niewielkie zakupy. Syn Kaltenbornów, Rolf, miał wówczas 16 lat. Pani Kaltenborn bardzo chciała odwiedzić sklepy jubilerskie i z wyrobami srebrnymi przy Unter den Linden. Ostatecznie jednak dotarli znacznie dalej, bo siedem przecznic w kierunku południowym, do Leipziger Strasse, ruchliwego bulwaru na linii wschód–zachód, pełnego samochodów i tramwajów, przy którym wznosiły się ładne budynki z miriadami sklepików oferujących wyroby ze spiżu, drezdeńską porcelanę, jedwabie, akcesoria skórzane i wszystko, czegokolwiek można zapragnąć. Znajdował się tu także sławny Dom Towarowy Wertheima, ogromny magazyn – *Warenhaus* – w którym tłum klientów przemieszczał się z piętra na piętro 83 windami.

Gdy rodzina wyszła z jednego ze sklepów, zauważyła formację SA-manów maszerującą bulwarem dokładnie w ich kierunku. Była godzina 9.20 rano.

Piesi stłoczyli się na chodniku i wyciągnęli ramiona w hitlerowskim pozdrowieniu. Mimo całej swojej sympatii Kaltenborn nie miał zamiaru uczynić tego samego; wiedział, że jeden z głównych zastępców Hitlera, Rudolf Hess, publicznie ogłosił, iż cudzoziemcy nie są zobowiązani do salutowania. „Oczekiwać tego to tak”^[298] – deklarował Hess – „jakbyście chcieli, żeby protestant wykonywał znak krzyża po wejściu do katolickiego kościoła”. Mimo wszystko Kaltenborn kazał rodzinie odwrócić się do okna wystawowego i udawać, że przyglądają się jakimś towarom.

Kilku manifestantów podeszło do Kaltenbornów i zażądało odpowiedzi na pytanie, dlaczego stoją odwróceniem tyłem do parady i nie salutują. Kaltenborn nieskazitelnym niemieckim wyjaśnił im, że jest Amerykaninem i wraca wraz z rodziną do swojego hotelu.

Tłum zaczął uragać Kaltenbornów i grozić im, że komentator wezwał dwóch stojących kilka metrów dalej policjantów. Ci nie zareagowali.

Kaltenbornowie skierowali się więc do hotelu. Nagle zza ich pleców wyskoczył jakiś młody człowiek i bez słowa uderzył syna Kaltenborna prosto w twarz, przewracając chłopca na chodnik.

Policjanci nie uczynili żadnego gestu. Jeden z nich się uśmiechał.

Wściekły Kaltenborn chwycił młodego napastnika za ramię i ruszył z nim w kierunku policjantów. Wyczuwało się teraz rosnącą agresję tłumu i Kaltenborn zdał sobie sprawę, że jeśli będzie domagać się sprawiedliwości, może się to skończyć kolejnym atakiem.

Wreszcie jeden z obserwatorów wydarzeń interweniował, przekonując tłum, aby pozostawić Kaltenbornów w spokoju, ponieważ są bez wątpienia Amerykanami. Parada ruszyła dalej.

Dotarłszy bezpiecznie do hotelu Adlon, Kaltenborn zadzwonił do Messersmitha. Był zdenerwowany, mówił niemal nieskładnie. Poprosił, aby Messersmith natychmiast do niego przyszedł.

Dla Messersmitha była to chwila kłopotliwej, gorzkiej satysfakcji. Powiedział Kaltenbornowi, że nie może przyjść. „Tak się złożyło, że musiałem siedzieć za biurkiem jeszcze przez co najmniej godzinę” – wspominał. Wysłał jednak do hotelu Adlon wicekonsula Raymonda Geista, który zorganizował Kaltenbornom wieczorną eskortę na dworzec kolejowy.

„Co za ironia, że Kaltenbornowi przytrafiło się to, co jego zdaniem nie mogło się zdarzyć” – napisał później Messersmith, z wyraźną satysfakcją. „Negował między innymi moje doniesienia o tym, że policja zwyczajnie nie robi nic, żeby chronić ludzi atakowanych”. Messersmith przyznawał, że incydent ów musiał stanowić dla Kaltenbornów, zwłaszcza dla ich syna, bardzo bolesne doświadczenie. „W ostatecznym rozrachunku jednak stało się dobrze, ponieważ gdyby nie ów wypadek Kaltenborn wróciłby do Stanów i przekonywał swoich radiosłuchaczy, jak znakomicie mają się sprawy w Niemczech i jak fatalnie urzędnicy amerykańscy informują nasz rząd oraz jak niewłaściwie korespondenci w Berlinie odmalowują przebieg wydarzeń w tym kraju”.

Kiedy Messersmith spotkał się z Doddem, zapytał, czy już nie czas, aby Departament Stanu wydał zdecydowane ostrzeżenie dla obywateli amerykańskich wybierających się w podróż do Niemiec. Tego rodzaju przestroga, jak obaj wiedzieli, byłaby dla wizerunku nazistów katastrofalna w skutkach.

Dodd zalecał powściągliwość. Z perspektywy funkcji ambasadorskiej, którą pełnił, ataki postrzegał raczej jako pewną niedogodność, niż zaś bezpośrednie wezwanie do pilnych działań, i czynił co mógł, żeby zapanować nad docieklivością prasy. W swoim dzienniku zanotował, że udało mu się nie dopuścić do nagłośnienia przez gazety kilku ataków na Amerykanów oraz że „także w inny sposób” starał się „przeciwdziałać nieprzyjaznym demonstracjom”^[299].

Osobiście jednak Dodd uważał te wypadki za wręcz odpychające, za coś absolutnie niezgodnego z tym, czego spodziewał się po Niemczech na podstawie swoich doświadczeń wyniesionych ze studiów w Lipsku. Podczas spożywanych z rodziną posiłków potępiał ataki, lecz jeśli oczekiwał od córki podobnych przejawów oburzenia – zawiódł się.

Opinia Marthy o nowych Niemczech była wciąż jak najlepsza, po części – jak wyznała później –

przez zwykłą przekorę córki próbującej podkreślić własną tożsamość. „Staralam się dla tych wybrków znaleźć jakieś usprawiedliwienie, a ojciec spoglądał wtedy na mnie lodowato i dość mało tolerancyjnie, i zarówno na osobności, jak i wobec innych nazywał mnie cicho młodą nazistką”^[300] – zapisała. „Z tego powodu przez pewien okres przyjmowałam postawę obronną, stając się tymczasowym żarliwym obrońcą wszystkiego, co się wokół działo”.

Martha twierdziła na przykład, że w Niemczech jest także wiele dobrych rzeczy. Podkreślała zwłaszcza entuzjazm młodych ludzi oraz chwaliła podejmowane przez Hitlera kroki mające na celu ograniczenie bezrobocia. „Uważałam, że jest coś szlachetnego w świeżych, pełnych wigoru i siły młodych twarzach, które widziałam wszędzie dookoła, i przy każdej sposobności wojowniczo dawałam temu wyraz”^[301]. W listach do Ameryki zaświadczała, iż Niemcy przechodzą przez ekscytującą epokę odrodzenia, „a akty barbarzyństwa opisywane w relacjach prasowych stanowią odosobnione przypadki, wyolbrzymiane przez zgorzkniałych, ograniczonych ludzi”^[302].

Tenże piątek, który zaczął się tak burzliwie atakiem na Kaltenbornów, zakończył się dla Dodda w sposób znacznie bardziej satysfakcjonujący.

Korespondent Edgar Mowrer przyjechał właśnie na dworzec kolejowy Zoo, skąd rozpoczynał swoją długą podróż do Tokio. Na stację odprowadzały go żona i córka; miały jeszcze jakiś czas pozostać w Berlinie, żeby nadzorować pakowanie rodzinnego dobytku, po czym wyruszyć w ślad za Mowrerem.

Na dworcu zebrała się większość akredytowanych w mieście korespondentów zagranicznych, a także kilku niezłomnych Niemców, na tyle odważnych, że gotowych zaryzykować rozpoznanie przez agentów nieustannie śledzących Mowrera.

Przedstawiciel nazistów, którego zadaniem było dopilnowanie, aby Mowrer wsiadł do pociągu, podszedł doń i spytał przymiłym tonem: „A kiedyż to pan wróci do Niemiec, Herr Mowrer?”^[303].

Wybuchając bardzo filmowo, scenicznie, Mowrer rzucił: „Cóż, wtedy, gdy towarzyszyć mi będą jakieś dwa miliony rodaków”.

Messersmith objął Mowrera, demonstrując obserwującym ich agentom swoje wsparcie. Po czym bardzo głośno, tak żeby go słyszano, złożył mu obietnicę, że jego żona i córka dołączą doń bez przeszkód. Mowrer czuł wdzięczność, nie zapomniał jednak Messersmithowi, iż ten nie pomógł mu w staraniach o pozostanie w Niemczech. Wchodząc na stopnie pociągu, odwrócił się do

Messersmitha i z lekkim uśmiechem na twarzy rzekł: „I ty, Brutusie”^[304].

Dla Messersmitha było to niezwykle przykre. „Poczułem się fatalnie, byłem przygnębiony” – napisał. „Wiedziałem, że sam sobie zapracowałam na ów wyjazd, ale czułem się paskudnie, myśląc o roli, jaką odegrałem”.

Dodd nie przyszedł na dworzec. Był zadowolony z wyjazdu Mowrera. W liście do jednego z przyjaciół w Chicago pisał, że Mowrer „był przez jakiś czas, jak może wiesz, pewnym problemem dla nas tutaj”^[305]. Przyznawał, że Mowrer to utalentowany pisarz. „Jednakże jego doświadczenia związane z publikacją książki”^[306] – rozgłos i Nagroda Pulitzera – „sprawiły, że stał się jeszcze bardziej ostry i drażniący, co nie podobało się żadnej z zainteresowanych stron”.

Mowrer i jego rodzina dotarli bezpiecznie do Tokio. Żona reportera, Lillian, wspominała, z jak wielkim żalem opuszczali Berlin. „Nigdzie nie miałam tak uroczych przyjaciół jak w Niemczech”^[307] – zanotowała. „Kiedy spoglądam teraz na to wszystko, wydaje mi się, że patrzę na kogoś bliskiego, kto postradał zmysły i czynił rzeczy straszne”.

Wymagania protokołu – po niemiecku *Protokoll* – przenikały życie Dodda niczym czarna mgła, uniemożliwiając mu robienie tego, co kochał najbardziej: pisanie *Daunego Południa*. Będąc oficjalnie już akredytowanym ambasadorem, miał teraz znacznie więcej obowiązków na niwie dyplomatycznej, co budziło w nim przerażenie. W liście do sekretarza stanu Hulla Dodd pisał: „Protokolarni arbitrzy od życia towarzyskiego stwarzają precedensy”^[308], wymuszając organizowanie rozrywek w czyjejs rezydencji, które zasadniczo nie służą żadnemu celowi, ale które każdej z rozmaitych ambasad i każdemu z ministerstw dają pretekst do wydawania uroczystych obiadów w celach »towarzyskich«.

Kołowrót zaczął się kręcić. Protokół wymagał, aby Dodd wydał przyjęcie dla całego korpusu dyplomatycznego. Ambasador spodziewał się od 40 do 50 gości; zorientował się jednak, że każdy dyplomata planuje przyprowadzić ze sobą co najmniej jednego przedstawiciela personelu, wskutek czego ostateczna liczba obecnych musiała wzrosnąć do ponad dwustu. „A zatem przedstawienie rozpoczęło się dziś o piątej”^[309] – zapisał w swoim dzienniku Dodd. „Pomieszczenia ambasady przygotowano, wszędzie było pełno kwiatów, wielką wagę do ponczu napełniono stosownym napojem”. Przybył minister spraw zagranicznych Neurath, a także prezes Reichsbanku Schacht, jeden z kilku członków rządu Hitlera, których Dodd uważał za rozsądnych i racjonalnych. Schacht miał się stać w rezydencji Doddów częstym gościem, bardzo lubianym przez panią Dodd, która niejednokrotnie wykorzystywała go w celu uniknięcia niezręczności towarzyskich, będących skutkiem nagłego odwołania wizyty przez jakiegoś oczekiwanego gościa. Pani Dodd lubiła powtarzać: „Cóż, jeśli ktoś nie może przyjść i mówi o tym w ostatniej chwili, zawsze możemy zaprosić doktora Schachta”^[310]. Dodd podsumował imprezę słowami: „Nie było tak złe, a ponadto” – ku jego szczególnemu zadowoleniu – „wszystko kosztowało 700 marek”.

Teraz jednak biurka Dodda w pracy i w domu zalała prawdziwa powódź zaproszeń „w rewanżu”, zarówno na gruncie dyplomatycznym, jak i tych czysto towarzyskich. W zależności od rangi

wydarzenia po wypłynięciu zaproszeń następowała często wymiana uwag na temat rozlokowania gości na przyjęciu, które to zadanie spoczywało na urzędnikach odpowiedzialnych za protokół; ich rolą było dopilnowanie, aby żaden błąd w usadowieniu gości nie zepsuł wieczoru. Liczba obligatoryjnych bankietów i przyjęć osiągnęła taki pułap, że nawet rutynowani dyplomaci uskarżali się na uciążliwość obowiązków i ogólne zmęczenie. Jeden z wyższych rangą przedstawicieli niemieckiego MSZ powiedział Doddowi: „Pańscy ludzie w korpusie dyplomatycznym będą musieli ograniczyć ilość rautów, w przeciwnym razie my będziemy zmuszeni odrzucać zaproszenia”^[311].

A pewien dyplomata brytyjski narzekał: „Po prostu nie dajemy rady”^[312].

Ale oczywiście nie była to tylko harówka. Wszystkie te przyjęcia i bankiety obfitowały w chwile zabawne i wesołe. Goebbels znany był ze skłonności do żartów; Martha uważała go jeszcze wówczas za czarującego. „Przemili i zarażający humorem, z błyskiem w oku, o miękkim głosie”^[313], rozmawiający lekko i żartobliwie – doprawdy trudno było pamiętać, jak jest okrutny, jak zdolny do przebiegłego niszczenia”. Jej matka, Mattie, zawsze cieszyła się, gdy na jakimś bankiecie posadzono ją obok Goebbelsa; Dodd uważał go za „jednego z niewielu ludzi w Niemczech z poczuciem humoru”^[314] i często wymieniał z nim ożywione, pełne ostrych ripost i ciętych dowcipów ironiczne komentarze. Niezwykła fotografia prasowa ukazuje Doda, Goebbelsa i Sigrid Schultz na oficjalnym bankiecie w momencie – jak się wydaje – naturalnej, beztrudnej zażyłości między nimi^[315]. Choć niewątpliwie użyteczna z punktu widzenia nazistowskiej propagandy, scena ta zasługuje na bardziej złożoną interpretację, niż mogłoby wynikać z samego zdjęcia. W istocie rzeczy, jak wyjaśniała później pani Schultz w swoim wywiadzie rzece, choć starała się nie rozmawiać z Goebbelsem, to z „pewnością wyglądała wtedy jak kokietka”^[316]. Schultz mówiła (używając trzeciej osoby liczby pojedynczej): „Na zdjęciu Sigrid nie odzywa się do niego ani słowem, jak widać. On emanuje z siebie tysiącem watów uroku osobistego, ale oboje wiedzą, że ona go nie znosi”. Kiedy Dodd ujrzał tę fotografię, kontynuowała Schultz, „śmiał się do rozpuku”.

Również Göring wydawał się dość sympatyczną postacią, przynajmniej w porównaniu z Hitlerem. Sigrid Schultz uważała go za najznośniejszego spośród wyższych rangą nazistów, ponieważ „przynajmniej można z nim było przebywać w jednym pomieszczeniu”^[317]; o Hitlerze miała znacznie gorsze zdanie, stwierdziła: „przewracało mi się w żołądku” na jego widok. Jeden z urzędników ambasady amerykańskiej, John C. White, powiedział po latach: „Göring wywierał na mnie zawsze raczej pozytywne wrażenie (...)”^[318]. Jeśli któregoś z nazistów dawało się lubić, to przypuszczam, że jego najbardziej”.

W owym czasie, na początku opisywanej epoki, dyplomaci i inni ludzie nie traktowali Göringa zbyt poważnie. Był niczym wielki, choć oczywiście niebezpieczny, chłopiec, który uwielbiał sam

projektować, a potem nosić nowe mundury. Z powodu swojej postury stawał się przedmiotem licznych żartów, ale opowiadano je sobie tylko po upewnieniu się, że nie ma go w pobliżu.

Pewnego wieczoru Dodd wybrał się z żoną na koncert do ambasady włoskiej, na którym obecny był również Göring. W wielkim białym mundurze własnego projektu Göring wyglądał szczególnie potężnie – „był trzykrotnie większy niż przeciętny mężczyzna”^[319], jak relacjonowała Martha. Dla publiczności przygotowano antyczne, złożone i całkiem niewielkie krzesła, o wiele za delikatne dla niego. Z fascynacją i nie małym lękiem pani Dodd obserwowała, jak Göring siada na krzeselku tuż przed nią. Całą uwagę momentalnie skupiła na jednym: próbie usadowienia „sercowatego” w kształcie zadka Göringa na owym malutki krześle. Przez cały koncert pani Dodd bała się, że w każdej chwili może ono się rozpaść i że wielkie cielsko Göringa z hukiem osunie się wprost na jej kolana. Martha zapisiała: „[Matka] była tak rozkojarzona widokiem tych wielkich szynek wysuwających się na boki sponad krawędzi krzesła tak niebezpiecznie blisko niej, że nie pamiętała ani jednego utworu, który grano”.

Główne zastrzeżenia, jakie miał Dodd wobec przyjęć wydawanych przez inne ambasady, dotyczyły ich kosztów; pieniędzmi szastały nawet przedstawicielstwa krajów dotkniętych wielkim kryzysem.

„Na przykład wczoraj wieczorem”^[320] – pisał do sekretarza Hulla – „o godzinie 20.30 posłaliśmy na kolację do domu belgijskiego posła, który to dom składa się z 53 pokoi (a kraj ten podobno nie jest w stanie realizować swoich zobowiązań finansowych)”. Na samochód Doddów czekało dwóch służących w uniformach. „Na schodach stało czterech lokajów ubranych w stylu epoki Ludwika XIV. Trzej inni służący, w spodniach do kolan, zajęli się naszymi okryciami. Dwadzieścia dziewięć osób zasiadło w jadalni umeblowanej kosztowniej niż jakikolwiek pokój w Białym Domu, który dane mi było widzieć. Czterech kelnerów w uniformach roznosiło osiem dań, podawanych na srebrnych półmiskach i talerzach. Przy każdym nakryciu stały trzy kieliszki; kiedy wstawaliśmy od stołu, zauważyłem, że wiele [z nich] było do połowy napełnionych winem, które miało się zmarnować. Ludzie obecni na przyjęciu byli całkiem sympatyczni, ale jeśli chodzi o moją część stołu, nie prowadzono tu absolutnie żadnych sensownych rozmów (co zauważyłem także podczas innych większych przyjęć). Nie pamiętam również żadnej poważnej, pouczającej czy choćby zabawnej konwersacji po odejściu od stołu”. Martha też była tam obecna; opisywała potem, że „wszystkie kobiety lśniły od brylantów i innych cennych kamieni – nigdy nie widziałam tak jednoznacznej manifestacji czyjegoś bogactwa”. Zanotowała ponadto, że wraz z rodzicami wyszła o godzinie 22.30, co wywołało drobny skandal. „Dało się zauważyć sporo dystygowanych uniesień brwi, wzięliśmy jednak byka za rogi i poszliśmy do domu”. Jak dowiedziała się po jakimś czasie, zejście z dyplomatycznego posterunku przed godziną 23.00 uważano za nietakt.

Dodd przeżył szok, słysząc, że jego poprzednik w Berlinie, człowiek z własnym nie małym

majątkiem, wydawał rocznie do stu tysięcy dolarów na rozrywki – stanowiło to ponad pięciokrotność rocznej pensji Dodda. Zdarzało się, że na napiwki dla służby przeznaczano kwoty większe, niż wynosił aktualny miesięczny czynsz za wynajem rezydencji. „Ale” – zarzekał się Dodd w liście do Hulla^[321] – „nie będziemy się rewanżować za całą tę gościnność inaczej, jak wydając najwyżej 10–12 przyjęć, z maksymalnie czterema osobami skromnie przyodzianej służby” – co miało prawdopodobnie oznaczać, że obsługa, owszem, będzie ubrana, ale nie w spodnie szerokie nad kolanami i przylegające do nogi pod nimi, jak u Belgów. Doddowie mieli trzech służących, szofera, a podczas przyjęć zatrudniali jeszcze jedną lub dwie dodatkowe osoby, o ile przybywało więcej niż dziesięciu gości.

W kredensie ambasady^[322], według oficjalnego spisu inwentaryzacyjnego przedmiotów będących własnością państwową w corocznym *Sprawozdaniu z działalności placówki*, znajdowało się:

Talerzy obiadowych 10,5 cala	4 tuziny
Talerzy do zupy 9,5 cala	2 tuziny
Talerzy do przystawek 9,5 cala	2 tuziny
Talerzyków deserowych	2 tuziny
Talerzyków do sałatek 5 i 5/16 cala	2 tuziny
Talerzy do masła/chleba 6 i 3/16 cala	2 tuziny
Filizanek 3,5 cala	2 tuziny
Spodków 5 i 11/16 cala	2 tuziny
Filizanek do bulionu 3,5 cala	2 tuziny
Spodków 5 i 11/16 cala	2 tuziny
Filizanek do kawy 2,5 cala	2 tuziny
Spodków 4 i 3/4 cala	2 tuziny
Pater do pieczeni	2 tuziny
Półmisków różnych rozmiarów	4 tuziny

Kielichów	3 tuziny
Czarek do sorbetu wysokich	3 tuziny
Czarek do sorbetu płtykich	3 tuziny
Szklanek do whisky małych	3 tuziny
Szklanek do whisky dużych	3 tuziny
Miseczek do mycia rąk	3 tuziny
Talerzyków pod miseczki do mycia rąk	3 tuziny

„Nie będziemy używać srebrnych półmisek ani wylewać konwi wina, ani też ustawiać stolików do kart gdzie popadnie”^[323] – napisał Dodd Hullowi. „Zawsze będzie się dokładać starań, żeby na przyjęcie zapraszać jakiegos uczonego, naukowca czy literata, by rozmowy miały charakter pouczający. I rozumie się samo przez się, że kończymy bankiety między 22.30 a 23.00. Nie ogłosimy tego publicznie, postaramy się jednak, by każdy wiedział, że nie będzie żadnych rautów w sytuacji, gdy ich kosztą przekroczą dozwolony budżet”.

W liście do Carla Sandburga Dodd pisał: „Nigdy nie przystosuję się do powszechnego zwyczaju spożywania więcej niż potrzeba, picia pięciu gatunków wina i rozmów o niczym, do częzej gadaniny przez trzy długie godziny”^[324]. Obawiał się, że rozczarowuje swoich zamożniejszych, niższych rangą pracowników, którzy na własny koszt wydawali wystawne przyjęcia. „Nie potrafią mnie zrozumieć” – zanotował. „Żał mi ich”. Ambasador życzył Sandburgowi szybkiego ukończenia książki o Lincolnie, po czym wniósł lament: „Moje ledwo zaczęte *Daune Południe* wezmę chyba ze sobą do grobu”.

List zakończył łzawym akcentem „Raz jeszcze: pozdrowienia z Berlina!”.

Ale przynajmniej cieszył się Dodd dobrym zdrowiem, choć miewał nawroty kataru siennego, męczyły go niestrawność i rozstrój jelit. Jakby zwiastując to, co miało się wydarzyć, jego lekarz w Chicago Wilber E. Post – nomen omen mający gabinet w People’s Gas Building – przesłał dokumentację medyczną Doda, sporządzoną po ostatnich szczegółowych badaniach sprzed dekady, jako materiał porównawczy dla przyszłych badań organizmu ambasadora. Dodd cierpi na chroniczne stany migrenowe, informował Post, „charakteryzujące się silnymi bólami i zawrotami głowy, męczliwością, przygnębieniem oraz podrażnieniem układu pokarmowego”^[325], którą to przypadłość najlepiej leczyć „wysiłkiem fizycznym pod gołym niebem i uwolnieniem się od wszelkich napięć nerwowych oraz nadmiernego zmęczenia”. Dodd miał natomiast znakomite ciśnienie krwi, 100 skurczowe i 60 rozkurczowe, którego można się spodziewać raczej po jakimś sportowcu, nie zaś

mężczyźnie w późnym okresie wieku średniego. „W charakterystyce klinicznej pana Dodda należy uwzględnić fakt, że stan jego zdrowia jest zasadniczo dobry wtedy, gdy ma on częste okazje wykonywać ćwiczenia fizyczne na wolnym powietrzu, a jego dieta jest stosunkowo łagodna, nie wywołująca podrażnień, z ograniczoną ilością mięsa”.

W liście dołączonym do dokumentacji medycznej doktor Post napisał: „Ufam, że nie będzie Pan musiał z tego skorzystać, gdyby jednak tak, może się przydać”.

Owego piątkowego wieczoru pociąg specjalny „Sonderzug”^[326] wyruszył z Berlina i przez pejzaż nocy zmierzał do Norymbergi. Podróżowali nim ambasadorowie wielu pomniejszych krajów, między innymi Haiti, Syjamu i Persji, jak również urzędnicy protokolarni, stenografowie, lekarz tudzież grupa uzbrojonych SA-manów. Tym właśnie pociągiem mieli jechać Dodd i ambasadorowie Francji, Hiszpanii oraz Wielkiej Brytanii. Początkowo Niemcy planowali podstawić 14 wagonów, lecz po wpłynięciu listów odmownych zredukowali tabor do 9 sztuk.

Hitler był już w Norymberdze. Dotarł tam poprzedniej nocy, aby wziąć udział w ceremonii powitalnej, której każdy moment został szczegółowo rozplanowany; włącznie z doborem podarunku, jaki wręczył mu burmistrz miasta – słynną grafiką Albrechta Dürera zatytułowaną *Rycerz, śmierć i diabeł*^[327].

^[296] Dodd, *Dziennik*, s. 26.

^[297] tamże, s. 25.

^[298] Dodd, *Dziennik*, s. 30–31.

^[299] Cytat ten i inne szczegóły sprawy Kaltenborna zaczerpnięte z: Messersmith „Atak na Kaltenborna”, niepublikowany pamiętnik, dokumentacja Messersmitha; z korespondencji Kaltenborna znajdującej się w jego archiwach w Wisconsin Historical Society oraz pamiętnika Kaltenborna *Fifty Fabulous Years*.

^[300] dokumentacja Kaltenborna.

^[301] Dodd, *Dziennik*, s. 36.

^[302] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 36.

^[303] tamże, s. 36–37.

^[304] tamże, s. 37.

^[305] Mowrer, *Triumph*, s. 226.

[306] Messersmith „Pewne obserwacje na temat moich relacji z prasą”, niepublikowany pamiętnik, 22, dokumentacja Messersmitha.

[307] Dodd w liście do Waltera Lichtensteina, 26 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

[308] tamże.

[309] Reynolds, *Journalist's Wife*, s. 309.

[310] Dodd w liście do Hulla, 19 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

[311] Dodd, *Dziennik*, s. 33.

[312] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 236.

[313] Dodd w liście do Hulla, 17 II 1934 (niewysłanym), skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

[314] tamże.

[315] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 233.

[316] tamże, s. 233.

[317] Kopia tego zdjęcia znajduje się w książce Doddów *Embassy Eyes*, naprzeciwko strony 118.

[318] Schultz „Sigrid Schultz Transcript – Część I”, 10, skrzynka nr 2, dokumentacja Schultz.

[319] Schultz, Katalog Wspomnień, fragment w przekładzie, skrzynka nr 2, dokumentacja Schultz.

[320] wspomnienia Johna Campbella White’a, Oral History Collection, Columbia University, s. 87–88.

[321] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 221.

[322] Dodd w liście do Hulla, 19 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

[323] tamże.

[324] Sprawozdanie z działalności placówki w Berlinie (poprawione), s. 10, 124.62/162, State/Decimal.

[325] Dodd w liście do Hulla, 19 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

[326] Dodd w liście do Carla Sandburga, 21 XI 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

[327] dr Wilbur E. Post w liście do Dodda, 30 VIII 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 13

Mój mroczny sekret

Martha znajdowała upodobanie w tych wszystkich rozrywkach, które tak mężczyźni jej ojca. Jako córka ambasadora amerykańskiego zajmowała pozycję wyjątkową i szybko zorientowała się, że jej towarzystwa poszukują mężczyźni każdego autoramentu, w każdym wieku i wszelkiej narodowości. Rozwód z mężem bankierem – Bassettem – był jeszcze w toku, ale do załatwienia pozostały już tylko sprawy czysto formalne. Martha uważała się za kobietę stanu wolnego, która ma prawo postępować tak, jak chce, która może, lecz wcale nie musi, informować świat o swoim stanie cywilnym. Odkryła, że owa tajemniczość jest użytecznym i miłym narzędziem: na zewnątrz sprawiała wrażenie typowej młodej amerykańskiej dziewczyny, znała jednak seks i lubiła go, a najbardziej moment, kiedy mężczyźni dowiadywali się prawdy. „Przypuszczam, że dopuszczałam się wielkiego oszustwa wobec korpusu dyplomatycznego, nie dając wcale do zrozumienia, że jestem mężatką”^[328] – zapisała. „Muszę jednak przyznać, że podobało mi się traktowanie mnie tak, jakbym była 18-letnią panienką, podczas gdy ja sama miałam już swój mroczny sekret”.

Okazji do poznawania nowych mężczyzn nie brakowało. Dom przy Tiergartenstrasse zawsze był pełen studentów, niemieckich oficerów, sekretarzy ambasad, korespondentów, ludzi z reichswery, SA-manów, a także SS-manów. Oficerowie reichswery nosili się z arystokratyczną wyniosłością i powierzali Marcie swoje sekretne nadzieje na restaurację monarchii niemieckiej. Ona uważała ich za „niezwykle przyjemnych, przystojnych, grzecznych i nieciekawych”.

Martha zwróciła też uwagę Ernsta Udet, asa lotnictwa z czasów I wojny światowej, który słynął w całych Niemczech jako napowietrzny awanturnik, eksplorator i pilot kaskader. Z innym asem lotnictwa, kolegą Udet, Göringiem, pojechała na polowanie z sokołami do jego rozległej posiadłości Carinhall, nazwanej tak na cześć nieżyjącej szwedzkiej żony Göringa. Martha miała też

krótki romans z Putzim Hanfstaenglem^[329], a przynajmniej twierdził tak po latach jego syn, Egon. Hołdowała swobodzie seksualnej, potrafiąc zrobić właściwy użytek z domu, w którym mieszkała, oraz z faktu, że rodzice chodzili wcześniej spać. Na koniec wdała się także w romans z Thomasem Wolfe'em, kiedy pisarz odwiedził Berlin; Wolfe opowiadał później jednemu z przyjaciół, że Martha była „niczym motyl unoszący się wokół jego penisa”^[330].

Jednym z jej kochanków był Armand Berard, trzeci sekretarz ambasady francuskiej – mający 198 centymetrów wzrostu, „niesamowicie przystojny”, jak wspominała. Zanim Berard zaprosił ją na pierwszą randkę, spytał o pozwolenie ambasadora Dodda, który to czyn Martha uznała za czarujący i zabawny zarazem. Nie wspomniała Berardowi o swoim małżeństwie, wskutek czego traktował ją początkowo jako osobę bez żadnego doświadczenia seksualnego – ku jej skrywanemu zachwytowi. Wiedziała, że ma nad Berardem wielką władzę i że nawet jakiś przypadkowy gest lub uwaga mogą doprowadzić go do rozpacz. W okresach, gdy się ze sobą nie spotykali, Martha widywała się z innymi mężczyznami – i robiła wszystko, by Berard o tym wiedział.

„Jesteś jedyną osobą na świecie, która może mnie złamać”^[331] – napisał pewnego dnia – „ale Ty o tym przecież świetnie wiesz i wydaje się, jakbyś się tym znakomicie bawiła”. Błagał ją, żeby nie była tak okrutna. „Nie mogę tego znieść” – pisał. „Gdybyś zdawała sobie sprawę, jak bardzo jestem nieszczęśliwy, prawdopodobnie użaliłabyś się nade mną”.

Jeden z konkurentów, Max Delbrück, podówczas młody biofizyk, nawet po czterech dekadach świetnie pamiętał niezwykle talent Marthy do manipulowania mężczyznami. Max był szczupły, miał elegancko ukształtowany podbródek oraz masę ciemnych, gładko zaczesanych włosów, wyglądem przypominał młodego Gregory'ego Pecka. Czekala go wielka przyszłość, między innymi Nagroda Nobla, którą otrzymał w 1969 roku.

W listach pisanych pod koniec życia Martha i Delbrück wspominali często chwile spędzone wspólnie w Berlinie. Ona przywołała na przykład moment, gdy niewinnie siedzieli obok siebie w jednym z saloników dla gości, i była ciekawa, czy on też to pamięta.

„Oczywiście, pamiętam salę krytą zielonym adamaszkiem nieopodal jadalni [w domu] przy Tiergartenstrasse”^[332] – napisał Max. Lecz jego wspomnienia różniły się nieco: „Ale myśmy tam nie tylko grzecznie siedzieli”.

W lekkim przypływie zadawnionej urazy wypominał Marcie jedną z randek w Romanisches Café. „Spóźniłaś się potwornie, a potem cały czas ziewałaś, tłumacząc, że czujesz się w moim towarzystwie bardzo odprężona i że to jest dla mnie komplement”.

Z niemalą dawką ironii dodał: „Bardzo spodobał mi się ten pomysł (mimo że początkowo byłem zły) i od tamtej pory zawsze ziewam przy moich znajomych”.

Rodzice dawali Marcie pełną swobodę, pozwalając jej przychodzić i wychodzić z domu, kiedy

tylko chciała. Nierzadko zdarzało jej się wracać dopiero nad ranem w towarzystwie różnych osób, jednakże w rodzinnej korespondencji jest zaskakująco mało krytycznych komentarzy w tej sprawie.

Tym niemniej zachowanie to nie uszło uwagi innych, w tym konsula generalnego George'a Messersmitha, który swoje znieśmaczenie zakomunikował Departamentowi Stanu, podsycając tym samym utajoną kampanię przeciwko Doddowi. Messersmith wiedział o romansie Marthy z Udetem, asem lotnictwa, i podejrzewał, że romantyczne stosunki łączą ją także z innymi liczącymi się nazistami, na przykład z Hanfstaenglem. W „osobistym i poufnym” liście do Jaya Pierreponta Moffata, szefa wydziału do spraw Europy Zachodniej, Messersmith pisał, że romanse te stanowią pożywkę dla plotek, lecz są zasadniczo nieszkodliwe – z wyjątkiem przypadku Hanfstaengla. Zachodziła obawa, że związek Marthy z Hanfstaenglem i jej wyraźny brak dyskrecji może skutkować zwiększoną powściągliwością ze strony dyplomatów i innych osób dobrze poinformowanych, które nie będą chciały mówić Doddowi o pewnych rzeczach, obawiając się, że wyznania te mogłyby dotrzeć do Hanfstaengla. „Często miałem ochotę wspomnieć o tym ambasadorowi”^[333] – pisał Messersmith do Moffata – „ale ponieważ była to sprawa dość delikatnej natury, ograniczałem się tylko do objaśniania, jakiego rodzaju człowiekiem Hanfstaengl jest naprawdę”.

Z czasem Messersmith coraz bardziej utwierdzał się w swoich krytycznych ocenach prowadzenia się Marthy. W jego niepublikowanych pamiętnikach czytamy, że „zachowywała się fatalnie, i to pod wieloma względami, szczególnie biorąc pod uwagę pozycję, jaką zajmował jej ojciec”^[334].

Kamerdyner Doddów, Fritz, swój krytycyzm wyraził bardzo zwięźle: „To nie był dom, tylko dom publiczny”^[335].

Życie miłosne Marthy przestało być bez troskie w chwili, gdy została przedstawiona Rudolfowi Dielsowi, młodemu szefowi Gestapo. Diels poruszał się swobodnie i z poczuciem pewności siebie, jednak w przeciwieństwie do Putziego, który dokonywał inwazji jakiegoś pomieszczenia, on wkraczał tam w sposób nienaturalny, przenikając niczym złowroga mgła. Jego pojawienie się na przyjęciu, zapisała Martha, „wzbudzało nerwowość i napięcie – których nie wywołałby chyba żaden inny człowiek – nawet gdyby nie wiadano, czym się zajmuje”^[336].

Uwagę Marthy zwróciła przede wszystkim jego zniszczona twarz, którą opisała jako „najbardziej groźne, usiane bliznami oblicze, jakie kiedykolwiek widziała”^[337]. Na prawym policzku Dielsa widniała długa płytka blizna w kształcie litery V, poniżej ust i na podbródku ciągnęły się kolejne, a w dolnej części lewego policzka widać było szczególnie głęboką bliznę w kształcie półksiężyca. Jego aparycja robiła wielkie wrażenie, wyglądał niczym pokancerowany Ray Milland – „brutalne, zniszczone piękno”^[338], jak ujęła to Martha. Uroda Dielsa kontrastowała z pozbawionym wyrazu

wyglądem młodych oficerów reichswery; Martha poczuła do niego natychmiastowy pociąg, pociąg do jego „uroczych” ust, „czarnych jak smoła bujnych włosów” i świdrujących oczu.

Nie była w tym osamotniona. Diels uchodził za mężczyznę urokliwego, sprawnego i doświadczonego w kwestii seksu. Jako student zyskał sobie reputację amatora trunków i kobieciarza, przynajmniej według Hansa Bernda Giseviusa, gestapowca, który studiował na tym samym uniwersytecie. „Regularnie wdawał się w romanse z kobietami”^[339] – napisał Gisevius w pamiętniku. Również mężczyźni przyznawali, że Diels ma swój czar i styl. Kiedy Kurt Ludecke, jeden z wczesnych współpracowników Hitlera, został aresztowany i doprowadzony do gabinetu Dielsa, stwierdził, że szef Gestapo jest zaskakująco kordialny. „Czułem się swobodnie przy tym wysokim, szczupłym i wytwornym młodzieńcu, a jego взгляды uznałem za podnoszące na duchu”^[340] – zapisał Ludecke. „A przecież była to sytuacja, w której dobre manieri nie są z reguły najważniejsze” – zanotował. „Wróciłem do celi z poczuciem, że wolalbym zostać zastrzelony przez dżentelmena, niż zatłuczony przez prostaka”. Ludecke został ostatecznie pozbawiony wolności – było to „zatrzymanie prewencyjne”. W efekcie wylądował w obozie koncentracyjnym w Brandenburg an der Havel.

Marthę pociągało w Dielsie także to, iż wszyscy się go bali. Często nazywano go „Księciem Ciemności”, co – jak zorientowała się Martha – absolutnie mu nie przeszkadzało. „Znajdował przewrotną przyjemność w tym mefistofelicznym sposobie bycia i zawsze chciał, by po jego dramatycznym pojawieniu się zalegała cisza”^[341].

Bardzo wcześnie związał się bliskim sojuszem z Göringiem, a kiedy Hitler został kanclerzem, Göring – jako nowy pruski minister spraw wewnętrznych – nagrodził lojalność Dielsa, czyniąc go szefem nowo powstałego Gestapo, mimo faktu, że nie był on członkiem partii nazistowskiej. Göring na siedzibę tajnej policji wybrał starą szkołę plastyczną przy Prinz-Albrecht-Strasse 8, mniej więcej dwie przecznice od konsulatu USA przy Bellevuestrasse. Jeszcze przed przyjazdem Doddów do Berlina Gestapo budziło powszechne przerażenie, choć nie było wcale tak wszechwiedzącą i wszytkowidzącą instytucją, jak sobie wyobrażano. Wedle historyka Roberta Gellately’ego skład osobowy tajnej policji był „nadzwyczaj skromny”^[342]. Autor ten powołuje się na przykład delegatury Gestapo w Düsseldorfie, jednej z niewielu, której szczegółowe archiwa udało się zachować. Otóż zatrudniała ona 291 pracowników odpowiedzialnych za obszar zamieszkały przez 4 miliony ludzi. Gellately stwierdza, że policyjni agenci, czyli „specjaliści”, nie byli socjopatami, jak się ich powszechnie przedstawia. „Większość z nich nie była ani obłąkana, ani chora umysłowo, nie byli też nadludźmi – byli przerażająco zwyczajni”^[343].

Mroczny wizerunek Gestapo potęgował fakt, że wszystkie operacje i źródła informacji utrzymywano w tajemnicy. Nagle, bez żadnej zapowiedzi, mogło przyjść pocztą wezwanie do

stawienia się na przesłuchanie. Było to szczególnie zatrważające. Mimo całkiem prozaicznej formy owych wezwań nie można ich było odrzucić czy zignorować. Obywatele musieli stawiać się w jednym z budzących grozę budynków, aby odpowiadać na zarzuty dotyczące czynów, o których z reguły nie mieli najmniejszego pojęcia. Istniała przy tym możliwość – często wyimaginowana, lecz w wielu przypadkach bardzo realna – że jeszcze tego samego dnia wezwany znajdzie się w obozie koncentracyjnym w ramach „zatrzymania prewencyjnego”. Strach przed Gestapo brał się przede wszystkim ze świadomości, że nie sposób przewidzieć, co się stanie. „Da się uniknąć niebezpieczeństwa, które się widzi”^[344] – pisał historyk Friedrich Zipfel – „ale policja działająca w mroku staje się straszna. Nigdzie nie można się czuć bezpiecznym. Wprawdzie nie widać jej na każdym kroku, ale przecież może się nagle pojawić, dokonać przeszukania, aresztować. Zależniony obywatel nie wie już, komu powinien ufać”.

Jednak pod komendą Dielsa Gestapo odgrywało rolę bardziej złożoną. W okresie kilku tygodni po objęciu przez Hitlera urzędu kanclerskiego Gestapo Dielsa przeciwdziałało fali przemocy w wykonaniu SA, kiedy to członkowie Oddziałów Szturmowych w swoich prowizorycznych więzieniach zamykali tysiące ofiar. Diels prowadził akcję likwidacyjną tych aresztów, podczas niej znajdowano licznych więźniów przetrzymywanych w przerażających warunkach, pobitych i potwornie posiniaczonych, ze złamanymi kończynami, niemal zagłodzonych, „podobnych do warstwy martwej gliny”^[345], jak zapisał Diels, „absurdalne marionetki o oczach bez życia, trawione gorączką, ślaniające się na nogach”.

Ojciec Marthy lubił Dielsa. Z zaskoczeniem stwierdził, że dzięki życliwemu pośrednictwu szefa Gestapo udaje się wyciągać obywateli innych krajów (i nie tylko) z obozów koncentracyjnych, a także wywierać presję na policję poza Berlinem, tak aby odnajdywać i karać SA-manów odpowiedzialnych za ataki na obywateli amerykańskich.

Diels nie był jednak święty. W trakcie piastowania przezeń urzędu aresztowano tysiące mężczyzn i kobiet, wielu torturowano, niektórych zamordowano. W tym okresie na przykład w kwaterze głównej Gestapo więziono i przesłuchiowano niemieckiego komunistę Ernsta Thälmana – pozostawił szczegółową relację. „Kazali mi zdjąć spodnie”^[346]. Dwóch ludzi chwyciło mnie z tyłu za szyję i przycisnęło do podnóżka. Umundurowany gestapowiec, trzymający w ręku bicz ze skóry hipopotama, bił mnie w pośladki w odmierzonym rytmie. Oszalały z bólu nieustannie z całych sił krzyczałem”.

Zdaniem Dielsa przemoc i terror były ważnymi narzędziami zachowania władzy politycznej. Podczas jednego ze spotkań korespondentów zagranicznych u Putziego Hanfstaengla Diels powiedział dziennikarzom: „Wartość SA i SS, z punktu widzenia generała inspektora odpowiedzialnego za tłumienie działań i tendencji wywrotowych, bierze się z tego, że sięją one

terror^[347]. Jest to rzecz właściwa”.

Martha i Diels spacerowali razem po Tiergarten, który szybko zaczęto uważać za jedyne miejsce w śródmieściu Berlina, gdzie można się czuć swobodnie. Martha szczególnie lubiła przechadzać się po parku jesienią, pośród – jak to ujęła – „złotej śmierci Tiergarten”^[348]. Chodzili do kina, do nocnych klubów, wybierali się na wielogodzinne przejażdżki samochodem poza miasto. To, że zostali kochankami, wydaje się bardzo prawdopodobne, mimo faktu, że oboje byli przecież w związkach małżeńskich: Martha wyłącznie w sensie technicznym, Diels zaś jedynie nominalnie, biorąc pod uwagę jego zamiłowanie do cudzołóstwa. Marcie bardzo podobał się fakt, że mówiono o niej jako o kobiecie, która sypia z diabłem – a że z nim sypiała, jest niemal pewne, choć przypuszczalnie Dodd, jak wszyscy naiwni ojcowie zawsze i wszędzie, nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Messersmith podejrzewał ów fakt, podobnie jak jego zastępca Raymond Geist. Geist skarżył się Wilburowi Carrowi, szefowi służby konsularnej w Waszyngtonie, że Martha jest „najbardziej niedyskretną” młodą damą, jaką zna^[349], i że „nieustannie afiszuje się wieczorami z szefem nazistowskiej tajnej policji, człowiekiem żonatym”. Geist na własne uszy słyszał, jak Martha publicznie zwracała się do Dielsa czułymi słowy, na przykład „kochanie”.

Im lepiej Martha poznawała Dielsa, tym wyraźniej widziała, że on też się boi. „Jakby stale zaglądał w wylot lufy”^[350] – zanotowała. Najswobodniej zachowywał się podczas ich wspólnych przejażdżek, kiedy nikt nie mógł podsłuchać ich rozmów ani obserwować, co robią. Zatrzymywali się tu i tam, spacerowali po lesie, pili kawę w ustronnych prowincjonalnych kafejkach. Diels opowiadał Marcie o tym, że w partii nazistowskiej jeden nie ufa drugiemu, że Göring i Goebbels darzą się wzajemną niechęcią i szpiegują nawzajem, że obaj szpiegują jego i że on także ze swymi ludźmi szpieguje ich dwóch.

To dzięki Dielsowi Martha po raz pierwszy zaczęła wątpić w swój wyidealizowany obraz nazistowskiej rewolucji. „Przed moimi oczyma, dotąd skłonny do widzenia tego, co romantyczne, zaczęła się jawić (...) wielka i skomplikowana siatka szpiegowska, sieć terroru, sadyzmu i nienawiści, z której nikt – ani zwykły człowiek, ani dygnitarz – nie mógł się wyrwać”^[351].

Nawet Diels, jak miało się niebawem okazać.

^[328] Metcalfe, s. 141.

^[329] Burden, s. 68.

^[330] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 41.

[331] Conradi, s. 122.

[332] Vanden Heuvel, s. 248.

[333] Armand Berard w liście do Marthy, brak daty, skrzynka nr 4, dokumentacja Marthy Dodd.

[334] Max Delbrück w liście do Marthy, 15 XI 1978, skrzynka nr 4, dokumentacja Marthy Dodd.

[335] Messersmith w liście do Jaya Pierrepointa Moffata, 13 VI 1934, dokumentacja

Messersmitha.

[336] Messersmith „Goering”, niepublikowany pamiętnik, 5, dokumentacja Messersmitha.

[337] Brysac, s. 157.

[338] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 52.

[339] tamże, s. 52.

[340] tamże, s. 53.

[341] Gisevius, s. 39.

[342] Ludecke, s. 654–655.

[343] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 52.

[344] Gellately *Gestapo*, s. 44–45.

[345] tamże, s. 59.

[346] cyt. za Gellately, *Gestapo*, s. 129.

Strach panował także w szeregach Gestapo, jak pisze Hans Gisevius w swojej kronice zatytułowanej *Aż po gorzki koniec*: „Żyliśmy bowiem w jaskini morderców, w której nikt nie śmiał przejść choćby dziesięciu czy dwudziestu kroków na drugą stronę korytarza, aby umyć ręce, nie zawiadamiając o tym wcześniej któregoś z kolegów i nie informując go o swoich zamiarach wypuszczenia się w tak niebezpieczną ekspedycję”. Szef stale radził Giseviusowi, aby – kiedy musi iść po schodach – trzymał się blisko ścian i daleko od poręczy, zgodnie z teorią, iż dzięki temu stojący wyżej zabójca będzie miał trudniejsze warunki do oddania strzału. „Ani przez chwilę nikt nie mógł czuć się bezpieczny”. Gisevius, s. 50–51.

[347] Gallo, s. 25–26.

[348] Rürup, s. 92.

[349] Metcalf, s. 133.

[350] Martha w liście do Thorntona Wildera, 10 XI 1934, dokumentacja Wildera.

[351] cyt. za Wilburem Carrem, Memorandum, 5 VI 1933, skrzynka nr 12, dokumentacja

Carra.

Rozdział 14

Śmierć Borysa

W życiu Marthy był jeszcze jeden kochanek, najważniejszy ze wszystkich, naznaczony śmiercią Rosjanin, który miał wpłynąć na całe jej dalsze życie.

Martha zobaczyła go po raz pierwszy w połowie września 1933 roku podczas jednej z licznych imprez w mieszkaniu Sigrid Schultz, w którym ta zamieszkiwała z matką i dwoma psami. Schultz serwowała gościom przygotowane przez matkę kanapki, fasolkę po bretońsku i kielbaski, zapewniając przy tym spore ilości piwa, wina i mocnych alkoholi, wskutek czego nawet naziści wyzwalali się z więzi doktryny i woleli bawić się i plotkować. Zatopiona w rozmowie Martha spojrzała przelotnie na drugą stronę pokoju i zobaczyła wysokiego, dobrze prezentującego się mężczyznę w otoczeniu grupki korespondentów zagranicznych. Nie był przystojny w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, lecz mimo to bardzo atrakcyjny – miał może 30 lat, krótkie jasnobrązowe włosy, nad wyraz błyszczące oczy i łagodny, wdzięczny sposób bycia. Kiedy mówił, poruszał dłońmi; Martha zauważyła jego długie i zwinne palce. „Miał niezwykle usta, zwłaszcza górną wargę”^[352] – wspominała jedna z przyjaciółek Marthy, Agnes Knickerbocker, żona korespondenta H. R. „Knicka” Knickerbockera. „Nie mogę tego opisać inaczej, jak tylko tak, że od grymasu surowości po wybuch śmiechu [usta te] przechodziły w ułamku sekundy”.

Gdy Martha obserwowała go, odwrócił się i popatrzył na nią. Wytrzymała jego spojrzenie przez kilka chwil, po czym odwróciła wzrok i rozpoczęła kolejną rozmowę. (W jednej z niepublikowanych relacji z tego spotkania Martha wspominała ów moment i kolejne w najdrobniejszych szczegółach)^[353]. On również odwrócił wzrok – lecz kiedy nastał ranek, a z tamtej nocy pozostało tylko to, co najistotniejsze, oboje pamiętali, jak ich spojrzenia się spotkały.

Kilka tygodni później zobaczyli się ponownie. Knick i jego żona zaprosili Marthę wraz z paroma innymi przyjaciółmi na kilka drinków i wieczorek taneczny do popularnego nocnego klubu Ciro,

w którym zatrudniano czarnych muzyków jazzowych; był to akt podwójnie prowokacyjny, biorąc pod uwagę obsesję nazistów na punkcie czystości rasowej i ich potępienie jazzu – w żargonie partyjnym zwanego „jazzem czarnucho-żydów”^[354] – jako muzyki zdegenerowanej.

Knick przedstawił Marthę wysokiemu mężczyźnie, którego widziała na przyjęciu u Sigrid Schultz. Nazywał się Borys Winogradow. Kilka chwil później Borys podszedł do jej stolika, uśmiechnięty i nieśmielony. „*Gnädiges Fräulein*” – zaczął, rzucając zwyczajowy niemiecki zwrot, oznaczający tyle co „szanowna młoda damo”. Poprosił ją do tańca.

Natychmiast uderzyło ją piękno jego głosu, który określiła jako mieszający się gdzieś pomiędzy barytonem a tenorem. „Melodyjny” – zapisała. Poruszał ją, „trafiał prosto w serce, przez chwilę pozostawił oniemiałą, bez tchu”. Borys, wyciągnąwszy rękę, pomógł jej wstać od stołu, przy którym siedziało wielu ludzi.

Szybko się przekonała, że jego wrodzony wdzięk ma swoje granice. Prowadził ją po parkiecie, „depcząc po palcach, wpadając na innych, jego lewe ramię sterczało sztywno, obracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, próbując uniknąć kolejnych kolizji”.

Powiedział: „Nie umiem tańczyć”.

Było to tak oczywiste, że Martha wybuchnęła śmiechem.

Borys śmiał się także. Podobał jej się jego uśmiech, cała rozlaczana przezeń „aura łagodności”.

Po chwili odezwał się: „Pracuję w ambasadzie sowieckiej. *Haben Sie Angst?*”.

Znów się zaśmiała. „Oczywiście, że nie, dlaczego miałabym się bać? *Czego?*”

„Słusznie” – odparł. – „Jest pani osobą prywatną, a przy pani ja także”.

Przyciągnął ją bliżej. Był szczupły i szeroki w ramionach, jego oczy wydały jej się cudowne, zielononiebieskie, cętkowane złotem. Zęby miał nierówne, co jakimś sposobem potęgowało moc jego uśmiechu. Lubił się śmiać.

„Widziałem panią wcześniej kilka razy” – powiedział. Ostatnio, przypomniał Marcie, w domu pani Schultz. „*Erinnern Sie sich?*” Pamięta pani?

Przekorna z natury Martha nie chciała wydawać się zbyt łatwym łupem. Starala się mówić „niezobowiązująco”, musiała jednak przyznać, że pamięta ów fakt. „Tak” – odpowiedziała. – „Pamiętam”.

Tańczyli jeszcze przez chwilę. Kiedy odprowadził ją do stolika Knickerbockerów, pochylił się i zapytał: „*Ich möchte Sie sehr wieder zusehen. Darf ich Sie anrufen?*”.

Sens tych słów był dla Marthy jasny, mimo że słabo знаła niemiecki – Borys prosił ją o spotkanie.

Powiedziała: „Tak, może pan zadzwonić”.

Martha tańczyła z innymi. W pewnej chwili spojrzała za siebie na swój stolik i zobaczyła Borysa siedzącego obok Knickerbockerów. Obserwował ją.

„Niesamowicie to zabrzmiało” – zapisała – „ale po jego odejściu doznałam uczucia, że powietrze wokół mnie jest bardziej świetliste i wibrujące”.

Borys rzeczywiście zadzwonił kilka dni później. Podjechał pod dom Doddów, przedstawił się kamerdynerowi Fritzowi, po czym pędem wbiegł po schodach na pierwsze piętro, niosąc bukiet jesiennych kwiatów i płytę gramofonową. Nie ucałował ręki Marthy, i słusznie, ponieważ ów szczególnie niemiecki obyczaj zawsze ją denerwował. Po krótkim wstępie wyciągnął płytę.

„Nie zna pani muzyki rosyjskiej, prawda, *gnädiges Fräulein*? Czy słyszała pani kiedyś *Śmierć Borysa* Musorgskiego?”

Dodał: „Mam nadzieję, że to nie o mojej śmierci będzie pani słuchać”.

Zaśmiał się. Ona nie. Nawet w takiej chwili uderzył ją „zwiastun” zbliżającego się mroku.

Posłuchali muzyki – sceny śmierci z opery Modesta Musorgskiego *Borys Godunow* w wykonaniu słynnego rosyjskiego basu Fiodora Szaliapina – po czym Martha oprowadziła Borysa po domu, na sam koniec dotarli do biblioteki. W rogu stało biurko jej ojca, ogromne i ciemne, ze stale zamkniętymi szufladami. Słońce późnej jesieni przebijało się przez wysokie okno z witrażem plisami wielobarwnego światła. Zaprowadziła go do swojej ulubionej sofy.

Borys był zachwycony. „To będzie nasz zakątek, *gnädiges Fräulein*!” – wykrzyknął. – „Lepszy niż jakikolwiek inny”.

Martha usiadła na kanapie, Borys przysunął sobie krzesło. Zadzwoniła po Fritza i poprosiła go, aby przyniósł piwo i trochę precelków, pokrojone w plasterki marchewkę i ogórki oraz gorące paluszki serowe, który to zestaw zamawiała zwykle dla gości nieoficjalnych.

Fritz przyniósł jedzenie, stąpając bardzo cicho, jakby miał zamiar podsłuchiwać. Borys domyślił się, że Fritz też ma słowiańskie korzenie. Obaj mężczyźni wymienili grzeczności.

Ośmielony swobodnym zachowaniem Borysa Fritz zażartował: „Czy wy, komuniści, naprawdę spaliliście Reichstag?”.

Borys uśmiechnął się doń łobuzersko i mrugnął okiem. „Oczywiście, że tak” – powiedział. – „Ty i ja razem. Nie pamiętasz, jak wieczorem byliśmy u Göringa i oglądaliśmy tajne przejście do Reichstagu?” Była to aluzja do znanej teorii, w którą wielu wierzyło, że grupa nazistów podpalaczy przedostała się potajemnie z pałacu Göringa do Reichstagu podziemnym tunelem łączącym oba budynki. Tunel ten naprawdę istniał.

Cała trójka roześmiała się. Ów rzekomy współudział w podpaleniu Reichstagu miał stać się powodem do żartów między Borysem a Fritzem, powtarzanych w różnych odmianach wielokrotnie, ku rozbawieniu ojca Marthy – mimo że Fritz, jak sądziła Martha, był „prawie na pewno agentem tajnej policji”.

Fritz powrócił z wódką. Borys nalał sobie sporego drinka i szybko go wypił. Martha usadowiła się wygodnie na kanapie. Tym razem Borys usiadł koło niej. Wypił drugą wódkę, ale nie widać było

po nim działania alkoholu.

„Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem...” – zaczął. Zawahał się, a potem powiedział: „Czy to możliwe?, zastanawiam się”.

Martha zrozumiała, co chce powiedzieć; ona sama również czuła potężny, niepohamowany pociąg do niego, nie miała jednak zamiaru tak szybko się do tego przyznawać, nie na tak wczesnym etapie gry. Spojrzała na Borysa pustym wzrokiem.

Nagle stał się poważny. Zadawał jej wiele pytań, jak na długim przesłuchaniu. Czym się zajmowała w Chicago? Jacy są jej rodzice? Co chciałaby robić w przyszłości?

Bardziej przypominało to wywiad prasowy niż rozmowę na pierwszej randce. Martha uznała to za uciążliwe, odpowiadała jednak cierpliwie. Słyszała, że wszyscy Sowici zachowują się w ten sposób. „Nigdy przedtem nie spotkałam przecież prawdziwego komunisty ani Rosjanina” – zapisała. „Wyobrażałam sobie więc, że właśnie w ten sposób starają się kogoś poznać”.

Im dłużej trwała rozmowa, tym częściej sięgali po kieszonkowe słowniczki. Borys znał trochę angielski, jednak zbyt słabo, by rozmawiać swobodnie; posługiwał się więc głównie niemieckim. Martha w ogóle nie znała rosyjskiego, dlatego stosowała mieszaninę niemieckiego i angielskiego.

Choć wymagało to sporego wysiłku, zdołała przekazać Borysowi, że oboje jej rodzice są potomkami starych ziemiańskich rodów z Południa, „każde z długą historią przodków i o prawie czysto brytyjskich korzeniach: szkocko-irlandzkich, angielskich i walijskich”.

Borys zaśmiał się: „To chyba nie jest takie czyste, prawda?”.

Z nieuświadomioną nutką dumy w głosie Martha dodała, że obie rodziny posiadały niegdyś własnych niewolników: „Rodzina matki około dwunastu, ojca od pięciu do sześciu”.

Borys zamilkł. Wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił, był smutny. „Martho” – powiedział – „z pewnością nie jesteś dumna, że twoi przodkowie byli właścicielami innych istot ludzkich”.

Ujął ją za ręce i spojrzał w oczy. Aż do tej chwili fakt, że przodkowie jej rodziców posiadali niewolników, stanowił dla Marthy jedynie ciekawostkę z dziejów rodziny, dowód, że Doddowie zapuścili w Ameryce głęboko korzenie. Teraz nagle dostrzegła w całej jaskrawości, że to smutny rozdział w historii, którego należy się wstydzić.

„Nie chciałam się tym chlępić” – powiedziała. – „Chyba rzeczywiście zabrzmiało to w ten sposób”. Przeprasiła i natychmiast zienawidziła siebie za to. Była przecież, jak podkreślała, „wojowniczą dziewczyną”.

„Ale naprawdę jesteśmy w Ameryce od dawna” – powiedziała Borysowi. – „Nie jesteśmy nowymi przybyszami”.

Borys uznał jej postawę obronną za komiczną i roześmiał się serdecznie.

Po czym natychmiast zmienił ton i wyraz twarzy; był teraz – jak zapamiętała Martha –

„w najwyższym stopniu poważny”.

„Gratulacje, moja szlachetna, łaskawa, mała Martho! Ja też mam starożytny rodowód, starszy jeszcze od twojego. Jestem bezpośrednim potomkiem neandertalczyka. Czystej krwi? T a k ,
c z y s t e j k r w i c z ł o w i e k i e m ł .

Pokładali się ze śmiechu.

Spotykali się regularnie, chociaż tę coraz bliższą znajomość starali się utrzymywać w możliwie największej tajemnicy. Stany Zjednoczone nie uznały jeszcze Związku Sowieckiego (miało to nastąpić dopiero 16 listopada 1933 roku). Fakt zadawania się córki amerykańskiego ambasadora z pierwszym sekretarzem ambasady sowieckiej stanowiłby pogwałcenie protokołu i naraził zarówno ojca Marthy, jak i Borysa na ryzyko krytyki ze strony ich własnych rządów i nie tylko. Martha i Borys wychodzili z przyjęć dyplomatycznych dość wcześnie, po czym spotykali się potajemnie w dobrych restauracjach, takich jak Horcher, Pelzer, Habel i Kempinski. Aby nieco zredukować kosztą, Borys pielęgnował znajomości z szefami kuchni mniejszych niedroгих restauracji i instruował ich, jak należy przyrządzać jego ulubione dania. Po kolacji chodzili wspólnie na tańce do klubu Ciro bądź do innego, mieszczącego się na dachu hotelu Eden, albo też do któregoś z politycznych kabaretów, na przykład Kabarett der Komiker.

W niektóre wieczory Martha i Borys dołączali do grona zagranicznych korespondentów zebranych w Die Taverne, gdzie Borys był zawsze mile widziany. Dziennikarze lubili go. Dla Edgara Mowrera, przebywającego obecnie na wygnaniu, spotkania z Borysem stanowiły odświeżającą odmianę po spotkaniach z innymi oficjelnymi z ambasady sowieckiej. Borys, wspominał Mowrer, wypowiadał swoje poglądy bez niewolniczego przywiązania do obowiązującej doktryny partyjnej i „wydawał się całkowicie pozbawiony strachu przed cenzurą, który zamykał usta pozostałym pracownikom tej ambasady”^[355].

Podobnie jak inni zalotnicy, także Borys ucieczki od natrętnej obecności nazistów szukał w długich samochodowych wypadach poza miasto, na które zabierał Marthę. Prowadził forda kabrioleta, którego kochał całym sercem. Agnes Knickerbocker wspominała, że „zanim chwycił za kierownicę, z całym ceremoniałem zakładał wspaniałe skórzane rękawice”^[356]. Borys był „niezachwianym komunistą”, zanotowała, lecz mimo to „lubił tak zwane dobre rzeczy w życiu”.

Dach samochodu był niemal zawsze opuszczony, Borys zakładał go tylko w zimne noce. W miarę jak jego związek z Marthą stawał się coraz bardziej zażyły, żądał, by podczas jazdy pozwalala mu obejmować się ramieniem. Można było odnieść wrażenie, że cały czas musi jej dotykać. Kładł sobie jej dłoń na kolanie albo wkładał jej palce do swojej rękawiczki. Niekiedy wybierali się na przejażdżki późną nocą i wracali dopiero nad ranem, aby – jak zapisała Martha – „witać wschodzące słońce w czarnozielonym lesie spowitym w złoto jesieni”.

Choć Borys słabo znał angielski, nauczył się słowa *darling*, kochanie – uwielbiał je i używał go przy każdej okazji. Mówił również inne czuła słówka, tyle że rosyjskie, których nie chciał jej przetłumaczyć, twierdząc, iż mogłoby to zabić ich piękno. Po niemiecku zwracał się do Marthy per „moja mała dziewczynko”, „moje słodkie dziecko” lub „moja małaśka”. Martha podejrzewała, że nawiązuje w ten sposób trochę do jej wzrostu, a trochę do jej charakteru i dojrzałości, do tego, jak sam ją postrzegał. „Powiedział kiedyś, że są we mnie naiwność i idealizm, których on nie może zrozumieć” – zapisała. Wyczuwała, iż uważa ją za zbyt „niestałą”, by choć próbować przekonywać ją do ideologii komunistycznej. W tym okresie, jak sama przyznała, „musiałam sprawiać wrażenie ogromnie naiwnej i upartej młodej Amerykanki, irytującej dla wszystkich wrażliwych ludzi, których wtedy znałam”.

Odkryła, że Borys też traktuje życie lekko, przynajmniej na zewnątrz. „Mając 31 lat” – zapisała – „Borys odznacza się wesołością i ufnością dziecka, zwariowanym poczuciem humoru i urokiem nieczęsto spotykanym u dojrzałych mężczyzn”. Jednakże od czasu do czasu w ów „prywatny świat ze snu, pełen kolacji i koncertów, teatru i szczęśliwych zabaw” – wedle słów Marthy – wkraczała otaczająca ich rzeczywistość. Wyczuwała w Borysie jakieś napięcie. Był on szczególnie zniechęcony skwapliwością, z jaką świat przyjął zapewnienia Hitlera o dążeniach do zachowania pokoju, mimo że przecież jawnie przygotowywał kraj do wojny. Możliwym celem ewentualnego ataku był Związek Sowiecki. Borys miał też inny powód do stresu: jego związek z Martha wywoływał dezaprobatę sowieckiej ambasady. Przełożeni udzielili mu nagany. Zignorował ją.

Martha tymczasem odczuwała wywieraną na siebie presję mniej oficjalnej natury. Jej ojciec lubił Borysa, jak sądziła, często jednak był w jego obecności bardzo powściągliwy, „niekiedy nawet nieprzyjazny”. Przypisywała ów fakt przede wszystkim obawie, że może wyjść za Borysa za mąż.

„Moi przyjaciele i rodzina martwią się tym” – powiedziała Borysowi. – „Co z tego wszystkiego wyjdzie? Tylko same komplikacje, teraz trochę radości, a potem długotrwała rozpacz”.

Na jedną z pierwszych wrześnieowych randek Martha i Borys zabrali ze sobą koszyk z jedzeniem i pojechali na piknik za miasto. Na ustronnej polance rozłożyli koc. Powietrze przesycone było zapachem świeżo skoszonej trawy. Borys, leżąc na kocu, uśmiechał się do nieba, a Martha urwała łyżkę dzięki mięty i laskotała go nią po twarzy.

Jak potem odkryła, Borys zachował łyżkę. Był romantyczny, zbierał skarby. Nawet na tak wczesnym etapie ich znajomości był nią głęboko zauroczony. I jak się miało okazać, był także pilnie obserwowany.

Wydaje się, że w tym okresie Martha nie miała pojęcia o tym, co wielu korespondentów w Berlinie podejrzewało: że Borys nie jest zwykłym pierwszym sekretarzem ambasady, lecz oficerem operacyjnym sowieckiego wywiadu NKWD, poprzednika KGB.

[352] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 56.

[353] tamże, s. 53.

[354] Agnes Kickerbocker, Notatki rozproszone, skrzynka nr 13, teczka nr 22, dokumentacja Marthy Dodd.

[355] Martha pozostawiła obszerny maszynopis dotyczący jej związku z Borysem, który zawiera fragmenty dialogów i miriady szczegółowych obserwacji, na przykład kto śmiał się przy danej wypowiedzi, kto marszczył brwi i tak dalej. „Jasna droga ku ciemności”, skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd.

[356] Kater, s. 15.

Rozdział 15

„Problem żydowski”

Dla Dodda jako ambasadora głównym partnerem w rządzie niemieckim, z którym najczęściej się kontaktował, był minister spraw zagranicznych Neurath. Zdopingowany przez incydent z Kaltenbornem Dodd umówił się z Neurathem na spotkanie w czwartkowy poranek, 14 września 1933 roku, aby oficjalnie zaprotestować nie tylko przeciwko temu wydarzeniu, lecz także wielu innym atakom na Amerykanów oraz wyraźnemu brakowi woli ze strony reżimu postawienia winnych przed sądem.

Rozmowa odbyła się w gabinecie Neuratha w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przy Wilhelmstrasse.

Jej początek przebiegał w całkiem przyjemnym nastroju i dotyczył tematów ekonomicznych, wkrótce jednak atmosfera zgęstniała^[357]. Dodd poruszył temat „brutalności SA” i przedstawił Neurathowi opis kilku incydentów. Ostatni miał miejsce 31 sierpnia w Berlinie – Samuel Bossard został zaatakowany przez członków Hitlerjugend po tym, jak odmówił wyciągnięcia ręki w hitlerowskim pozdrowieniu. Tydzień wcześniej jakiś SS-man uderzył innego Amerykanina, Harolda Dahlquista, za to, że nie zatrzymał się, aby podziwiać paradę Oddziałów Szturmowych. Generalnie częstotliwość występowania tego rodzaju ataków spadła w porównaniu z okresem wiosennym, tym niemniej nadal zdarzały się one z pewną regularnością – jeden do dwóch miesięcznie. Dodd ostrzegł Neuratha, że artykuły prasowe poświęcone tym incydentom bardzo szkodzą obrazowi Niemiec w Ameryce, i zauważył, że dzieje się tak mimo jego własnych wysiłków mających na celu wyciszenie negatywnych relacji wysyłanych przez amerykańskich korespondentów. „Mogę panu powiedzieć, że ambasadzie kilkakrotnie udało się skutecznie zapobiec przedostaniu się informacji o mniej istotnych wydarzeniach na zewnątrz. Uczulamy również niektórych dziennikarzy, by nie

wyolbrzymiali swoich relacji” – oświadczył Dodd Neurathowi.

Ambasador ujawnił też, iż pewnego razu zatrzymano i przeszukano jego własny samochód. Dokonał tego najprawdopodobniej jakiś oficer SA, ale incydent ten utrzymywano w tajemnicy, „aby nie dopuścić do rozgłosu, który – jak pan wie – byłby w tej sytuacji nie do uniknięcia”.

Neurath podziękował i oświadczył, że jest świadom wszystkich podejmowanych przez Doda wysiłków mających na celu utemperowanie relacji prasowych dotyczących przemocy ze strony SA, włącznie z incydem, którego świadkami byli Martha i Bill junior w Norymberdze. Stwierdził, że jest za to bardzo wdzięczny.

Dodd przeszedł do sprawy Kaltenborna. Powiedział Neurathowi, że Stany Zjednoczone mogłyby zareagować o wiele ostrzej, gdyby sam Kaltenborn chciał ów incydent nagłośnić. „On jednak był ogromnie wspaniałomyślny, prosząc nas, żeby żaden raport na ten temat nie wydostał się na zewnątrz, i zarówno pan Messersmith, jak i ja nakłanialiśmy przedstawicieli prasy amerykańskiej, by słowem nie wspominali o całej tej historii” – oświadczył. – „Niestety, wspomnieli, co wyrządziło Niemcom niewymierną szkodę”.

Neurath, mimo swej reputacji człowieka nieokazującego uczuć, stawał się wyraźnie coraz bardziej zaniepokojony; było to warte odnotowania novum w jego zachowaniu, o czym napisał Dodd w „ściśle tajnym” memorandum jeszcze tego samego dnia. Neurath stwierdził, że zna Kaltenborna osobiście. Potępił atak jako brutalny i niedający się usprawiedliwić.

Dodd obserwował ministra. Neurath wydawał się szczery, jakkolwiek ostatnimi czasy objawiał skłonność do zgadzania się na wszystko i z wszystkim, po czym nie robił zupełnie nic.

Dodd ostrzegł, że jeśli ataki będą trwały nadal, a ich sprawców nie spotka kara, Stany Zjednoczone mogą zostać zmuszone do „wydania oświadczenia, które w znaczący sposób zaszkodzi wizerunkowi Niemiec na całym świecie”.

Neurath z lekka poczerwieniał na twarzy.

Dodd tymczasem mówił dalej, jakby napominał niesfornego studenta: „Nie potrafię zrozumieć, jak pańscy ludzie mogą dopuszczać takie zachowania i nie dostrzegać, że jest to jedna z głównych przyczyn poważnego pogorszenia się naszych wzajemnych stosunków”.

Neurath oświadczył, że w minionym tygodniu podniósł tę sprawę podczas bezpośredniej rozmowy z Göringiem i Hitlerem. Obaj zapewnili go, iż wykorzystają swoje wpływy do zapobieżenia kolejnym atakom. Neurath przyrzekł teraz to samo.

Dodd parł dalej, tym razem wkraczając na jeszcze bardziej niebezpieczny grunt: nazywali go obaj „problemem” żydowskim.

Neurath spytał Doda, czy Stany Zjednoczone „same nie mają problemu żydowskiego”.

„Wie pan, oczywiście” – odpowiedział Dodd – „że od czasu do czasu mamy w Stanach problemy z Żydami, którzy wywierają zbyt wielki wpływ na niektóre dziedziny życia intelektualnego i

gospodarczego”. Dodał, że niektórzy z jego kolegów w Waszyngtonie informowali go poufnie, iż „doceniają wysiłki Niemców w tej kwestii, ale na tym etapie nie zgadzają się z metodą rozwiązania problemu, która często przeradza się w zwykłą bezwzględność”.

Dodd opisał swoje spotkanie z chemikiem Fritzem Haberem.

„Tak” – odezwał się Neurath. – „Znam Habera i uważam go za jednego z największych chemików w całej Europie”. Minister zgodził się, że traktowanie Żydów w Niemczech jest niewłaściwe, i podkreślił, że kierowane przezeń ministerstwo domaga się bardziej humanitarnej polityki. Twierdził, że widać już pierwsze oznaki zmian. Właśnie w bieżącym tygodniu, rzekł Neurath, bawił w Baden-Baden na wyścigach, gdzie na widowni, tuż obok innych przedstawicieli rządu, siedziało troje zamożnych Żydów, i „nie było żadnych niesympatycznych uwag”.

Dodd powiedział: „Nie może się pan spodziewać, że opinia świata na temat waszego postępowania ulegnie zmianie na lepsze tak długo, jak długo czołowi przywódcy, Hitler czy Goebbels, będą ogłaszać z podestów, na przykład w Norymberdze, że wszystkich Żydów należy zetrzeć z powierzchni ziemi”.

Dodd podniósł się, gotów do wyjścia. Zwrócił się do Neuratha z pytaniem: „Czy będziemy prowadzić wojnę?”.

Neurath znów poczerwieniał: „Nigdy!”.

Przy drzwiach Dodd rzekł: „Musi pan zdawać sobie sprawę, że kolejna wojna zrujnuje Niemcy”.

Ambasador opuszczał budynek „niewiele zadowolony, że był aż tak szczery i krytyczny”.

Nazajutrz konsul amerykański w Stuttgarcie przesłał do Berlina „ściśle tajny” komunikat, w którym donosił, iż firma zbrojeniowa Mauser, znajdująca się na obszarze jego zainteresowania, drastycznie zwiększyła produkcję. Konsul pisał: „Nie można już dłużej mieć najmniejszych nawet wątpliwości, że w Niemczech prowadzi się przygotowania na wielką skalę do agresji wobec innych krajów”^[358].

Niedługo potem tenże konsul donosił, że niemiecka policja nasiliła kontrole drogowe, rutynowo zatrzymując kierowców i poddając ich, razem z samochodami i bagażem, szczegółowym rewizjom.

Głośnym stał się incydent, kiedy to władze na terenie całego kraju nakazały wstrzymanie wszelkiego ruchu pojazdów między godziną 12.00 a 12.40; oddziały policji mogły w ten sposób przeszukać wszystkie pociągi, ciężarówki i samochody na drogach^[359]. Oficjalnym powodem tej akcji, jak podały niemieckie gazety, było ukrócenie przemytu broni, przenikania wrogiej propagandy i likwidacja komunistycznego ruchu oporu. Jednak cynicznie nastawieni berlińscy mieli na ten temat odmienne zdanie: że tak naprawdę policja szukała egzemplarzy szwajcarskich i austriackich gazet z zamiarem ich skonfiskowania, ponieważ mogły one zawierać doniesienia, iż sam Hitler ma żydowskie pochodzenie.

[357] cytata za „Jasna droga ku ciemności”, skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd.

[358] Agnes Kickerbocker, Notatki rozproszone, skrzynka nr 13, teczka nr 22, dokumentacja Marthy Dodd.

[359] Opis spotkania Dodda z Neurathem na podstawie *Dziennika* Dodda, strony 35–37, oraz jego siedmiostronicowego memorandum z 14 września 1933, skrzynka nr 59, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 16

Sekretna prośba

Ataki na Amerykanów, składanie protestów, nieprzewidywalność Hitlera i jego ludzi oraz konieczność postępowania z wielkim wyczuciem w obliczu zachowań oficjeli, którzy wszędzie indziej zasługiwali by raczej na więzienie – wszystko to męczyło Dodda. Dręczyły go bóle głowy i dolegliwości żołądkowe. W liście do przyjaciela opisywał swoją służbę ambasadorską jako „trudne i nieprzyjemne zadanie”^[360].

Do tego wszystkiego dochodziły jeszcze kłopoty dnia codziennego, którym nawet ambasador musiał stawiać czoła.

W połowie września Doddowie zaczęli słyszeć hałasy dochodzące z trzeciego piętra ich rezydencji przy Tiergartenstrasse, zajmowanego jakoby tylko przez Panofsky’ego i jego matkę. Bez wcześniejszego powiadomienia ni stąd, ni zowąd w domu pojawił się zastęp cieśli. Robotnicy rozpoczynali pracę codziennie o siódmej rano – tłukli młotami, piłowali i hałasowali na wiele innych sposobów; trwało to przez całe dwa tygodnie. W dniu 18 września Panofsky napisał do Dodda krótką notkę: „Niniejszym informuję Pana, że na początku przyszłego miesiąca moja żona z dziećmi wracając z pobytu na wsi do domu w Berlinie^[361]. Jestem przekonany, że komfort Waszej Ekscelencji oraz Pani Dodd nie ucierpi, jest bowiem moim pragnieniem, aby Państwa pobyt w moim domu był możliwie jak najwygodniejszy”.

Żona, dzieci Panofsky’ego i kilkoro służących wprowadzili się na trzecie piętro.

Dodd był zszokowany. Napisał do Panofsky’ego list, który następnie gruntownie przerezagował, wykreślając albo modyfikując co drugą linię, absolutnie świadomy, że sprawa ta wykracza poza zwykłe relacje między właścicielem domu a lokatorem. Panofsky sprowadzał rodzinę z powrotem do Berlina, ponieważ obecność ambasadora zapewniała jej bezpieczeństwo. W pierwszej wersji listu Dodd sugerował, że teraz to on wyprowadzi się stąd ze swoją rodziną, i beszał Panofsky’ego za to,

że ten w lipcu zataił przed nim swoje plany^[362]. Gdyby był wtedy otwarcie je wyznał, pisał Dodd, „nie znaleźlibyśmy się teraz w tak krępującej sytuacji”.

Ostateczna wersja listu Dodda była jednak łagodniejsza. „Jesteśmy szczęśliwi, wiedząc, że połączył się Pan z rodziną” – napisał po niemiecku. „Naszą jedyną troskę budzi fakt, iż Pańskie dzieci nie będą mogły korzystać z własnego domu w sposób tak swobodny, jak by chciały. Nasz dom w Chicago kupiliśmy także po to, aby dzieci mogły cieszyć się zabawami na powietrzu. Zasmuca mnie świadomość, że możemy zakłócać należną dzieciom swobodę i ograniczać ich zakres poruszania się. Gdybym był wiedział o Pańskich planach jeszcze w lipcu, sytuacja nie byłaby tak krępująca jak obecnie”.

Doddowie, jak wszyscy oszukani lokatorzy, postanowili, że będą cierpliwi, w nadziei iż cały ten harmider związany z dziećmi i służbą przycichnie.

Ale nie przycichł. Wrzawa powodowana przez wchodzących i wychodzących z domu czy nagle i niespodziewane pojawienie się jakiegoś małego dziecka wzbudzały powszechną konsternację, zwłaszcza gdy Doddowie podejmowali innych dyplomatów i wyższych oficjeli Trzeciej Rzeszy. Sam ów fakt stanowił sprzeczność z ideą życia skromnego, jaki wyznawał Dodd – jego zwykłym garniturem, spacerem do pracy, staremu chevroletowi. Teraz jeszcze dochodziło do tego wszystkiego niespodziewane pojawienie się w domu całej gromadki Żydów.

„Za dużo było hałasu i niepokoju, zwłaszcza że do moich oficjalnych obowiązków należało częste podejmowanie gości”^[363] – napisał Dodd w notatce. „Myszę, że każdy uznałby to za akt złej woli”.

Dodd skonsultował się z prawnikiem.

Kłopoty z właścicielem rezydencji oraz coraz więcej obowiązków służbowych sprawiały, że trudno mu było znajdować czas na pracę nad *Daunym Południem*. Pisać mógł tylko w krótkich chwilach przerwy, jakie miewał wieczorami i w weekendy. Wiele wysiłku kosztowało go zdobywanie książek i dokumentów, które w Ameryce znalazłby bez trudu.

Jednakże tym, co ciążyło Doddowi najbardziej, była irracjonalność świata, w którym się znalazł. Do pewnego stopnia Dodd stał się ofiarą własnego wykształcenia. Jako historyk dostrzegał wynik oddziaływania różnych sił dziejowych oraz mniej lub bardziej racjonalnych ludzkich decyzji i oczekiwał, że wszyscy wokół niego będą się zachowywać w sposób cywilizowany i logiczny. Ale rząd hitlerowski nie był ani cywilizowany, ani logiczny, a cały kraj zmierzał chybotliwie od jednej zupełnie niezrozumiałej sytuacji do następnej.

Nawet język, jakiego używali Hitler i dygnitarze partyjni, był dziwacznie przewrotny. Termin „fanatyczny” nabrał teraz cech pozytywnych. Nagle wyraz ów zaczął oznaczać – według filologa Victora Klemperera, Żyda mieszkającego w Berlinie – „radosną mieszaninę odwagi i zarliwego oddania”^[364]. Kontrolowane przez nazistów gazety pisały bez końca o „fanatycznych ślubowaniach”, „fanatycznych deklaracjach”, „fanatycznych przekonaniach” wyłącznie

w pozytywnym sensie. Göringa opisywano jako „fanatycznego miłośnika zwierząt”. *Fanaticher Tierfreund*.

Klemperer zauważył też, iż z niektórych bardzo starych wyrazów zaczęły powstawać złowrogo brzmiące neologizmy. *Übermensch* – nadczłowiek. *Untermensch* – podczłowiek, czyli „Żyd”. Rodziły się też zupełnie nieznane dotąd słowa, takie jak *Strafexpedition* – „karna ekspedycja” – którym to terminem SA-mani określali swoje rajdy w okolicie zamieszkane przez Żydów i komunistów.

W zalewie wciąż nowych dekrétów, stanów alarmowych i powszechnego zastraszania („To ciągle grożenie karą śmierci!”) Klemperer dostrzegał zjawisko, które nazywał „histerią języka”.

Prowadziło ono również do dziwnych, bezsensownych incydentów o charakterze paranoicznym, takich jak niedawne rewizje przeprowadzane na terenie całego kraju. Klemperer uważał, że są to zamierzone działania, mające na celu podsycanie napięcia w życiu codziennym, „niczym suspensu w amerykańskim thrillerze kinowym”, aby trzymać ludność w ryzach. Sądził ponadto, że stan ten wynika z braku poczucia bezpieczeństwa u osób sprawujących władzę. Pod koniec lipca 1933 roku Klemperer oglądał kronikę filmową, na której Hitler, z zaciśniętymi pięściami i wykrzywioną twarzą, wrzeszczał: „Trzydziestego stycznia oni” – i tutaj Klemperer domyślił się, że chodzi o Żydów – „śmiali się ze mnie. Ale my ten uśmieszek zetrzemy im z twarzy!”. Klemperera uderzył fakt, że choć Hitler stara się demonstrować swoją wszechwładzę, wpada w dziki, niekontrolowany gniew, który paradoksalnie stawia pod znakiem zapytania jego przechwałki, iż nowa Rzesza trwać będzie tysiąc lat i że wszyscy jej wrogowie zostaną unicestwieni. Klemperer zastanawiał się, czy ów ślepy gniew jest normalny u kogoś, kto „pewien jest trwania państwa i unicestwienia jego wrogów”.

Owego dnia wychodził z kina „z czymś niemal na kształt promyka nadziei”.

Jednak w świecie, który rozciągał się za oknami rezydencji Dodda, mrok stawał się coraz gęstszy. Ponownie napadnięto na Amerykanina, tym razem przedstawiciela sieci tanich sklepów

Woolworth, Rolanda Velza^[365]. Atak nastąpił w Düsseldorfie w niedzielę 8 października 1933 roku, gdy Velz spacerował wraz z żoną jedną z głównych ulic miasta. Podobnie jak wiele innych ofiar popełnili grzech zaniechania wobec parady SA, nie zatrzymując się i nie podziwiając jej. Jakiś rozwścieżony SA-man uderzył Velza dwukrotnie mocno w twarz i poszedł dalej. Kiedy Velz zwrócił się do policjanta, aby ten aresztował napastnika, funkcjonariusz odmówił. Wtedy Velz poprosił o interwencję stojącego nieopodal porucznika policji, ten jednak nie tylko nie podjął żadnych działań, lecz także udzielił ofierze krótkiej lekcji na temat tego, jak i kiedy powinna salutować.

Dodd wysłał do MSZ dwie noty protestacyjne, w których domagał się natychmiastowego aresztowania napastnika. Odpowiedzi nie było. Raz jeszcze Dodd zaczął rozważać pomysł, aby Departament Stanu „ogłosił na cały świat, że Amerykanie w Niemczech nie są bezpieczni, a obywatele amerykańscy powinni zrezygnować z podróży do tego kraju”, szybko jednak go

zarzucił.

Trwające wciąż prześladowania Żydów przybierały jeszcze subtelniejsze formy i rozprzestrzeniały się coraz bardziej, w miarę jak postępował proces *Gleichschaltung*. We wrześniu rząd powołał do życia kontrolowaną przez Goebbelsa Izbę Kultury Rzeszy, aby trzymać w ideologicznych ryzach muzyków, aktorów, malarzy, pisarzy, dziennikarzy i filmowców – chodziło głównie o ich selekcję pod względem rasowym. Na początku października władze wprowadziły nowe prawo prasowe, wedle którego nie wolno było zatrudniać Żydów w gazetach i wydawnictwach – miało ono wejść w życie z dniem 1 stycznia 1934 roku. Wszystko było istotne: Ministerstwo Poczty postanowiło, że odtąd osoby próbujące przeliterować przez telefon jakieś słowo nie mogą mówić na przykład „D jak Dawid”, ponieważ „Dawid” to imię żydowskie^[366]. Należało użyć w to miejsce słowa „Dora”. „Samuela” zmieniono na „Siegfrieda” i tak dalej. „W dziejach społeczeństw nie było nigdy zjawiska równie bezlitosnego, pozbawionego serca i bardziej niszczycielskiego niż obecna niemiecka polityka wobec Żydów”^[367] – napisał konsul generalny Messersmith w długim liście do podsekretarza Phillipsa, datowanym na 29 września 1933 roku. I dodawał: „Niewątpliwym celem rządu, niezależnie od tego, co mówi światu czy na potrzeby wewnętrzne, jest eliminacja Żydów z życia publicznego Niemiec”.

Przez pewien czas Messersmith był przekonany, że kryzys ekonomiczny w Niemczech pozbawi Hitlera władzy. Dziś już tak nie sądził. Teraz widział, że Hitler, Göring i Goebbels dzierżyli władzę bardzo mocno. Oni „praktycznie nie wiedzą nic o świecie zewnętrznym” – pisał. „Wiedzą jedynie, że w Niemczech mogą robić, co chcą. Czują swoją władzę nad krajem i upajają się nią”.

Messersmith sugerował, że jednym z rozwiązań mogłaby być „siłowa interwencja z zewnątrz”^[368]. Podkreślał jednak, iż musiałyby ona nastąpić szybko. „Gdyby obce mocarstwa interweniowały teraz, prawdopodobnie połowa ludności uważałaby to wciąż jeszcze za działanie zbawienne” – pisał. „Jeśli jednak zwłoka potrwa zbyt długo, interwencja może napotkać opór całkowicie zjednoczonych wewnętrznie Niemiec”.

Jeden fakt uważał Messersmith za pewnik: Niemcy stanowiły obecnie realne i poważne zagrożenie dla świata. Nazywał ten kraj „ogniskiem zapalnym, które może zagrozić pokojowi w najbliższych latach”.

Tymczasem u Dorda pojawiły się pierwsze oznaki zniechęcenia i głębokiego znużenia.

„Nic nie wydaje się tu specjalnie dobrze rokujące”^[369] – pisał w liście do przyjaciela, pułkownika Edwarda M. House’a – „i mówiąc znów między nami, bardzo wątpię w słusność moich oczekiwań żywionych jeszcze na wiosnę, że mogę się na coś w Niemczech przydać. Jeden tom *Dawnego Południa* mam już gotowy, albo prawie gotowy do opublikowania. Mają być jeszcze trzy tomy. Pracuję nad tym tematem od 20 lat i nie chcę ryzykować jego nieukończenia”. List zamknął

słowami: „Teraz jestem tutaj, mam 64 lata, pracuję od 10 do 15 godzin na dobę! Zmierzam donikąd. A jednak jeśli zrezygnuję, fakt ten wszystko skomplikuje jeszcze bardziej”. Do swej przyjaciółki Jane Addams, reformatorki społecznej i założycielki Hull House w Chicago, pisał: „Moja praca historyczna jest udaremniona i nie mam już żadnej pewności, że wtedy w czerwcu podjąłem słuszną decyzję”^[370].

W dniu 4 października 1933 roku, po zaledwie trzech miesiącach pełnienia służby, Dodd wysłał do sekretarza stanu Hulla list oznaczony jako „poufny i do rąk własnych”. Dodd prosił o zgodę na przedłużony urlop na początku przyszłego roku, tak aby mógł spędzić trochę czasu na swojej farmie i oddać się pracy dydaktycznej w Chicago. Tłumaczył to wilgotną aurą jesienną w Berlinie, chłodnym klimatem oraz brakiem wakacji od marca. Miał nadzieję na wyjazd z Berlina pod koniec lutego i powrót po trzech miesiącach.

Prosił Hulla, aby ten zachował ową prośbę w tajemnicy. „Jeśli ma Pan w tej sprawie wątpliwości, proszę nie dzielić się nią z innymi”^[371].

Hull wyraził zgodę na udzielenie Doddowi urlopu, co może wskazywać, że w owym czasie Waszyngton nie podzielał opinii Messersmitha o Niemczech jako coraz poważniejszym zagrożeniu dla świata. Dzienniki podsekretarza stanu Phillipsa i szefa do spraw Europy Zachodniej Moffata nie pozostawiają wątpliwości, iż główną troską Departamentu Stanu pozostawało ogromne niemieckie zadłużenie u amerykańskich kredytodawców.

^[360] Leon Dominian w liście do Hulla i do ambasady w Berlinie, 15 IX 1933, 862.113/49 GC, State/Decimal.

^[361] Messersmith w liście do Hulla, 29 VII 1933, dokumentacja Messersmitha.

^[362] Dodd w liście do Samuela F. Bemisa, 7 VIII 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

^[363] Alfred Panofsky w liście do Dodda, 18 IX 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

^[364] wersja pierwsza i wersja ostateczna listu zob. listy Dodda do Alfreda Panofsky’ego z 20 IX 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

^[365] Memorandum, brak daty (ok. 1935), skrzynka nr 47, dokumentacja W. E. Dodda.

^[366] Klemperer, *Język Trzeciej Rzeszy*, s. 32, s. 43, s. 48, s. 60.

^[367] Dodd, *Dziennik*, s. 44; Messersmith w liście do Williama Phillipsa, 19 X 1933, dokumentacja Messersmitha.

[368] Miller, s. 53.

[369] Messersmith w liście do Williama Phillipsa, 29 IX 1933, dokumentacja Messersmitha.

[370] tamże.

[371] Dodd w liście do Edwarda M. House'a, 31 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 17

Ucieczka Lucyfera

Wraz z nadejściem jesieni zaspokajanie potrzeb wszystkich zalotników stało się dla Marthy nieco mniej uciążliwe, aczkolwiek z przykrego powodu. Diels zniknął.

Pewnej nocy na początku października, kiedy Diels pracował jeszcze w swoim gabinecie przy Prinz-Albrecht-Strasse 8, mniej więcej o północy zadzwoniła doń jego żona Hilde. Była roztrzęsiona. Jak czytamy w pamiętnikach Dielsa zatytułowanych *Lucifer Ante Portas* (Lucyfer u bram), poinformowała go, że „horda” uzbrojonych mężczyzn w czarnych mundurach włamała się do ich mieszkania i zamknąwszy ją w sypialni, przeprowadziła gruntowną rewizję w poszukiwaniu zapisków, listów i wszelkich innych akt, które Diels trzymał w domu. Diels udał się pędem do mieszkania i zdołał wyciągnąć od żony tyle wiadomości, że bez trudu zidentyfikował intruzów jako grupę SS-manów pod wodzą jakiegoś kapitana Herberta Packenbuscha. Packenbusch liczył zaledwie 31 lat, zanotował Diels, ale już odznaczał się „szorstkością i gruboskornością, które miał wyraźnie wypisane na twarzy”^[372]. Diels opisał go jako „prototyp i ucieleśnienie późniejszych komendantów obozów koncentracyjnych”.

Choć bezczelność najścia dokonanego przez Packenbuscha zaskoczyła Dielsa, domyślał się, jakie kryły się za nim siły. Reżim aż kipiał od wewnętrznych konfliktów i spisków. Diels zasadniczo należał do obozu Göringa, a ten trzymał w garści całą policję w Berlinie i na otaczającym go terytorium Prus, największego niemieckiego kraju związkowego. Lecz Heinrich Himmler, szef SS, szybko przejmował kontrolę nad agencjami tajnej policji na całym pozostałym obszarze Niemiec. Göring i Himmler nienawidzili się i walczyli o wpływy.

Diels działał szybko. Zadzwonił do jednego z kolegów, który dowodził komendą policji berlińskiej w dzielnicy Tiergarten – grupą funkcjonariuszy uzbrojonych w pistolety maszynowe i ręczne granaty. Następnie na czele oddziału zjawił się w warowni SS przy Potsdamer Strasse i rozkazał

swoim ludziom otoczyć budynek. Trzymający wartę przy drzwiach SS-man nie miał pojęcia o tym, co się wcześniej stało, i uprzejmie zaprowadził Dielsa tudzież kilku innych policjantów do gabinetu Packenbuscha.

Zaskoczenie było całkowite. Wchodząc do środka, Diels zobaczył Packenbuscha siedzącego za biurkiem w samej koszuli; czarna bluza uniformu wisiała na ścianie, wraz z pasem i pistoletem w kaburze. „Siedział przy biurku, zatopiony w papierach, niczym jakiś uczony pracujący po nocach” – zapisał Diels. Był wściekły. „Pracował nad moimi dokumentami, szpecąc je, jak szybko odkryłem, bezsensownymi adnotacjami”. Diels ustalił, że dla Packenbuscha podejrzane było nawet to, w jaki sposób Diels i jego żona urządzili swoje mieszkanie. W jednej z notatek SS-man nagryzmolił: „umeblowanie à la Stresemann”, co odnosiło się do zmarłego Gustawa Stresemanna, przeciwnika Hitlera jeszcze z okresu wiedeńskiego.

„Jest pan aresztowany” – powiedział Diels.

Packenbusch gwałtownie uniósł głowę. Jeszcze przed chwilą czytał osobiste dokumenty Dielsa, a teraz nagle stał przed nim sam ich autor. „Packenbusch nie miał czasu, żeby przyjść do siebie” – zapisał Diels. „Capł się na mnie, jakbym był zjawą”.

Ludzie Dielsa pochwycili Packenbuscha. Jeden z funkcjonariuszy wyjął z kabury na ścianie pistolet kapitana SS, nikt jednak nie zadał sobie trudu, ażeby przeszukać samego Packenbuscha. Policjanci zaczęli przeczesywać budynek z zamiarem aresztowania pozostałych uczestników najazdu na mieszkanie Dielsa. Wszystkich podejrzanych zabrano do kwatery głównej Gestapo; Packenbuscha doprowadzono do gabinetu Dielsa.

Tam wczesnym rankiem Diels i Packenbusch siedzieli naprzeciw siebie posiniali z wściekłości. Nieopodal warował należący do Dielsa wilczur alzacki – jak w owym czasie nazywano oficjalnie owczarki niemieckie – i obserwował ich czujnie.

Diels obiecał, że wsadzi Packenbuscha za kratki.

Packenbusch oskarżył Dielsa o zdradę.

Doprowadzony do furi bezczelnością Packenbuscha i dławiony gniewem Diels wyskoczył z krzesła jak pocisk. Packenbusch eksplodował potokiem wulgaryzmów i wyciągnął ukryty w tylnej kieszeni spodni pistolet. Wycelował w Dielsa, trzymając palec na spuście.

Teraz na scenę wpadł z impetem pies Dielsa i – jak dowiadujemy się z relacji szefa Gestapo – rzucił się na Packenbuscha. Dwaj umundurowani funkcjonariusze chwycili SS-mana i wyrwali mu z ręki broń. Diels kazał go umieścić w areszcie Gestapo, w piwnicach.

Göring i Himmler bardzo szybko wdali się w całą tę sprawę; kompromis został osiągnięty. Göring nakazał usunięcie Dielsa z funkcji szefa Gestapo, mianując go zastępcą komisarza policji w Berlinie. Diels zdawał sobie sprawę, że to w istocie degradacja, przesunięcie go na stanowisko pozbawione realnej władzy – przynajmniej w stopniu uniemożliwiającym skuteczne przeciwstawienie się

Himmlerowi, gdyby szef SS szukał jednak zemsty. Tym niemniej zmianę zaakceptował; tak właśnie sprawy się miały aż do pewnego poranka w tymże miesiącu, kiedy to dwaj lojalni współpracownicy Dielsa zatrzymali go, gdy jechał samochodem do pracy, z informacją, iż w jego gabinecie czekają już agenci SS z nakazem aresztowania.

Diels uciekł. W swoich pamiętnikach twierdzi, że to żona sugerowała mu, aby wziął ze sobą przyjaciółkę Amerykankę, „która może się okazać pomocna podczas przekraczania granicy”. Kobieta ta mieszkała „w domu przy Tiergartenstrasse”, jak zapisał Diels, i lubiła ryzyko: „Znałem jej entuzjazm do wszystkiego, co niebezpieczne, jej zapal do przygód”.

Uwagi te przywodzą na myśl Marthę, ona sama jednak nigdzie w swych pamiętnikach ani w żadnych innych pismach nie wspomina o takiej podróży.

Diels i jego towarzysza pojechali samochodem do Poczdamu, a następnie na południe w kierunku granicy, gdzie pozostawili auto w jakimś warsztacie. Diels miał przy sobie fałszywy paszport. Przekroczwszy granicę z Czechosłowacją, udali się do uzdrowiska Karlowe Wary, gdzie zameldowali się w jednym z hoteli. Diels wiozł ze sobą niektóre akta jako polisę ubezpieczeniową.

„Ze swojego ustronia w Czechach”^[373] – pisał Hans Gisevius, kronikarz Gestapo – „groził upublicznieniem szokujących rewelacji, domagając się za swoje milczenie ogromnej sumy”.

Po wyjeździe Dielsa wielu spośród licznych znajomych Marthy niewątpliwie odetchnęło, zwłaszcza ci, którzy żywili sympatię dla komunistów bądź oplakiwali utracone swobody z okresu Republiki Weimarskiej. Życie towarzyskie Marthy tymczasem nieustannie kwitło.

Z grona nowych przyjaciół najbardziej fascynowała ją Mildred Fish Harnack, którą poznała na peronie zaraz po przyjeździe do Berlina. Mildred mówiła płynną niemiecką; według większości relacji była piękna, wysoka i szczupła, z długimi jasnymi włosami, które nosiła upięte w gruby kok, i wielkimi niebieskimi, poważnymi oczyma. Nie stosowała makijażu. Później, kiedy już niektóre z jej tajemnic ujrzały światło dzienne, odnaleziono i taki jej opis w aktach sowieckiego wywiadu: „Bardzo w stylu niemieckiej *Frau*, zdecydowanie nordycki typ, bardzo użyteczna”^[374].

Mildred wyróżniała się nie tylko z powodu swojej aparycji, zauważyła Martha, lecz także stylem bycia. „Nie rwała się do mówienia i wyrażania opinii”^[375] – pisała Martha. „Słuchała w skupieniu, rozważając i oceniając słowa, myśli oraz intencję rozmówcy (...). Odzywała się po namyśle, czasem dość dwuznacznie, kiedy chciała wyczuć człowieka”.

Owa umiejętność analizowania ludzkich motywów i postaw miała nieoceniony walor, biorąc pod uwagę styl życia, jakiemu oddawali się Mildred i jej mąż, Arvid Harnack, w poprzednich latach. Para poznała się w 1926 roku na Uniwersytecie Wisconsin, gdzie Mildred wykładała. Pobrali się w sierpniu tegoż roku, wyruszyli do Niemiec i ostatecznie osiedlili się w Berlinie. Przez cały ten czas demonstrowali ogromny talent do jednoczenia ludzi. Gdziekolwiek zamieszkiwali, tworzyli

salon, w którym regularnie spotykano się przy posiłkach, prowadzono rozmowy, wykłady, a nawet grupowe czytanie dzieł Szekspira – wszystko to na wzór sławnej socjety, do której Harnackowie należeli jeszcze w Wisconsin, o nazwie Friday Niters, założonej przez profesora Johna R. Commonsa, czołowego progresywidę, który kiedyś zostanie okrzyknięty „duchowym ojcem” opieki społecznej.

W Berlinie zimą na przełomie lat 1930 i 1931 Arvid założył jeszcze jedną grupę – zajmowała się ona badaniem gospodarki planowej w Rosji sowieckiej. Kiedy ster rządów objęli naziści, przedmiot jej zainteresowań zaczęto uważać za wysoce problematyczny. Mimo to Harnack zorganizował i pokierował wyprawą do Związku Sowieckiego, w której wzięło udział ponad 20 niemieckich ekonomistów i inżynierów. Podczas pobytu w Rosji wywiad sowiecki zaproponował mu tajną współpracę na szkodę nazistów^[376]. Harnack zgodził się.

Po dojściu Hitlera do władzy poczuł się zmuszony rozwiązać zespół zajmujący się gospodarką planową. Klimat polityczny stawał się niezniesialnie groźny. Wraz z żoną wycofał się na wieś, gdzie Mildred oddawała się pisarstwu, a on podjął pracę radcy prawnego w liniach lotniczych Lufhansa. Kiedy intensywność aktów terroru antykomunistycznego osłabła, Harnackowie powrócili do berlińskiego mieszkania. O dziwo, mimo swojej przeszłości Arvid dostał pracę w Ministerstwie Gospodarki i zaczął szybko piąć się w górę, co skłoniło niektórych przyjaciół Mildred w Ameryce do uznania, że oboje „stali się nazistami”^[377].

W owym czasie Martha nic nie wiedziała o tajemnym życiu Arvida. Uwielbiała przychodzić do mieszkania Harnacków, jasnego i przytulnego, pełnego kojących pastelowych odcieni: „brązów, miękkich błękitów, zieleni”^[378]. W wielkich wazonach na tle bladej żółtej ściany Mildred umieszczała lawendowe kosmosy. Martha i Mildred widziały w sobie bratnie dusze, były głęboko zainteresowane pracą pisarską. Pod koniec września 1933 roku obie kobiety zostały recenzentkami literackimi anglojęzycznej gazety „Berlin Topics”. W liście do Thorntona Wildera, datowanym na 25 września 1933 roku, Martha określiła tę gazetę jako „nędzną”, sądziła jednak, że może się stać katalizatorem „zbudowania niewielkiej kolonii anglojęzycznej tutaj (...). Może połączyć ludzi, którzy lubią książki i pisarzy”^[379].

Z podróży, w jakie Mildred wybierała się z mężem, przesyłała Marcie pocztówki zawierające poetyckie obserwacje otoczenia oraz ciepłe wyrazy sympatii. Na jednej z nich pisała: „Martho, wiesz, że Cię uwielbiam i cały czas myślę o Tobie”^[380]. Dziękowała Marcie za przeczytanie niektórych jej pism i krytyczne uwagi do nich. „Dowodzą, że masz talent” – stwierdzała Mildred.

Kartka kończyła się kleksem i westchnieniem: „Och, Moja Droga, Moja Droga... życie...”. Wielokropek jak w oryginale.

Dla Marthy pocztówki te były niczym płatki kwiatów przybywające z nieznanych jej wcześniej

miejsc. „Wysoko sobie ceniłam te kartki pocztowe i króciutkie listy, z ich delikatną, niemal drżącą, wrażliwą prozą^[381]. Nie było w nich niczego wystudiowanego i udawanego. Wrażliwość ta płynęła wprost z jej pełnego radości serca i musiała się jakoś wyrazić”.

Mildred stała się regularnym gościem na organizowanych przez ambasadę spotkaniach; w listopadzie otrzymywała już nawet wynagrodzenie za przepisywanie na maszynie rękopisu pierwszego tomu książki Dodda *Daune Południe*. Martha z kolei została stałą bywalczynią nowego salonu założonego przez Mildred i Arvida, berlińskiego odpowiednika Friday Niters. Wieczni organizatorzy potrafili zgromadzić u siebie społeczność oddanych przyjaciół – pisarzy, wydawców, artystów, intelektualistów. Spotykali się w ich mieszkaniu kilka razy w miesiącu w dni powszednie na kolacji oraz w soboty – na podwieczorku. Tutaj właśnie, jak podaje Martha w liście do Wildera, poznała pisarza Ernsta von Salomona, okrytego złą sławą ze względu na współudział w zabójstwie ministra spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej Waltera Rathenau w 1922 roku. Martha uwielbiała przytulną atmosferę tych spotkań, którą wyzarowywała Mildred, mimo bardzo ograniczonych środków finansowych. W salonie ustawiano lampy, świece i kwiaty, a także tacę z cienkimi kromkami chleba, serem, wątrobianką i plasterkami pomidorów. Nie był to bankiet, lecz przecież nie trzeba było niczego więcej. Gospodyni, jak pisała Martha do Wildera, to „osoba, która zdolna jest, albo może antyzdolna, umieścić płonącą świecę za bukietem bazi lub rododendronów”^[382].

Rozmowy były błyskotliwe, barwne, śmiałe. Czasem aż nazbyt śmiałe, przynajmniej zdaniem żony von Salomona, na której punkt widzenia istotnie wpływał fakt, iż była Żydówką. Była przerażona, gdy niektórzy goście z nonszalancją nazywali w jej obecności Himmlera i Hitlera „totalnymi głupkami”, nie wiedząc ani kim jest, ani jakie są jej sympatie polityczne. Pewnego razu widziała, jak jeden z gości podaje innemu żółtą kopertę, po czym mruga doń niczym dobry wujcio, który przemycił dla bratanka zakazane laski. „Siedziałam tam na sofie”^[383] – zapisała – „i ledwie mogłam oddychać”.

Dla Marthy spotkania te były ekscytujące i satysfakcjonujące, mimo antynazistowskiego nastawienia grupy. Wiernie broniła rewolucji nazistowskiej, która jej zdaniem oferowała najlepsze drogi wyjścia z chaosu, jaki ogarnął Niemcy po ostatniej wojnie. Fakt, że stała się bywalczynią salonowych spotkań, utwierdzał ją w poczuciu własnej wartości jako pisarki i intelektualistki. Bywała nie tylko na *Stammtisch* – spotkaniach – dla korespondentów zagranicznych w Die Taverne, zaczęła również spędzać coraz więcej czasu we wspianiałych starych kawiarniach berlińskich, wciąż jeszcze nie całkiem „zglajszachtowanych”, takich jak Josty na Potsdamer Platz oraz Romanisches przy Kurfürstendamm. Ta ostatnia, zdolna pomieścić tysiąc osób, miała bogatą historię jako ulubiona przystań Ericha Marii Remarque’a, Josepha Rotha, Billy’ego Wildera i innych; obecnie wszyscy oni zdążyli już wyjechać z Berlina. Martha często chodziła na prośzone

kolacje, a także do nocnych klubów, takich jak Ciro czy Eden. Ambasador Dodd w swych notatkach nie wspomina o tym, jednak biorąc pod uwagę jego zamiłowanie do życia skromnego, musiał uważać prowadzenie się Marthy za nieoczekiwane i przykre obciążenie dla rodzinnego budżetu.

Martha miała nadzieję na wyrobienie sobie w kulturalnej przestrzeni Berlina własnej pozycji nie tylko ze względu na swoją przyjaźń z Harnackami – i chciała, aby pozycja ta była znacząca. Postarała się o poważne stanowisko w ambasadzie amerykańskiej dla von Salomona, w czystej nadziei na to, że wywoła tym faktem poruszenie. Udało się. W liście do Wildera Martha nie posiadała się z radości, opisując reakcję ludzi z towarzystwa na pojawienie się Salomona: „Zdumienie (kilka przyciszonych westchnień i szepty z osłoniętych dłońmi ust tej jakże poprawnej gromadki). (...) Ernst von Salomon! Współwinny zabójstwa Rathenaua (...)”.

Żądała dla siebie uwagi i ją dostawała. Salomon opisał gości zebranych na jednym z przyjęć w ambasadzie amerykańskiej – być może było to to samo przyjęcie – jako „złotą młodzież stolicy^[384], inteligentnych młodych ludzi o nienagannych manierach, (...) przyjemnie uśmiechniętych i reagujących wesołością na cięte dowcipy Marthy Dodd”.

Jej śmiałość rosła. Nadszedł czas, jak sądziła, żeby sama zaczęła organizować przyjęcia. Tymczasem Diels, wciąż pozostający za granicą w ekskluzywnym hotelu w Karlowych Warach, zaczął ostrożnie badać nastroje panujące w Berlinie, z zamiarem ustalenia, czy mógłby już bezpiecznie wrócić, czy w ogóle kiedykolwiek będzie tam dlań bezpiecznie.

^[372] Dodd w liście do Jane Addams, 16 X 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

^[373] Dodd w liście do Hulla, 4 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda; Hull w liście do Dodda, 16 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

^[374] Diels, s. 328–331; także Crankshaw, s. 51–61.

^[375] cytat za Crankshawem, s. 56.

^[376] Brysac, s. 200.

^[377] niepublikowany pamiętnik, s. 9 (oznaczona jako s. 8), skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

^[378] Dallin, s. 236.

^[379] Brysac, s. x.

^[380] tamże, s. 111.

^[381] Martha w liście do Thorntona Wildera, 25 IX 1933, dokumentacja Wildera.

[382] Mildred Fish Harnack do Marthy, 4 V (chyba 1934), skrzynka nr 5, dokumentacja Marthy Dodd.

[383] niepublikowany pamiętnik, s. 4 (oznaczona jako s. 3), skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

[384] Martha w liście do Thorntona Wildera, 14 XII 1933, dokumentacja Wildera.

Rozdział 18

Ostrzeżenie od przyjaciela

Martha czuła się osobą coraz bardziej atrakcyjną pod względem towarzyskim, atrakcyjną na tyle, że pewnego razu zorganizowała swój własny popołudniowy „salon”, wzorując się na podwieczorkach i wieczornych spotkaniach dyskusyjnych u swej przyjaciółki Mildred Fish Harnack. Wydała również przyjęcie urodzinowe. Obie imprezy przebiegły całkowicie inaczej, niż się spodziewała.

Dobierając gości, Martha wykorzystywała zarówno swoje osobiste kontakty, jak i te, którymi dysponowała Mildred. Zaproszonych zostało kilkudziesięciu poetów, pisarzy i redaktorów – chodziło jakoby o to, by poznali bawiącego w Berlinie amerykańskiego wydawcę. Martha liczyła na „zabawne konwersacje, stymulującą wymianę poglądów, a przynajmniej na rozmowę na wyższym poziomie niż ten, do którego przywykła w środowisku dyplomatów”^[385]. Wśród gości znalazł się też jednak ktoś absolutnie niespodziewany.

Zamiast ożywionego, entuzjastycznego towarzystwa, w którego centrum byłaby ona sama, Martha mogła obserwować zatamizowane, niewielkie grupki gości gromadzące się tu i ówdzie. Jeden z poetów usadowił się w bibliotece z kilkoma słuchaczami. Inni ściśle otaczali honorowego gościa, wykazując – jak ujęła to Martha – „żałosne pragnienie dowiedzenia się, co się dzieje w Ameryce”. Szczególnie skrupowani wydali się jej goście Żydzi. Rozmowy kulały, na potęgę konsumowano jedzenie i napoje alkoholowe. „Reszta gości stała tu i tam, pijąc bez miary i pochłaniając jeden talerz jedzenia za drugim” – zapisała Martha. „Prawdopodobnie wielu z nich było biednych i niedożywionych, jeszcze inni bardzo chcieli ten fakt ukryć”.

Ogólnie, zanotowała Martha, „było to nudne, a jednocześnie pełne napięcia popołudnie”. Owym niemiłym widzianym przybyszem był strach, który przenikał zebranych. Goście, pisała, byli „tak pełni frustracji i poczucia nieszczęścia (...), napięcia i załamania, fatalistycznej odwagi lub tragizmu oraz

chórzostwa, którego w sobie nienawidzili, że postanowiłam nigdy więcej nie zapraszać ich do mojego domu”.

Martha wołała pogodzić się ze swoją rolą pomocnicy Harnacków w ich regularnie odbywających się wieczorkach i herbatkach. To oni mieli dar gromadzenia wokół siebie lojalnych i interesujących ludzi, którzy tworzyli zgraną grupę. Myśl, że kiedyś z tego powodu zostaną zabici, wzbudziłyby wówczas w Marcie tylko śmiech.

Na liście zaproszonych na jej urodziny^[386], zaplanowane na 8 października (prawdziwa data urodzin), znajdowała się jedna księżniczka, jeden książę, kilku znajomych korespondentów oraz różni oficerowie SA i SS, „młodzi, stukający obcasami, uprzejmi aż do granic absurdu”^[387]. Nie jest pewne, czy był tam również Borys Winogradow, chociaż już wtedy spotykali się z Martha „regularnie”. Jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że Martha nie zaprosiła go, ponieważ Stany Zjednoczone wciąż nie uznawały Związku Sowieckiego.

Na przyjęciu pojawili się natomiast dwaj prominentni oficjele nazistowscy. Jednym z nich był Putzi Hanfstaengl, drugim Hans Thomsen, człowiek młody, służący jako oficer łącznikowy pomiędzy MSZ a kancelarią Hitlera. Nigdy nie przejawiał przesadnie żarliwego przywiązania do doktryny, jak inni zeloci nazizmu, i w konsekwencji cieszył się znaczną sympatią całego korpusu dyplomatycznego; był częstym gościem w domu Doddów. Ojciec Marthy rozmawiał z nim nierzadko w sposób o wiele bardziej otwarty, niż pozwalał na to protokół dyplomatyczny, pewien, że Thomsen przedstawi jego poglądy wyższym dygnitarzom nazistowskim, a może nawet bezpośrednio samemu Hitlerowi. W owym czasie Martha odnosiła wrażenie, że Thomsen ma osobiste zastrzeżenia co do Hitlera. Oboje z Doddem nazywali go „Tommy”.

Hanfstaengl przyjechał późno, jak miał w zwyczaju. Żądał dla siebie uwagi i dzięki swemu nieprzeciętnemu wzrostowi i energii przyciągał ją, niezależnie od tego, jak wielu ludzi było w pomieszczeniu. Prowadził właśnie rozmowę z pewnym melomanem na temat wartości Schubertowskiej symfonii *Niedokończonej*, kiedy Martha podeszła do należącej do rodziny Victrola i nastawiła płytę z nazistowską pieśnią na cześć Horsta Wessela, hymnem, który słyszała w Norymberdze podczas parady SA.

Wydawało się, że Hanfstaengl słucha tej muzyki z przyjemnością. Było natomiast oczywiste, że Hans Thomsen nie. Gwałtownie wstał, pomaszerował do gramofonu i wyłączył go.

W swój najbardziej niewinny sposób Martha spytała go, dlaczego muzyka mu się nie podoba. Thomsen obrzucił ją złym spojrzeniem, twarz miał zaciętą. „To nie jest gatunek muzyki, który wolno sobie nonszalancko puszczać w tego rodzaju towarzystwie”^[388] – rzekł karcąco. – „Nie każe pani odtwarzać naszego hymnu, niosącego przecież pewne znaczenie, na wieczorku towarzyskim”.

Martha była zdumiona. To był jej dom, jej impreza i – co więcej – teren amerykański. Mogła

sobie tu robić, co jej się podoba.

Hanftstaengl spojrział na Thomsena, jak opisała to Martha, „z wyraźnym rozbawieniem zabarwionym wzgardą”. Wzruszył ramionami i usiadłszy za fortepianem, zaczął weń walić z typowym dla siebie bezgranicznym zapałem.

Po pewnym czasie wziął Marthę na stronę. „Tak” – powiedział. – „Są pośród nas tacy właśnie ludzie. Ludzie zaslepieni i bez poczucia humoru – trzeba uważać, żeby nie urazić ich wrażliwej duszy”.

Jednakże okazało się, że na Marthę zachowanie Thomsena w dłuższej perspektywie miało zaskakująco silny wpływ, ograniczyło bowiem – choć tylko nieznacznie – jej entuzjazm dla nowych Niemiec, w taki sam sposób, jak jakaś niebacznie rzucona przykra fraza rozpoczyna proces rozpadu małżeństwa.

„Jako osoba przyzwyczajona przez całe życie do swobodnej wymiany poglądów” – zapisała – „byłam zszokowana panującą w tamten wieczór atmosferą; uderzyło mnie pogwałcenie norm przyzwoitości w stosunkach międzyludzkich”.

Również Dodd coraz częściej dostrzegał dojmującą rzeczywistość otaczającego go świata. Nic bardziej nie uwydatnia owego faktu niż przemówienie, jakie wygłosił w berlińskiej filii Amerykańskiej Izby Handlowej w Dniu Kolumba 12 października 1933 roku. Mowa ta wywołała poruszenie nie tylko w Niemczech, lecz także – jak dowiedział się z pewnym zażenowaniem – w Departamencie Stanu i u wielu Amerykanów, którzy opowiadali się za tym, by Stany Zjednoczone nie wtrącały się w sprawy europejskie.

Za istotną część swojej misji uważał Dodd wywieranie cichej presji na rzecz umiarkowania albo też – jak pisał w liście do chicagowskiego prawnika Leo Wormsera – „nieustanne przekonywanie i prośenie miejscowych, aby nie byli swymi największymi wrogami”^[389]. Zaproszenie do wygłoszenia przemówienia stwarzało ku temu doskonałą okazję.

Jego plan polegał na wykorzystaniu historii jako przekąznika krytycznego obrazu reżimu nazistowskiego, jednak w sposób niebezpośredni, tak aby tylko ci ze słuchaczy, którzy dysponowali rzetelną wiedzą o historii dawnej i najnowszej, zdołali pojąć ukryte przesłanie. W Ameryce tego rodzaju przemówienia nie uznano by w najmniejszym stopniu za czyn heroiczny; tu jednak, w warunkach narastającej opresyjności władz nazistowskich, musiało być czymś zdecydowaniem zuchwałym. Swoje motywy wyjaśniał Dodd w liście do Jane Addams: „Widziałem bowiem tyle niesprawiedliwości i tyranizowania małych grup, a także słyszałem skargi tylu najlepszych w tym kraju osób, że posunąłem się do granic tego, na co pozwalało mi moje stanowisko”^[390], przez analogię historyczną starając się ostrzec słuchaczy jak najpoważniej przed niedouczonymi przywódcami, którym pozwala się prowadzić kraj ku wojnie”.

Wykład został opatrzony niewinnym tytułem *Nacjonalizm ekonomiczny*. Powołując się na przykład dojścia do władzy i upadku Cezara oraz na niektóre epizody z dziejów Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych, Dodd starał się ukazać zagrożenie, jakim są „samowolne i mniejszościowe” rządy, nie wspominając choćby słowem o współczesnych Niemczech. Nie było to coś, co zwykły dyplomata byłby uczynił, dla Dodda jednak stanowiło wypełnienie nadanego mu przez Roosevelta mandatu. Zmuszony post factum do obrony, Dodd pisał: „Prezydent powiedział mi jednoznacznie, że chce, abym był niewzruszonym reprezentantem oraz rzecznikiem (jeśli zajdzie potrzeba) amerykańskich ideałów i amerykańskiej filozofii”^[391].

Przemówienie zostało wygłoszone podczas bankietu w hotelu Adlon przed licznie zgromadzoną publicznością, wśród której znajdowali się wyżsi przedstawiciele władz, między innymi prezes Reichsbanku Hjalmar Schacht oraz dwóch ludzi z Ministerstwa Informacji i Propagandy, kierowanego przez Goebbelsa. Dodd wiedział, że wkracza na bardzo grząski grunt. Rozumiał też, że – biorąc pod uwagę obecność wielu korespondentów zagranicznych – jego wystąpienie zostanie szeroko zrelacjonowane w prasie niemieckiej, amerykańskiej i brytyjskiej.

Kiedy zaczął czytać tekst, poczuł, że przez salę przebiegło lekkie poruszenie. „W czasach wielkiego zamętu”^[392] – mówił – „ludzie zbyt chętnie rezygnują z wypracowanych w przeszłości instrumentów społecznych i wypuszczają się zbyt daleko na nieznanym sobie gruncie. W konsekwencji zawsze dochodzi do komplikacji, a czasem do katastrofy”. Zagłębiał się coraz dalej w historię, rozpoczynając swą aluzyjną podróż od przykładów Tyberiusza Grakchusa, trybuna ludowego, oraz Juliusza Cezara. „Dzisiejsi słabo wyedukowani politycy odsuwają jak najdalej od siebie ideały pierwszego Grakchusa, sądząc, że znajdują ratunek dla swoich rozgoryczonych współobywateli w arbitralnym sposobie postępowania, tak jak człowiek, który padł ofiarą tanich sztuczek lubieżnej Kleopatry”. Zapominają oni, mówił Dodd, iż „owi Cezarowie odnosili sukcesy tylko przez krótką chwilę, jeśli zmierzy się ją w kategoriach historycznych”.

Mówca opisał podobne momenty w dziejach Anglii i Francji, posługując się tym razem przykładem Jeana Baptiste’a Colberta, potężnego ministra finansów za czasów króla Ludwika XIV. Czyniąc wyraźną aluzję do stosunków pomiędzy Hitlerem a Hindenburgiem, Dodd opowiedział słuchaczom, jak Colbert „otrzymał despotyczną władzę. Wywłaszczył setki wielkich zamożnych rodzin, przekazując ich majątki Koronie, skazując tysiące ludzi na śmierć za to, że ośmielili mu się przeciwstawiać (...). Krnąbrne ziemiaństwo zostało wszędzie wzięte w karby, parlament miał zakaz obradowania”. Autokratyzm utrzymywał się we Francji do roku 1789, kiedy to wybuchła rewolucja francuska, zmiatając go „z hukiem i zgiełkiem”. „Władza rekrutująca się z górnych warstw społeczeństwa zawodzi równie często jak władza oddolna; każdy wielki błąd pociąga za sobą smutne konsekwencje społeczne, tysiące i miliony bezradnych ludzi składa swoje życie w tym nieszczęsnym procesie. Dlaczegoż politycy nie mieliby studiować historii i uczyć się, jak unikać takich katastrof?”

Po kilku kolejnych aluzjach Dodd przeszedł do finału „Konkludując” – mówił – „można bez obawy popełnienia błędu stwierdzić, że nie byłoby rzeczą naganną, gdyby politycy brali przykłady z historii, która uczy, iż żaden system kontrolowania społeczeństwa przez grupkę uprzywilejowanych nie zakończył żywota inaczej, jak tylko wielkim upadkiem”. Ignorowanie nauki płynącej z „błędów przeszłości” – stwierdził Dodd – grozi niebezpieczeństwem obrania kursu ku „kolejnej wojnie i chaosowi”.

Aplauz, jak zapisał w dzienniku Dodd, „był nadzwyczajny”. Opisując ów moment Rooseveltowi, Dodd zauważył, że nawet Schacht „klaskał aż do przesady”^[393], podobnie jak „wszyscy inni obecni tam Niemcy. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem równie jednogłośnie aprobaty”. Do sekretarza stanu Hulla pisał: „Kiedy było po wszystkim, niemal każdy obecny na wykładzie Niemiec wyrażał taki zachwyt, jakby pragnął oświadczyć: »Wypowiedział pan to, czego wszystkim nam zabroniono mówić«”^[394]. Jeden z oficjeli Deutsche Banku zadzwonił do Dodd, aby wyrazić swoją solidarność z mową. Powiedział: „Milczące, lecz zaniepokojone Niemcy, przede wszystkim sfery gospodarcze i uniwersyteckie Niemiec, są całkowicie po pańskiej stronie, wdzięczne, iż jest pan tutaj i potrafi wypowiedzieć to, czego nam nie wolno”^[395].

Było oczywiste, że słuchacze zrozumieli prawdziwe intencje zawarte w przemówieniu Dodd. Po wykładzie Bella Fromm, felietonistka zajmująca się życiem towarzyskim w gazecie „Vossische Zeitung”, która coraz bardziej zbliżała się do Doddów, powiedziała ambasadorowi: „Bardzo podobały mi się te tak pięknie ukryte aluzje do Hitlera i hitleryzmu”^[396].

Dodd posłał jej łobuzerski uśmiech. „Nie miałem złudzeń co do Hitlera już w chwili mianowania mnie na stanowisko w Berlinie” – odpowiedział. – „Ufałem, że przynajmniej znajdę wokół niego ludzi przyzwyczajonych. Z przerażeniem odkrywam, iż wszyscy oni są niczym innym jak tylko zgrają kryminalistów i tchórzów”.

Fromm skarciła jakiś czas później ambasadora Francji w Niemczech André François-Ponceta za to, że nie był na wykładzie obecny. Jego odpowiedź streszczała fundamentalną rozterkę tradycyjnej dyplomacji. „Sytuacja jest bardzo trudna”^[397] – rzekł z uśmiechem. – „Kiedy jest się dyplomata, należy ukrywać swoje uczucia. Trzeba zadowalać zwierzchników w kraju, a jednocześnie nie dać się stąd usunąć, ale i ja cieszę się, że Jego Ekscelencja pan Dodd nie da sobie mydlić oczu pochlebstwami i honorami”.

Reakcja publiczności dodała Doddowi otuchy. Pisał do Roosevelta: „Interpretuję to w ten sposób, że całe liberalne Niemcy są razem z nami – a ponad połowa Niemców to w głębi serca liberalowie”^[398].

Tymczasem, jak mógł się szybko przekonać, reakcje innych były zdecydowanie mniej pozytywne. Goebbels zablokował publikację przemówienia, jednak trzy duże gazety i tak wydrukowały

niektóre jego fragmenty. Nazajutrz, czyli w piątek, Dodd przybył do MSZ do gabinetu Neuratha na wcześniej umówione spotkanie, po to tylko, by usłyszeć, iż minister nie może się z nim spotkać – było to wyraźne naruszenie obyczajów dyplomatycznych. W telegramie do Waszyngtonu, wysłanym tego samego popołudnia, Dodd informował sekretarza stanu Hulla, że postępowanie Neuratha „stanowi poważny afront wobec naszego rządu”^[399]. Ostatecznie jednak Dodd spotkał się z Neurathem o godzinie ósmej wieczorem. Minister twierdził, że przez cały dzień był bardzo zajęty, Dodd wiedział jednak, iż nie miał on na tyle dużo bieżących obowiązków, by nie zjeść lunchu z jednym z niższych rangą dyplomatów. Dodd zanotował w dzienniku, że o zainicjowanie owego przesunięcia spotkania podejrzewa samego Hitlera. Miał to być „rodzaj nagany za moje wczorajsze wystąpienie”^[400].

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Dodd odczuł na sobie falę krytyki zza oceanu i podjął kroki w swojej obronie. Bezwzględnie przesłał Rooseveltowi dokładną kopię przemówienia, pisząc, iż czyni tak z obawy, że „w kraju mogły pojawić się jakieś żenujące interpretacje”^[401]. Tego samego dnia wysłał również kopię do podsekretarza Phillipsa: „Mam nadzieję, że Pan^[402] – obeznany z wszelkimi precedensami – wyjaśni sprawę sekretarzowi stanu Hullowi, tzn. gdyby on lub ktokolwiek inny w Departamencie sądził, że w jakiś sposób zaszkodziłem tu naszym interesom”.

Jeśli Dodd oczekiwał, że Phillips stanie w jego obronie, bardzo się mylił.

Phillips i inni wyżsi rangą urzędnicy Departamentu Stanu, w tym Moffat, szef wydziału do spraw Europy Zachodniej, byli coraz bardziej niezadowoleni z ambasadora. Ci wpływowi członkowie Pretty Good Club (Całkiem Dobrego Klubu) Hugh Wilsona uczepili się mowy Dodd’a jako kolejnego dowodu na to, że stanowisko ambasadorskie piastuje niewłaściwy człowiek. W swoim dzienniku Moffat porównał Dodd’a do „dyrektora szkoły pouczającego uczniów”^[403]. Phillips, mistrz w sztuce pałacowych plotek, rozkoszował się zaniepokojeniem Dodd’a. Zignorował kilka listów od ambasadora, w których ten prosił o zajęcie oficjalnego stanowiska w sprawie ewentualnych przyszłych zaproszeń do wygłaszania publicznych odczytów. Ostatecznie Phillips na pisma odpowiedział, przepraszając i tłumacząc się: „(...) miałem bowiem wątpliwości, czy jakiekolwiek słowa z mojej strony mogą być pomocne lub też stanowić wskazówkę dla Pana, który żyje w świecie tak całkowicie odmiennym od tego, w jakim przebywa większość ambasadorów”^[404].

Gratulował wprawdzie Doddowi „wysokiej biegłości w sztuce”, co znalazło wyraz w jego przemówieniu, pozwalając na wypowiedzenie poglądów bez obrażania nikogo w bezpośredni sposób. A jednocześnie udzielał mu cichej nagany. „Krótko mówiąc, mam wrażenie, iż ambasador, który jest uprzywilejowanym gościem w kraju swojej akredytacji, powinien starać się nie okazywać publicznie niczego, co mogłoby być uznane za przejaw krytyki wobec kraju gospodarza, ponieważ w ten sposób traci ipso facto zaufanie jego najwyższych władz; od zaufania tego i dobrej woli zależy przecież

sukces jego misji”.

Dodd wciąż wydawał się całej tej sytuacji nieświadomy. Kilku członków Pretty Good Club zaczynało oto intensyfikować przeciwko niemu kampanię, której ostatecznym celem było usunięcie Dodda ze stanowiska. W październiku stary przyjaciel ambasadora, pułkownik House, przekazał mu poufne ostrzeżenie. Najpierw przysyłał dobre nowiny. House właśnie spotkał się z Rooseveltem. „Wspaniale było usłyszeć od Prezydenta, że jest ponad wszelką miarę zadowolony z pracy, jaką wykonujesz w Berlinie”^[405].

Później jednak House odwiedził Departament Stanu. „W najściślejszej tajemnicy powiem, że oni nie mówią o Tobie z takim entuzjazmem jak Prezydent” – pisał. „Nalegałem na jakąś konkretną opinię, ale usłyszałem jedynie, że ich zdaniem nie informujesz ich dobrze. Mówię Ci to, byś wiedział, jak postąpić w przyszłości”.

W sobotę 14 października, dwa dni po mowie wygłoszonej z okazji Dnia Kolumba, Dodd uczestniczył w kolacji wydawanej na cześć attaché wojskowych i morskich, kiedy dotarły doń alarmujące wieści. Hitler ogłosił właśnie decyzję o wycofaniu się Niemiec z członkostwa w Lidze Narodów, a także z udziału w ważnej konferencji rozbrojeniowej, która odbywała się w Genewie, z przerwami, od lutego 1932 roku.

Dodd znalazł radio i włączywszy je, od razu usłyszał surowy głos kanclerza, tym razem jednak uderzył go brak zwykłej u Hitlera teatralności. Dodd słuchał z przejęciem, jak Hitler przedstawia Niemcy jako kraj o jak najlepszych intencjach, miłujący pokój, którego skromne pragnienie korzystania z równych praw w wyścigu zbrojeń zostało zakwestionowane przez inne narody. „To nie było przemówienie myśliciela”^[406] – zapisał Dodd w dzienniku – „lecz owładniętego emocjami człowieka, który twierdzi, że Niemcy nie są w żaden sposób odpowiedzialne za wojnę światową i że padły one ofiarą swoich nikczemnych wrogów”.

Było to zaskakujące wydarzenie. Za jednym pociągnięciem Hitler osłabiał Ligę i niemal wymazywał traktat wersalski, jasno deklarując swoje zamiary zbrojenia Niemiec. Oświadczał ponadto, że rozwiązuje Reichstag i zarządza nowe wybory na 12 listopada. Głosowanie miało też obejmować referendum, w którym opinia publiczna mogła ustosunkować się do prowadzonej przez władzę polityki zagranicznej. Potajemnie rozkazał generałowi Wernerowi von Blombergowi, ministrowi obrony, przygotowanie się do działań o charakterze wojskowym na wypadek, gdyby państwa członkowskie Ligi miały zamiar wymusić respektowanie traktatu wersalskiego siłą – choć Blomberg doskonale wiedział, że nieliczna armia niemiecka nie ma szans w konfrontacji z połączonymi siłami Francji, Polski i Czechosłowacji. „To, że ówczesni alianci z łatwością pokonaliby Niemcy, jest tak samo pewne jak to, że akcja taka oznaczałaby koniec Trzeciej Rzeszy w pierwszym roku jej istnienia”^[407] – pisał William Shirer w swoim klasycznym dziele *Pouстанie i*

upadek Trzeciej Rzeszy. Lecz Hitler „znał stopień determinacji swoich zagranicznych oponentów tak zadziwiająco dobrze, jak dobrze zna się skonfliktowanych z nami członków rodziny”.

Choć Dodd nadal żywił nadzieję, iż władze niemieckie nieco się ucywilizują, dostrzegał, że podjęte przez Hitlera decyzje stanowią złowrogi sygnał odchodzenia od kursu umiarkowanego. Nadszedł czas, uświadomił sobie Dodd, aby spotkać się z Hitlerem twarzą w twarz.

Tego wieczoru Dodd położył się spać bardzo zmartwiony.

Tuż przed południem we wtorek 17 października 1933 roku „niezłomny liberal” Roosevelta, odziany we frak i z cylindrem na głowie, udał się na swoje pierwsze spotkanie z Adolfem Hitlerem.

[385] cytata za Brysac, s. 419.

[386] tamże, s. 146.

[387] tamże, s. 154.

[388] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 86.

[389] W swoim pamiętniku Martha pisze o tych przyjęciach na stronach 43–45 oraz 65–66.

Można odnieść wrażenie, że chodzi o tę samą imprezę. Nieżyjący już Philip Metcalf, w książce zatytułowanej *Rok 1933*, traktuje te opisy w ten właśnie sposób i twierdzi stanowczo, że dotyczą tego samego przyjęcia. Miał on ten przywilej, że korespondował z Marthą Dodd na długo przed jej śmiercią w 1990 roku. Metcalf, s. 195–196.

[390] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 44.

[391] tamże, s. 67. Zatwardziali naziści faktycznie wykazywali niejaką nadwrażliwość w związku z *Pieśnią Horsta Wessela*. Pewien kapelmistrz, który ośmielił się wykonać ten utwór w aranżacji jazzowej, zmuszony był uciekać z Niemiec. Kater, s. 23.

[392] Dodd w liście do Leo Wormsera, 26 IX 1933, skrzynka nr 43, dokumentacja W. E. Dodda.

[393] 1 Dodd w liście do Jane Addams, 16 X 1933, skrzynka nr 40, dokumentacja W. E. Dodda.

[394] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 14 X 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E.

Dodda.

[395] tekst przemówienia Dodda znajduje się w załączniku do listu Dodda do Roosevelta z 13 X 1933, Korespondencja Roosevelta.

[396] tamże.

[397] Dodd w liście do Hulla, 19 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

[398] tamże.

[399] Fromm, s. 132.

[400] Metcalf, s. 164–165.

[401] Dodd w liście do Roosevelta, 14 X 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

(Uwaga: Rękopis tego listu, znajdujący się w zbiorach korespondencji Roosevelta, nosi datę 13 X 1933. Wydaje się jasne, że wersja przepisana na maszynie, z datą 14 X, jest wersją ostateczną i właściwie datowaną).

[402] Dodd w liście do Hulla, 13 X 1933, 362.1113/13, State/Decimal.

[403] Dodd, *Dziennik*, s. 47.

[404] Dodd w liście do Roosevelta, 14 X 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[405] Dodd w liście do Phillipsa, 14 X 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[406] Moffat, *Dziennik*, 12 X 1933.

[407] William Phillips w liście do Dodda, 27 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 19

Swat

Putki Hanfstaengl wiedział o licznych już romansach Marthy, jednak jesienią 1933 roku zaczął obmyślać dla niej nowego partnera.

Doszedłszy do wniosku, że Hitler byłby o wiele bardziej rozsądnym przywódcą, gdyby się w kims zakochał, Hanfstaengl sam siebie mianował swatem. Miał świadomość, że sprawa nie będzie łatwa. Jako jeden z najbliższych współpracowników Hitlera wiedział, że dotychczasowe związki kanclerza z kobietami były dość dziwne, że kładły się na nie cieniem jakieś tragedie i ciągłe plotki o podłym traktowaniu. Hitler lubił kobiety, ale bardziej jako dekorację sceniczną niż źródło bliskości i miłości. Mówiono powszechnie o jego licznych romansach, zwykle z kobietami znacznie odeń młodszymi – w jednym przypadku nawet z szesnastolatką Marią Reiter^[408]. Inna z pań, Ewa Braun, była od Hitlera młodsza o 23 lata i pozostawała jego towarzyszką – z przerwami – od 1929 roku. Tym niemniej jedyny płomienny romans, jaki dotąd rozpałił Hitlera, łączył go z jego młodą siostrzenicą Geli Raubal. Znalaziono ją zastrzeloną w mieszkaniu Hitlera; tuż obok ciała leżał jego rewolwer. Najbardziej prawdopodobną przyczyną śmierci było samobójstwo jako forma ucieczki przed zazdrością i uciążliwym afektem ze strony Hitlera, słowem – jak ujął to historyk Ian Kershaw – jego „lepką zaborczością”. Hanfstaengl podejrzewał, iż kiedyś także jego żona, Helena, pociągała Hitlera, ta zapewniła go jednak, że nie ma żadnych powodów do zazdrości. „Wierz mi”^[409] – powiedziała. – „On jest absolutnie bezpłciowy, w ogóle nie jest mężczyzną”.

Hanfstaengl zatelefonował do domu Marthy.

„Hitlerowi potrzeba kobiety”^[410] – oświadczył. – „Hitler powinien mieć Amerykankę – jedna piękna kobieta mogłaby zmienić historię Europy”.

I przeszedł do sedna: „Martho” – powiedział – „to ty jesteś tą kobietą”.

[408] Edward M. House w liście do Dodda, 21 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

[409] Dodd, *Dziennik*, s. 48.

[410] Shirer, *Powstanie i upadek III Rzeszy*, s. 211.

CZEŚĆ IV
JAK BOLI SZKIELET



Tiergarten, styczeń 1934 roku

Rozdział 20

Pocałunek Führera

Dodd siedł po szerokich schodach prowadzących do gabinetu Hitlera, na każdym ich skřęcie natykając się na SS-manów z ramionami uniesionymi w górę w „stylu Cezara”, jak sam to ujął. W odpowiedzi kłaniał się lekko; wreszcie wszedł do poczekalni. Po kilku chwilach wysokie czarne drzwi prowadzące do gabinetu otworzyły się. Wyszedł przez nie minister spraw zagranicznych Neurath, aby przywitać Dodda i zaprowadzić go do kanclerza. Gabinet był ogromny, według szacunków Dodda długi na kilkanaście metrów i na tyleż szeroki, o zdobionych ścianach i suficie. Hitler, „elegancki i wyprostowany”^[411], miał na sobie zwykły garnitur. Dodd zauważył, że wygląda lepiej niż na publikowanych w prasie zdjęciach.

A jednak Hitler nie wyglądał przesadnie dostojnie. Rzadko wyglądał dostojnie. W początkowym okresie jego kariery ci, którzy spotykali go po raz pierwszy, bardzo często traktowali go jako kogoś zupełnie bez znaczenia. Miał plebejskie korzenie i w żaden istotny sposób się nie wyróżniał, ani podczas wojny, ani w pracy, ani w sztuce, choć w tej ostatniej dziedzinie uważał się za wielce utalentowanego. Miał opinię człowieka leniwego. Wstawał późno, pracował mało, otaczał się szeregowymi członkami partii, z którymi czuł się najswobodniej; była to świta przeciętniaków, których Putzi Hanfstaengl szyderczo nazywał „szofereską”^[412], gdyż w jej skład wchodzili ochroniarze, adiutanci i jeden szofer. Hitler uwielbiał filmy – jego ulubionym był *King Kong*^[413] – a także muzykę Ryszarda Wagnera. Ubrał się fatalnie. Z wyjątkiem wąsików i oczu jego twarz nie miała żadnych cech charakterystycznych ani robiących wrażenie, była jakby wykonana z niewypalanej gliny. Wspominając swoje pierwsze wrażenie po spotkaniu z Hitlerem, Hanfstaengl zanotował: „Hitler wygląda jak fryzjer z przedmieścia, który ma wychodne”^[414].

Tym niemniej człowiek ten posiadał godną uwagi umiejętność przemiany w kogoś o wiele

bardziej atrakcyjnego, zwłaszcza gdy przemawiał publicznie lub też w trakcie prywatnych spotkań, kiedy jakiś temat go drażnił. Hitler był ponadto zdolny emanować aurą pozornej szczerości, tak silną, że świadkowie nie potrafili dostrzec jego prawdziwych motywów i poglądów; Dodd nie doświadczył jeszcze w pełni tego aspektu jego osobowości.

Na początku rozmowy Dodd podniósł temat licznych ataków na Amerykanów^[415]. Hitler był kordialny i przeprasający, zapewnił ambasadora, że winni wszystkich napaści zostaną „przykładnie ukarani”. Obiecał ponadto, że jego wcześniejszy dekret zwalniający obcokrajowców z obowiązku salutowania zostanie szeroko rozpowszechniony. Po krótkiej i nieistotnej wymianie zdań na temat niemieckiego zadłużenia w Ameryce Dodd przeszedł do kwestii, która leżała mu na sercu, „najważniejszej sensacyjnej wiadomości z ostatniej soboty” – decyzji Hitlera o wycofaniu się Niemiec z Ligi Narodów.

Kiedy Dodd zapytał go o powody tej decyzji, Hitler wyraźnie się zdenerwował. Skrytykował traktat wersalski i dążenia Francji do utrzymania przewagi militarnej nad Niemcami, a także nierówną pozycję Niemiec, które nie mogą się nawet bronić przed swoimi sąsiadami, uznając to za „zniewagę”.

Nagły gniew Hitlera zaskoczył Doda. Starał się wyglądać na niezrażonego, być już nie tyle dyplomata, co profesorem radzącym sobie z podenerwowanym studentem. Powiedział Hitlerowi: „Stanowisko Francji jest ewidentnie niesprawiedliwe; jednak następstwem przegranej wojny jest zawsze niesprawiedliwość”. Powołał się na przykład okresu po wojnie secesyjnej w Stanach Zjednoczonych i „straszne” traktowanie Południa przez Północ.

Hitler wpatrywał się w niego. Po chwili milczenia rozmowa potoczyła się dalej i przez kilka chwil obaj mężczyźni – jak zapisał to Dodd – „wymieniali się uprzejmościami”. Teraz jednak Dodd zadał pytanie, czy „jakiś incydent na granicy polskiej, austriackiej czy francuskiej, który spowodowałby wkroczenie nieprzyjaciela na teren Rzeszy”, byłby dla Hitlera wystarczającym powodem do rozpoczęcia wojny.

„Nie, nie” – rzekł Hitler z naciskiem.

Dodd sondował dalej. Przypuśćmy, mówił, że taki incydent zdarzyłby się w Zagłębiu Ruhry. Był to przemysłowy region, na którym Niemcom szczególnie zależało. Francja okupowała ten obszar w latach 1923–1925, wywołując tym faktem wielkie wzburzenie w całych Niemczech. Czy w razie kolejnej napaści, pytał Dodd, Niemcy same odpowiedzą militarnie czy też będą się domagać zorganizowania międzynarodowej konferencji w tej sprawie?

„Do tego właśnie bym dążył” – odpowiedział Hitler – „ale być może nie zdołamy powstrzymać narodu niemieckiego”.

Dodd rzekł: „Gdyby pan poczekał i zorganizował konferencję, Niemcy odzyskałyby sympatię świata”.

Niedługo potem spotkanie dobiegło końca. Trwało 45 minut. Było trudne i dziwne, a jednak wychodząc z kancelarii Rzeszy, Dodd czuł się przekonany, iż Hitler szczerze pragnie pokoju. Martwił się tylko, że być może znów pogwałcił obowiązujące w dyplomacji obyczaje. „Chyba byłem zanadto szczery”^[416] – pisał w liście do Roosevelta – „ale musiałem postawić sprawę uczciwie”.

Jeszcze tego samego dnia o godzinie 18.00 przesłał do sekretarza stanu Hulla dwustronicowy telegram zawierający streszczenie spotkania, które kończyło się słowami: „Ostateczny wynik tej rozmowy, w perspektywie wysiłków na rzecz zachowania pokoju światowego, jest znacznie bardziej pozytywny, niż się spodziewałem”^[417].

Swoimi wrażeniami Dodd podzielił się również z konsulem generalnym Messersmithem, który następnie wystosował list – typowe dlań 18-stronicowe pismo – do podsekretarza Phillipsa z zamiarem, jak się wydaje, zakwestionowania wiarygodności Dodda. Messersmith podważał w nim opinie na temat Hitlera. „Zapewnienia ze strony kanclerza były tak satysfakcjonujące i tak nieoczekiwane, że moim zdaniem zbyt dobre, żeby były prawdziwe”^[418] – pisał Messersmith. „Musimy pamiętać, iż – jak sądzę – kiedy Hitler coś mówi, przez chwilę w to wierzy. Jest generalnie szczery; ale jednocześnie jest fanatykiem”.

Messersmith doradzał sceptycyzm wobec deklaracji Hitlera. „Myślę, że w danym momencie on prawdziwie pragnie pokoju, ale ma to być pokój swoisty, za którym kryje się coraz bardziej skuteczna armia mająca pomóc mu narzucać swoją wolę wtedy, gdy uzna to za istotne”. Konsul ponownie wyraził pogląd, że władz hitlerowskich nie można postrzegać jako racjonalnie działającego partnera. „Jest już tyle patologicznych przypadków, że nie sposób w ogóle określić, co wydarzy się jutro; to tak, jakby zarządca domu wariatów miał powiedzieć, co jego pensjonariusze zrobią za godzinę albo nazajutrz”.

Zalecał ostrożność, tym samym skłaniając Phillipsa do sceptycyzmu wobec przekonania Dodda, iż Hitler pragnie pokoju. „Myślę, że w chwili obecnej (...) musimy powstrzymać się od nadmiernego optymizmu, opierając się jedynie na satysfakcjonujących deklaracjach kanclerza”.

Rankiem owego dnia, w którym miało odbyć się zaaranżowane przez Putziego Hanfstaengla rendez-vous z Hitlerem, Martha ubrała się starannie, rozumiejąc, że została „mianowana kimś, kto ma zmienić bieg historii Europy”^[419]. Jej samej wydawało się to pierwszorzędnym żartem. Ciekawa była spotkania z człowiekiem, którego kiedyś lekceważąco określiła jako klauna, lecz który – jak uważała obecnie – był „fascynującą i wybitną osobistością, z pewnością odznaczającą się wielką siłą i czarem”. Postanowiła włożyć swoją „najsłabszą i najbardziej intrygującą kreację”, nic zanadto imponującego czy odsłaniającego, ponieważ wedle nazistowskiego ideału kobieta powinna mieć lekki makijaż, zajmować się swoim mężczyzną i rodzić jak najwięcej dzieci. Niemieccy mężczyźni, pisała Martha, „chcą, żeby na ich kobiety patrzono, lecz niekoniecznie z nimi

rozmawiano, żeby widziano w nich dodatek do wspaniałych samców, którym towarzyszą”.

Zastanawiała się, czy nie założyć woalki.

Hanfstaengl zabrał ją swoim wielkim samochodem do Kaiserhof, siedem przecznic od Wilhelmsplatz, nieopodal południowo-wschodniego narożnika Tiergarten. Kaiserhof, wielki hotel z otchłannym holem i łukowato zwieńczonym portykiem, stanowił mieszkanie Hitlera do momentu jego mianowania na stanowisko kanclerza. Obecnie Hitler jadał tu często lunch albo pijał herbatę w otoczeniu swojej szofereski.

Hanfstaengl postarał się, żeby podczas lunchu przysiadła się do nich jeszcze jedna osoba, mianowicie 31-letni polski tenor Jan Kiepura. Hanfstaengla, dobrze znanego i łatwo rozpoznawalnego, personel restauracji traktował z wielkim szacunkiem. Usiadłszy, Martha i obaj mężczyźni gawędzili, jej herbatę i czekali. Po chwili w pobliżu wejścia do sali restauracyjnej dała się słyszeć wrzawa, po czym rozległo się nieuniknione szuranie odsuwanych w tył krzeseł i okrzyki „Heil Hitler”.

Hitler i jego świta – wśród niej faktycznie szofer – zajęli miejsca przy sąsiednim stole. Najpierw do Hitlera zaprowadzono Kiepurę. Rozmawiali o muzyce. Hitler wydawał się nieświadom, że według praw nazistowskich ze względu na rodzinę matki Kiepurę uznano za Żyda. Po kilku chwilach do stołu podszedł Hanfstaengl i nachylił się do ucha Hitlera, a następnie potoczył z powrotem do Marthy z wiadomością, że kanclerz zaraz z nią porozmawia.

Podeszła do stolika Hitlera i stała przez moment, czekając, aż wstanie się z nią przywitać. Wziął ją za rękę, pocałował i cicho powiedział kilka słów po niemiecku. Teraz mogła mu się przyjrzeć z bliska: „Słaba, miękka twarz, z workami pod oczyma, pełne usta i drobne kości policzkowe”. Z tej perspektywy, zanotowała Martha, jego wąsik „już nie wydawał się tak śmieszny jak na zdjęciach – właściwie prawie go nie zauważałam”. Dostrzegła jednak jego oczy. Słyszała wielokrotnie wcześniej, że jego spojrzenie jest przenikliwe i intensywne, a teraz sama się o tym przekonała. „Oczy Hitlera” – pisała – „były zdumiewające, niedające się zapomnieć; wydawały się bładniebieskie, skupione, niewzruszone, hipnotyczne”.

Maniery miał doskonałe – „był nadzwyczaj grzeczny” – bardziej odpowiednie dla nieśmiałego nastolatka niż żelaznego dyktatora. „Nienarzucający się, komunikatywny, swobodny, emanował pewnym spokojnym urokiem, odznaczał się niemalże delikatnością wymowy i spojrzenia” – zapisała.

Hitler odwrócił się ponownie do tenora i wydawało się, że z prawdziwym zainteresowaniem kontynuuje rozmowę o muzyce.

„Wyglądał na kogoś skromnego, należącego do klasy średniej, raczej nudnego i nieśmiałego – dziwna była tylko ta delikatność i intrygująca bezradność” – zanotowała Martha. „Trudno było uwierzyć, że ten człowiek to jeden z najpotężniejszych ludzi w Europie”.

Martha i Hitler raz jeszcze uściskali sobie dłonie, on ponownie pocałował ją w rękę. Wróciła do

swojego stolika i do Hanfstaengla.

Zostali jeszcze przez chwilę, pijąc herbatę i nadstawiając ucha ku wciąż trwającej rozmowie Kiepury z Hitlerem. Od czasu do czasu Hitler zwracał się w kierunku Marthy, rzucając, jak to określiła, „ciekawe i zawstydzone spojrzenia”.

Owego wieczoru, po kolacji, opowiedziała rodzicom o swoim spotkaniu oraz o tym, że Führer jest czarującym i spokojnym człowiekiem. Dodd rozbawiony przyznał, „że Hitler w osobistym kontakcie nie jest człowiekiem pozbawionym atrakcyjności”^[420].

Droczył się z Martha, każąc jej dobrze zapamiętać, w którym miejscu wargi Hitlera dotknęły jej dłoni, jeśli bowiem będzie „musiała” umyć tę rękę, to z wielką ostrożnością i tylko wokół miejsca pocałunku.

Martha zapisała: „Byłam trochę zła i zdenerwowana”^[421].

Martha nigdy więcej nie spotkała się z Hitlerem, nie brała też poważnie takiej ewentualności pod uwagę, po kilku latach wyszło jednak na jaw, iż zaprzątała myśli Hitlera przy co najmniej jeszcze jednej okazji. Jeśli o nią chodzi, zależało jej jedynie na poznaniu tego człowieka i zaspokojeniu własnej ciekawości. W jej kręgu istnieli inni mężczyźni, których uważała za nieskończenie bardziej atrakcyjnych.

Jeden z nich właśnie powracał do jej życia z zaproszeniem na absolutnie niezwykłą randkę. Pod koniec października Rudolf Diels wrócił do Berlina na swoje poprzednie stanowisko, szefa Gestapo, paradoksalnie z większą władzą niż przed ucieczką do Czechosłowacji. Himmler nie tylko przeprosił za najazd na mieszkanie Dielsów; obiecał awansować Dielsa na *Standartenführera SS* (pułkownika).

Diels przesłał Himmlerowi czolobitne podziękowanie: „Awansując mnie na stopień *Obersturmbannführer der SS*, sprawił mi Pan tyle radości, że nie sposób jej wyrazić w tych kilku słowach podzięk”^[422].

Diels, przynajmniej na razie bezpieczny, zaprosił Marthę na zbliżające się posiedzenie sądu w sprawie o podpalenie Reichstagu. Sprawę tę od prawie miesiąca prowadził Sąd Najwyższy w Lipsku, ale najbliższa rozprawa miała się odbyć w Berlinie, na miejscu przestępstwa. Proces zapowiadał się na krótkotrwały, miał się zakończyć wyrokiem skazującym, najlepiej karą śmierci, dla wszystkich pięciu oskarżonych, ale cała procedura nie przebiegała tak, jak życzył sobie tego Hitler.

Teraz bowiem na wokandzie miał się pojawić „świadek” szczególny.

^[411] szczegóły życia miłosnego Hitlera, zob. Kershaw *Hybris*, s. 284–285, s. 351–355.

^[412] tamże, s. 354.

[413] tamże, s. 187.

[414] Conradi, s. 121.

[415] Dodd, *Dziennik*, s. 49.

[416] Kershaw, *Hybris*, s. 485.

[417] tamże, s. 485.

[418] Hanfstaengl, s. 22.

[419] Dodd, *Dziennik*, s. 49.

[420] Dodd w liście do Roosevelta, 28 X 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[421] Dodd w liście do Hulla, 17 X 1933, 362.1113/19 GC, State/Decimal.

[422] Messersmith w liście do Williama Phillipsa, 19 X 1933 (s. 12–13), dokumentacja Messersmitha.

Rozdział 21

Kłopoty z George'em

Niemcy, jakby poddane działaniu jakiegoś gigantycznego koła zamachowego, nieubłaganie zmierzały w mrok; kraj ten nie miał teraz nic wspólnego z miejscem znanym Doddowi z lat studenckich. W miarę jak jesień osiągała pełnię, a jej kolory wypełniały Tiergarten, ambasador coraz wyraźniej uświadamiał sobie słuszność własnego osądu jeszcze z wiosny w Chicago, że brak mu predyspozycji do służby „w wysokiej dyplomacji” i do odgrywania roli korzącego się kłamcy. Pragnął mieć na sytuację wpływ: uświadomić Niemcom czyhające na nich niebezpieczeństwa i nakłonić rząd Hitlera do obrania bardziej humanitarnego i racjonalnego kursu. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że jego moce są w tej mierze bardzo ograniczone. Szczególnie obcy był dlań fanatyzm nazistów w kwestii czystości rasowej. Zaczęto właśnie rozpowszechniać projekt nowego Kodeksu karnego, w którym problem ten miał odgrywać rolę kluczową. Amerykański wicekonsul w Lipsku Henry Leverich uznał ów projekt za dokument szczególnej wagi i sporządził jego analizę: „Po raz pierwszy więc w historii niemieckiego prawodawstwa projekt ten zawiera określone propozycje dotyczące ochrony Rasy Niemieckiej przed grożącym jej zanieczyszczeniem, które to zagrożenie widzi się w domieszcze krwi żydowskiej i ras ciemnoskórych”^[423]. Jeśli projekt ten stanie się obowiązującym prawem – a konsul nie wątpił, że tak – wówczas od tej pory „będzie traktowane jako przestępstwo, jeśli nie-Żyd lub nie-Żydówka poślubi Żyda albo ciemnoskórego”. Autor zauważał również, iż kodeks stawia sobie za cel nadrzędny ochronę rodziny i zakazuje wszelkiej aborcji, z wyjątkiem przypadków wymagających rozpatrzenia przez sąd, gdy spodziewane potomstwo byłoby mieszańcem Niemca i Żydówki albo Niemca i osoby kolorowej. Wicekonsul Leverich pisał: „Sądząc po komentarzach prasowych, ten fragment projektu niemal na pewno zostanie wprowadzony w życie”.

Szczególłą uwagę Dodda przykuła jeszcze jedna proponowana zmiana rozwiązań legislacyjnych –

nowe prawo do „zabijania osób nieuleczalnie chorych”^[424], jak nazwał je w swojej nocie do Departamentu Stanu z 26 października 1933 roku. Poważnie chorzy pacjenci mieliby prawo domagać się eutanazji, a gdyby sami nie byli w stanie tego uczynić, w ich imieniu mogłyby występować rodziny. Propozycja ta, „wraz z wprowadzonymi już regulacjami prawnymi dotyczącymi sterylizacji osób dotkniętych dziedzicznym kretynizmem i innym podobnym upośledzeniem, jest zgodna z zamiarem Hitlera podniesienia na wyższy poziom standardów tężyzny fizycznej narodu niemieckiego” – pisał Dodd. „Według filozofii nazistowskiej tylko Niemcy sprawni fizycznie należą do Trzeciej Rzeszy, i to od nich oczekuje się, że będą wychowywać liczne potomstwo”.

Ataki na Amerykanów trwały nadal, mimo protestów Dodda, a ściganie sprawców poprzednich incydentów można było w najlepszym razie określić jako dość opieszale. W dniu 8 listopada Dodd otrzymał od niemieckiego MSZ notę z informacją, że w związku ze sprawą napaści na syna H.V. Kaltenborna nie będzie żadnych zatrzymań, ponieważ Kaltenborn senior „nie pamiętał ani nazwiska, ani numeru legitymacji partyjnej sprawcy, a tym samym brak jest jakichkolwiek innych wskazówek umożliwiających prowadzenie śledztwa”^[425].

Być może ze względu na coraz większe poczucie daremności w tej kwestii Dodd przeniósł uwagę ze sfery stosunków międzynarodowych na stan spraw w jego własnej ambasadzie. Poczuł się zmuszony – w głębi swego jeffersonskiego, hołdującego życiu skromnemu jestestwa – do coraz większego koncentrowania się na błędach personelu i jego rozrzutności.

Dodd zintensyfikował jeszcze swoją kampanię przeciwko wysokim kosztom telegramów, naciskając, by nadawano depesze krótkie i zwięzłe; owa rozrzutność była w jego opinii konsekwencją faktu, że w departamencie zatrudniano tak wielu ludzi bogatych. „Zamożni członkowie personelu chcą sobie urządzać koktajle w każde popołudnie, a wieczorem spotkania przy kartach, i wstawać nazajutrz dopiero o dziesiątej”^[426] – pisał do sekretarza stanu Hulla. „Co sprawia, że praca i zdobywanie informacji są mniej efektywne (...), a także czyni ich obojętnymi na wysokie koszty przesyłania raportów i telegramów”. Telegramy powinny być o połowę krótsze, uważał. „Wieloletni tutejszy nawyk stanowi dla moich wysiłków taką przeszkodę, że kiedy wykreślam większe fragmenty jakiegoś telegramu, ludzie wpadają »w szal«. Będę je musiał pisać sam (...)”.

Dodd jak dotąd nie był najwyraźniej w pełni świadom, że skarżąc się na zamożność, sposób ubierania się i styl pracy urzędników ambasady, w istocie rzeczy atakuje podsekretarza Phillipsa, szefa wydziału do spraw Europy Zachodniej Moffata oraz ich kolegów, tych samych, którzy wprowadzali i wspierali kulturę polityczno-towarzyską służby dyplomatycznej – Pretty Good Club – zdaniem Dodda tak irytującą. Jego skargi dotyczące wielkości kosztów były dla tych ludzi obraźliwe, męczące i kłopotliwe, zwłaszcza w kontekście charakteru pełnionych przezeń funkcji. Czyż nie było ważniejszych spraw, które domagały się uwagi ambasadora?

Phillips czuł się szczególnie dotknięty; zlecił wydziałowi komunikacji Departamentu Stanu sporządzenie opracowania porównującego liczbę telegramów z Berlina z aktywnością innych ambasad. Szef wydziału, niejaki D.A. Salmon, ustalił, że z Berlina przysłano o trzy telegramy mniej niż z miasta Meksyk i tylko cztery wiadomości więcej niż z maleńkiej placówki w Panamie. Salmon napisał: „Wydaje się, że w świetle nabrzmiałej sytuacji w Niemczech liczba telegramów napływających z Ambasady Amerykańskiej w Berlinie jest bardzo skromna od czasu, gdy objął ją ambasador Dodd”^[427].

Phillips przesłał ów raport Doddowi z trzydziestodniowym pismem przewodnim, w którym – z arystokratycznym prychnięciem – cytował zdanie Dorda z ostatniej depeszy o „rozzutności w opłatach za telegramy w ambasadzie w Berlinie”^[428]. Phillips napisał: „Podejrzewając, że będzie Pan tym zainteresowany, załączam niniejszym jeden egzemplarz”.

Dodd odpowiedział: „Proszę nie sądzić, że dokonane przez pana Salmona porównanie mojej pracy z działalnością mojego przyjaciela, pana Daniela, w Meksyku w jakikolwiek sposób mnie dotyka”^[429]. Pan Daniels i ja jesteśmy przyjaciółmi od czasu, gdy skończyłem 18 lat; wiem jednak, że on nie potrafi skondensować swoich raportów”.

Dodd uważał, iż jedną z pozostałości okresu braku umiaru – „kolejnym ciekawym przeżytkiem”^[430], jak oznajmił Phillipsowi – była nadmierna liczebność personelu ambasady, a w szczególności osób pochodzenia żydowskiego. „Mamy tu sześciu albo ośmiu przedstawicieli »narodu wybranego«, którzy są bardzo użyteczni, ale zbyt mocno rzucają się w oczy” – pisał. Kilko z nich należało do najlepszych pracowników ambasady, Dodd obawiał się jednak, że ich obecność w składzie personelu szkodzi relacjom z władzami hitlerowskimi, a tym samym codziennemu funkcjonowaniu placówki. „Nawet przez moment nie rozważałem ich przeniesienia. Jednakowoż liczba ta jest zbyt duża, a jedna z tych osób” – miał na myśli Julię Swope Lewin, recepcjonistkę ambasady – „jest tak gorliwa i tak bardzo na widoku, że dochodzą mnie różne echa z kręgów półoficjalnych”. Dodd powoływał się też na przykład księgowego ambasady, który – choć „bardzo kompetentny” – należał do „»narodu wybranego«, co działa na jego niekorzyść w kontaktach z tutejszymi bankami”.

Co zaskakujące, na tej samej płaszczyźnie żywił Dodd pewne obawy także wobec George’a Messersmitha. „Jego funkcja jest bardzo ważna, a on sam jest bardzo zdolny”^[431] – pisał Dodd do Hulla – „ale oficjele niemieccy powiedzieli jednemu z pracowników ambasady: »On także jest Hebrajczykiem«. Nie jestem rasistą, ale mamy tu wielu Żydów, co wpływa na naszą służbę i czyni ją trudniejszą”.

Dodd nie wiedział, przynajmniej w tym okresie, że Messersmith wcale nie jest Żydem.

Ambasador padł zapewne ofiarą plotki rozpuszczanej przez Putziego Hanfstaengla po tym, jak Messersmith zganił go publicznie podczas jednego ze spotkań w ambasadzie, że czyni niemile widziane awanse jednej z obecnych tam kobiet^[432].

Przypuszczenia Dodda prawdopodobnie rozniewałyby Messersmitha, który już i tak z trudem wysłuchiwał spekulacji nazistowskich oficjeli, kto jest, a kto nie jest Żydem. W piątek 27 października Messersmith zorganizował w swoim domu lunch, podczas którego przedstawił Dodda wielu szczególnie zaciekłym nazistom; chciał, aby Dodd wreszcie rozumiał, jakie jest prawdziwe oblicze tej partii. Jeden z gości, na pozór trzeźwy i inteligentny, wyraził powszechną wśród nazistów opinię (uznając ją za fakt), że prezydent Roosevelt i jego żona korzystają wyłącznie z żydowskich doradców. Nazajutrz Messersmith napisał do podsekretarza Phillipsa: „Oni sądzą, że skoro zatrudniamy na wysokich stanowiskach Żydów, a nasi wpływowi ludzie mają żydowskich przyjaciół, to nasza polityka kształtowana jest wyłącznie pod wpływem żydowskiego dyktatu, i że zwłaszcza Prezydent oraz Pani Roosevelt prowadzą antyniemiecką propagandę, kierując się podszeptami doradców i przyjaciół Żydów”^[433]. Messersmith informował, jak bardzo go to rozniewało. „Powiedziałem im, że z faktu, iż w Niemczech silny jest prąd antysemicki, nie wynika jeszcze, że ludzie dobrej woli i wolnej myśli w Stanach Zjednoczonych przestaną zadawać się z Żydami. Stwierdziłem, że arogancja niektórych tutejszych przywódców partyjnych stanowi ich największą wadę oraz że przekonanie o zdolności do narzucenia swoich poglądów reszcie świata jest jedną z ich głównych słabych stron”.

Dla Messersmitha tego rodzaju myślenie było przejawem „zadziwiającej mentalności”, która panuje w Niemczech. „Trudno będzie Panu uwierzyć, że takie poglądy naprawdę wyznaje wielu wartościowych ludzi w rządzie niemieckim” – pisał do Phillipsa – „lecz dano mi do zrozumienia, że tak faktycznie jest; skorzystałem z okazji, by w sposób niepozostawiający wątpliwości wyrazić, jak bardzo są to poglądy błędne i jak bardzo taka arogancja szkodzi samym Niemcom”.

Biorąc pod uwagę niechęć Phillipsa do Żydów, jest rzeczą interesującą wyobrazić sobie, co naprawdę myślał na temat obserwacji Messersmitha – źródła historyczne milczą jednak w tej sprawie.

Wiadomo jednakże na pewno, iż wśród Amerykanów o inklinacjach antysemickich okres prezydentury Franklina Roosevelta szyderczo określano mianem rządów „administracji Rosenberga”^[434].

Skłonność Dodda do posądzania Messersmitha o pochodzenie żydowskie miała niewiele wspólnego z jego własnym rudymentarnym antysemityzmem, stanowiła raczej wyraz głębszych obaw, jakie ambasador Dodd zaczynał żywić w związku z osobą konsula generalnego. Coraz częściej zastanawiał się, czy Messersmith jest wobec niego całkowicie lojalny.

Nigdy nie kwestionował ani kompetencji Messersmitha, ani jego odwagi, gdy ten stawał w obronie obywateli i interesów amerykańskich, przyznawał też: „[Messersmith] dysponuje licznymi źródłami informacji, których ja nie mam”^[435]. A jednak w dwóch pismach do podsekretarza Phillipsa, wysłanych w odstępie dwóch dni, sugerował, że Messersmith przekracza swoje uprawnienia w Berlinie. „Muszę dodać, że jest on tutaj od trzech lub czterech lat, a czasy są bardzo ekscytujące i niespokojne”^[436] – pisał w jednym z listów – „i myślę, że wyrobił w sobie rodzaj wrażliwości, a może nawet ambicję, która sprawia, iż jest niespokojny i niezadowolony. Może to przesada, choć nie sądzę”.

Dodd nie podawał zbyt wielu dowodów na poparcie swoich wniosków. Udało mu się wyeksplikować tylko jeden w miarę klarowny zarzut, mianowicie skłonność Messersmitha do pisania bardzo długich depesz na każdy temat, zarówno poważny, jak i błahy. Dodd informował Phillipsa, że wiadomości od Messersmitha można „bez najmniejszej dla nich szkody”^[437] zmniejszyć o połowę, podkreślając, że człowiek ten powinien wykazywać więcej rozsądku w kwestii doboru tematów. „Nawet na temat pozostawienia przez Hitlera kapelusza w aeroplanie natychmiast zda on relację”.

Jednakże sprawa raportów była dla Dorda jedynie dogodną kwestią zastępczą, pretekstem do wyrażania niezadowolenia, którego źródeł nie potrafił ująć tak jednoznacznie. W połowie listopada jego rezerwa wobec Messersmitha poczęła zmieniać się w brak zaufania. Dodd wyczuwał, że Messersmith zazdrości mu stanowiska, a w bezustannej produkcji raportów widział manifestowanie się jego osobistych ambicji. „Odnoszę wrażenie”^[438] – oznajmił Phillipsowi – „że jego zdaniem należy mu się awans, i sądzę, że faktycznie na to zasużył swoją pracą; jednak jestem pewien tylko tego, że najlepszy okres swojej pracy tutaj ma już za sobą. Wie Pan równie dobrze jak ja, że okoliczności, uwarunkowania, a czasem rozzarowania sprawiają, że mądrzej jest przenieść nawet najzdadniejszych urzędników państwowych w inne miejsce”. Zachęcał Phillipsa do przedyskutowania tej sprawy z szefem służby konsularnej Wilburem Carrem „i zorientowanie się, czy można tę rzecz załatwić”.

Kończył list słowami: „Nie muszę podkreślać, że pozostaję z nadzieją, iż wszystko powyższe zostanie potraktowane z całkowitą poufnością”.

Powyższa prośba o dyskrecję wskazuje, że Dodd nie był świadom ożywionej i regularnej wymiany korespondencji pomiędzy Phillipsem a Messersmithem, przepływającej poza kanałami oficjalnymi. Odpowiedź, jaką pod koniec listopada wystosował Phillips, sporządzona była z typową dlań dawką ironii i w tonie tak lekkim i przyjemnym, że przywołała na myśl chęć ugłaskania Dorda; była konkretna, lecz lekceważąca zarazem. „Pisma i depesze Pańskiego konsula generalnego są bardzo interesujące, ale powinny być krótsze o połowę – jak Pan stwierdził. Wszystkiego dobrego! Będę

się przyglądać, jak realizuje Pan tę tak bardzo potrzebną reformę”.

W niedzielę 29 października, około południa, Dodd szedł Tiergartenstrasse do hotelu Esplanade^[439]. Zauważył wielką procesję SA-manów w charakterystycznych brunatnych koszulach maszerujących w jego kierunku. Piesi zatrzymywali się i głośno wykrzykiwali hitlerowskie pozdrowienie.

Dodd skręcił i ruszył w głąb parku.

^[423] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 63–65.

^[424] tamże, s. 65.

^[425] tamże, s. 65.

^[426] Diels do Himmlera, 10 X 1933, tom 11, s. 142, *Archivum Holocaustu*.

^[427] Henry P. Leverich „Pruskie Ministerstwo Sprawiedliwości przedstawia projekt nowego Kodeksu karnego w Niemczech”, 21 XII 1933, GRC 862.0441/5, State/Decimal.

^[428] Dodd, Memorandum, 26 X 1933, 862.0441/3, State/Decimal.

^[429] Załącznik do listu Dodda do Hulla, 13 XI 1933, GRC 362.1113 Kaltenborn, H.V./5, State, Decimal.

^[430] Dodd w liście do Hulla, 19 X 1933, skrzynka nr 41, dokumentacja W. E. Dodda.

^[431] D. A. Salmon w liście do Williama Phillipsa, 1 XI 1933, załączony do pisma Phillipsa do Dodda, 4 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

^[432] William Phillips w liście do Dodda, 4 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

^[433] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 17 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

^[434] Dodd w liście do Hulla, 6 IX 1933, skrzynka 41, dokumentacja W. E. Dodda.

^[435] tamże.

^[436] Stiller, s. 40.

^[437] Messersmith w liście do Williama Phillipsa, 28 X 1933 (s. 6, 9–10), dokumentacja Messersmitha.

^[438] Breitman i Kraut, s. 225.

^[439] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 15 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E.

Dodda.

Rozdział 22

Świadek nosił buty z cholewami

O chłodziło się, z każdym dniem nadciągające od północy ciemności czyniły zauważalne postępy. Wiało, padał deszcz, unosiły się mgły. W listopadzie owego roku stacja meteorologiczna na lotnisku Tempelhof odnotowała, że na trzydzieści dni miesiąca aż czternaście było mglistych. Biblioteka w domu przy Tiergartenstrasse 27a stała się nieodparcie przytulna, książki i kryte adamaszkiem ściany przybierały barwę bursztynu od płomieni w wielkim palenisku kominka. W sobotę 4 listopada, pod koniec szczególnie przygnębiającego tygodnia deszczów i wiatrów, Martha wybrała się do budynku Reichstagu, gdzie przygotowano prowizoryczną salę sądową – miała się w niej odbyć berlińska rozprawa w wielkim procesie o podpalenie. Niosła ze sobą bilet, który załatwił jej Rudolf Diels.

Budynek otaczali policjanci z krótką bronią automatyczną i szablami – całe „roje”, jak zapamiętał to jeden z obserwatorów. Każda osoba próbująca wejść była zatrzymywana i sprawdzana. Na galerii dla prasy na tyłach sali tłoczyło się 82 korespondentów zagranicznych. Pięciu sędziów, pod przewodnictwem Wilhelma Büngera, miało na sobie szkarłatne togi. Wśród publiczności zasiedli czarno odziani SS-mani i SA-mani w brunatnych mundurach, a także osoby cywilne, oficjele rządowi oraz dyplomaci. Martha ze zdumieniem stwierdziła, że bilet zapewnił jej miejsce wcale nie w centralnej części sali, lecz na przedzie, pośród różnych dygnitarzy. „Wesłam, z sercem w gardle, i usiadłam o wiele za blisko czoła”^[440] – wspominała.

Rozprawa zaplanowana na ten dzień miała się rozpocząć o godzinie 9.15, ale kluczowy świadek, Hermann Göring, spóźnił się. Po raz pierwszy chyba od czasu, gdy we wrześniu składano zeznania, na sali panowało realne napięcie. Proces miał być krótki i zapewnić nazistom forum, na którym mogliby przed całym światem potępić komunizm, a jednocześnie zadać kłam powszechnemu mniemaniu, że to oni sami podłożyli pod budynek ogień. Tymczasem, mimo oczywistych oznak

faworyzowania przez przewodniczącego składu sędziowskiego linii oskarżenia, proces przebiegał normalnym torem, jak gdyby był procesem prawdziwym, w którym obie strony przedstawiają mnóstwo korzystnych dla siebie argumentów. Prokurator zamierzał udowodnić, że winna podpalenia jest cała piątka oskarżonych, mimo stanowczego oświadczenia Marinusa van der Lubbe, że odpowiedzialność ponosi wyłącznie on. Oskarżenie powołało całą rzeszę ekspertów, starając się zademonstrować, że uszkodzenia budynku były nazbyt rozległe, a ogień podłożono w zbyt wielu miejscach jednocześnie, aby mógł to zrobić tylko jeden podpalacz. Ów proces – według Fritza Tobiasa, autora nowatorskiego opracowania na temat tego pożaru i jego skutków – nie był wcale ekscytującą, rozstrzygającą rozprawą, lecz wręcz „zionął otchłanną nudą”^[441].

Aż do teraz.

Göring miał się pojawić lada chwila. Spodziewano się, że człowiek ten, słynący ze swej nieobliczalności i szczerości, ze względu na skłonność do wymyślnych strojów i pragnienie zwracania na siebie uwagi wniesie w proces nieco życia. Sala wypełniała się poszumem poruszających się flaneli i moherów, ilekroć ludzie odwracali się, żeby spojrzeć w kierunku wejścia.

Minęło pół godziny, a Göring wciąż się nie zjawiał. Nigdzie nie było też widać Dielsa.

Dla zabicia czasu Martha obserwowała oskarżonych. Był wśród nich Ernst Torgler, deputowany z ramienia partii komunistycznej do Reichstagu jeszcze sprzed czasów Hitlera, blady i zmęczony. Trzej inni, – bułgarscy komuniści: Georgi Dymitrow, Simon Popow i Wasilij Tanew – „wyglądali na twardych, sztywnych, obojętnych”^[442]. Główny podsądny, van der Lubbe, to, jak pisała Martha, „jeden z najbrzydszych okazów ludzkiej istoty, jakie kiedykolwiek widziałam. Wielka, gruba, zaledwie czelkoksztaltna twarz i ciało; tak odpychający i zdegenerowany, że ledwo mogłam nań patrzeć”.

Upłynęła godzina. Napięcie w sali jeszcze wrosło, podsycane przez zniecierpliwienie i oczekiwanie.

Nagle na tyłach dał się słyszeć hałas – buty, komendy, Göring i Diels weszli w asyście grupy umundurowanych mężczyzn. Göring, lat czterdzieści, ważący ponad 115 kilogramów, przeszedł pewnie na front pomieszczenia w brązowej kurtce myśliwskiej, bryczesach i lśniących brązowych butach do kolan. Nic nie było w stanie zamaskować jego wielkiej tuszy; jego widok przywołał na myśl „słoniowy zad”^[443], jak ujął to jeden z amerykańskich dyplomatów. Diels, w ładnym ciemnym garniturze, wyglądał niczym jego szczupły cień.

„Każdy podskoczył jakby rażony prądem”^[444] – zauważył pewien szwajcarski dziennikarz – „i wszyscy Niemcy, włącznie z sędziami, wzniesli ramiona w hitlerowskim pozdrowieniu”.

Diels i Göring stali razem na przedzie sali, bardzo blisko Marthy. Cicho rozmawiali.

Przewodniczący składu sędziowskiego poprosił Göringa o zabranie głosu. Göring wystąpił do

przodu. Sprawiał wrażenie pompatycznego i aroganckiego, jak zapamiętała Martha, ale wyczuwała też w nim podskórny niepokój.

Göring rozpoczął przygotowaną wcześniej tyradę, która trwała prawie trzy godziny. Głosem twardym i szorstkim, od czasu do czasu przechodzącym w krzyk, wygrażał komunizmowi i oskarżonym oraz potępiał akt podpalenia, którego się dopuścili, nazywając go działaniem na szkodę Niemiec. Na sali rozlegały się okrzyki „brawo!”, słowom towarzyszył głośny aplauz.

„Bardzo mocno gestykulował jedną ręką”^[445] – zapisał w swojej kronice Gestapo Hans Gisevius – „natomiast trzymaną w drugiej perfumowaną chusteczką do nosa ocierał pot znad brwi”. Próbując uchwycić dobrze ów moment, Gisevius opisał twarze trzech najważniejszych aktorów w sali – „twarz Dymitrowa była pełna pogardy, Göringa wykrzywiona wściekłością, przewodniczącego Büngera pobiadła ze strachu”.

Diels, elegancki i ciemno odziany, miał nieodgadniony wyraz twarzy. Tamtego wieczoru, gdy wybuchł pożar, pomagał w przesłuchaniu van der Lubbeego. Doszedł do wniosku, że podejrzany jest „szaleńcem”, który rzeczywiście podłożył ogień w pojedynkę. Jednakże Hitler i Göring uznali bez chwili wahania, że za wszystkim tym stoi partia komunistyczna i że pożar stanowi uverture do poważniejszego buntu. Owego wieczoru Diels obserwował, jak oblicze Hitlera staje się purpurowe z gniewu; Hitler krzychał, że każdego komunistę, w tym deputowanego, należy zastrzelić. Rozkaz ten został odwołany, ale rozpoczęły się masowe aresztowania oraz improwizowane akty przemocy ze strony SA.

Teraz Diels stał z jednym łokciem opartym o ławę sędziowską. Od czasu do czasu zmieniał pozycję, jak gdyby chciał mieć lepszy widok na Göringa. Martha nabrała pewności, że to Diels zaplanował całe wystąpienie Göringa, może nawet napisał mu mowę. Wspominała: „[Dielsowi] szczególnie mocno zależało na mojej obecności tamtego dnia, jak gdyby chciał się przede mną popisać swoim kunsztem”^[446].

Diels ostrzegał, żeby nie wytaczać procesu nikomu poza van der Lubbem, i przewidywał uniewinnienie pozostałych ewentualnych oskarżonych. Göring nie posłuchał, jakkolwiek zdawał sobie sprawę, jaka jest stawka w tej grze. „Spartolenie sprawy”^[447] – przyznał – „mogłoby mieć katastrofalne następstwa”. Dymitrow wstał, aby zabrać głos. Posługując się sprawnie sarkazmem i spokojną logiką, nie krył intencji, by jeszcze bardziej rozsierdzić Göringa. Stwierdził oskarżycielsko, że zarówno prowadzone przez policję śledztwo w sprawie pożaru, jak i wstępna rozprawa sądowa, na której przedstawiono dowody, były realizowane według wytycznych Göringa, „co uniemożliwiało ujęcie prawdziwych podpalaczy”^[448].

„Jeśli policja pozwala sobie, by na nią wpływano w jakimś kierunku” – powiedział Göring – „to musi być to z pewnością kierunek słuszny”.

„To jest pańska opinia” – odparł Dymitrow. – „Ja mam zupełnie odmienne zdanie”.

Göring podniósł głos: „Ale to moja opinia się liczy”.

Dymitrow podkreślił, że komunizm, który Göring określił mianem „zbrodniczej mentalności”, jest ustrojem panującym w Związku Sowieckim, „mającym dyplomatyczne, polityczne i ekonomiczne kontakty z Niemcami. Zamówienia stamtąd zapewniają pracę setkom tysięcy niemieckich robotników. Czy pan minister o tym wie?”.

„Tak, wiem” – rzekł Göring. Ale, mówił dalej, tego rodzaju debata nic tu nie wnosi. „Mam w tym wypadku wyłącznie na myśli Komunistyczną Partię Niemiec i komunistycznych krętaczy z innych krajów, którzy przyjeżdżają do nas, aby podpalić Reichstag”.

Starcie trwało dalej, przewodniczący składu od czasu do czasu interweniował, ostrzegając Dymitrowa, by ten zaniechał „komunistycznej propagandy”.

Göring, nienawykły, by sprzeciwiał mu się ktokolwiek, kogo uważał za posledniejszego od siebie, z każdą chwilą stawał się bardziej gniewny.

Dymitrow zauważył ze spokojem: „Pan bardzo się boi moich pytań, nieprawdaż, Herr Minister?”.

W tym momencie Göring stracił panowanie nad sobą. Wrzasnął: „Ty się będziesz bał, kiedy cię dorwę. Czekaj, aż znajdziesz się poza władzą sądu, ty oszuście!”.

Sędzia kazał usunąć Dymitrowa z sali; wśród publiczności wybuchł aplauz, ale to ostatnia groźba Göringa znalazła się w nagłówkach gazet. Ów moment ukazywał prawdę w dwójnasób – po pierwsze, zdradzał lęk Göringa, że Dymitrow może faktycznie zostać uniewinniony, i po drugie, jednoznacznie dowodził, jak irracjonalny i morderczy jest w swojej istocie reżim Göringa i Hitlera.

Tego dnia sympatia Marthy dla rewolucji nazistowskiej jeszcze bardziej przygasła. Göring był arogancki i miotał groźby, Dymitrow zaś spokojny i charyzmatyczny. Martha była pod wrażeniem Dymitrow, zapisała, był „błyskotliwy, atrakcyjny, mroczny, emanujący najbardziej zadziwiającą witalnością i odwagą, jaką kiedykolwiek widziałam u osoby poddanej działaniu stresu^[449]. Był żywy, płonął”.

Proces znów toczył się spokojnym, bezkrwawym trybem, ale szkoda już została wyrządzona. Szwajcarski dziennikarz, podobnie jak dziesiątki innych korespondentów zagranicznych obecnych na sali, zauważył, iż wybuch Göringa zmienił oblicze tego postępowania: „Świat dowiedział się bowiem, że niezależnie od tego, czy oskarżony zostanie przez sąd skazany czy uniewinniony, jego los i tak jest już przypieczętowany”^[450].

^[440] tamże.

^[441] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 17 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E.

Dodda.

[442] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 15 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E.

Dodda.

[443] William Phillips w liście do Dodda, 27 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[444] Dodd, *Dziennik*, s. 53.

[445] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 59–60.

[446] Tobias, s. 211.

Hans Gisevius na stronie 29 komentuje powolny przebieg procesu: „Powoli, niczym gęsta lepka ciecz, wpływał do sali strumień świadków i biegłych (...). Niespodziewanie proces okazał się nudny (...)”.

[447] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 58.

[448] Bullitt, s. 233.

[449] Tobias, s. 223.

[450] Gisevius, s. 32.

Rozdział 23

Borys umiera ponownie

W miarę jak zbliżała się zima, Martha swoją energię miłosną skupiała przede wszystkim na Borysie. Zaliczyli jego fordem kabrioletem setki mil, robiąc wypad na wiejskie tereny wokół Berlina.

Podczas jednej z takich przejażdżek Martha zauważyła coś, co uznała za pozostałość po dawnych Niemczech, mianowicie przydrożną kapliczkę z Jezusem, i zażądała, aby przyjrzeć jej się bliżej. W środku znajdowała się niezwykle grafika przedstawiająca ukrzyżowanie. Twarz Jezusa wykrzywał grymas agonii, jego rany ociekały krwią. Po kilku chwilach Martha spojrzała za siebie, na Borysa. Mimo że nigdy nie uważała siebie za osobę przesadnie religijną, to, co zobaczyła, zaszokowało ją.

Borys stał z rozłożonymi ramionami, ze skrzyżowanymi stopami i głową opuszczoną na piersi.

„Borys, przestań”^[451] – wykrzyknęła. – „Co ty wyprawiasz?”

„Umieram za ciebie, kochanie. Bardzo tego pragnę, jak wiesz”.

Uznała jego parodię za mało zabawną i cofnęła się o krok.

Borys przeprosił. „Nie chciałem cię urazić” – rzekł. – „Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego chrześcijanie tak czczą wizerunek człowieka torturowanego”.

„Nie o to chodzi” – odpowiedziała. – „Czczą Jego ofiarę, śmierć za własne przekonania”.

„Och, doprawdy?” – zapytał. – „Wierzysz w to? Czy jest tak wielu gotowych umrzeć za swoje przekonania, idąc za Jego przykładem?”

Przywołała Dymitrowa i jego odwagę przeciwstawienia się Göringowi podczas procesu o podpalenie Reichstagu.

Borys posłał Marcie anielski uśmiech. „Tak, *liebes Fräulein*, ale ON był komunistą”.

[451] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 62.

Rozdział 24

Zdobywanie głosów

W niedzielny poranek 12 listopada – zimny, mżysty, zamglony – państwo Dodd wyruszyli w miasto, które wydawało się pogrążone w osobiwej ciszy, osobiwej dlatego, że był to przecież dzień wyznaczony przez Hitlera na referendum w sprawie wyjścia z Ligi Narodów oraz uznania równego prawa Niemiec do zbrojenia się. Wszędzie, gdzie Doddowie dotarli, widzieli ludzi z niewielkimi odznakami wskazującymi, że nie tylko już głosowali, lecz że głosowali na tak. W południe niemal każdy przechodzień nosił już tego rodzaju symbole, dowodzące, że wstali odpowiednio wcześniej, by jak najrychlej wypełnić swój obowiązek i w ten sposób uniknąć prawie pewnego niebezpieczeństwa, które by ich dosięgło, gdyby się przed owym obywatelskim obowiązkiem uchylił.

Nawet datę referendum wyznaczono bardzo starannie. Dzień 12 listopada przypadał nazajutrz po 15. rocznicy podpisania zawieszenia broni, które kończyło I wojnę światową. Hitler, podróżujący samolotem po całych Niemczech i prowadzący kampanię wyborczą na rzecz głosowania na tak, oświadczył słuchaczom: „Jedenastego listopada naród niemiecki formalnie stracił swój honor^[452], piętnaście lat później przyszedł dzień dwunasty listopada, a wtedy naród niemiecki swój honor sam sobie przywrócił”. Również prezydent Hindenburg agitował na rzecz głosowania na tak. „Pokażcie jutro swoją niezachwianą jedność i solidarność z rządem”^[453] – powiedział w przemówieniu wygłoszonym 11 listopada. „Wraz ze mną oraz kanclerzem Rzeszy wspierajcie zasadę równych praw i honorowego pokoju”.

Głosowanie składało się z dwóch zasadniczych elementów. Obejmowało wybór nowych przedstawicieli do świeżo ukonstytuowanego Reichstagu (wystawiono wyłącznie kandydatów należących do partii nazistowskiej, co gwarantowało, że parlament będzie służył jako instrument powszechnej akklamacji dla decyzji Hitlera) oraz referendum na temat polityki zagranicznej,

którego pytania sformułowano w taki sposób, aby zapewnić jej maksymalne poparcie. Każdy Niemiec mógł dostrzec powód do usprawiedliwienia głosowania na tak – jeśli tylko pragnął pokoju, jeśli uważał, że traktat wersalski był krzywdzący dla Niemiec, jeśli sądził, że Niemcy powinny być traktowane na równi z innymi narodami albo jeżeli po prostu pragnął wyrazić swoje poparcie dla Hitlera i jego rządu^[454].

Hitler potrzebował spektakularnego zwycięstwa. W całych Niemczech działacze aparatu partyjnego podejmowali nadzwyczajne wysiłki, aby skłonić ludzi do głosowania. Według jednego z raportów obłożnie chorych pacjentów transportowano do lokali wyborczych na noszach^[455]. Victor Klemperer, żydowski filolog z Berlina, zaświadcza w swoim dzienniku o „nadzwyczajnej akcji propagandowej”^[456] na rzecz głosowania na tak. „Na każdym pojeździe użytkowym, na furgonetcie pocztowej, motocyklu listonosza, na każdym domu i wystawie sklepowej, na szerokich banerach, zawieszonych ponad ulicami – wszędzie widniały cytaty z Hitlera oraz nieodmiennie słowa: »Tak« dla pokoju! Była to wręcz monstualna hipokryzja”.

Członkowie partii oraz SA-mani kontrolowali, kto głosował, a kto nie; maruderów odwiedzał oddział SA, który podkreślał pilną konieczność natychmiastowego udania się do lokalu wyborczego. Ci, którzy byli nazbyt tępi, by wciąż jeszcze nie orientować się w sprawie, mogli przeczytać taki oto skierowany do nich tekst w niedzielnym wydaniu oficjalnej gazety nazistów „Völkischer Beobachter”: „W trosce o brak wszelkich niejasności należy powtórzyć raz jeszcze: ten, kto nie przyłączy się dziś do nas, kto nie głosuje, i ten, kto nie głosuje na tak, dowodzi, że jest jeśli nie naszym wrogiem śmiertelnym, to przynajmniej produktem rozkładu i że nie wolno go więcej wspomagać”^[457].

A konkluzja była następująca: „Byłoby lepiej dla niego i byłoby też lepiej dla nas, gdyby przestał istnieć”.

Uprawnionych do głosowania było około 45,1 miliona Niemców, z czego 96,5 procent wzięło w wyborach udział^[458]. Spośród nich 95,1 procent oddało głos popierający hitlerowską politykę zagraniczną. Bardziej interesujący jest jednak fakt, że 2,1 miliona Niemców – niecałe 5 procent zarejestrowanego elektoratu – podjęło niebezpieczną decyzję, aby głosować na nie.

Po wyborach Hitler wystąpił z odezwą, w której dziękował narodowi niemieckiemu za „jedyne w swoim rodzaju poparcie w dziejach, mające swe źródło w prawdziwym umiłowaniu pokoju, a jednocześnie za domaganie się poszanowania dla naszego honoru i odwiecznego prawa do równości”^[459].

Wynik był dla Dodda oczywisty, zanim jeszcze podliczono głosy. Pisał do Roosevelta: „Tutejsze wybory to farsa”^[460].

Nic nie dowodziło tego faktu bardziej dobitnie niż głosowanie przeprowadzone w obozie

w Dachau: 2154 spośród 2242 więźniów – czyli 96 procent – poparło rząd hitlerowski^[461]. O losie 88 dusz, które albo nie głosowały, albo głosowały przeciwko, historia milczy.

W poniedziałek 13 listopada prezydent Roosevelt znalazł parę chwil na napisanie listu do Dorda. Komplementował jego dotychczasowe pisma i – czyniąc wyraźną aluzję do obaw żywionych przez Dorda po rozmowie z Hitlerem – podkreślił: „Cieszę się, że był Pan szczery z pewnymi ludźmi. Sądzę, że to dobra rzecz”^[462].

Następnie zadumał się nad zdaniem z artykułu publicysty Waltera Lippmanna, iż ledwie 8 procent ludności świata, czyli Niemcy i Japonia, jest w stanie zaszkodzić sprawie pokoju i rozbrojenia na całym świecie „z powodu własnego imperializmu”.

„Odnoszę czasem wrażenie” – pisał prezydent – „że problemy tego świata są coraz większe i wcale nie idzie ku lepszemu. Jednak w naszym kraju, pomimo krytykanctwa, »kopania dołków« i groźnych pomruków wydawanych przez skrajną prawicę i skrajną lewicę, udaje nam się naprawdę przywracać ludziom pracę i utracone wartości”.

List kończył się jowialnym: „Proszę dalej wykonywać swoją dobrą robotę!”.

W Waszyngtonie sekretarz stanu Hull i inni wyżsi urzędnicy, w tym podsekretarz Phillips, w pierwszej połowie miesiąca pochłonięci byli planowaniem zbliżającej się wizyty Maksyma Litwinowa, sowieckiego komisarza spraw zagranicznych, który miał przeprowadzić z Rooseveltem rozmowy mające na celu uznanie Związku Sowieckiego przez Stany Zjednoczone. Idea ta była bardzo niepopularna wśród amerykańskich izolacjonistów, ale Roosevelt widział płynące z niej strategiczne korzyści, takie jak otwarcie Rosji na amerykańskie inwestycje i pomoc w kontrolowaniu japońskich aspiracji w Azji. „Rozmowy Roosevelt – Litwinow”, często trudne i frustrujące dla obu stron, ostatecznie zaowocowały formalnym uznaniem przez Roosevelta ZSRS 16 listopada 1933 roku.

Siedem dni później Dodd raz jeszcze włożył swój frak i cylinder, aby złożyć pierwszą oficjalną wizytę w ambasadzie sowieckiej. Fotograf agencji Associated Press poprosił, żeby do zdjęcia Dodd stanął tuż obok swego sowieckiego odpowiednika. Rosjanin był chętny, jednak Dodd wykręcił się, obawiając się: „pewne reakcyjne gazety w Ameryce przesadnie nagłośnią fakt mojej wizyty i powtórzą swoje ataki na Roosevelta za uznanie [ZSRS]”^[463].

^[452] Holborn, s. 143.

^[453] Tobias, s. 226.

[454] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 60.

[455] Tobias, s. 228.

[456] Martha Dodd „Jasna droga ku ciemności”, skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd. Historię o Borysie i przyrodznej kapliczce opowiada Martha na stronach 15–16.

[457] Shirer, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, s. 211.

[458] tamże, s. 211–212.

[459] Messersmith do Hulla „Pewne spostrzeżenia na temat wyborów z 12 listopada 1933”, s. 3, załączone do listu Messersmitha do Dodda z 18 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda. W książce *Hybris* Ian Kershaw cytuje fragment tekstu na karcie do głosowania: „Czy ty, niemiecki mężczyzno, i ty, niemiecka kobieto, apróbujesz politykę rządu Rzeszy i czy jesteś gotowy/gotowa poświadczyć, że jest ona wyrazem twoich poglądów i woli, i uroczyscie deklarujesz swoją lojalność?”. Kershaw, *Hybris*, s. 495.

[460] Messersmith do Hulla „Pewne spostrzeżenia na temat wyborów z 12 listopada 1933”, s. 5, załączone do listu Messersmitha do Dodda z 18 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[461] Klemperer, *Witness*, s. 41.

[462] Messersmith do Hulla „Pewne spostrzeżenia na temat wyborów z 12 listopada 1933”, s. 7, załączone do listu Messersmitha do Dodda z 18 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[463] Messersmith do Hulla „Pewne spostrzeżenia na temat wyborów z 12 listopada 1933”, s. 2, załączone do listu Messersmitha do Dodda z 18 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 25

Tajemniczy Borys

O becznie Martha i Borys byli bardziej skłonni ujawnić swój związek przed światem, jakkolwiek oboje zdawali sobie sprawę, że zachowanie pewnej dyskrecji wciąż będzie konieczne ze względu na dezaprobatę przełożonych Borysa i rodziców Marthy. Ich romans stawał się z wolna coraz poważniejszy, mimo usiłowań Marthy, aby wszystko traktować lekko i niezobowiązująco. Nadal spotykała się z Armandem Berardem z ambasady francuskiej, a być może także z Dielsem, i umawiała się na randki z nowymi konkurentami, co doprowadzało Borysa do dzikiej zazdrości. Nieustannie obsypywał Marthę deszczem liścików, kwiatów, płyt, wciąż do niej wydzwaniał. „Chcę go kochać tylko trochę”^[464] – zapisała Martha w pamiętniku, który nie został opublikowany. „Staralam się traktować go z taką samą lekkością jak innych znajomych. W jednym tygodniu zmuszałam się, żeby być wobec niego obojętna, po czym w kolejnym byłam o niego głupio zazdrosna. Zapominałam o nim, by następnie cała się w nim zatopić. Były to sprzeczności nie do zniesienia, dotkliwe i frustrujące dla nas obojga”.

Martha wciąż pragnęła widzieć w rewolucji nazistowskiej tylko to, co najlepsze, Borys natomiast nie miał wobec otaczającej ich rzeczywistości żadnych złudzeń. Ku irytacji Marthy zawsze doszukiwał się ukrytych motywów, które kierowały działaniami przywódców nazistowskich i różnych innych postaci odwiedzających ambasadę Stanów Zjednoczonych.

„Ty zawsze widzisz tylko to, co złe”^[465] – mówiła ze złością. – „Powinieneś starać się dostrzegać rzeczy pozytywne w Niemczech i w naszych gościach, a nie podejrzewać ich o skryte motyw”.

Sugerowała, że sam Borys czasem nie jest wolny od nawyku ukrywania swoich motywacji. „Sądzę, że jesteś zazdrosny o Armanda” – mówiła – „albo o kogośkolwiek, z kim wychodzę”.

Nazajutrz otrzymała od Borysa przesyłkę. Wewnątrz znajdowały się trzy ceramiczne małpki i kartka, na której napisano: „Nie widzę zła, nie słyszę zła, nie mówię o złu”. Borys dołączył bilecik

ze słowami: „Kocham Cię”^[466].

Martha śmiała się. W rewanżu wysłała mu małą drewnianą figurkę zakonnicę z notką, że z pewnością zastосуje się do zalecenia małpek.

Za tym wszystkim kryło się coraz ważniejsze pytanie: dokąd zmierza ich związek? „Nie mogłam ścierpieć myślenia o przyszłości, ani z nim, ani bez niego”^[467] – zanotowała Martha. „Kochałam moją rodzinę, mój kraj i nie chciałam mierzyć się z ewentualnością rozdzielenia się z jednym lub drugim”.

Napięcie to prowadziło do nieporozumień i żalów. Borys cierpiał.

„Martho!” – pisał^[468] w jednym z przepełnionych bólem listów. „Jestem tak smutny, że nie potrafię znaleźć odpowiednich słów dla opisanego tego wszystkiego, co się wydarzyło. Wybacz, jeśli uczyniłem Ci coś złego albo podłego. Nie miałem takiego zamiaru. Rozumiem Cię, ale nie w pełni, i nie wiem, co powinienem zrobić. Co mam robić?

Żegnaj, Martho, bądź szczęśliwa beze mnie, i nie myśl o mnie źle”.

Zawsze jednak wracali do siebie. Każde rozstanie wydawało się jeszcze bardziej intensyfikować ich wzajemny pociąg, ale także nilać nieporozumienia i gniew – aż do pewnego niedzielnego popołudnia pod koniec listopada, kiedy ich związek przeszedł zasadniczą przemianę. Martha zapamiętała to w najdrobniejszych szczegółach.

Dzień był pośepny, niebo wydawało się wysmarowane węglem, powietrze było zimne, choć nie na tyle, by zmusić Borysa do uniesienia dachu jego ford^[469]. Wybrali się oboje do przytulnej restauracji, którą uwielbiali, mieszczącej się w dawnym hangarze dla łodzi, wzniesionym na palach nad jeziorem w dzielnicy Wannsee. Brzegi jeziora porastał pachnący las sosnowy.

Restauracja okazała się prawie pusta, wciąż jednak pełna uroku. Niewielki parkiet, na którym odbywały się zwykle tańce, otaczały drewniane stoliki. Kiedy szafa grająca milkła, dawał się słyszeć wyraźny plusk wody łagodnie uderzającej o pale.

Martha zamówiła zupę cebulową, sałatkę i piwo; Borys wybrał wódkę, szaszлык i śledzia w śmietanie z cebulką. I kolejną wódkę. Borys uwielbiał jeść, jak zauważyła Martha, ale nigdy nie przybrał na wadze nawet *ein Pfund*.

Po lunchu tańczyli. Borys poczynił w tym względzie postępy, wciąż jednak wydawało się, że uważa taniec i chodzenie za zjawiska ze sobą tożsame. W pewnej chwili, gdy ich ciała zbliżyły się do siebie, oboje zamarli, jak zanotowała Martha – poczuła, że bucha na nią żar.

Borys odsunął się gwałtownie. Wziął ją pod ramię i wyprowadził na zewnątrz, na drewniany taras wznoszący się ponad wodą. Martha spojrzała nań i dostrzegła ból – ściągnięte brwi, zaciśnięte usta. Wydawał się czymś poruszony. Stali oboje przy poręczy, obserwując stadko białych łabędzi.

Borys odwrócił się ku niej, jego twarz była niemal pośepna. „Martho” – rzekł – „kocham cię”.

Wyznał, że czuje miłość od chwili, gdy pierwszy raz zobaczył ją w mieszkaniu Sigrid Schultz. Trzymał Marthę mocno, jego dłonie zdecydowanie przytrzymywały jej łokcie. Wesołkowatość gdzieś zniknęła.

Cofnął się o krok i spojrzał na nią. „Nie igray ze mną, kochanie” – powiedział. – „*Du hast viele Bewerber*”. Masz wielu adoratorów. „Nie powinnaś się jeszcze decydować. Ale nie lekceważ mnie. Nie zniosę tego”.

Odwrociła wzrok. „Kocham cię, Borysie. Wiesz o tym. I wiesz, jak bardzo się staram cię nie kochać”.

Borys spoglądał teraz na wodę, odwrócony plecami. „Tak, wiem” – powiedział z żalem. – „Dla mnie to też nie jest łatwe”.

Jednak Borys nigdy nie pograżał się w smutku na długo. Uśmiech powrócił – ów wybuchowy uśmiech. „Ale” – rzekł – „twój kraj i mój są teraz przyjaciółmi, oficjalnie, i jest to dla nas korzystne, dzięki temu wszystko będzie możliwe, prawda?”

Tak, ale...

Była jeszcze jedna przeszkoda. Borys nosił w sobie pewien sekret. Martha wiedziała o nim, choć jak dotąd milczała. Teraz, patrząc mu w oczy, przemówiła bardzo cichym głosem.

„Przecież” – powiedziała – „jesteś żonaty”.

Borys ponownie zrobił krok do tyłu. Jego twarz, już zaczerwieniona od zimna, wyraźnie pokraśniała. Podeszedł do balustrady i oparł się o nią łokciami. Jego wysoka postać uformowała się w szczupły, pełen gracji łuk. Żadne z nich się nie odezwało.

„Przepraszam” – rzucił. – „Powinienem był ci powiedzieć. Myślałem, że wiesz. Wybacz mi”.

Poinformowała go, że początkowo nic nie wiedziała, dopiero Armand i jej rodzice pokazali jej nazwisko Borysa w spisie dyplomatów opublikowanym przez niemieckie MSZ. Tuż obok widniała adnotacja o żonie, która była „*abwesend*”. Nieobecna.

„Ona nie jest »nieobecna«”, rzekł Borys. – „Jesteśmy w separacji. Od dawna już nie byliśmy ze sobą szczęśliwi. W następnym spisie dyplomatów nie będzie już o niej wzmianki”. Ujawnił również przed Martha fakt, że ma córkę, którą uwielbia. Tylko ze względu na nią, stwierdził, utrzymuje kontakty z żoną.

Martha dostrzegła w jego oczach łzy. Już wcześniej Borys płakał w jej obecności, co było wzruszające, ale jednocześnie wprawiało ją w zakłopotanie. Płaczący mężczyzna – to coś nowego. W Ameryce mężczyźni nie plakali. Jeszcze nie. Jak dotąd Martha widziała swojego ojca z oczyma pełnymi łez tylko raz, po śmierci Woodrowa Wilsona, którego uważał za dobrego przyjaciela. W przyszłości miała raz jeszcze zobaczyć, jak ojciec płacze, ale dopiero za kilka lat.

Wrócili do restauracji, do swojego stolika. Borys zamówił jeszcze jedną wódkę. Sprawiał wrażenie, jakby odczuwał ulgę. Trzymali się za ręce, opierając je na stole.

Ale teraz Martha miała dla Borysa jeszcze jedną rewelację, tym razem związaną z nią samą. „Ja też jestem w związku małżeńskim” – powiedziała.

Intensywność jego reakcji zdumiała ją. Jego głos przygasał, brzmiał mroczno. „Martho, nie!” Nadal trzymał ją za rękę, ale na jego twarzy malowały się teraz zmieszanie i ból. „Dlaczego ty mi nic nie powiedziałaś?”

Wyjaśniła, że jej małżeństwo od samego początku było utrzymywane w tajemnicy przed wszystkimi z wyjątkiem rodziny – że jej mąż jest bankierem w Nowym Jorku, że kiedyś go kochała, i to głęboko, ale teraz są prawomocnie w separacji i do uzyskania pełnego rozwodu potrzeba tylko kilku formalności o charakterze czysto technicznym.

Borys opuścił głowę na piersi. Pod nosem powiedział coś po rosyjsku. Przygładził włosy.

Nagle wstał gwałtownie i znów wyszedł na zewnątrz. Martha nadal siedziała. Po kilku chwilach Borys wrócił.

„Och, dobry Boże” – rzekł. Śmiał się. Całował ją po głowie. – „Och, w jakimż to tkwimy mętliku. Mężatka, bankier, córka dyplomaty – chyba nie mogłoby być gorzej. Ale jakoś to rozplączemy. Komuniści są przyzwyczajeni do robienia rzeczy niemożliwych. Musisz mi jednak pomóc”.

Kiedy wyszli z restauracji, słońce już zachodziło; wracali samochodem do miasta, z dachem wciąż złożonym. Mijał ważny dla nich dzień. Martha zapamiętała jego najdrobniejsze szczegóły – napór wiatru, który potargał jej włosy, niszcząc kok z tyłu głowy, to, że Borys prowadził, obejmując ją prawym ramieniem, a dłoń zaciskał na jej piersi, jak miał często w zwyczaju. Wydzielające silną woń jesieni gęste lasy przy drodze pociemniały w zamierającym świetle wieczoru. Jej rozwiane włosy wyglądały niczym kosmyki złota.

Chociaż żadne z nich nie powiedziało tego wprost, oboje rozumieli, że wydarzyło się coś niezmiernie istotnego. Martha była w tym mężczyźnie głęboko zakochana i nie mogła już dłużej traktować go jak inne swoje zdobycze. Nie chciała, żeby tak się stało, ale to był fakt: kochała człowieka, który w oczach świata był dla niej absolutnie nieodpowiedni.

[464] tamże, s. 2.

[465] Dodd w liście do Roosevelta, 28 X 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[466] Shirer, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, s. 212.

[467] Roosevelt w liście do Dodda, 13 XI 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda.

[468] Dodd, *Dziennik*, s. 58.

[469] Martha Dodd „Jasna droga ku ciemności”, s. 23, skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd.

Rozdział 26

Mały bal dla prasy

W listopadzie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej w Berlinie wydawało w hotelu Adlon kolację i bal; były to wystawne przyjęcia, na które zapraszano najważniejsze w mieście osobistości, dyplomatów i ludzi wybitnych. Imprezę nazywano powszechnie „małym balem dla prasy”, ponieważ był skromniejszy i nie tak wymuszony jak doroczny bankiet wydawany przez stowarzyszenie niemieckiej prasy krajowej, na którym panowała atmosfera sztywniejsza niż zwykle ze względu na fakt, że niemal wszystkie gazety w Niemczech znajdowały się teraz pod kontrolą Josepha Goebbelsa i jego ministerstwa oświecenia publicznego. Dla korespondentów zagranicznych mały bal prasowy miał ogromne praktyczne znaczenie. Sigrid Schultz pisała: „Zawsze łatwiej pociągnąć za język faceta, który wraz z żoną – o ile taką posiada – jest twoim gościem i tańczy na twoim balu, niż podczas spotkań wyłącznie w godzinach urzędowania”^[470]. W roku 1933 mały bal dla prasy odbył się w piątkowy wieczór 24 listopada, sześć dni przed Świętem Dziękczynienia obchodzonym przez zamieszkującą w Berlinie społeczność amerykańską.

Tuż przed godziną dwudziestą przed hotelem Adlon zaczęła się przesuwac długa procesja ogromnych samochodów; niektóre miały reflektory wielkości połówek arbuza. Wysiadały z nich całe szeregi wysokich rangą nazistów, ambasadorów, artystów, filmowców, aktorek, pisarzy oraz oczywiście samych korespondentów, z krajów małych i dużych, ludzi opatulonych w wielkie palta i futra, mające ich chronić przed wilgotnym, nieomal mroźnym powietrzem. Wśród przybyłych znajdowali się niemiecki sekretarz stanu Bernhard von Bülow, minister spraw zagranicznych Neurath, ambasador Francji François-Poncet, sir Eric Phipps, ambasador brytyjski, oraz – naturalnie – wszędobylski i gigantyczny Putzi Hanfstaengl. Pojawiła się również Bella Fromm, „ciocia Voss”, felietonistka zajmująca się życiem towarzyskim, dla której bankiet wiązał się

z przeżywaniem dojmującej tragedii, aczkolwiek w sposób niewidoczny dla postronnych obserwatorów, co stało się w Berlinie coraz powszechniejsze. Doddowie – cała czwórka – przyjechali na miejsce swoim starym chevroletem, wicekanclerz w rządzie hitlerowskim, Franz von Papen, zjawił się natomiast znacznie większym i elegantszym wozem, podobnie jak Dodd wraz z żoną, córką i synem. Louis Adlon w połyskującym fraku z wylogami witał się z każdym z dostojnych gości, podczas gdy boje hotelowi odbierali futra, kapelusze i płaszcze.

Dodd miał się wkrótce zorientować, że w środowisku znajdującym się pod tak ogromną presją jak berlińskie każde publiczne zachowanie dowolnego dyplomaty nabierało przesadnej wręcz wagi symbolicznej, a nawet krótka wymiana zdań przy bankietowym stole stawała się pożywką dla przyszłej legendy.

Goście przesuwali się w głąb hotelu, najpierw do eleganckich saloników, gdzie podawano koktajle i przekąski, a następnie do oranżerii wypełnionej tysiącami ciepłarnianych chryzantem. Sala ta była zawsze „boleśnie zatłoczona”^[471], jak ujęła to Schultz, jednak tradycja wymagała, aby bal odbywał się właśnie w hotelu Adlon. Zwyczajem było również, że goście przybywali w strojach oficjalnych, lecz „bez jakichkolwiek oznak szarży czy stanowiska”^[472] jak zanotowała w swoim dzienniku Fromm. Mimo to kilku obecnych, pragnąc okazać swój entuzjazm dla partii narodowosocjalistycznej, przydziśla się w bure brązy Oddziałów Szturmowych. Jeden z gości, księżę Eduard von Koburg, dowódca Sił Zmotoryzowanych SA, przechadzał się ze sztyletem podarowanym mu przez Mussoliniego.

Przybyłych poprowadzono do ich miejsc przy stołach, należących do ulubionego przez organizatorów balów w Berlinie gatunku – były one tak irytująco wąskie, że osoby siedzące naprzeciwko siebie mogły swobodnie dosięgnąć ręką jednej drugiej. Sprzyjało to powstawaniu dość niezręcznych sytuacji towarzyskich i politycznych – powiedzmy, że kochanka jakiegoś przemysłowca siedziałaby naprzeciwko jego żony – dlatego gospodarz każdego stołu wielokrotnie musiał się upewniać, że plany rozmieszczenia gości sprawdzili różni urzędnicy protokołu. Jednak niektórych zestawień po prostu nie można było uniknąć. Czołowi oficjele niemieccy musieli siedzieć nie tylko przy najważniejszym stole, którego gospodarzami byli w tym roku korespondenci amerykańscy, lecz również blisko kapitanów stołu, Schultz i Louisa Lochnera, szefa berlińskiego biura agencji Associated Press, a także najważniejszej postaci pośród Amerykanów, czyli ambasadora Dodda. Tak zatem wicekanclerz Papen siedział ostatecznie naprzeciwko pani Schultz, mimo że wiadano, iż się nie lubią.

Eksponowane miejsce zajmowała również pani Dodd, podobnie jak sekretarz stanu Bülow oraz Putzi Hanfstaengl; przy tym samym stole zasiadali ponadto Martha, Bill junior oraz wielu innych gości. Dookoła krążyli fotografowie, robiąc jedno zdjęcie po drugim, blask ich fleszy rozjaśniał kłęby

dymu z cygar.

Papen był przystojnym mężczyzną – przypominał postać Toppera z emitowanego wiele lat później serialu telewizyjnego, w którą wcielił się aktor Leo G. Carroll. Ciągnęła się jednak za nim fatalna reputacja oportunisty, człowieka, który zawiódł zaufanie; wiele osób uważało go za skrajnego aroganta. Bella Fromm nazwała go „grabarzem Republiki Weimarskiej”^[473], nawiązując do roli, jaką odegrał w zakulisowych działaniach zmierzających do mianowania Hitlera kanclerzem. Papen był protegowanym prezydenta Hindenburga, który ciepło zwracał się doń per Fränzchen, czyli Franusiu. Mając za sobą Hindenburga, współ z innymi intrygantami uroił sobie, że może kontrolować Hitlera. „Cieszę się zaufaniem Hindenburga”^[474] – chwalił się kiedyś Papen. – „W ciągu dwóch miesięcy zagnamy Hitlera do narożnika tak, że nawet nie pisnie”. Była to prawdopodobnie najbardziej błędna kalkulacja XX wieku. Jak ujął to historyk John Wheeler-Bennett: „Dopiero gdy mieli już ręce zakute w kajdany, zdali sobie sprawę, kto tu jest więźniem, a kto panem sytuacji”^[475].

Także Dodd spoglądała na Papena z niesmakiem, w jego przypadku jednak powodem był konkretny czyn, konkretna zdrada. Na krótko przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do ostatniej wojny światowej Papen pełnił funkcję attaché wojskowego przy Ambasadzie Niemieckiej w Waszyngtonie, gdzie planował i wspomagał liczne akty sabotażu, w tym podkładanie dynamitu pod tory kolejowe. Został aresztowany i usunięty z kraju.

Kiedy wszyscy już usiedli za stołem, rozpoczęła się rozmowa na różne tematy. Dodd i pani Papen omawiali system szkolnictwa wyższego w Ameryce, który cieszył się wielkim uznaniem pani Papen: podczas ich pobytu w Waszyngtonie syn Papenów uczęszczał na Uniwersytet Georgetown. Putzi jak zwykle zachowywał się hałaśliwie. Nawet w pozycji siedzącej przewyższał o głowę wszystkich wokół. Pełna napięcia cisza ogarnęła wąską przestrzeń wypełnioną obrusem, kryształami i porcelaną, jaka oddzielała Schultz i Papena. Dla wszystkich było oczywiste, że ich wzajemne relacje są bardzo chłodne. „Kiedy przyjechał, był tak gładki w obyciu i uprzejmy, jak wymagało tego jego stanowisko”^[476] – zapisała Schultz – „ale przez cały ten czas, gdy serwowano cztery pierwsze dania, ów dżentelmen ignorował [mnie] z podziwu godną konsekwencją”. Zanotowała: „Nie było to wcale łatwe, ponieważ stół był wąski i siedziałam naprzeciwko niego, w odległości niecałego metra”.

Robiła co mogła, aby wciągnąć Papena do rozmowy, ale spotykała się jedynie z odmową. Schultz obiecała sobie już wcześniej, że będzie „starać się być gospodynią idealną i unikać kontrowersyjnych tematów”, lecz im bardziej Papen ją ignorował, tym mniej jej na tym zależało. Postanowienie to, zapisała, „osłabło w obliczu oczywistych złych manier Papena”.

Po czwartym daniu, kiedy już nie miała siły dłużej walczyć ze sobą, spojrzała na Papena i swoim,

jak to ujęła, „najbardziej naiwnym tonem głosu” rzekła: „Panie kanclerzu, w pamiętnikach prezydenta von Hindenburga jest coś, co z pewnością mógłby mi pan objaśnić”.

Papen skierował na nią uwagę. Końcówki jego brwi nastroszyły się ku górze niczym pióra, nadając jego skupionemu spojrzeniu zimny wyraz drapieżnego ptaka.

Schultz tymczasem kontynuowała w anielskim wyrazem twarzy: „Skarży się on, że podczas ostatniej wojny, w 1917 roku, Naczelne Dowództwo Wojsk Niemieckich nie otrzymało żadnych informacji o propozycjach pokojowych prezydenta Wilsona i że gdyby o nich wiadano, nigdy nie zdecydowano by się na przeprowadzenie niebezpiecznej operacji z udziałem okrętów podwodnych. Jak to możliwe?”.

Mimo że mówiła przyciszonym głosem, nagle wszyscy siedzący przy stole na tyle blisko, że mogli ją słyszeć, zamilkli i spowaźnieli. Dodd obserwował Papena; sekretarz stanu Bülow pochylił się w kierunku rozmówców z czymś, co Schultz opisała jako „przeblysk szelmowskiego rozbawienia w oczach”.

Papen powiedział obcesowo: „Nigdy nie było czegoś takiego jak propozycje pokojowe ze strony prezydenta Wilsona”.

Bardzo głupia wypowiedź, pomyślała Schultz, jeśli się weźmie pod uwagę obecność ambasadora Dodda, eksperta od Wilsona oraz wspomnianego okresu.

Spokojnie, lecz stanowczo, głosem, w którym pobrzmiwały naleciałości językowe z Karoliny Północnej – „dzentelmen z Południa w każdym calu”, wspominała Schultz – Dodd zwrócił się do Papena: „Ależ owszem, były”. I podał dokładną datę.

Schultz była zachwycona. „Długie, korńskie zęby Papena jeszcze się wydłużyły” – zanotowała. „Nawet nie starał się mówić równie spokojnym tonem co ambasador Dodd”.

Papen „tylko warknął” w odpowiedzi: „Nigdy właściwie nie rozumiałem, dlaczego Ameryka i Niemcy wzięły się wzajemnie za bary podczas tej wojny”. Spojrzał na otaczających go ludzi z „pełnym triumfu aroganckim wyrazem twarzy” – jak zapisała Schultz.

Dodd szturmem zdobył sobie „nieśmiertelny podziw i wdzięczność” pani Schultz.

Tymczasem przy innym stole Bella Fromm doświadczała lęków niemających nic wspólnego z toczącymi się dookoła niej rozmowami. Przyszła na bal, ponieważ była to zawsze wspaniała rozrywka, a także pożyteczne źródło informacji na temat dyplomatycznego światka Berlina dla jej rubryki towarzyskiej. W tym roku jednak tłumila w sobie głęboki niepokój. Mimo że bawiła się dobrze, od czasu do czasu myślami wracała do swojej najlepszej przyjaciółki Wery von Huhn, także znanej felietonistki. Większość ludzi знаła ją pod pseudonimem „Poulette”, czyli po francusku „kokoszka”, co miało związek z jej nazwiskiem, Huhn, oznaczającym po niemiecku kurczaka.

Dziesięć dni wcześniej Fromm i Poulette wybrały się na przejażdżkę samochodową przez Grunewald, rozciągający się na zachód od Berlina rezerwat leśny o powierzchni około 4,5 tysiąca

hektarów. Podobnie jak Tiergarten było to ulubione miejsce spotkań dyplomatów i innych osób szukających wytchnienia od nazistowskiej inwigilacji. Chwile, gdy Fromm prowadziła samochód przez las, należały do tych nielicznych, w których czuła się prawdziwie bezpieczna. „Im głośniejszy silnik”^[477] – odnotowała w dzienniku – „tym bardziej się uspokajam”.

Jednakże owa ostatnia wyprawa nie była wcale beztraska. Rozmowa obu kobiet koncentrowała się głównie na nowych przepisach prawnych uchwalonych w poprzednim miesiącu, które zakazywały Żydom redagowania i pisania w niemieckich gazetach, a jednocześnie wprowadzały wymóg, by dziennikarze krajowi dostarczali stosowne dokumenty z urzędów stanu cywilnego oraz kancelarii parafialnych na dowód, że są „Aryjczykami”. Niektórzy Żydzi mogli utrzymać się w zawodzie, ale wyłącznie ci, którzy walczyli w minionej wojnie albo stracili w niej syna, lub też pisywali do gazet żydowskich – jednakowoż liczba osób kwalifikujących się jako wyjątki była bardzo niewielka. Każdy niezarejestrowany dziennikarz przyłapany na pisaniu do gazet lub ich redagowaniu był zagrożony karą więzienia do jednego roku. Przepisy te wchodziły w życie z dniem 1 stycznia 1934 roku.

Poulette wydawała się głęboko zmartwiona, co wprawiało Fromm w zakłopotanie. Oczywiście wiedziała o nowych przepisach. Jako Żydówka godziła się z faktem utraty pracy w przyszłym roku. Ale Poulette? „Dlaczego ty miałabyś się tym martwić?”^[478] – spytała Fromm.

„Mam powody, Bello, kochanie. Poprosiłam o swoje metryki, jeździłam za nimi wszędzie. I w końcu dowiedziałam się, że moja babcia była Żydówką”.

Wiadomość ta zmieniła jej życie nagle i nieodwracalnie. Wraz z nadejściem stycznia Poulette miała znaleźć się w zupełnie nowej warstwie społecznej, składającej się z tysięcy ludzi, którzy ze zdumieniem dowiadawali się o swoich żydowskich przodkach. Automatycznie – niezależnie od tego, jak bardzo czuli się Niemcami – mieli zostać sklasyfikowani jako nie-Aryjczycy, co oznaczało życie inne i uboższe niż dotychczas, życie na marginesie aryjskiego świata, który budował rząd Hitlera. „Nikt z nas nie miał o tym pojęcia” – odezwała się Poulette do Fromm. – „Teraz stracę pracę”.

Odkrycie to samo w sobie było czymś fatalnym, lecz co gorsza dokonało się w rocznicę śmierci męża Poulette. Ku zdziwieniu Fromm, Poulette postanowiła nie wziąć udziału w małym balu dla prasy – czuła się zanadto przygnębiona.

Fromm bardzo niechętnie zostawiła ją tego wieczoru samą, poszła jednak na bal z postanowieniem, że odwiedzi nazajutrz Poulette i zawiezie ją do swojego domu. Poulette uwielbiała bawić się z psami Belli Fromm.

Przez cały wieczór, w chwilach gdy jej uwagi nie zaprzętały akurat wygłupy innych gości, Fromm rozmyślała o stanie niezwykle przygnębienia, w jakim znajdowała się jej przyjaciółka.

Dla Dodda uwaga Papena była jedną z najbardziej idiotycznych wypowiedzi, jakie dane mu było słyszeć od czasu przyjazdu do Berlina. A słyszał ich wiele. Ów dziwaczny sposób myślenia, który

wydawał się wszechogarniać Niemców, sięgał najwyższych instancji rządowych. Na przykład kilka miesięcy wcześniej Göring z absolutną pewnością siebie stwierdził, że na początku ostatniej wojny przed budynkiem Independence Hall w Filadelfii zamordowano trzystu Amerykanów pochodzenia niemieckiego^[479]. Messersmith w jednej ze swoich depeesz zauważył, iż nawet inteligentni, obcy Niemcy, „siedząc sobie spokojnie, będą opowiadać najbardziej fantastyczne bajeczki”^[480].

A teraz wicekanclerz stwierdzał, że nie rozumie, dlaczego Stany Zjednoczone zaangażowały się w wojnę jako przeciwnik Niemiec.

Dodd spoglądał na Papena. „Mogę panu powiedzieć dlaczego”^[481] – rzekł głosem równie spokojnym i opanowanym jak poprzednio. – „Z powodu czystej, skończonej głupoty dyplomatów niemieckich”.

Papen wyglądał na zdumionego. Jego żona natomiast, według Sigrid Schultz, sprawiała wrażenie dziwnie zadowolonej. Nad stołem ponownie zaległa cisza – nie cisza wyczekiwania jak wcześniej, lecz nabrzmiała napięciem – aż nagle wszyscy zapragnęli zapęlić ją urywanymi rozmowami na zupełnie odmienne tematy.

W innym świecie, w innym kontekście, byłby to drobny incydent, przejaw uszczypliwości, o której szybko się zapomina. Jednakże w rzeczywistości opresji i *Gleichschaltungu*, jakie panowały w nazistowskich Niemczech, było to coś o wiele bardziej symbolicznego i istotnego. Po balu, jak było w zwyczaju, grupka znajomych wylądowała w mieszkaniu Schultz, gdzie czekały już przygotowane przez jej matkę stopy kanapek i gdzie opowiadano sobie o szermierce słownej w wykonaniu Dodda z wyraźnym i niewątpliwie podłanym alkoholem ukontentowaniem. Sam Dodd był nieobecny, gdyż wołał wychodzić z wszelkich bankietów możliwie szybko, jeśli tylko pozwalał na to protokół; ambasador udał się od razu do domu, gdzie na dobranoc wypił szklanek mleka, zjadł miseczkę duszonych brzoskwiń i znalazł ukojenie w dobrej książce.

Mimo chwil, w których ogarniał ją lęk, Bella Fromm uznała bal za zachwycający. Jakaż to przyjemność obserwować zachowanie nazistów po kilku drinkach i słuchać, jak wzajemnie szatkują się kąśliwymi komentarzami wygłaszanymi szeptem. W pewnej chwili paradyjący ze sztyletem książę Koburg przeszedł dumnie obok niej, konwersując z Kurtem Daluegem, policyjnym dygnitarzem, którego określiła mianem „bezwzględnego brutala”^[482]. Książę najwyraźniej zamierzał emanować arogancką pewnością siebie, lecz skutek był – jak zauważyła Fromm – komicznie odwrotny za sprawą „jego przygarbionej, karłowatej postury”. Daluege powiedział Fromm: „Ten Koburg chodzi, jakby poruszał się na szczudłach”, po czym dodał z jawną groźbą: „Mogłoby wyjść na jaw, że jego babka zdradzała Wielkiego Księcia z żydowskim bankierem”.

Nazajutrz rano o godzinie dziesiątej Fromm zatelefonowała do Poulette. Odebrała stara służąca, która powiedziała: „Baronowa zostawiła w kuchni kartkę z wiadomością, żeby jej nie

przeszkadzano”.

Poulette nigdy nie spała tak długo. „Nagle zrozumiałam” – zapisała Fromm.

Poulette nie była pierwszą Żydówką ani też pierwszą świeżo sklasyfikowaną jako nie-Aryjka osobą, która próbowała popełnić samobójstwo po dojściu Hitlera do władzy. Plotki o samobójstwach były na porządku dziennym^[483]; badania przeprowadzone przez społeczność żydowską w Berlinie dowodzą, że w latach 1932–1934 na każde 100 tysięcy berlińskich Żydów przypadało 70,2 samobójstw, co oznaczało gwałtowny wzrost wobec wartości 50,4 z lat 1924–1926.

Fromm pobiegła do garażu po samochód i popędziła do mieszkania Poulette.

W drzwiach służąca powiedziała jej, że Poulette wciąż śpi. Fromm przemknęła obok niej i pobiegła prosto do sypialni. W pokoju było ciemno. Fromm odsunęła zasłony. Poulette leżała na łóżku, oddychając z trudnością. Na nocnym stoliku obok znajdowały się dwie puste fiołki po barbituraniu o nazwie weronal.

Fromm podniosła adresowany do niej list. „Nie mogę dłużej żyć, ponieważ wiem, że każą mi odejść z pracy. Byłaś moją najlepszą przyjaciółką, Bello^[484]. Proszę, weź wszystkie moje papiery i wykorzystaj je. Dziękuję za wszelką miłość, którą mi dałaś. Wiem, że jesteś dzielna, dzielniejsza ode mnie, i musisz żyć, gdyż masz dziecko, o którym musisz myśleć, i jestem pewna, że dasz sobie radę o wiele lepiej niż ja”.

Dom zapełnił się ludźmi. Przyjeżdżali różni lekarze, lecz nie mogli już nic zrobić.

Następnego dnia przedstawiciel MSZ zadzwonił do Fromm z kondolencjami oraz ukrytym przesłaniem. „Frau Bella” – rzekł – „jestem głęboko zszokowany. Wiem, jak straszną poniosła pani stratę. Frau von Huhn zmarła na zapalenie płuc”.

„Bzdura!” – podniosła głos Fromm – „Kto to panu powiedział? Ona popełniła...”

„Frau Bella, proszę zrozumieć, nasza przyjaciółka cierpiała na zapalenie płuc. Dalsze zagłębianie się w sprawę jest niepożądane. Również w pani własnym interesie”.

Dla większości gości bal okazał się przyjemną rozrywką. „Wszyscy naprawdę dobrze się bawiliśmy”^[485] – pisał Louis Lochner w liście do swojej córki uczącej się w Ameryce. – „Impreza była udana”. Jak można się spodziewać, ambasador Dodd miał odmienne zdanie: „Kolacja była nudna, choć obecne na niej towarzystwo w innych okolicznościach mogłoby się okazać bardzo inspirujące”.

Bal przyniósł też pewną nieoczekiwaną zmianę. Zamiast zdecydowanego oziębienia stosunków pomiędzy Doddem a Papenem, nastąpiło ich ocieplenie i obu panów połączyła, jak się później okazało, długotrwała relacja. „Począwszy od tego dnia”^[486] – zauważyła Sigrid Schultz – „Papen kultywował przyjaźń z ambasadorem Doddem z największą pieczołowitością”. Poprawił się też stosunek Papena do samej Schultz. Papen sprawia wrażenie, zanotowała, jakby uznał, iż „lepiej

będzie okazywać mi swoje odświętne manieri”. Było to jej zdaniem typowe dla niektórych Niemców. „Ilekcio nadzieję się na kogoś, kto nie chce tolerować ich arogancji, schodzą ze swojej grzędę na ziemię i zaczynają się [odpowiednio] zachowywać” – zapisała. „Potrafią uszanować czyjś charakter, jeśli wystąpi się przed nimi otwarcie; gdyby więcej ludzi okazywało stanowczość wobec tego hitlerowskiego pomagiera Papena i jego akolitów w codziennych drobnych kontaktach, a także w sprawach wagi państwowej, potęga nazistów rosłaby o wiele wolniej”.

Plotki o prawdziwej przyczynie śmierci Poulette zaczynały już krążyć. Po pogrzebie Fromm wracała do domu w towarzystwie swojej dobrej przyjaciółki, przy której czuła się trochę jak córka. „Mammi” von Carnap, żona dawnego szambelana cesarskiego, była od dawna znakomitym źródłem informacji dla rubryki towarzyskiej redagowanej przez Fromm. Choć lojalni wobec „dawnych” Niemiec, Carnapowie sympatyzowali z Hitlerem i jego kampanią na rzecz odzyskania przez kraj dawnej potęgi.

Mammi sprawiała wrażenie pochłoniętej myślami. Po kilku chwilach powiedziała: „Bellachen, wszyscy jesteście bardzo wstrząśnięci tym, że nowe rozporządzenia prawne mogły doprowadzić aż do takich skutków!”^[470].

Fromm była zaskoczona. „Ależ Mammi” – odparła – „nie rozumiesz? To dopiero początek. Ta sprawa zwróci się przeciwko wam wszystkim, którzy dopuściliście do tego”.

Mammi zignorowała tę uwagę. „Frau von Neurath radzi, żebyś się pospieszyła i wzięła chrzest” – powiedziała. – „W MSZ bardzo im zależy, żeby uniknąć kolejnego *casusu* Poulette”.

Fromm uznała to za zdumiewające, że ktoś może być aż tak nieświadomy niemieckich realiów, by sądzić, iż dla odzyskania dawnego statusu „Aryjczyka” wystarczy się ochrzcić.

„Biedna stara idiotka!” – zapisała w swoim dzienniku Fromm.

^[470] tamże, s. 29.

^[471] tamże, s. 29.

^[472] tamże, s. 21.

^[473] Borys do Marthy, wiosna 1934, skrzynka nr 10, dokumentacja Marthy Dodd.

^[474] Szczegóły spotkania Marthy i Borysa wzięte z jej niepublikowanego pamiętnika „Jasna droga ku ciemności”, s. 21–26, skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd.

^[475] Schultz „Zima 1933–1934”, 4, pisma prywatne, skrzynka nr 29, dokumentacja Schultz.

^[476] Schultz „1934”, 2, pisma prywatne, skrzynka nr 34, dokumentacja Schultz.

[477] Fromm, s. 137.

[478] tamże, s. 321.

[479] Gellately, *Gestapo*, 1.

[480] Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 293.

[481] Schultz, „1934”, 3, pisma prywatne, skrzynka nr 34, dokumentacja Schultz.

Pracując jako dyplomata, Papen często nachodził żonę George’a Messersmitha, starając się wydobyć od niej strzępy informacji wywiadowczych na tematy związane z amerykańską polityką zagraniczną, na przykład pytał o stanowisko USA dotyczące sytuacji w Niemczech. Kobieta nauczyła się dawać owej natarczywości odpór w ten sposób, że rozprawiała o swojej ulubionej rozrywce, jaką było kolekcjonowanie porcelany. Papen „nigdy nie poczynił żadnych postępów” – pisał Messersmith – „ponieważ ona zawsze wracała w rozmowie do porcelany”. Messersmith „Wiedeńskie rozmowy z Papenem”, niepublikowany pamiętnik, 7, dokumentacja Messersmitha.

[482] Fromm, s. 136.

[483] tamże, s. 136–137.

[484] Messersmith „Gdy przyjechałem do Berlina...”, niepublikowany pamiętnik, 7, dokumentacja Messersmitha.

[485] Messersmith do Williama Phillipsa, 29 IX 1933 (s. 6, zob. także s. 4–5), dokumentacja Messersmitha.

[486] Schultz „Zima 1933–1934”, 7, pisma prywatne, skrzynka nr 29, dokumentacja Schultz; Schultz „1934”, 4, pisma prywatne, skrzynka nr 34, dokumentacja Schultz.

[487] Fromm, s. 137, s. 304.

Rozdział 27

O Tannenbaum

Zbliżało się Boże Narodzenie. Zimowe słońce, o ile w ogóle świeciło, wspinało się po południowym firmamencie tylko do połowy drogi, nawet w środku dnia rzucając wieczorne cienie. Znad równin nadciągały lodowate wiatry. „Berlin to szkielet cierpiący od chłodu”^[488] – pisał Christopher Isherwood o zimach, jakie przeżył podczas pobytu w mieście w latach 30. XX wieku. „To mój własny szkielet cierpi. W moich własnych kościach czuję ostre ukłucia mrozu, przenikające dźwigary nadziemnej kolejki, kute balustrady balkonów, mosty, linie tramwajowe, latarnie, latryny. Żelazo pulsuje i kurczy się, kamień i cegły cierpią bezgłośnie, tynki dętwieją”.

Ciemność rozpraszały nieco igraszki światła na mokrych ulicach – światła latarni, wystaw sklepowych, samochodowych reflektorów, przytulnie rozjaśnionych wewnątrz niezliczonych tramwajów – oraz normalnych o tej porze ozdób świątecznych. W każdym oknie lśniły świece, a oświetlone elektrycznie wielkie choinki przydawały uroku placom, parkom i skrzyżowaniom najbardziej ruchliwych ulic, dowodząc, że czar Bożego Narodzenia jest w stanie oprzeć się nawet działaniom Oddziałów Szturmowych – choć to one właśnie wykorzystywały ów okres w celach zarobkowych. SA zmonopolizowało handel choinkami^[489] – sprzedawało je wprost z placów dworcowych pod pozorem zbiórki funduszy na Winterhilfe (pomoc zimową), czyli prowadzoną przez SA akcję charytatywną na rzecz biednych i bezrobotnych. Cynicznie nastawieni berlińczycy byli skłonni sądzić, że gromadzone w ten sposób fundusze mają być przeznaczone raczej na finansowanie imprez i bankietów SA-manów, które sływały ze swojego przepychu, panującej na nich rozwiniałości tudzież ilości wypijanego szampana. SA-mani chodzili od drzwi do drzwi, nosząc ze sobą czerwone skarbonki. Ofiarodawcy otrzymywali małe odznaki, które mogli przypiąć sobie do ubrania w celu udowodnienia, że podzielili się pieniędzmi; i nie omieszkali tego czynić, ulegając w ten

niebezpośredni sposób presji tych wszystkich odważnych ryzykantów, którzy dotychczas kontrybucji nie złożyli.

Kolejny Amerykanin naraził się miejscowym władzom za sprawą fałszywej denuncjacji przez „osoby żywiące do niego urazę”^[490] – jak zapisano w raporcie konsulatu. Działo się to w okolicznościach, które przez kolejne dekady miały być stałym motywem wykorzystywanym w filmach poświęconych epoce nazistowskiej.

Około godziny 4.30 we wtorek 12 grudnia 1933 roku obywatel amerykański nazwiskiem Erwin Wollstein stał na peronie dworca kolejowego we Wrocławiu, czekając na pociąg do Opola na Górnym Śląsku, gdzie planował pewien biznes. Wyjeżdżał o tak wczesnej porze, gdyż zamierzał wrócić jeszcze tego samego dnia. We Wrocławiu wynajmował mieszkanie, w którym żył ze swoim ojcem, obywatelem niemieckim.

Nagle do Wollsteina podeszło dwóch mężczyzn w garniturach i zwróciło się doń po nazwisku. Przedstawili się jako funkcjonariusze Gestapo i poprosili o udanie się z nimi na posterunek policji, który znajdował się na dworcu.

„Kazano mi zdjąć płaszcz, marynarkę, buty, getry, kołnierzyk i krawat” – napisał Wollstein w oświadczeniu do protokołu złożonym pod przysięgą. Agenci przeszukali go, a następnie zajęli się jego rzeczami. Trwało to niecałe pół godziny. Znaleźli jego paszport i spytali o obywatelstwo. Potwierdził, że jest obywatelem amerykańskim, i poprosił, aby o aresztowaniu zawiadomiono konsulat Stanów Zjednoczonych we Wrocławiu.

Następnie funkcjonariusze zawieźli Wollsteina samochodem do Komendy Głównej Policji we Wrocławiu, gdzie zamknięto go w celi. Otrzymał „skromne śniadanie”. W areszcie przebywał przez kolejne dziewięć godzin. Tymczasem zatrzymano również ojca Wollsteina, a mieszkanie przeszukano. Gestapo skonfiskowało korespondencję osobistą i handlową, a także inne dokumenty, w tym dwa paszporty amerykańskie, które utraciły ważność.

O godzinie 17.15 dwaj gestapowcy zaprowadzili Wollsteina na piętro i w końcu odczytali mu zarzuty, powołując się na denuncjację przez trzy osoby, które Wollstein znał: jego gospodynię, jeszcze inną kobietę oraz służącego sprząającego mieszkanie. Właścicielka lokum, panna Bleicher, oskarżała go o to, że dwa miesiące wcześniej powiedział jakoby: „Wszyscy Niemcy to psy”. Służący Richard Kuhne złożył doniesienie, iż Wollstein deklarował, że w wypadku kolejnej wojny światowej stanie do walki przeciwko Niemcom. Trzecia osoba, panna Strausz, twierdziła, że Wollstein pożyczył jej mężowi „komunistyczną książkę”. Książką tą, jak się okazało, była *Nafta!* autorstwa Uptona Sinclaira.

Wollstein spędził noc w areszcie. Następnego ranka pozwolono mu stanąć z denuncjatorami twarzą w twarz. Oskarżył ich o kłamstwa. Teraz, pozbawieni ochrony, jaką daje anonimowość, świadkowie płatali się w zeznaniach. „Wydawali się zagubieni i absolutnie niepewni swoich

zarzutów” – oświadczył później Wollstein w zeznaniu.

Tymczasem konsul Stanów Zjednoczonych we Wrocławiu wysłał informację o zatrzymaniu do konsulatu w Berlinie. Wicekonsul Raymond Geist poskarżył się szefowi Gestapo Rudolfowi Dielsowi i zażądał pełnego raportu w sprawie aresztowania Wollsteina. Wieczorem Diels telefonicznie poinformował Geista, że wydał rozkaz zwolnienia Wollsteina.

We Wrocławiu dwaj wspomniani gestapowcy kazali Wollsteinowi podpisać oświadczenie, że nigdy „nie będzie wrogiem Państwa Niemieckiego”. Zawierało ono wielkoduszną ofertę: otóż gdyby kiedykolwiek czuł się osobiście zagrożony, może zgłosić się na policję z żądaniem zatrzymania prewencyjnego.

Wollstein został zwolniony.

Martha wyznaczyła sobie zadanie ozdobienia rodzinnej choinki, ogromnej jodły umieszczonej w sali balowej na pierwszym piętrze domu^[491]. Do pomocy wykorzystywała Borysa, Billa, kamerdynera Fritza, szofera oraz różnych znajomych, którzy wpadali z wizytą. Postanowiła, że jej choinka będzie wyłącznie srebrno-biała, dlatego zakupiła srebrne bombki, srebrne błyskotki, wielką srebrną gwiazdę i zrezygnowawszy z elektrycznych lampek – białe świece. „W tamtych dniach” – zapisała – „myślenie o elektrycznych lampkach na choince było herezją”. W pobliżu w pogotowiu stały wiadra z wodą.

Ojciec Marthy, jak zanotowała, był „znudzony tymi wszystkimi głupstwami” i unikał brania udziału w całym przedsięwzięciu, podobnie jak jej matka, którą pochłonęło tysiące innych spraw związanych z przygotowaniami do świąt. Bill okazał się do pewnego stopnia pomocny, choć na ogół wolał znajdować sobie bardziej ekscytujące zajęcia. Całe to przedsięwzięcie zajęło im dwa dni i dwa wieczory.

Dla Marthy zabawny był fakt, że Borys tak bardzo palił się do pomocy, biorąc pod uwagę, że – jak twierdził – nie wierzył w istnienie Boga. Uśmiechała się, obserwując go stojącego na najwyższym stopniu drabiny, gdy z zaangażowaniem pomagał jej ozdabiać symbol jednego z najświętszych dni dla chrześcijan.

„Mój kochany ateisto” – zwracała się do Borysa – „dlaczego pomagasz mi dekorować choinkę i świętować narodziny Chrystusa?”

Śmiał się. „To nie jest dla chrześcijan ani dla Chrystusa, *liebes Kind*” – odpowiadał – „lecz dla pogan takich jak ty czy ja. Tak czy owak, jest bardzo piękna. Czego byś chciała?” Siedział na najwyższym stopniu drabiny. „Czy chcesz, żebym na szczycie umieścił moją białą orchideę? A może wolałabyś elegancką czerwoną gwiazdę?”

Ona upierała się przy bieli.

Protestował. „Ależ czerwień jest piękniejsza od bieli, kochanie”.

Pomimo sprawy z choinką, Borysa i ogólnej radości świątecznej Martha czuła, że w jej życiu w Berlinie brak jest czegoś fundamentalnego. Tęskniła za przyjaciółmi – Sandburgiem i Wilderem, za kolegami z „Tribune” – a także za wygodnym domem w Hyde Park. Teraz jej przyjaciele i sąsiedzi gromadzili się z pewnością na uroczych przyjęciach, śpiewali razem kolędy, pili grzane wino z cukrem i korzennymi przyprawami.

W czwartek 14 grudnia Martha napisała długi list do Wildera. Miała dojmujące poczucie, że łącząca ich dotychczas więź słabnie. Sam fakt, że go znała, przydawał jej wiary w siebie, jak gdyby przez promieniowanie w niej także kielkował talent literacki. Ale kiedyś wysłała mu napisane przez siebie opowiadanie, a on nie odpowiedział. „Czybyś stracił zainteresowanie dla mnie nawet w sensie literackim, albo może powinienam powiedzieć – literaturą we mnie (a właściwie tym, co z niej pozostało, o ile w ogóle coś było)^[492]. A Twoja podróż do Niemiec. Czy szansa na nią została zdecydowanie stracona? O rany, z pewnością nie będziesz miał mi za złe, że znowu przez chwilę wpadam w berliński slang!”

Martha informowała Wildera, że od pewnego czasu pisuje niewiele, choć odnalazła pewną satysfakcję w rozmowach na temat książek oraz pisaniu recenzji literackich, dzięki nowej znajomości z Arvidem i Mildred Harnackami. Wspólnie „doszliśmy do wniosku, że jesteśmy jedynymi ludźmi w Berlinie prawdziwie interesującymi się pisarzami”. Razem z Mildred redagowały rubrykę literacką. „Mildred jest piękna i wysoka, z ciężkim brzemieniem włosów o barwie miodu – w zależności od oświetlenia także ciemnego miodu (...). Bardzo niezamożna, prawdziwa, wspaniała, niezbyt uprzywilejowana, mimo że pochodzi ze starej i szanowanej rodziny. Oaza dla kogoś oszałego z pragnienia jak ja”.

Czyniąc aluzję do przeczuć jej ojca, że w Departamencie Stanu narasta spisek przeciwko niemu, Martha napisała: „Jak dotąd nie wpadliśmy jeszcze w pułapkę tych wszystkich zawyłych intryg i labiryntów nienawiści w naszej ambasadzie”.

Czuła się także zraniona innymi przejawami niechęci skierowanej osobiście ku niej. W Ameryce jej potajemne małżeństwo z Bassettem oraz równie skryte starania o rozwód stały się już tajemnicą poliszynela. „To, co moi wrogowie w Chicago wymyślają na mój temat, jest wstrętne” – pisała do Wildera. Szczególnie nie mile plotki rozgłaszała kobieta, w której Martha rozpoznała niejaką Fanny; jej zdaniem Fanny czyniła to z zazdrości o to, że Marcie udało się wydać drukiem własne opowiadanie. „Twierdzi, że ty i ja mamy romans, o czym poinformowały mnie już dwie osoby. Kilka dni temu napisałam do niej, podkreśliłam, że sianie oszczerstw może pociągnąć za sobą konsekwencje, i wyjaśniłam, że może się znaleźć w nieprzyjemnym położeniu”. Dodała: „Żał mi jej, ale to nie zmienia faktu, że jest oślizloustą suką”.

Usiłowała opisać Wilderowi zimowe miasto za oknami, ów nowy świat, w którym się znajdowała. „Śnieg zalega tu miękki i głęboki – za dnia nad Berlinem unosi się miedziana mgła dymów, nocą

ośniewający blask spadającego na miasto księżyc. Wieczorem skrzypi żwir pod moim oknem – to pośepny Diels z pruskiej tajnej policji, o twarzy groźnej i cudownych ustach, pełni straż, a żwir uskakuje spod jego miękkich butów, aby mnie ostrzec. Nosi on swoje głębokie blizny z taką dumą, jak ja bym się obnosiła z wianuszkami z szarotek”.

Wyrażała głęboki, przenikający ją smutek. „Wszędzie czuć zapach spokoju, powietrze jest zimne, niebiosa tak delikatne, że aż kruche, liście nareszcie opadły. Noszę ciepłe palto ze skóry miękkiej niczym mora i mufkę z kożuszkami. Moje palce spoczywają w bezpiecznym cieple. Mam żakiet ze srebrnymi cekinami i ciężkie bransoletki z dużych koralów. A na szyi potrójny, cienki jak nicić łańcuszek z lapis-lazuli i pereł. Na mojej twarzy widać miękkość i zadowolenie, niczym welon ze złocistego księżycowego światła. Nigdy w całym moim życiu nie byłam jeszcze taka samotna”. Choć słowa Marthy o „labiryncie nienawiści” były nieco przesadzone, Dodd rzeczywiście zaczynał wyczuwać, że w Departamencie Stanu nasila się kampania przeciwko niemu i że stoją za nią ludzie zamożni, związani z dotychczasową tradycją. Podejrzewał również, że pomaga im jedna lub dwie osoby z jego własnego personelu, dostarczając potajemnie wszelkich niezbędnych informacji na jego temat, a także na temat działalności ambasady. Dodd stawał się coraz bardziej podejrzliwy i ostrożny, do tego stopnia, że najważniejsze swoje listy pisał odręcznie, ponieważ nie ufał zatrudnianym przez ambasadę stenografom i bał się, że ich treść nie będzie zachowana w tajemnicy.

Miał istotne powody do obaw. Messersmith kontynuował potajemną korespondencję z podsekretarzem Phillipsem. Również Raymond Geist, zastępca Messersmitha (także absolwent Harvardu), miał oko na Doddę i sprawy ambasady. Podczas pobytu w Waszyngtonie odbył długą i poufną rozmowę z Wilburem Carrem, szefem służby konsularnej, podczas której dostarczył Carrowi całego mnóstwa informacji. Nie omieszczał na przykład podać szczegółów dotyczących hucznych imprez organizowanych przez Marthę i Billa, które ciągnęły się nieraz do piątej nad ranem. „Pewnego razu wesołość była tak wielka”^[493] – mówił Geist Carrowi – „że do konsulatu wpłynęła skarga na piśmie”. Geist wezwał wówczas Billa do siebie i udzielił mu ostrzeżenia: „Jeśli tego typu zachowania będą się powtarzać, konieczne będzie wystosowanie oficjalnego raportu”. Geist pozwolił sobie także na krytykę zachowań ambasadora Doddę: „Ambasador jest człowiekiem łagodnego usposobienia, niepozornym, podczas gdy z władzami nazistowskimi skutecznie radzić sobie może tylko ktoś inteligentny i silny, zdolny przyjąć wobec rządu [niemieckiego] postawę dyktatorską i domagać się realizacji swoich żądań. Pan Dodd nie jest do tego zdolny”.

Przyjazd do Berlina nowego pracownika, Johna C. White’a, który miał zastąpić George’a Gordona na stanowisku radcy ambasady, wzmógł jedynie nieufność Doddę. White był bowiem nie tylko człowiekiem zamożnym i skorym do wydawania wystawnych przyjęć, lecz także mężem siostry szefa wydziału do spraw Europy Zachodniej Jaya Pierreponta Moffata. Szewagrowie

prowadzili ze sobą koleżeńską wymianę korespondencji, zwracając się do siebie per „Jack” i „Pierrepont”. Początkowe wersy jednego z pierwszych listów White’a pisanych z Berlina z pewnością nie dodałyby Doddowi przesadnej otuchy: „Jest tu chyba jakaś zapasowa maszyna do pisania, mogę więc pisać do Ciebie sam, bez świadków”^[494]. W jednej ze swoich odpowiedzi Moffat nazwał Dodda „dziwną jednostką, której moim zdaniem chyba nie da się zdiagnozować”^[495].

Poczucie klaustrofobii u Dodda musiało jeszcze wzrosnąć, gdy mniej więcej w tym samym czasie pracę w ambasadzie podjął nowy sekretarz, Orme Wilson, bratanek Phillipsa.

Kiedy „Chicago Tribune” wydrukowała artykuł z informacją, że Dodd zwrócił się do władz z prośbą o urlop w przyszłym roku, okraszony przypuszczeniem, iż może on zrezygnować ze stanowiska, Dodd poskarżył się Phillipsowi – ktoś z departamentu musiał ujawnić jego podanie o urlop z oczywistą intencją wyrządzenia mu szkody. Szczególnie przykry był dla Dodda zamieszczony w owym artykule komentarz anonimowego przedstawiciela Departamentu Stanu. Stwierdzał on: „Profesor Dodd nie rozważał swojego odejścia ze stanowiska ambasadora w Niemczech; jego dymisję brano pod uwagę tutaj”^[496]. Owo oświadczenie, dzięki przewrotnej logice prasowej, wywołało kolejne pytania o dalszy los Dodda – czy zrezygnuje, czy może zostanie zmuszony do odejścia ze stanowiska? Jak napisał Dodd Phillipsowi, sytuacja w Berlinie była już wystarczająco trudna bez tego rodzaju spekulacji. „Uważam, że von Neurath i jego koledzy byłiby bardzo niezadowoleni, gdyby te informacje do nich dotarły”.

Phillips odpowiedział z typową dla siebie wyzwością: „Nie mam pojęcia, kto mógłby przekazać »Tribune« informację o Pańskim ewentualnym odejściu na wiosnę”^[497]. Z pewnością nikt nie zadał takiego pytania mnie (...). Jedną z głównych przyjemności świata gazet jest plotkowanie o rezygnacjach. Czasem wszyscy cierpimy z powodu tej fobii i nie traktujemy jej serio”.

Na zakończenie listu Phillips zawiadamiał, iż Messersmith, który spędzał wówczas urlop w Waszyngtonie, odwiedził go w departamencie. „Messersmith jest z nami od paru dni, odbyliśmy bardzo ciekawe rozmowy na temat różnych aspektów sytuacji w Niemczech”.

Jeśli Dodd, czytając ostatnie linijki listu, odczuł pewien niepokój, był to niepokój uzasadniony. W trakcie jednej z owych wizyt w gabinecie Phillipsa Messersmith – jak ujął to Phillips w swoim dzienniku – „przekazał obraz sytuacji panującej wewnątrz ambasady w Berlinie”^[498]. On także podniósł sprawę Marthy i Billa. „Najwyraźniej” – zanotował Phillips – „syn i córka ambasadora w najmniejszym stopniu nie wspomagają pracy ambasady, zdecydowanie bardziej wolą biegać po nocnych klubach z pewnymi Niemcami cieszącymi się nieszczególną opinią oraz w towarzystwie przedstawicieli prasy”.

Messersmith spotkał się również z Moffatem i jego żoną. Cała trójka spędziła popołudnie na rozmowie z Niemczech. „Omawialiśmy te sprawy pod każdym kątem”^[499] – zapisał Moffat w

dzienniku. Nazajutrz zjadł z Messersmithem lunch, a po kilku tygodniach spotkali się ponownie. Jak zanotował w swoim pamiętniku Moffat, w trakcie jednej z rozmów Messersmith miał się „bardzo przejąć listami od Dodda dowodzącymi, że zwraca się on przeciwko własnemu personelowi”^[500].

Tak się składało, że niedawny radca ambasady w Berlinie, George Gordon, przebywał na długim urlopie w Stanach Zjednoczonych w tym samym czasie co Messersmith. Chociaż stosunki Gordona z Doddem były początkowo złe, teraz ambasador niechętnie przyznawał, że Gordon jest wartościowy. Gordon pisał do Dodda: „Nasz wspólny znajomy G.S.M.”^[501] – czyli Messersmith – „prowadzi niezwykle aktywną kampanię na rzecz swojej kandydatury na stanowisko w Poselstwie w Pradze”. (Messersmith od dłuższego czasu planował odejście ze służby konsularnej, ponieważ pragnął zostać pełnoprawnym dyplomatą; obecnie, wobec wakatu w ambasadzie w Pradze, dostrzegł po temu szansę). Gordon donosił, że Departament Stanu zalewa fala listów i prasowych wstępniaków mających zaświadczać o „nienagannej pracy” Messersmitha. „Był w tym wszystkim pewien znajomy akcent” – pisał Gordon – „to mianowicie, że miał on podobno powiedzieć któremuś z wyższych urzędników, iż te wszystkie prasowe panegiryki na jego temat nieco go zawstydzają, ponieważ nie lubi takich rzeczy!!!!”

Gordon kończył list napisanym odręcznie: „O sancta virginitas simplicitasque”. Co po łacinie oznacza: „Jakaż nabożna panieńska skromność!”.

W piątek 22 grudnia odwiedził Dodda Louis Lochner, przynosząc niepokojące wieści. Sama wizyta nie była czymś niezwykłym, ponieważ szef redakcji Associated Press zdążył się z Doddem zaprzyjaźnić; spotykali się często, żeby dyskutować na niektóre tematy i wymieniać się informacjami. Lochner powiedział Doddowi, że jeden z wysoko postawionych nazistów poinformował go, iż zbierający się w Reichstagu sąd wyda nazajutrz wyrok i że wszyscy oskarżeni, z wyjątkiem van der Lubbe, zostaną uniewinnieni^[502]. Była to sensacyjna wiadomość sama w sobie, jeśli bowiem okazałoby się że prawda, stanowiłoby poważny cios dla prestiżu rządu hitlerowskiego, a szczególnie dla pozycji Göringa. Miało zatem dojść do „partactwa”, którego Göring tak bardzo się obawiał. Ale informator Lochnera donosił również, że Göring, wciąż rozwścieczony bezczelnością Dymitrowa na sali sądowej, chciał śmierci tego ostatniego. Dymitrow miał zginąć zaraz po zakończeniu procesu. Lochner odmówił ujawnienia swojego źródła informacji, ale powiedział Doddowi, iż osoba ta, przekazując owe rewelacje, uczyniła to w intencji zapobieżenia dalszemu pogorszeniu się już i tak niedobrej opinii Niemiec w oczach świata. Dodd uważał, że informatorem tym był Rudolf Diels.

Lochner zamierzał nie dopuścić do zabójstwa, nagłaśniając zamiar jego popełnienia, ale chciał wcześniej przedyskutować to z Doddem, gdyby ten uznał, że ewentualne reperkusje dyplomatyczne

mogłyby być zbyt poważne. Dodd poparł ów plan, lecz sam z kolei poprosił o opinię sir Erica Phippsa, ambasadora brytyjskiego, a ten dał działaniom Lochnera zielone światło.

Lochner obmyślił swój plan z wielką precyzją. Zdziwiające, ale sam pomysł nagłośnienia zamierzonego zabójstwa politycznego podsunął mu nie kto inny jak adiutant prasowy Göringa Martin Sommerfeldt, który także wiedział o zamierzonym morderstwie. Źródłem jego informacji, według jednego z przekazów, był Putzi Hanfstaengl, choć jest też możliwe, iż Hanfstaengl usłyszał o tym od Dielsa. Sommerfeldt powiedział Lochnerowi, że z doświadczenia wie, iż „istnieje pewien sposób wpłynięcia na generała. Otóż jeśli prasa zagraniczna twierdzi o nim jedno, on uparcie robi coś zupełnie przeciwnego”. Sommerfeldt proponował, żeby Lochner, opisując sprawę, powołał się na „absolutnie pewne źródła”, i podkreślił, że morderstwo to miałyby „dalekosiężne konsekwencje międzynarodowe”. Lochner miał jednak pewien problem. Gdyby opublikował ten prowokacyjny artykuł w imieniu Associated Press, ryzykowałby wielką wściekłość Göringa, co mogłoby nawet doprowadzić do zamknięcia placówki AP w Berlinie. Byłoby znacznie lepiej, rozumował Lochner, gdyby artykuł ukazał się w którejś z gazet brytyjskich. Wraz z Sommerfeldtem i Hanfstaenglem skorygowali swój plan.

Lochner wiedział, że w berlińskim biurze Reutera pojawił się niedawno absolutnie „zielony” dziennikarz. Zaprosił go na drinka do hotelu Adlon; wkrótce przysiedli się do nich Sommerfeldt i Hanfstaengl. Młody reporter delektował się niezwykłym fartem, jakim było uczestnictwo w tym „przypadkowym” spotkaniu tak wysoko postawionych osób.

Po pewnej chwili Lochner wspomniał Sommerfeldtowi o plotce, jakoby Dymitrowowi groziło niebezpieczeństwo. Sommerfeldt, zgodnie z planem, udał zaskoczenie – na pewno Lochner coś źle zrozumiał, przecież Göring jest człowiekiem honoru, a Niemcy to cywilizowany kraj.

Dziennikarz Reutera zdawał sobie sprawę, że trafił na wielki temat, i poprosił Sommerfeldta o zgodę na cytowanie jego zaprzeczeń. Przelamując z trudem wewnętrzny opór, Sommerfeldt zgodził się.

Człowiek od Reutera popędził przygotować materiał.

Późnym popołudniem, poinformował Doddą Lochner, temat znalazł się w nagłówkach gazet brytyjskich. Lochner pokazał też Doddowi telegram od Goebbelsa do przedstawicieli prasy zagranicznej, w którym minister – występując w imieniu rządu – zaprzeczył istnieniu jakiegokolwiek spisku zmierzającego do zamordowania Dymitrowa. Własne dementi wyśtosował też Göring – odrzucił wszelkie zarzuty i nazwał je „ohydnyimi plotkami”.

W dniu 23 grudnia, tak jak przepowiedział Lochner, przewodniczący składu sędziowskiego w procesie w Reichstagu ogłosił wyrok uniewinniający Dymitrowa, Torglera, Popowa i Tanewa, uznający jednocześnie van der Lubbeego za winnego „zdrady stanu, podpalenia o charakterze politycznym oraz próby zwykłego zaproszenia ognia”^[503]. Sąd skazał oskarżonego na karę śmierci,

stwierdzając, że – mimo ogromu materiału dowodowego wskazującego na coś dokładnie przeciwnego – „wspólników van der Lubbe należy poszukiwać w szeregach Partii Komunistycznej, że tym samym komunizm jest odpowiedzialny za pożar Reichstagu, że na początku roku 1933 naród niemiecki stanął na krawędzi chaosu, do którego prowadzili go komuniści, oraz że Niemcy zostali w ostatniej chwili uratowani”.

Wciąż jednak nie było wiadomo, co się stanie z Dymitrowem.

Nareszcie przyszły święta Bożego Narodzenia. Hitler przebywał w Monachium; także Göring, Neurath i inni dygnitarze wyjechali z Berlina. Miasto było ciche, prawdziwie pogrążone w spokoju. Tramwaje przypominały ustawione pod choinką zabawki.

W południe rodzina Doddów wybrała się swoim chevroletem z wizytą do państwa Lochnerów. Louis Lochner napisał w jednym z całej serii listów do córki w Ameryce: „Siedzieliśmy sobie razem, pijąc kawę, kiedy nagle cała rodzina Doddów – ambasador, pani Dodd, Martha i młody pan Dodd – zrobiła nalot na nasz dom, żeby złożyć nam życzenia świąteczne^[504]. To strasznie miłe z ich strony, prawda? Im dłużej pracuję z panem Doddem, tym bardziej go lubię; to człowiek wielkiej kultury, obdarzony jednym z najbystrzejszych umysłów, z jakimi miałem do czynienia”. Lochner opisał panią Dodd jako „słodką, bardzo kobiecą panią, która (...) podobnie jak jej mąż znacznie bardziej woli przestawać z przyjaciółmi niż z tym całym płytkim dyplomatycznym towarzystwem. Doddowie nie udają lwów salonowych, za co ich podziwiam”.

Dodd przez kilka chwil przyglądał się z zachwytem choince Lochnerów tudzież innym świątecznym dekoracjom, po czym wziął Lochnera na stronę i zapytał go o ostatnie doniesienia w sprawie Dymitrowa.

Lochner odrzekł, że przynajmniej na razie Dymitrow wyszedł chyba z tego bez szwanku. Stwierdził również, że jego wysoko postawiony informator – którego tożsamości nadal nie chciał ujawnić – podziękował mu za tak zgrabne załatwienie sprawy.

Dodd jednak obawiał się dalszych reperkusji. Wciąż był przekonany, że to Diels odegrał w zdemaskowaniu spisku rolę kluczową. A Diels nie przestawał Doddą zaskakiwać. Dodd znał jego wątpliwą reputację cynika i zwykłego oportunisty, dostrzegał jednak, że w niektórych momentach człowiek ten przejawia godną szacunku prawość. To właśnie Diels na początku grudnia przekonał Göringa i Hitlera do wprowadzenia amnestii świątecznej dla tych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy nie byli zatwardziałymi kryminalistami ani w sposób oczywisty nie zagrażali bezpieczeństwu państwa. Szczegółowe motywy, jakimi się kierował, nie są oczywiście znane, tym niemniej okres, w którym podróżował od jednego obozu do drugiego, wybierając więźniów do zwolnienia, on sam uważał za jeden z najlepszych momentów w swojej karierze^[505].

Dodd lękał się, że Diels może posunąć się za daleko. W dniu Bożego Narodzenia zapisał w swoim

dziennikur „Szef tajnej policji zrobił rzecz skrajnie niebezpieczną, i nie będę zaskoczony, usłyszawszy kiedyś, że został aresztowany”^[506].

Jadąc tego dnia przez miasto, Dodd po raz kolejny był pod wrażeniem nadzwyczajnego upodobania Niemców do świątecznych dekoracji. Wszędzie, na każdym placu i w każdym oknie, stały choinki.

„Można by wręcz pomyśleć”^[507] – zanotował – „że Niemcy wierzą w Jezusa i stosują się do Jego nauk!”

^[488] Goeschel, s. 100.

^[489] Fromm, s. 138.

^[490] Louis Lochner w liście do Betty Lochner, 26 XII 1933, Round Robin Letters, skrzynka nr 6, dokumentacja Lochnera.

^[491] Schultz „Zima 1933–1934”, 7, pisma prywatne, skrzynka nr 29, dokumentacja Schultz.

^[492] Fromm, s. 138–139.

^[493] Isherwood, *Berlin Stories*, s. 186.

^[494] Gilbert L. MacMaster do Clarence’a E. Picketta, 12 II 1934, tom 2, s. 49, *Archiwum Holokaustu*.

^[495] Szczegóły sprawy Wollsteina można znaleźć w liście Raymonda H. Geista do Hulla, 15 XII 1933, GRC 362.1121 Wollstein Erwin/1, State/Decimal.

^[496] Martha opisuje przystrajanie choinki w niepublikowanym pamiętniku pt. „Jasna droga ku ciemności”, s. 14–17, skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd.

^[497] Martha w liście do Thorntona Wildera, 14 XII 1933, dokumentacja Wildera.

^[498] Wilbur Carr sporządził dokładną notatkę z rozmowy z Raymondem Geistem i zawarł ją w „ściśle tajnym” memorandum z 5 VI 1935, skrzynka nr 12, dokumentacja Carra.

^[499] John Campbell White w liście do Jaya Pierreponta Moffata, 17 XI 1933, dokumentacja White’a.

^[500] Jay Pierrepont Moffat do Johna Campbella White’a, 31 III 1934, dokumentacja White’a.

^[501] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 4 XII 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Doda.

^[502] Doda, 22 XII 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Doda.

[503] Phillips, *Dziennik*, 20 XII 1933.

[504] Moffat, *Dziennik*, 14 XII 1933.

[505] Moffat, *Dziennik*, 13 II 1934.

[506] George Gordon w liście do Dodda, 22 I 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

[507] Szczegóły dotyczące planu Lochnera uratowania życia Dymitrowowi zaczerpnięte z książki Metcalfa, s. 232–234 oraz *Dziennika* Dodda, s. 65–66 i książki Conradiego, s. 136–138.

1934

CZEŚĆ V NIEPOKÓJ



Hitler i Röhm

Rozdział 28

Styczeń 1934 roku

W dniu 9 stycznia główny oskarżony w procesie o podpalenie Reichstagu Marinus van der Lubbe został poinformowany przez prokuratora, że nazajutrz zostanie ścięty. „Dziękuję, że mi pan powiedział”^[508] – odparł van der Lubbe. – „Zobaczmy się jutro”.

Kat miał na sobie cylinder i frak oraz – bardzo wyrafinowany szczegół – włożył białe rękawiczki. Użył gilotyny.

Egzekucja van der Lubbego stanowiła oczywisty, choć krwawy, znak przestankowy w sadze o pożarze Reichstagu i położyła kres turbulencjom, które wstrząsały Niemcami od lutego. Teraz każdy, kto czuł potrzebę uznania sprawy za wyjaśnioną, mógł powołać się na oficjalny przebieg wydarzeń: van der Lubbe podłożył ogień i van der Lubbe został stracony. Dymitrow, wciąż żywy, miał odlecieć do Moskwy. Droga do przywrócenia potęgi Niemiec stała otworem.

Z początkiem tego roku Niemcy rzeczywiście mogły sprawiać (pozorne) wrażenie, że sytuacja wewnętrzna się stabilizuje. Niektórzy zagraniczni obserwatorzy i dyplomaci byli tym faktem rozzarowani, ponieważ ciągle żywili nadzieję, iż presja ekonomiczna spowoduje upadek reżimu hitlerowskiego. Pod koniec pierwszego roku sprawowania funkcji kanclerza Hitler wydawał się bardziej racjonalny, niemalże ugodowy, i posunął się nawet do sugerowania, iż mógłby poprzeć jakąś formę paktu o nieagresji z Francją i Wielką Brytanią. Anthony Eden, brytyjski Lord Tajnej Pieczęci, przybył do Niemiec na spotkanie z Hitlerem i – podobnie jak Dodd – wyjechał stamtąd ujęty szczerym pragnieniem pokoju przejawianym przez kanclerza. Sir Eric Phipps, ambasador Wielkiej Brytanii w Niemczech, zapisał w swoim dzienniku: „Wydawało się, jakby Herr Hitler czuł autentyczną sympatię do pana Edena, któremu niewątpliwie powiodło się wydobyć na światło dzienne pewnych cech ludzkich u tego dziwnego stworzenia, cech, które według mnie pozostawały

jak dotąd uśpione”^[509]. W liście do Thorntona Wildera Martha napisała: „Hitler zdecydowanie się poprawia”^[510].

Postępującą normalizację dawało się zauważyć także w innych sferach życia. Oficjalne statystyki dotyczące bezrobocia ukazują jego gwałtowny spadek, z 4,8 miliona osób bez pracy w 1933 roku do 2,7 miliona w 1934 roku^[511], ale w znacznej mierze był on skutkiem takich działań, jak podział jednego etatu na dwie osoby oraz agresywnej kampanii propagandowej, która miała zniechęcać kobiety do podejmowania pracy. Zamknięto „dzikie” obozy koncentracyjne, częściowo dzięki szefowi Gestapo Rudolfowi Dielsowi. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy toczyły się dyskusje o rezygnacji z zatrzymań prewencyjnych i likwidacji obozów koncentracyjnych w ogóle^[512].

Wydawało się, że nawet Dachau się cywilizuje. W dniu 12 lutego 1934 roku wizytę w obozie złożył przedstawiciel kwaków Gilbert L. MacMaster, otrzymawszy pozwolenie widzenia się z jednym z więźniów, 62-letnim byłym deputowanym do Reichstagu, nazwiskiem George Simon, którego aresztowano, ponieważ był socjalistą. MacMaster złapał pociąg w Monachium i po półgodzinie wysiadł z niego w miasteczku Dachau, które opisał jako „wioskę artystów”. Stąd po 30-minutowym marszu dotarł do obozu.

Był zaskoczony tym, co zobaczył. „Z tego obozu pochodzi więcej doniesień o bestialstwie niż z jakiegokolwiek innego w Niemczech”^[513] – zanotował. „Jednakże jego wygląd jest lepszy niż obozów, które widziałem”. Urządzono go na terenie dawnej fabryki prochu, wzniesionej podczas ostatniej wojny. „Stały tu dobre domy przeznaczone dla chemików i urzędników, baraki robotnicze odznaczały się solidnością, a cały zakład miał centralne ogrzewanie parowe” – zauważył MacMaster. „Dzięki temu infrastruktura Dachau może zapewniać osadzonym więcej wygod, zwłaszcza podczas chłódów, niż jakiś prowizoryczny obóz w starej fabryce czy na farmie. W istocie całość przedstawia się raczej jako siedziba poważnej instytucji, a nie obóz”.

Osadzonego Simona szybko sprowadzono do wartowni, gdzie czekał MacMaster. Ubrany był w szary więzienny kitel, sprawiał wrażenie zdrowego. „Nie narzekał” – zapisał MacMaster. „Skarzył się jedynie na poważne dolegliwości spowodowane reumatyzmem”.

Po spotkaniu MacMaster rozmawiał jeszcze z oficerem policji, od którego usłyszał, że w obozie przetrzymuje się dwa tysiące więźniów. Jedynie dwudziestu pięciu z nich było Żydami, którzy – jak podkreślał ów oficer – zostali tu osadzeni ze względu na popełnione przestępstwa polityczne, nie z powodu wyznania. Jednakże MacMaster słyszał wcześniej doniesienia, iż w obozie znajduje się co najmniej 5 tysięcy więźniów i że 40–50 z nich to Żydzi, spośród których zaledwie „jednego albo dwóch” aresztowano z powodu przekonań politycznych; pozostali zostali osadzeni po denuncjacjach ze strony osób, „które pragnęły im zaszkodzić w interesach i nie tylko, oskarżając ich o zadawanie

się z nie-Żydówkami”. MacMaster zaskoczony słuchał słów policjanta, że „jego zdaniem obozy są tymczasowe i nie może doczekać się dnia, w którym zostaną zlikwidowane”.

MacMaster dostrzegł nawet pewne piękno w Dachau. „Był to bardzo zimny poranek” – zapisał. „W nocy unosiła się tak gęsta mgła, że z ledwością znalazłem mój hotel. Ale raniem niebo było idealnie błękitne. Kolory Bawarii to biel (chmur) i błękit (nieba). Nocna mgła okryła drzewa grubą warstwą szronu”. Wszystko skrzyło się lśniąca warstwą lodowych kryształków, które przydawały obozowi eterycznego wyglądu, niczym z bajki. W blasku słońca brzozy rosnące na okolicznych wrzosowiskach przypominały diamentowe iglice.

Ale podobnie jak wiele innych aspektów rzeczywistości nowych Niemiec, także zewnętrzny wygląd obozu w Dachau był zwodniczy. Czystość i sprawność organizacyjna miały się nijak do postulatu humanitarnego traktowania osadzonych. Dowództwo nad Dachau objął w czerwcu poprzedniego roku oficer SS Theodor Eicke, który opracował regulamin, służący później jako model dla wszystkich innych obozów. Wprowadzone w życie z dniem 1 października 1933 roku nowe przepisy kodyfikowały relacje pomiędzy strażnikami a więźniami; tym samym akt karania został przeniesiony ze sfery impulsów i kaprysów na płaszczyznę, na której panowała systematyczna, beznamiętna i przewidywalna dyscyplina. Teraz przynajmniej wszyscy znali obowiązujące zasady, ale były one twarde i absolutnie nie pozostawiały miejsca na miłosierdzie.

„Tolerancja oznacza słabość”^[514] – napisał Eicke w słowie wstępnym do nowych przepisów. „W świetle tej koncepcji kary wymierzać się będzie bez litości, ilekroć będzie tego wymagać interes ojczyzny”. Karą za drobne przewinienia było bicie trzcina i zamknięcie w odosobnieniu. Nawet ironia mogła więźnia wiele kosztować. Osiem dni w izolatce oraz „25 razów” groziło „każdemu, kto czyni uwłaczające bądź ironiczne uwagi wobec członka SS, celowo ignoruje nakazane okazywanie mu szacunku lub w jakikolwiek inny sposób demonstruje brak woli podporządkowania się środkom dyscyplinującym”. Obejmująca wszystko klauzula zwana paragrafem 19 mówiła o „karach incydentalnych”, w skład których wchodziły: reprimenda, bicie i „przywiązanie do pala”. Inny fragment regulaminu zawierał przepisy dotyczące wieszania więźniów. Kara śmierci groziła każdemu, kto „w celu agitacji” rozmawia o polityce albo zostanie przyłapany na spotykaniu się z innymi osadzonymi. Nawet zbieranie „prawdziwych lub fałszywych informacji o obozie koncentracyjnym” lub też samo otrzymywanie takich informacji czy przekazywanie ich innym osobom mogło zaprowadzić więźnia na szubienicę. „Jeśli osadzony podejmie próbę ucieczki” – napisał Eicke – „ma być zastrzelony bez ostrzeżenia”. Również wszelki bunt więźniów miał się spotkać z reakcją zbrojną. „Strzały ostrzegawcze” – instruował Eicke – „są zabronione z zasady”.

Eicke dopilnował, aby wszyscy nowi strażnicy byli odpowiednio indoktrynowani, o czym zaświadczał później jeden z jego praktykantów Rudolf Höss. Höss został strażnikiem w obozie w Dachau w roku 1934. Wspominał, jak Eicke bez ustanku wbijał im do głowy to samo zdanie.

„Jakikolwiek uzalanie się nad »wrogami Państwa« nie przystoi SS-manowi^[515]. W szeregach SS nie ma miejsca dla ludzi o miękkich sercach; ktoś taki powinien od razu wstąpić do klasztoru. Tu jest miejsce tylko dla twardych, zdeterminowanych mężczyzn, którzy bezwzględnie wykonają każdy rozkaz”. Höss, jako uzdolniony uczeń, został później komendantem obozu w Auschwitz.

Na pierwszy rzut oka także prześladowania Żydów słabły na sile. „Podczas mojego ostatniego pobytu w Berlinie miasto sprawiało na pozór normalne wrażenie”^[516] – zapisał David J. Schweitzer, wysoki urzędnik charytatywnej organizacji żydowskiej o nazwie American Joint Distribution Committee^[517], w skrócie po prostu Joint. „W powietrzu nie czuć napięcia, ludzie są na ogół uprzejmi”. Żydzi, którzy uciekli stąd w zeszłym roku, teraz wracają – informował. Mniej więcej 10 tysięcy Żydów, którzy wyjechali z Niemiec na początku 1933 roku, wróciło rok później^[518]. Emigracja za granicę – 4 tysiące Żydów w roku 1934 – wciąż jednak trwała. „Albo obecna sytuacja jest faktycznie dobra, albo tak dobrze zamaskowana, że według opinii pewnego Amerykanina, który spędził tu tydzień, udając się tranzytem do sąsiedniego kraju, nie da się [w Niemczech] zauważyć żadnych wydarzeń, które tak bardzo poruszyły świat zewnętrzny”.

Lecz Schweitzer zdawał sobie sprawę, że jest to przede wszystkim iluzja. Wydawało się, że otwarta przemoc wobec Żydów wygasa, ale jej miejsce zajmowały subtelniejsze metody ucisku. „To, czego nasz przyjaciel nie dostrzegł w tych wszystkich zewnętrznych pozorach, to tragedia, jaka staje się codziennie udziałem tych pracowników, którzy stopniowo są zwalniani z pracy” – pisał Schweitzer. Powołał się na przykład berlińskich domów towarowych, których właścicielami i pracownikami byli najczęściej Żydzi. „Widać wprawdzie, że w jakimś sklepie żydowskim jest jak zwykle pełno klientów nie-Żydów i Żydów. Ale już w sąsiednim sklepiku można łatwo zaobserwować, że nie zatrudnia się tam ani jednego pracownika pochodzenia żydowskiego”. Sytuacja ta wyglądała różnie w poszczególnych zbiorowościach. W jednym mieście Żydzi mogli być wyjęci spod prawa, w innym zaś Żydzi i nie-Żydzi wciąż „żyli obok siebie jako sąsiedzi i oddawali się swoim zajęciom bez przeszkód”.

Schweitzer zauważał też rozbieżne punkty widzenia wśród przywódców berlińskich Żydów. „Jedni głosili, że nie ma żadnej nadziei, że sprawy muszą przybrać gorszy obrót” – pisał. „Drugie stanowisko natomiast jest dokładnie przeciwstawne, choć równie zdecydowane, mianowicie zaleca myślenie w kategoriach marca 1934 roku, nie zaś marca 1933 roku, pogodzenie się z aktualną sytuacją, zaakceptowanie tego, co nieuniknione, przystosowanie się do życia w ściśle określonym środowisku i żywienie nadziei, że skoro sprawy w okresie od marca 1933 do marca 1934 roku zmieniły się na lepsze, to później też będzie lepiej”.

Nieustanne zapewnienia Hitlera, że pragnie pokoju, były najzwyczajszym bałamuctwem. Każdy,

którego zapuścił się tylko trochę poza Berlin, rozumiał to od razu. Raymond Geist, pełniący obowiązki konsula generalnego, podróże takie odbywał rutynowo, nierzadko na rowerze. „Pod koniec roku 1933 podczas moich częstych przejażdżek widziałem na terenach wokół Berlina przy niemal każdej głównej drodze wychodzącej z miasta nowe i wielkie obiekty wojskowe, w tym urządzenia ćwiczebne, lotniska, koszary, poligony, punkty obrony przeciwlotniczej i tym podobne”^[519].

Nawet nowo przybyły pracownik ambasady Jack White dostrzegał prawdziwy charakter tego, co go otacza. „Każdy, kto wybierze się na niedzielną wycieczkę na wieś, zauważy brunatne koszule ćwiczące po lasach”^[520] – napisał do swojego szwagra Moffata.

White ze zdumieniem dowiedział się, że młoda córka jednego z jego znajomych miała obowiązek w każdą środę po południu oddawać się sztuce rzucania ręcznym granatem.

Pozorna normalizacja, jaka panowała w Niemczech, była też parawanem dla przybierającego na sile konfliktu pomiędzy Hitlerem a Röhmem. Dodd i inni ludzie, którzy spędzili już w Niemczech trochę czasu, świetnie wiedzieli, że zamiarem Hitlera jest zwiększenie liczebności regularnej armii, reichswery, mimo wyraźnych zakazów zawartych w traktacie wersalskim. Było też jasne, że kapitan Röhm z SA chce, aby zwiększenie liczebności oznaczało również włączenie do armii całych jednostek SA, co stanowiło część jego kampanii na rzecz przejęcia kontroli nad wojskiem. Minister obrony Blomberg oraz główni dowódcy armii nie znosili Röhma i gardzili jego nieokrzesanymi legionami ubranych w brunatne koszule szturmowców. Także Göring nienawidził Röhma i w jego dążeniu do władzy widział zagrożenie dla swojej kontroli nad niemieckimi siłami powietrznymi, swoją radością i dumą, które właśnie po cichu, lecz energicznie, budował.

Wciąż jednak pozostawało niejasne, jak na rzecz całą zapatruje się Hitler. W grudniu 1933 roku mianował on Röhma członkiem swojego gabinetu. W sylwestra przesłał mu serdeczne życzenia, opublikowane przez prasę, w których wychwalał jego skuteczność i długoletnie oddanie dla sprawy organizowania legionów. „Musisz wiedzieć, że jestem wdzięczny przeznaczeniu, które pozwoliło mi takiego człowieka jak Ty nazywać swoim przyjacielem i towarzyszem broni”^[521].

A jednak niedługo potem Hitler rozkazał Rudolfowi Dielsowi przygotować raport na temat gwałtów popełnionych przez SA oraz homoseksualnych praktyk Röhma i ludzi z jego otoczenia^[522]. Diels twierdził później, że Hitler poprosił go także o zabicie Röhma i paru innych „zdradców”, on jednak odmówił.

Prezydent Hindenburg, rzekomo ostatnia bariera przed Hitlerem, wydawał się nieświadom owej zakulisowej rozgrywki. W dniu 30 stycznia 1934 roku wydał publiczne oświadczenie z gratulacjami dla Hitlera, z powodu „wielkich postępów”, jakie poczyniły Niemcy w minionym roku, to jest od momentu, gdy został kanclerzem. „Jestem przekonany”^[523] – pisał prezydent – „że w

bieżącym roku Pan i Pańscy współpracownicy będziecie udanie kontynuować – i z Bożą pomocą skutecznie zrealizujecie – wielkie dzieło odbudowy Niemiec, które Pan z taką energią zapoczątkował na bazie nowej, szczęśliwie osiągniętej jedności narodu niemieckiego”.

Rozpoczynał się więc ów rok iluzją lepszych czasów – dla Doddów dodatkowo kolejną rundą przyjęć i bankietów. W kopertach przychodziły drukowane karty z oficjalnymi zaproszeniami, a po nich jak zawsze plan rozmieszczenia gości za stołem. Przywódcy nazistowscy faworyzowali krępujące gości ustawienie stołów, w ten sposób, że tworzyły one wielką prostokątną podkowę – gości sadowano na jej wewnętrznych i zewnętrznych krawędziach. Ci, których posadzono na flance wewnętrznej, spędzali wieczór w otchłaniach towarzyskiego dyskomfortu, ponieważ inni mogli ich swobodnie obserwować z tyłu. Jedno z takich zaproszeń dla Dodda i jego rodziny przyszło od ich sąsiada, kapitana Röhma.

Martha zachowała kopię planu rozmieszczenia gości. Röhm, jako *Hausherr*, czyli gospodarz, zasiadał u szczytu podkowy i dysponował pełnym widokiem na każdego, kto siedział przed nim^[524]. Dodd znajdował się po prawej stronie Röhma, na honorowym miejscu. Dokładnie naprzeciwko Röhma, w najbardziej krępującym miejscu podkowy, siedział Heinrich Himmler, który Röhma nie cierpiał.

^[508] Tobias, s. 268.

^[509] Lochner, 26 XII 1933, Round Robin Letters, skrzynka nr 6, dokumentacja Lochnera.

^[510] Wheaton, s. 430.

Diels – choć uważał obozy za rzecz odrażającą – nie działał wyłącznie z pobudek altruistycznych. Zdawał sobie sprawę, że amnestia będzie mieć ogromne znaczenie polityczne – wpłynie pozytywnie na wizerunek Hitlera zarówno w Niemczech, jak i poza ich granicami. Ale wiedział też niewątpliwie, iż zostanie przyjęta przez Himmlera jako osobisty afront, ponieważ to SS zarządzało obozami, i że już z tego jednego powodu pomysł ten spodoba się Göringowi. Hitler i Göring przychyliłi się do wniosku Dielsa, zastrzegając, że Dachau pozostanie wyjęte spod prawa amnestii oraz że liczba więźniów amnestionowanych będzie ograniczona. Diels uzyskał uprawnienia, na mocy których mógł decydować, kogo należy zwolnić. Rozporządzenie zostało ogłoszone przez Göringa – poinformował on, że ogółem zwolnionych zostanie 5 tysięcy więźniów. W rzeczywistości amnestia okazała się zakrojona na mniejszą skalę, niż można by sądzić na podstawie dekretu Göringa. Wiele obozów zlokalizowanych poza terenem Prus nie zostało wziętych pod uwagę, a łączna liczba uwolnionych była niższa od tej, którą obwieścił Göring. Co więcej, tylko w samych Prusach planowano zwiększenie liczby osadzonych w tamtejszych obozach o 8 tysięcy. Crankshaw, s. 45–47; Wheaton,

[511] Dodd, *Dziennik*, s. 67.

[512] tamże, s. 66.

[513] Tobias, s. 284.

[514] Phipps, s. 40.

[515] Martha w liście do Thorntona Wildera, 14 XII 1933, dokumentacja Wildera.

[516] Fritzsche, s. 57; Miller, s. 66–67, s. 136.

[517] Krausnick i inni, s. 419.

Na postępującą normalizację wskazywał też sposób, w jaki władze niemieckie podeszły do kolejnego ataku na Amerykanina. Miał on miejsce 15 stycznia 1934 roku. W ów zimny, deszczowy poniedziałek obywatel amerykański Max Schussler, żyjący w Berlinie z wynajmu nieruchomości, wtoczył się do konsulatu przy Bellevuestrasse, „obficie krwawiąc”, jak podaje w swojej relacji Raymond Geist, który pełnił wówczas, pod nieobecność Messersmitha przebywającego w Ameryce, obowiązki konsula generalnego. Schussler był Żydem. Nazajutrz rano, po konsultacji z Doddem, Geist udał się do Komendy Głównej Gestapo i wniósł protest bezpośredni do Rudolfa Dielsa. W ciągu 48 godzin napastnika aresztowano, osądzono i skazano na siedem miesięcy pozbawienia wolności. Co więcej, informacje o aresztowaniu i wyroku zostały szeroko nagłośnione przez radio i artykuły w gazetach. Geist raportował do Waszyngtonu: „To wielka satysfakcja widzieć, jak szybko władze niemieckie działają (...). Wierzę, że ataki te przestaną się już powtarzać”. Mylił się, jak miało się z czasem okazać, ale przynajmniej w tym momencie można było odnieść wrażenie, że władze po raz pierwszy czynią starania, aby pozyskać sobie przychylność Ameryki.

W rozmowie Geista z Dielsem pojawił się jednak pewien przykry element. Szef Gestapo skarżył się, że Schussler i niektórzy inni Amerykanie, którzy padli ofiarą napaści, nie są „do końca mile widzianą grupą” – wspominał Geist uwagi wygłoszone przez Dielsa. Aluzja była oczywista, dobry humor Geista natychmiast się ulotnił. „Powiedziałem mu” – zapisał – „że nigdy nie bierzemy pod uwagę niczego innego, tylko fakt posiadania obywatelstwa amerykańskiego, oraz że kwestia rasy czy pochodzenia nie ma absolutnie żadnego znaczenia, ponieważ każdy bez wyjątku obywatel USA ma prawo do pełnej ochrony ze strony Rządu Amerykańskiego”. Geist w liście do Hulla, 16 I 1934, P 362.1113 Schussler Max/1, State/Decimal; Geist w liście do Hulla, 18 I 1934, 362.1113 Schussler Max/8 GS, State/Decimal.

[518] Gilbert L. MacMaster do Clarence’a E. Picketta, 12 II 1934, tom 2, s. 58–59, *Archiwum Holokaustu*.

Deschner w biografii Reinharda Heydricha pisze, że w tej początkowej fazie „Żydów więziono

w Dachau nie dlatego, że byli Żydami, lecz za to, że stawiali czynny polityczny opór narodowemu socjalizmowi, albo dlatego, że byli komunistami czy dziennikarzami wrogo nastawionymi do nazizmu, albo też »reakcjonistami«. Deschner, s. 79.

[519] Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Rozdzielczy (przyp. tłum.).

[520] Noakes i Pridham, s. 284–286. 275. „Jakikolwiek uzalanie się nad »wrogami Państwa«...”: Krausnick i inni, s. 433. 275. „miasto sprawiało na pozór...”: Memorandum, David Schweitzer do Bernharda Kahna, 5 III 1934, tom. 10, s. 20–30, *Archiwa Holokaustu*. 275. Mniej więcej 10 tysięcy Żydów...: Dippel, s. 114; Breitman i Kraut, s. 245.

[521] Zeznanie Raymonda Geista, *Spisek i agresja nazistowska*, tom 4, dokument nr 1759-PS, projekt Avalon, Wydział Prawa Uniwersytetu Yale.

Rzekomo tajne zbrojenia prowadzone przez Niemcy z pogwałceniem ustaleń traktatu wersalskiego dla berlińczyków nie były żadnym sekretem, czego dowodzi wówczas bardzo popularny dowcip. Brzmiał on następująco:

Pewien człowiek poskarżył się przyjacielowi, że nie ma pieniędzy na kupno wózka dla nowo narodzonego dziecka. Tak się składało, że przyjaciel ów pracował w fabryce produkującej wózki, obiecał więc, że wyniesie chyłkiem wszystkie części składowe, aby świeżo upieczony tata sam zbudował wózek dla dziecka. Ale kiedy spotkali się po jakimś czasie, mężczyzna wcale nie miał wózka, a dziecko trzymał na ręku.

Zatrudniony w fabryce przyjaciel był zdumiony; chciał wiedzieć, dlaczego ojciec dziecka nie korzysta wcale z wózka, który sobie poskładał.

„No cóż” – odpowiedział młody ojciec – „wiem, że nie jestem zbyt bystry i nie znam się za bardzo na mechanice, ale trzy razy składałem wszystko do kupy i za każdym razem wychodził mi karabin maszynowy!” Wheeler-Bennett, *Nemezis*, s. 336.

[522] John Campbell White do Jaya Pierreponta Moffata, 27 XI 1933, dokumentacja Carra.

[523] Gallo, s. 7–8; Gisevius, s. 171. Gallo i Gisevius prezentują dwa nieco odmiennie brzmiące przekłady życzeń Hitlera. Wybrałem wersję Gallo, ale bez jakiegos szczególnego uzasadnienia.

[524] Diels, s. 385–389; Diels, Zeznanie złożone pod przysięgą, według książki Stackelberga i Winkle’a, s. 133–134; Wheaton, s. 439; Metcalf, s. 235–236.

Rozdział 29

Strzały z ukrycia

W Waszyngtonie podsekretarz Phillips wezwał do swego gabinetu Jaya Pierreponta Moffata, „aby odczytać mu całą serię listów od ambasadora Dodda”^[525] – jak zanotował w dzienniku Moffat. Były wśród nich ostatnie pisma, w których Dodd ponownie skarżył się na zamożność niektórych urzędników służby dyplomatycznej oraz liczbę Żydów wchodzących w skład jego personelu^[526]. W jednym z listów ambasador ośmielał się sugerować, jak powinna wyglądać polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych. Kraj, uważał Dodd, musi wyzbyć się swojej dotychczasowej „usprawiedliwionej powściągliwości”^[527], ponieważ „kolejna walka na śmierć i życie w Europie dotknie nas wszystkich – zwłaszcza jeśli towarzyszyć jej będzie równoległy konflikt na Dalekim Wschodzie (co, jak sądzę, bierze się pod uwagę na różnych tajnych zebraniach)”. Dodd uznawał za słuszną niechęć Kongresu do wpłatania się w sprawy zagranicy, ale dodawał: „Myślę jednak, że liczą się przede wszystkim fakty, nawet jeśli bardzo nam się nie podobają”.

Mimo że Phillips i Moffat byli rozczarowani Doddem, zdawali sobie sprawę, że ich władza nad nim jest ograniczona ze względu na relacje, jakie łączyły Dodda z Rooseveltem. Fakt ten pozwalał Doddowi obchodzić Departament Stanu i komunikować się bezpośrednio z prezydentem, ilekroć sobie tego życzył. Teraz, siedząc w gabinecie Phillipsa, obaj panowie czytali listy Dodda i kręcili głowami. „Jak zwykle”^[528] – zapisał Moffat w dzienniku – „on jest niezadowolony ze wszystkiego”. W jednym z pism Dodd określił dwóch urzędników ambasady jako „kompetentnych, ale bez kwalifikacji” – na co Moffat się zachnął: „Co to w ogóle znaczy?”.

W środę 3 stycznia Phillips sporządził pismo, w którym – w tonie chłodnym i wyniosłym – odpowiadał na wybrane zastrzeżenia Dodda. Jedno z nich dotyczyło przeniesienia bratanka

Phillipsa, Orme'a Wilsona, do Berlina. Przyjazd Wilsona w listopadzie wywołał niepokój i wzmógł wewnętrzną rywalizację wśród personelu ambasady. Teraz Phillips strofował Dodda za to, że nie poradził sobie z sytuacją. „Mam nadzieję, że nie będzie dla Pana zbyt trudnym zadaniem zatamowanie dalszych sporów o niepożądanym charakterze pomiędzy członkami Pańskiego personelu”^[529].

Jeśli chodzi o ciągle uskarżanie się Dodda na styl pracy i kwalifikacje urzędników służby dyplomatycznej, Phillips napisał: „Wyznam, że nie wiem, jak mam rozumieć Pańskie zdanie, iż »ktos w departamencie zachęca ludzi do przyjmowania niewłaściwych postaw i sposobu prowadzenia się«”^[530].

Dalej Phillips cytował niegdysiejsze stwierdzenie Dodda, że wśród personelu urzędniczego ambasady jest zbyt wielu Żydów, i oświadczał, że jest „niewielki skonfundowany” próbą rozwiązania tej sprawy. Oóż Dodd pisał mu wcześniej, że nie chce nikogo przenosić, teraz jednak najwyraźniej zmienił zdanie. „Czy życzy Pan sobie jakichś transferów?” – zapytywał Phillips. I dodał: „Jeśli (...) kwestia rasowa wymaga interwencji w świetle szczególnych warunków panujących w Niemczech, Departament Stanu może to uczynić bez żadnego problemu, ale tylko po jednoznacznych rekomendacjach z Pańskiej strony”.

W tę samą środę w Berlinie Dodd napisał do Roosevelta list, który uważał za tak delikatny, że nie tylko sporządził go odręcznie, lecz także wysłał najpierw do swego przyjaciela, pułkownika House'a, tak aby ten wręczył go prezydentowi osobiście. Dodd domagał się usunięcia Phillipsa ze stanowiska podsekretarza stanu i przeniesienia go na inne, może jakiegoś ambasadora. Sugerował Paryż i dodawał, że wyjazd Phillipsa z Waszyngtonu „ograniczy choć trochę panujące tam kumoterstwo”^[531].

Dodd napisał: „Proszę nie sądzić, że mam w tym jakiś własny interes albo poczucie osobistej urazy. Mam nadzieję” – nadzieję! – „że jedynym motywem napisania [tego] listu jest dobro publiczne”.

^[525] Kershaw, *Myth*, s. 63.

^[526] Rozlokowanie gości, 23 II 1934, „Zaproszenia”, skrzynka nr 1, dokumentacja Marthy Dodd.

^[527] Moffat, *Dziennik*, 26 XII 1933.

^[528] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 14 XII 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E. Dodda. Dodd napisał ten list odręcznie, umieszczając w nagłówku adnotację „tylko dla Pana”.

^[529] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 14 XII 1933, skrzynka nr 42, dokumentacja W. E.

Dodda. List ów, choć datowany tak samo jak ten cytowany bezpośrednio wyżej, wyraźnie różni się odeń formą i treścią. Jest napisany na maszynie i oznaczony jako „poufny i osobisty”.

[530] Moffat, *Dziennik*, 26 XII 1933.

[531] William Phillips w liście do Dodda, 3 I 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 30

Przeczcucie

O soba Borysa coraz bardziej pochłaniała Marthę. Jej francuski kochanek, Armand Berard, odstawiony na boczny tor, rozpaczał. Także Diels był na drugim planie, jakkolwiek nadal często dotrzymywał jej towarzystwa.

Na początku stycznia Borys zaprosił Marthę na randkę, która miała się okazać jedną z najbardziej romantycznych, jakie kiedykolwiek przeżyła^[532]. Nic tego jednak nie zapowiadało – Borys poprosił jedynie, aby włożyła jego ulubioną sukienkę: ze złotego jedwabiu, bez ramion, z głębokim dekoltem, zwężającą się w talii. Jako dodatki dobrała bursztynowy naszyjnik oraz dostarczony przez Borysa bukietik gardenii, który przypięła do sukni.

Kamerdyner Fritz powitał Borysa w drzwiach wejściowych, zanim jednak zdołał go zaanonsować, Rosjanin wielkimi susami pokonał schody i dostał się na pierwsze piętro. Fritz podążył za nim. Martha szła właśnie przez hol w kierunku schodów, jak napisała w swojej szczegółowej relacji z owego wieczoru. Ujrawszy ją, Borys ukląkł na jedno kolano.

„*Oh, my darling!*” – powiedział po angielsku. Po czym po niemiecku dodał: – „Wyglądasz cudownie”.

Była zachwycona i lekko zakłopotana. Fritz uśmiechał się szeroko. Borys poprowadził Marthę do swojego forda – dach był litościwie uniesiony, dla ochrony przed zimnem – po czym pojechali do restauracji Horchera przy Lutherstrasse, kilka przecznic na południe od Tiergarten. Była to jedna z najświetniejszych restauracji w Berlinie, specjalizująca się w daniach z dziczyzny, uważana za ulubiony lokal Göringa. W nowelce z 1929 roku znanej wówczas pisarki Giny Kaus restauracja ta została uwieczniona jako miejsce, do którego należy się wybrać, jeśli chce się kogoś uwieść^[533]. Goście siedzieli na obitych skórą ławkach przy kilku stolikach; jeśli mieli szczęście, mogli zobaczyć Göringa w jednym z jego olśniewających mundurów na każdą okazję. Bywali tam niegdyś rozmaici

pisarze, artyści, muzycy oraz prominentni finansisi i uczeni żydowscy, jednak w większości zdążyli już wyemigrować albo znajdowali się w izolacji, której warunki nie pozwalały na spędzanie wystawnych wieczorów na mieście. Jednak sama restauracja przetrwała, jakby obojętna na zachodzące w otaczającym ją świecie zmiany.

Borys zarezerwował osobną salkę, w której zjedli wystawny posiłek składający się z wędzonego łososia, kawioru, zupy żółwiowej oraz kurczaka przyrządzonego w zdobywającym sobie popularność stylu „kijowskim”. Na deser podano krem bawarski wzmocniony brandy. Pili szampana i wódkę. Martha była zachwycona jedzeniem, napojami, elegancją lokalu, ale jednocześnie czuła się zakłopotana. „Po co to wszystko, Borysie?” – spytała. – „Co świętujemy?”

W odpowiedzi uśmiechnął się tylko. Po kolacji skierowali się ku północnej części miasta i skręcili w Tiergartenstrasse, jakby mieli zamiar wrócić do domu Doddów. Borys jednak nie zatrzymał się i jechał dalej. Sunęli wzdłuż ciemnej zadrzewionej granicy parku aż do Bramy Brandenburskiej i ulicy Unter den Linden; szeroką na 70 metrów arterię wypełniały samochody, których światła zmieniały ją w strumień platyny. Borys zatrzymał wóz w odległości jednej przecznicy na wschód od Bramy, przy sowieckiej ambasadzie na Unter den Linden 7. Poprowadził Marthę do wnętrza budynku, przez szereg korytarzy, a następnie schodami w górę, do nieoznaczonych drzwi.

Uśmiechnął się i otworzył je, po czym odsunął się, żeby ją przepuścić. Włączył stojącą na stoliku lampę i zapalił dwie czerwone świece. Początkowo pokój skojarzył się Marcie ze studencką stancją albo akademikiem, choć Borys dołożył wcześniej wszelkich starań, aby tak nie było. Ujrzała krzesło z prostym oparciem, dwa fotele i łóżko. Ponad poduszką znajdował się wyszywany kilim, który – jak powiedział Borys – pochodził z Kaukazu. Stolik przy oknie zajmował samowar.

W szafce na książki ustawionej w jednym z rogów pomieszczenia Martha zauważyła zbiór fotografii Włodzimierza Lenina, skupionych wokół jednego dużego portretu. Lenina przedstawiono tutaj w sposób, którego Martha nigdy wcześniej nie widziała, jak dobrego kolegę złapanego w przypadkowym ujęciu, nie zaś srogiego wodza znanego z sowieckiej propagandy. Leżało tu również sporo broszur w języku rosyjskim opatrzonych błyskotliwym tytułem (jak jej przetłumaczył Borys): *Drużyny inspekcji robotniczo-chłopskiej*. Był to „kącik leninowski” Borysa, sowiecki odpowiednik kapliczki ze świętymi obrazami, zgodnie z tradycją wiszącymi na ścianach domów rosyjskich wyznawców prawosławia. „Mój naród, jak może czytałaś w rosyjskich powieściach, które tak kochasz, wiesział i wciąż wiesza ikony w rogu pokoju” – powiedział Marcie. – „Ale ja jestem Rosjaninem nowoczesnym, komunistą!”

W drugim kącie zauważyła jeszcze jedną kapliczkę, tym razem poświęconą jej samej. Borys nazywał to „kąciem Marthy”. Na małym stoliku stało jej zdjęcie, odbijając migotliwy blask jednej z czerwonych świec. Borys położył tu także kilka listów i kolejne fotografie Marthy. Jako fotograf entuzjasta robił wiele zdjęć w trakcie ich wspólnych wypadów w okolice Berlina. Nie brakowało też

innych pamiątek – lnianej chusteczki, którą mu kiedyś dała, owej lodyżki dzięki mięty z pikniku we wrześniu 1933 roku, zasuszonej, lecz wciąż wydzielającej słaby zapach. A także rzeźbionej drewnianej figurki przedstawiającej zakonnicę, którą Martha przesłała mu w odpowiedzi na jego trzy małpki „niewidzące zła” – tyle że Borys przyozdobił ją małą aureolą wykonaną ze złotego drutu wysokiej jakości.

W ostatnim czasie w świątyni Marthy pojawiły się szyszki i świeżo ucięte zielone iglaste gałązki, które wypełniały pokój zapachem lasu. Jak oświadczył Borys, miały one symbolizować fakt, że jego miłość do niej jest „wiecznie zielona”.

„Mój Boże, Borysie” – zaśmiała się – „ty jesteś romantykiem! Czy to aby na pewno wypada, żeby twardy komunista taki jak ty był romantykiem?”

„Oprócz Lenina” – odpowiedział – „ciebie kocham najbardziej”. Pocałował ją w odsłonięte ramiona i nagle stał się poważny. – „Ale gdybyś jeszcze nie rozumiała” – rzekł – „moja partia i kraj zawsze są na pierwszym miejscu”.

Ta nagle zmiana, wyraz jego twarzy – Martha ponownie się roześmiała. Oświadczyła Borysowi, że rozumie. „Mój ojciec myśli o Tomaszu Jeffersonie mniej więcej to samo co ty o Leninie” – powiedziała.

Komitywa pomiędzy nimi rosła, kiedy nagle drzwi otworzyły się cicho i do pokoju wkroczyła jasnowłosa dziewczynka, zdaniem Marthy wyglądająca na dziewięć lat. Martha od razu domyśliła się, że to córka Borysa. Miała oczy dokładnie takie jak ojciec – „nadzwyczajne, błyszczące” – choć pod innymi względami zupełnie go nie przypominała. Jej twarz była pospolita, brakowało w niej owej niepohamowanej radości życia, jaka cechowała ojca dziewczynki. Wyglądała posepnie. Borys wstał i podszedł do niej.

„Dlaczego tu jest tak ciemno?” – spytało dziecko. – „Nie podoba mi się to”.

Mówiła po rosyjsku, Borys tłumaczył. Martha podejrzewała, że dziewczynka zna niemiecki, ponieważ chodziła w Berlinie do szkoły, i że po rosyjsku mówi teraz z czystej przekory.

Borys włączył główne światło w pokoju – była to nieosłonięta niczym żarówka. Ostry blask roznił romantyczną atmosferę, jaką udało mu się stworzyć za pomocą świec i „kapliczek”. Kazał dziewczynce przywitać się z Martha, co ta uczyniła, choć z wyraźną niechęcią. Martha uznała, że wrogość dziecka jest przykra, lecz zrozumiała.

Dziewczynka spytała ją po rosyjsku: „Dlaczego pani jest tak ubrana?”.

Borys wyjaśnił, że to jest właśnie ta Martha, o której jej opowiadał. Ubrana jest tak ładnie, mówił, ponieważ to jej pierwsza wizyta w ambasadzie sowieckiej, czyli szczególna okazja.

Dziewczynka taksowała Marthę. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. „Jest bardzo ładna” – rzekła – „ale za chuda”.

Borys oświadczył, że mimo to Martha jest zdrowa.

Spojrzał na zegarek. Była już prawie dziesiąta. Posadził sobie córkę na kolanach, przytulił ją do siebie i delikatnie przecesał dłonią jej włosy. Rozmawiali o rzeczach banalnych, a dziewczynka wpatrywała się w Marthę. Po chwili Borys przestał głaskać małą po włosach i mocno ją objął, co stanowiło sygnał, że czas już do łóżka. Dygnęła, po czym cicho i wstrzemięźliwie powiedziała po niemiecku: „Auf Wiedersehen, Fräulein Martha”.

Borys wziął dziewczynkę za rękę i wyprowadził ją z pokoju.

Pod jego nieobecność Martha mogła przyjrzeć się kwaterze dokładniej, i robiła to dalej, także gdy Borys powrócił. Od czasu do czasu rzucała mu spojrzenie.

„Lenin był bardzo ludzki” – powiedział, uśmiechając się. – „On by zrozumiał twój kącik”.

Leżeli na łóżku, obejmując się. Borys opowiadał jej o swoim życiu – jak opuścił ich ojciec, jak w wieku 16 lat wstąpił do Gwardii Czerwonej. „Chcę, żeby moja córka miała łatwiejsze życie” – rzekł. Tego samego pragnął też dla swojego kraju. „My mieliśmy tylko tyranie, wojnę, rewolucję, terror, wojnę domową, głód. Jeśli nie zostaniemy ponownie zaatakowani, możemy mieć szansę na zbudowanie czegoś nowego i wyjątkowego w historii ludzkości. Rozumiesz?”

Gdy mówił, niekiedy po jego policzkach spływały łzy. Martha była już do tego przyzwyczajona. Borys opowiadał jej teraz o swoich marzeniach dotyczących przyszłości.

„Wtedy przytulił mnie mocno do siebie” – zapisała. „Od obojczyka po pępek jego ciało pokryte było włosami koloru miodu, miękkimi jak puch (...). Naprawdę, to było coś pięknego, dawało mi głębokie doznanie ciepła, komfortu i bliskości”.

Wieczór mijał. Borys przygotował herbatę i podał ją zgodnie z tradycją – w przejrzystych szklankach umieszczonych w metalowych uchwytach.

„Kochanie” – rzekł – „przez ostatnie kilka godzin miałaś okazję nieco poczuć, jak smakuje rosyjski wieczór”.

„Czy mogłabym mu powiedzieć” – zapisała później Martha – „że był to jeden z najdziwniejszych wieczorów w moim życiu?” Przeczucie czegoś złego zatruwało jej radość. Zastanawiała się, czy Borys, angażując się tak bardzo w ten związek – ze „świątynią” ku jej czci w budynku ambasady, z zuchwalstwem zaproszenia jej do swojej kwatery – nie pogwałcił jakiegoś niepisanego zakazu. Wyczuwała, iż obserwują ich „nieprzyjazne oczy”. „Miałam wrażenie” – wspominała Martha – „jakby mroczny wicher wtargnął nagle do pokoju”.

Borys odwiózł ją do domu późną nocą.

[532] tamże.

[533] Dodd w liście do Roosevelta, 3 I 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dorda.

Rozdział 31

Nocny terror

W życiu rodziny Doddów zaszła subtelna zmiana. O ile kiedyś czuli się w domu swobodnie i mogli wypowiadać się na dowolny temat, o tyle teraz doświadczali nowego, nieznanego wcześniej skrupowania. Fakt ten wiązał się z ogólną atmosferą zniewolenia wypełniającą całe miasto rozciągające się poza murami ich ogrodu. Od niedawna powtarzano tam sobie następującą historyjkę: pewien człowiek zatelefonował do znajomego i podczas rozmowy zadał mu pytanie: „Jak tam wujek Adolf?”^[534]. Niebawem do jego drzwi zastukali funkcjonariusze tajnej policji, domagając się udowodnienia, że naprawdę ma wujka Adolfa oraz że pytanie to nie było zakamuflowanym odniesieniem do Hitlera. Niemcy coraz niechętniej rezerwowali też miejsca w ogólnodostępnych schroniskach narciarskich, bojąc się, że we wspólnej sali mogą coś powiedzieć przez sen. Przekładano operacje chirurgiczne ze względu na oszałamiające działanie leków uspiających, które mogły wywołać niechciane wypowiedzi. Także to, co się ludziom śniło, świadczyło o ogólnym załęknienu. Pewien Niemiec miał sen, że jakiś SA-man wchodzi do jego domu i otwiera drzwiczki piekarnika, a ten piekarnik zaczyna mu powtarzać każdą negatywną uwagę na temat władz wygłoszoną wcześniej przez domowników^[535]. Mieszkający przez pewien czas w nazistowskich Niemczech Thomas Wolfe pisał: „Oto cały naród (...) zakazony był infekcją wszechobecnego strachu^[536]. Był to swego rodzaju postępujący paraliż, który wykrzywił i niszczył wszelkie relacje pomiędzy ludźmi”.

Oczywiście najbardziej odczuwali go Żydzi. Badania prowadzone w latach 1993–2001 wśród osób, które uciekły z Niemiec, przez historyków Erica A. Johnsona i Karla-Heinza Reubanda wskazują, że 33 procent respondentów odczuwało „ciągły lęk przed aresztowaniem”^[537]. Strachu doświadczała ponad połowa mieszkańców małych miejscowości. Jednakże większość obywateli nie-Żydów

twierdziła, że bała się tylko nieznacznie – w Berlinie na przykład zaledwie 3 procent badanych określiło odczuwany przez siebie strach przed aresztowaniem jako ciągły – ale ludzie ci nie czuli się też całkowicie spokojnie. Dla większości Niemców ów okres był tylko echem dawnej normalności. Coraz wyraźniej kształtowała się w nich świadomość, że prowadzenie normalnego życia „zależy od zaakceptowania reżimu nazistowskiego i kornego pochylenia głowy, od niezwracania na siebie uwagi”. Osoba gotowa się podporządkować, „zgłajszachtować”, była bezpieczna. Wspomniany sondaż wykazał również jednak istnienie zaskakującej tendencji u berlińczyków nie-Żydów do okazjonalnego sprzeciwu. Około 32 procent przyznało się do powtarzania antynazistowskich dowcipów, a 49 procent twierdziło, że słuchało nielegalnych rozgłośni radiowych z Wielkiej Brytanii i innych krajów^[538]. Jednakże tego rodzaju wykroczeń dopuszczano się wyłącznie w odosobnieniu bądź pośród zaufanych przyjaciół, rozumiano bowiem dobrze, że ich konsekwencje mogą być śmiertelnie niebezpieczne.

Dla Doddów wszystko to było początkowo czymś absolutnie nowym i tak nieprawdopodobnym, że aż śmiesznym. Martha roześmiała się, kiedy jej przyjaciółka Mildred Fish Harnack po raz pierwszy domagała się, aby poszły do łazienki i tam porozmawiały. Mildred wierzyła, że w łazienkach, jako pomieszczeniach skąpo umeblowanych, trudniej niż w zatłoczonym salonie ukryć urządzenia podsłuchowe. Nawet tam jednak „szeptała ledwie dosłyszalnie”^[539] – jak zanotowała Martha.

Rudolf Diels jako pierwszy unaoczniał Marcie niezbyt zabawną rzeczywistość wszechobecnej kultury inwigilacji nowych Niemiec. Pewnego dnia zaprosił ją do swego gabinetu i z wyraźną dumą pokazał sprzęt do nagrywania rozmów telefonicznych^[540]. Dał też do zrozumienia, że aparatura podsłuchowa została już zainstalowana w kancelarii ambasady amerykańskiej oraz w jej własnym domu. Wieść gminna niesła, że agenci nazistowscy ukrywali mikrofony w słuchawkach telefonicznych, żeby przejmować rozmowy prowadzone w sąsiednich pomieszczeniach. Któregoś dnia, późną nocą, Diels nieomal bezpośrednio potwierdził ten fakt. Wybrali się razem potańczyć. Później, odwołując się do domu, Diels poszedł z nią na piętro do biblioteki wypić drinka. Był niespokojny, pragnął porozmawiać. Martha wzięła do ręki dużą poduszkę i ruszyła przez pomieszczenie w kierunku biurka jej ojca. Zdumiony Diels spytał, co robi. Odparła, że zamierza nakryć poduszką telefon. Diels z wolna skinął głową, jak wspominała Martha, i „na jego wargach pojawił się złowieszczy uśmieszek”^[541].

Nazajutrz Martha opowiedziała o tym ojcu. Wiadomość zaskoczyła Dodda. Jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że przechwytywano pocztę i instalowano podsłuchy na liniach telefonicznych i telegraficznych, a także że prawdopodobnie założono podsłuch w kancelarii ambasady, to nie potrafił wyobrazić sobie władzy do tego stopnia bezczelnej, żeby umieszczać mikrofony

w prywatnych mieszkaniach dyplomatów. Mimo wszystko potraktował sprawę poważnie. Zdążył już zaobserwować tyle zaskakujących zachowań Hitlera i jego podwładnych, by nie mieć złudzeń. Jak wspominała Martha, jej ojciec wypełnił kartonowe pudło bawełną i używał go do zakrywania telefonu, ilekroć prowadzona w bibliotece rozmowa zbaczała na poufne tematy^[542].

Z czasem nieokreślony, amorficzny lęk zaczął przenikać życie codziennie Doddów, stopniowo je zmieniając. Zmiana następowała z wolna, pojawiała się niczym biała mgiełka wnikająca w każdą szczelinę. Wydawało się, że doświadczają tego wszyscy, którzy mieszkają w Berlinie. Każdy zastanawiał się teraz, z kim można zjeść lunch i jaką wybrać w tym celu kawiarnię czy restaurację, ponieważ plotka głosiła, że pewne lokale stanowią ulubiony cel agentów Gestapo – na przykład bar w Adlonie. Zatrzymywano się na rogach ulic nieco dłużej, żeby zobaczyć, czy ktoś widziany na ostatnim skrzyżowaniu nie pojawi się znowu. Nawet w najbardziej zaprzyjaźnionych kręgach mówiono teraz ostrożnie i zwracano uwagę na osoby wokół – nigdy wcześniej nic podobnego nie miało miejsca. U berlińczyków zaczęło się upowszechniać tak zwane „niemieckie zerknięcie”^[543] – *der deutsche Blick* – szybki rzut oka we wszystkich kierunkach po spotkaniu na ulicy kolegi czy znajomego.

Życie w domu Doddów cechowała coraz mniejsza swoboda zachowań. Szczególnie rosła ich nieufność wobec kamerdynera Fritza, który potrafił poruszać się bezgłośnie. Martha podejrzewała, że podsłuchuje jej rozmowy z przyjaciółmi i kochankami odwiedzającymi ją w domu. Gdy pojawiał się w trakcie jakiegoś spotkania w gronie rodzinnym, konwersacja zamierała albo stawała się bezładna – przy czym reakcja ta była niemal bezwiedna^[544].

Powrót z wakacji czy z weekendu zatrzymywała zawsze myśl, że podczas ich nieobecności prawdopodobnie zainstalowano nowe urządzenia podsłuchowe, jakby tych starych było mało. „Nie jest w ludzkiej mocy opisanie bez emocji tego wszystkiego, co szpiegowanie takie może wyrządzić istocie ludzkiej”^[545] – zanotowała Martha. Zwykle dyskusje przygasały – „zebrania rodzinne, wolność słowa oraz swoboda zachowań zostały tak ograniczone, że przestaliśmy w najmniejszym nawet stopniu przypominać normalną amerykańską rodzinę. Ilekroć chcieliśmy porozmawiać, musieliśmy zaglądać w kąty pomieszczeń i za drzwiami, uważać na telefon i mówić szeptem”. Całe to napięcie dawało się mocno we znaki matce Marthy. „W miarę upływu czasu i narastania terroru”^[546] – pisała – „jej uprzejmość i łaskawość wobec oficjeli nazistowskich, których zmuszona była spotykać, podejmować i zabawiać, stały się tak trudnym obowiązkiem, że ledwie mogła go udźwignąć”.

W końcu Martha sama zaczęła stosować najbardziej elementarny kod komunikowania się ze znajomymi, co było coraz częstszą praktyką w całych Niemczech^[547]. Jej przyjaciółka Mildred pisała do domu szyfrowane listy, w których sens zdań był dokładnie przeciwny znaczeniu

poszczególnych słów^[548]. Osoby z zewnątrz miały spore trudności ze zrozumieniem, że praktyki te są czymś zwyczajnym, a jednocześnie niezbędnym. Przyjaciel Doddów, amerykański profesor Peter Olden, 30 stycznia 1934 roku napisał do ambasadora list z informacją, że otrzymał był wiadomość od swojego mieszkającego w Niemczech szwagra, w której ten opisuje rodzaj kodu, jaki zamierza stosować w dalszej korespondencji. Na przykład słowo „deszcz” miało w każdym kontekście znaczyć, że zamknięto go w obozie koncentracyjnym. Słowo „śnieg” oznaczało tortury. „To wydaje się absolutnie niwiarygodne”^[549] – pisał Olden do Doddów. „Jeśli Pańskim zdaniem chodzi tu w istocie o jakiś marny dowcip, proszę mi otwarcie o tym napisać w liście”.

Ostrożna odpowiedź Doddów mogłaby stanowić wzór, jak zrećźnie przemilczać pewne sprawy, ale sens był jasny. Ambasador był przekonany, że agenci niemieccy przechwytują i czytają nawet korespondencję dyplomatyczną. Jego coraz większym zmartwieniem stali się niemieccy pracownicy zatrudnieni przez konsulat i ambasadę. Szczególną uwagę kierownictwa przyciągał zwłaszcza jeden urzędnik: Heinrich Rocholl, długoletni pracownik, który pomagał przygotowywać raporty dla amerykańskiego attaché handlowego, mającego swoje biura na pierwszym piętrze konsulatu przy Bellevuestrasse. W czasie wolnym od pracy zajmował się tworzeniem pronazistowskiej organizacji pod nazwą Stowarzyszenie Byłych Niemieckich Studentów w Ameryce – wydawała ona pismo zatytułowane „Rundbriefe”. Nie tak dawno nakryto Rocholla, gdy próbował „ustalić zawartość poufnych raportów dla attaché handlowego”^[550] – jak napisał w swoim memorandum do Waszyngtonu Geist pełniący obowiązki konsula generalnego. „Rozmawiał on także z innymi niemieckimi członkami naszego personelu, którzy pomagają w tworzeniu raportów; dał im do zrozumienia, że w swojej pracy powinni się kierować dobrem obecnego reżimu”. W jednym z numerów „Rundbriefe” Geist znalazł artykuł, w którym „czyniono uwłaczające aluzje pod adresem ambasadora oraz pana Messersmitha”. Dla Geista była to kropla, która przełamała czarę. Powołując się na „akt otwartej nielojalności wobec zwierzchników”, Geist zwolnił Rocholla z pracy.

Dodd zdawał sobie sprawę, że aby naprawdę spokojnie i bezpiecznie z kimś porozmawiać, trzeba wybrać się do parku Tiergarten na spacer, co też czynił często – spotykał się tam ze swoim brytyjskim odpowiednikiem, sir Erikiem Phippem. „Będę szedł o godzinie 11.30 Hermann-Göring-Strasse, wzdłuż Tiergarten”^[551] – powiedział Dodd Phippsowi przez telefon o dziesiątej rano. – „Czy mógłby się pan tam ze mną spotkać i chwilę porozmawiać?” Innym razem to Phipps przesłał Doddowi odręczną notatkę z pytaniem: „Moglibyśmy spotkać się jutro w południe o godzinie dwunastej na Siegesallee, pomiędzy Tiergartenstrasse a Charlottenburger Chaussee, po prawej stronie (idąc ode mnie)?”^[552].

Nie wiadomo na pewno, czy w ambasadzie amerykańskiej oraz w domu Doddów faktycznie

zainstalowano urządzenia podsłuchowe, pozostaje jednak faktem, że rodzina Doddów czuła się inwigilowana na każdym kroku. Mimo coraz większego wpływu, jaki świadomość ta wywierała na ich życie, Doddowie wciąż uważali, że mają jedną istotną przewagę nad obywatelami niemieckimi – nie groziła im żadna fizyczna krzywda^[553]. Ale uprzywilejowanie, jakim cieszyła się Martha, nie oznaczało jeszcze, że chronieni są także jej przyjaciele. Fakt ten stanowił dla niej powód do szczególnych obaw, ponieważ mężczyźni i kobiety, z którymi się przyjaźniła, nie byli zwykłymi ludźmi.

Szczególną ostrożność musiała zachowywać w swojej relacji z Borysem – jako przedstawiciel rządu potępianego przez nazistów był on bez wątpienia inwigilowany – oraz z Mildred i Arvidem Harnackami, którzy stawali się coraz bardziej niechętni reżimowi nazistowskiemu i podejmowali pierwsze kroki w celu utworzenia luźnej grupy osób skłonnych dać odpór władzy. „Gdybym należała do ludzi, którzy są na tyle odważni albo lekkomyślni, żeby przeciwstawiać się Hitlerowi”^[554] – zapisała Martha w pamiętniku – „spędzałabym bezsenne noce na zastanawianiu się, czy moją rozmowę nagrał jakiś dyktafon albo telefon, lub czy ktoś za mną chodzi i mnie podsłuchuje”.

Zimą na przełomie lat 1933–1934 jej lęk przerodził się w przerażenie, które „graniczyło z histerią”^[555] – jak sama napisała. Nigdy wcześniej tak się nie bała. Leżała w swoim łóżku, w swoim pokoju, mając rodziców na piętze ponad sobą, całkowicie bezpieczna – a jednak, patrząc na tańczące po suficie cienie rzucane przez przyćmione uliczne latarnie za oknem, nie mogła uciec od przerażenia, które ją w tę noc ogarniało.

Słyszała, albo wydawało jej się, że słyszy, zgrzytanie podkutych butów na podjeździe za oknem, kroki skradające się i przerywane, jakby ktoś obserwował jej sypialnię. Za dnia liczne okna jej pokoju wpuszczały do wnętrza światło i kolory; nocą skazywały ją na bezbronność. Światło księżyca rzucało ruchome cienie na trawnik i ścieżki wokół domu, na wysokie słupy bramy wjazdowej. W niektóre noce wydawało jej się, że słyszy prowadzone szeptem rozmowy, a nawet odległe wystrzały; w ciągu dnia potrafiła to wszystko od siebie odrzucić, tłumacząc sobie, że to dźwięki wydawane przez wiatr poruszający zwirem i odgłosy samochodowych silników.

Wszystko jednak było możliwe. „Często odczuwałam takie przerażenie”^[556] – zapisała – „że zdarzało mi się budzić mamę i prosić, żeby przyszła spać do mojego pokoju”.

^[534] Raz jeszcze oparłem się w znacznym stopniu na niepublikowanych wspomnieniach Marthy dotyczących Borysa „Jasna droga ku ciemności”. I znów znalazłem w jej pamiętniku mnóstwo bezcennych detali. Kiedy piszę, że Borys uśmiechał się, otwierając drzwi swojego pokoju w ambasadzie, to dlatego, że wiem to od Marthy. Czy jej wspomnienia są rzeczywiście dokładne –

któż to wie? Ale to ona tam była, a ja sam z wielką radością zawieram jej świadectwu. Skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd.

[535] MacDonogh, s. 31.

[536] Memorandum, David Schweitzer do Bernharda Kahna, 5 III 1934, tom. 10, s. 20–30, *Archiwa Holokaustu*. Zob. także Grunberger, s. 27.

[537] Peukert, s. 237.

[538] Brysac, s. 186.

[539] Johnson i Reuband, s. 288, s. 355, s. 360.

[540] tamże, s. 357.

[541] Martha nie wymienia w tym miejscu Mildred z imienia – właściwie nigdzie nie wspomina o niej w swoim pamiętniku bezpośrednio, w obawie, iż mogłaby narazić ją oraz zawiązującą się wokół niej grupę oporu na niebezpieczeństwo. Jednakże wiele passusów z książki Marthy pod tytułem *Through Embassy Eyes*, kiedy zestawia je z innymi materiałami w dotyczącej jej dokumentacji w Bibliotece Kongresu, wyraźnie wskazuje na osobę Mildred. Dodd, *Embassy Eyes*, s. 277.

[542] tamże, s. 53.

[543] tamże, s. 55.

[544] tamże, s. 55.

[545] Evans, *Power*, s. 105; Grunberger, s. 338.

[546] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 56, s. 145, s. 147, s. 274, s. 278. Zob. także „Jasna droga ku ciemności”, skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd.

[547] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 277.

[548] tamże, s. 368.

[549] tamże, s. 276.

[550] Brysac, s. 130.

Kolejny przykład: w książce *Beyond Tears* Irmgard Litten pisze o udrękach, jakie znosił jej syn Hans schwytany przez Gestapo. Wspomina tam o kodzie, wedle którego „pierwsza litera czwartego wyrazu w każdym zdaniu miała stanowić element wiadomości”. Litten, s. 60.

[551] Peter Olden w liście do Dodda, 30 I 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

[552] Raymond Geist w liście do Hulla, 8 III 1934, 125.1953/655, State/Decimal.

[553] Dodd, *Dziennik*, s. 63.

[554] sir Eric Phipps do Dodda, 25 V 1935, skrzynka nr 47, dokumentacja W. E. Dodda.

[555] Messersmith twierdzi w swoim niepublikowanym pamiętniku, że „dwukrotnie omal nie został przejechany przez gestapowski samochód, a może należący do SA lub SS”. Do obu incydentów doszło, gdy próbował przejść przez ulicę nieopodal hotelu Esplanade; za każdy razem wielkie auto pędziło ku niemu wąską ulicą. Messersmith uważał, że kierowca czekał na niego. Messersmith „Dodatkowy akapit do memorandum na temat nastawiania na moje życie”, niepublikowany pamiętnik, dokumentacja Messersmitha.

[556] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 54.

Rozdział 32

Zapowiedź burzy

W lutym 1934 roku dotarła do Dodda plotka, że konflikt pomiędzy Hitlerem a kapitanem Röhmem znacząco się nasilił. Plotka ta miała solidne podstawy.

Pod koniec miesiąca Hitler wystąpił na spotkaniu wyższych oficerów SA (Röhma), SS (Heinricha Himmlera) oraz regularnej armii, reichswery. Obok kanclerza na podium znajdowali się Röhm i minister obrony Blomberg. W sali panowała napięta atmosfera. Wszyscy obecni wiedzieli o tłącym się konflikcie pomiędzy SA i armią i spodziewali się, że Hitler zabierze w tej sprawie głos.

Najpierw mówił kanclerz o zagadnieniach szerszej natury. Niemcy, oświadczył, potrzebują więcej miejsca dla własnego rozwoju, „większej przestrzeni życiowej dla zbyt dużej populacji”^[557]. I muszą być gotowe tę przestrzeń sobie wziąć. „Zachodnie mocarstwa nigdy nie ustąpią nam owej niezbędnej do życia przestrzeni” – mówił Hitler. – „Dlatego może być konieczne wykonanie szeregu rozstrzygających uderzeń – najpierw na Zachodzie, a potem na Wschodzie”.

Kontynuował jeszcze przez chwilę ten temat, po czym zwrócił się do Röhma. Wszyscy obecni w sali znali ambicje tego ostatniego. Kilka tygodni wcześniej Röhm oficjalnie zaproponował, żeby reichswera, SA i SS zostały skonsolidowane pod władzą jednego ministerstwa, sugerując jednoznacznie, choć nie wprost, że to on sam miałby stanąć na jego czele. Teraz, patrząc bezpośrednio na Röhma, Hitler powiedział: „SA musi ograniczyć się do realizowania swoich zadań politycznych”.

Wyraz twarzy Röhma pozostał obojętny. Hitler kontynuował przemówienie: „Minister wojny może zwrócić się do SA o dokonywanie kontroli granicznej oraz prowadzenie podstawowych szkoleń”.

To również było upokarzające. Hitler nie tylko wyznaczał SA zdecydowanie mało chwalebnią rolę

kontrolowania granic i prowadzenia szkoleń, lecz także jednoznacznie sprowadził Röhma do pozycji pośledniej wobec Blomberga – czynił go wykonawcą, nie dysponentem rozkazów. Röhm jednak i tym razem nie zareagował.

Hitler powiedział: „Oczekuję od SA lojalnego wykonywania powierzonych im obowiązków”.

Zakończywszy przemówienie, Hitler obrócił się do Röhma, wziął go pod ramię i uściśnął mu dłoń. Obaj spoglądali sobie w oczy. Było to wyreżyserowane, miało dowodzić pojednania. Hitler wyszedł. Odgrywając dalej swoją rolę, Röhm zaprosił zebranych oficerów na obiad do kwatery głównej. Na bankiecie, w typowym dla SA wystawnym stylu, na którym szampan lał się strumieniami, nie panowała wcale wesoła atmosfera. W odpowiednim momencie Röhm i jego SA-mani podnieśli się, dając do zrozumienia, że uroczysty obiad dobiegł końca. Trzasnęły obcasy, las ramion uniósł się w hitlerowskim pozdrowieniu, *szczęknęło Heil*, po czym dowódcy wojsk skierowali się ku wyjściu.

Röhm i jego ludzie pozostali. Dalej pili szampana, ale nastroje mieli ponure.

Dla Röhma uwagi Hitlera oznaczały zerwanie długoletniej współpracy. Zdawało się, że Hitler zapomniał o kluczowej roli, jaką Oddziały Szturmowe odegrały w jego walce o władzę.

Nie zwracając się do nikogo konkretnie, Röhm odezwał się: „To był nowy traktat wersalski”^[557]. Po chwili dodał: „Hitler? Gdybyśmy tylko mogli się pozbyć tego nędznego śmiecia”.

SA-mani posiedzieli jeszcze chwilę, wymieniając między sobą gniewne uwagi na temat przemówienia Hitlera. Świadkiem tych wszystkich wydarzeń był wyższy oficer SA Viktor Lutze, w którym wywołały one głębokie zaniepokojenie. Kilka dni później zameldował o tym Rudolfowi Hessowi, podówczas jednemu z najbliższych współpracowników Hitlera. Hess skłonił Lutzego, by spotkał się z Hitlerem osobiście i wszystko mu opowiedział.

Wysłuchawszy relacji Lutzego, Hitler rzekł: „Musimy pozwolić, żeby sprawa dojrzała”^[559].

^[557] tamże, s. 54.

^[558] tamże, s. 54.

^[559] Kershaw, *Hybris*, s. 504–505; Gallo, s. 81–82.

Rozdział 33

„Notatka z rozmowy z Hitlerem”

Radosne oczekiwanie Dodda na zbliżający się urlop zostało zakłócone przez dwa niespodziewane zadania do wykonania. Pierwsze z nich pojawiło się w poniedziałek 5 marca 1934 roku, kiedy to został wezwany do gabinetu ministra spraw zagranicznych Neuratha, który gniewnie domagał się powstrzymania fikcyjnego procesu sądowego Hitlera; miał się on odbyć za dwa dni w nowojorskim Madison Square Garden. „Rozprawę” zorganizował Amerykański Kongres Żydowski popierany przez Amerykańską Federację Pracy oraz kilkadziesiąt innych żydowskich i antynazistowskich organizacji. Pomyśl ten tak rozwścieczył Hitlera, że kazał Neurathowi i jego dyplomatom w Berlinie oraz w Waszyngtonie zrobić wszystko, aby nie dopuścić do procesu.

Polecenie kanclerza poskutkowało – wysłano wiele oficjalnych protestów, repliki i memoranda. Wszystko to dowodziło, że Niemcy są jednak wrażliwe na opinię świata, a jednocześnie zmuszało oficjeli amerykańskich, by starali się unikać bezpośredniego krytykowania Hitlera i jego partii. Owa narzucona sobie powściągliwość byłaby w istocie czymś komicznym, gdyby gra nie toczyła się o tak wysoką stawkę i gdyby u jej podłoża nie leżało następujące pytanie: dlaczego Departament Stanu i prezydent Roosevelt przejawiali taką niechęć do wyjawienia swoich prawdziwych poglądów na temat Hitlera wtedy, gdy taka opinia mogła bez wątpienia mieć ogromny wpływ na reputację kanclerza w świecie?

Pierwsze informacje o planowanym procesie dotarły do Ambasady Niemiec w Waszyngtonie kilka tygodni wcześniej, w lutym, dzięki ogłoszeniom w „New York Timesie”. Niemiecki ambasador w Stanach Zjednoczonych, Hans Luther, natychmiast poskarżył się sekretarzowi stanu Hullowi. Odpowiedź Hulla była dość ostrożna: „Oświadczyłem, że z przykrością zauważam różnice pomiędzy

poglądami ludzi w jego kraju i w moim^[560]; że przyjrze się sprawie z należytą uwagą, której wymagają i którą usprawiedliwiają okoliczności”.

W dniu 1 marca 1934 roku człowiek numer dwa w ambasadzie niemieckiej, Rudolf Leitner, spotkał się z jednym z wyższych urzędników Departamentu Stanu, Johnem Hickersonem, i namawiał go do „zrobienia czegoś w celu zapobieżenia temu procesowi, ponieważ jeśli do niego dojdzie, będzie to mieć godny ubolewania wpływ na niemiecką opinię publiczną”^[561]. Hickerson odparł, że ze względu na „gwarantowane przez konstytucję prawo do wolności wypowiedzi” rząd federalny nie może nic w tej sprawie zrobić.

Dla Leitnera było to bardzo trudne do zrozumienia. Powiedział Hickersonowi, „że gdyby sytuacja była odwrotna, rząd niemiecki byłby z pewnością znalazł sposób »powstrzymania tego procederu«”^[562].

W tej kwestii Hickerson nie żywił najmniejszych wątpliwości. „Odpowiedziałem” – zapisał^[563] – „że jeśli dobrze rozumiem, to rząd niemiecki nie ma takich ograniczeń w swoich działaniach jak rząd amerykański”.

Nazajutrz, w piątek 2 marca, ambasador Luther ponownie spotkał się z sekretarzem stanu Hullem, żeby zaprotestować przeciwko planowanej rozprawie.

Sam Hull też wołałby, żeby do tego udawanego procesu wcale nie doszło. Komplikował on wszystko i mógł potencjalnie jeszcze bardziej zniechęcić Niemców do spłaty zadłużenia. Ale jednocześnie Hull nie lubił nazistów. Chociaż unikał wyrażania wszelkiej bezpośredniej krytyki, to jednak odczuł pewną przyjemność, gdy informował niemieckiego ambasadora, że ludzie grający swoje role w tym procesie „nie są nawet w najmniejszym stopniu pod kontrolą rządu federalnego”^[564], stąd Departament Stanu jest bezsilny, jeśli chodzi o interwencję.

Wtedy właśnie minister Neurath wezwał do siebie Dodda i kazał mu czekać przez 10 minut, co Dodd „odnotował jako obraźliwe”^[565]. Zwłoka przypominała mu o afrontie, jakiego dopuścił się Neurath w październiku, tuż po przemówieniu Dodda o Grakchusie i Cezarze podczas Dnia Kolumba.

Neurath wręczył ambasadorowi *aide-mémoire* – pisemną notę, którą jeden dyplomata przekazuje drugiemu, zwykle w jakiejś ważnej sprawie, kiedy ustny przekaz mógłby wypaczyć zamierzony sens przesłania. Nota była zaskakująco gwałtowna w treści, zawierała groźby.

Planowany fikcyjny proces Hitlera został w niej określony jako „złośliwa demonstracja”^[566], powoływano się też na szereg „obraźliwych zachowań”, jakie miały miejsce w Stanach Zjednoczonych w minionym roku, uznając je za „równoznaczne z ingerencją w wewnętrzne sprawy innego kraju”. W dokumencie skrytykowano bojkot towarów niemieckich przez amerykańskich Żydów, za którym stał Amerykański Kongres Żydowski. W nawiązaniu do obaw Amerykanów

o możliwe zawieszenie wykupu niemieckich obligacji, nota głosiła, iż bojkot ów osłabił bilans płatniczy Niemiec wobec Stanów Zjednoczonych do tego stopnia, że „wywiązanie się ze zobowiązań wobec amerykańskich wierzycieli przez firmy niemieckie jest dziś możliwe tylko częściowo”.

Neurath zakończył swoją *aide-mémoire* oświadczeniem, że z powodu wspomnianego fingowanego procesu „utrzymywanie przyjaznych stosunków wzajemnych, których oba rządy szczerze pragną, jest w tych okolicznościach skrajnie trudne”.

Przeczytawszy notę, Dodd wyjaśnił spokojnie, że w Ameryce „nikt nie może zabronić zarówno spotkań prywatnych, jak i publicznych zgromadzeń”^[567], ale wydawało się, że to całkowicie przekracza zdolność pojmowania Niemców. Ambasador wskazał również, że to Niemcy same wystawiły wzajemne stosunki między oboma krajami na ciężką próbę. „Przypomniałem ministrowi, iż wciąż zdarzają się tutaj rzeczy, które są dla zagranicznej opinii publicznej wręcz szokujące”^[568].

Po spotkaniu Dodd przesłał do sekretarza stanu Hulla telegram z informacją, że fingowany proces Hitlera wywarł „nadzwyczajne wrażenie”^[569] na rządzie niemieckim. Dodd kazał swoim urzędnikom przetłumaczyć treść *aide-mémoire* Neuratha i dopiero wtedy przesłać ją Hullowi drogą pocztową.

Rankiem w dniu, w którym miał się odbyć ów pozorowany proces, ambasador niemiecki Luther raz jeszcze podjął próbę jego zatrzymania. Tym razem odwiedził podsekretarza Williama Phillipsa, który również oświadczył, że nie da się nic zrobić. Luther zażądał, aby departament natychmiast ogłosił, iż „nic, co zostanie powiedziane podczas tego zgromadzenia, nie odzwierciedla stanowiska rządu”^[570].

Phillips znów odmówił^[571]. Brak już czasu na przygotowanie takiego oświadczenia, wyjaśnił, dodając, że byłoby czymś niewłaściwym, gdyby sekretarz stanu miał przewidywać, co osoby dramatu powiedzą, a czego nie, podczas udawanego procesu.

Luther spróbował po raz ostatni – poprosił, aby Departament Stanu przynajmniej odciął się od całej sprawy, publikując stosowne oświadczenie w porannej prasie w dniu po procesie.

Phillips odrzekł, że nie może decydować za departament, ale weźmie tę sprawę „pod rozwagę”^[572].

Proces odbył się zgodnie z planem; porządku strzegło 320 umundurowanych nowojorskich policjantów^[573]. Wśród zgromadzonej w Madison Square Garden publiczności – w liczbie 20 tysięcy osób – krążyło czterdziestu detektywów po cywilnemu. Do dwadzieściorga zeznających na rozprawie „świadków” należeli między innymi: rabin Stephen Wise, burmistrz Fiorello La Guardia oraz były sekretarz stanu Bainbridge Colby, który wygłosił słowo wstępne. Sąd uznał Hitlera za winnego. „Oświadczamy, że rząd hitlerowski zmusza naród niemiecki do rezygnacji ze zdobyczy

cywilizacji na rzecz anachronicznego, barbarzyńskiego despotyzmu^[574], co zagraża postępowi rodzaju ludzkiego na jego drodze ku pokojowi i wolności oraz stanowi niebezpieczeństwo dla całego cywilizowanego świata”.

Na konferencji prasowej, która odbyła się dzień później, Phillips stwierdził, iż „nie ma w tej sprawie innego komentarza jak tylko ponowne podkreślenie, że impreza miała charakter prywatny i że nie wziął w niej udziału żaden przedstawiciel administracji”^[575].

Uwagę Phillipsa i jego współpracowników przykuwały już inne sprawy. Jak miało się jednak niebawem okazać, Niemcy wcale nie zamierzały odpuścić.

Drugim nieprzyjemnym zadaniem, jakie Dodd musiał zrealizować przed swoim wyjazdem, było spotkanie z Hitlerem. Otrzymał bowiem od sekretarza stanu Hulla polecenie przekazania kanclerzowi, że władze amerykańskie są zaniepokojone rozpasaniem nazistowskiej propagandy, jakie zaobserwowano niedawno w Stanach Zjednoczonych. Spotkanie zorganizował Putzi Hanfstaengl; miało ono być prywatne i sekretne – tylko Hitler i Dodd. Zatem w środę 7 marca, nieco przed godziną pierwszą po południu, Dodd ponownie znalazł się w kancelarii Rzeszy i zmierzał do gabinetu Hitlera szpalerem salutujących i trzaskających obcasami gwardzystów.

Najpierw Dodd zapytał Hitlera, czy ma dla Roosevelta osobiste przesłanie, które on mógłby sam doręczyć, gdy spotka się z prezydentem w Waszyngtonie^[576].

Hitler zastanawiał się. Przez chwilę spoglądał na Doda.

„Jestem panu bardzo zobowiązany” – powiedział – „ale pytanie to trochę mnie zaskoczyło. Chciałbym, żeby dał mi pan czas na namysł i pozwolił udzielić odpowiedzi później”.

Przez kilka chwil rozmawiali o rzeczach błałych, po czym Dodd przeszedł do spraw bieżących – kwestii „niefortunnej propagandy uprawianej na terytorium Stanów Zjednoczonych”, jak zapisał w swojej notatce z tego spotkania.

Hitler „udał zdumienie” – odnotował Dodd – po czym poprosił o szczegóły.

Otóż od 10 dni, mówił Dodd, po USA krąży broszurka zawierająca – jak to ujął – „apel do Niemców mieszkających za granicą, aby zawsze pamiętali, że są Niemcami i jako tacy winni są ojczyźnie zarówno moralną, jak i polityczną lojalność”. Dodd działania te porównał do propagandy, jaką stosowano w USA w roku 1913, na długo przed przystąpieniem Ameryki do ostatniej wojny.

Hitler zdenerwował się. „Ach” – powiedział podniesionym głosem – „to wszystko żydowskie kłamstwa; jeśli dowiem się, kto za to odpowiada, wyrzucę go natychmiast z kraju”.

Od tej chwili rozmowa przeistoczyła się w szerszą, nacechowaną większą zjadliwością dyskusję na temat „problemu żydowskiego”. Hitler potępił wszystkich Żydów, oskarżając ich o wywołanie negatywnego nastawienia Amerykanów do Niemiec. Ogarnął go gniew, wykrzykiwał: „Do diabła z Żydami!”.

W obliczu furii Hitlera Dodd uznał za roztropne powstrzymanie się od podnoszenia kwestii fingowanego procesu, który miał się odbyć tego samego dnia w Nowym Jorku. Również Hitler nie wspominał o tym ani słowem.

Dodd podjął zatem temat żydowski. Czy sytuację Żydów można jakoś uregulować w sposób pokojowy i humanitarny? „Wie pan, że problem żydowski istnieje też w innych krajach” – rzekł do Hitlera. Po czym zaczął opisywać nieoficjalne działania Departamentu Stanu, wspierające nowo powstałą agendę Ligi Narodów, kierowaną przez Jamesa G. McDonalda, niedawno mianowanego wysokiego komisarza do spraw uchodźców z Niemiec. Organizacja ta zajmowała się relokacją Żydów, ale – jak ujął to Dodd – „bez nadmiernego zadawania im cierpień”.

Hitler machnął lekceważąco ręką. To się nie uda, rzekł, niezależnie od tego, ile pieniędzy dostanie ta komisja. Żydzi, mówił dalej, przekształcą ją w broń „do ataku na Niemcy i sprawiania nieustannych kłopotów”.

Dodd odparł, że obecna polityka niemiecka wyrządza reputacji tego kraju w Ameryce ogromne szkody. Co osobliwe, starał się teraz znaleźć wspólny grunt z dyktatorem. Powiedział Hitlerowi: „Jak pan wie, sporo wysokich stanowisk w naszym kraju zajmują Żydzi, zarówno w Nowym Jorku, jak i w stanie Illinois”. Wymienił z nazwiska kilku „wybitnych, uczciwych Hebrajczyków”, w tym Henry’ego Morgenthau juniora, od stycznia sekretarza skarbu w administracji Roosevelta. Ambasador wyjaśniał Hitlerowi: „tam, gdzie nadaktywność Żydów w życiu intelektualnym czy politycznym stwarzała problemy, udało nam się tak przekształcić odpowiednie urzędy, aby nikogo specjalnie nie urazić i żeby zamożni Żydzi wciąż wspierali finansowo instytucje, które ograniczyły liczbę Żydów zajmujących w nich wysokie stanowiska”. Powołał się na pewien przykład z Chicago i dodał: „Żydzi w stanie Illinois nie stwarzają poważniejszych problemów”.

W swojej notatce wyjaśniał później: „Mój pomysł polegał na tym, żeby zasugerować mu inny sposób postępowania niż ten, który stosuje się tutaj – oczywiście unikając udzielania bezpośrednich rad”.

Hitler odparował, że „59 procent wszystkich urzędów w Rosji było w rękach Żydów, że doprowadzili oni kraj do ruiny, i to samo mają zamiar zrobić z Niemcami”. W apogeum wściekłości oświadczył: „Jeśli będą kontynuować swoją działalność, zrobimy z nimi ostateczny porządek w tym kraju”.

Był to dziwny moment. Oto Dodd, skromny uczeń Jeffersona, nawykły do postrzegania mężów stanu jako istot rozumnych, siedział przed przywódcą jednego z największych krajów europejskich i obserwował, jak ów przywódca wpada w coraz większą furję i grozi zniszczeniem części ludności własnego kraju. Było to coś nadzwyczajnego, absolutnie odmiennego od wszystkich dotychczasowych doświadczeń ambasadora.

Dodd spokojnie skierował rozmowę z powrotem na amerykański punkt widzenia, mówiąc

Hitlerowi, „iż opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych jest głęboko przekonana, że naród niemiecki, a także niemiecki rząd są militarystycznie, jeśli nie wręcz wojowniczo nastawione” oraz że „większość ludzi w USA odnosi wrażenie, iż Niemcy zmierzają do wojny”. Spytał następnie: „Czy są jakieś realne podstawy dla tego mniemania?”.

„Nie ma absolutnie żadnych podstaw” – powiedział Hitler. Jego gniew osłabł. „Niemcy pragną pokoju i uczynią wszystko, co w ich mocy, żeby pokój utrzymać. Ale Niemcy domagają się też dla siebie równych praw w kwestii zbrojeń i je uzyskają”.

Dodd podkreślił, że Roosevelt przykłada bardzo dużą wagę do poszanowania istniejących granic pomiędzy państwami.

Hitler odrzekł, iż w tym zakresie stanowisko Roosevelta jest tożsame z jego poglądami, za co – jak oznajmił – jest „bardzo wdzięczny”.

Czy w takim razie, spytał Dodd, Niemcy rozważą wzięcie udziału w nowej międzynarodowej konferencji rozbrojeniowej?

Hitler zignorował pytanie i znów zaatakował Żydów. To oni, rzucił oskarżycielsko, odpowiadają za to, że Niemcy postrzegane są jako kraj pracy do wojny.

Dodd nie ustępował. Czy Hitler zgodziłby się z dwoma punktami: że „żaden kraj nie powinien naruszać granic innego kraju oraz że wszystkie państwa europejskie powinny przystać na utworzenie komisji nadzorczej i respektować jej postanowienia?”.

Tak, odrzekł Hitler, i powiedział to – według Dodda – „szczerze”.

Ambasador tak opisał później Hitlera w swoim dzienniku: „Jest romantycznie usposobiony i niedoinformowany, jeśli chodzi o wielkie wydarzenia historyczne oraz działalność wielkich ludzi w Niemczech”. Ma „półkryminalną” przeszłość. „Z całą pewnością przy różnych okazjach powtarzał, że naród może przetrwać dzięki walce i zginąć w konsekwencji polityki pokojowej. Oddziaływał i oddziałuje na innych wyłącznie w ten sposób, że zagrzewa do walki”.

Jak zatem można to było pogodzić z wielokrotnymi oświadczeniami Hitlera o jego pokojowych zamiarach? Dodd nadal wierzył, że Hitler jest „absolutnie szczerzy” w swoim pragnieniu pokoju. Teraz jednak zdał sobie sprawę, podobnie jak wcześniej Messersmith, że prawdziwym celem kanclerza jest kupienie sobie czasu, aby ponownie uzbroić Niemcy. Hitler chciał pokoju tylko po to, by gotować się do wojny. „Gdzieś w tyle jego głowy” – zanotował Dodd – „kołocze się stara niemiecka idea zapanowania nad Europą na drodze działań wojennych”.

Dodd przygotowywał się do podróży. Mimo że wyjeżdżał na całe dwa miesiące, postanowił zostawić żonę, Marthę i Billa w Berlinie. Wiedział, że będzie za nimi tęsknił, ale nie mógł się już doczekać wejścia na statek zmierzający do Ameryki, w stronę jego farmy. Mniej radosne były natomiast spotkania, jakie zaraz po przyjeździe czekały go w Departamencie Stanu. Planował wykorzystać tę okazję do kontynuowania swojej kampanii, aby uczynić służbę dyplomatyczną bardziej egalitarną,

poprzez spotkanie się z członkami Pretty Good Club: podsekretarzem Phillipsem, Moffatem, Carrem oraz coraz bardziej wpływowym zastępcą sekretarza stanu Sumnerem Wellesem, także absolwentem Harvardu i zaufanym Roosevelta (jako chłopiec podczas ślubu Roosevelta w 1905 roku niósł obrączki państwa młodych). Ten ostatni odegrał znaczącą rolę w opracowywaniu sygnowanej przez prezydenta polityki „dobrego sąsiedztwa”. Dodd chciał wrócić do Ameryki z konkretnym potwierdzeniem, że jego sposób uprawiania dyplomacji – wypełnienie nadanego mu przez Roosevelta mandatu, iż swoją osobą ma zaświadczać o amerykańskich wartościach – wpłynął na reżim hitlerowski łagodząco; tymczasem jak dotąd udziałem ambasadora stała się tylko niechęć do Hitlera i jego ludzi oraz żal za utraconym krajem, za Niemcami ze wspomnień.

Jednakże tuż przed wyjazdem do Stanów rozbiły się nagle światelko nadziei, dodając Doddowi otuchy i kazać wierzyć, iż jego wysiłki nie poszły na marne. W dniu 12 marca jeden z urzędników niemieckiego MSZ Hans-Heinrich Dieckhoff oświadczył podczas spotkania Klubu Prasy Niemieckiej, że od tej chwili w Niemczech obowiązywać będzie nakaz aresztowania (który musi być wydany przed samym aresztowaniem) oraz że niesławne więzienie w Columbia House zostanie zamknięte^[577]. Dodd uważał, że w znacznym stopniu osobiście przyczynił się do wydania tych rozporządzeń.

Byłby jednak znacznie mniej podniesiony na duchu, gdyby wiedział, co Hitler sądzi o ich ostatnim spotkaniu. Według Putziego Hanfstaengla „Dodd nie wywarł [na Hitlerze] żadnego wrażenia”^[578]. Hanfstaengl zanotował: „Hitlerowi było mu go prawie żal”. Po spotkaniu kanclerz powiedział: „*Der gute Dodd*. Ledwo mówi po niemiecku i raczej od rzeczy”.

W podobnym tonie zareagował Jay Pierrepont Moffat w Waszyngtonie. W swoim dzienniku zapisał: „Ambasador Dodd bez żadnych instrukcji podjął w rozmowie z Hitlerem temat polityki nieagresji, którą wyznaje prezydent, pytając go bez ogródek, czy weźmie udział w międzynarodowej konferencji poświęconej tej sprawie^[579]. Skąd ambasador powziął przekonanie, że chcemy jakiejś kolejnej konferencji międzynarodowej, pozostaje zagadką”.

Z wyraźną irytacją Moffat zapisał: „Cieszę się, że niedługo przyjeżdża na urlop”.

Wieczorem w wigilię wyjazdu Dodd wszedł do swojej sypialni i zastał tam kamerdynera Fritza pakującego jego walizki. Ambasador zdenerwował się. Nie ufał Fritzowi, ale nie to było najistotniejsze. Ważniejszy był fakt, że postępowanie kamerdynera podrażniło jego jeffersońskie instynkty. Dodd zapisał w dzienniku: „Nie sądzę, by samodzielne pakowanie własnych bagaży było dla kogokolwiek hańbiące”^[580].

We wtorek 13 marca cała rodzina Doddów udała się samochodem do Hamburga, położonego w odległości 180 mil na północny zachód od Berlina, gdzie Dodd pożegnał się ze wszystkimi, po czym zajął kajutę na pokładzie statku SS „Manhattan” należącym do United States Lines.

Dodd płynął sobie spokojnie, a rząd niemiecki tymczasem ponownie rozgorzał gniewem z powodu fingowanego procesu Hitlera. Trzecia Rzesza najwyraźniej nie zamierzała zostawić tej sprawy w spokoju.

W dniu, w którym Dodd odpływał na statku do Ameryki, sześć dni po „procesie”, ambasador Luther znów odwiedził sekretarza stanu Hulla w Waszyngtonie. Według relacji tego ostatniego Luther zaprotestował przeciwko „wszelkiego rodzaju obraźliwym i napastliwym aktom ze strony obywateli jednego kraju, wymierzonym w rząd i wysokich przedstawicieli innego kraju”^[581].

W tym momencie Hull stracił cierpliwość. Wyraziwszy swój żal pro forma oraz kolejny raz stwierdziwszy, że rozprawa nie miała nic wspólnego z rządem USA, przeszedł do chytrego ataku. „Wyraziłem dalej nadzieję, iż w przyszłości mieszkańcy wszystkich krajów będą zdolni do takich samoograniczeń, by unikać nadmiernych bądź niewłaściwych manifestacji i demonstracji przeciwko ludziom z innych krajów”^[582]. Starałem się, aby to ostatnie zdanie stanowiło zawołane odniesienie do samych Niemiec. Po czym dodałem, że zasadniczo na świecie panuje znaczne wzburzenie, w wyniku czego ludzie w wielu krajach, nie tylko w jednym, nie myślą i nie zachowują się normalnie”.

Dziesięć dni później mimo śnieżnej zadymki ambasador Niemiec pojawił się po raz kolejny, rozgniewany bardziej niż kiedykolwiek. Gdy wszedł do gabinetu Hulla, sekretarza stanu zażartował, iż bijący od niego chłód „nie jest chyba równy temperaturze padającego za oknem śniegu”^[583].

Używając języka, który Hull określił jako „niemal brutalny”, Luther przez następne 45 minut ze złością odczytywał listę „obelżywych i ubliżających zachowań obywateli amerykańskich wobec władz hitlerowskich”.

Hull wyraził żal, że Ameryka stała się celem niemieckiej krytyki. Zauważyłem, dodał, iż przynajmniej „mój rząd nie jest jedynym, jaki znalazł się w takiej sytuacji; wydaje się, że rządy prawie wszystkich krajów sąsiadujących z Niemcami, a także wielu ludzi w tym kraju znalazło się w wyraźnej niełasce z tych bądź innych względów; że rząd niemiecki w swoim obecnym składzie z jakiegoś powodu znajduje się w niemal całkowitej izolacji na arenie międzynarodowej. Jednak w najmniejszym stopniu nie dałem do zrozumienia, co może być powodem takiego stanu rzeczy. Powiedziałem natomiast, że dla rządu niemieckiego byłoby korzystne, gdyby zanalizował przyczyny owej izolacji i ustalił, po czyjej stronie leży problem lub wina”.

Hull podkreślił ponadto, że stosunki Ameryki z poprzednimi rządami Niemiec były „całkowicie poprawne”. Stwierdził, że „dopiero za kadencji obecnych władz pojawiły się trudności, o których mowa, ku naszemu ubolewaniu zarówno osobistemu, jak i oficjalnemu”. Nie zapomniał dodać, że jest to z pewnością tylko czysty „zbieg okoliczności”.

Cały problem zniknie, przekonywał Hull, jeśli tylko Niemcy „spowodują, że ustaną doniesienia o atakach na niektóre osoby. Doniesienia te stale napływają do Stanów Zjednoczonych z Niemiec,

wywołując u wielu ludzi w Ameryce gorycz i żal”.

Hull zapisał: „W czasie całej rozmowy jednoznacznie nawiązywałem do prześladowań Żydów”.

Tydzień później wystrzelił, jak się okazało, ostatnią salwę armatnią w tej sprawie. Dotarło doń wreszcie tłumaczenie *aide-memoire*, którą Neurath wręczył Doddowi. Teraz z kolei rozgniewał się Hull. Sporządził i wysłał własną *aide-memoire*, którą miał dostarczyć Neurathowi osobiście chargé d'affaires w Berlinie, John C. White, pod nieobecność Dodda kierujący ambasadą.

Skarciwszy Neuratha za „ostry ton, niespotykany w języku dyplomacji”^[584], w jakim sporządzona była niemiecka *aide-memoire*, Hull udzielił mu krótkiego wykładu na temat zasad, jakimi kieruje się Ameryka.

Pisał: „Jest dobrze wiadomym, iż wolność wyznania, swobodę wypowiedzi, wolność prasy oraz prawo do pokojowych zgromadzeń gwarantują naszym obywatelom nie tylko Konstytucja Stanów Zjednoczonych, lecz także głęboko ugruntowane przekonania, tworzące polityczną świadomość Amerykanów”. Tymczasem, informował Hull, w swojej *aide-memoire* Neurath opisuje incydenty, które wedle Niemców powinny skłonić władze amerykańskie do pogwałcenia tych wszystkich zasad. „Wydaje się więc, że punkty widzenia naszych Rządów w takich kwestiach jak wolność wypowiedzi i swoboda zgromadzeń są nie do pogodzenia oraz że wszelka dyskusja dotycząca tych różnic mogłaby tylko zaszkodzić wzajemnym relacjom, które Rząd Stanów Zjednoczonych nadal pragnie opierać na możliwie przyjacielskich relacjach, co jest w najlepszym interesie obu naszych krajów”.

W ten sposób batalia o fingowany proces Hitlera wreszcie dobiegła końca, powodując pewne ochłodzenie w stosunkach wzajemnych, ale nie ich zerwanie. I tym razem żaden członek rządu amerykańskiego nie zabrał publicznie głosu w tej kwestii, ani nie poparł „procesu”, ani nie skrytykował reżimu Hitlera. Pozostawało pytanie: czego się bano?

Senator Millard E. Tydings ze stanu Maryland próbował zmusić Roosevelta do wygłoszenia mowy potępiającej prześladowania Żydów, przedkładając Senatowi rezolucję nakazującą prezydentowi „jednoznaczne zakomunikowanie Rządowi Rzeszy Niemieckiej głębokiego zdumienia i bólu, jakie odczuwa naród amerykański na wieść o dyskryminacji i ucisku stosowanych przez Rzeszę wobec jej obywateli pochodzenia żydowskiego”^[585].

Napisane przez przyjaciela Dodda, zastępcę sekretarza stanu, R. Waltona Moore’a, memorandum Departamentu Stanu dotyczące rezolucji rzuca światło na niechęć, jaką w tej kwestii przejawiał rząd Stanów Zjednoczonych. Zapoznawszy się z rezolucją, sędzia Moore doszedł do wniosku, iż jej jedynym skutkiem będzie postawienie Roosevelta w „kłopotliwej sytuacji”^[586]. Moore wyjaśniał: „Gdyby [prezydent] odmówił temu żądaniu, naraziłby się na poważną krytykę. Z drugiej strony, gdyby postąpił zgodnie z rezolucją, wywołałby w ten sposób nie tylko niechęć rządu Niemiec, lecz także mógłby zostać wplątany w ostrą z nim polemikę – rząd ten bowiem zapytałby go prawdopodobnie, dlaczego na przykład Murzyni w naszym kraju nie cieszą się pełnią

praw wyborczych, dlaczego nie zapobiega się i surowo nie karze linczów Murzynów, do jakich dochodzi w stanie senatora Tydingsa i w innych stanach, oraz jak to się dzieje, że władze nie kontrolują nastrojów antysemickich w Stanach Zjednoczonych, które niestety narastają”.

Rezolucja nie przeszła. Według jednego z historyków sekretarz stanu Hull „wywarł nacisk na Komisję Spraw Zagranicznych, aby uchwaliła tę pogrzebać”^[587].

^[560] Gallo, s. 83.

^[561] Kershaw, *Hybris*, s. 505. Kershaw cytuje też słowa Röhma: „To, co ogłosił ten śmieszny kapral, nie ma związku z nami. Hitler nie ma w sobie żadnego poczucia lojalności i trzeba go co najmniej odesłać na urlop. Jeśli nie z nim, to przeprowadzimy nasze zamiary i bez Hitlera”. Zob. też Gallo, s. 83 – to samo w nieco innym tłumaczeniu.

^[562] Hull, Memorandum, 29 II 1934, State/Foreign. Pełny opis fingowanego procesu przedstawia Anthes.

17 maja 1934 roku w Madison Square Garden odbyła się kontrmanifestacja, w której wzięło udział 20 tysięcy osób, „przyjaciół nazistów”, jak nazajutrz nazwał ich „New York Times” w artykule wstępnym na pierwszej stronie. Spotkanie to zorganizowane zostało przez grupę o nazwie Przyjaciele Nowych Niemiec, w jawnym zamiarze zaprotestowania przeciwko „niekonstytucyjnemu bojkotowaniu Niemiec przez Żydów”.

^[563] John Hickerson, Memorandum, 1 III 1934, State/Foreign.

^[564] tamże.

tamże.

^[565] Hull, Memorandum, 2 III 1934, State/Foreign.

^[566] Dodd, *Dziennik*, s. 86.

^[567] Memorandum „Niemieckie MSZ do ambasady amerykańskiej”, załączone do listu Dodda do Hulla, 8 III 1934, State/Foreign.

^[568] Dodd, *Dziennik*, s. 87. 301. „Przypomniałem ministrowi...”: Dodd w liście do Hulla, 6 III 1934, State/Foreign.

^[569] tamże.

^[570] William Phillips, Memorandum, 7 III 1934, State/Foreign.

^[571] tamże.

^[572] tamże.

[573] „New York Times”, 8 III 1934.

[574] tamże.

[575] Hull w liście do Dodda, 8 III 1934, State/Foreign.

[576] W opisie spotkania Dodda z Hitlerem posłużyłem się szczegółami zaczerpniętymi przede wszystkim z *Dziennika* Dodda, strony 88–91, a także z jego sześciostronicowej „Notatki ze spotkania z kanclerzem Hitlerem”, skrzynka nr 59, dokumentacja W. E. Dodda.

[577] Dodd w liście do Roosevelta, 15 VIII 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda; Dallek, s. 227.

[578] Hanfstaengl, s. 214.

[579] Moffat, *Dziennik*, 7 III 1934.

[580] Dodd, *Dziennik*, s. 92.

[581] Hull, Memorandum, 13 III 1934, State/Foreign.

[582] tamże.

[583] Hull, Memorandum, 23 III 1934, State/Foreign. To jedno z niewielu memorandów pochodzących z początkowego okresu relacji USA z nazistowskimi Niemcami, które zasługiwały na uznanie – takie samo skrywane i wstrzemięźliwe uznanie, jak skryta i wstrzemięźliwa jest proza Hulla. Niestety, był to bardzo skromny przejaw wsparcia dla wolności.

Podsekretarz William Phillips był na tym spotkaniu obecny; zaskoczył go „gniewny język”, na jaki pozwolił sobie Luther. „Sekretarz” – zapisał w swoim dzienniku Phillips – „odpowiadał bardzo spokojnie i uszczypliwie, ale nie jestem pewien, czy doktor Luther pojął istotę tego chłodnego tonu”. Phillips dodał, że gdyby to zależało od niego, kazałby Lutherowi wyjść i wrócić „dopiero, kiedy ochłonie”. Phillips, *Dziennik*, 23 III 1934.

[584] Hull w liście do Johna Campbella White’a, 30 III 1934, State/Foreign.

[585] cytat za: Spear, s. 216.

[586] R. Walton Moore, Memorandum, 19 I 1934, State/Foreign.

[587] Spear, s. 216.

Rozdział 34

Diels przestraszony

Wraz z nadejściem wiosny, gdy temperatura wreszcie przekroczyła próg 10 stopni powyżej zera, Martha zaczęła dostrzegać w Dielsie pewną zmianę. Zazwyczaj chłodny i gładki w obyciu, wydawał się teraz podminowany. Miał ku temu powody.

Stres związany z pełnioną przezeń funkcją wzmógł się znacząco po tym, jak kapitan Röhm zaczął forsować swoje żądania objęcia kontroli nad wojskiem, a Heinrich Himmler miał coraz większą kontrolę nad wszystkimi operacjami tajnej policji w całych Niemczech. Diels powiedział kiedyś, że jego praca wymaga, aby siedział „po obu stronach płotu jednocześnie”^[588], teraz jednak on sam zdawał sobie sprawę, że nie zdoła obronić stanowiska. Ponieważ znajdował się w centrum wydarzeń, dostrzegał, jak intensywne emocje mają wpływ na ich bieg; widział nieustępliwość ludzi przepełnionych ambicją. Diels zdawał też sobie sprawę, że wszystkie zainteresowane strony uważały aresztowania i morderstwa za użyteczne narzędzia uprawiania polityki. Powiedział Marcie, że mimo iż jest teraz oficjalnie pułkownikiem w podległej Himmlerowi SS, to Himmler i jego współpracownicy nienawidzą go. Diels zaczął bać się o swoje życie; któregoś dnia oświadczył Marcie i Billowi, że może zostać w każdej chwili zastrzelony. „Nie potraktowaliśmy jego słów zbyt poważnie”^[589] – wspominała Martha. Wiedziała, że miał skłonność do nadmiernego dramatyzowania, przyznawała jednak, iż „w jego pracy każdy może stać się histerykiem lub paranoiakiem”. Tym niemniej można było odnieść wrażenie, że napięcie zbiera swoje żniwo w postaci pogorszenia się stanu zdrowia Dielsa. Uskarżał się, jak zanotowała Martha, na „ostre dolegliwości żołądkowo-sercowe”.

Przeczuwając, że jakieś polityczne przesilenie jest nieuniknione, Diels spotkał się z Hermannem Göringiem, nominalnie wciąż swoim szefem, aby poprosić o zwolnienie z pracy w Gestapo. Powodem tej prośby miał być zły stan zdrowia. W swoich pamiętnikach Diels opisał reakcję Göringa.

„Jesteś chory?”^[590] – zasyzczał Göring. – „Lepiej by było, gdybyś był bardzo chory”.

„Tak, jestem naprawdę chory” – odrzekł Diels. Powiedział Göringowi, że uczynił wszystko, co mógł, „aby nawa państwowa powróciła na właściwy kurs”. Lecz teraz, dodał, „już dłużej nie mogę”.

„W porządku, jesteś chory” – rzucił Göring. – „Dlatego nie możesz pełnić służby ani jednego dnia dłużej. Musisz przebywać w domu, skoro jesteś chory. Nie będziesz zamawiał rozmów międzymiastowych ani pisał żadnych listów. A przede wszystkim – postępuj z rozwagą”.

Roztropność podpowiadała jednak co innego. Raz jeszcze Diels wyjechał z kraju, tym razem jednak zainstalował się w jednym z sanatoriów w Szwajcarii^[591]. Dość przekonująca plotka głosiła, że zabrał ze sobą sekretne akta skrywające obciążające informacje, które zamierzał przesłać przyjacielowi do Zurychu, ten zaś miał wszystko opublikować, gdyby Dielsa nagle zastrzelono.

Kilka tygodni później Diels powrócił do Berlina; niebawem zaprosił Marthę i Billa do swojego mieszkania. Żona Dielsa wprowadziła oboje do salonu, gdzie zastali go leżącego na sofie – żadną miarą nie sprawiał wrażenia człowieka zdrowego. Na stoliku obok sofy, nieopodal wielkiej mapy, leżały dwa pistolety. Diels kazał żonie odejść. Martha opisała ją jako „żałosną, bierną istotę”^[592].

Mapa, jak zauważyła Martha, usiana była różnokolorowymi symbolami i adnotacjami przedstawiającymi sieć placówek i agentur tajnej policji. Martha była przerażona „tą ogromną pajęczą siecią intryg”.

Diels natomiast był z mapy dumny. „Wiesz, większość z tego wszystkiego to moja robota” – powiedział. – „Naprawdę zorganizowałem najbardziej efektywny system inwigilacji, jaki Niemcy kiedykolwiek znali”.

Skoro posiadasz taką władzę, zadała mu pytanie Martha, to dlaczego tak bardzo się boisz? Odpowiedział: „Ponieważ zbyt dużo wiem”.

Diels czuł potrzebę podjęcia pewnych działań obronnych. Oświadczył Marcie, że im częściej będzie się ich widywać publicznie razem, tym bezpieczniej on się będzie czuć. Nie była to tylko zagrywka mająca na celu ożywienie ich romansu. Nawet w oczach Göringa Diels tracił już wartość. Pośród burzy ścierających się ze sobą namiętności, jaka tej wiosny toczyła się przez Berlin, najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla Dielsa wiązało się z faktem, iż wciąż opowiadał się po jednej ze stron, w wyniku czego w żadnym z rywalizujących obozów nie ufano mu. Wpadał w coraz większą paranoję, wierząc, że ktoś próbuje go otruć.

Martha nie miała nic przeciwko temu, żeby spędzać z Dielsem więcej czasu. Lubiała z nim przebywać i spoglądać na sprawy oczyma człowieka „z wewnątrz”. „Byłam młoda i wciąż na tyle lekkomyślna, żeby pragnąć znajdować się jak najbliżej centrum wszelkich wydarzeń”^[593] – zapisala. Miała coś, czego brakowało Dielsowi – jako córce ambasadora amerykańskiego gwarantowano jej nietykalność.

Jeden z przyjaciół ostrzegął ją jednak, że w tym konkretnym przypadku „igra z ogniem”.

W ciągu kolejnych tygodni Diels trzymał się blisko Marthy, zachowując się – jak odnotowała – „niczym przestraszony królik”^[594], choć wyczuwała również, że jakaś jego część – stary, pewny siebie Lucyfer – znajduje rozkosz w grze mającej na celu wyrwanie się z tego trudnego położenia. „Pod pewnymi względami to, że znajdował się w niebezpieczeństwie, stanowiło dla niego wyzwanie, pobudzało jego spryt i przebiegłość”^[595] – wspominała. „Czy jest w stanie ich przechytrzyć, czy nie? Czy zdoła im uciec, czy nie?”

^[588] Metcalf, s. 201.

^[589] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 134.

^[590] Diels, s. 283. Cytat także za Metcalfem, s. 236.

^[591] Metcalf, s. 237; Dodd *Embassy Eyes*, s. 134.

^[592] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 134.

^[593] tamże, s. 136.

^[594] tamże, s. 135.

^[595] tamże, s. 135–136.

Rozdział 35

Konfrontacja z Klubem

Statek Dodda dotarł do miejsca kwarantanny w nowojorskim porcie w piątek 23 marca. Ambasador miał nadzieję, że jego przyjazd umknie uwadze prasy, ale ponownie spotkał go zawód. Dziennikarze rutynowo wychodzili wówczas na spotkanie wielkim liniowcom oceanicznym, zakładając, na ogół słusznie, że na pokładzie znajduje się ktoś wysoko postawiony. Na wszelki wypadek Dodd przygotował sobie krótkie, pięciozdaniowe oświadczenie, które – jak się okazało – musiał odczytać dwójce dziennikarzy. Wyjaśniał w nim, że wraca do Ameryki „na krótki urlop (...) ^[596], aby wreszcie odpocząć od napiętej atmosfery panującej w Europie”. I dalej: „W przeciwieństwie do przewidywań wielu badaczy spraw międzynarodowych, jestem przekonany, że w najbliższej przyszłości nie będzie wojny”.

Za krzepiący uznał fakt, że niemiecki wicekonsul w Nowym Jorku przybył go powitać i przekazać list od Hitlera do Roosevelta. Dodd był też ogromnie zadowolony, że jego przyjaciel, pułkownik House, podesłał mu swoją „ładną limuzynę” ^[597], która miała go zabrać do mieszkania pułkownika na rogu 68. Ulicy Wschodniej i Park Avenue na Manhattanie. Ambasador mógł tam zaczekać na pociąg do Waszyngtonu – to było wielkie szczęście, zanotował Dodd w dzienniku, gdyż taksówkarze właśnie strajkowali, „i gdybym pojechał do hotelu, faceci z gazet dręczyliby mnie aż do odjazdu pociągu do Waszyngtonu”. Między Doddem a pułkownikiem toczyła się szczerza rozmowa. „House przekazał mi cenne informacje o nieżyłochliwych mi osobach w Departamencie Stanu, z którymi miałem mieć wkrótce do czynienia”.

Ala co najważniejsze, zaraz po swoim przybyciu Dodd otrzymał pocztą dyplomatyczną ostatni rozdział *Daunego Południa* świeżo przepisany na maszynie przez przyjaciółkę Marthy Mildred Fish Harnack.

W Waszyngtonie Dodd zameldował się w Cosmos Club, który w owym czasie znajdował się przy Lafayette Square, dokładnie na północ od Białego Domu. Już pierwszego dnia rano wybrał się do Departamentu Stanu na piechotę, aby odbyć pierwsze z wielu czekających go spotkań i lunchów.

O godzinie jedenastej spotkał się z sekretarzem stanu Hullem oraz podsekretarzem Phillipsem. Cała trójka spędziła немало czasu, zastanawiając się, w jaki sposób zareagować na list Hitlera. Hitler chwalił wysiłki Roosevelta na rzecz odbudowy gospodarki amerykańskiej, stwierdzając, że „poczucie obowiązku, gotowość do poświęceń i dyscyplina”^[598] to wartości, które powinny dominować w każdej kulturze. „Owe moralne wymogi, które Prezydent stawia przed każdym obywatelem Stanów Zjednoczonych z osobna, stanowią również kwintesencję filozofii Państwa Niemieckiego, znajdującą swój wyraz w hasle: »Dobro Ogółu Jest Ważniejsze od Interesów Jednostki«”.

Phillips uznał to za „dziwne przesłanie”^[599]. Dla Dodda, jak również dla Hulla i Phillipsa, było oczywiste, że Hitler chce nakreślić paralełę pomiędzy sobą a Rooseveltem i że obowiązująca odpowiedź strony amerykańskiej musi być przygotowana z wielką starannością. Zadanie to przypadło w udziale Phillipsowi i szefowi wydziału do spraw Europy Zachodniej Moffatowi. Zasadniczym celem było – jak zanotował Moffat – „uniknięcie zastawionej przez Hitlera pułapki”^[600]. W opracowanym wreszcie piśmie stanowiącym odpowiedź na list kanclerza dziękowano mu za uprzejme słowa, zauważano jednak, że jego przesłanie nie stosuje się do Roosevelta osobiście, lecz raczej do narodu amerykańskiego w całości, narodu, „który nieskrępowanie i chętnie dokonuje heroicznych wysiłków w interesie odbudowy kraju”^[601].

W swoim dzienniku Phillips zapisał: „Staraliśmy się nie dopuścić do powstania wrażenia, że prezydent staje się faszystą”^[602].

Nazajutrz, w poniedziałek 26 marca, Dodd wybrał się spacerem do Białego Domu na lunch z Rooseveltem. Panowie omawiali sprawę wzbierającą w Nowym Jorku wrogości wobec Niemiec w związku z udawanym procesem, jaki odbył się w tym mieście na początku miesiąca. Dodd słyszał, jak pewien nowojorczyk wyraża obawę, iż w Nowym Jorku „może teraz łatwo dojść do małej wojny domowej”^[603]. „Prezydent też o tym wspomniał” – pisał Dodd – „i spytał mnie, czy zgodziłbym się skłonić chicagowskich Żydów na odwołanie kolejnej fingowanej rozprawy, którą zaplanowali na połowę kwietnia”.

Dodd zgodził się taką próbę podjąć. Napisał do przywódców żydowskich, w tym także do Leona Wormsera, z prośbą, „aby wyciszyli tę sprawę, jeśli to możliwe”^[604]. Zwrócił się również na piśmie do pułkownika House’a, żeby ten użył swoich wpływów w tym samym celu.

Choć palił się już do wyjazdu na farmę, cieszył się też na myśl o zaplanowanej na początek tygodnia konferencji; spodziewał się, że stanie się ona dawno wyczekiwaną okazją do

bezpośredniego przedstawienia chłopcom z Pretty Good Club jego krytycznej oceny polityki zagranicznej oraz praktyk stosowanych w dyplomacji.

Wśród publiczności, do której zwracał się Dodd, znajdowali się między innymi Hull, Moffat, Phillips, Wilbur Carr oraz Sumner Welles. Inaczej niż podczas mowy w Berlinie w Dniu Kolumba, Dodd był teraz bezceremonialny i bezpośredni.

Czasy „Ludwika XIV i epoka wiktoriańska”^[605] już minęły, oświadczył zebranim. Państwa są w stanie upadłości, „także nasz własny kraj”. Już najwyższa pora, „aby zarzucić styl wielkopański”. W tym miejscu powołał się na przykład pewnego amerykańskiego urzędnika konsularnego, który przesłał statkiem ładunek mebli wystarczający do urządzenia domu o dwudziestu pokojach – mimo że jego rodzina składała się tylko z dwóch osób. Mówca dodał, iż tylko zastępca tego człowieka „posiadał własnego szofera, odźwiernego, kamerdynera, lokaja, dwóch kucharzy i dwie pokojówki”.

Od każdego urzędnika państwowego, kontynuował Dodd, należy wymagać, aby był w stanie utrzymać się z pensji, czy to będzie kwota 3 tysięcy dolarów rocznie dla niższych rangą urzędników, czy 17,5 tysiąca dolarów, które otrzymywał on sam jako ambasador pełnomocny; każdy też powinien koniecznie znać historię i obyczaje kraju, w którym służy. Za granicę należy wysyłać wyłącznie tych, „którzy kierują się interesem swojego kraju, a nie rozmyślają o różnych garniturach na każdy dzień czy przesiadywaniu na wesołych, acz głupawych kolacyjkach i imprezach ciągnących się do pierwszej nad ranem”.

Dodd czuł, że te ostatnie słowa trafiły w czuły punkt. Zanotował w dzienniku: „Sumner Welles skrzywił się nieco: on, właściciel dworku w Waszyngtonie, który pod pewnymi względami przyćmiewa wspaniałością Biały Dom i jest równie duży”. Słynąca z przepychu rezydencja Wellesa, nazywana przez niektórych „domem o stu pokojach”^[606], stała przy Massachusetts Avenue nieopodal Dupont Circle. Welles był także (wraz z żoną) posiadaczem 104-hektarowego majątku ziemskiego, położonego tuż za miastem, o nazwie Oxon Hill Manor.

Gdy Dodd zakończył przemówienie, publiczność wyraziła swoje uznanie i aplauz. „Nie dałem się jednak na to nabrać, mimo że przez dwie godziny wszyscy udawali, że się ze mną zgadzają”.

Istotnie, wykład tylko pogłębił niechęć, jaką wobec ambasadora żywili członkowie Pretty Good Club^[607]. Jeszcze przed występm Dodd'a niektórzy z nich, w szczególności Phillips i Moffat, prywatnie przejawiali w stosunku do Dodd'a prawdziwą wrogość^[608].

Dodd złożył wizytę Moffatowi w jego gabinecie. Tego samego dnia Moffat sporządził w dzienniku krótką ocenę osoby ambasadora: „Nie jest on (...) w żadnym razie konsekwentnym myślicielem”^[609]. Potrafi wyrazić wielkie niezadowolenie z jakiegoś powodu, po czym odrzuca wszystkie propozycje naprawienia sytuacji. Nie lubi żadnego z członków swojego personelu, ale nie

żyć też sobie żadnych transferów. Podejrzewa niemal wszystkich, z którymi przestaje, jest trochę zazdrosny”. Moffat uznał Dodda za „nieszczęsnego odmierca”.

Dodd wydawał się tymczasem nieświadomy działania sił, które mogły zagrozić jego karierze. Wolał znajdować przyjemność w wytykaniu snobistycznych słabostek swoim oponentom. Z wyraźną satysfakcją powiedział do żony: „Ich główny protektor”^[610] – najprawdopodobniej miał na myśli Phillipsa bądź Wellea – „jest poważnie zaniepokojony. Jeśli zaatakuję, to z pewnością nie otwarcie”.

^[596] „New York Times”, 24 III 1934; Dodd do „rodziny”, 5 IV 1934, skrzynka nr 61, dokumentacja W. E. Dodda.

^[597] Dodd, *Dziennik*, s. 93.

^[598] Hitler w liście do Roosevelta, kopia w liście Hulla do Johna Campbella White’a, 28 III 1934, State/Foreign.

^[599] Phillips, *Dziennik*, 27 III 1934.

^[600] Moffat, *Dziennik*, 24–25 III 1934.

^[601] Roosevelt w liście do Hitlera, kopia w liście Hulla do Johna Campbella White’a, 28 III 1934, State/Foreign.

^[602] Phillips, *Dziennik*, 27 III 1934.

^[603] Dodd w liście do pani Dodd, 28 III 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

^[604] tamże. Zob. też Dodd, *Dziennik*, s. 95; Dallek, s. 228.

^[605] Dodd, *Dziennik*, s. 94; Dallek, s. 231.

^[606] To właśnie ten dwór stał się nową siedzibą Cosmos Club, po tym jak został przez Wellea sprzedany klubowi w 1951 r. Gellman, s. 106–107, s. 395.

^[607] R. Wharton Moore w liście do Dodda, 23 V 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

Moore komplementuje Dodda za jego wystąpienie przed zebraną grupą, zwaną Radą Personelu, ale dodaje: „Nie jestem jednak wcale pewien, czy niektórzy członkowie Rady byli istotnie zadowoleni, wysłuchawszy wystąpienia”.

^[608] przykłady zob. Moffat, *Dziennik*, 16 XII 1933; Phillips, *Dziennik*, 25 VI 1934.

^[609] Moffat, *Dziennik*, 17 III 1934.

[\[610\]](#) Dodd w liście do pani Dodd, 28 III 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 36

Ratowanie Dielsa

Strach, jaki odczuwał Diels, wzmożł się do tego stopnia, że w marcu ponownie zwrócił się do Marthy o wsparcie, tym razem w nadziei, iż dzięki niej uzyska pomoc ze strony ambasady amerykańskiej jako takiej. Cóż za ironia: szef Gestapo szukający ochrony u amerykańskich urzędników. W jakiś sposób Diels dowiedział się, że Himmler planuje go aresztować, być może nawet jeszcze tego samego dnia. Nie miał żadnych złudzeń. Himmler chciał go zabić.

Diels wiedział, że ma w ambasadzie amerykańskiej sprzymierzeńców, a mianowicie Dodd'a oraz konsula generalnego Messersmitha, i wierzył, że mogą mu oni zapewnić bezpieczeństwo w ten sposób, że wyrażą publiczne zainteresowanie utrzymaniem jego dobrego stanu zdrowia. Ale Dodd, o czym Diels wiedział, był na urlopie. Diels poprosił więc Marthę, żeby porozmawiała z Messersmithem, który z kolei zdążył już z urlopu powrócić, i przekonała się, czy może on coś w tej sprawie zrobić.

Mimo że Martha zwykle postrzegała Dielsa jako człowieka skłonnego do nadmiernego dramatyzowania, tym razem uznała, że faktycznie stoi on w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Poszła do konsulatu spotkać się z Messersmithem.

Była „w sposób widoczny bardzo głęboko poruszona sytuacją”^[611], jak wspominał Messersmith. Rozpląkała się i powiedziała konsulowi, że Diels ma być aresztowany jeszcze dzisiaj oraz że „jest prawie pewne, iż zostanie zlikwidowany”.

Po czym uspokoiła się nieco i zaczęła błagać Messersmitha, żeby natychmiast spotkał się z Göringiem. Uciekała się do pochlebstw, nazywając Messersmitha jedynym człowiekiem, który może interweniować, „nie narażając własnego życia”.

Messersmith pozostał niewzruszony. Zdążył już zniechęcić Marthę. Uważał jej zachowanie – jej

liczne romanse – za odrażające. Podejrzewał, że także z Dielsem łączył ją jakiś związek, nie był więc zaskoczony faktem, że przyszła do jego gabinetu w „stanie hysterii”. Oświadczył Marcie, że nie może nic zrobić, i „z wielkim trudem zdołał skłonić ją do wyjścia z gabinetu”.

A jednak, kiedy już poszła, zaczął się zastanawiać. „Zacząłem rozmyślać o tej sprawie i uświadomiłem sobie, że miała rację w jednym: iż Diels jest bądź co bądź jednym z najporządniejszych ludzi tego reżimu, jak kiedyś Göring, i że gdyby coś mu się przytrafiło, a jego miejsce zająłby Himmler, to zostałaby osłabiona nie tylko pozycja Göringa, ale również innych, bardziej rozsądnych elementów w tej partii”. Gdyby to Himmler kierował Gestapo, rozmyślał Messersmith, mieliby wraz z Doddem o wiele trudniejszą sytuację, jeśli chodzi o sprawy ataków na Amerykanów, „ponieważ Himmler słynie z tego, że jest jeszcze bardziej bezlitosny i bezwzględny niż pan Diels”.

Tego popołudnia Messersmith miał zaplanowany lunch w Herrenklub, męskim klubie dla konserwatystów, wydawany przez dwóch prominentnych generałów reichswery. Teraz jednak, uznawszy, iż rozmowa z Göringiem jest o wiele ważniejsza, zdecydował się zrezygnować z posiłku. Zadzwonił do biura Göringa, aby umówić się na spotkanie, i usłyszał, że ten właśnie wyszedł coś zjeść – do Herrenklub. Messersmith nie wiedział, że Göring ma być na generalskim lunchu gościem honorowym.

Zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: że rozmowa z Göringiem stała się nagle o wiele łatwiejszym zadaniem do wykonania oraz że ów uroczysty lunch to punkt zwrotny: „Po raz pierwszy od czasu objęcia władzy przez nazistów najwyżsi rangą oficerowie Armii Niemieckiej (...) mieli zasiąść do stołu wspólnie z Göringiem albo jakimś innym dygnitarzem reżimu nazistowskiego”. Uderzyła go myśl, że uroczystość ta może stanowić sygnał wspólnego zwierania szeregow przez armię i rząd przeciwko kapitanowi Röhmowi i jego Oddziałom Szturmowym. Jeśli tak, nie wróżyło to najlepiej, ponieważ Röhm nie był kimś, kto mógłby zrezygnować ze swoich ambicji bez walki.

Messersmith pojawił się w klubie tuż po godzinie dwunastej w południe i zastał Göringa konwersującego z generałami. Göring objął Messersmitha ramieniem i zwrócił się do pozostałych: „Panowie, oto człowiek, który w ogóle mnie nie lubi, który niezbyt dobrze o mnie myśli, ale który jest dobrym przyjacielem naszego kraju”.

Messersmith poczekał na odpowiedni moment, żeby wziąć Göringa na stronę. „Powiedziałem mu w kilku słowach, że dziś rano odwiedziła mnie osoba absolutnie godna zaufania z informacją, iż Himmler jest zdecydowany pozbyć się Dielsa w dniu dzisiejszym i że ma on być zamordowany”.

Göring podziękował Messersmithowi za informacje. Obaj wrócili do towarzystwa, ale po chwili Göring rzucił słowo usprawiedliwienia i wyszedł.

Co działo się dalej – jakich gróźb użyto, jakie zawarto kompromisy, czy interweniował sam Hitler – nie do końca wiadomo, ale o godzinie piątej po południu tegoż dnia 1 kwietnia 1934 roku

Messersmith dowiedział się, że Diels mianowano *Regierungspräsident*, czyli prezydentem rejencji Kolonii, oraz że odąd szefem Gestapo będzie Himmler.

Diels został uratowany, ale Göring poniósł znaczącą porażkę. Powodem jego działań nie była stara przyjaźń, lecz złość, jaką budziła w nim perspektywa aresztowania Dielsa przez Himmlera na jego własnym podwórku. Tymczasem to Himmler otrzymał główną nagrodę, ostatni i najważniejszy komponent w jego imperium tajnej policji. „Było to” – pisał Messersmith – „pierwsze niepowodzenie Göringa od początku panowania reżimu nazistowskiego”.

Fotografia przedstawiająca moment^[612], w którym Himmler oficjalnie przejmuje kontrolę nad Gestapo podczas uroczystości 20 kwietnia 1934 roku, ukazuje Himmlera przemawiającego na podium, o twarzy jak zwykle bez wyrazu. Tuż obok stoi Diels zwrócony w stronę aparatu. Jego twarz wygląda na opuchniętą, jakby od nadmiaru trunków lub braku snu, blizny rysują się nadzwyczaj wyraźnie. To portret człowieka zniewolonego.

W rozmowie z przedstawicielem ambasady brytyjskiej, jaka odbyła się mniej więcej w owym czasie (zapis jej przebiegu znalazł się później w aktach MSZ w Londynie), Diels obszernie przedstawił własne moralne rozterki: „Do wymierzania kar fizycznych nie każdy się nadaje, dlatego oczywiście świadomie rekrutowaliśmy do pracy tylko tych ludzi, którzy w realizacji powierzonych im zadań nie wykazywali przesadnej wrażliwości^[613]. Niestety, nic nie wiedzieliśmy o freudowskim aspekcie całej sprawy. Dopiero gdy zaczęły zdarzać się nazbyt częste przypadki niepotrzebnego pobicia i bezmyślnego okrucieństwa, połąpałem się, że bez mojej wiedzy od pewnego czasu nasza organizacja przyciąga wszystkich sadystów z Niemiec i Austrii. Stała się również atrakcyjna dla sadystów ukrytych, tzn. takich ludzi, którzy wcześniej nie podejrzewali u siebie skłonności sadystycznych, dopóki nie wzięli udziału w biciu innych. I wreszcie – w istocie rzeczy stwarzaliśmy sadystów. Wydaje się bowiem, że wymierzanie chłosty budzi prędzej czy później w każdym normalnym mężczyźnie i w każdej normalnej kobiecie sadystę. Freud mógłby to wyjaśnić”.

Kwiecień przyniósł zadziwiająco mało deszczu, natomiast rekordowo dużo nowych sekretów. Na początku miesiąca Hitler i minister obrony Blomberg dowiedzieli się, że prezydent Hindenburg ciężko zachorował i że zapewne nie dożyje końca lata. Wiadomość tę zachowali dla siebie. Hitler pragnął władzy prezydenckiej, która wciąż jeszcze spoczywała w rękach Hindenburga; po jego śmierci zamierzał objąć funkcję łączącą prerogatywy zarówno kanclerza, jak i prezydenta, w ten sposób zdobywając wreszcie władzę absolutną. Pozostawały jeszcze tylko dwie ewentualne przeszkody: reichswera oraz Oddziały Szturmowe Röhma.

W połowie kwietnia Hitler poleciał samolotem do portowego miasta Kilonia^[614], gdzie zaokrętował się na „kieszonkowy” okręt wojenny o nazwie „Deutschland”. Miał nim odbyć czterodniową podróż w towarzystwie Blomberga, admirała Ericha Raedera, dowódcy marynarki

wojennej, oraz generała Wernera von Fritscha, szefa sztabu armii. Brak szczegółów w tej sprawie, wydaje się jednak, że w intymnej atmosferze kajut okrętowych Hitler i Blomberg doszli do tajemnego porozumienia, prawdziwie szatańskiego, zgodnie z którym Hitler miał zneutralizować Röhma i SA w zamian za poparcie przez armię przejęcia przezeń prerogatyw prezydenckich po śmierci Hindenburga.

Układ ten miał dla Hitlera nieocenioną wartość, ponieważ od tej chwili mógł przeć do przodu, nie oglądając się na stanowisko armii.

Röhm tymczasem coraz usilniej nastawał na przejęcie kontroli nad siłami zbrojnymi w państwie. W kwietniu, podczas jednej z porannych przejażdżek po Tiergarten, przyglądał się grupce przechodzących mimo wyższych rangą nazistów, po czym zwrócił się do jednego ze swych towarzyszy: „Spójrz na tych ludzi tam”^[615] – powiedział. – „Partia nie jest już siłą polityczną, staje się domem starców. Takich ludzi... Musimy się ich pozbyć jak najszybciej”.

Röhm coraz bardziej zuchwale okazywał swoje niezadowolenie. Podczas konferencji prasowej w dniu 18 kwietnia oznajmił: „Reakcjonści, burżuazyjni konformiści, chce nam się wymiotować na wasz widok”^[616].

Deklarował: „SA to rewolucja narodowosocjalistyczna”.

Jednak wydane dwa dni później zarządzenie władz mocno podkopało przeświadczenie Röhma o własnej ważności^[617]: całe SA otrzymało polecenie udania się w lipcu na urlop. W dniu 22 kwietnia Heinrich Himmler mianował swego młodego protegowanego Reinharda Heydricha, który niedawno skończył trzydziestkę, na zajmowane dotąd przez Dielsa stanowisko szefa Gestapo. Heydrich był jasnowłosy, wysoki, szczupły i cieszył się opinią przystojnego; wrażenie psuła jednak jego głowa, określana jako nieproporcjonalnie wąska, i oczy umieszczone nadzbyt blisko siebie. Mówił głosem zbliżonym do falsetu, który kłócił się z jego reputacją człowieka całkowicie bezwzględного. Hitler nazywał go „mężczyzną o żelaznym sercu”^[618], jednak Heydrich grywał podobno na skrzypcach z takim uczuciem, że przy niektórych fragmentach utworów muzycznych płakał. Przez całą karierę musiał zwalczać plotkę głoszącą, że jest Żydem, mimo dochodzenia przeprowadzonego przez partię nazistowską, które nie potwierdziło prawdziwości tego zarzutu.

Wraz z Dielsem z Gestapo odeszło to, co choćby w najmniejszym stopniu było cywilizowane. Hans Gisevius, kronikarz Gestapo, zauważył natychmiast, że pod dowództwem Himmlera i Heydricha organizacja ta przeszła istotną transformację. „Śmiało mogłem ryzykować spór z Dielsem, chwiejnym lekkoduchem, który – świadom, że jest burżuazyjnym renegatem – miał na tyle dużo wewnętrznych zahamowań, żeby powstrzymywać się od nieczystych zagrań”^[619] – napisał Gisevius. „Ale gdy tylko na arenę weszli Himmler i Heydrich, powinienem był się roztopnie wycofać”.

Pod koniec kwietnia rząd w końcu ujawnił opinii publicznej ciężki stan zdrowia Hindenburga^[620]. Kwestia, kto obejmie po nim schedę, stała się nagle obowiązkowym tematem wszystkich rozmów. Ludzie świadomi pogłębiającego się rozżewu pomiędzy Röhmem a Hitlerem rozumieli, że bieg zdarzeń zależy teraz od nowego, niepewnego bodźca.

^[611] Messersmith „Goering”, niepublikowany pamiętnik, s. 3–8, dokumentacja Messersmitha.

^[612] Fotografia ta jest jedną z wielu pokazanych na unikalnej wystawie w Berlinie, dokumentujących rozwój Gestapo oraz nazistowskiego terroru. Ekspozycję urządzono pod gołym niebem, ciągnie się przez całą przecznicę, a nawet pod ziemią, wzdłuż odkopanego muru dawnych piwnic tak zwanego aresztu w Komendzie Głównej Gestapo. Niektóre miejsca na tym świecie szczególnie przyciągają mrok: ten sam mur służył jako fundament dla fragmentu muru berlińskiego.

^[613] cytat za Richie, s. 997; Metcalf, s. 240.

^[614] Evans, *Power*, s. 29; Shirer, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, s. 214–215; Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 311–313.

^[615] Gallo, s. 35.

^[616] tamże, s. 37.

^[617] tamże, s. 88–89; Kershaw, *Hybris*, s. 509.

^[618] Deschner, s. 61, 62, 65, 66; Evans *Power*, s. 53–54; Fest, s. 98–101.

^[619] Gisevius, s. 137.

^[620] Kershaw, *Hybris*, s. 743; Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 312. Wheeler-Bennett cytuje rządowy „komunikat”, wydany 27 kwietnia 1934 roku, ale zdaniem Kershawa nie podaje przy tym żadnego źródła, które pozwalałoby udowodnić, że faktycznie istniał.

Rozdział 37

Obserwatorzy

W chwili gdy rozgrywały się wszystkie te wydarzenia, rodziną Doddów zainteresowały się służby wywiadowcze jeszcze innego kraju. W kwietniu związek Marthy z Winogradowem zwrócił uwagę jego przełożonych z NKWD. Wyczuli oni rzadką sposobność. „Powiedzcie Borysowi Winogradowowi, że chcemy wykorzystać go do przeprowadzenia interesującego nas projektu”^[621] – napisano w jednej z depesz do szefa agentury w Berlinie.

W jakiś sposób – być może przez Borysa – Moskwa dostrzegła, że zaślepienie Marthy w kwestii rewolucji nazistowskiej zaczyna ustępować.

Dalsza część wiadomości brzmiała: „Ma to związek z faktem, że – wedle posiadanych przez nas informacji – odczucia jego znajomej (Marthy Dodd) całkowicie dojrzały już do tego, żeby została ostatecznie i trwale pozyskana do pracy dla nas”.

^[621] Haynes i inni, s. 432; Weinstein i Wasiliew, s. 51.

W obu książkach znajduje się notka NKWD, ale jej tłumaczenia nieco różnią się między sobą. Korzystam z wersji Haynesa, którą można znaleźć też u Wasiliewa – Notebooks, White Notebook nr 2, s. 13, 28 III 1934.

Rozdział 38

Oszukany

Tym, co najbardziej trapiło Dodda podczas urlopu, było poczucie, że jego oponenci w Departamencie Stanu stają się coraz bardziej agresywni. Niepokój budził w nim styl działania, który polegał na ujawnianiu poufnych informacji po to, by podkopać jego pozycję. W sobotni wieczór 14 kwietnia, gdy Dodd wychodził z dorocznej kolacji wydawanej w Gridiron Club w Waszyngtonie, miał miejsce pewien kłopotliwy incydent^[622]. Młody urzędnik Departamentu Stanu, którego ambasador nie znał, podszedłszy do niego, rozpoczął rozmowę i otwarcie zakwestionował ocenę Dodda co do sytuacji w Niemczech. Cytował przy tym fragmenty poufnej depechy, jaką ambasador przesłał z Berlina. Młodzieniec ten był znacznie wyższy od Dodda i stał bardzo blisko niego, wręcz jakby zagrażając mu fizycznie. W gniewnym liście, który Dodd zamierzał wręczyć sekretarzowi stanu Hullowi osobiście, ambasador uznał to spotkanie za „zamierzony afront”.

Jednakże kwestią najbardziej dla Dodda przykrą było pytanie, w jaki sposób ów młody człowiek dowiedział się o treści jego depechy. „Moim zdaniem” – pisał Dodd^[623] – „(...) gdzieś w departamencie działa grupa osób, które myślą tylko o sobie, a nie o kraju, i które – gdy tylko jakiś ambasador albo minister dokona najmniejszych wysiłków, aby coś zaoszczędzić lub poprawić – zaczynają współpracować ze sobą w celu jego zdyskredytowania bądź zneutralizowania. To już trzeci lub czwarty raz, gdy całkowicie poufne informacje, jakie przesłałem, pojawiają się w formie plotki – albo ktoś chce, by stały się plotką. Nie działam dla niczych korzyści osobistych i/lub grupowych; gotów jestem uczynić wszystko co możliwe, żeby lepiej pracować i współpracować z innymi, lecz nie chcę pracować w osamotnieniu ani stać się przedmiotem nieustannych intryg czy machinacji. Jednak jeśli ten stan rzeczy nadal będzie trwać, nie zamierzam odchodzić po cichu”.

Ostatecznie Dodd nie zdecydował się przekazać listu Hullowi. Pismo wylądowało w aktach

sygnowanych słowem „niedostarczone”.

Dodd nie wiedział wtedy jeszcze, że on sam oraz piętnastu innych ambasadorów zostali bohaterami dużego artykułu opublikowanego w magazynie „Fortune” w kwietniu 1934 roku. Mimo doniosłości tej publikacji tudzież faktu, że z pewnością w Departamencie Stanu prowadzono na jej temat ożywione dysputy, Dodd dowiedział się o artykule znacznie później, dopiero po powrocie do Berlina, kiedy to Martha przyniosła do domu egzemplarz czasopisma, który otrzymała od swego dentysty^[624].

Artykuł zatytułowany *Ich Ekscelencje, nasi ambasadorzy*^[625] przedstawiał wszystkich dyplomatów z nazwiska oraz podawał informacje na temat ich osobistych majątków za pomocą małych znaczków symbolizujących dolara, umieszczonych tuż obok nazwisk. Jesse Isidor Straus – ambasador we Francji oraz były prezes firmy R. H. Macy & Company – został sklasyfikowany jako „\$\$\$\$ Straus”. Przy nazwisku Dodda tkwiło samotne „c”. W artykule żartowano sobie z jego sknerstwa, z jakim podchodzi do dyplomatycznych obowiązków, oraz sugerowano, że wynajmując w Berlinie dom od żydowskiego bankiera po zniżkowej cenie, wykorzystuje trudne położenie niemieckich Żydów. „Tak więc” – pisano – „państwo Dodd otrzymali bardzo tanim kosztem ładny domek, który udaje im się prowadzić przy pomocy zaledwie kilku służących”. Nie zabrakło informacji, że Dodd sprowadził też do Berlina swój stary sfatygowany samochód marki Chevrolet. „Tym autem na wieczorne przyjęcia miał wozić ambasadora jego syn” – stwierdzał autor artykułu. „Ale syn, jak to w zwyczaju u wszystkich synów, wołał sam jeździć w różne miejsca i sam robić różne rzeczy. Pan Dodd pozostał więc w swoim chevroletcie bez szofera (choć cały czas w cylindrze)”. Dodd, sugerowano w artykule, musiał błagać niższych rangą urzędników ambasady, aby go podwozili – „ci lepiej uposażeni mieli własne limuzyny z szoferem”.

Autor artykułu nazwał Dodda „akademickim wołem przy dyplomatycznej karecie”, któremu w pełnieniu funkcji przeszkadza fakt, iż jest człowiekiem raczej niezamożnym i pozbawionym dyplomatycznego zęba. „W sensie moralnym to osoba bardzo odważna, intelektualista do tego stopnia oderwany od spraw zwykłych ludzi, że mówiąc, posługuje się parabolami, jak to czyni jeden uczony dżentelmen, rozmawiając z drugim; odziani w brunatne koszule członkowie bractwa krwi i stali nie są w stanie zrozumieć go nawet wtedy, gdy usilnie się starają. Dodd więc spala się wewnątrz, a kiedy próbuje być twardy, nikt nie zwraca na niego większej uwagi”.

Dla Dodda było oczywiste, że owe szczegółowe informacje o jego życiu w Niemczech zostały ujawnione przez jakichś oficjeli z Departamentu Stanu, a może nawet kogoś z jego biura w Berlinie. Poskarżył się podsekretarzowi Phillipsowi. Artykuł – stwierdzał ambasador – „stanowi wyraz zadziwiającego, a nawet niepatriotycznego podejścia, przynajmniej jeśli chodzi o moje wysiłki i dokonania na tutejszej placówce^[626]. W piśmie do prezydenta, w którym zgadzałem się objąć to stanowisko, napisałem, iż warunkiem jest zgoda na to, że będę utrzymywał się wyłącznie z pensji.

Skąd i po co zatem ta cała dyskusja?” Dodd powoływał się na historyczne przykłady dyplomatów, którzy żyli skromnie. „Skąd to potępienie dla mnie, starającego się brać z nich przykład?” Oznajmił Phillipsowi, że o przeciek podejrzewa ludzi ze swojej ambasady, i przywoływał kolejne relacje, w których zniekształcano rzeczywistość. „Skąd się biorą te wszystkie fałszywe historie niemające nic wspólnego z prawdziwą służbą, którą staram się tu pełnić?”

Phillips z odpowiedzią odczekał prawie miesiąc. „Jeśli chodzi o artykuł w »Fortune«”^[627] – pisał – „to dałbym już sobie z tym spokój. Nie mam pojęcia, skąd wyszły informacje, do których Pan nawiązuje, podobnie jak nie wiem, skąd prasa bierze te wszystkie plotki (zazwyczaj nieprawdziwe) dotyczące mnie samego, a także wielu innych Pańskich kolegów”. Przekonywał Dodda: „Proszę nie pozwolić, aby przynajmniej ta sprawa zbyt Pana niepokoiła”.

Doddowi udało się spędzić trochę czasu w Bibliotece Kongresu, który poświęcił na kwerendę do *Daunego Południa*, a także wyrwać się na dwa tygodnie na swoją farmę. Tam pisał i doglądał gospodarstwa. Zgodnie z wcześniejszym planem wybrał się też do Chicago, co jednak nie okazało się tak przyjemne, jak się spodziewał. „Kiedy tam dotarłem” – pisał do Marthy^[628] – „każdy chciał się ze mną widzieć: telefony, listy, odwiedziny, obiady, kolacje przez cały czas”. Musiał odpowiadać na wiele trudnych pytań o nią i jej brata, „ale tylko na jedno dotyczące Twojego problemu w Nowym Jorku” (chodziło o rozwód), dodał. Pewien znajomy chciał mu pokazać, „jak przywoicie gazety chicagowskie potraktowały ten temat”, ale – pisał Dodd – „nie miałem ochoty czytać wycinków prasowych”. Przemawiał, łagodził konflikty na swoim wydziale. W dzienniku zanotował, że spotkał się także z dwoma liderami żydowskimi, z którymi miał wcześniej kontakt, kiedy to wypełniał polecenie Roosevelta dotyczące zawieszenia protestu Żydów. Obaj mężczyźni opowiedzieli Doddowi, „w jaki sposób oni sami oraz ich przyjaciele uspokajali swych ziomków i jak zapobiegli gwałtownym demonstracjom w Chicago, które wcześniej planowano”^[629].

Pobyt w Chicago zakłóciły mu sprawy rodzinne – oto pewnego dnia otrzymał telegram z wiadomością od żony. Zniósłszy dzielnie nieunikniony skurcz niepokoju, jaki zawsze wywołują telegramy od bliskich, Dodd dowiedział się, że jego stary chevy, symbol posługi ambasadorskiej, został skasowany przez szofera. Najważniejsze zdanie brzmiało: „Dlatego mam nadzieję, że przywieziesz nowy samochód”^[630].

Teraz więc Dodd, teoretycznie będący na urlopie wypoczynkowym, został poproszony w charakterystycznym dla telegramów stylu o kupno nowego auta i zorganizowanie jego przewozu do Berlina.

Po jakimś czasie napisał do Marthy: „Obawiam się, że Mueller prowadził nieostrożnie, co zauważyłem już kilka razy jeszcze przed moim wyjazdem”^[631]. Dodd nie potrafił tego zrozumieć.

On sam wiele razy przemieszczał się samochodem między farmą a Waszyngtonem, jeździł też po całym mieście i nigdy nie miał żadnego wypadku. „Być może to niczego nie dowodzi, ale na coś wskazuje. Ludzie, którzy nie mają własnego samochodu, są o wiele mniej ostrożni niż ci, którzy go posiadają”. W świetle tego, co miało się wydarzyć za parę lat, ów zachwyt Dodda nad własną biegłością w prowadzeniu pojazdu musi budzić dreszcz. Ambasador chciał kupić buicką, ale uważał cenę auta – 1350 dolarów – za zbyt wysoką, biorąc pod uwagę, że jego rodzina spędzi w Berlinie jeszcze tylko pewien czas. Martwiło go również, iż za transport samochodu do Niemiec zmuszony będzie zapłacić 100 dolarów.

Ostatecznie jednak kupił buicką. Polecił żonie nabyć go od dilerów w Berlinie. Był to, jak zanotował Dodd, podstawowy model, który specjaliści od protokołu w ambasadzie określili pogardliwie jako „śmiesznie skromny jak na ambasadora”^[632].

Dodd zdołał jeszcze raz odwiedzić swoją farmę, co uradowało go, lecz jednocześnie uczyniło wyjazd z kraju jeszcze boleśniej. „To był piękny dzień”^[633] – zanotował w dzienniku w niedzielę 6 maja 1934 roku. „Pączkujące drzewa i kwiaty jabłoni były wprost cudowne, chyba głównie dlatego, że musiałem stamtąd wyjeżdżać”.

Trzy dni później statek z Doddem wypłynął z Nowego Jorku. Ambasador czuł, że osiągnął sukces, składając przywódców żydowskich do złagodzenia siły ich protestów przeciw Niemcom; miał też nadzieję, iż wskutek jego wysiłków rząd Hitlera będzie coraz bardziej umiarkowany. Nadzieje te jednak znacznie osłabły, gdy w niedzielę 12 maja, będąc na środku oceanu, Dodd otrzymał drogą radiową treść przemówienia wygłoszonego przez Goebbelsa – minister propagandy Rzeszy nazwał w nim Żydów „syfilisem wśród wszystkich narodów europejskich”^[634].

Dodd poczuł się zdradzony. Mimo składanych przez nazistów zapewnień, że każde aresztowanie musi poprzedzać wydanie stosownego nakazu oraz że więzienie w Columbia House zostanie zamknięte, najwyraźniej nie zmieniło się nic. Bał się, że wyszedł teraz na człowieka naiwnego. Mimo wysiłków, które czynił wraz z przywódcami amerykańskich Żydów, czuł się zaniepokojony i napisał o tym Rooseveltowi. Przemówienie Goebbelsa ożywiło „wszelkie animozje z okresu ostatniej zimy”^[635] – pisał Dodd. „Zostałem postawiony w położeniu, w którym znajduje się człowiek oszukany, i rzeczywiście nim jestem”.

Do Berlina dotarł w czwartek 17 maja o godzinie 10.30. Został miasto zmienionym. Podczas jego dwumiesięcznej nieobecności susza sprawiła, że wszystko zbrązowiło – Dodd nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Lecz chodziło o coś jeszcze. „Cieszyłem się, że jestem w domu”^[636] – zanotował – „ale z miejsca wyczuwało się tu napiętą atmosferę”.

[622] Dodd w liście do Hulla, 17 IV 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

[623] tamże.

[624] Dodd w liście do R. Waltona Moore'a, 8 VI 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

[625] „Their Excellencies”, s. 115–116.

[626] Dodd w liście do Williama Phillipsa, 4 VI 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

[627] William Phillips w liście do Dodda, 6 VII 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

[628] Dodd w liście do Marthy, 24 IV 1934, skrzynka nr 62, dokumentacja W. E. Dodda. List zaczyna się słowami: „Droga »Malańka« Martho”.

[629] Dodd, *Dziennik*, s. 95.

[630] pani Dodd do Dodda, za pośrednictwem Johna Campbella White'a, 19 IV 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

[631] Dodd w liście do Marthy, 25 IV 1934, skrzynka nr 62, dokumentacja W. E. Dodda.

[632] Dodd, *Dziennik*, s. 108.

[633] tamże, s. 98.

[634] Dodd w liście do Roosevelta, 15 VIII 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

[635] tamże.

Dodd wyraża podobną konsternację z powodu tej zawstydzającej sytuacji w liście do Edwarda M. House'a z 23 V 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda. Píše tam: „Pamiętasz, co zrobiliśmy, żeby uspokoić poruszenie w Chicago, a być może pamiętasz również radę, jakiej udzieliłem przywódcom żydowskim, że dobrze byłoby nieco odstąpić od bojkotu, jeśli Niemcy dadzą dowody postawy pojednawczej”. List kończył słowami: „Muszę szczerze powiedzieć, że czuję się ogromnie żałowany”.

[636] Dodd, *Dziennik*, s. 100.

CZEŚĆ VI

BERLIN O ZMIERZCHU



Sypialnia Göringa w Carinhall

Rozdział 39

Niebezpieczne biesiady

Słumiony pomruk czającej się groźby wprawiał miasto w drżenie, jak gdyby przez jego centrum przeciągnięto potężną linię energetyczną. Odczuwał to każdy w otoczeniu Dodd. Napięcie to spowodowała po części niezwykła jak na maj pogoda i towarzyszące jej obawy o nieudane przyszłe zbiory, jednak główne źródło niepokoju stanowiły przybierające na sile niesnaski pomiędzy Oddziałami Szturmowymi kapitana Röhma a regularną armią. W owym czasie metafora o ciszy przed burzą była w Berlinie jak najbardziej aktualna.

Dodd miał niewielkie szanse, żeby łagodnie wejść w rytm zwykłych obowiązków.

Dzień po swoim powrocie z Ameryki ambasador stanął wobec perspektywy wyprawienia gigantycznego bankietu pożegnalnego na cześć Messersmitha, któremu wreszcie udało się załatwić sobie zaszczytniejsze stanowisko, jakkolwiek nie w Pradze, jak początkowo planował. Wymagania dla kandydatów były tam ogromne i mimo że Messersmith twardo nakłaniał swych sprzymierzeńców wszelkiej maści do pisania listów popierających jego kandydaturę, ostatecznie poniósł porażkę, a funkcja ta przypadła w udziale komuś innemu. Podsekretarz Phillips zaproponował Messersmithowi obsadzenie innej placówki: Urugwaju. Jeśli nawet Messersmith czuł się rozczarowany, nie okazywał tego. I tak uważał się za szczęśliwca. Ale wtedy nagle fortuna zaczęła mu bardziej sprzyjać. Niespodziewanie zwolniło się stanowisko ambasadora w Austrii, a kandydatura Messersmitha do jego objęcia zdawała się oczywista^[637]. Roosevelt wyraził zgodę. Teraz Messersmith czuł się naprawdę szczęśliwy. Podobnie zresztą jak Dodd, który cieszył się z wyjazdu konsula, jakkolwiek wołałby, ażeby wysłano go na drugi koniec świata.

Na cześć Messersmitha wydawano wiele przyjęć – można było nawet odnieść wrażenie, że przez pewien okres wszystkie kolacje i uroczyste obiady w Berlinie urządzano dla niego – ale bankiet w ambasadzie amerykańskiej, który odbył się 18 maja, był największy i najbardziej oficjalny. Gdy

Dodd przebywał w Ameryce^[638], jego żona, w asyście specjalistów od protokołu, nadzorowała przygotowanie liczącej cztery gęsto zapisane strony listy gości, na której znalazły się wszystkie osobistości oprócz Hitlera. Dla każdego, kto orientował się w światku towarzyskim Berlina, prawdziwie fascynujące nie było jednak to, kto na bankiet przybył, lecz to, kogo tam nie było. Göring i Goebbels wymówili się grzecznie, podobnie jak wicekanclerz Papen oraz Rudolf Diels. Przybył natomiast minister obrony Blomberg, jednak bez szefa SA Röhma.

Na bankiecie obecne były Bella Fromm i Sigrid Schultz, a także różni znajomi Marthy, w tym Putzi Hanfstaengl, Armand Berard i książę Ludwik Ferdynand. Ta mieszanina gości potęgowała jeszcze panującą w sali atmosferę napięcia, ponieważ Berard wciąż kochał się w Marcie, a książę Ludwik nie przestawał o niej marzyć, jakkolwiek jej uczucia ulokowane były niezmiennie w osobie Borysa (który, co ciekawe, nie znalazł się na liście gości). Przyszli także przystojny znajomy Marthy, oficer łącznikowy Hitlera Hans „Tommy” Thomsen oraz jego stała towarzyszką Elmina Rangabe, kobieta o mrocznej i bujnej urodzie. Owego wieczoru zdarzyło się też coś zaskakującego – Tommy przyprowadził ze sobą żonę. Było gorąco, pito szampana, nie brakowało namiętności i zazdrości, a tymczasem na horyzoncie wzbierało coś nieokreślonego i nieprzyjemnego.

Bella Fromm zamieniła kilka zdań z Hanfstaenglem, które później zapisała w swoim dzienniku.

„Zastanawiam się, dlaczego nas zaproszono”^[639] – rzekł Hanfstaengl. – „Całe to zamieszanie wokół Żydów. Messersmith jest jednym z nich. Tak jak Roosevelt. Partia ich nie znosi”.

„Doktorze Hanfstaengl” – powiedziała Fromm – „rozmawialiśmy już o tym wcześniej. Nie musi pan odgrywać takich scenek przede mną”.

„W porządku. Ale nawet jeśli jest Aryjczykiem, nie widać tego w sposobie jego postępowania”.

W tym momencie Fromm nie odczuwała specjalnej troski o dobre samopoczucie nazistów. Dwa tygodnie wcześniej jej córka Gonny z pomocą Messersmitha wyjechała do Ameryki; Fromm była z tego powodu smutna, ale jednocześnie odczuła ulgę. Tydzień przed tym wydarzeniem gazeta „Vossische Zeitung” – „Ciocia Voss”, w której pracowała od lat – została zlikwidowana. Fromm odnosiła coraz silniejsze wrażenie, że epoka prosperity zbliża się do końca.

Odezwała się do Hanfstaengla: „Oczywiście, jeśli zamierzacie pozbyć się pojęć dobra i zła i zamienić je na kategorie »Aryjczyk« oraz »nie-Aryjczyk«, to ludzie o raczej staroświeckich przekonaniach, uznający, że coś jest właściwe, a coś niewłaściwe, że coś jest przyzwoite, a coś nieprzyzwoite, nie będą mieli czego się trzymać”.

Skierowała rozmowę ponownie na osobę Messersmitha, jej zdaniem do tego stopnia szanowanego przez kolegów, „że praktycznie chodzi w randze ambasadora” – była to uwaga, która z pewnością niezmiennie zirytowałaby Doda.

Hanfstaengl powiedział łagodniejszym tonem: „Dobrze już, dobrze. Mam w Stanach Zjednoczonych wielu przyjaciół, oni wszyscy też biorą stronę Żydów. Ale ponieważ program partii

mówi z całą mocą...” – zrobił pauzę, jakby się wahając. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej torebkę owocowych dropsów. *Lutschbonbons*. Bella uwielbiała je jako dziecko.

„Proszę się poczęstować” – powiedział Hanfstaengl. – „Produkuje się je specjalnie dla *Führera*”.

Wzięła jednego cukierka. W chwili gdy już miała włożyć go do ust, zauważyła, że widnieje na nim swastyka. Nawet owocowe dropsy zostały „zglajszachtowane”.

Rozmowa zesła teraz na temat politycznej batalii, która wywoływała tak powszechne zaniepokojenie. Hanfstaengl powiedział Belli, że Röhm pragnie przejąć kontrolę nie tylko nad armią niemiecką, lecz również nad dowodzonymi przez Göringa siłami powietrznymi. „Hermann jest wściekły” – mówił Hanfstaengl. – „Zniesie wszystko, tylko nie romansowanie z jego *Luftwaffe*. Mógłby zamordować Röhma z zimną krwią”. Zapytał: „Czy pani zna Himmlera?”.

Fromm przytaknęła.

Hanfstaengl mówił dalej: „Był hodowcą kurczaków, zanim zaczął szpiegować dla reichswery. Wykopał Dielsa z Gestapo. Himmler nie znosi nikogo, a już szczególnie Röhma. Teraz wszyscy zmówili się przeciwko Röhmowi: Rosenberg, Goebbels i hodowca kurczaków”. Pierwszym z wymienionych był Alfred Rosenberg, zażarty antysemita i szef biura spraw zagranicznych partii nazistowskiej.

Zapisawszy tę rozmowę w swoim dzienniku, Fromm opatrzyła ją uwagą: „Wśród osobistości partii narodowosocjalistycznej nie ma nikogo, kto z radością nie poderżnąłby gardła innemu jej członkowi w celu zwiększenia szans na własny awans”.

Dziwny, nowy klimat panujący w Berlinie przyczynił się do tego, że inna kolacja, całkowicie w swym zamierzeniu niewinna, przyniosła śmiertelnie niebezpieczne konsekwencje. Jej gospodarzem był zamożny bankier nazwiskiem Wilhelm Regendanz^[640], przyjaciel Doddów – ci jednak nie zostali na szczęście zaproszeni na tę konkretną imprezę. W pewien majowy wieczór Regendanz wydał przyjęcie w swojej luksusowej willi w Dahlem, w południowo-zachodniej części aglomeracji berlińskiej, słynącej z uroczych domów i bliskości Grunewaldu.

Regendanz, ojciec siedmiorga dzieci, był członkiem Stahlhelm (dosłownie stalowy hełm), organizacji byłych oficerów wojska o zapatrywaniach konserwatywnych. Lubił gromadzić ludzi różnych zawodów na wspólne posiłki, dyskusje i wykłady. Na tę konkretną kolację zaprosił dwóch prominentnych gości, ambasadora Francji François-Ponceta oraz kapitana Röhma. Obaj bywali w tym domu już wcześniej przy różnych okazjach.

Röhm pojawił się w towarzystwie trzech młodych oficerów SA, między innymi blondyna o kręconych włosach noszącego przydomek „Hrabia Piękny”, jego adiutanta i sekretarza oraz – jak głosiła plotka – okazjonalnego kochanka. Hitler spotkanie to nazwał później „tajną kolacją”, jakkolwiek goście wcale nie starali się ukrywać swej obecności. Samochody parkowały bezpośrednio

przed domem, łatwo je było zauważyć z ulicy, a ich właścicieli dało się bez trudu zidentyfikować po wielkich tablicach rejestracyjnych.

Dobór gości był dość dziwny. François-Poncet nie lubił szefa SA, o czym napisał bez ogródek w swoim pamiętniku zatytułowanym *Byłem ambasadorem w Berlinie*. „Odczuwając zawsze najżywszą odrazę do Röhma” – pisał – „unikalem go, jak to tylko było możliwe, mimo ważnej roli, jaką pełnił w Trzeciej Rzeszy”. Jednak Regendanz „ubłagał” François-Ponceta, aby na kolację przyszedł.

W sporządzonym później liście do Gestapo Regendanz starał się wyjaśnić, dlaczego upierał się przy zaproszeniu obu panów jednocześnie. Otóż kolację tę wydano ze względu na François-Ponceta, który – jak twierdził – wyrażał wcześniej frustrację z powodu niemożności spotkania się osobiście z Hitlerem i spytał go, czy mógłby umożliwić mu rozmowę w tej sprawie z kimś z bliskiego otoczenia kanclerza. Regendanz zasugerował osobę Röhma jako wartościowego pośrednika. Twierdził, że wydając tę kolację, był nieświadomy rozdziwku pomiędzy Röhmem a Hitlerem. „Wręcz przeciwnie”, zeznał przed Gestapo, „zakładałem, iż Röhm jest człowiekiem cieszącym się całkowitym zaufaniem Führera i jego zwolennikiem. Innymi słowy, uważano wtedy na ogół, że informując Röhma, informuje się de facto Hitlera”.

Na kolacji obecni byli także pani Regendanz i jej syn Alex, przygotowujący się do zawodu prawnika specjalizującego się w stosunkach międzynarodowych. Po posiłku Röhm i ambasador Francji udali się do biblioteki Regendanza na nieoficjalną rozmowę. Röhm wypowiadał się w kwestiach wojskowych i wypierał się wszelkiego zainteresowania polityką, deklarując, że jest wyłącznie żołnierzem, oficerem. „Rezultat tej rozmowy” – zeznał Regendanz przed Gestapo – „był dosłownie żaden”.

Wieczór dobiegł końca – wreszcie, jak zanotował François-Poncet. „Kolacja była nędzna, konwersacje bez znaczenia” – wspominał. „Widziałem, że Röhm jest śpiący i ocięzany; budził się tylko po to, aby skarżyć się na własne zdrowie i reumatyzm, który spodziewał się wykurować w Wiessee” – chodzi o Bad Wiessee, gdzie Röhm planował poddać się leczeniu w sanatorium nad jeziorem. „Wracając do domu” – pisał François-Poncet – „przeklinałem naszego gospodarza za cały ów nudny wieczór”.

Jak Gestapo dowiedziało się o kolacji i obecnych na niej gościach, nie wiadomo, ale nie ulega wątpliwości, że już wtedy Röhm znajdował się pod ścisłą obserwacją. Tablice rejestracyjne samochodów zaparkowanych pod domem Regendanza stanowiły dostateczną informację o tożsamości osób znajdujących się w środku.

Kolacji tej towarzyszyła ponura sława. Jakiś czas później, w środku lata, ambasador brytyjski Phipps zauważył w swoim dzienniku, że spośród siedmiorga osób siedzących wtedy za stołem w dworcu Regendanza cztery zostały zamordowane, jedna uciekła z kraju przed groźbą śmierci, a kolejną uwięziono w obozie koncentracyjnym.

Phipps zapisał: „Liczby ofiar tej jednej kolacji mogłoby pozazdrościć nawet Borgiowie”. Zdarzyła się też rzecz następująca:

W czwartek 24 maja Dodd wybrał się na obiad z wyższym urzędnikiem MSZ Hansem-Heinrichem Dieckhoffem^[641], którego uważał za „człowieka odpowiadającego rangą zastępcy sekretarza stanu”. Spotkali się w małej, nierzucającej się w oczy restauracji przy Unter den Linden, szerokim bulwarze biegnącym dokładnie na wschód od Bramy Brandenburskiej; w lokalu obaj panowie wdali się w rozmowę, którą Dodd uznał za nadzwyczajną.

Głównym powodem, dla którego Dodd chciał zobaczyć się z Dieckhoffem, była chęć wyrażenia konsternacji. Otóż mowa Goebbelsa o Żydach jako syfilisie przysporzyła Doddowi reputacji człowieka naiwnego, zważywszy na wszystkie jego wcześniejsze starania, aby wyciszyć protesty żydowskie w Ameryce. Ambasador przypominał Dieckhoffowi o planach zamknięcia więzienia w Columbia House, o których władze Rzeszy informowały wcześniej, a także o wymogu posiadania przez policję nakazu aresztowania oraz o innych zapewnieniach, iż Niemcy „złagodzą okrucieństwo wobec Żydów”.

Dieckhoff okazywał zrozumienie. Wyznał, że sam ma krytyczne zdanie o Goebbelsie oraz że spodziewa się rychłego obalenia Hitlera. Dodd zapisał w dzienniku, że Dieckhoff „przekazał [mu] to, co sam uważał za prawie pewne, mianowicie, że Niemcy nie będą już zbyt długo trwać w systemie, w którym każe im się bez końca oddawać ćwiczeniom i niemalże głodzi na śmierć”.

Szczerść ta zdumiała Dodda. Dieckhoff mówił tak swobodnie, jakby znajdował się w Anglii albo Stanach Zjednoczonych, a nawet posunął się do wyrażenia nadziei, że protesty żydowskie w Ameryce będą trwały dalej. Bez nich, powiedział Dieckhoff, szanse na obalenie Hitlera zmaleją.

Dodd wiedział, że nawet dla człowieka o pozycji Dieckhoffa jest to niebezpieczna rozmowa. Zapisał: „Poczułem głęboką obawę o tego wysokiego urzędnika, który krytykując obecny reżim, tak bardzo narażał swoje życie”.

Po wyjściu z restauracji obaj mężczyźni poszli ulicą Unter den Linden w kierunku zachodnim, ku Wilhelmstrasse, przy której wznosiła się większość budynków rządowych. Rozstali się, jak zanotował Dodd, „raczej ze smutkiem”.

Dodd powrócił do swojego biura, pracował kilka godzin, a następnie wybrał się na długi spacer wokół Tiergarten.

^[637] Phillips, *Dziennik*, 16 III 1934; Stiller, s. 54–55.

^[638] Louis Lochner w liście do Betty Lochner, 29 V 1934, Round Robin Letters, skrzynka nr 6, dokumentacja Lochnera; „Lista osób zaproszonych”, skrzynka nr 59, dokumentacja W. E. Dodda.

[639] Fromm, s. 162–164.

[640] W opisie kolacji u Regendanza korzystałem z kilku następujących źródeł: Evans, *Power*, s. 26; François-Poncet, s. 139–140; Phipps, s. 66–67; list Wilhelma Regendanza do prokuratora generalnego Brendela z Gestapo, 2 VII 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

Hermann Ullstein, należący do wielkiej niemieckiej dynastii magnatów prasowych, opowiada okraszoną ponurym humorem historię o innym posiłku, tym razem w eleganckiej restauracji w Poczdamie. Pewien człowiek jadł tam kolację wraz z kilkoma osobami, w tym atrakcyjną brunetką. Siedzący przy sąsiednim stole nazista, doszedłszy do wniosku, że kobieta ta jest Żydówką, poprosił towarzystwo, żeby opuściło restaurację. Mężczyzna uśmiechnął się i spytał: „Czy pozwoli pan, że najpierw skończymy posiłek?”.

Ale po kwadransie wszyscy nadal jedli i wyśmienicie się bawili, co sprawiło, że nazista ponownie pojawił się przy ich stole i zażądał, aby natychmiast wyszli z lokalu.

Mężczyzna, o którym mowa, spokojnie podał nazistcie swoją wizytówkę, na której było napisane: „François-Poncet, ambasador Francji”. Ullstein, s. 287–288.

[641] Dodd, *Dziennik*, s. 101–102.

Rozdział 40

Samotnia pisarza

Nasilające się oznaki ucisku politycznego i ostracyzmu społecznego zaczynały coraz bardziej trapić Marthę, mimo jej entuzjazmu dla jasnowłosych młodych ludzi, których Hitler przyciągał całymi tysiącami. Jeden z najważniejszych momentów w dojrzewaniu Marthy nastąpił w maju^[642], gdy jej znajomy Heinrich Maria Ledig-Rowohlt, stały bywalec salonu Mildred i Arvida Harnacków, zaprosił Mildred i ją do wspólnego złożenia wizyty jednemu z licznych pisarzy, którzy nie przyłączyli się do wielkiej rzeszy artystów pierzchających z nazistowskich Niemiec. W exodusie tym wzięli udział między innymi Heinrich Mann, Bertolt Brecht, Albert Einstein i kompozytor Otto Klemperer, którego syn, aktor Werner Klemperer, zagrał dobrotliwego i safandulowatego komendanta hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w telewizyjnym serialu pt. *Hogan's Heroes*. Ledig-Rowohlt był nieślubnym synem wydawcy Ernsta Rowohlta i pracował jako redaktor w firmie ojca. Wspomnianym pisarzem był zaś Rudolf Ditzen, znany powszechnie pod pseudonimem Hans Fallada^[643].

Wizyta ta miała odbyć się wcześniej, na początku roku, lecz Fallada przesunął ją aż na maj ze względu na niepokój związany z publikacją jego najnowszej książki *Czyż nie ma powrotu*. Fallada cieszył się już wtedy znaczącym uznaniem na świecie jako autor książki *I coś dalej, szary człowieku?* – traktującej o perypetiach pewnej pary podczas kryzysu gospodarczego i zawirowań społecznych okresu Republiki Weimarskiej. Książka *Czyż nie ma powrotu* stanowiła dla niego przedmiot nieustannej troski, ponieważ miała to być jego pierwsza duża publikacja od czasu objęcia przez Hitlera funkcji kanclerskiej. Pisarz nie był pewien, jakie stanowisko zajmie Goebbelsowska Izba Piśmiennictwa Rzeszy, która decydowała, co należy uznać za literaturę. Aby utorować nowej książce drogę, Fallada umieścił we wstępie kilka pochlebnych zdań o nazistach, sugerując, że z pewnością nie dopuszczą oni, ażeby okropne sytuacje, o których w książce mowa, trwały dłużej.

Nawet jego wydawca, Rowohlt, uznał, że Fallada posuwa się za daleko, stwierdzając, iż wstęp „sprawia wrażenie aż NADTO przymilnego”. Fallada nie ustąpił.

W okresie, jaki nastąpił po objęciu przez Hitlera stanowiska kanclerza, niemieccy pisarze, którzy nie byli zdecydowanymi nazistami, podzielili się rychło na dwa obozy – tych, którzy uważali, że pozostawanie w Niemczech jest czymś niemoralnym, oraz tych, którzy sądzili, że najlepszą strategią jest pozostać na miejscu, wycofać się z życia publicznego i czekać na upadek reżimu hitlerowskiego. To drugie podejście zaczęto nazywać „emigracją wewnętrzną”^[644]; tę drogę obrał Fallada.

Martha poprosiła Borysa, by wybrał się z nimi. Zgodził się, mimo wyrażanej wcześniej opinii, iż Martha powinna unikać kontaktów z Mildred.

Rankiem w niedzielę 27 maja wyruszyli w trzygodzinną podróż samochodem do wiejskiego domu Fallady w Carwitz, na Pojezierzu Meklemburskim, na północ od Berlina. Borys prowadził forda, rzecz jasna z opuszczonym dachem. Poranek był chłodny i cichy, na drogach prawie żadnego ruchu. Wyjechawszy poza miasto, Borys przyspieszył. Ford pędził po wiejskich drogach, wzdłuż których rosły kasztany i akacje, a powietrze pachniało wiosną.

W połowie trasy krajobraz pociemniał. „Krótkie ostre linie błyskawic rozświetlały niebo” – wspominała Martha. „Pejzaż wydawał się dziki, przesycony barwami intensywnej elektrycznej zieleni i fioletu, lawendowo szary”. Nagły deszcz spadł granulkami wody, rozbijającymi się o przednią szybę samochodu, ale nawet wtedy, budząc ogólny zachwyt, Borys nie zasunął dachu. Auto pędziło dalej przez chmurę wodnej mgiełki.

Nagle niebo pojaśniało, pozostały tylko nasycona promieniami słonecznymi para i niespodziewane kolory; wydawało się, że jadą przez obszar przypominający pejzaż z akwareli. W powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi.

Nieopodal Carwitz znaleźli się w krainie wzgórz, łąk i błękitnych jezior, wśród których biegle piaszczyste dróżki. Domy i stodoły miały kształt prostych pudełek o stromych dachach. Znajdowali się w odległości zaledwie trzech godzin jazdy od Berlina, ale wydawało się, że są gdzieś daleko, w całkowitym ustroniu.

Borys zatrzymał forda przed starym wiejskim domem nad brzegiem jeziora. Wznosił się on u naskady cypla zwanego Bohnenwerder, który – obramowany pagórkami – wrzynał się w jezioro.

Fallada wyłonił się z wnętrza domu, ciągnięty przez chłopczyka w wieku mniej więcej czterech lat, w towarzystwie swojej żony, blondynki o bujnych kształtach, która trzymała na ręku niemowlę – ich drugie dziecko. Pojawił się też pies. Fallada był kanciastym mężczyzną o kwadratowej głowie, szerokich ustach i kościach policzkowych tak zaokrąglonych i wydatnych, że można było podejrzewać, iż ktoś wszczepił mu tam piłeczki golfowe. Nosił okragłe okulary w ciemnych

oprawkach. Wraz z żoną oprowadzili przybyłych gości po gospodarstwie, które zakupili za honorarium za książkę *I cóż dalej, szary człowieku?* Marthę uderzył fakt, że oboje wyglądali na zadowolonych z życia.

Mildred jako pierwsza poruszyła temat, który wisiał w powietrzu od chwili ich przyjazdu, uczyniła to jednak ze stosowną delikatnością. Gdy wraz z Falladą spacerowali nad jeziorem, jak szczegółowo relacjonuje jeden z biografów pisarza, Mildred zaczęła opowiadać o swoim życiu w Ameryce i o tym, jak bardzo lubiła przechadzać się nad brzegiem jeziora Michigan.

Fallada powiedział: „Musi być pani trudno żyć w obcym kraju, zwłaszcza że interesuje się pani literaturą i pisaniem”.

To prawda, odrzekła. „Ale komuś, kto uprawia literaturę, nie zawsze też jest łatwo, gdy mieszka we własnym kraju”.

Fallada zapalił papierosa.

Mówił teraz bardzo powoli: „Nie potrafiłbym nigdy niczego napisać w obcym języku ani też mieszkać w innym kraju niż Niemcy”.

Mildred odparła: „A może, Herr Ditzgen, mniej liczy się to, gdzie się żyje, niż to, jak się żyje”.

Fallada nic nie powiedział.

Po chwili Mildred zapytała: „Czy w dzisiejszych czasach można pisać, co się chce?”.

„To zależy od punktu widzenia” – odrzekł. Są pewne trudności i wymagania, słowa, których należy unikać, ale w ostatecznym rozrachunku literatura zwycięża – oświadczył. „Tak, wierzę, że nawet w tych czasach można pisać, jeśli się przestrzega niezbędnych regulacji i troszkę ulegnie. Nie w sprawach istotnych, rzecz jasna”.

Mildred zapytała: „Co jest istotne, a co nieistotne?”.

Zjedli obiad i wypili kawę. Martha wraz z Mildred poszły na sam koniec cypla Bohnenwerder, aby podziwiać widoki. Delikatna mgielka rozmywała krawędzie i barwy rzeczy, wywołując wrażenie ogólnego spokoju. A jednak Fallada wrażał gniewem. Pod nieobecność pań grali z Ledig-Rowohltem w szachy. Rozmawiali o wstępie do książki *Czyż nie ma pourotu*; Ledig-Rowohlnt zakwestionował jego sensowność. Powiedział Falladzie, że dyskutowali o tym, jadąc samochodem do Carwitz. Usłyszawszy to, Fallada rozgniewał się. Nie życzył sobie być przedmiotem plotek, nie chciał być przez nikogo osądzany, w szczególności zaś przez jakieś dwie Amerykanki.

Gdy Martha i Mildred wróciły, rozmowa potoczyła się dalej, już z udziałem Mildred. Martha słuchała bardzo uważnie, ale jej niemiecki nie był jeszcze na tyle dobry, aby mogła zrozumieć wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Zdawała sobie jednak sprawę, że Mildred stara się „łagodnie wysondować” powody, dla których Fallada usunął się w cień. Jego niezadowolenie z tego rodzaju dociekliwości było wyraźnie widoczne.

Po jakimś czasie Fallada oprowadził ich po domu – miał siedem pokoi i przestronne poddasze,

wyposażony był w elektryczność oraz różne piece kaflowe. Gospodarz pokazał gościom bibliotekę, w której znajdowały się liczne zagraniczne wydania jego książek, po czym zaprowadził ich do pokoju, gdzie właśnie spał jego młodszy synek. Martha zapisała: „Objawiał niepokój i zakłopotanie, chociaż bardzo się starał okazywać przy nas dumę i zadowolenie ze swego malucha, ze swego samodzielnie uprawianego ogrodu, ze swej prostej żony o bujnych kształtach, z licznych przekładów i wydań jego książek stojących na półkach. Ale był to człowiek nieszczęśliwy”.

Fallada zrobił całą grupkę kilka zdjęć, Borys również. W drodze powrotnej do Berlina czteroosobowe towarzystwo znów rozmawiało o Falladzie. Mildred uznała go za tchórzliwego i słabego, ale dodała: „Ma jednak sumienie, i to jest dobre. Nie jest szczęśliwy, nie jest nazistą, nie jest beznadziejny”.

Martha odniosła odmienne wrażenie: „Po raz pierwszy na twarzy jakiegoś pisarza widziałam nagi strach”.

Fallada został ostatecznie uznany za postać w literaturze niemieckiej kontrowersyjną; jedni krytykowali go ostro za niezdolność do przeciwstawienia się nazistom, inni zaś bronili go, podkreślając, że nie wybrał dla siebie bezpiecznego wyjścia, jakim była emigracja. W okresie, jaki nastąpił po wizycie Marthy, Fallada odczuwał coraz większe naciski, aby nagiął swoje piarstwo do żądań hitlerowskiego państwa. Zabrał się za tłumaczenie książek innych pisarzy dla wydawnictwa Rowohlt, w tym dzieła Clarence’a Daya *Życie z ojcem*, bardzo wówczas popularnego w Stanach. Pisał także niezangażowane prace, które – miał nadzieję – nie urażą nazistów, należał do nich między innymi zbiór opowiadań dla dzieci, poświęconych zabaweczce na kółkach, pt. *Hoppelpoppel – wo bist du?* (Hoppelpoppel, gdzie jesteś?).

Karierę pisarską Fallady na krótko ożywiło opublikowanie w 1937 roku powieści zatytułowanej *Wilk wśród wilków*, którą oficjele partyjni uznali za godny pochwały atak na stary świat Republiki Weimarskiej i którą sam Goebbels nazwał „wspaniałą książką”. Tym niemniej Fallada czynił kolejne ustępstwa, aż ostatecznie pozwolił Goebbelsowi naszkicować zakończenie swojej następnej powieści *Żelazny Gustaw*, opisującej trudy życia podczas ostatniej wojny światowej. Ustępstwo to uważał za roztropne. „Nie lubię wielkich gestów” – napisał. „Pozwolić się zaszlachtować przed tronem tyrana, bezsensownie, z pożytkiem dla nikogo i ze szkodą dla moich dzieci, to nie moja droga”.

Zdawał sobie jednak sprawę, że owe liczne kapitulacje musiały odcisnąć piętno na jego piarstwie. W liście do matki stwierdził, że nie jest zadowolony ze swoich prac. „Nie mogę robić tego, co chcę – o ile pragnę pozostać przy życiu. Mówię mniej, niż myślę”.

Inni pisarze, żyjący na wygnaniu, ze wzdrgadą obserwowali, jak Fallada i pozostali literaci na emigracji wewnętrznej coraz bardziej ulegają gustom i żądaniom władz. Tomasz Mann, który cały okres rządów Hitlera spędził za granicą, napisał im później epitafium: „Być może to przesąd, ale

moim zdaniem każda książka, jaką wydrukowano w Niemczech w latach 1933–1945, jest więcej niż bezwartościowa i nikt nie powinien tknąć jej palcem^[645]. Otacza je wszystkie odór krwi i hańby. Powinno się je zetrzeć na miazgę”.

Strach i uciemnienie, jakie Martha dostrzegła w Falladzie, stanowiły zwieńczenie całego szeregu obserwacji, które wiosną zaczęły podkopywać w niej zafascynowanie nowymi Niemcami. Jej ślepa wiara w reżim hitlerowski zmieniła się najpierw w rodzaj życziwego sceptycyzmu, w miarę jednak, jak zbliżało się lato, narastała w niej coraz głębsza odraza.

O ile kiedyś potrafiła zbagatelizować wspomnienie o incydencie w Norymberdze, uznając go za odosobniony przypadek, o tyle teraz zdawała już sobie sprawę, że prześladowania Żydów w Niemczech stanowią dla krajowców ulubioną rozrywkę. Nieustanne gromy nazistowskiej propagandy, przedstawiającej Żydów jako wrogów państwa, budziły w niej niechęć. Słuchając antynazistowskich wypowiedzi Mildred i Arvida Harnacków oraz ich przyjaciół, Martha nie czuła się już skłonna do obrony owych „dziwnych istot”, przedstawicieli raczkującej rewolucji, które kiedyś uważała za tak zachwycające. „Wiosną 1934 roku”^[646] – pisała – „to, co słyszałam, widziałam i czułam, pomogło mi uświadomić sobie, że warunki życia w epoce przedhitlerowskiej były lepsze, że w kraju panuje teraz skomplikowany i bezwzględny system terroru, tłumiący wolność i szczęście narodu, i że przywódcy niemieccy wiodą potulne i życziwe im masy ku kolejnej wojnie wbrew ich woli i świadomości”.

Ale nie była jeszcze gotowa otwarcie przyznać się przed światem do nowych poglądów. „Staralam się, aby moja wrogość pozostawała pod kontrolą, utajona”.

Wybrała inną metodę, nie wprost, deklarując w sposób celowo zawołowany swoje nowe, głębokie zainteresowanie największym wrogiem reżimu hitlerowskiego – Związkiem Sowieckim. Pisała: „Zaczynała we mnie narastać ciekawość co do charakteru tego rządu, tak zienawidzonego w Niemczech, oraz tego narodu, opisywanego jako całkowicie bezwzględny”.

Wbrew życzeniu rodziców, zachęcana przez Borysa, zaczęła planować podróż do Związku Sowieckiego.

W czerwcu Dodd rozumiał już, że „problem żydowski”, jak wciąż go określał, będzie się tylko pogłębiać. Obecnie wydaje się, pisał w liście do sekretarza stanu Hulla, że „perspektywa złagodzenia problemu bardzo się oddala”^[647]. Podobnie jak Messersmith, Dodd dostrzegał wszechobecność prześladowań Żydów, mimo że stały się one teraz „bardziej subtelne i mniej rozreklamowane”.

W maju, donosił Dodd, partia nazistowska zainicjowała kampanię przeciwko „malkontentom i krytykantom”^[648], która miała dodać akcji *Gleichschaltung* nowej energii. Naturalnie oznaczało

to wzmożenie prześladowań Żydów. Goebbelsowski dziennik „Der Angriff” zwracał się do czytelników, „aby nie spuszczać Żydów z oka i donosić o wszelkich uchybieniach z ich strony” – pisał Dodd. Żydowskich właścicieli gazety „Frankfurter Zeitung” zmuszono do oddania pakietu kontrolnego, podobnie jak ostatnich Żydów będących właścicielami sławnego imperium prasowego Ullstein. Jednej z większych firm przemysłu gumowego kazano udowodnić, że nie zatrudnia ani jednego Żyda, jeśli chce być dopuszczona do udziału w ogłoszonym przez gminę przetargu. Niemiecki Czerwony Krzyż musiał nagle dostarczyć zaświadczenia, iż wszyscy jego nowi podopieczni są Aryjczykami. Dwóch sędziów z dwóch różnych miast wydało zgodę, aby dwaj mężczyźni rozwiedli się ze swoimi żonami tylko dlatego, że są one Żydówkami; sąd argumentował, iż z takich małżeństw urodziłyby się mieszańce, które tylko osłabiłyby rasę niemiecką.

Dodd pisał: „Przypadki te, a także inne pomniejsze sprawy dowodzą, że Żydów traktuje się teraz w inny sposób – stosowane są takie metody, aby wywoływały mniejsze reperkusje za granicą, ale odzwierciedlały wcale nie mniejszą determinację nazistów, żeby wyrzucić Żydów z kraju”.

Przykręcanie śruby objęło także ludność aryjską w Niemczech^[649]. W kolejnej depeszy, wysłanej tego samego dnia, Dodd informował, że Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa postanowiło wprowadzić zmiany w organizacji zajęć szkolnych w ten sposób, aby w soboty i środy wieczorem umożliwić młodzieży uczestnictwo w zajęciach Hitlerjugend.

Od tej pory sobota miała się nazywać *Staatsjugendtag* – państwowym dniem młodzieży. Było wciąż ciepło, czasem popadał drobny deszcz. W sobotę 2 czerwca 1934 roku, gdy temperatury za oknem sięgały 25 stopni, ambasador Dodd zapisał w dzienniku: „Po raz pierwszy widzę Niemcy, w których panuje susza; drzewa i pola są żółte^[650]. W gazetach mnóstwo informacji o suszy w Bawarii, a także w Stanach Zjednoczonych”.

Również Moffat sporządził notatkę dotyczącą pogody w Waszyngtonie. W dzienniku opisał ją jako „wielki żar”^[651], który spłynął na miasto w niedzielę 20 maja, powodując wzrost temperatury do 34 stopni. W jego gabinecie.

Nikt jeszcze wtedy nie wiedział, rzecz jasna, że Ameryka weszła właśnie w drugi okres katastrofalnych susz, które miały wkrótce zmienić Wielkie Równiny w Dust Bowl^[652].

^[642] Opisując dzień spędzony przez Marthę w Carwitz, opierałem się na następujących materiałach źródłowych: Dodd, *Embassy Eyes*, s. 83–85; Martha Dodd, niepublikowany pamiętnik, 2–3, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd; listy Hansa Fallady do Marthy Dodd, 8 VI 1934 i 18 VI 1934, skrzynka nr 5, dokumentacja Marthy Dodd; Williams, s. XVII, s. 126, 150, 152–155, 176–178, 185–188, 194, 209; Schueler, s. 14, 66; Brysac, s. 148–150; Metcalf, s. 193–195. Zob.

także Turner „Fallada”.

Po tym spotkaniu Martha i Fallada krótko ze sobą korespondowali. On przelała mu napisane przez siebie opowiadanie. On wysłał jej fotografię, jedną z wielu, które zrobił tamtego dnia w Carwitz – „niestety, jedyne zrobione przeze mnie zdjęcie, które ładnie wyszło”. Na temat opowiadania Marthy Fallada napisał: „Mam nadzieję, że niebawem znajdzie Pani trochę wolnego czasu i wewnętrznego spokoju, aby intensywnie pracować – a warto, mogę to powiedzieć na podstawie tej krótkiej próbki”. Martha z kolei wysłała mu zbiór fotografii zrobionych ręką Borysa; dodała, że ma nadzieję odwiedzić go kiedyś ponownie, co dla Fallady z pewnością zabrzmiało jak pocieszenie: „A zatem”, odpisał, „naprawdę dobrze się u mnie czuliście”.

Martha nigdy nie przyjechała ponownie do Carwitz. Lata mijały, a ona słyszała o Falladzie i jego książkach coraz mniej. Sądziła, że „podał się już chyba całkiem, zarówno na gruncie pisarskim, jak i w sferze godności”. Fallada w listach do Marthy, 8 VI i 18 VI 1934, skrzynka nr 5, dokumentacja Marthy Dodd; Martha Dodd, niepublikowany pamiętnik, 2, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

[643] Ditzgen wziął swój pseudonim od imion dwóch postaci z bajek braci Grimm: Hansa z bajki *Szczęśliwy Jaś* oraz Falladę z bajki *Gęsiareczka*, w której koń o imieniu Falada (pisanym przez jedno l) okazuje się zdolny ustalić prawdę nawet po tym, jak odcięto mu głowę. Williams, s. XI.

[644] Ritchie, s. 112.

[645] tamże, s. 115.

[646] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 113–133.

[647] Dodd w liście do Hulla, 18 VI 1934 (nr 935), State/Foreign.

[648] tamże.

[649] Dodd w liście do Hulla, 18 VI 1934 (nr 932), State/Foreign.

[650] Dodd, *Dziennik*, s. 105.

[651] Moffat, *Dziennik*, 20 V 1934.

[652] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 134.

Rozdział 41

Poruszenie u sąsiada

Zbliżało się lato, a wraz z nim ogarniające Berlin poczucie niepewności stawało się coraz bardziej dojmujące. Atmosfera była „napięta i naenergetyzowana”^[653] – zapisała Martha. „Każdy czuł, że coś czai się w powietrzu, ale nie wiedział co”.

Owa dziwna aura i niepewne warunki życia w Niemczech stanowiły temat rozmów, jakie toczyły się podczas jednego z popołudniowych *Tee-Empfung* (podwieczorków), wydanego przez Putziego Hanfstaengla w piątek 8 czerwca 1934 roku, na którym obecni byli członkowie rodziny Doddów.

Wracając do domu, Doddowie nie mogli nie zauważyć, że przy Bendlerstrasse – ostatniej bocznej uliczce, którą mijali w drodze do siebie – dzieje się coś niezwykłego. Stały tam wyraźnie widoczne budynki sztabu armii, nazywane Bendler Block. Właściwie Doddowie i armia sąsiadowali ze sobą bezpośrednio – ktoś obdarzony siłą mógłby do okien wojskowych budynków dorzucić kamieniem.

Zmiany rzucały się w oczy^[654]. Na dachach kwatery głównej stali żołnierze. Uzbrojone po zęby patrole poruszały się wewnętrznymi alejkami. Na ulicy tłoczyły się ciężarówki wojskowe i samochody Gestapo.

Stan ten utrzymywał się przez całą piątkową noc oraz przez sobotę. Po czym w niedzielę 10 czerwca rano po żołnierzach i ciężarówkach nie było śladu.

Chłód bijący od leśnych połaci Tiergarten otaczał też rezydencję Doddów. Jak zawsze w parku widać było jeźdźców, w ciszy niedzielnego poranka rozlegał się stłumiony odgłos końskich kopyt.

^[653] Gallo, s. 122.

^[654] Obszar Stanów Zjednoczonych dotknięty w latach 1931–1938 katastrofą ekologiczną

w wyniku suszy i silnej erozji gleby (przyp. tłum.).

Rozdział 42

Zabawki Hermanna

Z powodu natłoku plotek o zbliżającym się politycznym przesileniu Doddowi i jego towarzyszom z korpusu dyplomatycznego bardzo trudno było wyobrazić sobie, by Hitler, Göring i Goebbels mogli się jeszcze długo utrzymać u władzy. Dodd wciąż uważał ich za niepoważnych i niebezpiecznych szczeniaków – „szesnastolatków”, jak ich teraz określał – którzy stanęli w obliczu poważnych problemów. Susza stawała się coraz poważniejsza. Stan gospodarki poprawiał się tylko nieznacznie, z pewnością nie był taki, jak wynikało ze wskaźników, wedle których bezrobocie malało. Wyglądało na to, że rozdźwięk pomiędzy Röhmem a Hitlerem się pogłębia. Wciąż dochodziło też do sytuacji – dziwacznych, groteskowych – na podstawie których można było wysnuć wniosek, iż Niemcy są po prostu teatrem jakiejś komedii absurdów, nie zaś poważnym krajem borykającym się z poważnymi problemami.

Epizod tego właśnie rodzaju wydarzył się w niedzielę 10 czerwca 1934 roku^[655], kiedy to Dodd oraz ambasadorzy Francji François-Poncet i Wielkiej Brytanii sir Eric Phipps w towarzystwie ponad 30 innych gości zwiedzali rozległą posiadłość Göringa, położoną w odległości godziny jazdy samochodem na północ od Berlina. Nieruchomość ta została nazwana imieniem jego zmarłej szwedzkiej żony Carin, którą Göring ubóstwiał; pod koniec tegoż miesiąca planował ekshumować jej ciało z grobu w Szwecji, przetransportować je do Niemiec i złożyć w mauzoleum na terenie posiadłości. Dziś jednak zamierzał po prostu popisać się przed gośćmi swymi lasami i nową zagrodą dla żubrów, gdzie miał nadzieję hodować kilka z tych stworzeń, po czym puścić je wolno, by żyły na jego włościach.

Doddowie przyjechali dość późno nowym buickiem, który zawiódł ich w drodze, ujawniając drobną usterkę; mimo to udało im się zjawić przed Göringiem. Instrukcje nakazywały im udać się w konkretne miejsce na terenie posiadłości. Aby goście nie zabłądzili, Göring przy każdym

skrzyżowaniu ulokował swoich ludzi mających wskazywać drogę. Państwo Dodd zauważyli gości gromadzących się wokół przewodnika, który rozprawiał o zaletach posiadłości. Dowiedzieli się, że znajdują się właśnie przy granicy enklawy żubrów.

Nareszcie przybył i Göring, samodzielnie prowadząc swój – jak ujął to Phipps – samochód wyścigowy. Wsiadł zeń ubrany w mundur, który z jednej strony przypominał uniform lotnika, z drugiej – strój średniowiecznego łowcy. Na nogach miał buty z kauczuku, za jego pasem tkwił ogromny myśliwski nóż.

Teraz Göring zajął miejsce przewodnika. Korzystał z mikrofonu, ale ponieważ mówił bardzo głośno, przez ciche połacie lasów niósł się przykry zgrzyt. Gospodarz opisał zamiar utworzenia leśnego rezerwatu, w którym odtworzone zostałyby warunki panujące bardzo dawno temu w Niemczech i w którym żyłyby zagrożone gatunki zwierząt, takie jak żubry – jeden z nich stał gnuśnie w pobliżu. Całe wydarzenie dokumentowało trzech fotografów oraz operator „kinematografu”.

Elisabetta Cerruti, piękna węgiersko-żydowska żona ambasadora Włoch, wspominała dalszy przebieg wydarzeń.

„Panie i panowie” – rzekł Göring – „za kilka chwil staną się państwo świadkami wyjątkowego pokazu sił natury”. Gestem wskazał na żelazną klatkę. „W tej klatce znajduje się potężny samiec żubra, o jakim nie słyszano na całym kontynencie (...). Na waszych oczach zetknie się on z samicą swego gatunku. Proszę zachować ciszę i nie bać się”.

Nadzorcy otworzyli klatkę.

„Iwanie Groźny” – polecił Göring. – „Nakazuję ci wyjść z klatki”.

Byk nie poruszył się.

Göring powtórzył rozkaz. I tym razem byk go zignorował.

Teraz nadzorcy podjęli próbę skłonienia Iwana do ruchu. Fotografowie przygotowali się, pewni, że za chwilę dojdzie do scen lubieżnych.

Ambasador brytyjski Phipps zapisał w dzienniku, że byk wyszedł z klatki „z najwyższą niechęcią i – spojrzawszy na krowę dość smutnym wzrokiem – próbował do klatki powrócić”. Phipps wydarzenie to opisał także w notce skierowanej później do Londynu, która w brytyjskim MSZ zasłynęła jako „żubrza depesza”.

Następnie Dodd, Mattie i pozostali goście wsiedli do małych dwuosobowych powozów, których woźnicami byli okoliczni chłopci, i rozpoczęli długą, pełną zakrętów podróż przez lasy i łąki. Göring znajdował się na czele, w powozie ciągniętym przez dwa wielkie konie, z panią Cerruti po swej prawicy. Po godzinie procesja pojazdów zatrzymała się w pobliżu bagna. Göring wytoczył się z wozu i ogłosił kolejną mowę, tym razem o wspaniałościach świata ptaków.

Goście z powrotem wsiedli do powozów, by po kolejnej długiej rundzie dotrzeć do polany, na

której czekały samochody. Göring wsunął swoje masywne ciało do auta i pędem odjechał. Pozostali ruszyli znacznie wolniej, by po 20 minutach dotrzeć do jeziora, przy którym wznosił się nowy potężny dom myśliwski. Zaprojektowano go wyraźnie w stylu nawiązującym do siedziby średniowiecznego lorda. Göring już czekał na nich, odziany w zupełnie inny strój, „wspaniały, nowy, biały letni ubiór” – jak zapisał Dodd. Składały się nań białe tenisówki, białe spodnie na szelkach, biała koszula oraz myśliwska kurtka z zielonej skóry; za paskiem zatknięty miał ten sam myśliwski nóż. W jednej ręce trzymał długi instrument, który wyglądał jak skrzyżowanie pasterskiego kija z harpunem.

Było już około godziny szóstej, popołudniowe słońce oblewało okolicę przyjemnym bursztynowym światłem. Z laską w ręku Göring poprowadził gości w głąb domu. Tuż przy głównym wejściu wisiała na ścianie kolekcja mieczy. Gospodarz pokazywał swoje „złote” i „srebrne” pokoje, pokój karciany, bibliotekę, salę do ćwiczeń oraz kino. Jeden z korytarzy zdobiły dziesiątki jelenich poroży. W głównym salonie znajdowały się: żywe drzewo, wizerunek Hitlera w brzoje oraz jak na razie wolne miejsce, w którym Göring planował umieścić posąg Wotana, teutońskiego boga wojny. Göring „na każdym kroku ukazywał swą próżność” – stwierdził Dodd. Zauważył, że wielu gości wymieniało między sobą rozbawione ukradkowe spojrzenia.

Następnie gospodarz wyprowadził towarzystwo na zewnątrz, gdzie każdemu wskazano jego miejsce przy stole, pod gołym niebem; organizacja kolacji była dziełem aktorki Emmy Sonnemann, którą Göring nazywał swoją „prywatną sekretarką”, choć powszechnie wiadano, iż łączy ich romans. (Pani Dodd polubiła Sonnemann i w ciągu kolejnych kilku miesięcy, jak zapisała Martha, „przywiązała się do niej”)^[656]. Ambasador Dodd został posadzony przy jednym stole między innymi z wicekanclerzem Papenem, Phippsem oraz François-Poncetem. Czuł się później rozczarowany. „Rozmowy były nic niewarte” – zapisał, choć przez chwilę dość mocno zaangażował się w dyskusję na temat nowej książki poświęconej niemieckiej marynarce wojennej podczas I wojny światowej. W swej bardzo entuzjastycznej mowie o wojnie Dodd pozwolił sobie na stwierdzenie: „Gdyby ludzie znali prawdę, jaka tkwi w historii, nie byłoby już nigdy więcej żadnej wojny światowej”.

Phipps i François-Poncet zaśmiali się z zakłopotaniem.

Po czym zaległa cisza.

Po chwili kontynuowano rozmowę: „Przeszliśmy” – zanotował Dodd – „do innych, mniej ryzykownych tematów”.

Dodd i Phipps zakładali – mieli nadzieję – że zaraz po kolacji wymówią się i wyruszą w drogę powrotną do Berlina, gdzie obu czekały obowiązki. Göring poinformował jednak wszystkich zebranych, iż punkt kulminacyjny spotkania – „tej dziwnej komedii”, jak nazwał je Phipps – miał dopiero nadejść.

Gospodarz poprowadził gości wzdłuż brzegów jeziora, jakieś 500 metrów dalej, gdzie nad samą

wodą wznosił się grobowiec. Była to, zapisał Dodd, „najbardziej wysublimowana budowla tego rodzaju, jaką kiedykolwiek widziałem”. Mauzoleum stało między dwoma ogromnymi dębami, w otoczeniu sześciu wielkich głazów z piaskowca, podobnych do tych, jakie znajdują się w Stonehenge. Göring podszedł do jednego z dębów i oparł się o niego, stojąc z nogami w rozkroku niczym gargantuicznych rozmiarów leśny chochlik. Za jego pasem wciąż tkwił myśliwski nóż, znów dzierżył w ręku laskę rodem ze średniowiecza. Zaczął rozprawiać o cnotach swej zmarłej małżonki, o sielankowym otoczeniu grobowca tudzież o planach ekshumowania i przeniesienia ciała, co miało nastąpić za 10 dni, podczas letniego przesilenia, w dniu, który wedle pogańskiej ideologii narodowych socjalistów obfitował w symbolikę znaczeń. W powtórnej ceremonii pogrzebowej miał wziąć udział Hitler, a także całe rzesze wojskowych, SS-manów i SA-manów.

„Zmęczeni tym dziwnym przedstawieniem” Dodd i Phipps ruszyli tandemem pożegnać się z Göringiem. Pani Cerruti, niewątpliwie także czyhająca na okazję, aby zniknąć, okazała się jednak szybsza. „Lady Cerruti dostrzegła nasz zamiar” – zapisał Dodd – „i podniosła się rażno, nie chcąc dopuścić, by ktokolwiek przeszkodził jej być pierwszą w każdych możliwych okolicznościach”.

Nazajutrz Phipps opisał w swym dzienniku wizytę w posiadłości Göringa. „Wszystko to było tak dziwne, że czasami wydawało się wręcz nierzeczywiste” – zanotował. Jednak wydarzenie to stanowiło cenny, choć niepokojący przyczynek do wglądu w prawdziwy charakter rządów nazistów. „Największe wrażenie wywarła na mnie patetyczna naiwność generała Göringa, który pokazywał nam swoje zabawki niczym wielkie, grube, rozpieszczone dziecko: swój prastary las, żubra i ptaki, ambonę strzelecką, jezioro i plażę, swoją jasnowłosą »prywatną sekretarkę«, mauzoleum żony, łabędzie i głazy z piaskowca (...). Ale pamiętam też, że są jeszcze inne zabawki, nie tak niewinne, choć uskrzydłone, które pewnego dnia z taką samą dziecięcą ufnością i z taką samą dziecięcą radością mogą zostać wysłane w morderczą misję”.

[655] Mój opis owej koszmarniej imprezy zaczerpnąłem z następujących źródeł: Cerruti, s. 178–180; Dodd, *Dziennik*, s. 108–109; Phipps, s. 56–58. Zbadałem również zbiory fotografii z Carinhall samego Göringa, zestaw 3810, w archiwach zdjęciowych Biblioteki Kongresu.

[656] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 220.

Rozdział 43

Pigmej przemawia

Wszędzie, gdzie Martha i jej ojciec teraz bywali, słyszeli plotki i spekulacje o zbliżającym się upadku reżimu Hitlera. Z każdym gorącym czerwcowym dniem pogłoski wzbogacały się o nowe detale. Klienci barów i kawiarni oddawali się bardzo niebezpiecznej rozrywce układania i porównywania ze sobą list kandydatów do nowego rządu. Często pojawiały się na nich nazwiska dwóch byłych kanclerzy: generała Kurta von Schleichera oraz Heinricha Brüninga^[657]. Jedna z plotek głosiła, że Hitler zachowa stanowisko kanclerskie, ale znajdzie się pod kontrolą nowego, silniejszego gabinetu, ze Schleicherem jako wicekanclerzem, Brüningiem jako ministrem spraw zagranicznych oraz kapitanem Röhmem w roli ministra obrony. W dniu 16 czerwca 1934 roku, niecały miesiąc przed pierwszą rocznicą przyjazdu do Berlina, Dodd napisał do sekretarza stanu Hulla: „Wszędzie, gdzie pójde, ludzie rozmawiają o stawieniu oporu, o możliwych puczach w wielkich miastach”^[658].

I wtedy stało się coś, co do tej wiosny wydawało się niemożliwe ze względu na potężne siły i środki, jakie władze hitlerowskie zaangażowały do tłumienia wszelkich prób sprzeciwu.

W niedzielę 17 czerwca wicekanclerz Papen miał wygłosić przemówienie w Marburgu na uniwersytecie o tej samej nazwie. Miasto znajdowało się w odległości krótkiej podróży pociągiem na południowy zachód od Berlina. Papen zapoznał się z tekstem przemówienia dopiero w pociągu; stało się tak za sprawą zmywu między autorem jego wystąpienia Edgarem Jungiem a sekretarzem wicekanclerza Fritzem Güntherem von Tschirschky und Boegendorff. Jung, jeden z prominentnych konserwatystów, tak ułomie oponował przeciwko partii nazistowskiej, że przez pewien czas rozważał nawet zamordowanie Hitlera. Do tej pory jego antynazistowskie poglądy nie przedostawały się do przemówienia Papena, teraz jednak wyczuwał, że potęgujący się w łonie partii rządzącej konflikt stwarza mu wyjątkową sposobność. Gdyby przeciwko reżimowi wystąpił sam Papen, rozumował

Jung, jego uwagi być może skłoniłyby wreszcie prezydenta Hindenburga i wojsko do odsunięcia nazistów od władzy i zduszenia Oddziałów Szturmowych, czyli do działań mających na celu przywrócenie w kraju porządku. Jung i Tschirschky bardzo starannie przejrzyli treść przemówienia, celowo aż do ostatniej chwili nie przekazując go Papenowi, tak aby nie miał wyboru i musiał je wygłosić. „Przygotowanie mowy zajęło całe miesiące”^[659] – mówił potem Tschirschky. „Z jej wygłoszeniem należało koniecznie poczekać na stosowną okazję, wszystko więc musiało być przygotowane jak najstaranniej”.

Gdy w pociągu Papen czytał ów tekst po raz pierwszy, Tschirschky zobaczył, jak przez twarz wicekanclerza przemyka cień strachu. Za sprawą panującej wówczas w Niemczech atmosfery – powszechnego przekonania, że dramatyczne zmiany wkrótce nastąpią – Papen, osobowość mało heroiczna, miał poczucie, iż może zaryzykować, wygłosić przemówienie i... przetrwać. Nie miał też specjalnego wyboru. „W mniejszym lub większym stopniu zmusiliśmy go do tego” – mówił Tschirschky. Korespondenci zagraniczni dostali już kopie przemówienia. Nawet gdyby Papen zbuntował się w ostatniej chwili, jego wystąpienie wciąż znajdowałoby się w obiegu. Na zewnątrz wyciekły już niektóre istotne tezy; gdy Papen pojawił się w audytorium, panujący tam szum wskazywał, że publiczność czegoś się spodziewa. Jego niepokój z pewnością jeszcze wzrósł, gdy zobaczył, że wiele miejsc zajmują ludzie w brunatnych koszulach i opaskach ze swastyką.

Papen wszedł na podium.

„Wciąż słyszę” – rozpoczął^[660] – „że mój udział w wydarzeniach w Prusach, a także w tworzeniu obecnego rządu (była to aluzja do roli, jaką odegrał w utorowaniu Hitlerowi drogi do stanowiska kanclerza) ma tak wielki wpływ na to, co dzieje się w Niemczech, że jestem zobowiązany postrzegać je w bardziej krytycznym świetle niż większość ludzi”.

Uwagi, które nastąpiły dalej, każdego innego człowieka o nieco niższym statusie społecznym posłałyby wprost na szubienicę. „Rząd” – mówił Papen – „jest dogłębnie świadom własnego egoizmu, braku zasad, fałszywości, zdrady cnót rycerskich, arogancji, która przybiera na sile pod przykrywką rewolucji niemieckiej”. Jeśli rząd ma nadzieję nawiązać „bliskie i zażyłe relacje z narodem”, ostrzegał mówca, „to nie wolno mu lekceważyć jego inteligencji; musi też odwzajemniać jego zaufanie i położyć kres nieustannym próbom jego zastraszania”. Naród niemiecki, mówił dalej, pójdzie za Hitlerem z całkowitą lojalnością, „pod warunkiem że pozwoli się mu współuczestniczyć w kształtowaniu i realizowaniu procesu decyzyjnego, pod warunkiem że najmniejszych słów krytyki nie będzie się od razu interpretować jako wrogich, i pod warunkiem iż zdesperowanych patriotów przestanie się brać za zdrajców”.

Nadszedł już czas – ogłosił Papen – „zamknąć usta doktrynerskim fanatykom”.

Publiczność zareagowała tak, jakby od bardzo dawna na te słowa czekała. Gdy Papen skończył przemówienie, otoczył go tłum. „Burzliwy aplauz”^[661] – zauważył Papen – całkowicie zagłuszył

„wściekle protesty” obecnych w auli umundurowanych nazistów. Historyk John Wheeler-Bennett, ówczesny mieszkaniec Berlina, zanotował: „Trudno opisać radość, z jaką w Niemczech przyjęto [to przemówienie]^[662]. Jakby ów wielki kamień zalegający na niemieckim sercu nagle spadł. Ulgę tę wyczuwało się w powietrzu. Papen wyraził w słowach to, co tysiące tysięcy jego rodaków zamknęło na dnię serc ze strachu przed straszliwymi karami”.

Tego samego dnia w innym mieście niemieckim Hitler miał wygłosić przemówienie na temat wizyty, którą złożył właśnie we Włoszech, spotykając się z Mussolinim. Hitler wykorzystał tę okazję do ataku na Papena i jego konserwatywnych sojuszników, nie wymieniając jednak Papena z nazwiska. „Wszystkie te karzełki, które sądzą, że mają jakieś argumenty przeciwko naszym ideom, zostaną zmiecione z powierzchni ziemi przez ich potęgę”^[663] – krzyczał. Rzucił gromy na „tego śmiesznego małego robaka”, tego „pigmeja, który wyobraża sobie, że kilkoma frazami może powstrzymać gigantyczną odnowę życia narodu”.

Ostrzegł obóz Papena: „Gdyby kiedykolwiek próbowali, choćby w najmniejszym stopniu, przejść od krytyki do krzywoprzysięstwa, mogą być pewni, że czekać ich będzie nie konfrontacja z tchórzliwą i skorumpowaną burżuazją z roku 1918, lecz spotkanie z pięścią całego narodu^[664]. Jest to zacisnięta pięść, która zmiażdży każdego, kto ośmieli się podjąć nawet najmniejszą próbę sabotażu”.

Goebbels działał szybko, starając się zablokować mowę Papena. Zakazał jej rozpowszechniania przez radio, wydał polecenie zniszczenia płyt gramofonowych, na których została zapisana. Zagroził gazetom konsekwencjami za opublikowanie lub omawianie jej treści, choć co najmniej jeden dziennik – „Frankfurter Zeitung” – zdołał wydrukować fragmenty przemówienia. Goebbelsowi tak bardzo zależało na powstrzymaniu jego rozpowszechnienia, że egzemplarze tej gazety „wrywano z rąk klientów restauracji i kawiarni”^[665] – donosił Dodd.

Sojusznicy Papena wykorzystali drukarnię należącej doń gazety „Germania” do powielania kopii przemówienia, po czym po cichu rozprowadzali je wśród dyplomatów, korespondentów zagranicznych i innych osób. Mowa wywołała poruszenie na całym świecie. „New York Times” domagał się, aby kierowana przez Dodda ambasada przesłała telegraficznie jej pełny tekst. Dzienniki londyńskie i paryskie potraktowały ją jako sensacyjną.

Wydarzenie to tylko spotęgowało poczucie niepewności przenikające życie w Berlinie. „Coś zawisło w parnym powietrzu”^[666] – pisał Hans Gisevius, kronikarz Gestapo – „i fala plotek zarówno prawdopodobnych, jak i kompletnie fantastycznych zalała przeleknioną publiczność. Chętnie dawano wiarę najbardziej chorym opowieściom. Wszyscy szeptali i wymieniali najświeższe pogłoski”. Ludzie po obu stronach politycznej barykady „zajęci byli wyłącznie rozważaniem kwestii,

czy już wynajęto zabójców, którzy mają ich zamordować, oraz kim owi zabójcy mogliby być”.

Ktoś zrzucił ręczny granat z dachu jednego z budynków przy Unter den Linden wprost na ulicę [667]. Granat eksplodował, jedyną szkodę wyrządzając psychice niektórych przywódców SA i przedstawicieli rządu, którzy przypadkowo znajdowali się w pobliżu. Karl Ernst, młody i bezwzględny szef berlińskiego oddziału SA, przechodził tamtędy pięć minut przed wybuchem; twierdził później, że to on był celem zamachu, za którym stał Himmler.

W tym kotle pełnym napięcia i strachu myśl, że Himmler zamierza zabić Ernsta, była całkowicie uzasadniona. Nawet po wykryciu przez policję domniemanego sprawcy, którym okazał się niezadowolony robotnik zatrudniony na pół etatu, aura przesyciona lękiem i wątpliwościami nie ustąpiła nawet na jotę, niczym dym unoszący się nad lufy pistoletu. Gisevius pisał: „Było tyle szeptów, tyle mrugnięć i kiwania głowami, że podejrzenie to wciąż się utrzymywało” [668].

Wydawało się, jakby kraj szykował się na punkt kulminacyjny, jak w kinowym thrillerze. „Napięcie sięgało zenitu” – zanotował Gisevius. „Udrękę niepewności trudniej było znosić niż potworny upał i wilgotność. Nikt nie wiedział, co będzie dalej, ale wszyscy czuli, że w powietrzu unosi się coś strasznego”. Czuł to również Victor Klemperer, filolog żydowski. „Wszędzie niepewność, poruszenie, tajemnice” [669] – zapisał w dzienniku w połowie czerwca. „Żyjemy z dnia na dzień”.

Dla Dodda marburska mowa Papena stanowiła dowód na słuszność poglądu, który żywił od dawna – że reżim hitlerowski jest zbyt brutalny i zbyt irracjonalny, by przetrwać. Nie kto inny, lecz sam zastępca Hitlera wypowiedział się przeciwko niemu – i wciąż żył. Czy oznaczało to początek końca hitlerowskiego rządu? A jeśli tak, to czyż to nie dziwne, iż należało ów fakt zawdzięczać człowiekowi tak mało odważnemu jak Papen?

„W całych Niemczech panuje teraz wielkie poruszenie” [670] – zanotował Dodd w dzienniku w środę 20 czerwca. „Wszyscy starsi wiekiem myślący Niemcy są niezwykle zadowoleni”. Nagle strzępy innych wiadomości zaczęły nabierać sensu, na przykład furia zauważalna w przemówieniach Hitlera i jego przybocznych. „Podobno nawet strażę przywódców okazują oznaki rewolty” – pisał Dodd. „A jednocześnie osoby podróżujące po kraju informują, że ćwiczenia przeciwlotnicze i manewry wojskowe stają się coraz powszechniejszą praktyką”.

W tę samą środę Papen udał się do Hitlera, aby poskarżyć się na blokowanie jego przemówienia w mediach. „W Marburgu przemawiałem jako emisariusz prezydenta” [671] – rzekł Hitlerowi. „Interwencja Goebbelsa zmusi mnie do złożenia rezygnacji. Bezzwłocznie poinformuję o tym Hindenburga”.

Dla Hitlera było to poważne zagrożenie. Zdawał sobie sprawę, że prezydent Hindenburg posiada

konstytucyjne prawo do pozbawienia go funkcji, że regularna armia jest wobec prezydenta lojalna oraz że oba te czynniki czynią z Hindenburga jedyną realną siłą w Niemczech, nad którą nie sprawuje żadnej kontroli. Hitler rozumiał również, że Hindenburg i Papen – prezydencki „Franz” – utrzymują bliskie osobiste relacje; wiedział, iż Hindenburg przesłał Papenowi telegram, gratulując mu przemówienia.

Papen oświadczył teraz Hitlerowi, że wybiera się do posiadłości Hindenburga, Neudeck, gdzie zamierza poprosić go o zgodę na pełne upublicznienie przemówienia.

Hitler starał się go uspokoić. Obiecał, że zakaz ministra propagandy zostanie anulowany, i powiedział Papenowi, że pojedzie razem z nim do Neudeck, gdzie wspólnie spotkają się z Hindenburgiem^[672]. Wykazując zaskakującą naiwność, Papen wyraził zgodę.

Owej nocy czciciele letniego przesilenia rozpalili w całych Niemczech ogniska. Na północ od Berlina pociąg żałobny z ciałem żony Göringa, Carin, zatrzymał się wreszcie na stacji w pobliżu Carinhall. Formacje nazistowskich żołnierzy i grupy oficjeli zebrały się na placu przed stacją, przy dźwiękach *Marsza żałobnego* Beethovena. Najpierw ośmiu policjantów wyniosło trumnę, która następnie została z wielką ciężką przekazana grupie innych ośmiu mężczyzn, i tak dalej, aż wreszcie znalazła się w powozie ciągniętym przez sześć koni. Powozem tym doczesne szczątki zmarłej przewieziono do mauzoleum nad jeziorem. Hitler siedł w procesji. Żołnierze nieśli pochodnie. Nieopodal grobowca rozpalono wielkie misy ognia. Z majaczących w blasku płomieni lasów niósł się żałobny płacz myśliwskich rogów, wywołując niesamowite, starannie wyreżyserowane wrażenie.

Przyjechał Himmler. Był wyraźnie poruszony. Odciągnął Hitlera i Göringa na bok, przekazując im niepokojące wieści – nieprawdziwe, z czego Himmler zdawał sobie z pewnością sprawę, ale użyteczne jako kolejny argument dla Hitlera, by wystąpić przeciwko Röhmowi. Otóż Himmler wściekał się, twierdząc, że właśnie próbowano go zabić. Kula przebiła szybę w samochodzie. Oskarżał o to Röhma i SA. Nie ma czasu do stracenia, mówił. Jest pewne, że Oddziały Szturmowe są o krok od rebelii.

Otwór w szybie nie został jednakże zrobiony przez pocisk. Hans Gisevius miał dostęp do ostatecznego raportu policji w tej sprawie. Szkoda wyglądała raczej na spowodowaną przez kamień wyrzucony spód kół przejeżdżającego samochodu. „Była to więc zimna kalkulacja [Himmlera], żeby oskarżyć SA o próbę zabójstwa”^[673] – pisał kronikarz.

Nazajutrz, 21 czerwca 1934 roku, Hitler przyleciał samolotem do majątku Hindenburga – bez Papena, co z pewnością planował od samego początku^[674]. Jednakże w Neudeck spotkał się najpierw z ministrem obrony Blombergiem. Generał, ubrany w mundur, czekał nań na schodach zamku. Był surowy i bezpośredni. Powiedział Hitlerowi, że Hindenburg martwi się coraz bardziej napięciem panującym w Niemczech. Jeśli Hitler nie jest w stanie zapanować nad sytuacją, mówił,

Hindenburg wprowadzi stan wyjątkowy i przekaże władzę armii.

Gdy Hitler spotkał się już z samym Hindenburgiem, usłyszał to samo przesłanie. Jego wizyta w Neudeck trwała raptem pół godziny. Odleciał z powrotem do Berlina.

Przez cały tydzień Dodd słyszał rozmowy o wystąpieniu wicekanclerza Papena; fakt, że mówca ciągle był wśród żywych, zakrawał na cud. Korespondenci i dyplomaci bacznie przyglądali się zajęciom Papena – na jakich obiadach bywa, z kim rozmawia, kto go unika, gdzie parkuje jego samochód, czy wciąż przechadza się rano po Tiergarten – w poszukiwaniu oznak tego, co czeka w przyszłości zarówno jego samego, jak i cały kraj. W czwartek 21 czerwca Dodd i Papen byli obecni na przemówieniu wygłoszonym przez prezesa Reichsbanku Hjalmara Schachta. Po jego zakończeniu, jak zauważył Dodd, Papen cieszył się większym zainteresowaniem niż prelegent. Obecny był również Goebbels. Dodd zanotował, że Papen podszedł do jego stołu, wymienił uścisk dłoni i wypił z ministrem filiżankę herbaty. Dodd zdumiał się, ponieważ był to ten sam Goebbels, „który po mowie marburskiej niechybnie kazałby go od razu zlikwidować, gdyby nie interwencja Hitlera i Hindenburga”^[675].

W Berlinie ciągle panuje napięta atmosfera – zapisał Dodd w swoim dzienniku w sobotę 23 czerwca. „Tydzień kończy się spokojnie, ale co dalej – pozostaje wielką niewiadomą”^[676].

^[657] Wheeler-Bennett, *Nemezis*, s. 315–317.

^[658] Dodd w liście do Hulla, 16 VI 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

^[659] Evans, *Power*, s. 29–30; Jones, s. 167–173; Gallo, s. 137–140; Kershaw, *Hybris*, s. 509–510, 744; Shirer *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, s. 218–219.

^[660] Tekst przemówienia zob. Noakes i Pridham, s. 209–210 oraz Papen, s. 307. Zob. także Jones, s. 172; Gallo, s. 139–140; Kershaw, *Hybris*, s. 509. W swoim pamiętniku, opublikowanym w 1953 r., Papen stwierdza: „Przygotowałem moje przemówienie z wielką starannością (...)”. Twierdzenie to jest powszechnie uznane za niepoważne. Papen, s. 307.

^[661] Gallo, s. 141.

^[662] Wheeler-Bennett, *Titan*, s. 459.

^[663] Gallo, s. 143–144; Shirer *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, s. 219. Zob. także Kershaw, *Hybris*, s. 510.

^[664] Kershaw *Hybris*, s. 510.

^[665] Dodd w liście do Hulla, 26 VI 1934, State/Foreign. Więcej szczegółów dotyczących reakcji

władz, zob. Evans, *Power*, s. 29–30; Jones, s. 172–174; Kershaw, *Hybris*, s. 510–511; Shirer, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, s. 218; Wheeler-Bennett, *Titan*, s. 460, *Nemesis*, s. 319.

[666] Gisevius, s. 128.

[667] tamże, s. 129.

[668] tamże, s. 129.

[669] Klemperer, *Witness*, s. 71. Klemperer widział w pogodzie nadzieję na pozbycie się Hitlera.

Pisał w swoim dzienniku „Piękna pogoda» = upał + brak deszczu, nienormalny brak deszczu, który od trzech miesięcy powoduje spustoszenie. Broń przeciwko Hitlerowi!”. *Witness*, s. 72.

[670] Dodd, *Dziennik*, s. 114; Dodd, Memorandum, 18 VI 1934, skrzynka nr 59, dokumentacja W. E. Doda.

[671] Gallo, s. 152.

[672] Evans, *Power*, s. 30; Kershaw, *Hybris*, s. 510.

[673] Gisevius, s. 131.

[674] Evans, *Power*, s. 30; Kershaw, *Hybris*, s. 510–511; Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 320.

[675] Dodd, *Dziennik*, s. 114.

[676] tamże, s. 115.

Rozdział 44

Wiadomość w łazience

Papen poruszał się po Berlinie bez przeszkód, ale 24 czerwca 1934 roku wyjechał do Hamburga, aby reprezentować prezydenta Hindenburga podczas Derby Niemiec, gonitwy koni. Zebrany na hipodromie tłum przywitał go gorącą owacją. Gdy wśród publiczności pojawił się Goebbels, przepychając się za falangą SS-manów, zewsząd rozległy się syki i gwizdy. Obaj mężczyźni podali sobie ręce, co uwiecznili na swoich zdjęciach fotografowie.

Edgar Jung, autor przemówień Papena, zaszył się w domu. Był już bowiem przekonany, że mowa marburska będzie kosztować go życie. Historyk Wheeler-Bennett spotkał się z nim potajemnie w lesie nieopodal Berlina. „Był całkowicie spokojny, fatalistycznie nastawiony”^[677] – wspominał Wheeler-Bennett – „ale mówił ze swobodą człowieka, który nie ma przed sobą żadnej przyszłości, dlatego też nie ma nic do stracenia. A powiedział mi wiele”.

W retoryce reżimu zaczynało pojawiać się coraz więcej gróźb. W wystąpieniu radiowym w poniedziałek 25 czerwca Rudolf Hess ostrzegał: „Biada temu, kto nie dochowuje wierności, sądząc, że służy rewolucji poprzez rewoltę”^[678]. Partia, mówił Hess, zdecydowanie odpowie na bunt, zgodnie z zasadą: „Jeśli uderzasz, uderzaj mocno!”.

Nazajutrz rano, to jest we wtorek 26 czerwca, gospoia Edgara Junga, przybywszy do jego mieszkania, zastała je splądrowane: meble przewrócono do góry nogami, po całej podłodze wałały się ubrania i papiery. Na znajdującej się w łazience apteczce Jung nagryzmolił jedno słowo: GESTAPO^[679].

Diels gotował się do zaprzysiężenia na prezydenta rejencji Kolonii. Z tej okazji do miasta przyleciał Göring. Jego biały samolot pojawił się na czystym modrym niebie pewnego – jak ujął to Diels – „pięknego letniego dnia w Nadrenii”^[680]. Podczas ceremonii on sam ubrany był w czarny mundur

SS, Göring natomiast miał na sobie biały uniform własnego projektu. Po wszystkim Göring odciągnął Dielsa na stronę i powiedział: „Uważaj na siebie w ciągu kilku następnych dni”.

Diels wziął to sobie do serca. Jako człowiek nawykły już do tymczasowych ucieczek, wybrał się na krótko w pobliże góry Eifel.

[677] Wheeler-Bennett, *Titan*, s. 462.

[678] Wheaton, s. 443.

[679] Jones, s. 173.

[680] Diels, s. 419.

Rozdział 45

Strapienie pani Cerruti

Pod nagłówkiem „czwartek 28 czerwca 1934 roku” ambasador Dodd zapisał w swoim dzienniku: „Krażące od pięciu dni rozmaite historie sprawiają, że atmosfera w Berlinie jest napięta jak nigdy od mojego przyjazdu do Niemiec”^[681]. Przemówienie Papena wciąż stanowiło codzienny temat rozmów. Z coraz większą wściekłością Hitler, Göring i Goebbels straszili poważnymi konsekwencjami każdego, kto ośmieli się przeciwstawić władzom. W telegramie do Departamentu Stanu Dodd porównał tę pełną gróźb atmosferę z panującą podczas rewolucji francuskiej – „sytuacja znacząco przypomina to, co działo się w Paryżu w 1792 roku, kiedy żyrondyści i jakobini walczyli o dominację”^[682].

W jego własnym domu pojawił się dodatkowy problem, który nie miał nic wspólnego ani z pogodą, ani z politycznym przesileniem. Wbrew woli rodziców Martha planowała podróż do Rosji. Upierała się, że jej zainteresowanie tym krajem nie oznacza zainteresowania komunizmem *per se*, lecz bierze się z miłości do Borysa i coraz większej niechęci do nazizmu. Martha wiedziała, że Borys jest w głębi ducha lojalnym komunistą, uważała jednak, że wpływa na jej polityczne sympatie jedynie „poprzez własny przykład, magnetyzm i prostotę, a także miłość ojczyzny”. Przyznawała, że jej odczucia „względem jego osoby, jego poglądów, systemu politycznego w jego kraju, wspólnej przyszłości” są ambiwalentne. Powtarzała, że pojedzie w tę podróż bez Borysa.

Pragnęła zobaczyć w Rosji jak najwięcej i puszczała mimo uszu jego rady, aby skoncentrować się tylko na paru miastach. Borys chciał, żeby dobrze poznała prawdziwe życie w jego ojczyźnie, a nie tylko spojrzała na nie jako zadowolona turystka. Zdawał też sobie sprawę, że po jego kraju nie podróżuje się ani tak szybko, ani tak wygodnie jak po Europie Zachodniej i że rosyjskim miastom i wsiom brak owego uroku, jakim emanują malownicze miasteczka Niemiec i Francji. Przecież Związek Sowiecki był wszystkim, tylko nie rajem dla robotników, jak wyobrażało sobie wielu

lewicujących cudzoziemców. Stalin zmusił chłopów do kolektywizacji^[683]. Wielu z nich stawiało opór, a mniej więcej pięć milionów – mężczyzn, kobiet i dzieci – po prostu zniknęło, między innymi w położonych bardzo daleko obozach pracy. Warunki mieszkaniowe były w tym kraju prymitywne, dobra konsumenckie właściwie nieznane. Ukrainę zdziesiątkował straszliwy głód. Drastycznie spadło pogłowie zwierząt. Pogłowie bydła rogatego zmniejszyło się z 68,1 miliona sztuk w roku 1929 do 38,6 miliona w roku 1933; analogicznie w przypadku koni – z 34 milionów sztuk do 16,6 miliona. Borys doskonale wiedział, że dla przypadkowego turysty rosyjska rzeczywistość, panujące tam stosunki społeczne, a zwłaszcza ponura proletariacka mentalność okażą się mało atrakcyjne, szczególnie gdy turysta ten będzie wyczerpany trudami podróży i obowiązkową obecnością przewodnika z Intouristu.

Mimo wszystko Martha zdecydowała się na wycieczkę nr 9 trasą: Wołga–Kaukaz–Krym^[684], która miała się rozpocząć 6 czerwca lotem – pierwszym w jej życiu – z Berlina do Leningradu. Po dwóch dniach w Leningradzie miała pojechać pociągiem do Moskwy, spędzić tam cztery dni, po czym nocnym składem wyruszyć do miasta Gorki, a po dwóch godzinach od przyjazdu zaplanowanego na 10.04 wsiąść na parowiec wołżański, który wypływał w czterodniowy rejs z przystankami w Kazaniu, Samarze, Saratowie i Stalingradzie, gdzie czekało ją obowiązkowe zwiedzanie fabryki traktorów. Ze Stalingradu pociąg miał zabrać ją do Rostowa nad Donem; tam w grę wchodziło zwiedzanie państwowego gospodarstwa rolnego – w tym miejscu odczuwało się malarńki powiew kapitalizmu, gdyż wycieczka do sowchozu była „dodatково płatna”. Dalej: Ordżonikidze, Tbilisi, Batumi, Jalta, Sewastopol, Odessa, Kijów i wreszcie powrót pociągiem do Berlina, dokąd miała dotrzeć 7 sierpnia, po 33 dniach podróży, dokładnie – coś za optymizm – o godzinie 19.22.

Związek Marthy z Borysem stawał się coraz głębszy, choć cechowały go systematyczne wloty i upadki, wahania pomiędzy namietnością a gniewem, a także całe kaskady błagalnych liścików i świeżych kwiatów od niego. W pewnym momencie Martha odesłała mu nawet trzy ceramiczne małpki „nie widzę zła”. Borys przesłał je z powrotem.

„Martho!” – pisał, folgując swej pasji do wykrzykników.

„Dziękuję za Twoje listy i za »niezapominanie«. Twoje trzy małpki urosły (stały się duże) i chcą być z Tobą. Wysyłam je. Muszę powiedzieć Ci bardzo szczerze: te trzy małpki tęsknią za Tobą. I nie tylko trzy małpki, znam jeszcze jednego przystojnego młodego blondyna (Aryjczyka!!), który bardzo pragnie być z Tobą. Ten przystojny chłopiec (góra 30 lat) – to ja.

Martho! Choć Cię zobaczyć, muszę powiedzieć Ci, że ja także nie zapomniałem mojej małej, cudownej, słlicznej Marthy!

Kocham Cię, Martho! Co mam zrobić, żebyś miała do mnie więcej zaufania?

Twój Borys”.

W każdej epoce ich romans zwróciłby uwagę osób postronnych, jednak tamtego czerwca w Berlinie panowały specyficzne, jeszcze bardziej niesprzyjające im warunki. Wszyscy obserwowali się wzajemnie. W owym czasie Martha nie zastanawiała się specjalnie nad tym, jak widzą ją inni, ale po latach w liście do Agnes Knickerbocker, żony zaprzyjaźnionego korespondenta Knicka, przyznała, iż sposób patrzenia na świat może zniekształcać rzeczywistość. „Nigdy nie spiskowałam w celu obalenia czy choćby sabotowania rządu amerykańskiego, ani w Niemczech, ani w USA!”^[685] – pisała. „Myślę jednak, że samo to, iż znałam i kochałam Borysa, niektórym ludziom wystarczyło, aby podejrzewać mnie o najgorsze”.

W owym czasie nie można jej było niczego zarzucić – twierdziła. „Tak naprawdę była to pochłaniająca mnie relacja, ale kompletnie bez podłoża politycznego, oprócz faktu, że dzięki niej dowiedziałam się czegoś o ZSR”.

Piątek 29 czerwca 1934 roku przyniósł ze sobą rozpoznawalną już aurę nadciągającej burzy, która naznaczyła minione tygodnie. „Był to najgorętszy dzień tego lata”^[686] – wspominała Elisabetta Cerruti, żona ambasadora Włoch. „Powietrze było tak ciężkie od wilgoci, że ledwo dało się oddychać. Na horyzoncie majaczyły czarne chmury, ale nad głową wciąż świeciło nam bezlitosne słońce”.

Owego dnia Doddowie wydali w swoim domu obiad, na który zaprosili wicekanclerza Papena oraz innych przedstawicieli władz tudzież dyplomatów, w tym państwa Cerrutih, a także Hansa Luthera, ambasadora Niemiec w Stanach Zjednoczonych, który właśnie przebywał w Berlinie.

Obecna była również Martha; zauważyła, że jej ojciec i Papen odeszli na chwilę od pozostałych gości i rozmawiali na osobności, w bibliotece, przed wygaszonym kominkiem. Papen, zapisała, „wydawał się pewny siebie i gładki w obyciu jak zawsze”^[687].

W pewnym momencie Dodd spostrzegł, że Papen i Luther odnoszą się do siebie tak, jakby „pojawiało się pomiędzy nimi jakieś napięcie”. Dodd postanowił interweniować, kierując obu panów do uroczego zimowego ogrodu, gdzie przysiedli się do nich pozostali goście. Odnosząc się do zdjęć zrobionych podczas Derby Niemiec, odezwał się do Papena: „Pan i doktor Goebbels wyglądaliście wtedy w Hamburgu na dość zaprzyjaźnionych”^[688].

Papen się roześmiał.

Podczas obiadu pani Cerruti siedziała z prawej strony Dodda, Papen dokładnie naprzeciwko, tuż obok pani Dodd. Zaleknienie pani Cerruti było wyraźnie widoczne, nawet dla Marthy, która obserwowała wszystko z pewnego oddalenia. Zapisała: „Siedziała przy moim ojcu w stanie bliskim omdlenia, ledwo się odzywając, blada, zaferowana i nerwowa”^[689].

Pani Cerruti rzekła do Dodda: „Panie ambasadorze, w Niemczech stanie się coś

strasznego^[690]. Czuję to w powietrzu”.

Rozpowszechniana później plotka głosiła, że pani Cerruti przewidziała to, co miało się wydarzyć. Ona sama uważała to za zadziwiające^[691]. Jej uwaga skierowana do Dodda – jak twierdziła po latach – odnosiła się wyłącznie do pogody.

W tenże piątek panujący w Ameryce „wielki żar” jeszcze się wzmógł. W miejscach o dużej wilgotności, takich jak Waszyngton, praca stawała się prawie niemożliwa. Moffat zanotował w dzienniku: „Temperatura w cieniu wynosi dziś prawie 39 stopni”^[692].

Upał i wilgotność powietrza były tak nieznosne, że pod wieczór Moffat, Phillips i jeszcze jeden urzędnik poszli do domu jednego ze wspólnych przyjaciół, aby wykapać się w jego basenie. Człowiek ten był wówczas poza miastem. Trzej mężczyźni rozebrali się i weszli do basenu^[693]. Woda była ciepła, dawała tylko nieznaczną ulgę. Żaden z nich nie pływał. Cała trójka siedziała, cicho rozmawiając, nad wodą wystawały jedynie ich głowy.

Wydaje się prawdopodobne, że przedmiotem tej rozmowy była osoba Dodda. Zaledwie przed kilkoma dniami Phillips napisał w swoim dzienniku o ataku, jaki Dodd przypuścił na zamożnych dyplomatów i urzędników konsularnych. „Przypuszczalnie ambasador poskarżył się prezydentowi”^[694] – narzekał Phillips. Dodd „zawsze ma pretensje, że w Berlinie wydają oni więcej, niż zarabiają. Sprzeciwia się temu tak stanowczo z tego prostego powodu, że sam nie ma innych pieniędzy niż te, które otrzymuje w formie pensji. Jest to, rzecz jasna, postawa drobnomieszczańska”. Dziwnym zbiegiem okoliczności matka Moffata, Ellen Low Moffat, była w ten właśnie piątek w Berlinie z wizytą u swej córki (siostry Moffata), która wyszła za sekretarza ambasady Johna C. White’a. Wieczorem matka wzięła udział w przyjęciu, na którym posadzono ją obok Papena. Wicekanclerz był, jak napisała później w liście do syna, „w świetnej formie i niezwykle dobrym humorze”^[695].

^[681] Dodd, *Dziennik*, s. 115–116.

^[682] tamże, s. 116.

^[683] Martha Dodd „Jasna droga ku ciemności”, s. 18, s. 21, skrzynka nr 14, dokumentacja Marthy Dodd.

^[684] Riasanovsky, s. 551, s. 556. Notka osobista: Gdy byłem studentem ostatniego roku na Uniwersytecie Pensylwania, zapisałem się na dwa fantastyczne kursy prowadzone przez brata Riasanovsky’ego, Aleksandra, który pewnego pamiętnego wieczoru uczył mnie i moich

współlokatorów, jak pije się wódkę po rosyjsku. Jednakże to jego wspaniały styl, w jakim prowadził wykłady, miał większy wpływ na to, że w Pensylwanii poświęciłem się studiom nad rosyjską historią, literaturą i językiem.

[685] „Szczegółowy plan podróży trasą nr 9 dla panny Marthy Dodd”, skrzynka nr 62, dokumentacja W. E. Dodda.

[686] Borys w liście do Marthy, 7 VI 1934, skrzynka nr 10, dokumentacja Marthy Dodd.

[687] Martha w liście do Agnes Knickerbocker, 16 VII 1969, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

[688] Cerruti, s. 153.

[689] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 140.

[690] Dodd, *Dziennik*, s. 116.

[691] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 141.

[692] tamże, s. 141.

[693] Cerruti, s. 153, s. 157.

[694] Moffat, *Dziennik*, 29 VI 1934.

[695] tamże.

Rozdział 46

Piątkowa noc

Owego piątkowego wieczoru 29 czerwca 1934 roku Hitler zamieszkał w swoim ulubionym hotelu Dreesen w uzdrowisku Bad Godesberg, usytuowanym nad Renem nieopodal Bonn^[696]. Przybył tu z Essen, gdzie otrzymał kolejną dawkę niepokojących wiadomości – wicekanclerz Papen zamierzał zrealizować swoją groźbę i spotkać się z prezydentem Hindenburgiem nazajutrz, to jest w sobotę 30 czerwca, w celu przekonania Starego Dżentelmena, by wreszcie wziął rząd Hitlera i SA w karby.

Informacja ta tudzież całe multum raportów od Himmlera i Göringa, że Röhm planuje zamach stanu, przekonały Hitlera, iż pora działać. Göring wyjechał do Berlina, gdzie miał czynić przygotowania. Hitler ogłosił alarm bojowy w reichswerze, choć do akcji zamierzał rzucić głównie oddziały SS. Zadzwonił też do jednego z najważniejszych współpracowników Röhma z poleceniem, aby wszyscy dowódcy SA stawili się na zebraniu, które miało się odbyć w sobotę rano w Bad Wiessee koło Monachium. Röhm, ulokowawszy się tymczasem wygodnie w hotelu Hanselbauer, poddawał się kuracji, która w ów piątkowy wieczór obejmowała spożycie sporej ilości alkoholu. Jego adiutant Edmund Heines poszedł do łóżka z przystojnym osiemnastoletnim SA-manem.

Do Hitlera w Bad Godesberg dołączył Goebbels. Rozmawiali na tarasie hotelu, a poniżej przemieszczała się z hukiem parada. Niebo nad Bonn rozświeślały błękitne rozbłyski błyskawic, łoskot gromów dochodził ze wszystkich stron, potęgowany jeszcze przez dobrą akustykę doliny Renu.

Później Goebbels napisał melodramatyczną relację z owych ekscytujących chwil, kiedy to Hitler zbliżał się do podjęcia ostatecznej decyzji. W miarę jak odległe dotąd gromy stawały się coraz bardziej słyszalne, powietrze nieruchomiało. Nagle spadł rzęsyty deszcz. Wraz z Hitlerem pozostali jeszcze przez chwilę na miejscu, delektując się oczyszczającą ulewą. Hitler śmiał się. Weszli do

środku. Gdy burza minęła, znów udali się na taras. „Führer wydawał się zamysłony i poważny” – stwierdził Goebbels. „Wpatrywał się w czysty mrok nocy, który wymyty przez burzę okrywał spokojem rozległy, pełen harmonii krajobraz”.

Thum pozostał na ulicy mimo burzy. „Nikt z zebranych tak licznie stojących niżej ludzi nie wiedział o czającym się niebezpieczeństwie” – pisał Goebbels. „Nawet spośród tych, którzy otaczali na tarasie Przywódcę, jedynie kilku zostało wtajemniczonych. W tej godzinie podziwialiśmy go bardziej niż kiedykolwiek. Na jego twarzy nie było widać najmniejszego drgnienia, niczego, co mogłoby wskazywać, co dzieje się w jego wnętrzu. Jednak my, ta garstka, która stoi przy nim w najtrudniejszych chwilach, wiemy, jak głęboki targa nim ból, lecz także jak bardzo jest on zdeterminowany, aby bezlitośnie rozprawić się z reakcyjnymi rebeliantami, którzy łamią złożoną mu przysięgę wierności pod płaszczykiem przeprowadzenia drugiej rewolucji”.

Było już po północy, gdy Himmler zatelefonował z jeszcze gorszą wiadomością. Powiedział Hitlerowi, że Karl Ernst, dowódca berlińskiego oddziału SA, postawił swoją formację w stan pogotowia. Hitler wykrzyknął: „To jest pucz!” – choć w rzeczywistości, jak Himmler na pewno wiedział, Ernst właśnie był się ożenił i zmierzał do portu w Bremie, aby miodowy miesiąc spędzić na pokładzie wycieczkowego statku. O godzinie drugiej nad ranem w sobotę 30 czerwca 1934 roku Hitler opuścił hotel Dreesen i został błyskawicznie przewieziony na lotnisko, gdzie wszedł na pokład samolotu Ju 52, jednego z dwóch, które miał do swojej dyspozycji. Dołączyli doń dwaj adiutanci i wyższy oficer SA, któremu kanclerz ufał – Viktor Lutze. (To właśnie Lutze poinformował Hitlera o zjadliwych uwagach czynionych przez Röhma po mowie kanclerza do dowództwa armii i SA wygłoszonej w lutym 1934 roku). Na pokład weszli również kierowcy Hitlera. W drugim samolocie znajdowała się drużyna uzbrojonych SS-manów. Obie maszyny wystartowały do Monachium. Doleciały tam o godzinie 4.30 rano, gdy słońce zaczynało właśnie wschodzić. Jeden z kierowców Hitlera, Erich Kempka, był zachwycony pięknem poranka i świeżością obmytego deszczem powietrza, trawą, która „iskrzyła się w porannym świetle”.

Zaraz po lądowaniu Hitler otrzymał ostatnią z podjudzających go wiadomości – otóż dzień wcześniej jakieś trzy tysiące SA-manów szalało na ulicach Monachium. Nie powiedziano mu jednak, że była to demonstracja spontaniczna, w której wzięli udział ludzie wobec niego lojalni; ludzie ci sami czuli się zagrożeni i zdradzeni, bali się, że zostaną zaatakowani przez oddziały wojska.

Wściekłość Hitlera sięgnęła zenitu. Oświadczył: „to najczarniejszy dzień w moim życiu”. Doszedł też do wniosku, że nie może pozwolić sobie na czekanie, aż przywódcy SA zbiorą się tego ranka w Bad Wiessee. Zwrócił się do Kempki: „Do Wiessee, jak najszybciej!”.

Goebbels zadzwonił do Göringa i przekazał mu hasło inicjujące berlińską fazę operacji – niewinnie brzmiące słowo „Kolibri”.

Koliber.

W Berlinie nad horyzontem zapadał późny północny zmrok, gdy Doddowie sadowali się wygodnie, by spędzić spokojny piątkowy wieczór. Dodd czytał książkę i konsumował duszone brzoskwinie i mleko jako środek na lepsze trawienie po posiłku. Jego żona pozwalała sobie oddawać się rozmyślaniom na temat wielkiego party na trawie, jakie zamierzali wydać 4 lipca, czyli za niecały tydzień; został na nie zaproszony cały personel ambasady oraz kilkuset innych gości. Bill junior nocował w domu, ale rano chciał wybrać się na przejażdżkę należącym do rodziny buickiem. Również Martha nie mogła się doczekać poranka, gdyż wspólnie z Borysem zamierzali wyruszyć na kolejną wycieczkę po okolicy, tym razem połączoną z piknikiem i opalaniem się na plaży w Wannsee. Za sześć dni Martha miała rozpocząć podróż do Rosji.

Za oknami, w parku, migotały ogniki papierosów, a od czasu do czasu jakiś wielki otwarty samochód przemykał pędem po Tiergartenstrasse. Ku snopom światła rzucanym przez latarnie w parku ciągnęły owady, a wspaniałe białe posągi w Siegesallee – Alei Zwycięstwa – wyglądały w tym blasku jak duchy. Choć gorętsza i cichsza, noc ta była bardzo podobna do pierwszej, którą Martha spędziła w Berlinie – spokojna, brzmiąca pełną czaru ciszą małego miasteczka.

[696] Phillips, *Dziennik*, 15 VI 1934.

CZĘŚĆ VII
KIEDY WSZYSTKO SIĘ ZMIENIA



Rozdział 47

„Rozstrzelać, rozstrzelać!”

Następnego dnia rano, czyli w sobotę 30 czerwca 1934 roku, Borys podjechał pod dom Marthy w swym niezadaszonym fordzie, po czym oboje – wyposażeni w koc i piknikowe wiktuały – wyruszyli do okręgu Wannsee, na południowy zachód od Berlina. Jak na popularne miejsce schadzek przystało, miał on burzliwą historię. Tu właśnie, nad jeziorem Kleiner Wannsee – Małe Wannsee – w 1811 roku zastrzelił się niemiecki poeta Heinrich von Kleist, zabiwszy przedtem swą nieuleczalnie chorą kochankę. Martha i Borys zmierzali w kierunku niewielkiego, rzadko odwiedzanego akwenu rozciągającego się bardziej na północ, o nazwie Gross Glienicke – ulubionego jeziora Marthy.

Miasto wokół nich wciąż spało w oczekiwaniu na budzący się upał. Miał to być kolejny ciężki dzień dla rolników i robotników, lecz dla tych, którzy pragnęli odpoczywać i opalać się na brzegami jezior – zapowiadał się wprost idealnie. Borys prowadził samochód w kierunku przedmieść, wszystko wydawało się takie jak zwykle. Podobne wrażenie odnosili też wtedy inni mieszkańcy miasta. Berlińczycy „spokojnie spacerowali po ulicach, zajmowali się swoimi sprawami”^[697] – zauważyła Hedda Adlon, żona właściciela hotelu Adlon. Hotel funkcjonował w zwykłym rytmie, jakkolwiek upały postawiły przed jego personelem dodatkowe wyzwanie logistyczne, wiążące się ze zorganizowaniem cateringu na bankiet na cześć króla Syjamu, który miał się odbyć tego dnia w Schloss Bellevue – Zamku Bellevue – na północnym krańcu Tiergarten, nad Sprewą. Zadaniem hotelu miało być dostarczanie kanapek i przystawek furgonetką kursującą przez upał i korki w temperaturze sięgającej 32 stopni.

Martha i Borys rozłożyli koc nad jeziorem. Pływali, leżeli w słońcu, obejmując się, dopóki lejący się z nieba żar nie zniechęcił ich do tego. Pili piwo i wódkę, jedli kanapki. „To był piękny, spokojny, błękitny dzień, jezioro lśniło i połyskiwało tuż przed nami, słońce kąpało nas w swym ogniu”^[698] –

zapisala. „Dzień był cichy, pełen łagodności – nie mieliśmy ani sił, ani chęci rozmawiać o polityce czy o napięciu wyczuwalnym w powietrzu”.

Tymczasem w innym miejscu o tej samej porze trzy wielkie samochody pędziły przez rolniczy krajobraz między Monachium a Bad Wiessee – wóz należący do Hitlera oraz dwa auta pełne uzbrojonych ludzi. Dotarli do hotelu Hanselbauer, gdzie w swoim pokoju spał kapitan Röhm. Hitler poprowadził zbrojną drużynę do wnętrza. Według jednych źródeł niósł bicz, według innych – pistolet. Na schodach rozlegał się grzmot podkutych butów.

Hitler osobiście zapukał do drzwi pokoju Röhma, po czym wtargnął do środka w towarzystwie dwóch śledczych. „Röhm” – warknął Hitler – „jesteś aresztowany”^[699].

Röhm ledwo trzymał się na nogach, najwyraźniej miał kaca. Spojrzał na Hitlera. „Heil, mein Führer” – powiedział.

Hitler krzyknął ponownie: „Jesteś aresztowany” i wycofał się na korytarz. Wszedłszy następnie do pokoju adiutanta Röhma, Heinesa, znalazł go w łóżku z młodym kochankiem, członkiem SA. W korytarzu hotelowym obecny był wówczas kierowca Hitlera, Kempka. Słyszał, jak Hitler krzyczy: „Heines, jeśli nie będziesz za pięć minut ubrany, każę cię rozstrzelać na miejscu”.

Heines wyłonił się z pokoju, poprzedzany przez – jak ujął to Kempka – „osiemnastoletniego jasnowłosego chłopca drobiącego przed nim nogami”.

Korytarze hotelu rozbrzmiewały krzykami SS-manów zaganiających zaspanych, zaskoczonych i skacowanych szturmowców SA do mieszczącej się w hotelowych podziemiach pralni. Dochodziło do sytuacji, które w innym kontekście byłyby zapewne komiczne, na przykład gdy któryś z ludzi Hitlera wyszedł z jednego z pokoi i zameldował zwieźle: „*Mein Führer!* (...) Prezydent policji z Wrocławia odmawia włożenia ubrania!”.

Albo: lekarz Röhma, *Gruppenführer* SA nazwiskiem Ketterer, wyłonił się z pokoju w towarzystwie kobiety. Ku zdumieniu Hitlera i jego śledczych okazało się, że była to żona Ketterera. Viktor Lutze, zaufany oficer SA, który tego ranka przyleciał z Hitlerem samolotem, przekonał kanclerza, że doktor jest wobec niego lojalny. Hitler podszedł do mężczyzny i pozdrowił go uprzejmie. Podał rękę pani Ketterer, po czym cicho rozkazał parze opuścić hotel. Uczynili to bezzwłocznie.

Tegoż ranka w Berlinie Fredericka Birchalla z gazety „New York Times” obudził uparty dzwonek telefonu przy łóżku. Birchall wrócił do domu bardzo późno w nocy, dlatego początkowo zamierzał nie odbierać. To na pewno nic ważnego, przekonywał sam siebie, pewnie tylko jakieś zaproszenie na lunch. Ale telefon wciąż dzwonił. W końcu, kierując się maksymą: „Niebezpiecznie jest lekceważyć dzwonek telefonu, zwłaszcza w Niemczech”^[700], podniósł słuchawkę i usłyszał głos kogoś ze swojego biura: „Lepiej obudź się i ogarnij. Coś się dzieje”. Następne słowa dzwoniącego

przykuły całkowicie uwagę Birchalla: „Podobno zastrzelono wielu ludzi”.

Louis Lochner, korespondent Associated Press, dowiedział się od jednego ze spóźnionych pracowników biurowych AP, że Prinz-Albrecht-Strasse (na której mieściła się kwatera główna Gestapo) została zamknięta dla ruchu kołowego i że stoi na niej mnóstwo ciężarówek z uzbrojonymi żołnierzami SS w charakterystycznych czarnych mundurach. Lochner wykonał kilka telefonów. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej rósł jego niepokój. Na wszelki wypadek – podejrzewając, że władze mogą odciąć połączenia telefoniczne z zagranicą – Lochner zadzwonił do biura AP w Londynie i poprosił tamtejszych pracowników, aby łączyli się z nim co 15 minut aż do odwołania, w nadziei że jednak rozmowy przychodzące wciąż będą możliwe.

Sigrid Schultz poszła do śródmiejskiej dzielnicy rządowej, uważnie wypatrując konkretnych tablic rejestracyjnych, szukając przede wszystkim samochodu Papena. Pracowała nieprzerwanie aż do godziny czwartej nad ranem, po czym zapisała w swoim notesie: „śmiertelnie zmęczona – [mam ochotę] płakać”^[701].

Jedna z najbardziej alarmujących plotek mówiła o zmasowanych salwach z broni palnej dochodzących z dziedzińca starej szkoły kadetów w normalnie spokojnej enklawie Gross-Lichterfelde^[702].

W hotelu Hanselbauer Röhm ubrał się w niebieski garnitur i wyszedł z pokoju^[703], wciąż skonfundowany i najwyraźniej jeszcze wcale nie przestraszony gniewem Hitlera i zamieszaniem panującym wokół. W kąciku ust sterczało mu cygaro. Dwóch śledczych zaprowadziło go do holu, gdzie usiadł na krześle, a u przechodzącego kelnera zamówił kawę.

Aresztowań było więcej, kolejni mężczyźni trafiali do pralni. Röhm tymczasem siedział w holu. Kempka słyszał, jak prosi o kolejną, trzecią już kawę.

Röhma zabrano z hotelu samochodem; pozostałych więźniów załadowano do wynajętego autobusu i zawieziono do Monachium, do więzienia Stadelheim, gdzie sam Hitler spędził miesiąc odsiadki w 1922 roku. Napastnicy korzystali z bocznych dróg, aby nie spotkać się z Oddziałami Szturmowymi chcącymi przyjść pojmowanym z pomocą. Hitler i jego główna grupa uderzeniowa wsiedli do samochodów, których teraz było już około dwudziestu, i wyruszyli bezpośrednio w kierunku Monachium, zatrzymując po drodze każde auto z przywódcami SA, którzy – nieświadomi tego, co się stało – zmierzali na zaplanowane na ten dzień spotkanie z Hitlerem.

W Monachium Hitler zapoznał się z listą zatrzymanych. Obok sześciu nazwisk postawił znak „X” – całą szóstkę kazał bezzwłocznie rozstrzelać. Zanim żołnierze SS wykonali rozkaz, informowali swoje ofiary: „Zostaliście skazani na śmierć przez Führera! Heil Hitler”^[704].

Zawsze uczynny Rudolf Hess zaferował się, że zastrzeli Röhma osobiście, ale Hitler jeszcze nie wydał rozkazu uśmiercenia go. Wtedy myśl, że mógłby zabić wieloletniego przyjaciela, nawet jemu

samemu wydawała się wstrętna.

Owego ranka, zaraz po przybyciu do swego berlińskiego biura, kronikarz Gestapo Hans Gisevius włączył radio ustawione na częstotliwość policyjną i usłyszał raporty wskazujące na szeroko zakrojoną akcję. Aresztowano wyższych oficerów SA, a także ludzi, którzy z SA nie mieli żadnych związków. Gisevius i jego szef Kurt Daluege wyruszyli z nadzieją uzyskania bardziej szczegółowych informacji do pałacu Göringa przy Leipziger Platz, skąd Göring kierował akcją. Gisevius trzymał się blisko Daluegego, wierząc, że w jego towarzystwie będzie bezpieczniejszy. Sądził także, że w siedzibie Göringa nikt nie będzie go szukał.

Chociaż pałac był całkiem niedaleko, pojechali tam samochodem. Uderzył ich panujący na ulicach całkowity spokój, jakby nie działo się nic niezwykłego. Nigdzie jednak nie było widać ani jednego SA-mana.

Wrażenie normalności zniknęło od razu, gdy tylko za rogiem skręcili w kierunku pałacu Göringa. Z wielu miejsc na wyższych kondygnacjach wystawały lufy karabinów maszynowych. Na dziedzińcu roilo się od policji.

Gisevius zapisał: „Gdy szedłem za Daluegem, mijając kolejne stráže i wspinając się po krótkich schodach do wielkiego holu, czułem, że brak mi tchu^[705]. Prosto w twarz uderzyła mnie panująca tam atmosfera pośpiechu, nerwowości, napięcia, a przede wszystkim – rozlewu krwi”.

Gisevius zmierzał do pokoju sąsiadującego z gabinetem Göringa. W pośpiechu mijali ich adiutanci i gońcy. W środku siedział jakiś SA-man i dygotał ze strachu, usłyszawszy od Göringa, że ma zostać rozstrzelany. Służący przynieśli kanapki. W pokoju, choć pełnym ludzi, panowała cisza. „Wszyscy szeptali, jakby znajdowali się w kostnicy” – wspominał Gisevius.

Przez otwarte drzwi na korytarz zobaczył Göring konferującego z Himmlerem oraz nowym szefem Gestapo Reinhardem Heydrichem. Co chwilę pojawiali się i znikali gestapowscy kurierzy z kartkami papieru, na których – jak przypuszczał Gisevius – znajdowały się nazwiska zabitych lub tych, którzy mieli za chwilę stracić życie. Mimo powagi tych działań panująca w gabinecie Göringa atmosfera przypominała bardziej tę znaną z wyścigów samochodowych. Gisevius słyszał ordynarne, ochryple śmiechy, a od czasu do czasu wrzaskliwe: „Odejść!”, „Aha!”, „Rozstrzelać go!”. „Cała ta ekipa wydawała się w najlepszych humorach” – wspominał Gisevius.

Niekiedy udawało mu się dostrzec Göringa krążącego po gabinecie, ubranego we wzdymającą się białą koszulę i szaroniebieskie spodnie wciśnięte w czarne wojskowe buty sięgające ponad kolana. „Kot w butach” – pomyślał nagle Gisevius.

W pewnej chwili z gabinetu wypadł major policji, cały czerwony na twarzy, a za nim równie zaróżowiony Göring. Najwyraźniej wymknął im się z rąk ktoś ważny.

Göring wykrzykiwał polecenia.

„Rozstrzelać ich! (...) Zatrzymać całe towarzystwo (...). Rozstrzelać ich (...). Rozstrzelać ich od razu!”

Dla Giseviusa było to nieopisanie obrzydliwe. „Słowa nie są w stanie oddać owej nieskrywanej żądz, furii, nienawistnej mściwości, a jednocześnie strachu i czystego tchórzostwa zawartych w tej scenie”.

Dodd nie miał pojęcia o kataklizmie przetaczającym się przez miasto; usłyszał o nim dopiero w sobotnie popołudnie, kiedy wraz z żoną zasiadł w ogrodzie do obiadu. Niemal w tym samym momencie pojawił się ich syn Bill powracający z przejażdżki. Wyglądał na zafrasowanego^[706]. Poinformował rodziców, że wiele ulic miasta zostało zamkniętych, w tym Unter den Linden w samym sercu kwartału rządowego, i że są one patrolowane przez ciężkozbrojne oddziały SS. Bill słyszał również, że w kwaterze głównej SA, oddalonej o zaledwie kilka przecznic od ich domu, doszło do aresztowań.

Doddowie natychmiast poczuli ukłucie niepokoju o Marthę, która ten dzień spędzała z Borysem Winogradowem poza miastem. Mimo że Borys posiadał immunitet dyplomatyczny, był człowiekiem, którego naziści nawet w normalnych okolicznościach uznawali za wroga państwa.

^[697] Moffat, *Dziennik*, 17 VII 1934.

^[698] Pisząc ten rozdział, czerpałem z następujących źródeł: Birchall, s. 203; Evans, *Power*, s. 31–32; Gallo, s. 33, s. 38, s. 106; Kershaw, *Hybris*, s. 511–515. Dłuższe fragmenty relacji Kempki można znaleźć w książce Noakesa i Pridhama, s. 212–214.

^[699] Adlon, s. 207. Hedda Adlon, żona właściciela hotelu o tej nazwie, lubiła jeździć po mieście swoim białym mercedesem; trzymała podobno 28 pekińczyków. De Jonge, s. 132.

^[700] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 141.

^[701] W literaturze znajdujemy wiele różniących się od siebie opisów tego wydarzenia. Oparłem się na *Hybris* Kershawa, s. 514, książkę Noakesa i Pridhama, s. 213–214, oraz Strasserze, s. 250.

^[702] Birchall, s. 193.

^[703] Schultz, *Zapiski codzienne*, 5 VII 1934, skrzynka nr 32, dokumentacja Schultz.

^[704] Birchall, s. 198.

^[705] Noakes i Pridham, s. 213.

^[706] Kershaw, *Hybris*, s. 514.

Rozdział 48

Broń w parku

Borys i Martha spędzili na plaży cały dzień, chroniąc się w cieniu, gdy słońce zaczynało świecić nazbyt mocno, ale i często wychodząc zeń, by znów się opalać. Po godzinie piątej spakowali swoje rzeczy i niechętnie wyruszyli w drogę powrotną do miasta. „Kręciło nam się w głowach”^[707] – wspominała Martha – „a nasze ciała były spalone słońcem”. Jechali możliwie najwolniej, gdyż żadne z nich nie chciało, by ten dzień się kończył, każde pragnęło nadal rozkoszować się zapomnieniem, jakie dawał blask słońca odbity od wody. Było teraz jeszcze gorącej, nagrzana ziemia oddawała skumulowane ciepło atmosferze.

Jechali przez sielankowe krajobrazy, falujące od upału powietrze unosiło się znad otaczających ich pól i lasów. Motocykliści doganiali ich i wyprzedzali; niektórzy z nich w koszykach umieszczonych na przednim błotniku lub w doczepionych z boku wózkach wieźli małe dzieci. Kobiety niosły kwiaty, a mężczyźni z chlebakami oddawali się niemieckiej pasji chodzenia szybkim krokiem. „Był to radosny, gorący, pełen życzliwości dzień” – zapisała Martha.

Aby nacieszyć się jeszcze późnopołudniowym słońcem i powiewami wiatru przepływającego przez ich otwarty wóz, Martha podciągnęła skraj spódnicy wysoko, odsłaniając całe uda. „Byłam szczęśliwa” – zapisała. „Zadowolona z dnia i towarzysza, pełna sympatii dla sumiennych, prostych, dobrotliwych Niemców udających się na zasłużony odpoczynek czy spacer, tak bardzo rozradowanych, podziwiających uroki krajobrazu”.

O godzinie szóstej wjechali do miasta. Martha usiadła prosto i opuściła skraj spódnicy, „jak przystało córce dyplomaty”.

Miasto zmieniło się. Zauważali to etapami, zbliżając się coraz bardziej do Tiergarten. Na ulicach było mniej ludzi niż normalnie, a ci, którzy się tam znajdowali, tłoczyli się w „dziwnych, statycznych grupach”, jak ujęła to Martha. Pojazdy poruszały się powoli. W miejscu, gdzie Borys miał wjechać

w Tiergartenstrasse, strumień samochodów zatrzymał się. Ujrzeni wojskowe ciężarówki i karabiny maszynowe, i oto nagle zdali sobie sprawę, że otaczają ich wyłącznie mężczyźni w mundurach, głównie czarnych, należących do SS, oraz zielonych – funkcjonariuszy dowodzonej przez Göringa policji. Dawał się zauważyć brak brązowych mundurów SA. Było to tym bardziej osobliwe, że kwatery główna SA oraz dom kapitana Röhma znajdowały się bardzo blisko.

Podjechali do punktu kontrolnego. Tablice rejestracyjne samochodu Borysa wskazywały na przynależność właściciela do korpusu dyplomatycznego. Policjanci przepuścili ich.

Borys jechał wolno przez ulice, od których nagle powiało grozą. Naprzeciwko domu Marthy, nieopodal parku, żołnierze z bronią i wojskowe ciężarówki tworzyły szereg. Dalej w głąbi Tiergartenstrasse, w miejscu, gdzie krzyżowała się ze Standartenstrasse – ulicą Röhma – zauważyli kolejnych żołnierzy i barierę z lin odcinającą dostęp do ulicy.

Miasto dusiło się. Ponure ciężarówki zasłaniały widok na park. Panował upał. Był już wieczór, dobrze po godzinie szóstej, ale słońce wciąż prażyło. Przedtem tak rozkoszne, teraz wydało się Marcie „wywołujące skwar”. Rozdzielili się z Borysem. Martha podbiegła do frontowych drzwi i szybko weszła do domu. Nagła ciemność i chłodne powietrze kamiennego holu wywołały taki szok, że zakręciło jej się w głowie: „Przez moment nic nie widziałam z powodu braku światła”.

Wspięła się po schodach na pierwsze piętro, gdzie napotkała brata. „Martwiliśmy się o ciebie” – powiedział. Poinformował Marthę, że zastrzelono generała Schleichera. Ojciec udał się już do ambasady przygotować depeszę do Departamentu Stanu. „Nie wiemy, co się dzieje” – mówił Bill. – „W Berlinie wprowadzono stan wyjątkowy”.

W pierwszej chwili nazwisko „Schleicher” nic jej nie powiedziało. Potem jednak przypomniała sobie: Schleicher, generał, człowiek o postawie wojskowej, uczciwy, były kanclerz i minister obrony.

„Usiadłam. Miałam mętlik w głowie, byłam potwornie strapioną” – wspominała Martha. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego generał Schleicher miałby zostać zastrzelony. Pamiętała go jako człowieka „wytwornego, atrakcyjnego, mądrego”.

Zastrzelono też żonę Schleichera, powiedział Bill. Obojgu strzelono w plecy, w ogrodzie, sześciokrotnie. Historia ta miała w najbliższych dniach przybierać różne wersje, lecz fakt pozostawał faktem: oboje Schleicherowie nie żyli.

Pani Dodd zeszła na dół. Wraz z Billem i Marthą udali się do jednego z salonów. Usiedli blisko siebie i rozmawiali cicho. Zauważyli, że Fritz pojawiał się przy nich nadzwyczaj często. Zamknięto wszystkie drzwi. Fritz przynosił co chwila informacje o kolejnym telefonie od kogoś z przyjaciół lub korespondentów. Sprawiał wrażenie przestraszonego, jak napisała Martha, był „cały biały i przerażony”.

Historia, którą przekazał im Bill, budziła trwogę. Chociaż każdą nową rewelację osłaniała mgiełka niepewności, typowa dla plotek, to jednak pewne fakty nie budziły żadnych wątpliwości.

Schleicherowie należeli do ofiar urzędowych mordów, których liczba szła w dziesiątki, a może nawet setki, popełnionych tylko tego jednego dnia – a zabijanie wciąż trwało. Powiadano, że Röhm jest aresztowany, a jego dalszy los niepewny.

Każdy telefon dostarczał nowych wiadomości, z których wiele wydawało się tak szalonych, że aż niewiarygodnych. Podobno po kraju krążyły grupy egzekucyjne polujące na ludzi. Karl Ernst, szef berlińskiego SA, został zabrany siłą ze statku wycieczkowego, na którym odbywał podróż poślubną. Jednego z prominentnych przedstawicieli Kościoła katolickiego zamordowanego w jego gabinecie. Zastrzelono także kolejnego generała armii, a także krytyka muzycznego zatrudnionego przez jedną z gazet. Wydawało się, jakby egzekucje miały charakter przypadkowy i zależały od kaprysu.

Jeden incydent odznaczył się specyficznym komizmem. Doddowie otrzymali z biura Röhma lapidarną odpowiedź na ich zaproszenie, w której stwierdzano, iż kapitan „z wielkim żalem”^[708] zmuszony jest odwołać swój udział w kolacji w domu ambasadora, zaplanowanej na najbliższy piątek 6 lipca, „ponieważ wówczas będzie się poddawać leczniczej kuracji”.

„Biorąc pod uwagę niepewność sytuacji”^[709] – zanotował w swoim dzienniku Dodd – „dobrze się chyba stało, że nie przyjął zaproszenia”.

Oprócz panującej w mieście ogólnej gorączki sytuację utrudniła jeszcze kolizja, do jakiej doszło tuż przed posesją numer 27a; kierowca ambasady – człowiek nazwiskiem Pickford – uderzył w jakiegoś motocyklistę i złamał mu nogę. Drewnianą nogę^[710].

Pośród tego wszystkiego Dodda nieustannie dręczyło szczególnie istotne pytanie: co się stało z Papenem, bohaterem z Marburga, którego Hitler nie cierpiał? Według doniesień Edgar Jung, autor przemówienia Papena, został zastrzelony, podobnie jak sekretarz prasowy wicekanclerza. Czy w tym morderczym klimacie sam Papen miał szanse na przeżycie?

^[707] Gisevius, s. 150.

^[708] Dodd, *Dziennik*, s. 117.

^[709] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 142.

^[710] Pismo od Biura der Stabschef der S.A. do Dodda, 29 VI 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

Rozdział 49

Zabici

O godzinie trzeciej po południu w sobotę berlińscy korespondenci zagraniczni zgromadzili się w kancelarii Rzeszy przy Wilhelmstrasse na konferencji prasowej zwołanej przez Hermanna Göringa. Jednym z jej świadków był Hans Gisevius, który owego dnia znajdował się najwyraźniej wszędzie.

Göring zjawił się spóźniony, w mundurze, wielki i arogancki. W sali było gorąco, tliło się w niej „nieznośne napięcie”^[711], jak zapisał Gisevius. Göring usadowił się na podium. Z wielce dramatycznym wyrazem twarzy zlustrował zebranych, a następnie – wykonawszy szereg przećwiczonych wcześniej gestów – podparł ręką podbródek i przewrócił oczami, jak gdyby to, co miał za chwilę powiedzieć, nawet dla niego samego było niezmiernie doniosłe. Odezwął się, wspomniał Gisevius, „smętnym tonem i przyciszonym, wyćwiczonym głosem mówcy pogrzebowego”.

Göring krótko zrelacjonował „akcję”, która – jak stwierdził – wciąż jest w toku. „Od wielu tygodni obserwowaliśmy ich; wiedzieliśmy, że niektórzy przywódcy Sturmabteilung [SA] zajmują pozycje bardzo odległe od celów i zadań rządu, na pierwszy plan wysuwając własne interesy i ambicje, folgując swym nieszczęsnym i zboczonym gustom”^[712]. Röhm został aresztowany, powiedział Göring. W całą sprawę zaangażowane jest „obce mocarstwo”. Wszyscy zebrani w sali przypuszczali, że chodzi o Francję. „Najwyższy Przywódca w Monachium oraz ja jako jego zastępca w Berlinie uderzyliśmy z prędkością błyskawicy, nie bacząc, kto jaką pełni funkcję”.

Göring zgodził się odpowiadać na pytania. Jeden z reporterów zapytał o śmierć autora przemówień wicekanclerza Papena, Junga, oraz jego sekretarza prasowego, Herberta von Bosego, a także Ericha Klausenera, prominentnego katolickiego krytyka reżimu – jakiz oni wszyscy mogli mieć związek z puczem SA?

„Postanowiłem rozszerzyć swoje działania także na reakcjonistów” – powiedział Göring głosem

tak obojętnym, jakby czytał książkę telefoniczną.

A co z generałem Schleicherem?

Göring zamilkł na chwilę, uśmiechając się szeroko.

„Ach tak, wy, dziennikarze, zawsze lubicie mieć jakąś historię na pierwsze strony; cóż, proszę bardzo. Generał von Schleicher spiskował przeciwko władzom. Rozkazałem go aresztować. Był na tyle głupi, że stawiał opór. Nie żyje”.

Göring zszedł z podium.

Nikt dokładnie nie wiedział, ilu ludzi straciło życie w wyniku czystki^[713]. Według danych oficjalnie podawanych przez nazistów ogólna liczba ofiar nie przekroczyła stu. Na przykład minister spraw zagranicznych Neurath powiedział ambasadorowi brytyjskiemu sir Ericowi Phippsowi, że doszło do „czterdziestu trzech lub czterdziestu sześciu” egzekucji, i stwierdził, iż wszelkie inne szacunki są „nierzetelne i przesadzone”. Dodd w liście do swojego przyjaciela Daniela Ropera pisał, że nadchodzące z amerykańskich konsulatów w Niemczech raporty wskazują, iż łącznie zginęły 284 osoby. „Większość ofiar” – pisał Dodd – „nie była w najmniejszym stopniu winna zdrady, lecz jedynie należała do politycznej lub religijnej opozycji”. Według jeszcze innych rachunków przeprowadzonych przez urzędników amerykańskich liczba ofiar była znacznie większa. Konsul w Brandenburgii donosił, że pewien oficer SS mówił mu o 500 zabitych i 15 tysiącach aresztowanych oraz że zamierzano zabić także Rudolfa Dielsa, ale został oszczędzony na prośbę Göringa. Również nota wysłana przez jednego z sekretarzy ambasady kierowanej przez Dorda wspomina o 500 egzekucjach, nadmienając, iż ludzie zamieszkujący w okolicy koszar Lichterfelde „słyszeli plutony egzekucyjne pracujące całą noc”. Diels obliczył później, że ofiar było 700; inni członkowie reżimu ogólną liczbę zabitych szacowali na ponad tysiąc. Nie istnieją jednak żadne pewne dane w tej sprawie.

Śmierć generała Schleichera została potwierdzona – strzelono doń siedmiokrotnie, a jego ciało oraz ciało jego żony znalazła ich 16-letnia córka. Zastrzelono także innego generała, Ferdinanda von Bredowa, członka gabinetu Schleichera za czasów sprawowania przezeń funkcji kanclerza. Mimo tych mordów armia wciąż trzymała się z boku, gdyż wstręt do SA był tam silniejszy niż oburzenie związane ze śmiercią dwóch jej przedstawicieli. Gregor Strasser, jeden z byłych liderów nazistowskich związany niegdyś ze Schleicherem, jadł właśnie obiad w gronie rodziny, kiedy przed jego domem zatrzymały się dwa samochody, z których wysiadło sześciu gestapowców. Strassera zabrano z domu i zastrzelono w celi w podziemiach komendy głównej Gestapo. Hitler był ojcem chrzestnym jego bliźniaków. Przyjaciół Strassera, Paul Schultz, wyższy dowódca SA, został wywieziony do lasu i postrzelony. Niekiedy kaci poszli do samochodu po worek na ciało, a gdy wrócili na miejsce zbrodni, zorientowali się, że przeżył i zdołał uciec. To prawdopodobnie jego

ucieczka spowodowała wybuch krwiożerczej wściekłości u Göringa. Zginął również Gustav Ritter von Kahr, jako 73-latek raczej niegroźny dla Hitlera – według historyka Iana Kershawa „zarąbany na śmierć”, prawdopodobnie w ramach zemsty za swój udział w zablokowaniu nazistowskiego puczu dekadę wcześniej. Karl Ernst, żonaty od dwóch dni, nie miał bladego pojęcia, co się dzieje, kiedy aresztowano go w Bremie tuż przed rozpoczęciem wycieczkowego rejsu – jego podróży poślubnej. Hitler był gościem na weselu Ernsta. Gdy Ernst zrozumiał, że zostanie zastrzelony, krzyknął: „Jestem niewinny. Niech żyją Niemcy! Heil Hitler!”. Od kul zginęło też co najmniej pięciu Żydów, których zamordowano za sam fakt bycia Żydami. Niezliczone bezimienne ofiary zostały unicestwione przez kompanie egzekucyjne w koszarach Lichterfelde. Matka jednego z zabitych SA-manów oficjalne zawiadomienie o śmierci syna dostała dopiero pół roku po fakcie, w formie szorstkiego, zawierającego jeden akapit pisma, w którym stwierdzano, że rozstrzelania dokonano w obronie państwa, więc nie wymaga to dalszych wyjaśnień. List kończył się tak jak wszystkie pisma w nowych Niemczech: „Heil Hitler!”.

I znów zdarzały się momenty jakby żywcem wyjęte z czarnej komedii. Gottfried Reinhold Treviranus, minister w rządzie kanclerza generała Schleichera^[714], rozgrywał właśnie mecz w klubie tenisowym Wannsee, kiedy zauważył czających się na zewnątrz czterech SS-manów. Słusznie ufając własnym instynktom, podał jakąś wymówkę i oddalił się. Pokonał mur, złapał taksówkę i ostatecznie uciekł do Anglii.

W centrum Berlina pewien SA-man, dorabiający sobie jako kierowca furgonetki cateringowej hotelu Adlon, został zatrzymany przez SS na punkcie kontrolnym w pobliżu Bramy Brandenburskiej, nieopodal hotelu. Jego nieszczęście polegało na tym, że miał na sobie brązowy mundur Oddziałów Szturmowych, na który narzucił jedynie zwykłą marynarkę.

Oficer SS spytał, dokąd się udaje.

„Do króla Syjamu”^[715] – odpowiedział kierowca i uśmiechnął się.

SS-man potraktował to jako dowcipkowanie. Rozzłoszczony bezczelnością kierowcy przy pomocy kolegów wyciągnął go z furgonetki i kazał otworzyć tylną klapę. W samochodzie znajdowało się mnóstwo tacek z jedzeniem.

Wciąż podejrzliwy oficer SS oskarżył kierowcę o to, że wiezie żywność na jedną z orgii Röhma.

Kierowca, już bez uśmiechu, powiedział: „Nie, to jest dla króla Syjamu”.

SS-man nie miał wątpliwości, że kierowca ma po prostu tupet. Do furgonetki wsiadło dwóch funkcjonariuszy i kazało zatrzymanemu jechać do pałacu, gdzie rzekomo miało się odbyć przyjęcie. Ku swemu rozczarowaniu usłyszeli, że bankiet na cześć króla Syjamu jest rzeczywiście zaplanowany i że jednym z gości ma być Göring.

Była też sprawa biednego Williego Schmid^[716] – Wilhelma Eduarda Schmid, szanowanego krytyka muzycznego jednej z monachijskich gazet – który grał sobie w domu na wiolonczeli,

siedząc w pokoju z żoną i trójką dzieci, kiedy to u jego drzwi pojawili się SS-mani, wyciągnęli go na zewnątrz i zastrzelili.

Ale SS się pomyliło. Ich właściwym celem był inny Schmid. A raczej – Schmitt.

Hitler wysłał Rudolfa Hessa, aby ten osobiście przeprosił żonę martwego krytyka.

Plotka głosiła, że Putzi Hanfstaengl, którego stosunki z Hitlerem stały się napięte, znajdował się na liście ofiar. Przechytnie udał się on wcześniej do Ameryki, aby wziąć udział w 25. zjeździe swojego rocznika na Harvardzie^[717]. Zaproszenie dla niego wywołało w Stanach wrzawę, dlatego aż do ostatniej chwili Hanfstaengl nie dawał do zrozumienia, że zamierza się na zjeździe pojawić. Wieczorem 10 czerwca 1934 roku, będąc jeszcze w Berlinie, wydał kolację, której data i godzina wskazują – gdy spojrzysz na nie z dzisiejszej perspektywy – iż z pewnością wiedział o zbliżającej się czystce. W środku przyjęcia oddalił się z sali jadalnej, przebrał w prochowiec i założył okulary przeciwsłoneczne, po czym wyszedł z domu. Nocnym pociągami udał się do Kolonii, gdzie wsiadł na pokład małego samolotu pocztowego lecącego do Cherbourga we Francji. Tam zaokrętował się na statek „Europa”, wypływający do Nowego Jorku. Wiozł ze sobą pięć walizek i trzy skrzynie z rzeźbionymi popiersiami jako podarunki.

Wydział policji nowojorskiej, obawiając się zagrożenia ze strony protestujących przeciwko przyjazdowi Hanfstaengla, wydelegował na pokład statku sześciu młodych funkcjonariuszy, którzy mieli go eskortować. Wszyscy ubrani byli w marynarki i krawaty z logo Harvardu.

W dniu 30 czerwca 1934 roku, gdy rozpoczęła się czystka, Putzi był na ślubie Ellen Tuck French i Johna Jacoba Astora III w Newport w stanie Rhode Island. Astor cieszył się opinią najbogatszego kawalera w Ameryce. Jego ojciec zaginął podczas katastrofy „Titanica”. Przed kościołem zgromadził się mniej więcej tysięczny tłum, aby choć przez chwilę zobaczyć państwa młodych, a także przybywających gości. Jednym z pierwszych, który „wywołał w tłumie pełne ekscytacji westchnienia” – jak potoczysie pisał redaktor rubryki towarzyskiej „New York Timesa” – był Hanfstaengl, „w cylindrze, czarnym płaszczu i szarych spodniach w paski”.

Hanfstaengl nic nie wiedział o wydarzeniach w Niemczech, usłyszał o nich dopiero od dziennikarzy zadających mu pytania. „Nie mam w tej sprawie żadnego komentarza” – powiedział. – „Przyjechałem tu na ślub córki mojego przyjaciela”. Później, poznawszy więcej szczegółów, oświadczył: „Mój przywódca, Adolf Hitler, musiał działać i działał w taki sam sposób jak zawsze. Hitler nigdy nie okazał się większy i bardziej ludzki niż w ciągu ostatnich 48 godzin”.

W głębi ducha jednak Hanfstaengl obawiał się o własne bezpieczeństwo, a także o żonę i syna w Berlinie. Wysłał w tej sprawie dyskretne zapytanie do ministra spraw zagranicznych Neuratha.

Tego samego wieczoru Hitler powrócił do Berlina. Gisevius jak zawsze pełnił rolę świadka. Samolot z kanclerzem pojawił się „na tle krwawoczerwonego nieba, jakby w scenografii do sztuki, której nikt

nie inscenizował”^[718] – pisał Gisevius. Gdy samolot zatrzymał się, zbliżyła się doń niewielka armia ludzi witających Hitlera, w tym Göring i Himmler. Hitler wysiadł jako pierwszy. Ubrany był w brązową koszulę, ciemnobrązową skórzaną marynarkę, czarny krawat i wysokie czarne buty. Wyglądał na bladego i zmęczonego, był nieogolony – ale poza tym sprawiał wrażenie nieporuszonego. „Było jasne, że zamordowanie znajomych nic go nie kosztowało” – pisał Gisevius. „Nie czuł nic; po prostu wyrzucił z siebie gniew”.

W przemówieniu radiowym szef propagandy Goebbels uspokajał naród^[719]. „W Niemczech” – mówił – „panuje teraz całkowity spokój i porządek. Przywrócono bezpieczeństwo publiczne. Führer absolutnie panuje nad sytuacją, jak nigdy wcześniej. Niech fortuna nam sprzyja, abyśmy mogli doprowadzić naszą wielką sprawę do końca, wraz z Adolfem Hitlerem!”

Tymczasem Dodd otrzymywał raporty, które wskazywały, że czystka wcale się nie zakończyła. Wciąż nie było wiadomo, co się stało z Röhmem i Papenem. Z dziedzińca koszar Lichterfelde nieustannie dochodziły odgłosy salw.

^[711] Dodd, *Dziennik*, s. 117.

^[712] Pismo od niemieckiego MSZ do Dodda, 28 V 1935, skrzynka nr 47, dokumentacja W. E. Dodda.

^[713] cytat za Gallo, s. 257.

^[714] Birchall, s. 205–207; Gallo, s. 257.

^[715] Akapit ten oraz kolejny napisałem, opierając się na następujących źródłach: Hugh Corby Fox, Memorandum, 2 VII 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda; H. C. Flack, Poufne memorandum, 7 VII 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda; Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 323; Gallo, s. 256, s. 258; Rürup, s. 53, s. 223; Kershaw, *Hybris*, s. 515; Evans, *Power*, s. 34–36; Strasser, s. 252, s. 263; Gisevius, s. 153; Birchall, s. 20; Metcalf, s. 269.

^[716] Gallo, s. 255; Martha w swoim pamiętniku relacjonuje to zdarzenie nieco inaczej: *Embassy Eyes*, s. 155.

^[717] Adlon, s. 207–209.

^[718] Shirer, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, s. 224 i następne. Zob. także Birchall, s. 207; Evans, *Power*, s. 36; Kershaw, *Hybris*, s. 515.

^[719] Casey, s. 340; Conradi, ss. 143, 144, 148, 151, 157, 159, 163, 167–168; „New York Times”, 1 VII 1934.

Rozdział 50

Jeszcze żyją

Niedzielny poranek był chłodny, słoneczny i świeży. Dodda uderzył brak wszelkich widocznych oznak wydarzeń z ostatniej doby. „To był dziwny dzień”^[720] – zanotował. „W gazetach same zwyczajne wiadomości”.

Mówiono, że Papen żyje, ale wraz z rodziną znajduje się w areszcie domowym w swoim mieszkaniu. Dodd chciał użyć swych niewielkich wpływów, aby zachowano go przy życiu – o ile doniesienia o tym, że Papen nie zginął, wciąż były prawdziwe. Plotka głosiła, iż wicekanclerz miał zostać stracony i że mogło to nastąpić w każdej chwili.

Dodd i Martha należącym do rodziny buickiem pojechali do apartamentowca, w którym zamieszkiwał Papen. Podjechali do bramy bardzo powoli, chcąc, aby pilnujący jej SS-mani zobaczyli samochód i zorientowali się, do kogo należy^[721].

Blade oblicze syna Papena pojawiło się w oknie częściowo zasłoniętym kotarami. Oficer SS pełniący służbę przy wejściu do budynku przyglądał się przejeżdżającemu samochodowi. Martha nie miała wątpliwości, że rozpoznał on po tablicach rejestracyjnych, iż auto należy do kogoś z korpusu dyplomatycznego.

Po południu Dodd podjechał pod dom Papena raz jeszcze, tym razem jednak zatrzymał się i wręczył jednemu ze strażników swoją wizytówkę, na której napisał: „Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli Pana odwiedzić”.

Dodd nie pochwalał wprawdzie politycznych machinacji Papena oraz jego postępowania podczas pobytu w USA, polubił jednak tego człowieka, a od czasu konfrontacji na małym balu prasowym znajdował przyjemność w spieraniu się z nim. Myśl, że można człowieka zlikwidować na mocy kaprysu Hitlera, bez procesu lub nakazu sądowego, napawała Dodda odrazą.

Ambasador pojechał z powrotem do domu. Syn Papena przekazał później Doddowi wyrazy

wdzięczności w imieniu swoim i całej rodziny za to, że owego fatalnego popołudnia, w chwili śmiertelnego zagrożenia, na ulicy przed ich domem pojawił się skromny buick.

Do siedziby Dodda bez przerwy napływały raporty o kolejnych aresztowaniach i mordach. W niedzielę wieczorem Dodd wiedział już niemal na pewno, że kapitan Röhm został zamordowany.

Rekonstrukcja wydarzeń na podstawie strzępów informacji wyglądała następująco:^[722]

Początkowo Hitler był niezdecydowany, czy powinien zlikwidować swojego starego sprzymierzeńca, zamkniętego w celi więzienia Stadelheim, ostatecznie jednak uległ presji ze strony Göringa i Himmlera. Nawet wówczas Hitler nalegał, aby pozostawić Röhmowi możliwość popełnienia samobójstwa.

Człowiekiem wyznaczonym do przekazania Röhmowi tej propozycji był Theodor Eicke, komendant obozu w Dachau, który w niedzielę pojechał do więzienia wraz ze swoim zastępcą Michaeliem Lippertem oraz jeszcze jednym SS-manem ze swojego obozu. Całą trójkę zaprowadzono do celi, w której przebywał Röhm.

Eicke wręczył Röhmowi automatycznego browninga oraz najnowszy numer gazety „Völkischer Beobachter”, zawierający relację z tak zwanego „puczu Röhma”, zapewne po to, aby przekonać więźnia, iż wszystko zostało już stracone.

Eicke wyszedł z celi. Minęło dziesięć minut, ale strzał się nie rozległ. Eicke i Lippert wrócili, zabrali browninga, po czym raz jeszcze się pojawili, tym razem z własną bronią. Röhm stanął przed nimi. Był bez koszuli.

Relacje o tym, co działo się dalej, różnią się między sobą^[723]. Według niektórych Eicke i Lippert nie odezwali się słowem i od razu zaczęli strzelać. Jedno ze źródeł podaje, iż Eicke krzyknął: „Röhm, gotuj się”, a Lippert dwukrotnie wystrzelił. Jeszcze inna relacja przedstawia Röhma w blasku chwilowej odwagi, gdy oświadczył: „Jeśli mam być zabity, niech Adolf zrobi to sam”.

Pierwsze strzały nie uśmierciły Röhma. Leżał na podłodze, pojękując: „Mein Führer, mein Führer”. Zabiła go kula wystrzelona w skroń.

W nagrodę Eickego awansowano na stanowisko umożliwiające mu sprawowanie pieczy nad wszystkimi obozami koncentracyjnymi w Niemczech^[724]. Wprowadził tam drakońskie przepisy, które wypróbował wcześniej w Dachau.

Tejże niedzieli reichswera dała kolejny dowód, że wywiązuje się ze swoich zobowiązań podjętych podczas negocjacji na pokładzie statku „Deutschland”. Minister obrony Blomberg w rozkazie z dnia 1 lipca oświadczył: „Führer swą żołnierską decyzją i przykładną odwagą osobiście zmiażdżył morderców i zdrajców^[725]. Armia, jako siła zbrojna całego narodu, trzymająca się z dala od konfliktów polityki wewnętrznej, okaże swą wdzięczność poprzez oddanie i lojalność. Będzie chętnie

rozwijać dobre relacje z odnowioną SA, czego wymaga od nas Führer, w świadomości, że obie te instytucje mają wspólne ideały. Stan gotowości bojowej zostaje odwołany na obszarze całego kraju”.

Weekend mijał. Doddowie dowiedzieli się, że po Berlinie krąży nowe powiedzonko, którego należy użyć, spotykając na ulicy przyjaciela lub znajomego – najlepiej unosząc sarkastycznie brwi: *Lebst du noch?*^[726] Co znaczy: „Wciąż jeszcze żyjesz?”.

^[720] Gisevius, s. 160.

^[721] Birchall, s. 205.

^[722] Dodd, *Dziennik*, s. 117.

W tę samą niedzielę żydowska gazeta „Bayerische Israelitische Gemeindezeitung”, która ciągle jeszcze funkcjonowała – miało się to utrzymać do 1937 roku – radziła i namawiała swoich czytelników, aby – wedle świadectwa jednego z historyków – „okazywali więcej rezerwy, taktu i godności oraz zachowywali się w sposób nienaganny w miejscach publicznych, jeśli chcą uniknąć szykan”.

W tę samą niedzielę po południu Hitler zaprosił członków swojego gabinetu – różnych ministrów wraz z rodzinami – do kancelarii Rzeszy na podwieczorek. Mile widziane były również dzieci. W pewnym momencie Hitler podszedł do okna wychodzącego na ulicę. Zebrany niżej tłum wiatował głośno. Na miejscu był także wszędobylski Hans Gisevius. Hitler zauważył go i uniósł rękę w geście pozdrowienia. Gisevius zapisał: „Miałem poczucie, że gdyby mógł odczytać moje najskrytsze myśli, niechybnie kazałby mnie rozstrzelać”. Dippel, s. 150; Gallo, s. 269; Kershaw, *Hybris*, s. 516; Gisevius cytowany przez Gallo, s. 270.

^[723] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 142–143.

^[724] Evans, *Power*, s. 33; Kershaw, *Hybris*, ss. 176, 516.

^[725] Evans, *Power*, s. 33; Kershaw, *Hybris*, s. 516; Gallo, s. 270; Shirer, *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*, s. 221; Noakes i Pridham, s. 215.

Po zamordowaniu Röhma Hitler twierdził, że homoseksualne praktyki szefa SA były dlań kompletnym zaskoczeniem. Po Berlinie natychmiast zaczął krążyć nowy dowcip: „Co robi, kiedy w końcu dowie się o szpotawej stopie Goebbelsa?”.

Mniej więcej w tym samym okresie pojawił się też inny dowcip: „Dopiero teraz jesteśmy w stanie w pełni zrozumieć znaczenie ostatniego przemówienia Röhma skierowanego do młodzieży nazistowskiej: »Z każdego członka Hitlerjugend wyrośnie SA-man«”. Grunberger, ss. 332, 335.

Rozdział 51

Koniec sympatii

Mimo że wciąż pojawiały się nowe plotki, że krwawa czystka ma zataczać niebywale szerokie kręgi, ambasador Dodd i jego żona postanowili nie odwoływać obchodów święta 4 Lipca, na które zaproszono już około 300 gości. Wydawało się nawet, że takie przyjęcie należy wydać właśnie teraz, demonstrując symbolicznie wartość amerykańskiej wolności i oferując wytchnienie od panującego w kraju terroru. Miał to być pierwszy oficjalny bankiet od czasu wiadomego weekendu, podczas którego Amerykanie i Niemcy mogliby spotkać się twarzą w twarz. Doddowie zaprosili wielu przyjaciół Marthy, w tym Mildred Fish Harnack i jej męża Arvida. Borys się nie pojawił. Obecna na przyjęciu Bella Fromm zapamiętała, że podczas spotkania odczuwało się „elektryczne napięcie”. „Dyplomaci wyglądali na podenerwowanych”^[727] – napisała. „Niemcy byli podminowani”.

Dodd wraz z żoną stał w wejściu do sali balowej i witał nowo przybyłych^[728]. Martha zauważyła, że na pozór jej ojciec zachowuje się tak jak zawsze przy tego rodzaju okazjach, skrywając nudę za parawanem ironicznych uwag i ripost, z wyrazem twarzy rozbawionego sceptyka, który wygląda, jakby miał się za chwilę roześmiać. Jej matka, ubrana w długą niebiesko-białą suknię, witała gości ze zwykłą spokojną uprzejmością – pełna wdzięku osoba z Południa, srebrzystowłosa, o delikatnym akcencie. Martha dostrzegła jednak, że policzki matki są bardziej zarumienione niż zwykle, a prawie czarne tęczęwki jej oczu, zawsze niesamowite, robią dziś jeszcze większe wrażenie.

Ustawione w sali balowej i w ogrodzie stoliki ozdabiała bukiety czerwonych, białych i niebieskich kwiatów oraz małe amerykańskie flagi. Orkiestra cicho grała amerykańskie przeboje. Było ciepło, choć pochmurno. Goście snuli się po domu i ogrodzie. Ogólnie była to scena pełna spokoju, lecz surrealistyczna, stanowiąca ostry kontrast z tym, co działo się w ciągu ostatnich 72 godzin – czyli rozlewem krwi. Dla Marthy i jej brata zestawienie to było nazbyt uderzające, by można je

zignorować, dlatego każdego młodego Niemca witali pytaniem: „*Lebst du noch?*”.

„Uważaliśmy, że jesteśmy sarkastyczni, nie skrywając przy tym przed Niemcami wściekłości, którą czuliśmy” – zapisała. „Bez wątpienia wielu z nich pytanie to uznało za będące w złym guście. Niektórzy naziści okazywali skrajną irytację”.

Goście przynosili najnowsze wieści. Od czasu do czasu jakiś korespondent albo członek personelu ambasady odciągał Doddę na bok i chwilę z nim rozmawiał. Jeden z głównych tematów stanowiło z pewnością nowe rozporządzenie, wydane przez rząd hitlerowski dzień wcześniej, które legalizowało wszystkie mordy; usprawiedliwiano je jako działania podjęte „w obliczu nagłego zagrożenia i w obronie państwa”. Goście sprawiali wrażenie bladych i wstrząśniętych, obawiających się o los wszystkich swoich przyjaciół w mieście.

Kamerdyner Fritz podszedł i poinformował Marthę, że na dole czeka na nią jakiś człowiek. „*Der junge Herr von Papen*”^[729] – powiedział Fritz. Młody pan Papen – syn wicekanclerza, Franz junior. Martha oczekiwała go; ostrzegła wcześniej matkę, że gdyby się pojawił, będzie musiała odejść. Dotknęła ramienia matki i wycofała się z grona witających.

Franz był wysoki, jasnowłosy i szczupły, o regularnych rysach twarzy oraz – jak wspominała Martha – „pełen dziwnego piękna – niczym blondwłosy lis”^[730]. Miał też wdzięk. Taniec z nim, zapisała, „byłby równoznaczny z zamieszkaniem w świecie muzyki”.

Franz wziął ją pod ramię i energicznie wyprowadził z domu. Przecięli ulicę prowadzącą do Tiergarten, po którym przez chwilę spacerowali, uważając, czy nikt ich nie śledzi. Kiedy uznali, że nie, usiedli przy stoliku w kawiarnianym ogródku i zamówili napoje.

Oblicze i sposób zachowania Franza wskazywały, że mocno przeżył terror ostatnich dni. Jego zazwyczaj wyśmienity humor zastąpił teraz cichy lęk.

Choć Franz był wdzięczny ambasadorowi Doddowi za pojawienie się przed ich domem, wiedział jednak, że tak naprawdę ojciec zawdzięcza życie bliskiej znajomości z prezydentem Hindenburgiem. Jednakże nawet ta bliska zażyłość nie powstrzymała SS od sterroryzowania Papena i jego rodziny, zwierzał się Franz. W sobotę uzbrojeni SS-mani zajęli pozycje w mieszkaniu Papenów oraz przy wejściu od ulicy. Powiedzieli wicekanclerzowi, iż dwóch jego współpracowników zostało zastrzelonych, dając do zrozumienia, że to samo czeka i jego. Rozkaz mógł nadejść w każdej chwili. Rodzina spędziła w samotności pełen przerażenia weekend.

Franz i Martha rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym on odprowadził ją przez park. Wróciła na przyjęcie sama.

Pewnego późnego popołudnia w tym samym tygodniu pani Cerruti, żona ambasadora Włoch, wyglądała przypadkiem przez okno swojej rezydencji, która znajdowała się naprzeciwko domu Röhma. W tym właśnie momencie na ulicy zatrzymał się wielki samochód. Wsiadło zeń dwóch

mężczyzn, którzy następnie weszli do domu, aby wyłonić się stamtąd z całymi naręczami garniturów i innych ubrań należących do Röhma. Czynność tę powtórzyli kilka razy.

Scena ta z całą ostrością uzmysłowiła jej istotę wydarzeń ostatniego tygodnia. „Widok tych ubrań, już bez właściciela, wzbudził we mnie mdłości”^[731] – zapisała w pamiętniku „Było tak oczywiste, że są to »szaty wisielca«, że aż musiałam odwrócić głowę”.

Przeżyła „zwyczajny rozstrój nerwowy”. Pobiegła na piętro i obiecała sobie, że odpocznie od Berlina. Nazajutrz wyjechała do Wenecji.

Doddowie dowiedzieli się, że Wilhelm Regendanz, zamożny bankier, który do swego domu w Dahlem zaprosił na brzemienną w skutki kolację kapitana Röhma i francuskiego ambasadora François-Ponceta, zdołał zbiec z Berlina i bezpiecznie dotrzeć do Londynu. Obawiał się teraz jednak, że nigdy nie będzie mógł wrócić. Co gorsza, w Berlinie wciąż przebywała jego żona, a ich dorosły syn Alex, obecny wówczas na kolacji, został aresztowany przez Gestapo. W dniu 3 lipca Regendanz napisał do pani Dodd list z prośbą, by zechciała udać się do Dahlem i zobaczyć, jak miewają się jego żona i młodsze dzieci, a także „przekazać jej najserdeczniejsze pozdrowienia”^[732]. Pisał: „Wydaje się, że jestem teraz podejrzany, ponieważ w moim domu bywało tak wielu dyplomatów i ponieważ byłem też przyjacielem generała von Schleichera”.

Pani Dodd pojechała z Marthą samochodem do Dahlem, zobaczyć się z panią Regendanz. Drzwi otworzyła młoda służąca, z oczyma czerwonymi od płaczu. Niebawem pojawiła się sama pani Regendanz, w ciemnym stroju, chuda, z workami pod oczami, niepewna siebie i zdenerwowana. Znała Marthę i Mattie; zdumiała się, widząc je w swoim domu. Panie weszły do środka. Po krótkiej rozmowie wstępnej odwiedzające przekazały pani Regendanz wiadomość od męża. Ta ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się cicho.

Pani Regendanz opowiedziała gościom o przeszukaniu jej domu i konfiskacie paszportu. „Gdy mówiła o swoim synu”^[733] – zapisała Martha – „straciła panowanie nad sobą, zawładnął ją histeryczny lęk”. Nie miała pojęcia, gdzie jest Alex, czy żyje, czy już go zabito.

Blagała Marthę i jej matkę, aby ustaliły miejsce jego pobytu, odwiedziły go i zniosły papierosy, cokolwiek, żeby tylko pokazać jego ciemnościom, iż cieszy się zainteresowaniem ambasady amerykańskiej. Panie Dodd obiecały spróbować. Pani Dodd i pani Regendanz ustaliły, że odtąd ta ostatnia, kontaktując się z Doddami lub ambasadą, będzie posługiwać się pseudonimem Carrie.

Przez następne kilka dni Doddowie prowadzili w tej sprawie rozmowy z wpływowymi przyjaciółmi, dyplomatami, a także życzliwymi im przedstawicielami władz. Nie wiadomo, czy wstawiennictwo to rzeczywiście odniosło skutek, ale Aleksa zwolniono mniej więcej miesiąc po uwięzieniu. Natychmiast wyjechał z Niemiec, nocnym pociągami, i dołączył do ojca w Londynie.

Dzięki swoim koneksjom pani Regendanz udało się załatwić inny paszport i bezpiecznie wydostać

z Niemiec samolotem. Kiedy już znalazła się z dziećmi w Londynie, wysłała pani Dodd pocztówkę: „Dojechałam bezpiecznie i w całości^[734]. Najgłębsze wyrazy wdzięczności. Pozdrawiam, Carrie”.

W Waszyngtonie szef wydziału do spraw Europy Zachodniej Jay Pierrepont Moffat zaczynał być zalewany pytaniami od planujących podróże Amerykanów, czy wyjazd do Niemiec jest nadal bezpieczny. „Odpowiadaliśmy” – zapisał^[735] – „że jak dotąd żaden cudzoziemiec nie ucierpiał w wyniku wiadomych wydarzeń, nie widzimy więc powodów do obaw, jeśli podróżujący będą zajmować się własnymi sprawami i trzymać z dala od kłopotów”.

Jego matka na przykład przeżyła okres czystki nietknięta; wyznała nawet, że było to „całkiem ekscytujące”^[736] – zanotował Moffat w dzienniku. Dom jego siostry znajdował się w dzielnicy Tiergarten, która „została zablokowana przez wojsko, tak że musieli nadkładać drogi, żeby wyjechać z domu albo dostać się do siebie”. Tym niemniej matka, córka i wnuczka wybrały się samochodem z szoferem na od dawna planowaną wycieczkę objazdową po Niemczech.

Uwagę Departamentu Stanu zajmowało przede wszystkim ogromne zadłużenie Niemiec u wierzycieli amerykańskich. Kontrast był uderzający: w Niemczech lała się krew, wypruwano sobie trzewia, rozlegały się strzały, a w Departamencie Stanu w Waszyngtonie noszono białe koszule, Hull bawił się swoimi czerwonymi ołówkami i coraz bardziej denerwowano się na Dodda za to, że nie wywiera odpowiedniego nacisku w sprawach ważnych dla Ameryki. W telegramie wysłanym z Berlina w piątek 6 lipca Dodd donosił, że spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Neurathem w sprawie zadłużenia i że Neurath oświadczył, iż doloży wszelkich starań, aby odsetki zostały spłacone, ale że „będzie to skrajnie trudne”^[737]. Gdy Dodd zapytał Neuratha, czy Stany Zjednoczone mogą się przynajmniej spodziewać takiego samego traktowania jak wierzyciele z innych krajów, Neurath „wyraził jedynie nadzieję, że okaże się to możliwe”.

Telegram rozwścieczył sekretarza stanu Hulla oraz starszynę Pretty Good Club. „Dodd sam dowiódł”^[738] – zapisał Moffat w dzienniku – „że raczej nie przykładał się do walki i wołał pozwolić Neurathowi łatwo wykręcić się od odpowiedzialności. Sekretarz wie, że [Dodd] okazuje minimalne zrozumienie dla naszych interesów finansowych, ale mimo to bardzo się zdenerwował po telegramie od Dodda”.

Pelen złości Hull polecił Moffatowi przygotować ostrą odpowiedź dla Dodda^[739], nakazując mu „nie tylko korzystać z nadarzających się okazji, ale także kreować je w każdych możliwych okolicznościach, aby wbijać im do głowy słuszność naszych żądań”.

W rezultacie powstała depesza, która została nadana o godzinie 16.00 w sobotę 7 lipca w imieniu sekretarza stanu Hulla. Wyrażano w niej wątpliwość, czy aby na pewno Dodd stawiał czoło problemom związanym z kwestią niemieckich obligacji dłużnych „z najwyższą determinacją”^[740], na

jaką zasługują logika, sprawiedliwość i dobro mniej więcej 60 tysięcy niewinnych posiadaczy obligacji w naszym kraju (...).

Moffat zapisał: „Był to dość kateryczny w tonie telegram^[741], którego jedno zdanie łagodny z natury sekretarz stanu zmodyfikował, nie chcąc zanadto zranić uczuć Dodda”. Moffat zauważył, że niektórzy „lekceważący” Dodda pracownicy departamentu zaczęli nazywać go „ambasadorem Dudem”^{[742][743]}.

Podczas kolejnego spotkania w sprawie zadłużenia, jakie odbyło się w tym samym tygodniu, Hull nie przestawał wyrażać swojego niezadowolenia z Dodda. Moffat zanotował: „Sekretarz ciągle powtarza, że o ile Dodd jest pod wieloma względami świetnym człowiekiem, to jednak z pewnością ma pewne skrzywienie charakteru”^[744].

Tego dnia Moffat wybrał się na przyjęcie w ogrodzie w domu jednego ze swych zamożnych przyjaciół – tego od basenu – który zaprosił także „cały Departament Stanu”^[745]. Podczas imprezy odbywały się pokazowe mecze tenisa oraz wyścigi w pływaniu. Moffat musiał jednak dość szybko opuścić towarzystwo, wybierał się bowiem na wycieczkę po Potomaku jachtem motorowym, „wyposażonym w takie luksusy, że zadowolilyby duszę każdego sybaryty”.

W Berlinie Dodd pozostał niewzruszony. Domaganie się pełnej spłaty zadłużenia uważał za bezsensowne, ponieważ Niemcy i tak nie mieli pieniędzy, a poza tym były o wiele ważniejsze sprawy do załatwienia. W liście do Hulla, napisanym dwa tygodnie później, stwierdził: „Nasi ludzie będą musieli pogodzić się ze stratą pieniędzy z obligacji”^[746].

Wczesnym rankiem w piątek 6 lipca Martha przyszła do sypialni ojca, żeby się z nim pożegnać. Wiedziała, że nie pochwała jej wyjazdu do Rosji, gdy jednak uścisknęli się i ucałowali, odniosła wrażenie, że ojciec podchodzi do sprawy łagodniej. Prosił ją o ostrożność, ale i wyrażał nadzieję, że „podróż będzie ciekawa”^[747].

Matka i brat zawieźli Marthę na lotnisko Tempelhof; Dodd pozostał w mieście, bez wątpienia świadomy, że nazistowska prasa zechce wykorzystać jego obecność na lotnisku do pokazania, jak ambasador żegna się z córką odlatującą do znenawidzonego Związku Sowieckiego.

Martha wspięła się po wysokich stalowych schodach na pokład trzysilnikowego junkersa, który miał ją zabrać w pierwszy etap długiej podróży. Fotografia ukazuje ją, jak beztrudno stoi na szczycie schodów, w zawadiacko zadartym kapelusiku^[748]. Ma na sobie zwykły sweter narzucony na bluzkę w kropki oraz dopasowany szalik. Zdumiewające, biorąc pod uwagę panujące upały, ale przez ramię przerzuciła sobie długi płaszcz, a w ręku trzyma parę białych rękawiczek.

Martha twierdziła później, że nie miała pojęcia, iż jej podróż wzbudzi zainteresowanie prasy albo

wywoła coś na kształt skandalu dyplomatycznego. Wydaje się to jednak mało wiarygodne. Po rocznym pobycie, podczas którego poznała blisko takich intrygantów jak Rudolf Diels i Putzi Hanfstaengl, nie mogła nie zdawać sobie sprawy, że w hitlerowskich Niemczech nawet najmniejszemu wydarzeniu przypisywano niekiedy ogromne – wręcz nadmierne – znaczenie symboliczne.

Jeśli chodzi o jej odczucia osobiste, w momencie wyjazdu całkowicie utraciła już wszelką sympatię dla „dziwnych i szlachetnych istot”, które wywołały rewolucję nazistowską. Niezależnie od tego, czy uświadamiała to sobie, czy nie, jej wyjazd – sfotografowany przez reporterów, odpowiednio zarejestrowany przez urzędników ambasady i Gestapo – stanowił publiczną deklarację ostatecznego pozbycia się złudzeń.

Zapisała: „Miałam już dość krwi i terroru do końca mojego życia”^[749].

Jej ojciec przeżył podobną chwilę transformacji. W ciągu pierwszego roku pobytu w Niemczech nieustannie szokowała go zadziwiająca obojętność na bestialstwa dziejące się w całym kraju, gotowość jego mieszkańców oraz umiarkowanych czynników we władzach do zaakceptowania każdego nowego opresyjnego rozporządzenia, każdego nowego aktu przemocy – i to bez protestu. Miał wrażenie, jakby znajdował się w ciemnym lesie z jakiejś bajki, gdzie wszystkie reguły dobra i zła zostały odwrócone. Pisał do swego przyjaciela Ropera: „Nie potrafiłem sobie wyobrazić wybuchu wrogości wobec Żydów w sytuacji, gdy wszyscy w ten czy inny sposób cierpią z powodu załamania się koniunktury”^[750]. Trudno też było sobie wyobrażać, że terror, jakiego dopuszczono się 30 czerwca, jest współcześnie w ogóle możliwy”.

Dodd wciąż miał nadzieję, że mordy poruszą niemiecką opinię publiczną tak bardzo, iż reżim w końcu upadnie, ale dni mijały, a on nie dostrzegał żadnych oznak owego poruszenia. Nawet armia zachowywała spokój, mimo śmierci dwóch generałów. Prezydent Hindenburg przesłał Hitlerowi pochwalny telegram „Z dostarczanych mi raportów wiem, że dzięki zdecydowanym działaniom i odważnej interwencji osobistej zdołał Pan zdusić zdradę w zarodku”^[751]. Uchronił Pan naród niemiecki od poważnego niebezpieczeństwa. Z tego powodu składam Panu moje najgłębsze podziękowanie i przekazuję szczerze wyrazy uznania”. W kolejnym telegramie Hindenburg dziękował Göringowi za jego „energiczne i skuteczne rozprawienie się z winnymi zdrady stanu”^[752].

Dodd dowiedział się, że Göring osobiście rozkazał wykonać ponad 75 egzekucji. Był więc zadowolony, gdy ten – podobnie jak wcześniej Röhm – przesłał zawiadomienie, że nie będzie obecny na kolacji, którą państwo Dodd zamierzali wydać w piątkowy wieczór 6 lipca. Dodd zanotował: „To była ulga wiedzieć, że się nie pojawi. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby

przyszede^[753].

Dla Dodda, dyplomaty z przypadku, nie z urodzenia, wszystko to było absolutnie bulwersujące. Był uczonym i demokratą jeffersonińskiego typu, farmerem uwielbiającym historię i dawne Niemcy, gdzie studiował jako młody człowiek. Tymczasem teraz dochodziło w tym kraju do oficjalnych mordów na przerażającą skalę. Przyjaciele i znajomi Dodda, ludzie, którzy bywali w jego domu na herbacie czy kolacji, zostali rozstrzelani. Nic w jego przeszłości nie przygotowało go na coś takiego. Raz jeszcze ogarnęły go ogromne wątpliwości, czy jako ambasador zdolny jest cokolwiek osiągnąć. Jeśli nie, to jakim sens miało dalsze pozostawanie w Berlinie, kiedy w dodatku jego wielka miłość, książka o *Dawnym Południu*, marniała nietknięta?

Coś go opuściło, ostatni promyk nadziei. W dzienniku pod datą 8 lipca, czyli tydzień po rozpoczęciu czystki i tuż przed pierwszą rocznicą przybycia do Berlina, zanotował: „Moim zadaniem jest praca na rzecz pokoju i lepszych stosunków wzajemnych^[754]. Nie wiem, jak można z tym cokolwiek zrobić, jeśli Hitler, Göring i Goebbels stanowią siłę kierowniczą kraju. Nigdy nie słyszałem ani nie czytałem o trójce ludzi bardziej nienadających się do sprawowania władzy na najwyższym szczeblu. Czy powinienem zrezygnować?”.

Obiecał sobie, że nigdy nie będzie gościł Hitlera, Göringa i Goebbelsa ani w ambasadzie, ani u siebie w domu^[755]. Postanowił ponadto: „Nigdy więcej nie wybiorę się na przemówienie wygłaszane przez kanclerza ani nie będę dążył do rozmowy z nim, chyba że ze względów oficjalnych. Czuję zagrożenie, kiedy patrzę na tego człowieka”.

^[727] Noakes i Pridham, s. 216; zob. też nieco odmienną wersję u Wheelera-Bennetta, *Nemesis*, s. 325.

^[728] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 151.

^[729] Fromm, s. 171–172. Fromm twierdziła, że po czystce przez krótki okres miała zwyczaj nosić przy sobie rewolwer, ale potem wyrzuciła go do kanału. Dippel, s. 150.

^[730] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 157.

^[731] tamże, s. 158.

^[732] tamże, s. 157.

^[733] Cerruti, s. 157.

^[734] Wilhelm Regendanz do pani Dodd, 3 VII 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

^[735] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 163–165.

[736] tamże, s. 165.

[737] Moffat, *Dziennik*, 5 VII 1934.

[738] Moffat, *Dziennik*, 17 VII 1934.

[739] Dodd w liście do Hulla, 6 VII 1934, State/Foreign.

[740] Moffat, *Dziennik*, 7–8 VII 1934.

[741] tamże.

[742] Hull w liście do Dodda, 7 VII 1934, State/Foreign.

[743] Moffat, *Dziennik*, 7–8 VII 1934.

[744] Ang. *dud* – bubel, niewypał (przyp. tłum.).

[745] Moffat, *Dziennik*, 5 VII 1934.

[746] Moffat, *Dziennik*, 11 VII 1934.

[747] tamże.

[748] Dodd w liście do Hulla, 2 VIII 1934, tom 37, rolka nr 11, dokumentacja Hulla.

[749] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 170.

[750] tamże, naprzeciwno s. 198.

[751] tamże, s. 169.

[752] Dodd w liście do Daniela C. Ropera, 14 VIII 1934, skrzynka nr 45, dokumentacja W. E. Dodda.

[753] Wheeler-Bennett, *Nemesis*, s. 325–326.

[754] tamże, s. 326.

[755] Dodd, *Dziennik*, s. 121.

Rozdział 52

Tylko konie

Mimo wszystko, jak niemal każdy w Berlinie, Dodd chciał usłyszeć, co Hitler ma do powiedzenia w sprawie czystki. Rząd ogłosił, iż w piątek 13 lipca wieczorem Hitler wygłosi przemówienie do deputowanych Reichstagu w jego tymczasowej siedzibie znajdującej się w nieodległym budynku opery Kroll. Ambasador postanowił, że nie pójdzie tam osobiście, lecz wysłucha mowy przez radio. Odrzą napawała go myśl, że miałby siedzieć i słuchać Hitlera usprawiedliwiającego masowe mordy przy akompaniamencie setek lizusów rytmicznie wyrzucających do przodu ramiona.

W piątek po południu umówił się z François-Poncetem w parku Tiergarten, jak czynili to już wcześniej, chcąc porozmawiać bez przeszkód. Dodd zamierzał się dowiedzieć, czy François-Poncet planuje wybrać się na przemówienie, obawiał się jednak, że gdyby odwiedził ambasadę francuską osobiście, wywiadowcy Gestapo by to zauważyli i doszli do wniosku, iż stara się nakłonić ambasadorów wielkich mocarstw do bojkotu wystąpienia kanclerza, co też istotnie zamierzał uczynić. Wcześniej bowiem odwiedził sir Erica Phippsa w ambasadzie Wielkiej Brytanii i dowiedział się, że także on planuje darować sobie oglądanie Hitlera. Dwie wizyty w ważnych ambasadach w tak krótkim czasie z pewnością zwróciłyby uwagę.

Dzień był chłodny i słoneczny, dlatego park wypełniali ludzie, głównie piesi, ale także jeźdźcy poruszający się wolno przez zacienione połacie zieleni. Od czasu do czasu w powietrzu rozlegał się śmiech i szczekanie psów, papierosowy dym wolno rozpląwał się w ciszy. Dwaj ambasadorzy spacerowali godzinę.

Kiedy już mieli się rozstać, François-Poncet nagle zadeklarował: „Nie pójdę posłuchać tego przemówienia”^[756]. Po czym podzielił się z Doddem refleksją, której ten nigdy by się nie spodziewał po współczesnym dyplomacie w jednej z największych europejskich stolic. „Nie

zdziwiłbym się w ogóle, gdyby próbowano mnie zastrzelić na ulicy” – powiedział. – „Z tego powodu moja żona przebywa w Paryżu. Niemcy strasznie nas nienawidzą, a ich przywódcy są szaleni”.

O godzinie ósmej wieczorem w swojej bibliotece przy Tiergartenstrasse 27a Dodd włączył radio i słuchał, jak Hitler przemawia z mównicy Reichstagu. Na sali brakowało około tuzina deputowanych, którzy zostali zamordowani podczas czystki.

Opera znajdowała się zaledwie 20 minut spacerem przez Tiergarten od miejsca, w którym przebywał teraz Dodd. Po stronie parku, przy którym mieszkał, panowały cisza i spokój, wieczór pachniał kwiatami nocy. Nawet przez radio słyszać było, jak publiczność często wstaje i wykrzykuje *Heil*.

„Deputowani” – mówił Hitler^[757]. – „Członkowie niemieckiego Reichstagu!”

Kandlerz szczegółowo opisał tak zwany spisek zawiązany przez kapitana Röhma, który uzurpatorsko pragnął przejąć ster rządów z pomocą pewnego obcego dyplomaty – jego tożsamości mówca nie ujawnił. Mówił dalej, że decydując się na czystkę, działał jedynie w najlepiej pojętym interesie Niemiec – pragnął bowiem uratować kraj przed zamętem.

„Tylko przez brutalne i krwawe represje można było stłumić rewoltę w zarodku” – oświadczył mówca. On sam kierował atakami w Monachium, Göring natomiast, ze swoją „stalową pięścią”, czynił to samo w Berlinie. „Gdyby ktoś zapytał mnie, dlaczego nie skorzystaliśmy z normalnej drogi sądowej, odpowiedziałbym tak: w tamtej chwili byłem odpowiedzialny za cały naród niemiecki; a co za tym idzie, to ja sam przez te 24 godziny byłem Sądem Najwyższym Narodu Niemieckiego”.

Dodd usłyszał rumor, gdy publiczność zerwała się na równe nogi, wiwatując, salutując i klaszcząc.

Hitler mówił dalej: „Rozkazałem rozstrzelać winnych. Rozkazałem także wypalić do żywego mięsa każdy wrzód, który powstał wskutek zatrucia wewnętrznego i zewnętrznego. Rozkazałem, aby każdego buntownika próbującego stawiać opór podczas aresztowania rozstrzelać na miejscu. Naród musi wiedzieć, że nikt nie może bezkarnie zagrozić jego istnieniu i że ktokolwiek podniesie rękę na Państwo – zginie”. Hitler wspominał o spotkaniu Röhma i innych domniemyanych spiskowców z „obcym dyplomatą” oraz o ciągłych zapewnieniach ze strony owego dyplomaty, że spotkanie to było „całkowicie nieszkodliwe”. Była to oczywista aluzja do kolacji, która miała miejsce w maju w domu Wilhelma Regendanza i w której wziął udział François-Poncet.

„Ale” – kontynuował Hitler – „kiedy trzech ludzi zdolni do zdrady stanu organizują w Niemczech spotkanie z zagranicznym dyplomatą, spotkanie, które oni sami określają jako »robocze«, kiedy odsyłają służbę i wydają jasne polecenia, by nie informowano mnie o tym spotkaniu, ja rozkażę tych ludzi rozstrzelać, nawet gdyby jedynym tematem tego rodzaju potajemnych rozmów była pogoda, stare monety czy inne podobne sprawy”.

Hitler przyznał, że koszt czystki okazał się „bardzo wysoki”, ale natychmiast okłamał słuchaczy, stwierdzając, że liczba ofiar wyniosła 72. Nawet i tę liczbę starał się jednak jeszcze pomniejszyć,

wskazując, że dwie ofiary popełniły samobójstwo, a także – doprawdy zabawne – że w ogólnej liczbie ofiar znaleźli się też trzej SS-mani rozstrzelani za „złe traktowanie więźniów”.

Konkludował: „Jestem gotów wziąć odpowiedzialność wobec historii za owe 24 godziny, podczas których musiałem podejmować najbardziej gorzkie decyzje w całym moim życiu, kiedy to los raz jeszcze udzielił mi lekcji, aby każdą myśl poświęcać temu, co mamy najdroższego – narodowi niemieckiemu i Rzeszy Niemieckiej”.

Sala rozbrzmiewała gromkimi brawami, gromadnie odśpiewano *Pieśń Horsta Wessela*. Gdyby Dodd był obecny na sali^[758], zobaczyłby, jak dwie dziewczynki wręczają Hitlerowi bukiety kwiatów, ubrane w mundury Bund Deutscher Mädel, żeńskiej odmiany Hitlerjugend, i widziałby Göringa żwawo wstępującego na podium, aby uścisnąć Hitlerowi dłoń, a za nim tłumek oficjeli także pragnących złożyć gratulacje. Göring i Hitler stali blisko siebie, pozując gromadzie napierających fotografów. Świadkiem tej sceny był dziennikarz „Timesa” Fred Birchall: „Stali na mównicy twarzą w twarz przez prawie minutę, trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy, gdy tymczasem dookoła błyskały flesze”^[759].

Dodd wyłączył radio. Po jego stronie parku noc była chłodna i cicha. Nazajutrz, w sobotę 14 lipca, wysłał zaszyfrowany telegram do sekretarza stanu Hulla: „Nie ma nic bardziej odpychającego niż obserwować, jak kraj Goethego i Beethovena staje się w barbarzyństwo Anglii za panowania Stuartów i Francji z okresu rządów Burbonów (...)”^[760].

Przed położeniem się spać poświęcił dwie spokojne godziny pracy swojemu *Daunemu Południu*, zatracając się całkowicie w innej, bardziej rycerskiej epoce.

Putzi Hanfstaengl, uspokojony w kwestii swojego bezpieczeństwa przez ministra spraw zagranicznych Neuratha, wyruszył drogą morską do domu. Kiedy wreszcie pojawił się w gabinecie, zaskoczyły go posępne i oglupiałe miny współpracowników. Zachowywali się – zanotował – „jakby ktoś podał im dawkę chloroformu”^[761].

Przeprowadzona przez Hitlera czystka, nazwana „nocą długich noży”, z czasem miała zostać uznana za jeden z najważniejszych epizodów w procesie scalania przezeń władzy, za pierwszy akt wielkiej tragedii ustępstw. Początkowo jednakże nie wywołała reperkusji. Żaden rząd nie odwołał z Niemiec swojego ambasadora, nie wniósł protestu; mieszkańcy kraju nie odwrócili się od Hitlera z odrazą.

W sposób najbardziej satysfakcjonujący, jeśli chodzi o oficjeli amerykańskich, zareagował generał Hugh Johnson, szef Administracji Odnowy Narodowej, słynący już z wcześniejszych, mało powściągliwych wystąpień na rozmaite tematy. (Gdy w lipcu odbywał się w San Francisco strajk generalny kierowany przez dokera, który wyemigrował z Australii, Johnson wezwał do deportowania wszystkich imigrantów). „Przed kilkoma dniami w Niemczech wydarzyło się coś, co

wstrząsnęło światem”^[762] – oświadczył Johnson publicznie. „Nie wiem, jak wy oceniacie te zdarzenia, ale mnie zrobiło się niedobrze – i to nie w przenośni, ale dosłownie i nie na żarty. Myśl, że dorosłych, odpowiedzialnych ludzi można wywlec z domu, postawić pod ścianą przed plutonem egzekucyjnym i rozstrzelać, jest po prostu niewyobrażalna”.

Niemieckie MSZ złożyło protest. Sekretarz stanu Hull odpowiedział, że Johnson „przemawiał we własnym imieniu, a nie w imieniu Departamentu Stanu czy administracji”.

Ów brak reakcji był częściowo spowodowany faktem, że wiele osób w Niemczech i na całym świecie uwierzyło w zapewnienia Hitlera, że jego działania zmierzały do stłumienia nadciągającej rebelii, która skończyłaby się o wiele większym rozlewem krwi. Wkrótce jednak pojawiły się pewne dowody wskazujące, że Hitler kłamał. Dodd początkowo wierzył, że spisek rzeczywiście istniał, szybko jednak zaczął w to wątpić^[763]. Szczególnie jeden fakt w sposób oczywisty zadawał kłam oficjalnemu stanowisku władz: gdy aresztowano szefa berlińskiego SA Karla Ernsta, miał on właśnie wyruszyć statkiem w podróż poślubną, co raczej nie było typowym zachowaniem człowieka planującego na najbliższy weekend zamach stanu. Nie wiadomo, czy Hitler sam wierzył w swoje opowieści. Z pewnością Göring, Goebbels i Himmler uczynili wszystko co w ich mocy, aby w nie uwierzył. Ambasador brytyjski sir Eric Phipps zrazu przyjmował wersję oficjalną^[764], dopiero po sześciu tygodniach zdał sobie sprawę, że żadnego spisku nie było. Kiedy kilka miesięcy później spotkał się sam na sam z Hitlerem, przypomniał sobie w duchu o czystce. „Nie wpłynęła ona na jego [Hitlera] urok czy atrakcyjność”^[765] – zapisał Phipps w dzienniku. „Kiedy mówiłem, wpatrywał się we mnie głodnym wzrokiem niczym tygrys. Odniosłem silne wrażenie, że gdyby nie moja narodowość i mój status, pożarłby mnie na kolację”.

Tym samym Phipps dość trafnie opisał rzeczywisty sens czystki w SA Röhma, sens, który wciąż był niezrozumiały dla świata. Mordy miały pokazać w sposób jednoznaczny i niedający się zignorować, że dla zachowania władzy Hitler zdolny jest do wszystkiego, jednakże ludzie z zewnątrz woleli błędnie interpretować tę przemoc jako zwykłe wyrównywanie wewnętrznych porachunków – „rodzaj typowej dla gangsterów krwawej łaźni, podobnej do masakry w Dniu Świętego Walentego, dokonanej przez Alą Capone”^[766], jak ujął to historyk Ian Kershaw. „Wciąż uważali, że jeśli chodzi o dyplomację, mogą układać się z Hitlerem jak z odpowiedzialnym mężem stanu. Kolejne lata miały im przynieść gorzką nauczkę, że ów Hitler, który kierował polityką zagraniczną kraju, to ten sam człowiek, który w tak barbarzyński sposób i z taką cyniczną brutalnością 30 czerwca 1934 roku rozprawił się ze swoimi wewnętrznymi przeciwnikami”. Rudolf Diels w swoich pamiętnikach przyznał, że początkowo on także nie rozumiał istoty wydarzeń. „(...) Nie miałem pojęcia, że owe błyskawice zwiastują burzę, zalew żywiołu, który rozerwie na strzępy przegniłe ramy europejskiego układu sił i podpali cały świat – ponieważ to właśnie ostrzeżenie przed tym stanowił dzień 30

czerwca 1934 roku”[767].

Znajdująca się pod kontrolą prasa, co raczej nie dziwi, wychwalała Hitlera za zdecydowane działania i jego popularność w społeczeństwie znacząco wzrosła. Niemcy byli już tak zmęczeni natrętną obecnością Oddziałów Szturmowych w ich życiu, że czystka wydała im się darem niebios. W raporcie wywiadowczym wygnani z kraju socjaldemokraci stwierdzali[768], że wielu Niemców „wychwala Hitlera za jego bezwzględną determinację” oraz że liczni członkowie klasy robotniczej „ubóstwiają go w sposób niewolniczo bezkrytyczny”.

Dodd wciąż miał nadzieję na pojawienie się jakiegoś katalizatora, który spowoduje upadek reżimu, i uważał, że zbliżająca się śmierć Hindenburga – którego Dodd nazywał „jedyną wybitną osobistością” współczesnych Niemiec – mogłaby się takim katalizatorem okazać, ale i tym razem miał się rozczarować. W dniu 2 sierpnia, trzy tygodnie po przemówieniu Hitlera, Hindenburg zmarł w swoim majątku. Hitler działał szybko. Jeszcze tego samego dnia przejął obowiązki prezydenta, zachowując przy tym uprawnienia kanclerza i sięgając tym samym po władzę absolutną nad państwem niemieckim. Stwierdziwszy z fałszywą skromnością, że tytuł „prezydenta” może przysługiwać tylko Hindenburgowi, który był nim tak długo, Hitler ogłosił, że odtąd należy oficjalnie tytułować go „Führerem i kanclerzem Rzeszy”.

W poufnym liście do sekretarza Hulla Dodd zawarł informację, że przewiduje powstanie „jeszcze bardziej terrorystycznego reżimu niż ten, który trzeba znosić od dnia 30 czerwca”[769].

Niemcy zaakceptowali tę zmianę bez protestu, ku konsternacji Victora Klemperera, filologa żydowskiego. On również żywił nadzieję, że krwawa czystka wywoła przynajmniej reakcję armii i spowoduje usunięcie Hitlera. Nic takiego się nie stało. Teraz zaś dochodziło do nowych oburzających zmian. „Ludzie prawie nie zauważyli, że był to prawdziwy zamach stanu”[770] – zapisał w swoim dzienniku. „Wszystko odbywa się po cichu, w potoku hymnów na cześć zmarłego Hindenburga. Przysiągłbym, że całe miliony ludzi nie mają pojęcia, jak potworne rzeczy się dzieją”.

Monachijska gazeta „Münchner Neueste Nachrichten” ekscytowała się: „Dziś Hitler to całe Niemcy”[771], najwyraźniej woląc zignorować fakt, że zaledwie miesiąc wcześniej zatrudniony przez gazetę krytyk muzyczny został przez pomyłkę zastrzelony. W weekend przyszły deszcze, ulewa trwała trzy dni. Po spacyfikowaniu SA (brunatne mundury rozsądnie skrywano przez jakiś czas) i wobec ogólnonarodowej żałoby po Hindenburgu w Niemczech zapanował rzadko spotykany spokój, dzięki czemu Dodd mógł się na chwilę oddać rozmyślaniom. Jego myśli nie były wolne od ironii, ale temat był mu miły, ponieważ wciąż w głębi duszy czuł się po prostu farmerem z Wirginii.

Pod datą 5 sierpnia 1934 roku (sobota) Dodd zawarł w swoim dzienniku uwagi dotyczące pewnej cechy charakteryzującej Niemców, którą zaobserwował jeszcze podczas pobytu w Lipsku i która nie zanikała nawet pod władzą Hitlera: miłości do zwierząt, a zwłaszcza do koni i psów.

„W czasach, gdy prawie wszyscy Niemcy boją się odezwać słowem do kogokolwiek poza najbliższymi przyjaciółmi, konie i psy są tak szczęśliwe, że można odnieść wrażenie, iż chciałyby przemówić”^[772] – napisał. „Kobieta, która potrafi donieść na sąsiada i oskarżyć go o nielojalność, tym samym rujnując mu życie, a nawet narażając go na śmierć, wychodzi ze swym wielkim, łagodnie wyglądającym psem na spacer po Tiergarten. Mówi do niego i głaszcze go, siedząc na ławce, a on się do niej lasi”.

W Niemczech, zauważył Dodd, nigdy nie traktuje się psów źle, i w konsekwencji psy nie boją się ludzi, są dobrze odżywione i utrzymane. „Tylko konie sprawiają wrażenie równie szczęśliwych, nigdy zaś dzieci czy młodzież” – pisał. „Często, idąc spacerem do mojego biura, zatrzymuję się i zamieniam słowo z parą pięknych koni czekających, aż ich wóz zostanie rozładowany. Są tak czyste, grube i zadowolone, że wydaje się, iż za chwilę coś powiedzą”. Używał terminu „końskie szczęście”, zauważywszy występowanie tego zjawiska także w Norymberdze i Dreźnie. Po części zdawał sobie sprawę, że szczęście to należało zawdzięczać niemieckim przepisom prawnym zabraniającym okrucieństwa wobec zwierząt i karzącym winnych ich naruszenia więzieniem – to właśnie ten fakt uważał Dodd za pełen niezwyklej ironii. „W czasach, gdy setki ludzi zgładzono bez sądu, bez najmniejszego dowodu winy, gdy cała ludność dosłownie trzęsie się ze strachu, zwierzętom gwarantuje się prawa, o których istoty ludzkie nawet nie mogą marzyć”.

Dodał: „Można by więc właściwie życzyć sobie, aby być koniem!”.

^[756] tamże, s. 123.

^[757] tamże, s. 126.

^[758] Dodd, *Dziennik*, s. 127.

Sir Eric Phipps zanotował w swoim dzienniku: „Tak długo, jak Reichstag służy wyłącznie za wygodną platformę gloryfikowania zbrodni oraz do prowadzenia ataków na szefów obcych przedstawicielstw dyplomatycznych w Berlinie, proponuję pozostawić wakaty na stanowisku, które w normalnych okolicznościach reprezentant Króla mógłby chętnie obsadzić”. Phipps, s. 68.

^[759] Tłumaczenie przemówienia wygłoszonego przez Hitlera można znaleźć u Gallo, s. 298–307. Większość relacji jest zgodna, że Hitler wymienił 77 ofiar śmiertelnych czystki, choć przynajmniej jeden historyk (Evans, *Power*, s. 39) stwierdza, że podał liczbę 74. Zob. także Birchall, s. 209.

^[760] Birchall, s. 209.

^[761] tamże.

^[762] Dodd w telegramie do Hulla, 14 VII 1934, skrzynka nr 14, dokumentacja W. E. Dodda.

W Waszyngtonie Jay Pierrepont Moffat był już w stanie wysłuchać przemówienia Hitlera w radiu. „[Przemówienie] uderzyło mnie obfitością zawartych w nim banałów; była to zdecydowanie najsłabsza mowa, jaką [Hitler] wygłosił do tej pory” – zapisał Moffat w dzienniku pod datą 13 lipca 1934. „Transmisja była nadzwyczaj dobrej jakości. On ma ciekawy, zgrzytliwy głos, który w chwilach ekscytacji przeradza się niemal w krzyk. Nie podał żadnego dowodu na istnienie spisku, a jego uwagi dotyczące otoczenia Niemiec były stanowczo słabutkie”. Moffat, *Dziennik*, 13 VII 1934.

[763] cytat za Conradi, s. 168.

[764] cytat za listem Hulla do Roosevelta, 13 VII 1934, State/Foreign.

[765] Więcej o ewolucji sposobu myślenia Dodda zob. listy Dodda do Hulla, 2 VII 1934 i 5 VII 1934, 6 VII 1934, 7 VII 1934, wszystkie w State/Foreign.

[766] Phipps, s. 14, s. 61.

[767] tamże, s. 76.

[768] Kershaw, *Hybris*, s. 522.

[769] Diels, s. 382.

[770] Kershaw, *Myth*, s. 87.

[771] Dodd w liście do Hulla, 2 VIII 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

[772] Klemperer, *Witness*, s. 80.

Rozdział 53

Juliet nr 2

Borys miał rację. Plan podróży Marthy był przeładowany i w konsekwencji okazał się mało atrakcyjny. Wróciła stamtąd drażliwa i krytycznie usposobiona wobec Borysa i wobec Rosji, która zrobiła na niej wrażenie ponurego i utrudzonego kraju. Borys czuł się zawiedziony. „Bardzo smutno mi, gdy słyszę, że nic Ci się w Rosji nie podobało”^[773] – napisał do Marthy 11 lipca 1934 roku. „Powinnas spojrzeć na nią zupełnie innymi oczami, niż patrzysz na Amerykę. Nie powinnas oceniać na podstawie rzeczy powierzchownych (takich jak marne ubrania czy złe jedzenie). Proszę, Droga Panno, zajrzyj »do środka«, spójrz nieco bardziej w głębi”.

Najbardziej drażnił Marthę fakt – niesłusznie – że Borys nie przyłączył się do niej podczas podróży, mimo że wkrótce po jej wyjeździe on także wybrał się do Rosji, najpierw do Moskwy, a następnie do jednego z kaukaskich uzdrowisk na urlop. W liście datowanym na 5 sierpnia, pisanym z kurortu, Borys przypominał jej: „To Ty powiedziałaś, że wcale nie musimy się spotkać w Rosji”^[774]. Przyznawał jednak, iż w grę wchodziły również inne przeszkody, choć o ich charakterze pisał dość mgliście. „Nie mogłem spędzić wakacji z Tobą. Było to niemożliwe z różnych powodów. Powód najważniejszy: musiałem pozostać w Moskwie. Mój pobyt w stolicy nie był najszczęśliwszy, moja przyszłość jest nierozstrzygnięta”.

Borys stwierdzał, że jej listy go zraniły. „Nie powinnas do mnie pisać tak pełnych złości listów. Nie zasłużyłem na to. I tak byłem bardzo smutny w Moskwie po otrzymaniu kilku listów od Ciebie, ponieważ czułem, że jesteś tak daleko, że jesteś nieosiągalna. Ale po Twoim gniewnym liście czuję się więcej niż smutny. Dlaczego to zrobiłaś, Martho? Co się stało? Czy nie możesz wytrzymać beze mnie dwóch miesięcy?”

Podobnie jak niegdyś, gdy używała kochanków do zadawania ran swemu byłemu mężowi, Bassettowi, także i Borysowi dawała do zrozumienia, że jest w stanie odnowić romans z Armandem

Berardem z ambasady francuskiej. „Od razu grozisz mi Armandem?” „Nie mogę Ci nic dyktować ani Ci sugerować. Nie rób jednak żadnych głupstw. Zachowaj spokój i nie psuj wszystkich dobrych rzeczy, które razem osiągnęliśmy”.

W pewnym momencie jej podróży do Marthy zgłosili się wysłannicy sowieckiego NKWD, chcący pozyskać ją do współpracy jako źródło poufnych informacji^[775]. Wydaje się prawdopodobne, że Borysowi rozkazano trzymać się od niej z dala, żeby nie zakłócić werbunku, jakkolwiek on sam także odegrał pewną rolę w pozyskaniu Marthy, o czym świadczą archiwa wywiadu sowieckiego, odtajnione i udostępnione badaczom przez wybitnego znawcę historii KGB (i byłego agenta KGB) Aleksandra Wasiliewa. Przełożeni Borysa uważali, że nie działa on z odpowiednią energią, aby sfinalizować pozyskanie Marthy. Został przeniesiony do Moskwy, a następnie na placówkę w Bukareszcie, co przyjął z głęboką niechęcią.

Martha tymczasem wróciła do Berlina. Kochała Borysa, ale oboje żyli z dala od siebie; spotykała się z innymi mężczyznami, w tym z Armandem Berardem. Jesienią 1936 roku Borysa znów przeniesiono, tym razem do Warszawy. NKWD wyznaczyło innego agenta, niejakiego towarzysza Bucharcewa, do zajęcia się pozyskaniem Marthy jako kontaktu. W raporcie operacyjnym w archiwach NKWD czytamy: „Cała rodzina Doddów nienawidzi narodowych socjalistów^[776]. Martha ma ciekawe powiązania, z których korzysta, pozyskując informacje dla swojego ojca. Z niektórymi znajomymi romansuje”.

Mimo ciągłej separacji, emocjonalnych bojów i okresowego wykorzystywania Armanda i innych kochanków, związek Marthy z Borysem rozwijał się do tego stopnia, że 14 marca 1937 roku, podczas drugiego pobytu w Moskwie, formalnie wystąpiła do Stalina o wydanie zgody na ich ślub^[777]. Nie wiadomo, czy Stalin w ogóle widział to podanie i czy na nie odpowiedział, wiadomo natomiast, że NKWD zajmowało wobec ich romansu stanowisko ambiwalentne. Choć szefowie Borysa twierdzili, że nie mają nic przeciwko owemu małżeństwu, niekiedy mogło się wydawać, że zamierzają pozbyć się Borysa, żeby móc bardziej skoncentrować się na Marcie. W pewnym momencie polecono im rozstać się na pół roku „dla dobra sprawy”^[778].

Tak się składało, że Borys był małżeństwu bardziej niechętny, niż Martha mogłaby przypuszczać. W pełnym irytacji piśmie do przełożonych w Moskwie, datowanym na 21 marca 1937 roku, skarżył się: „Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak bardzo zależy Wam na naszym ślubie^[779]. Prosiłem, żeby wytłumaczono jej, że to jest w ogóle niemożliwe, a już na pewno nie w ciągu najbliższych kilku lat. Wasze stanowisko w tej sprawie było bardziej optymistyczne i nakazaliście mi tylko półroczną albo roczną zwłokę”. Ale co dalej? – pytał. „Sześć miesięcy szybko minie i kto wie, ona może wystawić nam rachunek, którego ani ja, ani Wy nie będziecie chcieli zapłacić. Czyż nie lepiej lekko złagodzić sens waszych obietnic, o ile rzeczywiście składaliście jej jakieś obietnice?”

W tym samym piśmie nazywa Marthę „Juliet nr 2”^[780], co zdaniem znawcy KGB Wasiliewa oraz Allena Weinsteina, autorów książki *The Haunted Wood*, może wskazywać, że w życiu Borysa była jeszcze inna kobieta – „Juliet nr 1”.

Martha i Borys zobaczyli się potajemnie w Warszawie w listopadzie 1937 roku. Po spotkaniu Borys wysłał do Moskwy raport. „Wszystko poszło dobrze”^[781] – napisał w nim. „Była w dobrym nastroju”. Nadal zamierzała wyjść za niego za mąż i, jak pisał: „czekać na spełnienie naszych obietnic, mimo ostrzeżeń ze strony jej rodziców, że nic z tego nie będzie”.

Lecz raz jeszcze Borys przejawiał zdecydowany brak zainteresowania małżeństwem z Marthą. Ostrzegał: „Sądzę, że nie wolno jej pozostawiać w nieświadomości co do rzeczywistej sytuacji, ponieważ jeśli ją oszukamy, może poczuć się rozgoryczona i stracić do nas zaufanie”.

^[773] Kershaw, *Myth*, s. 68.

^[774] Dodd, *Dziennik*, s. 140–141.

^[775] Borys w liście do Marthy, 11 VII 1934, skrzynka nr 10, dokumentacja Marthy Dodd. Zob. także list Borysa do Marthy, „z końca lipca 1934” oraz list Borysa do Marthy „z początku sierpnia 1934”, oba w skrzynce nr 10.

^[776] Borys w liście do Marthy, 5 VIII 1934, skrzynka nr 10, dokumentacja Marthy Dodd.

^[777] Weinstein i Wasiliew, s. 52.

^[778] tamże, s. 52; Wasiliew, *Notebooks*, *White Notebook* nr 2, s. 25.

^[779] Weinstein i Wasiliew, s. 55; Wasiliew, *Notebooks*, *White Notebook* nr 2, s. 37, 14 III 1937.

^[780] Weinstein i Wasiliew, s. 58. Nieco inne tłumaczenie tego tekstu znajdujemy u Wasiliewa, *Notebooks*, *White Notebook* nr 2, s. 33.

^[781] Weinstein i Wasiliew, s. 58; Wasiliew, *Notebooks*, *White Notebook* nr 2, s. 45, 21 III 1937.

Rozdział 54

Marzenia o miłości

W miesiącach, które nastąpiły po ostatecznym objęciu pełni władzy przez Hitlera, przepełniające Dodda poczucie daremności jeszcze się pogłębiło, podobnie jak towarzysząca mu stale tęsknota za farmą na łagodnych stokach Appalachów, ze wspaniałymi czerwonymi jabłkami i leniwymi krowami. Pisał: „Jest dla mnie ogromnie upokarzające wymieniać uściski dłoni ze znanymi i zaprzysięgłymi mordercami”^[782]. Należał do nielicznych osób w amerykańskich władzach, które mówiły głośno o rzeczywistych zamiarach Hitlera i niebezpieczeństwie, jakie może przynieść izolacjonistyczna postawa Ameryki. W liście z 30 sierpnia 1934 roku informował sekretarza stanu Hulla: „W Niemczech, zjednoczonych jak nigdy wcześniej w dziejach, gorączkowo zbroi się i ćwiczy 1,5 miliona mężczyzn, którym wpaja się codziennie, że mają sobie podporządkować całą kontynentalną Europę”^[783]. Dodawał: „Myszę, że musimy zrezygnować z naszego tak zwanego izolacjonizmu”. Do szefa sztabu armii Douglasa MacArthura pisał: „Wedle moich ocen władze niemieckie przygotowują się do wielkich zmagani wojennych na kontynencie”^[784]. Dowodów jest aż nadto. To tylko kwestia czasu”.

Roosevelt w znacznej mierze podzielał ten pogląd, jednak większość Amerykanów wołała – bardziej niż kiedykolwiek – trzymać się z dala od konfliktów w Europie. Dodd był tym zdumiony. Pisał do Roosevelta w kwietniu 1935 roku: „Woodrow Wilson z pewnością przewraca się teraz w grobie w katedrze”^[785]. Być może jest Pan w stanie [w tej sprawie] coś zrobić, ale z tego co wiem o stanowisku Kongresu, szanse są bardzo nikłe. Tak wielu ludzi (...) uważa całkowitą izolację za obietnicę raju”.

Dodd ograniczył się zatem do tego, co sam nazwał „delikatną działalnością polegającą na obserwowaniu i ostrożnym nicnierobieniu”^[786].

Względy moralne, odraza, kazały mu wycofać się z angażowania się w kontakty z hitlerowską Trzecią Rzeszą. Reżim zaś uznał, iż Dodd zmienił się w jego niezwykle krnąbrnego przeciwnika i starał się go trzymać z dala od bieżącej dyplomacji.

Postawa Dodda wzburzyła Phillipsa, który zapisał w swoim dzienniku: „Jakież to, u diabła, pożytek z ambasadora odmawiającego rozmów z rządem, przy którym jest akredytowany?”^[787].

Niemcy kontynuowały swój marsz ku wojnie i nasilały prześladowania Żydów, uchwalając cały zestaw przepisów prawnych, wedle których wszyscy Żydzi przestali być uznawani za obywateli, niezależnie od tego, od jak dawna ich rodziny zamieszkiwały w Niemczech albo jak dzielnie walczyli za ów kraj w wielkiej wojnie światowej. Spacerując przez Tiergarten, Dodd widział teraz pomalowane na żółto ławki, co miało oznaczać, że przeznaczone są dla Żydów. Reszta ławek, te najlepsze, zarezerwowana była dla Aryjczyków.

Dodd przyglądał się całkowicie bezradnie, jak 7 marca 1936 roku wojska niemieckie wkraczają do Nadrenii, nie napotykając żadnego oporu. Widział, jak Berlin zmienia się, przygotowując do igrzysk olimpijskich, jak naziści polerują miasto aż do połysku i usuwają antyżydowskie napisy tylko po to, by po wyjeździe tłumów gości jeszcze bardziej zwiększyć siłę prześladowań. Widział, jak pozycja Hitlera w Niemczech niebotycznie rośnie, jak staje się on bogiem. Gdy przechodził, kobiety płakały; łowcy pamiątek wykopywali ziemię z miejsc, w których stanęła jego noga. Na zjeździe partii w Norymberdze we wrześniu 1936 roku, w którym Dodd nie wziął udziału, Hitler wprowadził swoich słuchaczy niemalże w stan hysterii. „To, że mnie znaleźliście (...) pośród tak wielu milionów, to prawdziwy współczesny cud!”^[788] – wołał. – „A to, że ja znalazłem was, to wielkie szczęście dla Niemiec!”

W dniu 19 września 1936 roku, w liście oznaczonym klauzulą „Osobiste i poufne” Dodd pisał do sekretarza stanu Hulla o swojej frustracji związanej z rozwojem wydarzeń, którego nikt nie ośmiela się powstrzymać. „Armia z każdym dniem zwiększa swój stan liczebny i sprawność bojową, tysiące samolotów czekają w gotowości na jeden rozkaz, by spuścić bomby i rozpylić trujące gazy nad miastami, zbroją się jak nigdy wcześniej wszystkie inne kraje, małe i duże – doprawdy nigdzie nie można czuć się bezpiecznie”^[789] – informował. „Ileż błędów i gaf popełniono od 1917 roku, a zwłaszcza w ostatnich 12 miesiącach – kraje demokratyczne nie robią wciąż nic, nie wprowadzają żadnych restrykcji ekonomicznych czy moralnych, żeby proces ten powstrzymać!”

Myśl, by złożyć rezygnację, stawała się coraz bardziej pociągająca. Dodd pisał do Marthy: „Nie mów o tym nikomu, ale nie wiem, jak miałbym w tej atmosferze kontynuować pracę dłużej niż do wiosny”^[790]. Nie jestem już w stanie służyć krajowi, a stres związany z ciągłym nicnierobieniem jest zbyt duży”.

Tymczasem jego przeciwnicy w Departamencie Stanu rozpoczęli kampanię zmierzającą do

pozbawienia go stanowiska. Jego długoletni antagonistą Sumner Welles objął funkcję podsekretarza stanu, zastępując Williama Phillipsa, który w sierpniu 1936 roku został ambasadorem we Włoszech. Kolejny antagonistą pojawił się blisko w sensie geograficznym – był to William C. Bullitt, jeszcze jeden ze starannie wyselekcjonowanych ludzi Roosevelta (choć absolwent Yale), którego przeniesiono z placówki dyplomatycznej w Rosji na posadę ambasadora USA w Paryżu. W liście do Roosevelta z 7 grudnia 1936 roku Bullitt pisał: „Dodd posiada wiele godnych podziwu i sympatycznych cech, ale niemal całkowicie nie nadaje się do pełnienia swojego stanowiska^[791]. Zbyt mocno nienawidzi nazistów, żeby móc coś z nimi zrobić albo coś od nich uzyskać. Potrzebujemy w Berlinie kogoś, kto potrafi być dla nazistów przynajmniej uprzejmy i kto mówiłby doskonale po niemiecku”.

Dodd nieugięcie odmawiał uczestniczenia w zjazdach partii nazistowskiej, co doprowadzało jego wrogów do wściekłości. „Osobiście nie rozumiem, dlaczego on jest tak wrażliwy”^[792] – zapisał w swoim dzienniku Moffat. Czyniąc aluzję do przemówienia wygłoszonego przez Dodda w Dniu Kolumba w październiku 1933 roku, Moffat zapytywał: „Dlaczego nie może znieść pomstowania Niemców na naszą formę rządów, podczas gdy sam postanowił, wtedy w Izbie Handlowej, pomstować na autokratyczne rządy przed niemieckimi słuchaczami?”.

Wciąż dochodziło też do różnych przecieków, wskutek czego publiczna presja, by Dodd ustąpił, rosła. W grudniu 1936 roku felietonista Drew Pearson, główny obok Roberta S. Allena komentator rubryki United Features Syndicate o nazwie „Waszyngtońska Karuzela”, ostro „zaatakował mnie jako kompletną porażkę, insynuując, że prezydent jest tego samego zdania”^[793] – zapisał Dodd 13 grudnia. „To dla mnie nowość”.

Atak Pearsona głęboko zranił Dodda. Prawie cztery lata usilnie starał się wypełniać powierzone mu przez Roosevelta zadanie i stanowić ucieleśnienie amerykańskich wartości – wierzył, że spisał się dobrze, tak jak tego po nim oczekiwano, tak jak postąpiłby każdy człowiek stojący w obliczu dziwnego, irracjonalnego i brutalnego reżimu hitlerowskiego. Dodd obawiał się jednak, że jeśli zrezygnuje właśnie teraz, gdy nad jego głową gromadzą się czarne chmury, wywoła wrażenie, że został do tego zmuszony. „Moje położenie jest trudne, ale w obliczu takiej krytyki nie mogę zrezygnować, tak jak planowałem wiosną”^[794] – zanotował w dzienniku. „W tych okolicznościach porzucenie pracy tutaj ustawiłoby mnie w kraju w pozycji defensywnej i z pewnością niekorzystnej”. Zdawał sobie sprawę, że jego rezygnacja „zostałaby z miejsca uznana za przyznanie się do porażki”.

Dodd postanowił odłożyć wyjazd, choć wiedział, że nadszedł czas ustąpić. Tymczasem poprosił o zgodę na kolejny urlop w Ameryce, aby odpocząć trochę na swojej farmie i spotkać się z Rooseveltem. W dniu 24 lipca 1937 roku Dodd wraz z żoną wybrali się w długą drogę samochodem

do Hamburga, gdzie ambasador wsiadł na statek „City of Baltimore” i o godzinie 19.00 zaczął powoli zmierzać Łabą ku morzu.

Pożegnanie Dodda udającego się w morską podróż spowodowało wylew serdecznych uczuć u jego żony. Następnego dnia wieczorem, to jest w niedzielę, napisała doń list, który miał otrzymać po przybyciu na miejsce. „Myślałam o Tobie, mój kochany, całą drogę powrotną do Berlina i czułam się bardzo smutna i samotna, zwłaszcza wtedy, gdy wyjeżdżałeś w tak fatalnym nastroju”^[795].

Prosiła, by starał się odprężyć i pozbyć uporczywych „nerwobóli głowy”, które dokuczały mu przez parę ostatnich miesięcy. „Proszę, proszę, dla naszego wspólnego dobra, jeśli już nie dla Twojego, zacznij bardziej dbać o siebie i żyj w mniejszym napięciu i ekscytacji”. Gdyby mu się to udało, pisała, miałby czas zrealizować to wszystko, czego realizacji pragnął – chodziło jej zapewne o zakończenie pracy nad *Daunym Południem*.

Pani Dodd martwiła się też, że cały ten smutek i stres, owe cztery lata w Berlinie, wynikały po części z jej winy. „Być może wykazywałam nadmierne ambicje, jeśli chodzi o Twoje stanowisko, ale to wcale nie znaczy, że kocham Cię choćby odrobinę mniej” – pisała. „Nic nie poradzę na moje ambicje dotyczące Twojej pozycji. To jest wrodzone”.

Lecz wszystko to już tylko przeszłość – mówiła teraz. „Wybierz to, co dla Ciebie najlepsze i czego pragniesz najbardziej, a ja będę zadowolona”.

Jej list przybrał posępny ton. Opisała wieczór swojego powrotu do Berlina. „Czuliśmy się dobrze, mimo że mijaliśmy i wyprzedzaliśmy liczne wojskowe ciężarówki – te straszne instrumenty śmierci i zniszczenia. Wciąż czuję w całym ciele dreszcze, kiedy je widzę, kiedy widzę też inne oznaki nadciągającej katastrofy. Czy nie ma żadnej możliwości, żeby powstrzymać tych ludzi i różne kraje od wzajemnego zniszczenia się? Potworność!”

Działo się to cztery i pół roku przed przystąpieniem Ameryki do II wojny światowej.

Dodd potrzebował wytchnienia. Stan jego zdrowia naprawdę zaczynał go niepokoić. Od przyjazdu do Berlina cierpiał na dolegliwości żołądkowe i bóle głowy, które ostatnio jeszcze się nasiliły. Głowa potrafiła boleć go czasem nawet przez tydzień. Ból, pisał, „rozszerzał się na miejsca połączeń nerwów pomiędzy żołądkiem, ramionami i mózgiem, uniemożliwiając sen”^[796]. Objawy te zaostrzyły się do tego stopnia, że podczas jednego z poprzednich urlopów skonsultował się ze specjalistą, doktorem Thomasem R. Brownem, ordynatorem oddziału chorób układu pokarmowego Szpitala Johna Hopkinsa w Baltimore (który podczas sympozjum gastroenterologicznego w 1934 roku zauważył ze śmiertelną powagą, że „nie wolno zapominać, iż niezwykle ważne jest badanie stolca pod każdym kątem”). Dowiedziawszy się, że Dodd pracuje nad epickim dziełem poświęconym dziejom Południa i że jego ukończenie stanowi życiowy cel pacjenta, doktor Brown łagodnie

poradził, aby ambasador rzucił pracę w Berlinie. Powiedział Doddowi: „W wieku 65 lat trzeba dokonać bilansu i zdecydować, co jest w życiu istotne, zrobić plany ukończenia dzieła najważniejszego, o ile to możliwe”^[797].

Latem 1937 roku Dodd skarżył się już na niemal bezustanne bóle głowy oraz ataki dolegliwości ze strony układu trawiennego, które pewnego razu zmusiły go do zachowania postu od pokarmów przez 30 godzin.

U podłoża jego problemów zdrowotnych leżało zapewne coś poważniejszego niż stres związany z pracą, jakkolwiek był on czynnikiem istotnym. George Messersmith, który ostatecznie przeniósł się z Wiednia do Waszyngtonu na stanowisko zastępcy sekretarza stanu, napisał w niepublikowanych pamiętnikach, że jego zdaniem Dodd cierpiał na jakieś zaburzenia neurologiczne. Listy od ambasadora stały się chaotyczne, a pismo nieczytelne do tego stopnia, że inni pracownicy departamentu przekazywali je Messersmithowi do „odszyfrowania”. Im bardziej Dodd nie ufał swoim stenografom, tym częściej pisywał odręcznie. „Było oczywiste, że coś się z Doddem stało”^[798] – zapisał Messersmith. „Cierpiał na jakąś formę dysfunkcji umysłu”.

Jej przyczyną, uważał Messersmith, była niezdolność Dodda do przystosowania się do sposobów postępowania reżimu hitlerowskiego. Przemoc, obsesyjny marsz ku wojnie, bezwzględne traktowanie Żydów – wszystko to sprawiło, że ambasador wpadł „w straszliwe przygnębienie”, zanotował Messersmith. Dodd nie mógł pojąć, jak takie rzeczy możliwe są w Niemczech, które poznał i pokochał jeszcze jako młody student w Lipsku.

Messersmith napisał: „Sądzę, że wszystko to, co działo się w Niemczech i co zagrażało światu, oburzało go tak mocno, iż nie był już w stanie rozsądnie myśleć i oceniać”^[799].

Po tygodniu spędzonym na farmie Dodd poczuł się o wiele lepiej. Udał się do Waszyngtonu, gdzie w środę 11 sierpnia spotkał się z Rooseveltem. Podczas trwającej godzinę rozmowy prezydent powiedział, że chce, aby Dodd został w Berlinie jeszcze przez kilka miesięcy. Namawiał go do wygłoszenia jak największej ilości wykładów w Ameryce, „do mówienia prawdy, jak się sprawy mają”^[800] – życzenie to stanowiło dla Dodda potwierdzenie, że wciąż cieszy się zaufaniem Roosevelta.

Ale gdy Dodd przebywał w Ameryce, Pretty Good Club gotował dlań pewien afront. Jeden z najnowszych pracowników ambasady, Prentiss Gilbert, pełniący obowiązki ambasadora – chargé d'affaires – otrzymał od Departamentu Stanu polecenie wzięcia udziału w zbliżającym się zjeździe partii nazistowskiej w Norymberdze. Gilbert uczynił, co mu kazano. Wsiadł do specjalnego pociągu dla dyplomatów, na którego powitanie w Norymberdze siedemnaście samolotów wojskowych sformowało w locie symbol swastyki.

Dodd wyczuwał w tym rękę podsekretarza Sumnera Wellesa. „Od dawna uważałem, że Welles

był przeciwko mnie i wszystkiemu, co sugerowałem”^[801] – zapisał w dzienniku. Jeden z niezliczonych sprzymierzeńców Dodda w Departamencie Stanu, R. Walton Moore, zastępca sekretarza, podzielał niechęć do Wellesa i potwierdzał obawy Dodda: „Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Pańska opinia co do identyfikacji wpływowej osoby, która od maja w znacznej mierze określa działania departamentu, jest właściwa”^[802].

Dodd był zły. Trzymanie się z dala od partyjnych zjazdów stanowiło dlań jeden z niezliczonych sposobów zasygnalizowania prawdziwego stosunku Ameryki (i jego samego) do reżimu Hitlera. Wysłał w tej sprawie ostry i – jak sądził – poufny protest do sekretarza stanu Hulla. Ku jego wielkiej konsternacji nawet ten list przeciekł do prasy. Rankiem 4 września 1937 roku przeczytał w „New York Herald Tribune” artykuł, w którym cytowano cały akapit z tego pisma, a także jego kolejny telegram.

List Dodda rozdrażnił władze hitlerowskie. Nowy niemiecki ambasador w Ameryce Hans-Heinrich Dieckhoff powiedział sekretarzowi stanu Hullowi, że nie wnosi wprawdzie formalnej prośby o zdymisjonowanie Dodda, jednak „stawia sprawę jasno”^[803], że rząd niemiecki nie uważa, iżby [Dodd] był *persona grata*”.

Dnia 19 października 1937 roku Dodd miał z Rooseveltem drugie spotkanie, tym razem w domu prezydenta w Hyde Parku. „Wspaniałe miejsce”^[804], zapisał Dodd. Towarzyszył mu jego syn Bill. „Prezydent okazał swoje zaniepokojenie sprawami zagranicznymi” – zanotował Dodd w dzienniku. Rozmawiali o konflikcie chińsko-japońskim, będącym wówczas w apogeum, oraz o perspektywach ważnej konferencji pokojowej, jaka miała się niebawem odbyć w Brukseli, której celem było zakończenie owego konfliktu. „Jedna rzecz go martwiła” – pisał Dodd. „Czy Stany Zjednoczone, Anglia, Francja i Rosja będą faktycznie potrafiły współpracować?”

Rozmowa zesłała na Berlin. Dodd poprosił Roosevelta, aby mógł pozostać na stanowisku przynajmniej do 1 marca 1938 roku. Powiedział: „Częściowo dlatego, że nie chcę, aby niemieccy ekstremiści pomyśleli, iż ich skargi (...) odniosły jakiś skutek”. Był pod wielkim wrażeniem, gdy Roosevelt wyraził zgodę.

Dodd namawiał dalej prezydenta, aby jako jego zastępcę powołał profesora historii Jamesa T. Shotwella z Columbia University. Roosevelt sprawiał wrażenie skłonnego do rozważenia tej propozycji. Gdy konwersacja dobiegła końca, prezydent poprosił Dodda i Billa, by zostali na lunch. Przyłączyli się do nich matka Roosevelta i inni członkowie klanu Delano. Dodd opisał to jako „cudowne spotkanie”.

Gdy goście wychodzili, prezydent rzekł: „Pisz na mój osobisty adres o sprawach w Europie. Dobrze sobie radzę z odczytywaniem twojego pisma”.

W swoim dzienniku Dodd skomentował: „Obiecałem mu pisać poufne listy, ale jak mam sprawić,

by wcześniej nie czytali ich jacyś szpiedzy?”.

Dodd wypłynął statkiem do Berlina. Wpis w dzienniku pod datą 29 października, piątek, czyli w dniu przybycia, był tyleż krótki, co wymowny: „Znów w Berlinie. Co mogę zrobić?”^[805].

Nie wiedział, że w istocie Roosevelt ugiął się pod presją zarówno Departamentu Stanu, jak i niemieckiego MSZ, i wyraził zgodę na odejście Dodda ze stanowiska ambasadora w Berlinie jeszcze przed końcem roku. Dodd był zdumiony, gdy rankiem 23 listopada 1937 roku otrzymał suchy telegram od Hulla, oznaczony jako „ściśle tajne”, w którym widniało: „Prezydent wyraża żal, że jego decyzja może wiązać się dla Pana z różnymi osobistymi niedogodnościami^[806], nakłada jednak na mnie obowiązek poproszenia Pana o opuszczenie Berlina, jeśli to możliwe, do dnia 15 grudnia, a w każdym razie nie później niż tuż po Bożym Narodzeniu, ze względu na komplikacje, które są Panu wiadome i które mogą się jeszcze nasilać”.

Dodd protestował, ale Hull i Roosevelt byli nieugięci. Dodd zarezerwował dla siebie i żony bilety na statek SS „Washington”, który wypływał 29 grudnia 1937 roku.

Martha wyjechała dwa tygodnie wcześniej, lecz najpierw pożegnała się w Berlinie z Borysem. Aby się z nią spotkać, zapisała, opuścił stanowisko pracy w Warszawie bez zezwolenia. Było to romantyczne i rozdzierające serce interludium, przynajmniej dla niej. Raz jeszcze oświadczyła, że pragnie wyjść za niego za mąż.

Spotkali się wtedy po raz ostatni. Borys napisał do Marthy 29 kwietnia 1938 roku z Rosji. „Wciąż żyję wspomnieniami z naszego ostatniego spotkania w Berlinie^[807]. Jaka szkoda, że trwało tylko dwie noce. Chciałbym móc rozciągnąć ten czas do końca naszych dni. Byłaś dla mnie taka miła i dobra, kochanie. Nigdy tego nie zapomnę. (...) Jak tam podróż przez ocean? Pewnego dnia przepłyniemy przez ten ocean razem i razem będziemy wpatrywać się w wieczne fale i czuć naszą wieczną miłość. Kocham Cię. Czuję Cię i marzę o Tobie i o nas. Nie zapomnij o mnie. Twój Borys”.

Już w Ameryce, jak to było w jej naturze, Martha poznała kolejnego mężczyznę i zakochała się w nim. Alfred Stern, nowojorczyk o wrażliwości i poglądach lewicowych, był od niej o dekadę starszy, miał 178 centymetrów wzrostu, był przystojny i bogaty, gdyż otrzymał hojną rekompensatę po rozwodzie z dziedziczną fortuną imperium Sears Roebuck. Zaręczyli się i w oszałamiająco krótkim czasie pobrali 16 czerwca 1938 roku^[808]; z wycinków prasowych wynika, że jakiś czas później na farmie Round Hill w Wirginii odbyła się też druga ceremonia weselna. Martha miała na sobie czarną aksamitną suknię z czerwonymi różami. Po wielu latach napisała, że Stern był trzecią i ostatnią wielką miłością jej życia.

O swoim małżeństwie powiadomiła Borysa w liście datowanym na 9 lipca 1938 roku. „Wiesz, kochanie, że znaczyłeś dla mnie więcej niż ktokolwiek inny przez całe moje życie. Wiesz także, że

jeśli będziesz w potrzebie, przyjadę na każde Twoje wezwanie”^[809]. Dodała: „Zaglądam w przyszłość i widzę Cię znowu w Rosji”.

Gdy jej list dotarł do Rosji, Borys już nie żył, zamordowany jak niezliczeni funkcjonariusze NKWD, którzy padli ofiarą paranoi Stalina. Martha dowiedziała się po pewnym czasie, że Borysa oskarżono o kolaborowanie z nazistami. Uznała ten zarzut za „chory”. Przez wiele kolejnych lat zastanawiała się, czy jej związek z Borysem, a zwłaszcza ich ostatnie, „nielegalne” spotkanie w Berlinie, mógł przypieczętować jego los.

Miała się nigdy nie dowiedzieć, że ostatni list Borysa, w którym twierdził, że o niej marzy, był fałszywką napisaną pod dyktando NKWD na krótko przed jego egzekucją, po to, by jego śmierć nie odrzuciła jej od sympatyzowania z Sowietami^[810].

^[782] Weinstein i Wasiliew, s. 58–59; Wasiliew, Notebooks, White Notebook nr 2, s. 45, 21 III 1937.

^[783] Weinstein i Wasiliew, s. 59; Wasiliew, Notebooks, White Notebook nr 2, s. 51, 12 XI 1937. Tutaj znajduje się tłumaczenie, które rozpoczyna się w sposób następujący: „Spotkanie z »Lizą« było udane. Była w dobrym nastroju...”.

^[784] Dodd, *Dziennik*, s. 276.

^[785] Dodd w liście do Hulla, 30 VIII 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

^[786] Dodd w liście do gen. Douglasa MacArthura, 27 VII 1934, skrzynka nr 44, dokumentacja W. E. Dodda.

^[787] Dallek, s. 279.

^[788] Dodd, *Dziennik*, s. 216.

^[789] Phillips, *Dziennik*, brak daty, s. 1219.

^[790] Kershaw, *Myth*, s. 82.

^[791] Dodd w liście do Hulla, 19 IX 1936, skrzynka nr 49, dokumentacja W. E. Dodda.

^[792] Dodd w liście do Marthy, 28 X 1936, skrzynka nr 62, dokumentacja W. E. Dodda.

^[793] William C. Bullitt w liście do Roosevelta, 7 XII 1936, Bullitt, s. 194–195.

^[794] Moffat, *Dziennik*, 27 VIII 1934.

^[795] Dodd, *Dziennik*, s. 371.

^[796] tamże, s. 372.

[797] pani Dodd w liście do Dodda, 25 VII 1937, skrzynka nr 62, dokumentacja W. E. Dodda.

[798] Dodd, *Dziennik*, s. 334.

[799] dr Thomas R. Brown do Dodda, 7 III 1935, skrzynka nr 46, dokumentacja W. E. Dodda.

[800] Messersmith „Wizyty w Berlinie”, niepublikowany pamiętnik, 10, dokumentacja

Messersmitha.

[801] tamże, s. 10.

[802] Dodd, *Dziennik*, s. 426.

[803] tamże, s. 427.

[804] R. Walton Moore w liście do Dodda, 14 XII 1937, skrzynka nr 52, dokumentacja W. E.

Dodda.

[805] Dallek, s. 313.

[806] Dodd, *Dziennik*, s. 428–429.

[807] Dodd, *Dziennik*, s. 430.

[808] Hull w liście do Dodda, 23 XI 1937, skrzynka nr 51, dokumentacja W. E. Dodda.

[809] Borys w liście do Marthy, 29 IV 1938, skrzynka nr 10, dokumentacja W. E. Dodda.

[810] „Chicago Daily Tribune”, 5 IX 1938; „New York Times”, 5 IX 1938; Weinstein i Wasiliew, s. 61; Wasiliew, Notebooks, White Notebook nr 2, s. 56, 9 VII 1938.

Rozdział 55

Gdy zapada ciemność

Na tydzień przed udaniem się w drogę powrotną do domu Dodd wygłosił mowę pożegnalną podczas obiadu w Amerykańskiej Izbie Handlowej w Berlinie, w tym samym miejscu, w którym ponad cztery lata wcześniej po raz pierwszy wznicił gniew nazistów swoimi aluzjami do starożytnych dyktatur. Świat, mówił Dodd, „musi spojrzeć w oczy smutnej prawdzie, że w epoce, w której współpraca międzynarodowa powinna być pojęciem kluczowym, narody są od siebie dalej niż kiedykolwiek”^[811]. Oświadczył słuchaczom, że nie wyciągnięto wniosków z lekcji, jaką była wielka wojna. Chwalił naród niemiecki jako „zasadniczo demokratyczny i życzliwie usposobiony do innych”. I mówił: „Wątpię, by dziś jakiś ambasador w Europie odpowiednio wypełniał obowiązki lub zasłużył na swoje wynagrodzenie”.

Po przyjeździe do Ameryki uderzał już w inne tony. Trzynastego stycznia 1938 roku, podczas kolacji wydanej na jego cześć w hotelu Waldorff-Astoria w Nowym Jorku, deklarował: „Ludzkość znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, ale wydaje się, że rządy demokratyczne nie wiedzą, co czynić”^[812]. Jeśli nie zrobią nic, zachodnia cywilizacja, wolność religijna, osobista i gospodarcza będą straszliwie zagrożone”. Jego uwagi wywołały natychmiastowe protesty ze strony Niemiec, na które sekretarz stanu Hull odpowiedział, iż Dodd jest teraz zwykłym obywatelem i może mówić, co mu się podoba. Najpierw jednak odbyła się wśród oficjeli Departamentu Stanu debata, czy departament powinien jednak przeprosić, dając między wierszami do zrozumienia, że „zawsze ubolewa nad wszystkim, co może wywoływać za granicą jakieś resentymenty”. Pomysł ten odrzucono, a przeciwstawił mu się nie kto inny, jak Jay Pierrepont Moffat, który w swoim dzienniku zapisał: „Miałem osobiście silne przeświadczenie, że – choć nie lubiłem i nie pochylałem pana Dodda – nie należy za jego słowa przeproszać”^[813].

Przemówieniem tym Dodd inicjował kampanię bicia na alarm przed Hitlerem i jego planami,

a także walkę z coraz silniejszym dryfowaniem Ameryki w kierunku izolacjonizmu; w przyszłości miał zostać nazwany Kasandrą wśród dyplomatów amerykańskich. Założył Amerykańską Radę Przeciwdziałania Propagandzie Nazistowskiej, zapisał się do Amerykańskich Przyjaciół Demokracji Hiszpańskiej. Przemawiając przed członkami kongregacji żydowskiej w Rochester w stanie Nowy Jork 21 lutego 1938 roku, ostrzegał, że kiedy Hitler opanuje Austrię – co miało stać się wkrótce – Niemcy nie przestaną rozszerzać swej hegemonii na inne kraje i że zagrożone są Rumunia, Polska i Czechosłowacja. Co więcej, przewidywał, iż Hitler nie zawaha się wymóc na europejskich demokracjach urzeczywistnienia swych planów i uzyska to bez jednego wystrzału, ponieważ będą one wołały ustępstwa niż wojnę. „Wielka Brytania” – mówił^[814] – „jest straszliwie rozdrażniona, ale równie mocno pragnie pokoju”.

Rodzina rozproszyła się: Bill zajął się pracą nauczycielską, Martha wyjechała do Chicago, a następnie do Nowego Jorku. Dodd i Mattie schronili się na farmie w Round Hill w Wirginii, ale od czasu do czasu czynili wypadki do stolicy. W dniu 26 lutego 1938 roku, odprowadziwszy Dodda na dworzec kolejowy w Waszyngtonie, skąd udawał się w podróż z serią wykładów, Mattie napisała do Marthy w Chicago: „Tak bardzo bym chciała, żebyśmy wszyscy byli bliżej siebie, aby móc rozmawiać o różnych rzeczach i spędzać ze sobą trochę więcej czasu^[815]. Życie mija tak szybko. Ojciec często mówi o Tobie i Twoim mieszkaniu z nami; o tym, jaką to byłoby dla nas radością mieć Ciebie i Billa blisko. Jakże chciałabym, żeby był młodszy i miał więcej sił. Jest bardzo delikatny, a stan jego nerwów coraz gorszy”.

Bardzo martwiła się wydarzeniami w Europie. W innym liście do Marthy, pisany niedługo później, stwierdzała: „Świat jest teraz w takim zamęciu, że nie wiem, co się stanie. Szkoda, że temu maniakowi pozwala się tak długo robić, co mu się podoba, bez żadnych konsekwencji. Prędzej czy później i my będziemy musieli wziąć w tym udział, Boże broni”.

Pani Dodd nie podzielała głębokiej miłości swego męża do farmy Round Hill. Nadawała się na pobyty latem i na urlopy, ale nie jako stałe miejsce zamieszkania. Miała nadzieję, że załatwi sobie lokum w Waszyngtonie, gdzie mogłaby przebywać przez część roku, z mężem albo i bez. Tymczasem postanowiła uczynić z farmy miejsce bardziej nadające się do zamieszkiwania. Kupiła zasłony ze złocistego jedwabiu, nową lodówkę firmy General Electric i nowy piekarnik. Im bliżej wiosny, tym bardziej była niezadowolona zarówno z braku postępów w poszukiwaniach tymczasowego lokum w Waszyngtonie, jak i z remontu domu na farmie. Napisała do Marthy: „Jak dotąd nie udaje mi się doprowadzić do końca tego, co chciałabym, jeśli chodzi o dom, mimo że około 8 lub 10 ludzi zajmuje się budową kamiennego murku, upiększa jego pola, zbiera kamienie, transportuje je itd. Mam ochotę się poddać i rzucić ten cały interes w dia...”^[816].

W liście pisany do córki 23 maja 1938 roku stwierdzała: „Tak bardzo chciałabym mieć dom

w Waszyngtonie zamiast w Chicago. Byłby cudowny”^[817].

Cztery dni później pani Dodd zmarła. Rankiem 28 maja 1938 roku nie zeszła, aby zjeść z mężem śniadanie, co było ich zwyczajem. Małżonkowie mieli osobne sypialnie. Dodd poszedł sprawdzić, co się stało. „To był największy szok w moim życiu”^[818] – zapisał. Zmarła na serce, bez ostrzeżenia. „Miała zaledwie 62 lata, ja miałem 68” – napisał Dodd w dzienniku. „Leżała tam, zimna jak kamień, i nie można było nic poradzić; byłem tak zaskoczony i smutny, że nie wiedziałem, co zrobić”.

Martha śmierć matki przypisywała „napięciu i przerażeniu”^[819] lat spędzonych w Berlinie. W dniu pogrzebu przypięła do sukni matki różę, po czym takie same kwiaty wplotła w swoje włosy. Teraz, po raz drugi w życiu, Martha zobaczyła w oczach ojca łzy.

Nagle farma w Round Hill stała się nie tyle miejscem odpoczynku i uspokojenia, co melancholii. Żal i samotność odcisnęły piętno na Doddzie, już i tak kruchego zdrowia, ale nie poddawał się i wciąż prowadził wykłady w całym kraju: w Teksasie, Kansas, Wisconsin, Illinois, Marylandzie i Ohio. Nierzadko refren powtarzał, że Hitler i nazizm stanowią wielkie zagrożenie dla świata, że wojna w Europie jest nieunikniona i że gdy się zacznie, Stany Zjednoczone nie będą mogły się w nią nie angażować. Na jednym z wykładów obecnych było 7 tysięcy słuchaczy. Podczas przemówienia wygłoszonego 10 czerwca 1938 roku w Bostonie, w Harvard Club – w tym maceczniku uprzywilejowanej kasty – Dodd mówił o nienawiści Hitlera do Żydów i ostrzegał, że jego prawdziwym zamiarem jest „zabicie ich wszystkich”^[820].

Pięć miesięcy później, z 9 na 10 listopada, doszło do Kristallnacht, „nocy kryształowej” – pogromu, który wstrząsnął Niemcami i zmusił wreszcie Roosevelta do publicznego potępienia sprawców. Oświadczył on dziennikarzom, że „nie może uwierzyć, by coś takiego mogło się wydarzyć w cywilizowanym XX wieku”^[821].

Dnia 30 listopada Sigrid Schultz napisała do Dodd z Berlina. „Coś mi podpowiada, że teraz ma pan mnóstwo okazji”^[822], aby mówić albo myśleć: »A nie mówiłem?«. Nie żebym sądziła, że mieć rację stanowi jakąś wielką pociechę, zwłaszcza wtedy, gdy świat dzieli się na bezwzględnych Wandalów i ludzi przyzwoitych, którzy nie mogą sobie z nimi poradzić. Byliśmy tu świadkami niszczenia i plądrowania, a mimo to czasem się zastanawiamy, czy to, co widzieliśmy, zdarzyło się naprawdę – atmosfera panuje tu koszmarna, gorsza nawet niż podczas potworności z 30 czerwca”.

Uwagę Dodd od tych spraw odwróciło pewne zaskakujące wydarzenie. W dniu 5 grudnia 1938 roku, jadąc samochodem na odczyt do McKinney w stanie Wirginia, potrafił czteroletnią czarną dziewczynkę, Głorię Grimes. W wyniku wypadku dziecko zostało poważnie ranne, doznało też wstrząśnienia mózgu. Dodd nie zatrzymał się. „To nie była moja wina”^[823] – wyjaśniał później dziennikarzom. – „Mała wbiegła pod auto jakieś dziesięć metrów przede mną. Naciśnąłem hamulec,

skręciłem samochód i pojechałem dalej, ponieważ sądziłem, że dziecko zdołało uciec”. Jeszcze pogorszył sprawę – sprawiając wrażenie człowieka niewrażliwego – gdy w liście do matki dziewczynki dodał: „Poza tym nie chciałem, żeby gazety w całym kraju zajęły się pisaniem o wypadku. Wie Pani, jak gazety uwielbiają we wszystkim przesadzać”.

Dodda postawiono w stan oskarżenia, ale w dniu, w którym miał się rozpocząć jego proces, czyli 2 marca 1939 roku, sam przyznał się do winy. Na rozprawie obok niego siedział jego przyjaciel sędziego Moore, a także Martha. Sąd skazał go na grzywnę w wysokości 250 dolarów, ale nie na więzienie, biorąc pod uwagę słabe zdrowie oraz fakt, że obwiniony pokrył koszty leczenia dziecka w wysokości 1100 dolarów, które – jak donoszono – już niemal całkowicie doszło do siebie. Dodd stracił prawo jazdy oraz prawo do udziału w wyborach, co stanowiło szczególnie dotkliwą karę dla tak żarliwego zwolennika demokracji.

Przygnębiony wypadkiem, pozbawiony złudzeń co do efektów swojej pracy w roli ambasadora i coraz mocniej odczuwający pogorszenie się stanu zdrowia, Dodd schronił się na farmie. Był w złej formie. Zdiagnozowano u niego zespół objawów neurologicznych zwany porażeniem opuszkowym, postępujący paraliż mięśni gardła. W lipcu 1939 roku przyjęto go do szpitala Mount Sinai w Nowym Jorku, gdzie miał przejść niewielki zabieg chirurgiczny brzucha, jednak tuż przed operacją zapadł na oskrzelowe zapalenie płuc, co jest częstym powikłaniem przy porażeniu opuszkowym. Stan Dodda był bardzo poważny. Mimo że był blisko śmierci, stał się przedmiotem zdalnych ataków ze strony nazistów.

W artykule na pierwszej stronie Goebbelsowskiej gazety „Der Angriff” znalazła się informacja, że Dodd przebywa w „żydowskiej klinice”^[824]. Nagłówek głosił: „Koniec niesławnego antyniemieckiego agitatora Dodda”.

Autor wypływał z siebie infantylne złośliwości, typowe dla „Der Angriff”. „Siedemdziesięcioletni człowiek, który był jednym z najdziwniejszych dyplomatów w dziejach, wrócił teraz do tych, którym służył przez 20 lat – żydowskich aktywistów i podżegaczy wojennych”. Artykuł nazywał Dodda „małym, oschłym, nerwowym, pedantycznym człowiekiem (...), który jako dyplomata i uczestnik spotkań towarzyskich nieodmiennie kojarzył się z ziewającą nudą”.

Zauważono też prowadzoną przez Dodda kampanię ostrzegającą o zamiarach Hitlera. „Po powrocie do Stanów Zjednoczonych Dodd wyrażał się w sposób w najwyższym stopniu nieodpowiedzialny i haniebny o Rzeszy Niemieckiej, której władze przez cztery lata, z nadludzką niemal wyrozumiałością tolerowały skandale wywoływane przez niego i jego rodzinę, wszystkie *faux pas* oraz inne polityczne niedyskrecje”.

Dodd wyszedł ze szpitala i zaszył się na farmie, gdzie wciąż miał nadzieję ukończyć pozostałe tomy *Daunego Południa*. Gubernator Wirginii przywrócił Doddowi prawo głosowania, uzasadniając to tym, że podczas wypadku był on „chory i niecałkowicie odpowiadał za siebie”^[825].

We wrześniu 1939 roku wojska hitlerowskie najechały Polskę, rozpoczynając wojnę w Europie. W dniu 18 września Dodd napisał w liście do Roosevelta, że można było tego uniknąć, gdyby „demokracje europejskie” po prostu współpracowały w powstrzymaniu Hitlera, przy czym on zawsze obstawał. „Gdyby wtedy współdziałało”^[826] – pisał Dodd – „sukces byłby pewny. Teraz jest już za późno”.

Jesienią Dodd był już przykuty do łóżka i komunikował się tylko za pomocą ołówka i notatnika^[827]. Stan ten trwał przez kilka miesięcy, do początku lutego 1940 roku, kiedy to znów zapadł na zapalenie płuc. Umarł w łóżku na swojej farmie 9 lutego 1940 roku o godzinie 15.10, z Martha i Billem juniorem u boku. Dzieło jego życia – *Daune Południe* – nie zostało ukończone. Pochowano go dwa dni później na farmie, a jednym z honorowych żałobników niosących trumnę był Carl Sandburg^[828].

Pięć lat po tych wydarzeniach, podczas ostatniego szturmu na Berlin, rosyjski pocisk trafił bezpośrednio w stajnię na zachodnim krańcu Tiergarten^[829]. Na sąsiedniej ulicy Kurfürstendamm, niegdyś jednej z reprezentacyjnych arterii handlowych i rozrywkowych Berlina, rozgrywały się teraz absolutnie makabryczne sceny – konie, te najszcześniejsze stworzenia w nazistowskich Niemczech, pędziły jak oszalałe, a ich ogony i grzywy płonęły.

Opinie rodaków o Doddzie jako ambasadorze zależą w znacznej mierze od tego, po której stronie Atlantyku akurat się znajdowali.

Dla izolacjonistów był on niepotrzebnie prowokujący; dla jego oponentów w Departamencie Stanu był odludkiem, który za bardzo narzekał i nie potrafił spełnić standardów Pretty Good Club. Roosevelt natomiast w liście do Billa juniora okazał się denerwująco mało konkretny w ocenach. „Ze względu na jego oddanie prawdzie historycznej i rzadką zdolność do jasnego widzenia sensu dziejów”^[830] – pisał – „jego odejście stanowi dla kraju bolesną stratę”.

Dla tych, którzy znali Doddą w Berlinie i którzy byli bezpośrednimi świadkami ucisku i terroru w hitlerowskich Niemczech, Dodd był zawsze bohaterem. Sigrid Schultz nazwała go „najlepszym ambasadorem, jakiego mieliśmy w Niemczech”^[831] i wysoko ceniła jego determinację w głoszeniu amerykańskich ideałów, nawet wbrew własnemu rządowi. Pisała: „Waszyngton nie wspierał go tak, jak należało wspierać ambasadora na placówce w nazistowskich Niemczech, częściowo dlatego, że aż nazbyt wielu ludzi w Departamencie Stanu pasjami lubiło Niemców i ponieważ zbyt wielu wpływowych biznesmenów w naszym kraju uważało, iż »z Hitlerem można robić interesy«”. Rabin Wise zapisał w swoich wspomnieniach zatytułowanych *Challenging Years*: „Dodd o wiele lat wyprzedzał Departament Stanu w rozumieniu politycznych i moralnych implikacji hitleryzmu i zapłacił za to karę polegającą na usunięciu go ze stanowiska za to, że miał w sobie na tyle

przyzwitości i odwagi, jako jedyny wśród ambasadorów, by odmawiać uczestniczenia w corocznych nazistowskich zjazdach, na których gloryfikowano Hitlera”^[832].

Pod koniec życia nawet Messersmith uznał klarowność wizji Dodd’a. „Myślę często, że było bardzo niewielu ludzi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, co działo się w Niemczech, jaśniej niż on, i z całą pewnością było bardzo mało takich, którzy lepiej niż on rozumieli, co w związku z sytuacją w Niemczech grozi reszcie Europy, nam samym i całemu światu”^[833].

Najwyższe wyrazy uznania wyszły od Thomasa Wolfe’a, który podczas wizyty w Niemczech wiosną 1935 roku miał krótki romans z Marthą. Pisał on do swego redaktora Maxwella Perkinsa, że dzięki ambasadorowi Doddowi na nowo poczuł „dumą i wiarę w Amerykę, a także przekonanie, iż czeka nas mimo wszystko wspaniała przyszłość”^[834]. Dom Doddów przy Tiergartenstrasse 27a, pisał dalej do Perkinsa, „stanowił wolną od strachu przystań wolności dla ludzi wszelkich poglądów, gdzie ci, którzy żyli i działali pośród terroru, mogli odetchnąć atmosferą bez lęku i mówić to, co myślą. Wiem to z doświadczenia; i co więcej, suchy, normalny, swojski brak zainteresowania, z jakim ambasador podchodzi do pompatyczności, blichtru, dekoracji i stukotu maszerujących facetów sprawia, że rośnie mi serce”.

Następcą Dodd’a został Hugh Wilson, dyplomata w dawnym stylu, na który Dodd od dawna się uskarżał. Nie kto inny jak właśnie Wilson pierwszy użył określenia „pretty good club”, mając na myśli dyplomację amerykańską. Maksymą Wilsona, ukutą wcześniej przez Talleyranda, było niezbyt pobudzające: „Nade wszystko unikać nadgorliwości”^[835]. Jako ambasador Wilson starał się podkreślać pozytywne aspekty nazistowskich Niemiec i jednoosobowo prowadzić kampanię ustępstw. Obiecał nowemu ministrowi spraw zagranicznych Niemiec Joachimowi von Ribbentropowi, że w razie wybuchu wojny w Europie uczyni wszystko co w jego mocy, aby Ameryka trzymała się z dala. Wilson oskarżał prasę amerykańską o to, że jest „kontrolowana przez Żydów”^[836] oraz że intonuje „hymn nienawiści, gdy tymczasem tutaj czynione są starania, aby zbudować lepszą przyszłość”. Chwalił Hitlera jako „człowieka, który wyciągnął swój kraj z moralnej i ekonomicznej zapaści, przywracając mu poczucie dumy i zapewniając oczywisty sukces gospodarczy, jakim może się teraz cieszyć”^[837]. Szczególnie podziwiał nazistowski program o nazwie „Siła przez radość”, który oferował wszystkim niemieckim robotnikom bezpłatne urlopy i inne rozrywki. Wilson uważał go za potężny instrument oddziaływania przeciwko wpływom komunistycznym w Niemczech oraz sposób na stłumienie robotniczych żądań wzrostu płac – czyli otrzymania pieniędzy, które robotnicy i tak roztrwoniliby na „jakieś idiotyczne rzeczy”^[838]. Podejście to uważał za „korzystne dla całego świata”.

William Bullitt, w liście z Paryża datowanym na 7 grudnia 1937 roku, wychwala Roosevelta za mianowanie Wilsona ambasadorem, stwierdzając: „Naprawdę uważam, że szanse na pokój

w Europie wraz z mianowaniem Hugh w Berlinie zdecydowanie wzrosły i dziękuję Panu za to z całego serca”^[839].

Ostatecznie jednak, rzecz jasna, ani starania Dodda, ani Wilsona nie miały większego znaczenia. Gdy Hitler konsolidował w swym ręku całą władzę i coraz bardziej zastraszał społeczeństwo, jedynie skrajnie wymowny gest dezaprobaty ze strony Ameryki mógłby mieć jakikolwiek wpływ, być może powinna być to „siłowa interwencja”, którą sugerował George Messersmith we wrześniu 1933 roku. Jednakże tego rodzaju akt był politycznie nie do pomyślenia w sytuacji, gdy Ameryka coraz mocniej ulegała złudzeniu, że uda jej się uniknąć zaangażowania w europejskie swary. „Lecz historia” – napisał przyjaciel Dodda Claude Bowers^[840], ambasador w Hiszpanii, a później w Chile – „odnotuje, że w czasie, gdy tyrania mobilizowała swe siły, aby zniszczyć wolność i demokrację, gdy wskutek błędnej polityki »ustępstw« zapędzały się arsenały despotów i gdy w wielu wysokich kręgach społecznych, a także niekiedy politycznych, faszyzm był modną nowinką, demokracja zaś niemile widziana – on stał twardo przy naszym demokratycznym stylu życia, nie ustępował w walce i nie tracił wiary, a kiedy dosięgła go śmierć, jego sztandar powiewał wysoko”.

Istotnie rzecz warta jest zastanowienia: skoro Goebbelsowska gazeta „Der Angriff” atakowała powalonego chorobą Dodda, gdy ten leżał w szpitalu, to czy był on faktycznie tak nieskuteczny, jak przedstawiają go jego wrogowie? W ostatecznym rozrachunku Dodd okazał się taki, jakim pragnął go widzieć Roosevelt – samotną latarnią amerykańskiej wolności i nadziei w kraju, który ogarniała ciemność.

^[811] Weinstein i Wasiliew, s. 61; Wasiliew, Notebooks, White Notebook nr 2, s. 56, 9 VII 1938. U Weinstein i Wasiliewa w tłumaczeniu użyto słowa „honey”, u samego Wasiliewa natomiast słowa „darling” [Oba w znaczeniu „kochanie” (przyp. tłum.)].

^[812] Weinstein i Wasiliew, s. 61–62.

^[813] „New York Times”, 23 XII 1937.

^[814] „New York Times”, 14 I 1938.

^[815] Moffat, *Dziennik*, 14 I 1938.

^[816] „New York Times”, 22 II 1938.

^[817] pani Dodd w liście do Marthy, 26 II 1938, skrzynka nr 63, dokumentacja Marthy Dodd.

^[818] pani Dodd w liście do Marthy, 26 IV 1938, skrzynka nr 1, dokumentacja Marthy Dodd.

^[819] pani Dodd w liście do Marthy, 23 V 1938, skrzynka nr 1, dokumentacja Marthy Dodd.

[820] Dodd, *Dziennik*, s. 446.

[821] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 370.

[822] Bailey, s. 192, s. 194.

[823] Breitman i Kraut, s. 230.

[824] Sigrid Schultz w liście do Dodda, 30 XI 1938, skrzynka nr 56, dokumentacja W. E. Dodda.

[825] Szczegóły dotyczące wypadku zob. „New York Times”, 9 i 10 XII 1938; 3 III i 7 V 1939; Bailey, s. 195–196; Dallek, s. 332.

United Press, „Dodd jest atakowany...”, brak daty, skrzynka nr 2, dokumentacja Marthy Dodd.

[826] Bailey, s. 199.

[827] Dallek, s. 332.

[828] Bailey, s. 199–200; „New York Times”, 10 II 1940.

[829] Po latach Martha poleciła przenieść ciało Dodda na cmentarz Rock Creek w Waszyngtonie (6 XII 1946, sekcja L, działka 37, kwatery 4). Pewnego pięknego wiosennego popołudnia w towarzystwie jednej z moich córek odwiedziłem Stoneleigh Golf and Country Club, należący do osiedla składającego się z wielkich, wzniesionych w niby-kolonialnym stylu domów na przesadnie dużych działkach, o mniej więcej godzinę jazdy samochodem na zachód od Waszyngtonu. Chociaż pole golfowe (18 dołków, 72 par) jest naturalnie starannie przyszyty, udało mi się dostrzec urodę tego terenu, takim, jakim musiał go widzieć Dodd, zwłaszcza podczas pierwszej wizyty od objęcia stanowiska w Berlinie, gdy łagodne wzgórza jego farmy stanowiły dlań z pewnością widok głęboko kojący. Stara stodoła wciąż stoi jak stała, widać też kilka fragmentów starego kamiennego muru, ale obecnie – zamiast świń – w stodole chowają się stada małych wózków golfowych. Dodd nie pochwał ani gry w golf, ani samych golfistów, szczególnie wśród członków jego berlińskiego personelu, którzy nieustannie urywali się z pracy, żeby rozegrać kilka partyjek w klubie w Wannsee. Dobrze, że Martha kazała ekshumować jego zwłoki i złożyć je w innym miejscu, ponieważ jego duch z pewnością stanowiłby poważne zagrożenie, blokując uderzenia piłeczek golfowych do dołków lub miotając nimi gdzieś daleko, na okoliczne mokradła i wyboje.

[830] Ryan, s. 418.

Pod koniec wojny to, co pozostało z Tiergarten, zdewastowano jeszcze bardziej. Tym razem uczyniła to głodująca ludność miasta, która wycinała potrzaskane drzewa i pnie, by zdobyć drewno na opał; część parku przekształcono w ogródki warzywne. W 1947 roku burmistrz Berlina określił zniszczenie parku „najbardziej bolesną raną, zadaną miastu przez wojnę”. Daum i Mauch, s. 205.

[831] „New York Times”, 11 II 1940.

[832] Schultz, „Sigrid Schultz o ambasadorze Doddzie”, styczeń 1956, skrzynka nr 2, dokumentacja Schultz.

[833] Wise, *Challenging...*, s. 234.

[834] Messersmith „Pewne uwagi na temat mianowania doktora Williama Dodda na stanowisko ambasadora w Berlinie”, s. 11, niepublikowany pamiętnik, dokumentacja Messersmitha.

[835] Thomas Wolfe do Max wela E. Perkinsa, 23 V 1935, Wolfe, *Wybór listów*, s. 228.

[836] Brysac, s. 224.

[837] Stiller, s. 129; Weil, s. 60.

[838] Stiller, s. 129.

[839] Weil, s. 60–61.

Ostatecznie nawet Roosevelt zraził się do poglądów Wilsona, o czym mógł się przekonać George Messersmith podczas rozmowy z prezydentem. W owym czasie Messersmith pracował w Waszyngtonie jako zastępca sekretarza stanu. W osobistej notce, datowanej na 1 II 1938, Messersmith podsumował uwagi wygłoszone przez prezydenta. [Roosevelt] „powiedział, że jest bardzo zaskoczony słowami Wilsona, iż jego zdaniem powinniśmy przywiązywać mniejszą wagę do procedur i zasad demokratycznych”. Na co Messersmith odparł: „Są pewne kwestie dotyczące psychologii człowieka, a zwłaszcza psychologii Niemców, które s. kompletnie Wilsonowi obce”. Prezydent, zauważył Messersmith, był „nieco poruszony pomysłami Wilsona”. Messersmith, Memorandum, 1 II 1938, dokumentacja Messersmitha.

[840] William C. Bullitt w liście do Roosevelta, 7 XII 1937, Bullitt, s. 242.

EPILOG

DZIWOŁĄG NA WYGNANIU



Tiergarten po rosyjskiej ofensywie, w tle budynek Reichstagu

artha i Alfred Stern zamieszkali w apartamencie przy Central Park West w Nowym Jorku; mieli

M również posiadłość w Ridgefield, w stanie Connecticut. W roku 1939 Martha opublikowała pamiętnik zatytułowany *Through Embassy Eyes*. Niemcy natychmiast zakazali jego rozpowszechniania, co nie dziwi, jeśli przeczyta się zawarte w książce niektóre obserwacje na temat głównych postaci reżimu, na przykład: „Gdyby w nazistowskich prawach sterylizacyjnych była jakakolwiek logika bądź czynnik obiektywny, doktora Goebbelsa należałoby wysterylizować już dawno”^[841]. W roku 1941 Martha i Bill junior opublikowali dzienniki ojca. Mieli także nadzieję na książkowe wydanie zbioru listów do i od niego, zwrócili się więc do George’a Messersmitha o pozwolenie wykorzystania kilku pism, które wysłał do Doda z Wiednia. Messersmith odmówił. Gdy Martha oświadczyła, że i tak je opublikuje, Messersmith – który nigdy za nią nie przepadał – zaparł się. „Powiedziałem jej, że jeśli gdziekolwiek opublikuje moje listy, to napiszę artykuł zawierający wszystko, co wiem o niej i o niektórych epizodach w jej życiu oraz że mój artykuł będzie znacznie bardziej interesujący niż to, co znajdzie się w jej książce”^[842]. I dodał: „To załatwiło sprawę”.

Były to fascynujące lata. Wojna, którą przepowiadał Dodd, wybuchła i została wygrana. W roku 1945 Martha wreszcie osiągnęła to, o czym od tak dawna marzyła: wydała swoją powieść pod tytułem *Sowing the Wind* (Siejąc wiatr), która niewątpliwie zawierała motywy z życia jednego z dawnych kochanków autorki, Ernsta Udet’a. W książce opisała historię uwiedzenia przez nazizm, a następnie życiową klęskę, które stały się udziałem prostodusznego asa lotnictwa z I wojny światowej. W tym samym roku małżeństwo Sternów adoptowało dziecko i nadało mu imię Robert.

Marcie udało się nareszcie stworzyć swój własny, świecący sukcesy salon, w którym od czasu do czasu bywali między innymi Paul Robeson, Lillian Hellman, Margaret Bourke-White i Isamu Noguchi^[843]. Prowadzono w nim błyskotliwe i interesujące rozmowy, które przypominały Marcie uroczę popołudnia spędzone w domu jej przyjaciółki Mildred Fish Harnack – choć obecnie wspomnienie o Mildred napępiało ją ogromnym bólem. Martha otrzymała o swojej przyjaciółce wiadomości, które sprawiły, że ich ostatnie spotkanie w Berlinie stało się nagle bardzo znaczące. Pamiętała, że usiadły przy stojącym w odosobnieniu stoliku w jakiejś ustronnej restauracji. Mildred z dumą opisywała „coraz większą efektywność”^[844] utworzonej przez nią i jej męża Arvida podziemnej siatki ruchu oporu. Nie była kobietą lubiącą demonstrować swoje uczucia, ale na pożegnanie, gdy zjadły już lunch, ucałowała Marthę.

Teraz już Martha wiedziała, że kilka lat po tym spotkaniu Mildred została aresztowana przez Gestapo^[845], zatrzymano także Arvida i dziesiątki innych osób z ich organizacji. Arvida osądzono i skazano na śmierć przez powieszenie; stracono go w berlińskim więzieniu Plötzensee 22 grudnia 1942 roku. Kat użył krótkiego sznura, aby mieć pewność, że ofiara umrze powolną śmiercią przez

uduszenie. Mildred zmuszono do patrzenia. Ją samą, po procesie, skazano na sześć lat więzienia. Hitler osobiście nakazał przeprowadzenie kolejnego procesu. Tym razem wymierzono jej karę śmierci. W dniu 16 lutego 1943 roku o godzinie 18.00 została ścięta na gilotynie. Jej ostatnie słowa brzmiały: „A tak bardzo kochałam Niemcy”^[846].

Przez pewien czas po wyjeździe z Berlina Martha kontynuowała swój potajemny flirt z sowieckim wywiadem. Nosila pseudonim „Liza” – było to bardziej dramatyczne, niż wskazują zachowane raporty. Jej praca szpiegowska polegała głównie na rozmowach i rozważaniu możliwości, choć Sowietom z pewnością zależało na większych konkretach z jej strony. W tajnym telegramie wysłanym z Moskwy do Nowego Jorku w styczniu 1942 roku określano Marthę jako „utalentowaną, mądrą i wykształconą kobietę”^[847], zauważano jednak, że „jej prowadzenie się musi być cały czas pod kontrolą”. Sowiecki agent był więc dość pruderyjny i mało przekonany co do jej wartości. „Uważa się za komunistkę i twierdzi, że akceptuje program partii”^[848]. W rzeczywistości »Liza« to typowa przedstawicielka amerykańskiej bohemy, seksualnie wyzwolona kobieta, gotowa pójść do łóżka z każdym przystojnym mężczyzną”.

Dzięki staraniom Marthy agentem KGB został też jej mąż – jego pseudonim brzmiał „Louis”^[849]. Martha i Stern byli bardzo aktywni na niwie publicznej, deklarując swoje zainteresowanie komunizmem i lewicowe spojrzenie na świat; w 1953 roku zwrócili na siebie uwagę Komisji Izby Reprezentantów do badania Działalności Nieamerykańskiej, z przewodniczącym kongresmanem Martinem Diesem, który wezwał oboje do złożenia przed komisją zeznań. Uciekli do Meksyku, ale gdy presja ze strony władz federalnych jeszcze się wzmożła, ruszyli dalej i ostatecznie osiedlili się w Pradze, gdzie wiodli bardzo niekomunistyczne życie w trzypiętrowej dwunastopokojowej willi ze służbą. Kupili sobie nowego czarnego mercedesa^[850].

Początkowo wydawało się, że życie na uchodźstwie odpowiada wyobrażeniom Marthy o sobie jako kobiecie lubiącej niebezpieczeństwa, ale gdy mijały kolejne lata, górę zaczynało brać w niej znużenie. Już w pierwszym okresie na emigracji ich syn zaczął wykazywać oznaki poważnych zaburzeń psychicznych – zdiagnozowano u niego schizofrenię. Marthę „obsesyjnie”^[851] – termin użyty przez jej męża – nurtowała myśl, że choroba Roberta została wywołana przez turbulencje podczas ich lotu i wszystkie kolejne podróże.

Praga była dla Marthy i Sterna obcym miejscem, a język jej mieszkańców absolutnie niezgłębiony. „Szczepnie mówiąc, nie możemy powiedzieć, żeby nam się tu podobało”^[852] – napisała do przyjaciółki. „Naturalnie wolelibyśmy wrócić do domu, ale dom nas jeszcze nie chce (...). Prowadzimy poważnie ograniczone, w sensie intelektualnym i twórczym, życie (nie znamy języka, a to wielka przeszkoda), czujemy się izolowani i często bardzo samotni”. Martha oddawała się

prowadzeniu domu i pracy w ogrodzie: „drzewka owocowe, bzy, warzywa, kwiaty, ptaki, owady (...) i tylko jeden wąż przez cztery lata!”

W owym czasie dowiedziała się, że jeden z jej byłych kochanków, Rudolf Diels, zmarł, i to w sposób całkiem nieoczekiwany jak na mężczyznę tak biegłego w sztuce przetrwania. Po dwóch latach spędzonych w Kolonii został prezydentem rejencji w Hanowerze, z którego to stanowiska niemal natychmiast go usunięto za okazywanie nadmiernych skrupułów^[853]. Diels znalazł więc sobie pracę dyrektora cywilnej firmy zajmującej się transportem krajowym, ale został wkrótce aresztowany w ramach większej operacji, którą przeprowadzono po próbie zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku. Przeżył wojnę, a podczas procesów norymberskich zeznał jako świadek oskarżenia. Po jakimś czasie został jednym z wyższych urzędników w rządzie zachodnioniemieckim. Szczęście opuściło go 18 listopada 1957 roku, podczas polowania. Gdy wyciągał strzelbę z samochodu, postrzelił się i zginął na miejscu.

Martha traciła złudzenia co do komunizmu takiego, jakim знаła go z codziennego życia. Jej rozczarowanie zmieniło się w jawną odrazę podczas „praskiej wiosny” w 1968 roku, kiedy to pewnego dnia obudził ją łomot przejeżdżających ulicą przed jej domem czołgów – trwała sowiecka inwazja na Czechosłowację. „Był to” – zapisała – „jeden z najbrzydszych i najbardziej odpychających widoków w moim życiu”^[854].

Poprzez wymianę listów mogła odnowić dawne przyjaźnie. Z Maksem Delbrückiem prowadziła ożywioną korespondencję. Zwracała się doń „Max, moje kochanie”^[855], on zaś do niej per „moja najdroższa ukochana Martho”. Przekomarzali się na temat swoich słabnących sił fizycznych. „Czuję się świetnie, świetnie, po prostu świetnie” – pisał on – „tyle że mam pewne niewielkie dolegliwości sercowe i malarńkiego szpiczaka mnogiego”. Przysięgał, że dzięki chemioterapii odrastają mu włosy.

Dla innych mężczyzn Martha w retrospektywnych ocenach nie była już tak łaskawa. Księżę Ludwik Ferdynand stał się „dupkiem”^[856], a Putzi Hanfstaengl „prawdziwym bufonem”^[857].

Ale oto nagle w jej życiu znów jasnym blaskiem rozbyły się dawna miłość. Martha zaczęła pisywać z Bassettem, swoim byłym mężem – pierwszą z jej trzech wielkich miłości. Niebawem korespondowali ze sobą w taki sposób, jakby wciąż mieli po dwadzieścia kilka lat, i analizowali swój miniony związek w poszukiwaniu przyczyn jego niepowodzenia. Bassett przyznał się, że zniszczył wszystkie jej listy miłosne^[858]. „Nawet z upływem czasu nie będę nigdy w stanie ich czytać, a tym bardziej nie chciałbym, aby ktokolwiek inny miał do nich dostęp po mojej śmierci”.

Martha jednakże zachowała listy od niego. „Takie kochane listy!”^[859] – napisała.

„Jedno jest pewne”^[860] – oświadczyła mu w liście z listopada 1971 roku, który pisała, mając 63 lata – „gdybyśmy byli ze sobą, prowadzilibyśmy razem życie aktywne, zróżnicowane i pełne

namiętności (...). Zastanawiam się, czy byłbyś szczęśliwy z kobietą tak niekonwencjonalną, jaką jestem i byłam, nawet gdybyśmy nie przeżyli tych komplikacji, które pojawiły się u mnie później. Wciąż przeżywam radość pomieszaną ze smutkiem, wspominam poczucie bycia produktywną i piękną, a jednocześnie wszystkie wstrząsy! Kochałam Ciebie, Alfreda i jeszcze jednego – i wciąż kocham. Oto więc Twój dziwoląg, nadal pełen życia, którego kiedyś kochałeś i którego poślubiłeś!”

W roku 1979 sąd federalny oczyścił małżeństwo Sternów ze wszystkich zarzutów, aczkolwiek dość niechętnie, powołując się na brak dowodów i śmierć świadków^[861]. Oboje tęsknili za powrotem do Ameryki i zastanawiali się nad tym, zdawali sobie jednak sprawę, że na ich drodze wciąż tkwi jeszcze jedna przeszkoda. Otóż przez wszystkie te lata życia na emigracji nie płacili podatków. Wysokość nagromadzonej kwoty przekraczała ich możliwości spłaty.

Rozważali zatem przeprowadzkę w inne miejsce – na przykład do Anglii bądź Szwajcarii – ale przeszkodził im w tym kolejny czynnik, najbardziej nieustępliwý ze wszystkich: podeszły wiek.

Minione lata i choroby odisnęły piętno na wspomnieniach Marthy. W październiku 1952 roku zmarł na raka Bill junior, pozostawiając żonę i dwóch synów^[862]. Po wyjeździe z Berlina zmieniał pracę jedną po drugiej, aby zakończyć karierę jako urzędnik w dziale księgarskim firmy Macy’s w San Francisco. Jego lewicowe sympatie zwróciły nań uwagę komisji Diesa, która uznała go za „nieodpowiedniego” do zatrudnienia przez żadną agendę federalną – wtedy akurat Bill junior pracował w Federalnej Komisji do spraw Komunikacji. Śmierć brata sprawiła, że Martha została jedynym żyjącym członkiem rodziny. „Bill był kapitalnym facetem^[863], ciepłym i miłym, który także cierpiał i przeżywał na tym świecie frustracje – może bardziej niż inni” – napisała w liście do pierwszej żony Billa, Audrey. „Tak strasznie mi go brak, bez niego odczuwam pustkę i samotność”.

Quentin Reynolds zmarł 17 marca 1965 roku, w niezbyt jeszcze zaawansowanym wieku 62 lat. Putzi Hanfstaengl, którego postura wydawała się tak potężna, że nieśmiertelna, pożegnał się z życiem 6 listopada 1975 roku w Monachium. Miał 88 lat. Sigrid Schultz, smoczyca z Chicago, zmarła 14 maja 1980 roku, w wieku lat 87. A Max Delbrück, zapewne z gęstą czupryną na głowie, odszedł w marcu 1981 roku – śmierć zgasiła jego niezmierną energię. Miał 74 lata.

To ogólne gaśnięcie było bardzo smutne i prowokowało niezwykle istotne pytania. W marcu 1984 roku, gdy Martha liczyła sobie 75 lat, Stern zaś 86, Martha spytała jednego z przyjaciół: „Jak sądzisz, gdzie powinniśmy umierać, gdybyśmy mogli wybrać?”^[864] Tutaj czy za granicą? Czy temu drugiemu byłoby łatwiej w razie śmierci jednego z nas, gdyby pozostało tutaj ze swoimi bolesnymi wspomnieniami? Albo może należy uciekać stąd w diabły i zamieszkać samotnie w jakimś nowym miejscu? A może najlepiej byłoby wyjechać stąd razem, a potem – gdy zostanie się samym, z niespełnionymi marzeniami, bez przyjaciół albo z ich małą garstką w jakimś nowym środowisku – wciąż jeszcze mieć przed sobą kilka lat, aby stworzyć za granicą nowy dom?”

To Martha była tą, która została. Stern zmarł w 1986 roku. Martha nadal mieszkała w Pradze, mimo że – jak pisała do przyjaciół – „nigdzie nie mogłabym czuć się bardziej samotna niż tutaj”^[865].

Zmarła w roku 1990, mając 82 lata. Nie była bohaterką, lecz na pewno kobietą z zasadami, która nigdy nie wątpiła, iż postąpiła słusznie, pomagając Sowiетom w walce z nazizmem w czasach, gdy świat wołał nie robić nic. Umarła, tańcząc i spoglądając niebezpieczeństwem w oczy – dziwoląg na wygnaniu, obiecujący, flirtujący, pełen wspomnień – po życiu w Berlinie niezdolna do przyjęcia roli gospodyni domowej, odczuwająca nieustanną potrzebę, aby być kimś ważnym.

Bassett, stary wierny Bassett, przeżył ją o sześć lat. Wyniosłe buki z Larchmont porzucił na rzecz mieszkania w Upper East Side na Manhattanie, gdzie zmarł w spokoju, mając 102 lata^[866].

^[841] „New York Times”, 2 III 1941.

^[842] Dodd, *Embassy Eyes*, s. 228.

^[843] Messersmith „Goering”, niepublikowany pamiętnik, s. 7–8, dokumentacja Messersmitha.

^[844] Vanden Heuvel, s. 248.

^[845] Martha Dodd, niepublikowany pamiętnik, 4, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

W szczytowym momencie do siatki należeli jeden z telegrafistów Hitlera oraz wyższy oficer Luftwaffe; Arvid Harnack został doradcą hitlerowskiego ministra gospodarki.

^[846] Falk Harnack, „Notes on the Execution of Dr. Arvid Harnack”, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd; Axel von Harnack, „Arvid and Mildred Harnack”, tłumaczenie artykułu w *Die Gegenwart*, styczeń 1947, s. 15–18, w skrzynce nr 13, dokumentacja Marthy Dodd; Falk Harnack „2nd visit to the *Reichssicherheitshauptamt*”, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd, zob. także Rürup, s. 163.

Grupa dowiedziała się jakoś o planowanej inwazji niemieckiej na Związek Sowiecki i próbowała poinformować o tym Stalina. Otrzymałszy wiadomość, Stalin zwrócił się do posłańca: „Możesz swojemu »źródłu« w niemieckim lotnictwie powiedzieć, żeby poszło się pieprzyć ze swoją pieprzoną matką! To nie jest żadne »źródło«, tylko dezinformacja”. Brysac, s. 277.

^[847] Falk Harnack do Marthy Dodd, 29 XII 1947, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd. Arvid w swoim ostatnim liście do „ukochanych” pisał: „Tak bardzo chciałbym móc ujrzeć Was wszystkich, ale jest to niestety niemożliwe”, brak daty, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

^[848] Weinstein i Wasiliew, s. 51, s. 62. 455. „Uważa się za komunistkę...”: tamże, s. 62;

Wasiliew, Notebooks, White Notebook nr 2, s. 61.

[849] Haynes i inni, s. 440; Weinstein i Wasiliew, s. 70–71; Alfred Stern w liście do Maksa Delbrücka, 23 XI 1970, skrzynka nr 4, dokumentacja Marthy Dodd; Vanden Heuvel, s. 223, s. 252.

Kiedy na przykład zepsuła się toaleta, Sternowie wymogli na czeskim ministrze spraw zagranicznych jej naprawienie; w ich posiadaniu znajdowały się dzieła Cézanne’a, Moneta i Renoira. Vanden Heuvel, s. 252.

[850] Martha w liście do „Davida”, 28 II 1958, skrzynka nr 1, dokumentacja Marthy Dodd.

[851] Alfred Stern w liście do Maksa Delbrücka, 23 XI 1970, skrzynka nr 4, dokumentacja Marthy Dodd.

[852] Martha w liście do Audrey Fuss, 25 VII 1975, skrzynka nr 5, dokumentacja Marthy Dodd.

[853] Metcalf, s. 288.

[854] Martha Dodd, „Rozdział 30, Sierpień 1968”, niepublikowany pamiętnik, 5, skrzynka nr 12, dokumentacja Marthy Dodd.

[855] Martha w liście do Delbrücka, 27 IV 1979, skrzynka nr 4, dokumentacja Marthy Dodd; Delbrück w liście do Marthy, 15 XI 1978, skrzynka nr 4, dokumentacja Marthy Dodd.

[856] Martha w liście do Sigrid Schultz, 25 IV 1970, skrzynka nr 13, dokumentacja Marthy Dodd.

[857] Martha w liście do Philipa Metcalfa, 16 IV 1982, skrzynka nr 7, dokumentacja Marthy Dodd.

[858] George Bassett Roberts w liście do Marthy, 23 XI 1971, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[859] Martha w liście do George’a Bassetta Roberta, 19 II 1976, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[860] Martha w liście do George’a Bassetta Roberta, 1 XI „mniej więcej” 1971, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[861] „New York Times”, 23 III i 26 III 1979.

[862] „New York Times”, 19 X 1952 i 22 IV 1953.

[863] Martha w liście do Audrey Fuss, 31 X 1952, skrzynka nr 1, dokumentacja Marthy Dodd.

[864] Martha w liście do Letitii Ratner, 9 III 1984, skrzynka nr 8, dokumentacja Marthy Dodd.

[865] Martha w liście do Van i Jennie Kaufman, 6 III 1989, dokumentacja Marthy Dodd.

[866] „New York Times”, 4 IX 1996.

KODA

„Rozmowy przy stole”

Wiele lat po wojnie światło dzienne ujrzał zbiór tajnych dokumentów, które okazały się zapisem rozmów Hitlera i jego ludzi sporządzonym przez Martina Bormanna^[867]. Jedna z notatek dotyczyła konwersacji prowadzonej przy kolacji w październiku 1941 roku w Wolfsschanze, czyli Wilczym Szańcu, reducie Hitlera w Prusach Wschodnich. Przedmiotem rozmowy była Martha Dodd.

Hitler, który kiedyś raz tylko ucałował jej dłoń, powiedział: „I pomyśleć, że w całym tym ministerstwie nie było nikogo, kto wzięłby w jarzmo córkę poprzedniego ambasadora, Dodda – a przecież nie była trudna. To była ich robota, którą należało wykonać. Krótko mówiąc – trzeba było podporządkować sobie dziewczynę (...). W dawnych czasach, kiedy chcieliśmy mieć haka na jakiegoś przemysłowca, dobieraliśmy się do jego dzieci. Starego Dodda, tego imbecyla, też dopadlibyśmy przez jego córkę”.

Jeden z uczestników kolacji odezwał się: „Była przynajmniej ładna?”.

Ktoś parsknął: „Paskudna”.

„Trzeba się jednak wnieść ponad to, moi drodzy” – rzekł Hitler. – „To kwestia kwalifikacji. W przeciwnym razie, pytam, po co płacić naszym dyplomatom? Dyplomacja nie byłaby już dłużej służbą, lecz stałaby się przyjemnością. I mogłaby się skończyć małżeństwem!”

^[867] Hitler, s. 102. Spontaniznie wygłaszane przez Hitlera uwagi, choć zostały przecież w sposób nieunikniony zmodyfikowane w licznych powtórzeniach, pozwalają zajrzeć do jego umysłu – fascynujące i groźne doznanie.

Materiały źródłowe i podziękowania



Country Club znajdujący się w miejscu, gdzie kiedyś była farma Dodda

apuszczając się w mroczną epokę rządów Hitlera, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo owa

Zciemność może przeniknąć do mojej duszy. Szczycę się umiejętnością spoglądania na rzeczy z dziennikarskim dystansem, zdolnością przeżywania tragedii, a jednocześnie odczuwania i doceniania jej walorów literackich. Jednak przebywanie w świecie nazistów w świątek – piątek okazało się dla mnie wyjątkowo wymagającym doświadczeniem. Przez jakiś czas trzymałem na biurku egzemplarz książki Iana Kershawa *Hitler 1889–1936: Hybris*, dzieło o szerokiej tematyce, które służyło mi za podręcznik wprowadzający w życie polityczne epoki. Na okładce znajdowała się fotografia Hitlera, która zaczęła budzić we mnie taką odrzę – niech sir Ian zechce mi wybaczyć – że musiałem książkę trzymać zdjęciem w dół, aby nie rozpoczynać każdego dnia od widoku pełnych nienawiści oczu, zwiotczonych policzków oraz fragmentu drucianego zmywaka do naczyń uchodzącego za wąsy; byłoby to zanedo przygnębiające.

Literatura historyczna dotycząca Hitlera i II wojny światowej, z którą obowiązkowo należy się zapoznać, jest niezwykle bogata. Trzeba ją znać niezależnie od tego, jak niewielki tylko skrawek dziejów pragnie się zbadać. Lektura ta pogłębiła mój duchowy dyskomfort, nie ze względu na swą objętość, lecz z powodu okropności, jakie ujawnia. Bardzo trudno jest ogarnąć wszystkie wymiary świata wojny wykreowanego przez Hitlera – deportację Żydów do obozów śmierci nawet wtedy, gdy klęska Niemiec była już nieunikniona i oczywista dla każdego; bitwy pancerne z wojskami rosyjskimi, w których dziesiątki tysięcy ginęły w ciągu paru dni; mordy odwetowe, z których zasłynęli naziści, na przykład takie jak ten w pewne słoneczne popołudnie w jakiejś francuskiej wsi, kiedy kilkunastu mężczyzn i kilkanaście kobiet wyrzucono z domów i sklepów, ustawiono pod ścianą i rozstrzelano. Bez żadnych wstępów, bez pożegnań, tylko śpiew ptaków i krew.

Niektóre książki, a szczególnie *Hybris* Kershawa, okazały się niezwykle pomocne w kreśleniu szczegółów na temat tej gry sił i ludzi w latach poprzedzających II wojnę światową. Wspomnę tu o kilku starych, lecz wciąż wartościowych klasycznych pracach, takich jak *Hitler: Studium tyranii* Alana Bullocka oraz *Pouстанie i upadek Trzeciej Rzeszy* Williama Shirera, a także nowsze prace Richarda J. Evansa, którego książki *The Third Reich in Power: 1933–1939* oraz *The Third Reich at War: 1939–1945* to wielkie tomiska obfitujące w fascynujące, choć przykre szczegóły.

Pomocnych w mojej pracy było też wiele książek koncentrujących się właśnie na dziedzinie mojego zainteresowania, wśród nich *Resisting Hitler: Mildred Harnack and the Red Orchestra* Shareen Blair Brysac, *The Haunted Wood* autorstwa znawców dziejów KGB Allena Weinsteina i Aleksandra Wasiliewa oraz *Spies: The Rise and Fall of the KGB in America* Wasiliewa, Johna Earla Haynesa i Harveya Klehra.

Szczególłą wartość – rzecz jasna – miały dla mnie *Dziennik ambasadora Dodda*, pod redakcją Marthy i Billa juniora, a także pamiętniki Marthy zatytułowane *Through Embassy Eyes*. Żadnej z tych książek nie można było całkowicie zaufać; obie należało traktować poważnie, ale korzystac

z informacji w nich zawartych tylko po porównaniu ich z innymi, potwierdzającymi je źródłami. Pamiętnik Marthy zawiera oczywiście jej własną, swobodną interpretację wydarzeń i ocenę ludzi, których spotkała na swej drodze, i jako taki ma nieocenioną wartość, stanowi niejako okno, przez które można zajrzeć do myśli i uczuć autorki. Uwagę zwracają też interesujące przeoczenia. Nigdzie na przykład Martha nie wymienia z nazwiska Mildred Fish Harnack ani Borysa Winogradowa, prawdopodobnie dlatego, że oboje naraziłoby to na śmiertelne niebezpieczeństwo, zwłaszcza po pierwszym wydaniu książki w 1939 roku. Jednakowoż dokumenty znajdujące się wśród schedy pisarskiej po Marcie w Bibliotece Kongresu wskazują, po uważnym zbadaniu różnych punktów zbieżnych, że w jej pamiętniku wspomina się właśnie o osobach Harnack i Winogradowa. Znajdujemy tam szczegółowe i nigdy nieopublikowane opisy relacji łączących Marthę z Borysem i z Mildred oraz korespondencję od obojga. Borys pisał listy po niemiecku, okraszając je angielskimi zwrotami i słówkiem „Darling!”. Z prośbą o ich przetłumaczenie zwróciłem się do zamieszkałej w Seattle, podobnie jak ja, Britty Hirsch, która równie ochoczo przełożyła dłuższe fragmenty znacznie nudniejszych dokumentów; znajdowały się wśród nich na przykład stary akt kupna-sprzedaży domu przy Tiergartenstrasse i fragmenty pamiętnika Rudolfa Dielsa *Lucifer Ante Portas*.

Jeśli chodzi o dziennik ambasadora Dodda, pozostaje pytanie, czy faktycznie jest to dziennik w potocznym rozumieniu tego terminu, czy też raczej kompendium jego pism zebranych w formie dziennika przez Marthę i Billa. Martha zawsze twierdziła z uporem, że dziennik jest autentyczny. Robert Dallek, biograf prezydentów, zmagał się z tą kwestią w swojej napisanej w 1968 roku biografii Dodda, zatytułowanej *Democrat and Diplomat*, dzięki czemu otrzymał list od samej Marthy, w którym opisuje ona genezę dziennika. „Jest absolutnie autentyczny” – informowała Dalleka. „Dodd miał kilkadziesiąt czarnych, błyszczących, średniej wielkości notatników, w których robił zapiski każdego wieczoru, o ile było to tylko możliwe, siedząc w swym berlińskim gabinecie, nim udał się na spoczynek, a także o innych porach dnia”. Było to, jak wyjaśniała Martha, jądro jego dziennika, do którego ona i jej brat dodali pewne fragmenty przemówień, listy i raporty, które znaleźli przytwierdzone do stronic notatników. Wersja wstępna, informowała Martha, liczyła 1200 stron, ale została skrócona przez redaktora pracującego w wydawnictwie. Dallek wierzył, że dziennik był „zasadniczo dokładny”.

Do tej dyskusji mogę wnieść jedynie pewne małe odkrycia, których sam dokonałem. Podczas kwerendy w Bibliotece Kongresu znalazłem oprawny w skórę pamiętnik z zapiskami z roku 1932. Fakt ten świadczy co najmniej o skłonności Dodda do prowadzenia dziennika. Przedmiot ten znajduje się w skrzynce numer 58. Wśród pozostałych dokumentów po Doddzie natrafiłem na wzmianki nie wprost o innym, bardziej szczegółowym i poufnym dzienniku. Najbardziej wymowna z owych wzmianek znajdowała się w liście datowanym na 10 marca 1938 roku, napisanym przez

panią Dodd do Marthy na krótko przed wyruszeniem świeżo zdymisjonowanego ambasadora do Nowego Jorku. Pani Dodd informowała Marthę: „Zabiera ze sobą niektóre dzienniki, żebyś mogła je przejrzeć. Odeślij mu je, gdyż będą mu potrzebne. Uważaj na to, co będziesz cytować”.

I wreszcie, po przeczytaniu pamiętnika Marthy, jej powieści o Udecie, a także jej dokumentów oraz zapoznaniu się z tysiącami stron korespondencji prowadzonej przez ambasadora Dodd, telegramami i raportami, mogę pozwolić sobie na jedną z tych nieprecyzyjnych obserwacji, jakich się dokonuje po długim obcowaniu z danym materiałem źródłowym, a mianowicie, iż opublikowany dziennik Dodd brzmi tak, jakby pisał go Dodd, wydaje się autentyczny i zawiera poglądy, które doskonale korelują z tymi zawartymi w jego listach do Roosevelta, Hulla i innych.

Oddział Archiwum Narodowego w College Park w stanie Maryland – znany jako Archiwum Narodowe II – ma w posiadaniu niesamowite zbiory materiałów o objętości 27 pudeł, dotyczących ambasady i konsulatu w Berlinie, w tym spis ilościowy całej zastawy stołowej używanej przez obie agendy, aż po liczbę salatek do mycia rąk. Biblioteka Kongresu, gdzie przechowuje się pisma Williama i Marthy Doddów, Cordella Hulla oraz Wilbura J. Carra, jak zawsze okazała się dla badacza darem niebios. Na Uniwersytecie Delaware w Newark badałem materiały pisane autorstwa George’a Messersmitha, jeden z najwspanialej zarchiwizowanych zbiorów, z jakimi kiedykolwiek się zetknąłem; miałem też przyjemność przebywać w domu moich wspaniałych przyjaciół Karen Kral i Johna Hermana, gdzie wypilem o wiele za dużo. Na Harvardzie – który wiele lat temu odrzucił moje podanie na studia licencjackie, z pewnością przez przeoczenie, i któremu już wybaczyłem... prawie – spędziłem kilka cudownych dni, buszując w dokumentach po Williamie Phillipsie i Jayu Pierreponcie Moffacie, absolwentach tej uczelni. Ludzie z Biblioteki Rzadkich Książek i Rękopisów przy Uniwersytecie Yale byli na tyle mili, że przeszukali sami zbiór pism Thorntona Wildera i dostarczyli mi kopie listów, które otrzymał od Marthy Dodd. Użyteczności swej dowiodły także inne archiwa, zwłaszcza zbiory „historii mówionej” na Uniwersytecie Columbia oraz w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej.

Na ogół nie ufam źródłom internetowym, znalazłem tam jednak kilka informacji, które okazały się nadszwyczak użyteczne, na przykład korespondencję między Rooseveltem a Doddem w formie cyfrowej (dziękuję Bibliotece Prezydenckiej Franklina Delano Roosevelta w Hyde Parku w stanie Nowy Jork) oraz notatniki Aleksandra Wasiliewa, byłego agenta KGB, który został uczonym. Był on łaskaw udostępnić je wszystkie na stronie internetowej biuletynu „Cold War International History Project” Ośrodka dla Badaczy im. Woodrowa Wilsona w Waszyngtonie. Każdy zainteresowany może także przejrzeć cyfrowo zapisane materiały z tak zwanego Projektu Venona, czyli komunikaty między centralą w Moskwie a agentami KGB w Stanach Zjednoczonych, przejęte i rozszyfrowane przez kontrwywiad amerykański, w tym także te dotyczące Marthy Dodd i Alfreda Sterna. Była to niegdyś jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic Ameryki, dziś zaś jest łatwo

dostępna na stronie internetowej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa i świadczy nie tylko o tym, że Ameryka obfitowała w szpiegów, lecz że szpiegostwo stanowiło wówczas przerażająco prozaiczne zajęcie.

Jednym z wyzwań, przed którymi stanąłem w fazie przygotowawczej do napisania tej książki, było pytanie, w jaki sposób oddać atmosferę przedwojennej dzielnicy Tiergarten w Berlinie, w której Dodd i Martha spędzili tak dużo czasu, a która została tak mocno zniszczona przez alianckie bombowce oraz podczas ofensywy rosyjskiej na miasto. Kupiłem przedwojenny przewodnik Baedekera, który dostarczył mi bezcennych wskazówek przy lokalizowaniu charakterystycznych budynków, na przykład Romanisches Café przy Kurfürstendamm 238 czy hotelu Adlon na Unter den Linden 1. Przeczytawszy tyle pamiętników z epoki, ile tylko mogłem, wydobyłem z nich szczegóły na temat codziennego życia w Berlinie; pamiętałem jednocześnie, że memuary z ery nazistowskiej noszą często ślady zabiegów mających na celu przedstawienie autora jako osoby niezamieszanej w powstanie rządu hitlerowskiego i sposób sprawowania przezeń władzy – co nie zawsze jest zgodne z prawdą. Najbardziej dobitnym przykładem tej tendencji są z pewnością *Pamiętniki* Franza von Papena, opublikowane w 1953 roku, w których twierdzi on, iż swą mowę marburską przygotowywał „z wielką starannością”; nikt jednak nie traktuje tego poważnie. Dla Papena była to bowiem równie wielka niespodzianka jak dla słuchającej go publiczności.

Mające charakter wspomnieniowy powieści Christophera Isherwooda, mianowicie *The Last of Mr. Morris* oraz *Pożegnanie z Berlinem* okazały się szczególnie przydatne ze względu na zawarte w nich obserwacje dotyczące wyglądu i atmosfery miasta w latach bezpośrednio przed dojściem Hitlera do władzy, kiedy Isherwood zamieszkiwał w Berlinie na stałe. Z wielką przyjemnością od czasu do czasu odwiedzałem [YouTube.com](https://www.youtube.com) w poszukiwaniu starych filmów o Berlinie – i znalazłem ich kilka, na przykład niemy film z roku 1927 zatytułowany *Berlin: Symfonia wielkiego miasta*, w którym przedstawiono jeden pełen dzień z życia metropolii. Szczególnie atrakcyjny był dla mnie film propagandowy z 1935 roku pod tytułem *Cud latania*, mający zachęcać młodych ludzi do wstępowania do Luftwaffe, w którym ówczesny kochanek Marthy, Ernst Udet, gra samego siebie, a nawet popisuje się swoim berlińskim mieszkaniem, które wygląda niemal dokładnie tak, jak opisała je Martha w pamiętniku.

Stwierdziłem, że Towarzystwo Historyczne Stanu Wisconsin jest prawdziwą skarbnicą rzetelnych materiałów, pozwalających w najdrobniejszych detalach wyobrazić sobie życie w Berlinie za czasów Hitlera. Tam właśnie odnalazłem pisma Sigrid Schultz, Hansa V. Kaltenborna i Louisa Lochnera. Siedziba Towarzystwa znajduje się w odległości krótkiego urokliwego spaceru od biblioteki Uniwersytetu Wisconsin, gdzie również znalazłem sporo materiałów o jedynej absolwentce tej uczelni, która została zgilotynowana na rozkaz Hitlera, czyli Mildred Fish Harnack.

Najważniejsze jednak było moje osobiste spotkanie z Berlinem. Miasto nie uległo na tyle znaczącym zmianom, by nie dało się odtworzyć w nim ogólnego obrazu przeszłości. Zdumienie może budzić fakt, że budynki kierowanego przez Göringa Ministerstwa Lotnictwa przetrwały wojnę niemal nienaruszone, podobnie jak sztabu generalnego armii, czyli Bendler Block. Najbardziej uderzył mnie fakt, że wszystkie te instytucje były bardzo blisko domu Doddów, że do każdego ważniejszego urzędu można było szybko i łatwo dojść spacerem, w tym do Komendy Głównej Gestapo czy kancelarii Hitlera, dziś już nieistniejących. W miejscu, gdzie przy Tiergartenstrasse 27a wznosił się dom Doddów, znajduje się dziś pusty, porośnięty chwastami plac, otoczony drucianą siatką. W tle widać Bendler Block.

Szczególne podziękowania jestem winien Gianni Sommi Panofsky oraz jej mężowi Hansowi, synowi Alfreda Panofsky'ego, właściciela domu Doddów w Berlinie. Para ta osiadła w Evanston w stanie Illinois. Hans wykładał na Uniwersytecie Northwestern. Pani Panofsky była uprzejma udostępnić mi oryginalne plany domu przy Tiergartenstrasse (absolwentka dziennikarstwa na North western, Ashley Keyser, starannie je zabezpieczyła i skopiowała w moim imieniu). Pani Panofsky była cudowną rozmówczynią. Niestety, zmarła na raka okrężnicy na początku 2010 roku.

Przed wszystkim dziękuję moim lojalnym pierwszym czytelnikom: Carrie Dolan i jej mężowi, Ryanowi Russellowi; moim córkom Kristen, Lauren i Erin oraz, jak zawsze, mojej żonie i tajnej broni Christine Gleason, której notatki na marginesach – obok zalanych łzami buzi i ciągnących się w nieskończoność liter zzzzzzz – raz jeszcze okazały się niezastąpione. Dziękuję też moim córkom za ich coraz bardziej przenikliwe uwagi dotyczące mojego sposobu ubierania się. Zaciągnąłem ogromny dług u Betty Prashker, mojej redaktorki już od prawie dwóch dekad, oraz u Johna Glusmana, który doprowadził tę książkę do publikacji. Dziękuję również Domenice Galio to za wzięcie na siebie zadania, którego nie powinna była przyjmować, oraz Jacobowi Bronsteinowi, który tak umiejętnie potrafi się poruszać pomiędzy siecią a światem rzeczywistym. Specjalne podziękowania dla Penny Simon za jej przyjaźń i fachową wiedzę, jak zmusić mnie do zrobienia czegoś, na co nie mam ochoty; dla Tiny Constable za jej zaufanie oraz dla Davida Blacka, mojego wieloletniego agenta, doradcy w kwestii win oraz wspaniałego przyjaciela. Na koniec ogromne uściski dla Molly, naszego cudownego, słodkiego psa, który przegrał walkę z rakiem wątroby w wieku lat 10, gdy niniejsza książka była bliska ukończenia. W ostatnich tygodniach życia nasze sucie udało się złapać królika, choć przez wiele lat wcześniej podejmowane w tej sprawie próby były nieudane. Każdego dnia odczuwamy jej brak.

Kiedy byłem w Berlinie, wydarzyła się rzecz dziwna. Jedną z tych niezwykłych i krótkich chwil, gdy zbiegają się ze sobą czas i przestrzeń; chwile te występują chyba zawsze wtedy, gdy jestem głęboko zaangażowany w pracę przygotowawczą do nowej książki. Zatrzymałem się w hotelu Ritz-Carlton niedaleko Tiergarten, nie dlatego, że był to Ritz, lecz ponieważ był to nowiu tenki Ritz

oferujący pokoje w niezwykle atrakcyjnych, nastawionych na przyciągnięcie klientów cenach. To, że był akurat luty, też miało znaczenie. Pierwszego poranka, zbyt zmęczony długim lotem i zmianą czasu, nie miałem ochoty na nic przesadnie ambitnego, wybrałem się więc na spacer w kierunku Tiergarten, z mglistą ideą w głowie, że będę siedział tak długo, aż w końcu znajdę adres dawnego domu Doddów, chyba że zamarznię na śmierć. Był lodowaty, wietrzny poranek, od czasu do czasu pod ostrym kątem spadały na mnie płatki śniegu. Idąc, natrafiłem na niezwykle ciekawy okaz architektury – wielką fasadę starego, noszącego ślady po pociskach budynku, wznoszącego się za gigantyczną szklaną ścianą. Podobna do mostu platforma biegła wzdłuż szczytu owej fasady, podtrzymując kilka pięter nowoczesnego, luksusowego apartamentowca. Z czystej ciekawości podszedłem do tablicy informacyjnej. Był to hotel Esplanade, gdzie Doddowie zatrzymali się zaraz po przyjeździe do Berlina. Za taflą szkła dostrzegłem również jedną z wewnętrznych ścian sali śniadaniowej, odrestaurowanej tak, że wyglądała jak przed laty. Widzieć te architektoniczne artefakty uwięzione za szkłem, niczym gigantyczna nieruchoma ryba, było dla mnie zarówno czymś dziwnym, jak i odkrywczym. Przez mgnienie zobaczyłem Dodda i Marthę, jak wychodzą z hotelu i wkraczają w nowy dzień, jak Dodd rusza rażącym krokiem w kierunku północnym do Tiergarten, idąc do biur ambasady na Bendlerstrasse, Martha zaś pędzi w stronę przeciwną, aby spotkać się z Rudolfem Dielem w starej szkole plastycznej przy Prinz-Albrecht-Strasse, zanim pójdą razem na spokojny lunch w jakimś dyskretnym lokalu.

Zamieszczone poniżej przypisy pod żadnym pozorem nie wyczerpują tematu. Zawsze starałem się solidnie cytować materiały i fragmenty innych prac, z których korzystam, a także odnotowywać te fakty i obserwacje, które bezwzględnie wymagają podania źródła, jak na przykład ustalenie Iana Kershawa – *Hybris*, strona 485 – że jednym z ulubionych filmów Hitlera był *King Kong*. Jak zawsze, dla czytelników lubiących czytać przypisy – a jest Was przecież wielu – przytaczam krótkie historyjki i pewne fakty, które nie zmieściły się w toku narracji, ale które uważam za zbyt ciekawe czy fascynujące, by je pominąć. Słabostkę tę wybaczone mi, proszę.

Bibliografia

Źródła archiwalne

- Carr Wilbur J., *Papers*, Library of Congress Manuscript Division, Waszyngton.
- Dodd Martha, *Papers*, Library of Congress Manuscript Division, Waszyngton.
- Dodd William E., *Papers*, Library of Congress Manuscript Division, Waszyngton.
- Harnack Mildred Fish, *Papers*, University of Wisconsin Library, Madison.
- Hull Cordell, *Papers*, Library of Congress Manuscript Division, Waszyngton.
- Kaltenborn H.V., *Papers*, Wisconsin Historical Society, Madison.
- Lochner Louis P., *Papers*, Wisconsin Historical Society, Madison.
- Messersmith George S., *Papers*, Special Collections, University of Delaware, Newark.
- Moffat Jay Pierrepont, *Diaries*, Houghton Library, Harvard University, Cambridge.
- Phillips William, *Diaries*, Houghton Library, Harvard University, Cambridge.
- Roosevelt Franklin D., William E. Dodd, *Correspondence*, Franklin Delano Roosevelt Library, Hyde Park, Nowy Jork. *Correspondence online* (Roosevelt Correspondence).
- Schultz Sigrid, *Papers*, Wisconsin Historical Society, Madison.
- U.S. Department of State Decimal Files, National Archives and Records Administration, College Park, Md. (State/Decimal).
- U.S. Department of State, *Foreign Relations of the United States*, 1933 and 1934, Digital Collection, University of Wisconsin (State/Foreign).
- Vassiliev Alexander, *The Vassiliev Notebooks*, Cold War International History Project, Woodrow Wilson International Center for Scholars, Waszyngton.
- Venona Intercepts, National Security Agency.
- White John C., *Papers*, Library of Congress Manuscript Division, Waszyngton.
- Wilder Thornton, *Papers*, Beinecke Rare Book and Manuscript Library, Yale University, New Haven.

Książki i periodyki

- Adlon Hedda, *Hotel Adlon: The Life and Death of a Great Hotel*, Londyn, Barrie Books 1958.
- American Jewish Congress, *Hitlerism and the American Jewish Congress*, Nowy Jork, American Jewish Congress 1934.
- Andersen Hartvig, *The Dark City*, Londyn, Cresset Press 1954.
- Andreas-Friedrich Ruth, *Berlin Underground: 1938–1945*, tłum. Barrows Mussey, Nowy Jork, Paragon House 1989.
- Angora: *Pictorial Records of an SS Experiment*, „Wisconsin Magazine of History” 50, nr 4 (lato 1967), ss. 329–413.
- Anhalt Diana, *A Gathering of Fugitives: American Political Expatriates in Mexico 1948–1965*, Santa Maria, Archer Books 2001.
- Anthes Louis, *Publicly Deliberative Drama: The 1934 Mock Trial of Adolf Hitler for „Crimes Against Civilization”*, „American Journal of Legal History” 42, nr 4 (październik 1998), ss. 391–410.
- Archives of the Holocaust*, vol. 1: American Friends Service Committee, Philadelphia, część 1, 1932–1939, red. Jack Sutters, Nowy Jork, Garland Publishing 1990.
- Tenże, vol. 2: Berlin Document Center, część 1, red. Henry Friedlander i Sybil Milton, Nowy Jork, Garland Publishing 1992.
- Tenże, vol. 2: Berlin Document Center, część 2, red. Henry Friedlander i Sybil Milton, Nowy Jork, Garland Publishing 1992.
- Tenże, vol. 3: Central Zionist Archives, Jerozolima 1933–1939, red. Francis R. Nicosia, Nowy Jork, Garland Publishing 1990.
- Tenże, vol. 7: Columbia University Library, Nowy Jork, The James G. McDonald Papers, red. Karen J. Greenberg, Nowy Jork, Garland Publishing 1990.
- Tenże, vol. 10: American Jewish Joint Distribution Committee, Nowy Jork, część 1, red. Sybil Milton i Frederick D. Bogin. Nowy Jork, Garland Publishing 1995.
- Tenże, vol. 17: American Jewish Committee, Nowy Jork, red. Frederick D. Bogin, Nowy Jork, Garland Publishing 1993.
- Augustine Dolores L. *The Business Elites of Hamburg and Berlin*, „Central European History” 24, nr 2 (1991), ss. 132–46.
- Baedeker Karl, *Berlin and Its Environs*, Lipsk, Karl Baedeker 1910.
- Tenże, *Northern Germany*, Lipsk, Karl Baedeker 1925.
- Bailey Fred Arthur, *William Edward Dodd: The South's Yeoman Scholar*, Charlottesville, University Press of Virginia 1997.
- Baird Jay W., *Horst Wessel, and the Myth of Resurrection and Return*, „Journal of Contemporary History” 17, nr 4 (październik 1982), ss. 633–50.

- Bankier David, *The Germans and the Final Solution*, Oksford, Wielka Brytania, Blackwell 1992.
- Bendiner Robert, *The Riddle of the State Department*, Nowy Jork, Farrar & Rinehart 1942.
- Benson Robert L., *The Venona Story*, Center for Cryptologic History, Waszyngton, National Security Agency.
- Berard Armand, *Un Ambassadeur se Souvient: Au Temps du Danger Allemand*, Paryż, Plon 1976.
- Bielenberg Christabel, *The Past Is Myself*, Londyn, Chatto & Windus 1968.
- Birchall Frederick T., *The Storm Breaks: A Panorama of Europe and the Forces That Have Wrecked Its Peace*, Nowy Jork, Viking 1940.
- Bredohl Thomas M., *Some Thoughts on the Political Opinions of Hans Fallada: A Response to Ellis Shookman*. „German Studies Review” 15, nr 3 (październik 1992), ss. 525–45.
- Breitman Richard i Alan M. Kraut, *American Refugee Policy and European Jewry, 1933–1945*, Bloomington, Indiana University Press 1987.
- Brenner David, *Out of the Ghetto and into the Tiergarten: Redefining the Jewish Parvenu and His Origins in Ost und West*. „German Quarterly” 66, nr 2 (wiosna 1993), ss. 176–94.
- Brownell Will i Richard N. Billings, *So Close to Greatness: A Biography of William C. Bullitt*, Nowy Jork, Macmillan 1987.
- Bryson Shareen Blair, *Resisting Hitler: Mildred Harnack and the Red Orchestra*, Nowy Jork, Oxford University Press 2000.
- Bullitt William C., *For the President: Personal and Secret*, red. Orville H. Bullitt, Nowy Jork, Houghton Mifflin 1972.
- Bullock Alan, *Hitler: A Study in Tyranny*, 1962, Nowy Jork, Harper Collins 1991 (reprint).
- Burden Hamilton T., *The Nuremberg Party Rallies: 1923–39*, Nowy Jork, Frederick A. Praeger 1967.
- Burke Bernard V., *Ambassador Frederic Sackett and the Collapse of the Weimar Republic, 1930–1933*, Nowy Jork, Cambridge University Press 1994.
- Casey Steven, *Franklin D. Roosevelt, Ernst „Putzi” Hanfstaengl and the „S-Project”, June 1942 – June 1944*. „Journal of Contemporary History” 35, nr 3, 2000, s. 339–59.
- Cerruti Elisabetta, *Ambassador's Wife*, Nowy Jork, Macmillan 1953.
- Chapman Cynthia C., *Psychobiographical Study of the Life of Sigrid Schultz*. Ph. D. diss., Florida Institute of Technology 1991 ([w]: Schultz Papers, Wisconsin Historical Society).
- Chernow Ron, *The Warburgs*, Nowy Jork, Random House 1993.
- Clyman Rhea, *The Story That Stopped Hitler*, [w]: „How I Got That Story”, red. David Brown i W. Richard Bruner, Overseas Press Club of America, Nowy Jork, Dutton 1967.
- Cockburn Claud, *In Time of Trouble*, Londyn, Rupert Hart-Davis 1956.
- Conradi Peter, *Hitler's Piano Player: The Rise and Fall of Ernst Hanfstaengl, Confidant of Hitler*,

- Ally of FDR*, Nowy Jork, Carroll and Graf 2004.
- Craig Gordon A. i Felix Gilbert, *The Diplomats, 1919–1939*, Princeton, Princeton University Press 1953.
- Crankshaw Edward, *Gestapo: Instrument of Tyranny*, Nowy Jork, Viking, 1956.
- Dallek Robert, *Democrat and Diplomat: The Life of William E. Dodd*, Nowy Jork, Oxford University Press 1968.
- Dalley Jan, *Diana Mosely*, Nowy Jork, Knopf 2000.
- Dallin David J., *Soviet Espionage*, New Haven, Yale University Press 1955.
- Daum Andreas W. i Christof Mauch, *Berlin–Washington, 1800–2000: Capital Cities, Cultural Representation, and National Identities*, Cambridge, Wielka Brytania, Cambridge University Press 2005.
- Death of Auntie Voss*, „Time”, 9 kwietnia 1934.
- De Jonge Alex, *The Weimar Chronicle: Prelude to Hitler*, Nowy Jork, Paddington 1978.
- Deschner Gunther, *Heydrich: The Pursuit of Total Power*, 1977, Londyn, Orbis 1981 (reprint).
- Diels Rudolf, *Lucifer Ante Portas*, Monachium, Deutsche Verlags Anstalt 1950.
- Dimitroff Georgi, *Dimitroff's Letters from Prison*, Londyn, Victor Gollancz 1935.
- Dippel John V.H., *Bound Upon a Wheel of Fire: Why So Many German Jews Made the Tragic Decision to Remain in Nazi Germany*, Nowy Jork, Basic Books 1996.
- Divine Robert, *Franklin D. Roosevelt and Collective Security, 1933*, „The Mississippi Valley Historical Review” 48, nr 1 (czerwiec 1961): ss. 42–59.
- Dodd Christopher J. i Lary Bloom, *Letters from Nuremberg: My Father's Narrative of a Quest for Justice*, Nowy Jork, Crown Publishing 2007.
- Dodd Martha, *Trough Embassy Eyes*, Nowy Jork, Harcourt Brace 1939.
- Tenże, *Sowing the Wind*, Nowy Jork, Harcourt Brace 1945.
- Dodd William E., *Ambassador Dodd's Diary*, red. William E. Dodd Jr. i Martha Dodd, Nowy Jork, Harcourt Brace 1941.
- Engelmann Bernt, *In Hitler's Germany: Daily Life in the Third Reich*, tłum. Krishna Winston, Nowy Jork, Pantheon 1986.
- Evans Richard J., *The Third Reich in Power 1933–1939*, Nowy Jork, Penguin 2005.
- Tenże, *The Third Reich at War 1939–1945*, Londyn, Allen Lane/Penguin 2008.
- Feingold Henry L., *The Politics of Rescue: The Roosevelt Administration and the Holocaust, 1938–1945*, New Brunswick, Rutgers University Press 1970.
- Ferdinand Prince Louis, *The Rebel Prince: Memoirs of Prince Louis Ferdinand of Prussia*, Chicago, Henry Regnery 1952.
- Fest Joachim C., *The Face of the Third Reich*, Nowy Jork, Pantheon 1970.

- Flynn Edward J., *You're the Boss*, Nowy Jork, Viking Press 1947.
- François-Poncet André, *The Fateful Years: Memoirs of a French Ambassador in Berlin, 1931–38*, tłum. Jacques Le Clercq, Londyn, Victor Gollancz 1949.
- Friedlander Henry, *Step by Step: The Expansion of Murder, 1939–1941*, „German Studies Review” 17, nr 3 (październik 1994), ss. 495–507.
- Friedrich Otto, *Before the Deluge: A Portrait of Berlin in the 1920's*, Nowy Jork, Harper & Row 1972.
- Fritzsche Peter, *Life and Death in the Third Reich*, Cambridge, Harvard University Press/Belknap Press 2008.
- Fromm Bella, *Blood and Banquets: A Berlin Social Diary*, Nowy Jork, Harper 1942.
- Fuller Helga, *Don't Lose Your Head: Coming of Age in Berlin, Germany 1933–1945*, Seattle, Peanut Butter Publishing 2002.
- Gallo Max, *The Night of Long Knives*, tłum. Lily Emmet, Nowy Jork, Harper and Row 1972.
- Gay Peter, *My German Question: Growing Up in Nazi Berlin*, New Haven, Yale University Press 1998.
- Gellately Robert, *The Gestapo and German Society: Political Denunciation in the Gestapo Case Files*, „Journal of Modern History” 60, nr 4 (grudzień 1988), ss. 654–94.
- Tenże, *The Gestapo and German Society: Enforcing Racial Policy, 1933–1945*, Oksford, Wielka Brytania, Clarendon Press 1990.
- Gellman Irwin F., *Secret Affairs: Franklin Roosevelt, Cordell Hull, and Sumner Welles*, Baltimore, Johns Hopkins University Press 1995.
- Germany: *Head into Basket*, „Time”, 22 stycznia 1934.
- Gilbert G.M., *Nuremberg Diary*, Nowy Jork, Farrar, Straus 1947.
- Gill Anton, *A Dance Between Flames: Berlin Between the Wars*, Londyn, John Murray 1993.
- Gisevius Hans Bernd, *To the Bitter End*, Nowy Jork, Houghton Mifflin 1947.
- Glass Derek Dietmar Rosler i John J. White, *Berlin: Literary Images of a City*, Berlin, Erich Schmidt Verlag 1989.
- Goebel Rolf J., *Berlin's Architectural Citations: Reconstructions, Simulation, and the Problem of Historical Authenticity*, „PMLA” 118, nr 5 (październik 2003), ss. 1268–89.
- Goeschel Christian, *Suicide in Nazi Germany*, Oksford, Wielka Brytania, Oxford University Press 2009.
- Goldensohn Leon, *The Nuremberg Interviews*, red. Robert Gellately, Nowy Jork, Alfred A. Knopf 2004.
- Goran Morris, *The Story of Fritz Haber*, Norman, University of Oklahoma Press 1967.
- Gordon Mel, *Voluptuous Panic: The Erotic World of Weimar Berlin*, Los Angeles, Feral House 2006.
- Graebner Norman A., *An Uncertain Tradition: American Secretaries of State in the Twentieth Century*,

- Nowy Jork, McGraw-Hill 1961.
- Graf Christoph, *The Genesis of the Gestapo*, „Journal of Contemporary History” 22, nr 3 (lipiec 1987), ss. 419–35.
- Graves Robert, Alan Hodge, *The Long Week End: A Social History of Great Britain 1918–1939*, Nowy Jork, Macmillan 1941.
- Grey-Turner Elston, *Pages from a Diary*, „British Medical Journal” 281, nr 6265 (20–27 grudnia 1980), ss. 1692–95.
- Grimm Jacob, Wilhelm Grimm, *Grimm's Fairy Tales*, Nowy Jork, Barnes and Noble 2003 (reprint).
- Grunberger Richard, *A Social History of the Third Reich*, Londyn, Weidenfeld and Nicolson 1971.
- Guerin Daniel, *The Brown Plague*, tłum. Robert Schwartzwald, Durham, Duke University Press 1994.
- Hamilton Gerald, *Mr. Norris and I: An Autobiographical Sketch*, Londyn, Allan Wingate 1956.
- Hammond Mason, *The War and Art Treasures in Germany*, „College Art Journal” 5, nr 3 (marzec 1949), ss. 205–18.
- Hancock Eleanor, *Only the Real, the True, the Masculine Held Its Value: Ernst Rohm, Masculinity, and Male Homosexuality*, „Journal of the History of Sexuality” 8, nr 4 (kwiecień 1998), ss. 616–41.
- Hanftaengl Ernst, *Unheard Witness*, Filadelfia, Lippincott 1957.
- Hartley Marsden, et al. *Letters from Germany, 1933–1938*, „Archives of American Art Journal” 25, numery 1–2 (1985), ss. 3–28.
- Haynes John Earl, Harvey Klehr, Alexander Vassiliev, *Spies: The Rise and Fall of the KGB in America*, New Haven, Yale University Press 2009.
- Tenże, *Venona: Decoding Soviet Espionage in America*, New Haven, Yale University Press 1999.
- Heineman John L., *Hitler's First Foreign Minister: Constantin Freiherr von Neurath, Diplomat and Statesman*, Berkeley, University of California Press 1979.
- Herzstein Robert Edwin, *Roosevelt and Hitler*, Nowy Jork, Paragon House 1989.
- Hitler Adolf, *Hitler's Table Talk, 1941–1944*, tłum. Norman Cameron i L. H. Stevens, Londyn, Weidenfeld & Nicolson 1953.
- Holborn Hajo, red., *Republic to Reich: The Making of the Nazi Revolution*, tłum. Ralph Manheim, Nowy Jork, Pantheon 1972.
- Hughes Matthew i Chris Mann, *Inside Hitler's Germany: Life Under the Third Reich*, Dulles, Brassey's Inc. 2000.
- Hull Cordell, *The Memoirs of Cordell Hull*, tom 1, Nowy Jork, Macmillan 1948.
- Ickes Harold L., *The Secret Diary of Harold L. Ickes: The First Thousand Days 1933–1936*, Nowy Jork, Simon and Schuster 1953.

- Isherwood Christopher, *The Berlin Stories*, 1935, Nowy Jork, New Directions Publishing 1954 (reprint).
- Isherwood Christopher, *Down There on a Visit*, Nowy Jork, Simon and Schuster 1962.
- Jaskot Paul B., *Anti-Semitic Policy in Albert Speer's Plans for the Rebuilding of Berlin*, „Art Bulletin” 78, nr 4 (grudzień 1996), ss. 622–32.
- Jelavich Peter, *Berlin Cabaret*, Cambridge, Harvard University Press 1993.
- Johnson Eric A. i Karl-Heinz Reuband, *What We Knew: Terror, Mass Murder, and Everyday Life in Nazi Germany*, Nowy Jork, Basic Books 2005.
- Jonas Manfred, *Pro-Axis Sentiment and American Isolationism*, „Historian” 29, nr 2 (luty 1967), ss. 221–37.
- Jones Larry Eugene, *Edgar Julius Jung: The Conservative Revolution in Theory and Practice*, „Central European History” 21, nr 2 (czerwiec 1988), ss. 142–74.
- Kaes Anton, Martin Jay i Edward Dimendberg, *The Weimar Republic Sourcebook*, Berkeley, University of California Press 1994.
- Kaltenborn H. V., *Fifty Fabulous Years*, Nowy Jork, G.P. Putnam's Sons 1950.
- Kater Michael H., *Forbidden Fruit? Jazz in the Third Reich*, „American Historical Review” 94, nr 1 (luty 1989), ss. 11–43.
- Kent Madeleine, *I Married a German*, Nowy Jork, Harper and Brothers 1939.
- Kershaw Ian, *Hitler: 1889–1936: Hybris*, Nowy Jork, W. W. Norton 1998.
- Kershaw Ian, *The „Hitler Myth”: Image and Reality in the Third Reich*, Oksford, Wielka Brytania, Clarendon Press 1987.
- Kershaw Ian, *Popular Opinion and Political Dissent in the Third Reich: Bavaria 1933–1945*, Oksford, Wielka Brytania, Clarendon Press, 1983.
- Kessler Harry, *Berlin in Lights: The Diaries of Count Harry Kessler (1918–1937)*, tłum. i red. Charles Kessler, 1961, Nowy Jork, Grove Press 1999 (reprint).
- Kessler Lauren, *Clever Girl: Elizabeth Bentley, the Spy Who Ushered in the McCarthy Era*, Nowy Jork, HarperCollins 2003.
- Klemperer Victor, *I Will Bear Witness: A Diary of the Nazi Years, 1933–1941*, tłum. Marin Chalmers, Nowy Jork, Random House 1998.
- Klemperer Victor, *The Language of the Third Reich: LTI-Lingua Tertii Imperii*, tłum. Martin Brady, 1957, Londyn, Athlone Press 2000 (reprint).
- Koehl Robert Lewis, *The Black Corps: The Structure and Power Struggles of the Nazi SS*, Madison, University of Wisconsin Press 1983.
- Koeves Tibor, *Satan in Top Hat: The Biography of Franz von Papen*, Nowy Jork, Alliance 1941.
- Krausnick Helmut, Hans Buchheim, Martin Broszat, Hans-Adolf Jacobsen, *Anatomy of the SS*

- State, tłum. Richard Barry, Marian Jackson, Dorothy Long, Nowy Jork, Walker and Co. 1968.
- Kraut Alan M., Richard Breitman, Thomas W. Imhoof, *The State Department, the Labor Department, and German Jewish Immigration, 1930–1940*, „Journal of American Ethnic History” 3, nr 2 (wiosna 1984), ss. 5–38.
- Kreuder Friedemann, *Hotel Esplanade: The Cultural History of a Berlin Location*, „PAJ: A Journal of Performance and Art 22”, nr 2 (maj 2000), ss. 22–38.
- Lachmund Jens, *Exploring the City of Rubble: Botanical Field work in Bombed Cities in Germany after World War II*, „Osiris” Series, tom 18 (2003), ss. 234–54.
- Ladd Brian, *The Ghosts of Berlin*, Chicago, University of Chicago Press 1997.
- Langer William L. i S. Everett Gleason, *The Challenge to Isolation, 1937–1940*, Nowy Jork, Harper and Brothers 1952.
- Le Tissier Tony, *Race for the Reichstag: The 1945 Battle for Berlin*, Londyn, Frank Cass 1999.
- Lipstadt Deborah E. *Beyond Belief: The American Press and the Coming of the Holocaust 1933–1945*, Nowy Jork, Free Press 1986.
- Litten Irmgard, *Beyond Tears*, Nowy Jork, C. Scribner's Sons 1938.
- Lochner Louis P., *Round Robins from Berlin*, „Wisconsin Magazine of History” 50, nr 4 (lato 1967), ss. 291–336.
- Ludecke Kurt, *I Knew Hitler*, Nowy Jork, C. Scribner's Sons 1938.
- MacDonogh Giles, *Otto Horcher, Caterer to the Third Reich*, „Gastronomica” 7, nr 1 (zima 2007), ss. 31–38.
- Magi Aldo P., *Thomas Wolfe and Mildred Harnack-Fish: The 1935 Berlin Interview*, „Thomas Wolfe Review” 27, numery 1 i 2 (2003), ss. 100–114.
- Mali Joseph, *The Reconciliation of Myth: Benjamin's Homage to Bachofen*, „Journal of the History of Ideas” 60, nr 1 (styczeń 1999), ss. 165–187.
- Mann Klaus, *The Turning Point: The Autobiography of Klaus Mann*, 1942, Londyn, Otto Wolff 1984 (reprint). Mann Thomas, *Diaries 1918–1939*, tłum. Richard i Clara Winston, Nowy Jork, Harry N. Abrams 1982.
- Manvell Roger i Heinrich Fraenkel, *Dr. Goebbels: His Life and Death*, Nowy Jork, Simon and Schuster 1960.
- McDonough Frank, *The Times, Norman Ebbut and the Nazis, 1927–37*, „Journal of Contemporary History” 27, nr 3 (lipiec 1992), ss. 407–24.
- Merkel Peter H., *The Making of a Stormtrooper*, Princeton, Princeton University Press 1980.
- Messersmith George, *Present Status of the Anti-Semitic Movement in German*, 21 września 1933, German Historical Institute, <http://germanhistorydocs.ghi-dc.org/>.
- Metcalf Philip, 1933, Sag Harbor, Permanent Press 1988.

- Miller Douglas, *Via Diplomatic Pouch*, Nowy Jork, Didier 1944.
- Milton Sybil, *The Context of the Holocaust*, „German Studies Review” 13, nr 2 (maj 1990), ss. 269–83.
- Mowrer Edgar Ansel, *Germany Puts the Clock Back*, Nowy Jork, William Morrow 1939.
- Mowrer Edgar Ansel, *Triumph and Turmoil: A Personal History of Our Time*, Nowy Jork, Weybright and Talley 1968.
- Mowrer Lilian T., *Journalist's Wife*, Nowy Jork, William Morrow 1937.
- Myers Denys P. i Charles F. Ransom, *Reorganization of the State Department*, „American Journal of International Law” 31, nr 4 (październik 1937), ss. 713–20.
- Nabokov Vladimir, *Speak Memory*, 1947, Nowy Jork, Vintage 1989 (reprint).
- Noakes Jeremy i Geoffrey Pridham, *Documents on Nazism, 1919–1945*, Nowy Jork, Viking 1975.
- Norden Peter, *Madam Kitty: A True Story*, tłum. J. Maxwell Brownjohn, Londyn, Abelard-Schuman 1973.
- Nowell Elizabeth, *Thomas Wolfe: A Biography*, Garden City, Doubleday 1960.
- Offner Arnold A., *American Appeasement: United States Foreign Policy and Germany, 1933–1938*, Cambridge, Harvard University Press 1969.
- Orlow Dietrich, *The History of the Nazi Party: 1933–1945*, Pittsburgh, University of Pittsburgh Press 1973.
- Owings Alison, *Frauen: German Women Recall the Third Reich*, New Brunswick, Rutgers University Press 1993.
- Papen Franz von, *Memoirs*, tłum. Brian Connell, Nowy Jork, E.P. Dutton 1953.
- Peukert Detlev J.K., *Inside Nazi Germany*, tłum. Richard Deveson, New Haven, Yale University Press 1987.
- Phillips William, *The Reminiscences of William Phillips*, „Oral History Collection”, Nowy Jork, Columbia University 1952.
- Phillips William, *Ventures in Diplomacy*, Portland, Maine 1952.
- Phipps Sir Eric, *Our Man in Berlin: The Diary of Sir Eric Phipps, 1933–1937*, red. Gaynor Johnson, Hampshire, Palgrave Macmillan 2008.
- Pundeff Marin, *Dimitrov at Leipzig: Was There a Deal?*, „Slavic Review” 45, nr 3 (jesień 1986), ss. 545–49.
- Reynolds Quentin, *By Quentin Reynolds*, Nowy Jork, McGraw-Hill 1963.
- Riasanovsky Nicholas V., *A History of Russia*, 2 wyd., Nowy Jork, Oxford University Press 1969.
- Richie Alexandra, *Faust's Metropolis: A History of Berlin*, Nowy Jork, Carroll and Graf 1998.
- Ritchie J.M., *German Literature Under National Socialism*, Totowa N.J., Barnes and Noble 1983.
- Roosevelt Franklin Delano, *F.D.R.: His Personal Letters*, tom 1, 1928–1945, Nowy Jork, Duell,

- Sloan and Pearce 1950.
- Roper Daniel C., *Fifty Years of Public Life*, Nowy Jork, Greenwood Press 1968.
- Rose Joseph, *What I Saw: Reports from Berlin 1920–1933*, tłum. Michael Hofmann, 1996, Nowy Jork, W.W. Norton 2003 (reprint).
- Rürup Reinhard, red., *Topography of Terror: Gestapo, SS and Reichssicherheitshauptamt on the „Prinz-Albrecht-Terrain”*, A Documentation, tłum. Werner T. Angress, Berlin, Verlag Willmuth Arenhovel 1996.
- Ryan Cornelius, *The Last Battle*, Nowy Jork, Simon and Schuster 1966.
- Schacht Hjalmar, *My First Seventy-Six Years*, tłum. Diana Pyke, Londyn, Allan Wingate 1955.
- Scheleunes Karl A., *The Twisted Road to Auschwitz: Nazi Policy Toward German Jews, 1933–1939*, Urbana, University of Illinois Press 1970.
- Schueler H.J., *Hans Fallada: Humanist and Social Critic*, Paris, Mouton 1970.
- Schultz Sigrid, *Hermann Goering's „Dragon from Chicago”*, [w:] *How I Got That Story*, red. David Brown i W. Richard Bruner, Overseas Press Club of America, Nowy Jork, Dutton 1967.
- Schultz Sigrid, *Oral History Interview*, William E. Wiener Oral History Library, American Jewish Committee, New York Public Library, 1974.
- Schwarz Angela, *British Visitor to National Socialist Germany: In a Familiar or in a Foreign Country?*, „Journal of Contemporary History” 28, nr 3 (lipiec 1993), ss. 487–509.
- Shafir Shlomo, *George S. Messersmith: An Anti-Nazi Diplomat's View of the German-Jewish Crisis*, „Jewish Social Studies” 35, nr 1 (styczeń 1973), ss. 32–41.
- Sherwood Robert E., *Roosevelt and Hopkins*, Nowy Jork, Harper and Brothers 1950.
- Shirer William L., *Berlin Diary*, 1941, Nowy Jork, Black Dog & Leventhal 2004 (reprint).
- Shirer William L., *The Rise and Fall of the Third Reich*, 1959, Nowy Jork, Simon and Schuster 1990 (reprint).
- Shirer William L., *Twentieth Century Journey: A Memoir of a Life and the Times*, tom 2, *The Nightmare Years, 1930–1940*, Nowy Jork, Little Brown 1984.
- Spear Sheldon, *The United States and the Persecution of the Jews in Germany, 1933–1939*, „Jewish Social Studies” 30, nr 4 (październik 1968), s. 216.
- Spender Stephen, *World Within World*, Nowy Jork, Harcourt, Brace 1951.
- Stackelberg Roderick i Sally A. Winkle, *The Nazi Germany Sourcebook*, Londyn, Routledge 2002.
- Stern Fritz, *Einstein's German World*, Princeton, Princeton University Press 1999.
- Stiller Jesse H., *George S. Messersmith: Diplomat of Democracy*, Chapel Hill, University of North Carolina Press 1987.
- Strasser Otto i Michael Stern, *Flight from Terror*, Nowy Jork, Robert M. McBride 1943.
- Sowell Ellery C., *A Square Deal of the Foreign Service*, „American Journal of International Law” 28,

- nr 2 (kwiecień 1934), ss. 340–342.
- Swett Pamela E., *Neighbors and Enemies: The Culture of Radicalism in Berlin, 1929–1933*, Cambridge, Cambridge University Press 2004.
- Their Excellencies, Our Ambassadors*, „Fortune Magazine”, kwiecień 1934, ss. 108–122.
- Tobias Fritz, *The Reichstag Fire: Legend and Truth*, tłum. Arnold J. Pomerans, Londyn, Secker and Warburg 1963.
- Turnbull Andrew, *Thomas Wolfe*, Nowy Jork, Charles Scribner's Sons 1967.
- Turner Henry Ashby Jr., *Fallada for Historians*, „German Studies Review” 26, nr 3 (październik 2003), ss. 477–492.
- Turner Henry Ashby Jr., *Two Dubious Third Reich Diaries*, „Central European History” 33, nr 3 (2000), ss. 415–422.
- Ullstein Herman, *The Rise and Fall of the House of Ullstein*, Nowy Jork, Simon and Schuster 1943.
- Urofsky Melvin I., *A Voice That Spoke for Justice*, Albany, State University of New York Press 1982.
- U.S. Department of Justice, *Federal Bureau of Investigation*, Venona File, Waszyngton.
- U.S. Department of State, *Peace and War: United States Foreign Policy, 1931–1941*, Waszyngton, U.S. Government Printing Office 1943.
- Vanden Heuvel Katrina, *Grand Illusions*, „Vanity Fair” 54, nr 9 (wrzesień 1991), ss. 220–256.
- Waln Nora, *Reaching for the Stars*, Nowy Jork, Little, Brown 1939.
- Warburg James P., *The Long Road Home*, Garden City, Doubleday 1964.
- Weil Martin, *A Pretty Good Club: The Founding Fathers of the U.S. Foreign Service*, Nowy Jork, W.W. Norton 1978.
- Weinberg Gerhard L., *The Foreign Policy of Hitler's Germany: Diplomatic Revolution in Europe 1933–36*, Chicago, University of Chicago Press 1970.
- Weinstein Allen i Alexander Vassiliev, *The Haunted Wood: Soviet Espionage in America-the Stalin Era*, Nowy Jork, Random House 1999.
- Weiss Stuart L., *America Foreign Policy and Presidential Power: The Neutrality Act of 1935*, „Journal of Politics” 30, nr 3 (sierpień 1968), ss. 672–695.
- Weitz Eric D., *Weimar Germany*, Princeton, Princeton University Press 2007.
- Wheaton Eliot Barculo, *Prelude to Calamity: The Nazi Revolution 1933–35*, Garden City, Doubleday 1968.
- Wheeler-Bennett John W., *The Nemesis of Power: The German Army in Politics 1918–1945*, Londyn, Macmillan 1953.
- Wheeler-Bennett John W., *Wooden Titan: Hindenburg in Twenty Years of Germany History 1914–1934*, Nowy Jork, William Morrow 1936.

- White John Campbell, *The Reminiscences of John Campbell White*, „Oral History Collection”, Columbia University.
- Williams Jenny, *More Lives than One: A Biography of Hans Fallada*, Londyn, Libris 1998.
- Wise Stephen, *Challenging Years*, Nowy Jork, G.P. Putnam's 1949.
- Wise Stephen, *The Personal Letters of Stephen Wise*, red. Justine Wise Polier i James Waterman Wise, Boston, Beacon Press 1956.
- Wise Stephen, *Stephen S. Wise: Servant of the People*, red. Carl Hermann Voss, Jewish Publication Society of America 1970.
- Wolfe Thomas, *The Letters of Thomas Wolfe to His Mother*, red. C. Hugh Holman i Sue Fields Ross, 1943, Nowy Jork, Charles Scribner's Sons 1968 (reprint).
- Wolfe Thomas, *The Notebooks of Thomas Wolfe*, red. Richard S. Kennedy i Paschal Reeves, tom 2, Chapel Hill, University of North Carolina Press 1970.
- Wolfe Thomas, *Selected Letters of Thomas Wolfe*, red. Elizabeth Nowel i Daniel George, Londyn, Heinemann 1958.
- Wolff Marion Freyer, *The Shrinking Circle: Memories of Nazi Berlin, 1933–1939*, Nowy Jork, UAHC Press 1989.
- Wrench Evelyn, *I Loved Germany*, Londyn, Michael Joseph 1940.
- Zuckmayer Carl, *A Part of Myself*, tłum. Richard i Clara Winston, Nowy Jork, Harcourt Brace Jovanovich 1970.
- Zweig Stefan, *The World of Yesterday*, 1943, Londyn, Cassell 1953 (reprint).

Szedłem przez ośnieżoną płaszczyznę Tiergarten – tu jakiś rozbity posąg, ówdzie młode, świeżo zasadzone drzewko; Brama Brandenburska z czerwoną flagą trzepoczącą się na tle błękitnego zimowego nieba, a na horyzoncie wielkie zebra wypatroszonego dworca kolejowego, niczym szkielet wieloryba. W świetle poranka wszystko było surowe i szczere, jak głos historii, który nie pozwala okłamywać samego siebie: to może zdarzyć się każdemu miastu, każdemu człowiekowi, tobie.

Christopher Isherwood^[868]

Down There on a Visit

^[868] Isherwood, *Visit*, s. 308.

Zdjęcia

- [1. \(Library of Congress\)](#)
- [2. ullstein bild / The Granger Collection, New York](#)
- [3. \(Diels\): ullstein bild / The Granger Collection, New York](#)
- [4. \(Dodd\): \(Library of Congress\)](#)
- [5. ullstein bild / The Granger Collection, New York](#)
- [6. Albert Harlingue / Roger-Viollet / The Image Works](#)
- [7. Bildarchiv Preussischer Kulturbesitz / Art Resource, NY](#)
- [8. Bildarchiv Preussischer Kulturbesitz / Art Resource, NY](#)
- [9. Bildarchiv Preussischer Kulturbesitz / Art Resource, NY](#)
- [10. Erik Larson](#)

W ogrodzie bestii

Spis treści

Okladka

Karta tytułowa

W serii

Dedykacja

Motto

Das Vorspiel

1933

Człowiek za zasłoną

CZĘŚĆ I SKOK DO WODY

Rozdział 1 Drogi ucieczki

Rozdział 2 Ten wakat w Berlinie

Rozdział 3 Wybór

Rozdział 4 Strach

Rozdział 5 Pierwsza noc

CZĘŚĆ II W POSZUKIWANIU DOMU W TRZECIEJ RZESZY

Rozdział 6 Uwiedzenie

Rozdział 7 Ukryty konflikt

Rozdział 8 Spotkanie z Putzim

Rozdział 9 Śmierć to śmierć

Rozdział 10 Tiergartenstrasse 27a

CZĘŚĆ III LUCYFER W OGRODZIE

Rozdział 11 Dziwne istoty

Rozdział 12 Brutus

Rozdział 13 Mój mroczny sekret

Rozdział 14 Śmierć Borysa

Rozdział 15 „Problem żydowski”

Rozdział 16 Sekretna prośba

Rozdział 17 Ucieczka Lucyfera

Rozdział 18 Ostrzeżenie od przyjaciela

Rozdział 19 Swat

CZĘŚĆ IV JAK BOLI SZKIELET

- Rozdział 20 Pocałunek Führera
- Rozdział 21 Kłopoty z George'em
- Rozdział 22 Świadek nosił buty z cholewami
- Rozdział 23 Borys umiera ponownie
- Rozdział 24 Zdobywanie głosów
- Rozdział 25 Tajemniczy Borys
- Rozdział 26 Mały bal dla prasy
- Rozdział 27 O Tannenbaum

1934

CZĘŚĆ V NIEPOKÓJ

- Rozdział 28 Styczeń 1934 roku
- Rozdział 29 Strzały z ukrycia
- Rozdział 30 Przeczucie
- Rozdział 31 Nocny terror
- Rozdział 32 Zapowiedź burzy
- Rozdział 33 „Notatka z rozmowy z Hitlerem”
- Rozdział 34 Diels przestraszony
- Rozdział 35 Konfrontacja z Klubem
- Rozdział 36 Ratowanie Dielsa
- Rozdział 37 Obserwatorzy
- Rozdział 38 Oszukany

CZĘŚĆ VI BERLIN O ZMIERZCHU

- Rozdział 39 Niebezpieczne biesiady
- Rozdział 40 Samotnia pisarza
- Rozdział 41 Poruszenie u sąsiada
- Rozdział 42 Zabawki Hermanna
- Rozdział 43 Pigmej przemawia
- Rozdział 44 Wiadomość w łazience
- Rozdział 45 Strapienie pani Cerruti
- Rozdział 46 Piątkowa noc

CZĘŚĆ VII KIEDY WSZYSTKO SIĘ ZMIENIA

- Rozdział 47 „Rozstrzelać, rozstrzelać!”
- Rozdział 48 Broń w parku
- Rozdział 49 Zabici

Rozdział 50 Jeszcze żyją

Rozdział 51 Koniec sympatii

Rozdział 52 Tylko konie

Rozdział 53 Juliet nr 2

Rozdział 54 Marzenia o miłości

Rozdział 55 Gdy zapada ciemność

EPILOG DZIWOŁĄG NA WYGNANTU

KODA „Rozmowy przy stole”

Materiały źródłowe i podziękowania

Bibliografia

Epigraf

Zdjęcia

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:
IN THE GARDEN OF BEASTS

Copyright © 2010 by Erik Larson

Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2012 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan
Korekta: Aneta Iwan, Joanna Rodkiewicz, Mariusz Kulan

ISBN: 978-83-7508-990-5

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

E-wydanie 2014



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl